

DOZDER LAND



PODSTĘP

Maria Adolfsson

MARIA
ADOLFSSON

DOGGERLAND. PODSTĘP

Przełożyła Agata Teperek



Tytuł oryginału: *Felsteg*
Copyright © Maria Adolfsson, 2018
First published by Wahlström & Widstrand, Stockholm, Sweden
Published in the Polish language by arrangement with Bonnier Rights, Stockholm, Sweden and
Macadamia Literary Agency, Warsaw, Poland
Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXX
Copyright © for the Polish translation by Agata Teperek, MMXX
Wydanie I
Warszawa MMXX

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Spis treści

Motto

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

15

16

17

18

19

20

21
22
23
24
25
26
27
28
29
30
31
32
33
34
35
36
37
38
39
40
41
42
43

44
45
46
47
48
49
50
51
52
53
54
55
56
57
58
59
60
61
62
63
64
65
66

67
68
69
70
71
72
73
74
75
76
77
78
79
80
81
82
83
84
85
86
87
88
89

90

91

Epilog

It is not down in any map; true places never are.

Herman Melville, *Moby Dick*

Jeszcze zanim otworzyła oczy, wiedziała. Coś tu jest nie tak. Wszystko jest potwornie nie tak.

Powinna leżeć w innym łóżku, wszystko jedno w jakim, byle nie w tym. Ciche chrapanie, które dolatuje z drugiej strony łóżka, powinien wydawać ktoś inny, wszystko jedno kto, byle nie on. Z pełną jasnością, która przenika jej myśli, wie, że musi się stąd wynosić. Teraz, natychmiast, zanim on się obudzi.

Powoli i najciszej, jak tylko może, Karen Eiken Hornby odsuwa kołdrę i siada, nie spogląda nawet w kierunku drugiej strony szerokiego łóżka. Przesuwa wzrokiem po pokoju hotelowym. Na podłodze, tuż koło swoich bosych stóp, dostrzega majtki i stanik, sukienka leży obok skórzanej kurtki zwinięta na stoliku, torebka rzucona na fotel. Trochę dalej zauważa sportowe buty, które wystają zza otwartych do połowy drzwi łazienki.

Planuje każdy swój ruch, żeby błyskawicznie się stąd zabrać, przysłuchuje się ciężkiemu oddechowi za plecami, ona sama oddycha bezgłośnie i płytko. Szybko powtarza poszczególne kroki, żeby stłumić falę strachu, wzbierającą w jej brzuchu. Rusza, bierze trzy głębokie wdechy, a później sięga po majtki i jednym ruchem wciąga je na siebie. Ostrożnie, żeby materac się nie zakołysał, podnosi się i ma wrażenie, że pokój wiruje. Czeka, nabiera powietrza. Potem, skradając się, robi kilka kroków, po drodze jedną ręką zgarnia stanik i rajstopy, drugą chwytając sukienkę i kurtkę. Czuje narastające mdłości, ale idzie dalej do łazienki i cicho zamyka za sobą drzwi. Zwleka pół sekundy, a później przekręca zamek. Kiedy słyszy kliknięcie rygła, natychmiast żałuje tej decyzji i przykłada ucho do drzwi. Wszystkie dźwięki, które teoretycznie mogłyby dochodzić z drugiej strony, zlewają się z uderzaniem jej walącego serca i krwią szumiącą w jej głowie.

Później się obraca.

Wzrok, który napotyka w lustrze nad umywalką, jest pusty i dziwnie obcy. Z głęboką odrazą do samej siebie przygląda się zarumienionym policzkom i pokruszonej maskarce, tworzącej pod jej oczami ciemne okręgi. Brązowe włosy z jednej strony głowy zwisają, reszta wciąż trzyma

się związana na karku. Długa grzywka jest przyklejona do spoconego czoła. Zrezygnowana obserwuje to spustoszenie i szepcze lepiącymi się, suchymi ustami:

– Ty idiotko.

Coś przekręca się jej w żołądku. W ostatniej chwili udaje się jej pochylić nad sedesem, potem nadciągają wymioty. No to teraz się obudzi, myśli, wsłuchując się bezradnie we własne łkanie i sapnięcia. Spodziewając się kolejnej fali torsji, zamyka oczy, żeby nie musieć oglądać w muszli pozostałości wczorajszego dnia. Czeka jeszcze chwilę, ale wygląda na to, że żołądek się uspokoił. Odczuwając chwilową ulgę, prostuje się, odkręca kran i napęnia wodą obie dłonie. Przepłukuje usta, schładza twarz i uświadamia sobie, że teraz będzie miała jeszcze ciemniejsze ślady wokół oczu, ale myśli zaraz, że to bez znaczenia. Stoczyła się już tak nisko, że niżej się nie da.

Chociaż niedługo skończy pięćdziesiąt lat, tym razem naprawdę znalazła się na dnie. Ma wrażenie, jakby miała na karku siedemdziesiątkę.

Szybka ucieczka to jedyna rzecz, która jej teraz zostaje. Pojechać do domu, położyć się i umrzeć. We własnym łóżku. Najpierw jednak musi się stąd wydostać, wsiąść do samochodu i pojechać do domu, z nikim nie rozmawiając i tak by nikt jej nie zobaczył. Później dostrzega nikły promyk nadziei, kiedy dociera do niej, że to właśnie dziś istnieje cień szansy, że naprawdę niepostrzeżenie uda się jej uciec z miasta. Kwadrans po siódmej rano, dzień po święcie ostryg, cały Dunker pogrążony jest we śnie.

Jedną ze szklanek na szczoteczki do zębów napęnia zimną wodą i szybko ją wypija, wolną ręką ściąga frotkę z głowy i patrzy, jak razem z nią straciła kilka długich, ciemnych włosów. Nalewa sobie jeszcze jedną szklanekę, wciąga na siebie sukienkę, wciska do torebki stanik i rajstopy i już chce położyć rękę na kłamce, kiedy się zatrzymuje. Musi spuścić wodę. Nawet jeśli ten hałas go obudzi, po prostu musi, nie powinna zostać tu po niej żadna pamiątka. Z mocno zaciśniętymi oczami i grymasem przerażenia na twarzy wsłuchuje się w dźwięk wody pieniącej się w muszli klozetowej oraz późniejszy szum, kiedy rezerwuar zaczyna się napęniać. Czeka jeszcze kilka sekund i kiedy słyhać już tylko szmer, przewiesza torebkę przez ramię.

Później bierze głęboki wdech i otwiera drzwi.

Mężczyzna w łóżku leży na plecach z głową zwróconą w jej stronę, Karen przez sekundę czuje się jak rażona piorunem. Pod światło odnosi wrażenie, że się jej przygląda. Jednak pokój wypełnia się kolejnym grzmiącym chrapnięciem, a odrętwienie przemija, Karen wzdryga się.

Sześć sekund później trzyma już w ręce swoje buty i otwiera drzwi na korytarz. Ale tam, u progu wolności, coś skłania ją do tego, żeby się odwrócić. To taka sama nagła myśl jak te, gdy się mija wypadek na autostradzie: chociaż wcale nie chce się tego oglądać, nie sposób nie spojrzeć. Wodzi wzrokiem po mężczyźnie na łóżku. Przygląda się jego wiotkim, rozchylonym ustom, wsłuchuje w lekko gulgoczący dźwięk towarzyszący każdemu wydechowi.

Z wrażeniem nierealności wpatruje się przez trzy sekundy w swojego szefa, a później zamyka za sobą drzwi.

Drzwi pokoju numer pięćset siedem zamykają się z cichym kliknięciem. Ciemna wykładzina wydaje się miękka, kiedy Karen stąpa po niej bosymi stopami, zmierzając szybkim krokiem do windy. Naciska przycisk. Puls dudni jej w skroni, kiedy wciąga na siebie buty, używając przy tym palca jako łyżki. Udaje jej się je założyć, a zaraz potem winda dzwoni i drzwi otwierają się z cichym szumem.

Ma szczęście. Recepcja jest chyba pusta. Zerkając na nią z ukosa, Karen pędzi przez lobby do wyjścia. Przeszywa ją dreszcz niepokoju, gdy dociera do niej, że w ogóle nie pamięta, jak się tu znalazła. Czy naprawdę przyszli tu razem? Czyj to był pomysł? Urywkowe wspomnienia z wczorajszego wieczoru przelatują jej przez głowę jak krótkie sekwencje filmu: spotkanie w porcie z Eirikiem, Korem i Marike, późniejsza rundka po barach, ostrygi i jeden kieliszek wina za drugim. A do tego niewyraźne wspomnienie Jounasa Smeeda, który pojawił się w którymś z barów nad ranem. Później jeszcze kilka sekwencji miga jej przed oczami: śmiechy, przekomarzanie się, momentalnie wybuchająca kłótnia, pijackie uściski w ramach przeprosin i twarz Jounasa obok jej twarzy. Zdecydowanie zbyt blisko.

W połowie drogi na zewnątrz, zanim irytująco wolne drzwi obrotowe wypuszczą ją na ulicę, dopada ją kolejna przerażająca myśl: czy ktoś ich widział, kiedy się tu meldowali?

Wrześniowe powietrze jest rześkie i przejrzyste, Karen bierze głęboki wdech, a zaraz potem znów fala torsji podchodzi do gardła. Pospiesznie rozgląda się po opustoszałej ulicy i podbiegając, przechodzi na drugą stronę, zasłania przy tym usta ręką. Chwilę później stoi i przechyla się przez barierkę nadbrzeżnej promenady, a mdłości powoli słabną. Ulga trwa jednak sekundę, bo myśl, której starała się unikać, odkąd obudziła się dziesięć minut wcześniej, uderza ją z całym impetem. To, co najgorsze, jest jeszcze przed nią. W poniedziałek rano znów będzie musiała się z nim spotkać.

Wodzi wzrokiem po zatoce w kierunku portu na wschodzie. W porcie dla przyjezdnych widać skupisko chwiejących się masztów, ale terminal promowy, jeszcze kawałek dalej, świeci pustkami, jak w każdą niedzielę. Prom z Esbjerg dotrze tu dopiero o ósmej wieczorem, a od kilku lat nie ma już weekendowych rejsów ani do Danii, ani do Anglii. Temu, kto zechce opuścić w niedzielę Wyspy Doggerlandzkie, zostaje obecnie tylko samolot z Ravenby. Przez poranną mgiełkę, która utrzymuje się jeszcze miejscami nad morzem, Karen dostrzega w oddali białą wieżę radarową na promie pasażerskim zakotwiczonym w porcie głębokowodnym.

Mruży oczy, patrząc na horyzont, i grzebie w wewnętrznej kieszeni kurtki, szukając okularów przeciwsłonecznych. Wymyka się jej ciche przekleństwo, kiedy spostrzega, że nie ma ich tam, gdzie powinny być. Przejeżdża dłonią po pozostałych kieszeniach i stwierdza, że albo zgubiła je gdzieś wieczorem, albo zapomniała ich z hotelu. Teraz będzie musiała pokonać co najmniej połowę drogi do domu, do Langeviku, ze świecącym w oczy, nisko zawieszonym słońcem, palącym pragnieniem, mdłościami i dudniącym bólem głowy. Dobrze zrobiłoby jej podwójne espresso i dwie tabletki przeciwbólowe, żeby nie stwarzała bezpośredniego zagrożenia na drodze, ale nie odwracając się, wie, że wszystkie sklepy i kawiarnie po drugiej stronie Strandegate są jeszcze zamknięte. O tej porze, dzień po Oistrze, jest prawdopodobnie jedyną istotą, która nie śpi w tym skacowanym mieście, no może z wyjątkiem kilku szczurów, które grzebią w przepełnionych śmietnikach i wśród muszli ostryg. Ta myśl sprawia, że w żołądku wzbiera jej kolejna fala.

Zamyka oczy, opiera dłonie o gruby, zimny mur i bierze kilka głębokich wdechów. Świeże powietrze zdaje się jej zbawienne, bryza zwiewa jej wilgotne włosy na twarz. Karen wystawia kark do słońca i spogląda na dół, na plażę. Stado mew śmieszek drze się koło kilku niedbale zawiązanych worków ze śmieciami, które nie zmieściły się w koszach ustawionych specjalnie na tę okazję. Trochę dalej mającą kontury jeszcze jednego worka. Chwilę później Karen dostrzega jednak, że to śpiący mężczyzna. Leży prosto na piasku pod narzuconym na siebie płaszczem. Obok stoi wózek sklepowy, podwędzony najprawdopodobniej z Qvicka albo Temy i wypełniony pustymi butelkami i puszkami. Wygląda na jednego z pijaków, którzy przesiadują koło galerii przy Salutorget. Zapewne będzie czuł się podobnie jak ona, kiedy się obudzi: spragniony, spocony i przepełniony trwożą „dnia następnego”, ciężącą na

barkach niczym ciężki plecak. Jednak, myśli sobie Karen, w przeciwieństwie do mnie przynajmniej spędził tę noc w niewinnej samotności.

Gdzieś w oddali słyhać warkot motoroweru, który bez entuzjazmu stara się przebić przez monotony, dochodzący od morza szum kipieli. Pieniące się fale uderzają o pirs, który dziarsko ciągnie się prosto w morze. W zatoce, przy jednym z sześciu dalbów, stoi zakotwiczona podniszczona żaglówka. Zamyślona Karen zastanawia się, ile potrwa, nim podpłynie policja portowa i ją stamtąd przegoni. Zapewne będą patrzeć na to przez palce co najmniej do popołudnia; w dniu takim jak ten nawet ci zazwyczaj gorliwi chłopcy nie dadzą rady wzniecić w sobie instynktu łowieckiego przed lunchem.

Najdalsza część pirsu spowita jest poranną mgłą, latarnia morska na końcu tego kilometrowego falochronu wciąż ma nieostre kontury. W nocy musiała być gęsta mgła, myśli Karen i przypomina sobie niezwykle uporczywe wycie rogu mgłowego. Pojawia się też inne wspomnienie: poirytowany Jounas, który podnosi się i zamyka okna, a potem wraca do łóżka. Karen szybko wypiera ten obraz, puszcza barierkę i energicznym krokiem rusza w stronę parkingu przy Redehusgate.

Samochód stoi spokojnie zaparkowany trzy przecznice dalej, dokładnie tam, gdzie go zostawiła pół doby wcześniej. W chwili gdy dostrzega swojego ciemnozielonego forda rangera na pustym parkingu przed ratuszem, odpręża się. Za niecałą godzinę będzie leżała we własnym łóżku, w swoim domu za zaciągniętymi żaluzjami, a sen zapewni jej kilka godzin bez wyrzutów sumienia.

Chwilę później spostrzega, że nie ma kluczyków do samochodu.

– Jak się dzisiaj miewamy? – Głos za nią jest oficjalny i nieco protekcyjny.

Karen zastyga w pół ruchu, z jedną ręką w torebce i drugą opartą dla równowagi o maskę samochodu.

Od kilku podszytych paniką minut siedzi już w kucki obok forda i bezowocnie grzebie w swoich rzeczach, szukając kluczyków. Sprawdziła wszystkie kieszenie i schowki, po omacku przeszukała dno torebki i z narastającym niepokojem przeszła do metodycznego wyjmowania z niej wszystkich rzeczy po kolei.

Teraz klnie bezgłośnie przez zaciśnięte zęby: co też, kurna, o tej porze robi policja na mieście? Dlaczego marnują, do cholery, swój czas i pieniądze podatników na patrolowanie ulic i placów, skoro całe miasto i tak śpi? Z ciężkim westchnieniem podnosi się na odrętwiałych nogach. Później odwraca się niechętnie i próbuje przywołać na usta swobodny uśmiech.

Wychodzi z tego sztywny grymas.

Na twarzach obojga policjantów maluje się przerażenie, a później niedowierzanie, kiedy widzą ją – obraz nędzy i rozpacz.

– Oj, przepraszam... – mówi policjant i cofa się o krok z zakłopotaną miną.

Jego wzrok krąży między rozmazanymi resztkami makijażu na trupio bladej twarzy przed nim a przedmiotami na ziemi. Jego nieco młodsza koleżanka posyła Karen przelotne spojrzenie i z wyraźnym zaciekawieniem przygląda się zestawowi akcesoriów na asfalcie: wczorajsze wydanie porannej gazety, telefon komórkowy, pół paczki papierosów, coś, co wygląda jak czarne rajstopy, ładowarka, zjedzone do połowy jabłko ze śladami po ugryzieniach na pociemniałym mięszu, stanik i opakowanie prezerwatyw.

Karen przywołuje jeszcze jeden sztywny uśmiech i czuje, jak spiętą ma twarz. Później wykonuje nieokreślony gest w kierunku śmietnika na ziemi.

– Nie mogę znaleźć kluczyków do samochodu – mówi na wdechu, próbując nie dopuścić, żeby jej oddech dosięgnął policjantów. – Nowa

torebka – dodaje.

– Nocowała pani w mieście?

Policjantka, która zdążyła już ukucnąć, spogląda teraz na nią z delikatnym, jakby porozumiewawczym uśmiechem. Karen czuje narastającą irytację – co też taka nieprzyzwoicie dobrze wytrenowana gówniara z podskakującym końskim ogonem może, do diabła, wiedzieć o „nocowaniu w mieście”?

– Nie, dlaczego? – mówi lodowatym głosem.

Ucieka się do spojrzenia. Tego przenikliwie niebieskiego z żółtym obramowaniem źrenic, którym – jak wie – może skłonić ludzi do milczenia. Patrzy młodej kobiecie prosto w oczy, zmusza ją, żeby odwróciła wzrok, i żałuje tego w tej samej sekundzie, w której wygrywa potyczkę. Co ona wyrabia?

– Wczoraj po Oistrze zrobiło się trochę późno, więc przenocowałam u dobrej przyjaciółki – dodaje, próbując załagodzić sytuację. – Ale chyba najlepiej będzie, jak wrócę do szukania...

Karen wykonuje znaczący gest w stronę torebki i galimatiasu rzeczy, które wciąż zdają się przykuwać uwagę policjantki. W tym samym momencie widzi, jak ta wyciąga odzianą w rękawiczkę rękę, podnosi z ziemi zwinięte rajstopy i lekko nimi potrząsa. Kiedy płaski kluczyk łąduje na wyłożonym kamieniami trotuarze, rozlega się brzdęk. Dwie sekundy później Karen słyszy dobrze sobie znane piknięcie otwieranego zamka w drzwiach.

– Proszę bardzo, szefowo – mówi posterunkowa Sara Inguldsen, podnosząc się i z krzywym uśmiechem podając jej kluczyki.

Nie będąc w stanie wykrztusić ani słowa, Karen bierze je od niej i widzi, jak dwoje policjantów równocześnie cofa się o kilka kroków i oddaje jej honory. Najwyraźniej zdolność mówienia powróciła już także posterunkowemu Björnowi Langemu.

– Proszę jechać ostrożnie, pani komisarz!

Autostrada z Dunkeru do Langevik ciągnie się przez sześć kilometrów po południowo-wschodnim wybrzeżu wyspy Heimö, przecina na skos wąski półwysep Skagersnäs i biegnie dalej na północny wschód jeszcze przez półtora kilometra. Karen czuje jak strużka potu spływa jej po plecach, zarazem sztuczny chłód z klimatyzacji przyprawia ją o dreszcze. Mocno ściska rękami kierownicę i w równych odstępach zerka na prędkościomierz. Wprawdzie wątpi, żeby drogówka w taki poranek jak ten posyłała do boju ludzi z radarami, ale sama myśl o tym, że mogłaby zostać zatrzymana przez kolegów i do tego zmuszona dmuchać w balonik, jest mniej więcej równie pociągająca co jeszcze jedna noc z Jounasem Smeedem. I zapewne byłby to koniec mojej kariery, myśli. Mimo zdecydowanie zbyt pobłażliwych przepisów – co wynikało z tego, że pragmatyczni politycy mieli więcej do stracenia niż do ugrania na ich zmianie – stężenie alkoholu w jej krwi najpewniej wciąż znacznie wykracza poza dopuszczalny poziom. Już samo to przypuszczenie sprawia, że chłód ściska ją w żołądku, a ona sama zdejmuje nogę z gazu. Tylko nie to. Przenigdy.

Ruch jest mały, pojedyncze samochody mijają ją co kilka minut. Karen rozluźnia trochę uchwyt na kierownicy i lekko potrząsa ramionami. Później, kiedy prześpi się kilka godzin, przeanalizuje każdy szczegół wczorajszego dnia, przewalkuje to, co się stało, dzieląc włos na czworo, pociągając samą siebie do odpowiedzialności i skazując na skruchę i życie w czystości. Ani kropli alkoholu przez kilka kolejnych tygodni, nigdy więcej żadnych papierosów, codzienne bieganie, trening siłowy i zdrowe odżywianie. Najpierw dochodzenie, później wyrok – robiła tak już wcześniej. Spuścizna po przodkach z północy Noorö tkwi w niej głęboko. Nie na tyle, żeby miała w ogóle nie grzeszyć, ale wystarczająco, żeby najgłupsza gafa napęniała ją lękiem. Nie ze strachu przed gniewem bożym i wykluczeniem z królestwa niebieskiego; raczej przed ceną, jaką może przyjąć jej zapłacić w tym życiu. Tym razem szef Wydziału Kryminalnego Policji w Doggerlandzie może zgotować jej piekło na ziemi. Przytyki, szydercze uśmiechy, aluzje. Dalsza praca nie będzie możliwa, lecz równie niemożliwe wydaje się jej teraz znalezienie jakiegoś

rozwiązania. Kilka tygodni urlopu raczej nie sprawi, że problem zniknie, a co zrobi potem? Złoży wypowiedzenie? Przekwalifikuje się? W tym wieku? Nic takiego nie potrafi sobie wyobrazić. Odgania od siebie myśli o przyszłości, ale nie może pohamować kolejnych wspomnień z wczorajszego dnia, które zaczynają układać się w całość.

Ostatnia sobota września. Przed rozpoczęciem tradycyjnej uczty ostrygowej umówiła się na piwo z Marike, Korem i Eirikiem w The Rover. Marike była w złym humorze, bo coś jej nie wyszło podczas wypalania w piecu i tym samym poszły na marne dwa tygodnie pracy w atelier. Coś było nie tak z nową glazurą, w której pokładała ogromne nadzieje. Poza tym Marike Estrup brzydziła się ostrygami, co oświadczyła z niezwykle silnym duńskim akcentem. Z czasem przyzwyczaili się do jej karkołomnej mieszanki doggerlandzkiego i duńskiego i doszli do wniosku, że jej akcent działa jak swego rodzaju licznik Geigera, który mierzy nastrój Marike. Wczoraj wskazówka tego licznika dramatycznie się odchyliła i niemal nie dało się zrozumieć jej północnojutlandzkiego syczenia.

Kore i Eirik byli z kolei w wyśmienitym imprezowym nastroju. Dwa dni wcześniej przyjęto ich ofertę na dom w Thingwalli i piątkowy wieczór upłynął im na denerwowaniu się, jak splaną pożyczkę, kłóceniu się o wystrój i uprawianiu seksu na zgodę. Całą sobotę spędzili w łóżku, snując w kokonie utkanym z wiary w przyszłość po kolei: od planu przeprowadzki, przez późniejszą parapetówkę, aż po wspólną starość.

Karen natomiast miała produktywną sobotę, która rozpoczęła się od tego, że pojechała do marketu budowlanego w Rakne. Potem uszczelniła siedem okien, wymieniła zawiasy w drzwiach do komórki na narzędzia i prawie pół godziny rozmawiała z mamą przez telefon, ani razu nie podnosząc głosu, więc zadowolona z siebie przyglądała się teraz swoim wciąż opalonym przyjaciółom w przyjemnym mroku pubu. Sama – z powodu bladej cery – wyglądała na zmęczoną, niemal chorą, na co bezdusznie zwróciła uwagę Kore.

– Tak, ale teraz kolej na mnie – odpowiedziała. – Wyjeżdżam najpewniej w poniedziałek albo najpóźniej we wtorek.

Tylko kilka wolnych dni na początku czerwca, całą resztę lata przepracowała. Kiedy jej koledzy z policji byli na wakacjach, na własną rękę doprowadziła do końca dochodzenie, napisała ostatnie raporty, posprzątała i trwała na posterunku wspomagana przez personel

oddelegowany tutaj tymczasowo z dalszych terenów. Kiedy delikatnie podpytywano ją, czy ewentualnie byłaby skłonna przesunąć urlop na jesień, nawet się nie zająknęła, że pasuje jej to idealnie. Bez mrugnięcia okiem przepracowała całe lato i za swoje poświęcenie zarobiła kilka przydatnych punktów, które wykorzysta akurat w zbliżającej się batalii o wolne w okresie świąteczno-noworocznym.

Rozłożona na jednym z foteli w The Rover, oświadczyła z satysfakcją przyjaciółom, że teraz – gdy Wyspy Doggerlandzkie pogrążają się w mroku i chłodzie – czekają ją trzy tygodnie urlopu, którego dużą część zamierza spędzić w północno-wschodniej Francji. Będzie siedziała tam z Philippe, Agnès i całą resztą w posiadłości w Alzacji, której kilka nędznych procent ziemi i winnic należało do niej. Będą dyskutować o tegorocznych zbiorach i porównywać, jak zmieniły się poprzednie roczniki wina.

Ale najpierw mieli uczcić Oistrę.

Jak zawsze doroczne święto ostryg rozpoczęto w porcie, gdzie mieszkańcy Dunkeru i turyści, którzy się tutaj zjechali, tłoczyli się przy stołach. Ostrygi nie były wprawdzie jeszcze w pełni wyrosnięte, ale pierwsza sobota po jesiennej równonocy wyznaczała początek długiego sezonu, i to właśnie świętowano z taką pompą. Góry ostryg jadalnych i ostryżyc japońskich zmniejszały się i napępiały w tym samym rytmie, w jakim pieniądze przechodziły z rąk do rąk, a nowe beczki z porterem i przyprawianym woskownicą europejską kwasem z Heimö wtaczano przy głośnym posapywaniu zlanym potem pracowników browarów. Ciemne pieczywo i masło stanowiły jedyne tradycyjne dodatki, było jednak tak ważne, żeby ludzie nie skonali tu z głodu i pijaństwa, że serwowano je tego wieczoru za darmo, w związku z czym reklamy sponsorów pokrywały każdą wolną przestrzeń.

Po prostu było tak jak zawsze.

Jakkolwiek wesoły i serdeczny panowałby nastrój, Oistra – zgodnie z tradycją – zbierała obfite plony w ofiarach pijaństwa, bijatyk albo tego lub innego zatrucia pokarmowego. To, co z kolei nie należało do tradycji, to *street food* i tanie wino serwowane obecnie w papierowych kubeczkach, na co rok w rok uwagę zwracali oburzeni czytelnicy gazet podpisujący się jako „Ratujmy doggerlandzkie dziedzictwo” albo „Zawiedziony 72-latek”. Jeśli chodzi o program artystyczny, niektórzy uważali, że zmiany poszły w dobrą stronę, a inni, że w złą. Zespół muzyków, który jeszcze

dwadzieścia lat temu stanowił jedyny punkt tego programu, zyskał konkurencję w postaci lokalnych i zagranicznych zespołów rockowych, niedających się znieść konkursów talentów, hałasów z rozłożonego na tę okazję wesołego miasteczka i przeraźliwych krzyków dzieci.

Wczoraj Kore i Eirik zjedli po tuzinie ostryg, a Karen co najmniej połowę tego, jeszcze zanim opuścili port. Marike przyglądała się z niesmakiem ich odchylonym głowom i pożądliwie rozwartym ustom.

– Mięczaki to nie jest pożywienie dla ludzi, można się od tego potwornie rozchorować – oświadczyła z ustami pełnymi *pulled pork*, co dodatkowo spotęgowało jej niewyraźny bełkot.

– To od tego syfu ludzie chorują, a nie od ostryg – odparł spokojnie Kore, wlał w siebie ostatni łyk kwasu z Heimö i wyrzucił plastikowy kubek do śmietnika, nieudolnie próbując zdusić w sobie beknięcie. – O cholera – powiedział z grymasem na twarzy. – Niech mnie szlag, muszę napić się czegoś porządnego.

Dalszą część wieczoru spędzili zgodnie z tradycją na rundce po barach, gdzie do każdego kieliszka wina jedli kolejne ostrygi. Dla porównania w niektórych barach przy promenadzie obok tutejszych ostryg podawano francuskie ostrygi belon, a starym doggerlandzkim zwyczajem – nacjonalistycznym, choć zarazem poczciwym – buczano za każdym razem, gdy ktoś zamawiał zagranicznych konkurentów. I to właśnie w trzecim barze, w Café Nova, tuż po zamówieniu kieliszka chablis i dwóch belonów Karen poczuła ciepły oddech tuż przy swoim uchu i usłyszała niski głos:

– Czy komisarz Eiken naprawdę musi wkładać do ust co popadnie?

Powoli obróciła się do naczelnika wydziału kryminalnego i uśmiechnęła.

– Nie, Smeed, nie masz aż tyle szczęścia.

Półtorej godziny później znajdowali się jednak w dwuosobowym pokoju w hotelu Strand. Do tego, co się tam właściwie wydarzyło, Karen podchodzi w myślach z takim samym uczuciem, z jakim podnosi się kamień i obserwuje ze zgrozą, co pod nim pełza. Patrząc teraz na lśniącą szosę, mruży oczy w słońcu.

Alkohol oczywiście nie był tu bez winy, myśli i próbuje nabrać dystansu do tego, co się stało. Podobnie zresztą jak ogólnie swobodna atmosfera. Bądź co bądź świętowanie Oistry nie pierwszy raz – ani w jej przypadku, ani w przypadku innych – doprowadziło do intymnych

niezręczności kończących się długim ubolewaniem, a w najgorszym razie nawet rozwodem. Mimo wszystko Karen nie może sobie przypomnieć, żeby po którymkolwiek z dotychczasowych potknięć moralny kac dręczył ją aż do tego stopnia.

Zerka na morze, droga delikatnym łukiem skręca na północ. Mgła się przerzedziła, słońce już do połowy wzeszło i odbija się od wzburzonej wody. Kilka mew siodłatych unosi się na wietrze i sprawia wrażenie, jakby z lenistwa zadowolily się trawieniem pokarmu podczas spokojnej pogawędki, zamiast wypatrywać kolejnych ryb. Karen opuszcza boczną szybę i zaciąga się przesyconym solą powietrzem. Muszę po prostu zadzwonić do kadr i poprosić o przeniesienie, myśli. Może w Ravenby mają jakiś wolny etat, który mogłabym wziąć, a w najgorszym razie w Grunder, trudno, dobre i to.

Wcześniej też nie było wcale lekko, przypomina sobie. Jej koleżanki – jeszcze za kierownictwa poprzedniego szefa – opuszczały wydział jedna po drugiej. Eva Halvarsson porzuciła nadzieję, że kiedykolwiek awansuje z sierżanta na komisarza, i poprosiła o przeniesienie do policji porządkowej, a Annika Gerber i Inga von Breukelen złożyły papiery do komendy rejonowej na Frisel. Sama Karen zapuściła tu korzenie nie tyle ze względu na to, że niczym się nie przejmowała, ile raczej dlatego, że nie miała sił, żeby zaczynać wszystko od początku. Nie po raz kolejny. Przede wszystkim jednak dlatego, że praca komisarza kryminalnego była skutecznym sposobem na odpędzanie od siebie tych myśli, o których za wszelką cenę chciała zapomnieć. Wraz z tuzinem kolegów i obecnie dwiema koleżankami z Wydziału Kryminalnego Policji w Doggerlandzie bada wszystkie poważne przestępstwa na należących do Doggerlandu wyspach: Heimö, Noorö i Frisel. Decyzję o centralizacji środków podjęto przed jedenastoma laty i spotkała się ona z ostrą krytyką ze strony lokalnych komend, ale protesty ucichły, kiedy wzrósł procent wyjaśnianych spraw. Niestety, wzrosła również liczba ciężkich przestępstw, co oznacza, że liczba bezkarnych sprawców utrzymuje się na stałym poziomie. I że Karen dalej może trzymać swoje myśli w szachu.

Wprawdzie kiedy powierzono jej to stanowisko, niektórzy kwestionowali jej kompetencje – kolegów starej daty nie przekonało to, że dyplom kryminologii z London Met rekompensuje jej braki w „wieloletnim tyranii” na patrolach. Jednak procent wyjaśnianych przez nią spraw z czasem zamknął usta krytykom. Mimo to szacunek,

jakim w chwili obejmowania posady naczelnika kryminalnego wydziału darzył ją – jako śledczą – Jounas Smeed, wydawał się wymuszony, jakby każdy wyraz uznania dla jej kompetencji napawał go wstrętem. Zamiast tego na samym początku wprowadził coś, co określał jako „nieco swobodniejszy żargon między nami gliniarzami” i co zdominowało ton rozmów w wydziale. Na owoce nie trzeba było długo czekać: Jounas Smeed zdobył tym serca męskiej części wydziału – koledzy odczuli ulgę, że trafił się im szef, który zniósł żelazną dyscyplinę i służalczość, i doprowadzili do tego, że nie dało się już znieść „swobodniejszego żargonu”. Karen przyzwyczaiła się do niekończących się żartów w postaci niewielkich szpilek i docinków. A może raczej instynkt samozachowawczy pchnął ją do tego, żeby puszczać mimo uszu, jak Johannisen niezmiernie utyskuje na feministki i kobiety za kółkiem, a Jounas bez przerwy filozofuje o niemożności zrozumienia kobiecej logiki. Nie zaszczycała tego cyrku nawet jednym komentarzem. Karen zdaje sobie sprawę, że milczenie przemawia głośniejszym niż protesty. Wie, że zmęczone ziewnięcia są bardziej prowokujące niż głośne wyrazy oburzenia. Z pełną świadomością, że jeśli tylko da się zwabić w pułapkę, będzie jeszcze gorzej, nauczyła się wyłączać, utrzymywać na wodzy swoją irytację. Zrobiła to jednak głównie dlatego, że zauważyła, że dzięki temu zyskuje przewagę. Jounas Smeed prowokuje, nieustannie usiłując wywołać u niej jakąś reakcję, ale ona prowokuje go jeszcze bardziej, nie reagując.

A teraz przespałam się z tym skurkowańcem, myśli sobie. Niech to szlag!

Och, dociera to do niej w chwili, gdy widzi tablice obwieszczające zjazd do Langevik. Wie dokładnie, dlaczego wylądowali w łóżku. Chodziło o tę trwającą między nimi bez końca wojnę, ich zmagania, które wczoraj wieczorem doprowadziły do tego, że oboje przymknęli oko na wszelkie reguły gry. Niepohamowana chęć, żeby wreszcie pokonać przeciwnika. Po pijaku to pragnienie, żeby zyskać ostateczną przewagę, zmusić tego drugiego, żeby przyznał się do słabości, przemieniło się w patetyczne uwiedzenie, przez co oboje mogli postrzegać siebie jako rzekomych zwycięzców. Odurzenie alkoholem przyćmiło wszystkie kontrargumenty, stłumiło wszelkie sygnały ostrzegawcze i w zamian wywołało nagłe pożądanie fizyczne. Iskierkę, która zgasła równie szybko, jak się zapaliła.

Seks nie był nawet udany, pomyślała, nie bez złośliwej satysfakcji. Przede wszystkim było niekończące się i nużące zmienianie pozycji, z których jedna była bardziej niewygodna od drugiej, co zapewne miało jej zaimponować. Ten dziad jest w każdym razie dość gibki jak na swój wiek. Przynajmniej bardziej gibki ode mnie.

Rzuca okiem w tylne lustro, włącza kierunkowskaz i zjeżdża z autostrady. Boczna droga prowadząca do Langevik jest wprawdzie asfaltowa, ale ograniczenie prędkości wynosi tu sześćdziesiąt kilometrów na godzinę, więc Karen sumiennie zwalnia odrobinę poniżej limitu. Na moment odwraca wzrok od szosy i spogląda na spadzistą grań, na której górują białe elektrownie wiatrowe. Łopaty wirników w turbinach obracają się w równym takcie, przez opuszczone okno słyszy ich świst. Park wiatrowy biegnie po całej grani Langevik i niegdyś – sześć lat temu, kiedy go zakładano – był obiektem głośnych protestów. Mieszkańcy wioski położonej kilkaset metrów dalej w stronę morza organizowali pikietę, listy protestacyjne zalegały na ladach wszystkich sklepów we wsi i między kranami z piwem w miejscowym pubie. Już od dawna nie słychać jednak głosów oburzenia, minęło wiele lat, odkąd elektrownia wiatrowa stanowiła temat rozmów w tej okolicy.

Karen przygląda się wysokim białym wieżom. W ruchach ich smukłych ramion jest coś uspokajającego, niemal pięknego. Ona sama w gruncie rzeczy nie miała nigdy nic przeciwko nim, nawet wtedy, gdy opór był najbardziej zacięty. Ale ponieważ pinta dobrego piwa zawsze znajdowała się u Karen Eiken Hornby na liście rzeczy, które sprawiają, że życie wydaje się znośne, obowiązkowo podpisała list protestacyjny; inaczej na widok tego, kto by się tam nie podpisał, cichłby gwar w jedynym pubie we wsi, a ludzie odwracaliby od niego twarze. Oczywiście jednak wszelkie próby powstrzymania budowy spełzły na niczym: wysokie białe wiatraki stoją rzędem jeden za drugim na grani Langevik. Nie wbrew Karen: dźwięk turbin dolatuje do jej domu tylko wtedy, gdy wiatr wieje prosto z południowego zachodu. Ale tutaj, tuż pod elektrownią, na lekko nachylnym stoku z rzadką zabudową, która sprawia wrażenie przypadkowo rozrzuconej, tu, gdzie grań Langevik opada ku morzu, nieustannie słychać ich zawodzenie.

Nagle sto pięćdziesiąt metrów dalej, na pagórkowatym pustkowiu, które dochodzi do rzeki, widać jakiś ruch. Kobieta w średnim wieku wspina się do domu po stromej ścieżce od pomostu, na którym niegdyś

robiono pranie. Ma na sobie szlafrok w ponurym kolorze i ręcznik owinięty wokół głowy jak turban. Nim Karen uda się instynktownie odpędzić dopadające ją wyrzuty sumienia, przechodzi ją nieprzyjemny dreszcz. Jest wprawdzie tysiąc powodów, dla których nie powinnam była iść do łóżka z Jounasem Smeedem, ale w gruncie rzeczy Susanne nie jest jednym z nich, myśli. Już zapewne dobre dziesięć lat są po rozwodzie.

Przez moment zastanawia się, czy powinna zatrąbić na powitanie zgodnie z zasadami wiejskiej etykiety, ale daje sobie z tym spokój. W obecnej sytuacji nie ma najmniejszej ochoty się ujawniać. Poza tym zdaje się, że Susanne Smeed nie zwróciła na nią uwagi – wzrok ma cały czas utkwiony w ziemi i sprawia wrażenie, jakby spieszyła się do domu. Mocno przytrzymuje szlafrok i zdeterminowana idzie pod górę szybkim krokiem. Wygląda na to, że potwornie marznie po porannej kąpieli, myśli Karen, o tej porze woda nie może mieć więcej niż kilka stopni.

Świadomość, że sama jest już tak blisko domu, odpręża ją i Karen czuje, jak coraz bardziej ogarnia ją zmęczenie. Dławi w sobie kolejne ziewnięcie i kilka razy mocno mruga oczami. W tej samej chwili coś porusza się na skraju drogi. Przed samochód wbiega kot z typowo dla drapieżników opuszczonym łbem i podniesionymi łopatkami; czujny i przygotowany, żeby bronić łupu, który dynda mu w pysku. Karen czuje uderzenie adrenaliny, kiedy pasy napinają się przy ostrym hamowaniu.

– Skup się – szepcze. – Przecież wiesz, co się może stać. Lepiej niż ktokolwiek inny.

Jedzie dalej lekko opadającą w dół drogą i zbliża się do centrum wsi. Tutaj domy leżą blisko siebie po obu stronach, ale nadal nie widać żywego ducha. Jeszcze bardziej zwalnia i skręca w długą wiejską drogę. Przed jedynym pubem w Langevik, Zającem i Wroną, meble stoją w nieładzie w wysypanym żwirem ogródku. Na stołach widnieją pojedyncze kieliszki, a kilka mew macha skrzydłami obok pozostawionych muszli ostryg. Tutaj najwyraźniej nie ma potrzeby ustawiać na noc stołów i krzeseł jedno na drugie i spinać ich, jak muszą to robić właściciele restauracji w Dunkerze, ale i tak wieczorem przed zamknięciem pubu Arild Rasmussen dla zasady doprowadza wszystko do porządku. Widocznie wczoraj stary dobry Arild nie wylewał za komin w kuchni; chciał zapewne świętować Oistrę jak wszyscy inni, myśli Karen.

Powoli przejeżdża obok przychodni, która zgodnie z doggerlandzką ustawą socjalną musi znajdować się w każdej osadzie, ale obecnie

otwarta jest tylko przez cztery godziny w poniedziałki i czwartki. Mija trafikę, zlikwidowany urząd pocztowy, zlikwidowany sklep żelazny i znajdujący się stale na skraju bankructwa sklep spożywczy. Stara wioska rybacka na wschodnim wybrzeżu Heimö egzystuje podłączona do respiratora, na oparach dawnej chęci samowystarczalności. Opór staje się jednak coraz bardziej pasywny, oferta i ceny sprawiają, że większość mieszkańców zapomina o zasadach i udaje się do większych sklepów i praktycznych marketów budowlanych. Jedynie działalność Arilda Rasmussena wydaje się tu niezagrożona: w Zającu i Wronie nadal trudno znaleźć wolne miejsce przez większość wieczorów w tygodniu.

Na końcu droga prowadząca przez wieś okrąża stary targ rybny i skręca do portu. Karen podąża nią i jedzie dalej powoli wąskim żwirowym odcinkiem aż do miejsca między morzem a granią Langevik. Białe i szare murowane domy wznoszą się na pagórkach, a po drugiej stronie drogi wzdłuż brzegu pomosty i budki rybackie wbijają się w wodę. Potwierdza to, że Langevik podobnie jak wszystkie inne przybrzeżne wioski na Wyspach Doggerlandzkich było niegdyś niemal całkowicie zamieszkane przez rybaków, marynarzy i kilku nawigatorów. W większości domów nad morzem mieszkają obecnie informatycy, inżynierowie pracujący na platformach wiertniczych i ten czy inny pracownik sektora kultury. Za prostymi szarymi fasadami domów zamieniono kuchnie na opał i tradycyjne czajniki na płyty indukcyjne i ekspresy do kawy. Karen wie, że budki rybackie są coraz liczniej przekształcane na dodatkowe pomieszczenie; i zamiast dużych łodzi z miejscem dla czterech czy sześciu wioślarzy za smaganymi wiatrem ścianami kryją się w nich wygodne, odporne na zmienną pogodę sofy. W ciepłe letnie wieczory rozsiadają się na nich zadowoleni właściciele z kieliszkiem wina w ręce i rozkoszują imponującym widokiem morza, nie niepokojąc się o dziurawe sieci ani o to, że cholerna foka kolejny raz wykradła pół połowu.

I być może ona też by tak zrobiła, gdyby tylko było ją na to stać. Karen Eiken Hornby nie należy do osób nostalgicznych. Z zewnątrz większość rzeczy wygląda tak jak wtedy, kiedy tu dorastała, a mimo to nic nie jest takie samo. I to wybornie jej odpowiada.

Skręca na podjazd do jednego z ostatnich domów i stwierdza, że znów musi zasypać dół przy bramie, nie chce bowiem następnym razem, gdy jej samochód będzie wtaczał się na podwórze, walnąć głową o sufit.

Wzdychając z poczucia ulgi, wyłącza silnik i kilka sekund siedzi w bezruchu, później otwiera drzwi. Znów ogarnia ją zmęczenie i kiedy rusza po zboczu w górę, do domu, jej nogi wydają się ciężkie jak z ołowiu. Bierze głęboki wdech i jej płuca wypełnia zapach zbliżającej się jesieni. Temperatura jest tu przeważnie kilka stopni niższa niż w Dunkerze i nie ma najmniejszych wątpliwości, że lato rychło dobiegnie końca. Brzozy już żółkną, a na jarzębinie przy komórcie z narzędziami lśnią czerwone owoce.

Na kamiennych schodach przed drzwiami kuchennymi leży skołtuniony, gigantyczny szary kot. Kiedy Karen zbliża się do niego, przewraca się na grzbiet, wyciąga i ziewa, ukazując wszem wobec typowe dla drapieżników kły.

– Dzień dobry, Rufusie, dzisiaj też nie złapałeś żadnej myszy? Co z ciebie w ogóle za pożytek?

Sekundę później kot się podnosi i zaczyna ocierać o jej nogi. Zanim Karen zdąży wyciągnąć klucz z zamka, kot przeciska się przez drzwi.

Karen rzuca torebkę na stół w kuchni i ściąga z siebie kurtkę i buty. Później otwiera szafkę nad zlewem, wyjmuje dwie tabletki na ból głowy i popija je szklanką wody, jednocześnie zdekoncentrowana głaszcząc po grzbiecie kota, który wskoczył na zlewozmywak. Szuka konserwy z jedzeniem dla zwierzęcia, a coraz głośniejsze i bardziej napastliwe miauczenie przedziera się przez ból głowy. Cichnie jak ręką odjął, gdy tylko stawia na ziemi miskę, i Karen czuje, jak opadają jej ramiona. Postanawia już dziś wieczorem zamontować wyjście dla kota, które kupiła po swojej kapitulacji. Wprawdzie myszy jest pod dostatkiem i Rufus mógłby znaleźć schronienie w co najmniej dwóch budynkach gospodarczych, ale najwyraźniej woli zjeść coś porządniejszego w kuchni i spędzać całe dni na sofie w salonie. Nie ma pojęcia, gdzie mieszkał, nim zeszłej jesieni przybłąkał się, kulejąc, na jej podjazd. Kartki, które rozwiesiła na słupach telefonicznych i powrzuciła do skrzynek pocztowych we wsi, nie przyniosły żadnego rezultatu. Weterynarz zaszył ucho, wykastrował kota, usztywnił nogę i założył mu kołnierz na głowę, żeby nie zlizywał z siebie środków przeciwwgrzybiczych. To mocno poturbowane stworzenie przyszło najwyraźniej po to, żeby zostać, i teraz należało po prostu uznać, że wojna pozycyjna dobiegła końca: Rufus wygrał.

Przy dźwiękach mlaskania kota Karen napełnia ekspres do kawy i kroi sobie kilka kromek chleba. Kwadrans później kończy jeść dwie kanapki z serem żółtym, do których wypija pół litra mocnej kawy. Grzmiący ból głowy przeszedł w ciche ćmienie i zmęczenie stało się nagle obezwładniające. Nie sprzątając po sobie, wlecze się na górę po schodach do sypialni, ściąga z siebie sukienkę i kładzie się na łóżku. Powinnam chociaż umyć zęby, myśli. Ale sekundę później zasypia.

Dźwięk dobiega z daleka i przebija się do jej świadomości przez pokłady snu. Kiedy w końcu tam dociera, przez chwilę wydaje się jej, że to radiobudzik, i mocno naciska wyłącznik, ale drażniący odgłos nie cichnie. Cyfry na elektronicznym wyświetlaczu pokazują trzynastą dwadzieścia dwie i Karen potrzebuje dodatkowo kilku sekund, żeby uświadomić sobie dwie rzeczy: przespała pół niedzieli i dźwięk dochodzi z telefonu komórkowego, który zostawiła na dole w kuchni.

Poirytowana zrzuca z siebie kołdrę, wciąga szlafrok, który leżał rzucony na fotel w kącie, i chwiejnym krokiem schodzi po schodach na parter. Sygnał jest nagły, w narastającym zdenerwowaniu grzebie w torebce i dokładnie w chwili, kiedy telefon cichnie, wyławia go z niej. Szybkie spojrzenie na wyświetlacz i Karen całkowicie przytomnieje. Trzy nieodebrane połączenia, wszystkie od naczelnika policji Vigga Haugena.

Opada w kuchni na krzesło i naciska „oddzwoń”. Jej myśli błądzą: czego może chcieć od niej szef policji? Ich stosunki zawodowe nie są szczególnie bliskie. A do tego w niedzielę? Nie może to raczej wróżyć nic dobrego, dociera do niej, kiedy słyszy, że połączenie zostało nawiązane. Po trzecim sygnale rozlega się w słuchawce władczy głos:

– Haugen.

– No cześć, tu Karen Eiken Hornby. Widziałam, że do mnie dzwoniłeś.

Stara się, żeby jej głos nie brzmiał tak, jakby dopiero się obudziła, ale trochę przedobrza i jej ton staje się cienki, zbyt radosny.

– Tak, nie da się ukryć. Dlaczego nie odbierasz telefonu?

Viggo Haugen wydaje się poirytowany, więc Karen szybko szuka w głowie jakiegoś niewinnego kłamstwa. Nie zamierza się przyznawać, że przeleżała i przespała na kacu pół niedzieli.

– Pracowałam kilka godzin w ogrodzie i zostawiłam komórkę w kuchni – mówi i dodaje: – Jest niedziela.

Żałuje swoich słów już w chwili, gdy słyszy, jak zostały przyjęte.

– Jako komisarz kryminalna masz być dostępna dwadzieścia cztery godziny na dobę bez względu na to, jaki jest dzień tygodnia. Nie słyszałaś o tym?

– No tak, oczywiście jestem świadoma, że...

Naczelnik policji przerywa jej głośnym chrząknięciem.

– Właśnie stało się coś, co oznacza, że natychmiast zabierasz się do pracy. Znalaziono skatowaną kobietę w jej własnym domu i wiele wskazuje na to, że chodzi o morderstwo. Chciałbym, żebyś poprowadziła śledztwo.

Karen mimowolnie podciąga się na krześle i prostuje plecy.

– Oczywiście. Ale czy mogę spytać...

– Chciałbym, żebyś bezzwłocznie skompletowała potrzebną ci grupę – ciągnie Viggo Haugen. – Wszystkie szczegóły przekaże ci oficer dyżurny.

– Jasne. Tylko jedno pytanie...

– Dlaczego to ja do ciebie dzwonię, a nie Jounas? – przerywa jej znowu naczelnik. – Tak, mogę zrozumieć, że cię to dziwi.

Jego głos staje się nieco mniej surowy i Karen słyszy, że Haugen bierze głęboki wdech, a później dodaje:

– Sprawy mają się tak, że zamordowaną kobietą jest Susanne Smeed. A więc była żona Jounasa.

Karen siedzi cicho kilka sekund i trawi te informacje. Obraz dygoczącej kobiety w ponurobrązowym szlafroku przelatuje jej przed oczami.

– Susanne Smeed – powtarza bezdźwięcznie. – Jesteś całkowicie pewien, że chodzi o morderstwo?

– Tak, albo zabójstwo w afekcie, tego, rzecz jasna, nie da się jeszcze stwierdzić. Jednak zdaniem oficera dyżurnego bez wątpienia skatowano ją na śmierć. Dwoje z naszych posterunkowych jest na miejscu i co do tego wypowiadali się bardzo klarownie.

Viggo Haugen powrócił do tego samego wymuszonego tonu co wcześniej i teraz Karen wyraźnie słyszy w jego głosie niepokój.

– Tak jak rozumiesz, Jounas nie może prowadzić śledztwa ani pełnić obowiązków szefa wydziału do czasu zakończenia tej sprawy. Już z nim o tym rozmawiałem i oczywiście w pełni to rozumie. Zastąpisz go i poprowadzisz śledztwo aż do wyjaśnienia sprawy.

Dwie sekundy ciszy.

– Albo dopóki nie znajdziemy innego rozwiązania – dodaje i znowu chrząka.

Słuchając go, Karen myślami jest już o krok dalej. Oczywiście jest, że Jounasa Smeeda powinniśmy na razie zawiesić. Dopóki nie pojawi się więcej informacji, należy do ścisłego grona osób, które trzeba przesłuchać. Konsekwencje takiego stanu rzeczy stają się dla niej powoli, lecz dobitnie jasne. Nieprzyjemne uczucie narasta, kiedy uświadamia sobie, że to na nią spadnie przesłuchanie szefa. Tego samego szefa, którego zostawiła w pokoju hotelowym w centrum Dunkeru niecałe osiem godzin wcześniej.

Jakby jej myśli mogły ją zdemaskować, odczuwa instynktowną potrzebę, żeby jak najszybciej zakończyć rozmowę z Viggiem Haugenem.

– Rozumiem – mówi krótko. – Mieszkam niedaleko Susanne Smeed, więc będę na miejscu w ciągu pół godziny. Czy technicy już tam są?

– Tak, a jeśli jeszcze ich tam nie ma, to są w drodze, lekarz sądowy także, ale mają kawałek do przejechania. Zgłoszenie otrzymaliśmy niecałą godzinę temu, jeśli dobrze zrozumiałem oficera dyżurnego.

Musiałoby się to stać między ósmą, kiedy widziałam ją na własne oczy żywą, a trochę przed dwunastą, kiedy przyszło zgłoszenie, myśli Karen. Niecałe cztery godziny, w ciągu których ktoś zabił Susanne Smeed. Kiedy ja leżałam mniej niż dwa kilometry od niej i odsypiałam kaca. Cholera!

– Okej, w takim razie zabieram się od razu do pracy i dzwonię do ludzi – mówi.

– Tak, jeszcze jedno...

Naczelnik zwleka chwilę, jakby szukał właściwych słów.

– Jak wiesz, jest to wyjątkowo delikatna sytuacja. Nie muszę chyba zaznaczać, jak ważne jest to, żebyś prowadziła tę sprawę możliwie najdyskretniej. Media odsyłają zawsze do mnie, żadnych spontanicznych wypowiedzi ani żadnych... Hmm, tak jak już mówiłem, trzeba zachować dyskrecję. Czy wyrażam się wystarczająco jasno, Eiken?

Niech cię diabli, nadęty dupku, myśli sobie Karen.

– Oczywiście, wszystko jasne – mówi.

Na tym rozmowa się kończy i Karen wbiega po schodach na piętro. Myśli kłębią się w jej głowie. Trzy minuty później wychodzi spod prysznicza i myje zęby, a jednocześnie wyciera włosy ręcznikiem. Nadal odczuwa skutki odurzenia alkoholem.

Muszę coś zjeść przed wyjazdem, myśli. Inaczej nie dam rady. Wciąga na siebie dżinsy i granatowy T-shirt i znów gna na dół, do kuchni. W lodówce są resztki sobotniego lunchu: coś w rodzaju potrawy z kurczaka, którą zrobiła na oczekaniu z tego, co znalazła w zamrażarce. Przekręca nad talerzem plastikowy pojemnik do góry dnem, a później wstawia zimną bryłę do mikrofal i przynosi czarne glany, które stoją w przedpokoju. Szybkie spojrzenie na zegarek: za dwadzieścia druga. Osiemnaście minut temu wydawało mi się, że moim największym problemem jest to, że przespałam się z szefem, myśli ponuro, kiedy dzwoni mikrofalówka. I to właśnie w tym momencie dociera do niej, że tym razem znów nici z jej wakacji. Może zapomnieć o tegorocznym winobraniu we Francji.

Czternaście minut później Karen Eiken Hornby, tymczasowo pełniąca funkcję szefowej Wydziału Kryminalnego Policji w Doggerlandzie, zapina pas w samochodzie. Na siedzeniu obok położyła banana i puszkę coca-coli, którą znalazła w lodówce za zapiekanką. Wkłada do ust dwie gumy do żucia, żeby stłumić chęć zapalenia papierosa, i włącza silnik.

Cofa w dół po podjeździe, wykręca i kiedy ostro rusza, słyszy, jak spod kół pryska żwir. Pochłaniając jedzenie, rozmawiała z dyżurującymi w komendzie w Dunkerze, przez co obraz sytuacji staje się dla niej przejrzysty. O godzinie jedenastej czterdzieści dziewięć odebrano zgłoszenie. Z jakiegoś wciąż niewyjaśnionego powodu sąsiad zajrzał przez okno do kuchni Susanne Smeed i zobaczył na podłodze nogi do połowy łydek i przewrócone krzesła. Resztę ciała przesłaniały duże szafki kuchenne, które ograniczały pole widzenia. Sąsiad, niejaki Harald Steen, myślał najpierw, że Susanne zemdląca albo poślizgnęła się i uderzyła, dlatego zadzwonił pod sto dwanaście i wezwał karetkę. Odbierający zgłoszenie operator wykazał się jednak przytomnością umysłu i powiadomił także policję, która wysłała na miejsce dwójkę posterunkowych: Björna Langego i Sarę Inguldsen.

Kiedy Karen usłyszała wymienione przez dyżurnego nazwiska, przestała na moment przeżuwać kurczaka. Podobno tych dwoje wracało do domu po sprawdzeniu zgłoszenia o włamaniu do willi, niecałe dziesięć kilometrów od Langevik, przez co okazali się patrolem, który znajdował się najbliżej domu Susanne. Trzydzieści pięć minut po odebraniu wezwania dotarli na miejsce, wyłamali drzwi wejściowe i od razu udało im się stwierdzić, że nie chodziło tu o zwyczajny spadek cukru czy inny nieszczęśliwy wypadek.

Björn Lange siedział na schodach przed domem z głową między kolanami, gdy Sara Inguldsen powitała personel medyczny i poinformowała ich, że niepotrzebnie się fatygowali.

– To oczywiście cholernie przykre – podsumował dyżurny.

Karen parkuje na końcu rzędu samochodów na skraju gliniastego nasypu koło rowu biegnącego wzdłuż drogi do domu Susanne. Na samym przedzie, obok bramy, stoi czarne bmw lekarza sądowego, a za nim biały van techników. Karen wysiada z wozu i przez chwilę – mimo mżawki – stoi w bezruchu. Wodzi wzrokiem po drodze w obu kierunkach. Na sąsiedniej działce, kawałek dalej w stronę morza, dostrzega oznakowany radiowóz. Dochodzi do wniosku, że nie da się tu zabezpieczyć ewentualnych śladów opon. O tej porze większość mieszkańców wioski zdążyła już się obudzić i prawdopodobnie obok tego domu przejechało co najmniej dwadzieścia samochodów.

Podnosi wzrok i lustruje krajobraz. Ta część Heimö, wysoka grań od północy, szumiąca rzeka, która wije się, spływając do morza, kamienne mostki, które wznoszą się nad meandrami rzeki, porośnięte wrzosami pagórki – to wszystko Karen nosi głęboko w sercu od dzieciństwa. Teraz jednak przygląda się temu otoczeniu świeżym wzrokiem. Nie patrząc na piękno ani nie doświadczając ciszy, rozważa chłodno, jakie możliwości miałyby obcy, żeby przyjechać tu i oddalić się stąd niezauważony przez niczyje czujne oko. Zazwyczaj nie jest możliwe, żeby żaden z sąsiadów nic nie zauważył, ocenia. Ale właśnie dzisiaj, w ten najbardziej skacowany dzień roku, ci zwykle tak ciekawscy mieszkańcy wioski mają inne rzeczy na głowie niż przejmowanie się tym, jakie samochody przejeżdżają pobliską drogą.

– Dzień dobry, pani komisarz.

Björn Lange podnosi się ze schodków, kiedy widzi ją zbliżającą się do budynku. Karen dostrzega, że twarz posterunkowego nadal pozostaje kilka odcieni bledsza niż podczas ich porannego spotkania, a jego dłoń wydaje się lekko drżeć, kiedy oddaje jej honory.

– Dzień dobry – odpowiada z uśmiechem. – Czy to wasza sprawka?

Kiwa głową w stronę drzwi, do których prowadzą schodki. Jedna z szyb w oprawionych w ołów przeszklonych partiach jest stłuczona, a na dwóch brzegach wyjęto ostre kawałki, które tkwią nadal w pozostałej części. Björn Lange przytakuje i zaczyna pospiesznie się tłumaczyć, jakby nie był pewien, czy Karen nie skrytykuje jego decyzji.

– Tak, było zamknięte na klucz, a my nie wiedzieliśmy, jak bardzo jest to pilne. Ale zinterpretowaliśmy sytuację tak, że ktoś jest w środku, bo grało radio. Mam nadzieję, że nie zniszczyliśmy żadnych dowodów, ale myśleliśmy, że ona potrzebuje pomocy. Nie wiedzieliśmy przecież, że jest za późno...

Urywa, a Karen kiwa głową i uśmiecha się uspokajająco, zastanawiając się zarazem, co skłoniło tego wrażliwego Langego do wstąpienia do policji.

– Postąpiłeś bardzo słusznie – mówi. – Z tego, co rozumiem, w środku nie wygląda to zbyt ciekawie. Później będę musiała porozmawiać z Inguldsen i z tobą, ale proponuję, żebyście zrobili sobie teraz kilka godzin wolnego i coś zjedli. A tak w ogóle to gdzie ona jest?

– U sąsiada, który zadzwonił ze zgłoszeniem. Odwiozła go do domu, bo dziadek wciąż tu był, kiedy przyjechaliśmy, i nie czuł się najlepiej. Najwyraźniej ma problemy z pikawą.

Lange wykonuje niezdarny ruch ręką w stronę serca, a Karen klnie pod nosem. Samotna posterunkowa w towarzystwie świadka, którego nie można jeszcze wykluczyć z grona podejrzanych. Co oni, kurna, sobie myśleli? Wprawdzie tak się składa, że wie, że dziadek Steen rzeczywiście jest chory na serce i raczej nie dałby rady zakatować nawet kociaka, ale Sara Inguldsen ani Björn Lange nie mają przecież o tym zielonego pojęcia.

– Okej, ale teraz się stąd zbieraj i dotrzyмай jej towarzystwa – mówi krótko i powstrzymuje się od pouczającego komentarza. Po krępującym porannym spotkaniu z Langem i Inguldsen sama jest trochę na cenzurowanym, więc niech będzie to swoistym wyrównaniem rachunków.

Kiedy otwiera drzwi wejściowe, uderza ją przyjemne ciepło. W pomieszczeniu delikatnie czuć dymem. Coś się przypaliło, myśli, albo jest to niewyraźna reminiscencja po czymś, co się paliło. Zagląda do prostokątnego przedpokoju ze schodami prowadzącymi na piętro. Na lewo od schodów stoi mahoniowa komoda z wyciągniętymi szufladami, a na podłodze przed nią leżą chusteczki, rękawiczki, szczotki do ubrań i inne rzeczy, których nie sposób zidentyfikować. Przez drzwi trochę dalej po prawej stronie dostrzega w salonie beżową sofę i brzeg grubego niebieskiego dywanu. Zza drzwi po lewej dochodzą różne dźwięki i mamrotanie. Pośrodku korytarza pochylony nad dużą czarną torbą stoi technik kryminalistyczny Sören Larsen. Kiedy dostrzega Karen, unosi

brodę na powitanie i podaje jej parę niebieskich ochraniaczy na buty i plastikowy czepek.

– Dzięki, Sören, czy Brodal jest w środku? – Ruchem głowy Karen wskazuje drzwi do kuchni, zbiera włosy i naciąga przezroczysty czepek na głowę.

Sören Larsen napotyka jej wzrok, unosi brwi nad maseczką i bez słowa przytakuje.

Karen wie, co oznacza to spojrzenie. Kneought Brodal nie jest w najlepszym humorze. Dzisiaj też nie.

Karen bierze głęboki wdech i podchodzi do drzwi.

Na pierwszy rzut oka – pominąwszy rozłożone płyty do chodzenia – w środku wszystko wygląda zupełnie normalnie. Na wprost kuchenka, blat do pracy, zlewozmywak i zmywarka, a nad nimi szereg polakierowanych na szaro szafek. Po prawej stronie, na długim granitowym blacie, stoi ponadwymiarowa, połyskująca maszyna – ekspres do kawy, jak przypuszcza Karen – a nad nią na półkach stoją na widoku różne sprzęty kuchenne, miski i miedziane naczynia. Na lewo od drzwi króluje wysoka, pomalowana na niebiesko szafa ze stylizowanymi motywami biblijnymi, charakterystycznymi dla doggerlandzkiej sztuki ludowej. Jonasz i wieloryb są często powracającym tematem, a Karen szybko udaje się stwierdzić, że również ten, kto kilkaset lat wcześniej malował szafę Susanne Smeed, zainspirował się tą opowieścią. Zwyczajna, dość przytulna kuchnia, ocenia.

Ale wrażenie się zmienia, im dłużej przygląda się temu, co ma przed oczami. Kawałek dalej stoi masywny dębowy stół kuchenny z trzema krzesłami. Czwarte leży wywrócone na bok. Karen zwraca uwagę na płyty i małe żółte plastikowe tabliczki w kształcie trójkątów z numerkami, a później jej wzrok przyciąga krew: czerwone krople, które prysnęły na główne przejście zaledwie kilka metrów przed nią.

– Może byś tak, do cholery, uważała, Eiken – rozlega się opryskliwy głos. – Patrz, kurwa, gdzie stawiasz nogi.

Karen robi kilka ostrożnych kroków po płytach i wyciąga szyję, żeby zajrzeć za dużą szafę, a później mimo woli wstrzymuje oddech. W kolejnej sekundzie tłumi instynktowną chęć, żeby odwrócić wzrok. Nawet nie mrugając, przygląda się kobiecie na podłodze.

Susanne Smeed leży na plecach, jej głowa i szyja wygięte są pod ostrym kątem między podłogą a narożnikiem czarnej kuchni opalanej drewnem. Gruby szlafrok rozwiązał się i ukazał kremową koszulę nocną z koronką przy głębokim dekolcie. Jedna pierś jest obnażona i Karen zwraca uwagę, że jest niespodziewanie pełna jak na tak szczupłe ciało. Lewa dłoń Susanne Smeed leży zasłonięta, ale Karen zauważa, że na drugiej najpewniej brakuje biżuterii. Denatka ma zadbane paznokcie, pomalowane lakierem w odcieniu jasnego różu. Głowa i tułów spoczywają na taflি krwi, częściowo wchłoniętej przez gruby materiał frotté szlafroka, przez co kreciobrazowy kolor jeszcze ściemniał. Te włosy, które nie są skąpane we krwi, wydają się zadbane, z jasnymi pasemkami na lekko rudawym odcieniu bazowym. Nogi Susanne ma wyciągnięte przed siebie, a na prawej stopie wciąż tkwi ciemnobrazowy aksamitny kapeć jak czepek na palcach, drugi leży do góry podeszwą pod stołem kuchennym.

Ale tu czysto, przechodzi jej przez myśl. Wymuskany chaos.

Jeden z ubranych na biało techników porusza się w zwolnionym tempie dookoła denatki i robi zdjęcia pod każdym możliwym kątem. Ciche odgłosy pocierania kombinezonu ochronnego dobiegają również od dwóch pozostałych techników, którzy ostrożnie krążą po pomieszczeniu. Karen wie, że to cichutkie skradanie się na palcach, które przez kogoś z zewnątrz mogłoby być uznane za oddawanie należytego szacunku śmierci, w gruncie rzeczy jest przejawem głębokiej koncentracji u tych, którzy obklejają miejsce taśmą i przejeżdżają tu szczotkami, żeby zebrać wszelkie możliwe dowody. Kiedy jeden z techników przesuwa się na bok, Karen dostrzega, co jest źródłem swądu spalenizny: między kuchnią a stołem kuchennym leży na stercie coś, co wygląda jak zwęglone resztki kosza do noszenia drewna. Płomienie muskały ścianę i zostawiły szeroką smugę sadzy, niebezpiecznie blisko zasłon w kratkę. Karen widzi własne odbicie w lśniącej szybie i wmawia sobie, że za jej ciemne sińce pod oczami odpowiadają ustawione tu reflektory.

Znów odwraca wzrok w stronę głowy Susanne Smeed i tym razem zmusza się, żeby uważniej się jej przyjrzeć. Kosmyki jasnych włosów przykleiły się do krwi i przesłaniają część zmasakrowanej twarzy. Z narastającym wstrętem Karen dostrzega wgniecioną kość policzkową i nos, który sprawia wrażenie, jakby przesunął się na bok. Odślonięta linia zębów lśni biało za rozszczepioną górną szczęką i sprawia wrażenie

groteskowego uśmiechu. Oczy są szeroko otwarte, a wzrok równie pusty i nic niemówiący co w przypadku innych zwłok, które Karen dotąd widziała – ani śladu zdziwienia, ani śladu strachu, tylko bezkresna, szara pustka.

A pośród tej krwawej brei prześwitują znajome rysy Susanne Smeed. Wstręt przemienia się w intensywny ucisk w splocie słonecznym i żeby powstrzymać wymioty, Karen przesuwając wzrok na stół kuchenny. Głęboki talerz z resztkami czegoś, co przypomina kefir albo jogurt z rozmoczonym musli, koszyk z kromkami ciemnego chleba żytniego, kawałek masła, które w ciepłe przybrało płynną formę, filiżanka po kawie ustawiona starannie na spodku.

W każdym razie zdążyłaś napić się kawy po porannej kąpieli, myśli Karen i zawiesza wzrok na filiżance w niebieskie kwiatki. Ale co się stało później?

– Cześć, Kneought – mówi przyciszonym głosem i dopiero teraz odwraca się do potężnego mężczyzny, który z wyraźnym wysiłkiem kuca obok zwłok.

Przygląda się jego szerokim plecom i dziwi, że udało mu się wcisnąć w kombinezon ochronny i szwy przy tym nie puściły.

– Co możesz powiedzieć? – dodaje.

Brodal odpowiada krótko, nie podnosząc głowy.

– Taa, nie żyje. Co ty na to?

Karen ignoruje jego opryskliwy ton i w ciszy czeka na dalszy ciąg wypowiedzi lekarza. Jego szorstki sposób bycia często ją irytuje, ale w chwili obecnej jest w stanie go po części zrozumieć: wie, że Kneought Brodal z żoną przez lata utrzymywali prywatne kontakty z Jounasem i Susanne Smeedami, na długo przed ich rozwodem. Brodal musi znać kobietę, której zwłoki właśnie bada, zdecydowanie lepiej niż tylko powierzchownie.

– Przyjechałem tu chwilę po wpół do drugiej i wtedy prawdopodobnie nie żyła już co najmniej od trzech do sześciu godzin – mówi z wyraźną frustracją w głosie. – Nie mogę stwierdzić tego dokładnie przez tę przekłętą wysoką temperaturę. Z jakiegoś powodu ktoś postanowił napalić pod tą cholerną kuchnią i puścić cały dom z dymem.

Kneought Brodal wskazuje ręką kuchnię w kącie, gdzie stoi pochylony technik i zagląda do komina przez otwarte drzwiczki. Potem Brodal

podnosi wzrok i patrzy jej prosto w oczy. Karen widzi, że jego czoło błyszczy od potu.

Spogląda na nowoczesny piekarnik ze stali nierdzewnej i lśniąca płytę indukcyjną w drugim końcu kuchni, a później znów wraca wzrokiem do kuchni na opał. Najwyraźniej Susanne, jak wielu innych, zdecydowała się zostawić część dawnego wyposażenia, kiedy robiła tutaj remont. Chciała zachować wrażenie starej wiejskiej kuchni, a zarazem inwestowała we wszelkie możliwe nowinki techniczne. Większość mieszkańców tak robiła. Z kolei niewielu porwałoby się na to, żeby naprawdę palić w starej kuchni, szczególnie że był dopiero koniec września i temperatura nadal utrzymywała się znacząco powyżej zera. Czy to ze względu na poranną kąpiel Susanne postanowiła się rozgrzać, paląc pod kuchnią? Czy zrobił to sprawca?

– Kiedy przyjechałem, było tu jak w cholernym piekarniku – ciągnie markotnie Brodal. – Dzięki Bogu technicy w końcu wygasili żar w kuchni, ale określenie dokładnego czasu zgonu będzie orką na ugorze. Całe szczęście, że nie sfajczyło się tu wszystko – dodaje i kiwa głową w stronę spalonego kosza.

– Podpalacz miałby na ten temat inne zdanie – mówi Karen oschle. – Nie był to raczej żaden półgłówek, skoro starał się upozorować morderstwo na zwyczajny pożar domu.

Brodal zamyka swoją torbę i z trudem się podnosi. Kombinezon napina się na jego okazałym brzuchu i Karen obawia się, że cienki plastikowy zamek puści pod naporem.

– Może i tak, ale to już twoja robota, żeby się tego dowiedzieć. Ja w każdym razie tutaj skończyłem, więcej dowiesz się po sekcji – mówi i wyciera sobie dłonią czoło.

– Tak czy owak, nie ma chyba wątpliwości co do narzędzia zbrodni. Popatrz tutaj, Eiken!

Głos Sörena Larsena dobiega z progu. W ręce mężczyzna trzyma długi żelazny pogrzebacz, owinięty plastikową torebką w rdzawe prążki.

– Dam sobie rękę uciąć, że dość dobrze pasuje do obrażeń na ciele – mówi Larsen i obraca zakrwawioną torebkę z zadowoloną miną. – Znaleźliśmy ją starannie zawieszoną obok żelaznej kuchni.

– To możliwe – mówi oschle Brodal. – Sprawca mógł go użyć, żeby zmasakrować jej twarz, ale przyczyna śmierci jest najprawdopodobniej inna.

Zarówno Karen, jak i Sören Larsen patrzą pytająco na lekarza. Przez moment wygląda on tak, jakby cieszyło go ich zainteresowanie.

– Zgaduję, że siedziała na krześle, kiedy otrzymała pierwszy cios, ale jestem dość pewny, że nie to ją zabiło. Prawdopodobnie nie było to też drugie trafienie, ale poleciała przez nie z taką siłą do tyłu, że przy uderzeniu o kuchnię pękła jej czaszka. Ten, kto za to odpowiada, musiał być zimnym jak lód draniem, który robił, co mógł, żeby Susanne naprawdę zginęła.

Komisarz kryminalny Karl Björken stoi w sklepie i z wahaniem spogląda raz na mrożoną pizzę, raz na paluszki rybne, gdy w wewnętrznej kieszeni kurtki zaczyna wibrować mu komórka. Na foteliku w sklepowym wózku siedzi jego osiemnastomiesięczny syn Frode i rozdzierająco płacze. Wyciąga lepkie rączki w stronę przejścia między regałami, gdzie zniknęła jego mama, zmierzając do części z pieluchami. Karl rzuca okiem na wyświetlacz, a jego ciemne brwi unoszą się wysoko na widok nazwiska dzwoniącego. Karen Eiken Hornby może jest jego bezpośrednią przełożoną, która z czasem stała się też jego przyjaciółką, ale raczej nie dzwoni do niego na plotki. Szczególnie nie w taki dzień jak ten.

– Posłuchaj, mały, mama zaraz przyjdzie – mówi Karl i przyciska telefon do jednego ucha, a drugie osłania ręką. – Cześć, Karen – odbiera połączenie. – Co się dzieje, do diabła, że do mnie dzwonisz? Już wytrzeźwiałaś po Oistrze?

– Cicho. Siedzisz?

– Nic podobnego. Stoję w Temie i nie mogę się zdecydować, który specjał mam wybrać. Jak myślisz, co powinienem wziąć: mrożoną pizzę z szyn...

– Posłuchaj mnie. – Karen szybko mu przerywa. – Musisz tu przyjechać. Mamy na głowie morderstwo.

Kiedy Karen wyjaśnia, co się stało, Karl z trwogą widzi, że zbliża się do niego żona. Pcha przed sobą wózek wypełniony trzema dużymi paczkami pieluch i wygląda tak, jakby potrzebowała zaprzeć się całym ciałem, żeby wprowadzić ten ciężar w ruch. W rozkładanym siedzeniu dla dzieci siedzi brat bliźniak Frodego – Arne – i coś żuje. Ingrid Björken ma na szyi czerwone plamy i wygląda na potwornie zmęczoną, kiedy ostrożnie wyjmuje coś z lepiących się rączek Arnego. Nerwowy wrzask odbija się echem między regałami z warzywami konserwowanymi i sosami do makaronu.

Kiedy żona dostrzega Karla, jej twarz rozpromienia się w uśmiechu, a jego serce zaczyna mocniej bić. Zna ten uśmiech, to w nim się zakochał niemal trzy lata temu i wciąż go elektryzuje. Jednak w ciągu dwóch minut uśmiech ten zniknie.

Czterdzieści pięć minut później Karl Björken odsuwa się na bok, kiedy nosze z Susanne Smeed są wynoszone z jej domu. Przez otwarte drzwi widzi, jak Karen stoi w przedpokoju i rozmawia z Sörenem Larsenem, którego kędzierzawe blond włosy stoją na głowie niczym niesforna aureola. Karl obserwuje, jak Larsen się wyciąga, żeby różnica wzrostu między nim a Karen stała się mniej widoczna. W samych skarpetkach Sören Larsen mierzy metr sześćdziesiąt pięć – w ciężkich buciorach z ekstragrubą zelówką dochodzi mu dodatkowe pięć centymetrów – ale wciąż jest sporo niższy od niej.

Karen wydaje się skupiona, Karl już wcześniej widział na jej twarzy tę mieszaną napięcia i tłumionego oczekiwania. Teraz jego przełożona przekręca nadgarstek i spogląda na zegarek.

– Björken powinien tu być lada chwila – mówi. – Sprawdźmy dom i porozmawiamy z sąsiadami w okolicy, wy też macie chyba sporo roboty. Myślę, że dobrze by było odbyć naszą pierwszą wspólną naradę u nas w firmie o siódmej wieczorem. Pasuje ci?

– O siódmej będzie w sam raz – odpowiada Sören Larsen. – Ale niczego tu nie ruszajcie, nawet w rękawiczkach. Nie chcę, żebyście zamazali mi jakiegokolwiek odciski palców.

Wzdychając, Karl robi krok przez próg i w chwili, gdy w przedsionku pada cień jego wysokiej i barczystej sylwetki, Sören Larsen i Karen obracają się w stronę drzwi.

– Och, już jesteś – mówi Karen. – Witaj, wygląda na to, że będzie z tego kocioł.

– To na bank morderstwo? – pyta Karl.

– Bez cienia wątpliwości. No albo zabójstwo w afekcie, jeśli adwokat okaże się cholernie obrotny, z pewnością nie był to nieszczęśliwy wypadek. Możesz się przez chwilę szybko rozejrzeć po domu, a potem pójdziemy do sąsiada, który ją znalazł. Brodal już odjechał i właśnie zabierają stąd ciało. Może zerknij najpierw, jak wygląda kuchnia, później streszczę ci to, co już wiemy.

Karl wyciąga parę ochraniaczy na buty z torby Sörena Larsena i bierze głęboki wdech, później wchodzi do kuchni. Ingrid nie będzie zadowolona, kiedy wróci do domu. Kiedykolwiek to nastąpi.

Karen zatrzymuje się w progu i wodzi wzrokiem po pokoju. Na wprost stoi duża jasnobrązowa sofa przed niskim stolikiem. Na barwionym na

czzerwono szkle leży sterta tygodników obok trzech pilotów, które wyglądają tak, jakby zostały ułożone precyzyjnie co do milimetra jeden przy drugim. Dwa czarne skórzane fotele oskrzydłają sofę z obu stron, a cały zestaw mebli do siedzenia jest zwrócony w stronę gigantycznego płaskiego telewizora, który pokrywa większą część przeciwległej ściany.

Przy tej samej ścianie znajduje się kominek i dodatkowo stoją tam dwa fotele, natomiast przeciwległa ściana zdominowana jest przez duży biały regał modułowy. Wszystko wydaje się tutaj starannie ułożone, posprzątane i napawa lekkim niepokojem. O ile kuchnia – ze starą szafą i porcelaną w kwiaty – świadczyła o chęci zachowania wiejskiego charakteru, o tyle salon urządził ktoś, kto na chybił trafił otworzył katalog z meblami i kupił wszystko, co było na zdjęciu. Nie ma tu prawdopodobnie ani jednego mebla starszego niż dziesięć lat, myśli Karen i przygląda się bezosobowemu wystrojowi. Mimo to wrażenie, które sprawia całość, jest dalekie od nowoczesnego, wewnątrz wydaje się raczej konwencjonalne, na granicy z morderczą nudą.

Nagle wzrok Karen zatrzymuje się na gzymsie kominka, gdzie ustawiono rzędem kilka zdjęć w złotych ramkach. Zamyślona staje przed kominkiem, żeby przyjrzeć się fotografiom, ale zaraz potem przerywa jej Karl, który wchodzi do pokoju.

– Aha, czyli już wiemy, jak wygląda kuchnia, kiedy ktoś zmasakruje w niej czyjąś twarz pogrzebaczem. Kurna, ja chyba nigdy się nie przyzwyczaję.

– A i tak sporo krwi wchłonał szlafrok – odpowiada Karen, nie odwracając się do niego. – Ale zdaniem Brodala nie umarła od ciosów pogrzebaczem, ale dlatego, że uderzyła potylicą o brzeg kuchni. Zobaczysz zdjęcia na wieczornej naradzie.

Karl szybko lustruje pokój, a później staje obok Karen. W milczeniu przygląda się zdjęciom.

– Córka? – pyta po chwili i wskazuje głową zdjęcie.

Zdaje się, że wszystkie przedstawiają tę samą osobę. Trzyletnia dziewczynka na plaży. Dziewczynka z czerwoną plastikową łopatką w ręce uśmiecha się do fotografa. Sześciolatka blondynka z szerokimi szczerbami między górnymi zębami w różowym stroju baletnicy i spódniczce tutu. Blondwłosa dziewczynka w wieku około dziesięciu, jedenastu lat, która dumnie robi szpagat na równoważni i trzyma ręce wyciągnięte nad głową. Jeszcze jedno zdjęcie, prawdopodobnie z tych

samych zawodów, przedstawia tę samą dziewczynkę z uśmiechem zwycięstwa na twarzy, stojącą na najwyższym stopniu podium.

– Tak, tak przypuszczam. Popatrzysz na regał z książkami?

Karl podchodzi do białego laminowanego regału z przeszklonymi drzwiczkami i złotymi uchwytyami, który stoi naprzeciwko kominka.

– Regałem z książkami bym chyba tego nie nazwał.

Ze zmęczoną miną przygląda się ozdobom ustawionym między rzędami płyt CD i filmów DVD. Mały koszyczek z kwiatami zrobiony z porcelany, przycisk do listów z farbowanego szkła, zbiór koników z porcelany w różnych rozmiarach i kolorach, hiszpańska lalka w sukience do flamenco, japońska lalka przebrana za gejszę. Nieliczne książki, które rzeczywiście się tutaj znajdują, ustawiono na dwóch półkach: kilka bestsellerowych romansów i kryminałów, dwunastotomowa encyklopedia, parę grubych książek, które wyglądają na poradniki. Karl czyta ich tytuły na głos:

– *Odważ się być szczęśliwa, Droga do twojego prawdziwego ja, Wyjdź z roli ofiary – odzyskaj kontrolę nad swoim życiem, Ludzie, którzy podcinają ci skrzydła. Jak pozbyć się negatywnej energii ze swojego życia.* Boże, ty też czytasz takie gówna?

– Pasjami, jeszcze nie zauważyłeś?

Karen podchodzi do sofy i przygląda się stercie magazynów. Na samej górze leży najnowszy numer „Vogue’a” z połyskującą okładką. Wyciąga długopis z kieszeni na piersi, ostrożnie przesuwając lśniący magazyn i napotyka spojrzenie znudzonej fotomodelki na okładce „Harper’s Bazaar”. Niżej na stercie leży kilka numerów różnych czasopism, które zdają się traktować o modzie, urodzie i plotkach z życia gwiazd, oraz kilka o antykach. Karen prostuje się i jeszcze raz wodzi wzrokiem po posprzątanym i bezosobowym pokoju, unika przy tym lśniących szyb. Szuka czegoś, co wskazywałoby na to, kim jest Susanne Smeed. Albo raczej kim była, myśli. Kobieta bez własnego zdania, troszczącą się o to, żeby wszystko wyglądało idealnie. Troszczącą się o to, żeby samej dobrze wyglądać, myśli i przypomina sobie zadbane paznokcie denatki i jej nagą pierś. Silikon, co do tego nie ma żadnych wątpliwości.

Patrzy na białe ściany z kilkoma olejami z wiejskimi motywami, oprawioną w ramę reprodukcją Moneta, inną Sisleya i dwoma złotymi kinkietami z mlecznym szkłem. Każdy mógłby tutaj mieszkać, myśli

sobie. Dosłownie każda schludna i dobrze ułożona kobieta w średnim wieku.

– Wydaje mi się, że nic więcej tu nie znajdziemy. Idziemy na górę?

Gruba beżowa mata skutecznie tłumi odgłos kroków, ale deski pod nią lekko skrzypią, kiedy wchodzi po schodach. Na górze na występie dwoje drzwi jest lekko uchylonych, trzecie są zamknięte. Karen zauważa, że podobne złote serce jak to, które widziała na drzwiach toalety na dole, zdobi zamknięte drzwi, i decyduje się poczekać z łazienką. Zamiast tego otwiera drugie drzwi i zagląda do sypialni Susanne Smeed. Szerokie podwójne łóżko nie jest posłane, ale wygląda na zadziwiająco nietknięte. Puchata kołdra w poszewce w różyczki leży ostrożnie zawinięta na tę stronę łóżka, której najwyraźniej nie używano. Gruba poduszka ma poszewkę z takim samym kwiecistym wzorem, a delikatne wgłębienie świadczy o tym, że ktoś mimo wszystko trzymał na niej głowę. Różowa narzuta leży złożona na oparciu małego fotela pod oknem, obitego kwiecistym perkalem. Pośrodku króluje domowy atlas do ćwiczeń z różnymi funkcjami i wyświetlaczem, który w oczach Karen wygląda jak panel sterowania w małym samolocie.

– Jak myślisz, ile to może kosztować? – pyta, przyglądając się temu monstrum.

– Hmm, chyba nie byłoby mnie na to stać – odpowiada oschle Karl. – I po co jej takie wielkie łóżko, skoro używa tylko połowy? A nawet nie. Musi chyba spać w jednej pozycji całą noc. Czy twoje łóżko wygląda tak porządnie, jak się budzisz?

Nie odpowiada. Jej łóżko jest równie duże, nawet jeśli przeważnie śpi w nim sama. Ale Karl ma rację, naprawdę wygląda tak, jakby Susanne Smeed wcale się nie poruszała podczas snu.

– Mógłbym się założyć, że w grę wchodzi jakiś kochanek – ciągnie Karl, najwyraźniej nie chce odpuścić tego tematu. – Domowa siłownia i *king size*, wydaje się w każdym razie dobrze przygotowana...

– Bądź co bądź nie spał tu dziś w nocy, to jasne. Ale musimy to sprawdzić – odpowiada Karen i myśli, że ona wcale nie jest tego równie pewna.

Wrażenie, które odniosła, chodząc po domu Susanne, jest inne: w jej oczach wszystko świadczy tu o poczuciu samotności. Nadziei na zmianę, ale też niemal niedającej się znieść samotności.

Pochyla się, ostrożnie chwyta brzeg lewych drzwi do garderoby i przesuwają je na bok. Jej oczom ukazują się rzędy wieszaków ze starannie powieszonymi bluzkami, spódnicami i sukienkami. Na półce powyżej leżą sterty równo poskładanych topów we wszelkich możliwych kolorach i z przeróżnych materiałów. Na samym dole stoją trzy rzędy butów: pół tuzina pantofli na obcasach różnej wysokości, sandały ze złotymi sprzączkami, sandały z perłami, różne modele letnich pantofli bez palców, dwie pary mokasynów, a w głębi widać przynajmniej pięć par kozaków. Karen przesuwają drugie drzwi i spogląda na kolejne wieszaki z równo wiszącymi ubraniami: różne fasony sukienek, spódnic i żakietów oraz kilka cienkich letnich płaszczy. Pozostałą część pomieszczenia zajmują ułożone w wysokie stosy pudełka po butach, większość z nich z czerwonymi oznaczeniami z przeceny. Karen szybko dokonuje szacunku: musi tu być co najmniej dwadzieścia, może trzydzieści pudełek z butami, i to tylko w tej części szafy.

– Coś takiego – mówi. – Wydaje się, że miała przynajmniej jedną małą słabość. Tylko popatrz.

Przesuwają się na bok, żeby Karl mógł zobaczyć.

– Cholera! Ale przecież która kobieta nie ma bzika na punkcie butów?

Ma rację, myśli Karen. Susanne nie mogła wybrać sobie hobby, które mówiłoby o niej mniej niż nadmierne kupowanie ubrań i butów. Wszystkiego było tu w nadmiarze, ale poza tym nic szczególnego nie rzucało się w oczy, wszystko było uporządkowane i zupełnie bezosobowe. I na pozór nie widać było nic, co mogłoby wyjaśniać, dlaczego ktoś roztrzaskał głowę Susanne w przypiływie czegoś, co wyglądało na czyste szaleństwo.

Karl, który wyciągnął górną szufladę komody, ostrożnie przesuwają majtki, staniki i skarpetki, szukając pośród nich czegoś ciekawszego. Z westchnieniem wsuwa ją z powrotem i wysuwa kolejną. Karen przygląda się, jak w rękawiczkach ostrożnie grzebie w bieliźnie i rajstopach. Sören Larsen nie byłby zachwycony, gdyby teraz tu wszedł.

– Nie ma seksownych gorsetów. Ani nawet wibratora – mówi zawiedziony Karl.

– Jeśli już, to trzymałaby go w szafce nocnej – odpowiada sucho Karen.

– Ale nie napalaj się tak, już sprawdzałam. Tylko kilka paczek chusteczek, tubka kremu do rąk i opakowanie proszków nasennych.

Karl rozpromienia się, ale markotnieje, kiedy Karen dodaje:

– Nie ma kodu lekarza. Kilka lat temu były bez recepty, więc wtedy musiała je kupić. Albo za granicą.

Karl wysuwa dolną, głęboką szufladę i maca jej dno pod stertami starannie złożonej bielizny i koszul nocnych. Nagle nieruchomieje, marszczy czoło i wyciąga coś, co wygląda jak duża książka ze zniszczoną niebieską okładką.

– Bingo – mówi. – Album ze zdjęciami.

– Zawsze to coś. Niech najpierw sprawdzą go technicy, zajrzemy do niego wieczorem na komendzie. Położmy to na widoku i szybko przelećmy przez resztę rzeczy na piętrze. A potem jak najszybciej musimy porozmawiać z Haraldem Steenem.

– To sąsiad, który ją znalazł?

Karen kiwa głową.

Na drzwiach do mniejszej sypialni są ślady po śrubach, jakby kiedyś wisiała tam jakaś tabliczka, którą później zdjęto. W środku, na wąskim łóżku z narzutą w różowe paski siedzi pluszowy miś i spogląda na nich. Nad nim wisi plakat z czterema młodymi uśmiechniętymi chłopakami.

– One Direction – mówi Karl. – Dzieciaki mojej siostry miały bzika na ich punkcie.

Nie tylko one, myśli Karen i czuje ukłucie w piersi. Nic jednak nie mówi.

Na pomalowanej na biało komodzie stoi małe stylizowane drzewko z połączanego metalu, na którego cienkich gałązkach zawieszono naszyjnik z różnokolorowych szklanych paciorków i małą bransoletkę z zawieszkami. Na połączanym haczyku obok przymocowanego nad komodą lustro wisi para baletek z długimi jedwabnymi wstążkami. Karen wysuwa górną szufladę komody i stwierdza, że jest starannie wyłożona papierem do pakowania prezentów w róże, poza tym zionie pustką. Kiedy wyciąga dolną szufladę, coś grzechocze w środku i Karen widzi dwa małe puchary z plastiku imitującego srebro, które turlają się monotonicznie tam i z powrotem po drewnianym dnie.

Poczucie smutku unosi się w tym porzuconym dziewczęcym pokoju. Mauzoleum na cześć dziecka, za którym się tęskni. Dziecka, które nie mieszka tu od wielu lat. Karl zdaje się czytać w jej myślach.

– Może używa tego pokoju jako gościnnego – mówi, a Karen zastanawia się, czy chce pocieszyć ją, czy samego siebie.

– Tak, może – odpowiada bez przekonania.

Coś jej mówi, że Susanne Smeed rzadko przyjmowała gości. Z każdym przeszukiwanym przez nich pokojem poczucie samotności tylko się potęguje.

Szybkie sprawdzenie łazienki przynosi równie mizerne rezultaty. W pomieszczeniu dominuje narożna wanna z połączanymi kranami. Ten gigantyczny obiekt wydaje się śmiesznie nieproporcjonalny w tak małej łazience. Różowy puszysty chodnik pokrywa pozostałą część niewielkiej powierzchni podłogi. Szafka łazienkowa nie zawiera nic godnego uwagi: elektryczną szczoteczkę do zębów, proszki przeciwbólowe, witaminy, pastę do zębów i kolejne opakowanie ze środkami nasennymi oraz długi rząd różnych preparatów do pielęgnacji skóry i perfum. Prawdopodobnie jeszcze jedno potwierdzenie uzależnienia Susanne od zakupów, myśli Karen i z pewną dozą fascynacji przygląda się słoiczkom i buteleczkom z logo: Clinique, Dr. Brandt, Exuviance, a także marek, o których nigdy nie słyszała.

– Chyba nie znajdziemy tu nic więcej, dopóki technicy nie odważą swojej roboty – mówi Karen. – Chodźmy więc do dziadka Steena.

Dom Haralda Steena znajduje się dobre dwieście metrów w dół rzeki od domu Susanne, na drugim brzegu Langeviksån. Karen i Karl idą po gliniastej ścieżce wzdłuż rzeki i Karen relacjonuje to, do czego doszedł Kneought Brodal.

– Włamanie? – Karl bez przekonania zadaje pytanie i naciąga na głowę kaptur, żeby osłonić się przed deszczem.

– Może. Torebka Susanne leżała zapięta na trawie przed wejściem na schodki, w środku nie było portfela. Poza tym sprawca wyciągnął kilka szuflad w komodzie w przedpokoju, ich zawartość wygląda tak, jakby ktoś w nich grzebał.

– Taaa, a więc...

– Tylko że w szafce z kubkami znajdowała się puszka po herbacie z pokaźną sumą w gotówce i wydaje się, że pozostała nietknięta. Dokładniej według Larsena siedemset pięćdziesiąt marek i dwadzieścia szylingów, więc jeśli ten ktoś szukał tu pieniędzy, musiał to przeoczyć. Tak, resztę już sam widziałeś, ani salon, ani sypialnie nie sprawiają wrażenia, żeby ktoś je przeszukiwał, tylko ta komoda w przedpokoju.

– Komórka? Komputer?

– Najwyraźniej nie znaleźli jeszcze ani jednego, ani drugiego, co może przemawiać za tym, że ktoś je zabrał. Ale nie wydaje się, żeby w domu brakowało czegoś więcej, w każdym razie niczego takiego, co zwykli narkomani zazwyczaj zabierają. Larsen mówi, że Susanne miała na przykład srebra stołowe, siedemdziesiąt dwa elementy, elegancko ułożone w pudełku, w jednej z szuflad kuchennych, a to znalazłaby nawet największa niezdara wśród złodziei. Nie ma z kolei jej samochodu. Wiem, że jeździła białą toyotą i ta nie stoi teraz ani na działce, ani na drodze przed domem.

– Wszczęłaś poszukiwania?

– A jak myślisz? Johannisen nad tym pracuje. I zadzwoniłam do Cornelisa Lootsa i Astrid Nielsen, żeby sprawdzili okolicznych sąsiadów i rozeznali się, czy ktoś coś widział albo słyszał.

– Najdziwniejsze w tym wszystkim jest to, że drzwi wejściowe były zamknięte na klucz. Kto, do cholery, myśli o czymś takim?

– Czy ja wiem? Jest w nich zamek, który sam się blokuje, gdy tylko zamknie się drzwi. Miałam taki, ale go wymieniłam, kiedy po raz drugi wyszłam bez klucza i drzwi się zatrzasnęły.

– I mówisz, że ani śladu przemocy seksualnej?

– Nie, przynajmniej nie według pierwszej oceny Brodala. Poza tym miała na sobie szlafrok i kapcie i siedziała w kuchni, kiedy do tego doszło.

– Może sprawca był od dawna w domu. Więził ją tutaj, kazał jej się ubrać, a potem ją skatował.

Karen spogląda na Karla ze sceptycznie uniesionymi brwiami.

– Ale najpierw podał jej śniadanie? Daj spokój, Karl. Jak bardzo jest to prawdopodobne?

– Hmm, mógł to być ktoś, kogo znała? Mogę się założyć, że miała jakiegoś faceta, który stracił panowanie nad sobą.

– W takim razie dowiemy się tego lada moment. W tej wiosce nie sposób utrzymać niczego w tajemnicy. Ale widziałeś jej łóżko, nawet jeśli miała kochanka, to z pewnością nie spała z nim w nocy.

Przechodzą przez kładkę prowadzącą na drugą stronę rzeki i tym samym znajdują się na gruncie należącym do Haralda Steena.

– Tak, i jeszcze jedno. Spałam dziś w Dunkerze i kiedy wracałam rano do siebie, widziałam Susanne. – Karen wykonuje ruch głową w górę rzeki.

– Szła od pomostu do domu, najpewniej po porannej kąpieli. Widziałam, jak robiła to wcześniej, nie sprawdzałam zegarka, ale wydaje mi się, że było mniej więcej kwadrans po ósmej.

Karl zatrzymuje się i odwraca, jakby chciał zobaczyć Susanne gnającą ścieżką pod górę. Karen wie, co myśli.

– No właśnie – mówi. – Jeśli potwierdzą się szacunki Brodala na temat czasu zbrodni, to prawdopodobnie została zamordowana chwilę po tym, jak ją widziałam. I nie, nie spotkałam nikogo na drodze. Ale poprosiłam techników, żeby sprawdzili teren koło pomostu, chociaż wątpię, żeby to coś dało.

Sara Inguldsen wita ich na schodach domu Haralda Steena. Kawalek dalej na podwórzu stoi Björn Lange i na ich widok próbuje szybko zgasić papierosa.

– Dzień dobry, szefowo – mówi Inguldsen i przykłada dłoń do daszka czapki.

Karen krótko kiwa głową i zaczyna zeskrobywać glinę z butów, pocierając nimi o kant kamiennego stopnia.

– Dowiedzieliście się czegoś przydatnego?

– Nie za wiele, Harald Steen prawie nic nie powiedział. Niestety był tam na górze, kiedy przyjechaliśmy, więc widział, jak weszliśmy do środka.

Karen zastyga w pół ruchu i wyraźnie po niej widać, że się niepokoi, bo Sara Inguldsen szybko dodaje:

– Nie, nie, nie widział nic z tego, co było w środku, ale zobaczył minę Langego, kiedy ten wyszedł na zewnątrz. I słyszał, jak wzywam karetkę, więc i tak się domyślił. Ponieważ cały posiniał na twarzy, zawiozłam go do domu, a Lange sam tam został.

– Dlaczego Steen nie próbował wejść do środka i jej pomóc? W zgłoszeniu podano, że sądził, że tylko zasłabła albo zemdląca – wcina się Karl Björken.

– Próbował, jak twierdzi, ale drzwi były zamknięte. I to się akurat zgadza, Lange musiał wybić szybę, żebyśmy mogli się dostać do środka. Dziadek musiał najpierw pójść do siebie, żeby zadzwonić pod sto dwanaście, a później pognął z powrotem pod górę do Susanne, żeby tam poczekać na karetkę. Nic dziwnego, że rozboleło go serce.

– Czy teraz wszystko już z nim w porządku? – pyta Karen, kładąc rękę na kłamce.

– Tak, ale jest bardzo zmęczony. Leży na sofie w salonie i możliwe, że usnął.

– Okej, zabierz stąd Langego i spróbujcie coś przekąsić. Długo jesteście na nogach – dodaje, kiedy dociera do niej, że minął cały dzień, odkąd wpadła na Inguldsen i Langego w centrum Dunkeru, a wtedy prawdopodobnie byli już na służbie od kilku godzin. Natychmiast tego żałuje. Nie ma najmniejszego powodu, żeby przypominać jej o tej porannej niezręczności.

– Tak, to był długi dzień dla nas wszystkich – mówi Sara Inguldsen i uśmiecha się szeroko.

Drzwi do salonu są otwarte. Harald Steen leży na sofie, ale nie śpi albo może obudził się, kiedy Karen dyskretnie zapukała we framugę.

– Ach tak, toż to młoda Eiken, proszę, niech wejdzie – mówi i próbuje się podnieść.

– Proszę leżeć, panie Haraldzie – powstrzymuje go Karen i wchodzi do środka, a Karl podąża za nią jak cień. – Mnie już pan zna, a to jest mój kolega Karl Björken. Moglibyśmy usiąść na chwilę?

Harald Steen wykonuje gest w stronę dwóch zmechanicznych foteli obitych brązowym i złotym materiałem. Na stoliku przy sofie stoi do połowy wypita szklanka wody i małe opakowanie tabletek z nitrogliceryną.

– Czuje się pan już lepiej? – pyta Karen, siadając na samym skraju jednego z foteli, i pochyla się do starego mężczyzny. – Musiał to być dla pana potężny szok.

– Tak, ale już trochę mi przeszło. Myślałem, że tylko się poślizgnęła albo zasłała, ale na miłość boską, nigdy bym nie pomyślał, że tak się to może skończyć. Młoda baba...

Karen nagle nie jest pewna, czy do Haralda Steena naprawdę dotarło to, co się stało. Czy nadal sądzi, że chodzi o wypadek? Pochyla się do niego i patrzy mu prosto w oczy.

– Susanne nie zmarła śmiercią naturalną, panie Haraldzie – wyjaśnia. – To dlatego musimy z panem porozmawiać.

Przez kilka sekund dezorientowany Harald przenosi wzrok z Karen na Karla i z powrotem, a chwilę później z całych sił stara się podnieść.

– Nie zmarła śmiercią naturalną? Ale ta pannica mówiła przecież... – Wykonuje gest w stronę otwartych drzwi i Karen dopiero teraz dostrzega, że Sara Inguldsen stoi w nich na straży w granatowym mundurze.

Kogoś zżera tu ciekawość, myśli. Albo ambicja.

– Nie wiedziałam, ile mogę powiedzieć – tłumaczy cicho Sara. – Wyjaśniłam tylko, że Susanne Smeed nie żyje i że zawsze wzywamy lekarza, kiedy ktoś umrze u siebie w domu.

– Okej, ale teraz już idź. Skontaktujemy się z tobą i Langem później, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Karen ponownie odwraca się do Haralda Steena i próbuje uchwycić jego spojrzenie.

– Tak, to prawda, co mówiła posterunkowa Inguldsen. Zawsze tak robimy. Ale w tym przypadku mamy niestety poważne powody, żeby sądzić, że Susanne została... pozbawiona życia.

„Pozbawiona życia”, jakby miało to zabrzmieć lepiej niż „zamordowana”, myśli i nerwowo zerka na małe białe opakowanie z nitrogliceryną. Atak serca mógłby okazać się w tej chwili tragiczny

w skutkach dla Haralda Steena, zapewne zniweczyłby też wszelkie szanse, żeby pozyskać od niego ważne zeznania.

– To dlatego potrzebujemy pana pomocy, rozumie pan – dodaje. – Może widział pan albo słyszał coś, co mogłoby nam pomóc dowiedzieć się, kto...

– Jak? – mówi Harald Steen z nieoczekiwaną siłą w głosie. – Jak zmarła Susanne?

Wreszcie udaje mu się z mozołem usiąść prosto, ale dezorientacja i niepokój pozostają widoczne w jego oczach. Sięga po szklankę z wodą i Karen stwierdza, że wprowadzie dłoń delikatnie mu drży, ale kolor jego twarzy wydaje się już całkiem normalny.

– Dobrze się pan czuje, panie Haraldzie? – pyta wyczekująco. – Chce pan, żebyśmy po kogoś zadzwonili? Ma pan chyba syna na Frisel, może dobrze by było, gdyby przyjechał tu na noc?

Zerka na zegarek: kwadrans po czwartej. Prom z Sande odchodzi w niedzielę co pół godziny. Syn Haralda zjawiłby się tutaj w ciągu kilku godzin.

– Nie, na miłość boską, niech tylko go tu nie sprowadzają – syczy starzec. – Poradzę sobie, zobaczy pani.

– Może w takim razie ktoś inny? – proponuje spokojnie Karl, który siedzi odchylony do tyłu na wysiedzianym fotelu, z jedną długą nogą założoną na drugą, starając się znaleźć oparcie dla notesu. – Żeby nie był pan sam, w każdym razie dziś wieczorem.

– Pomoc domowa przyjdzie koło szóstej – mamrocze Harald Steen. – O ile o mnie nie zapomni, ma się rozumieć.

– Ach, mówi pan, że ma pan pomoc domową. Jak często przychodzi?

Harald Steen rechoce i wygląda na wyraźnie zadowolonego, jakby zapomniał, dlaczego policja siedzi u niego w salonie.

– Taaak, odkąd mam problemy z sercem, przychodzi tu taka babeczka dwa razy dziennie, żeby dać mi jeść, nie dzieje mi się więc żadna krzywda. Poza tym u mnie sprząta, robi to naprawdę dobrze. No ale to Polka, rzecz jasna – dodaje, jakby miało to obniżyć nieco walory świadczonych mu usług.

Karen słyszy tarcie długopisu o papier, kiedy Karl coś zapisuje.

– A w jakich godzinach przychodzi?

– Ta Polka? Tak, z tym bywa różnie. Jakoś tak koło ósmej rano, a potem w porze kolacji. Ale bardzo dziwnie przygotowia. Próbowałem coś

jej powiedzieć, ale...

– Pamięta pan, o której była tu dzisiaj rano? – przerywa mu Karl, zerkając szybko na Karen.

– Tak, dzisiaj była niezwykle późno, może o dziewiątej. Nie, nie, było to chyba jednak dopiero wpół do dziesiątej. W każdym razie nie spałem już od dłuższego czasu, kiedy wreszcie raczyła się zjawić. Pewnie świętowała Oistrę, jak sądzę. Piją na potęgę te Polki, tak słyszałem.

Karen i Karl wymieniają jeszcze jedno spojrzenie.

– Czy coś zwróciło pana uwagę, kiedy czekał pan na pomoc domową? – próbuje Karl. – Chodzi mi o to, czy widział pan kogoś albo może jakiś samochód w pobliżu domu Susanne.

Harald Steen wygląda na zdziwionego.

– Nie... – mówi, ociągając się, i powoli kręci głową, jakby pytanie było dla niego niezrozumiałe. – Jak miałbym coś widzieć, leżałem przecież w łóżku. Robię tak zwykle do czasu, aż dostanę poranną kawę.

Rozpromienia się i Karen wzdycha pod nosem. Do niczego nas to nie doprowadzi, myśli. Zapewne równie dobrze możemy od razu skoncentrować się na tej kobiecie z pomocy społecznej i mieć nadzieję, że ona coś widziała. Dostrzega, że Karl zamyka notes, i jednocześnie próbuje się podnieść ze zmechaconych foteli.

– Ale rzecz jasna, słyszałem samochód.

Karen zatrzymuje się w pół ruchu i kącikiem oka widzi, że Karl robi podobnie. Oboje przyglądają się uważnie Haraldowi Steenowi, opadając z powrotem na fotele.

– Twierdzi pan, że słyszał samochód?

Głos Karla brzmi wymuszenie spokojnie, jakby bał się, że najmniejszy ślad podekscytowania sprawi, że Steen znów straci koncentrację.

– Tak, samochód Susanne, tę japońską kupę złomu, beznadziejny wóz. To dlatego wydało mi się dziwne, że w kuchni pali się światło. I jeszcze dymiło z komina. Pomyślałem sobie: dlaczego tak to zostawiła? Ale nigdy bym nie przypuszczał...

– Jest pan pewien, że to był samochód Susanne? – przerywa mu Karen tak łagodnie, jak tylko może.

Haraldowi Steenowi wymyka się pogardliwe prychnięcie.

– Tak to brzmiało! Kiedy się go zapala, warczy i rzezi jak stara baba. Trudno to z czymś pomylić. To rozrusznik, rzecz jasna, mówiłem Susanne, żeby go wymieniła, ale ona oczywiście nigdy się na to nie zdecydowała.

– I było to, jeszcze zanim przyjechała tu rano pana pomoc domowa? – upewnia się Karl. – Jest pan tego pewien?

– Nie, to było później, ta Polka już tu była. Wtedy właśnie zawołała, że kawa jest gotowa. Sądziliśmy, że to trochę dziwne, że Susanne jedzie gdzieś tak wcześnie w niedzielę. I to jeszcze dzień po Oistrze. To właśnie dlatego była tak późno – dodaje.

– Tak późno? Przed chwilą powiedział pan, że wcześnie.

– Chodzi o tę Polkę, ma się rozumieć. Dopiero przed dziesiątą raczyła się tu zjawić. Najwyraźniej skorzystała z okazji, żeby dłużej sobie pospać. Ale jak to mówią, darowanemu koniowi w zęby się nie zagląda.

– Koło dziesiątej? Jest pan pewien?

– Tak, teraz sobie przypominam, bo słucham wiadomości i pogody co pół godziny. I wtedy zdążyłem już usłyszeć te same stare wiadomości kilka razy, nie mówili nic nowego. Ale pewnie była na Oistrze jak wszyscy inni i wypłała za dużo kwasu. Piją na umór, tak słyszałem. Te Polki, ma się rozumieć.

Karen bierze głęboki wdech i podejmuje ostatnią próbę.

– Twierdzi pan więc, że słyszał, jak samochód Susanne odjeżdża stąd już po przyjeździe pana pomocy domowej?

– Tak, do diabła, tak właśnie sędzę! Powiedziała coś o tym, że ten warkot brzmi jak samochody u niej w kraju, w Polsce. Dobrze z nich babeczki, mimo wszystko.

Karen i Karl upewniają się jeszcze raz, czy Harald Steen nie chce, żeby sprowadzili tu jego syna, i żegnają się. Karen postanawia nie czekać na pomoc domową. Karl spisuje więc numer telefonu Angeliki Nowak z firmy Homecare, której wizytówkę znaleźli na drzwiach lodówki.

– Hmm, jakieś wnioski? – pyta, kiedy wędrują ścieżką z powrotem na górę.

– Jest bardziej pomyłony, niż sądziłam. Minęło wiele lat, odkąd był jedną z wiodących postaci w Langevik. Coś mi majaczy, że zajmował się aukcjami i uchodził za skąpego, ale też bardzo zabawnego. Było to jednak wieki temu. W ostatnich latach widziałam go przeważnie z daleka, tam na dole, we wsi.

– Tak, przy jego orientacji w czasie trudno będzie wyciągnąć sensowne wnioski, chyba nic nie da się wyłuskać z tego bredzenia – mówi ponuro

Karl. – Nawet jeśli któryś z jego domysłów może być przypadkowo słuszny.

– Nie, ale to, że słyszeli samochód Susanne, może być prawdą. Sprawdź to z Angeliką Nowak. Poza tym mogła zwrócić uwagę na coś jeszcze.

– Jeśli dziadek ma rację, oznaczałoby to, że morderca odjechał stąd samochodem ofiary tuż przed dziesiątą.

– Tak, ale samochód w końcu przecież zaginął, więc jest szansa, że faktycznie tak było. Zobaczmy, czy Brodalowi uda się zawęzić przedział czasowy. Spróbuję go przycisnąć.

– Kiedy właściwie zgłosiłaś zaginięcie samochodu?

– Kiedy tylko przyjechałam i zobaczyłam, że go nie ma. Ale było to dopiero koło drugiej.

– A więc morderca miał wystarczająco dużo czasu, żeby opuścić wyspę.

– W takim razie może być na Noorö albo Frisel. W niedziele nie odchodzą promy ani do Esbjerg, ani do Harwich.

– No nie, ale latają samoloty z Lenkeru i z Ravenby. Założę się, że znajdziemy ten samochód koło któregoś lotniska.

– A więc zgodnie z twoją teorią ktoś to wszystko zaplanował? Że zabije Susanne Smeed, a później ucieknie z kraju? Przed chwilą sądziłeś, że chodzi o włamanie. Tak czy inaczej, jeśli masz rację, powinni już byli znaleźć ten samochód, parkingi przy terminalach i lotniskach są sprawdzane w pierwszej kolejności.

Karl Björken wzrusza ramionami, a Karen ciągnie:

– Rozmawiałam z Cornelisem Lootsem. Skontaktował się z portami. Jedyne większe statek wycieczkowy, który opuścił wyspy, płynie do Norwegii. Dwudziestego piątego wyruszyli ze Sztokholmu i przypłynęli przez Kopenhagę do Dunkeru. Teraz są w drodze do Edynburga i zamierzają jeszcze zahaczyć o Szetlandy i norweskie wybrzeże, potem mają wrócić do Szwecji, jeśli wszystko dobrze zrozumiałam. Rejs dla amerykańskich emerytów mających korzenie w Europie Północnej. Ale trudno mi sobie wyobrazić, żeby jakiś bogaty Amerykanin spontanicznie opuścił wygodną luksusową kajutę, przyjechał na rowerze do Langevik i zabił Susanne Smeed.

– Na rowerze?

– Tak, albo autostopem. Jak inaczej miałyby się tutaj dostać? Morderca przecież zwędził wóz Susanne, żeby stąd odjechać, ale nie zostawił po sobie żadnego innego samochodu. Mimo wszystko poprosiłam Lootsa,

żeby skontaktował się z armatorem i wyciągnął od niego listy pasażerów, tak na wszelki wypadek. Ale jeśli twoja teoria, że morderca uciekł z kraju, się potwierdzi, to nie mamy żadnych szans. Porty są dziurawe jak sito.

Karl wciska ręce głęboko do kieszeni i unosi ramiona, chroniąc się przed wiatrem. Karen patrzy na niego i myśli, że powinna wyluzować, nie zasypywać go masą argumentów. Jak jakiś cholerny terier.

– A do tego są jeszcze te małe łodzie z Danii, Holandii i Bóg wie skąd – ciągnie. – Mówimy o tysiącach ludzi, którzy przyплыли tutaj wczoraj i w większości odpłynęli jeszcze przed południem. Dlaczego ci wszyscy idioci musieli przyjechać właśnie na Oistrę?

Karl chichocze.

– Nie mów tak, bo jeszcze Kaldevik albo Haugen cię usłyszą.

Karen wie dokładnie, do czego pije Karl. Na samą myśl o wizycie minister spraw wewnętrznych w komendzie kilka lat temu przechodzą ją ciarki. Przed sezonem letnim Gudrun Kaldevik, przemawiając do zgromadzenia reprezentantów doggerlandzkiej policji, podkreślała, jak ważne jest to, by policja przyczyniła się – chęcią udzielania pomocy i służbą innym – do tego, żeby turyści czuli się tu dobrze i bezpiecznie. Jeden jedyny raz Karen zgodziła się z Johannisenem, który wymamrotał: „A co my, kurwa, jesteśmy pieprzonymi pilotami wycieczek?”.

Wizyta minister była związana z głośnym incydentem, do którego doszło latem rok wcześniej: dwóch nadmiernie skrupulatnych młodych policjantów, którzy pilnowali porządku, zatrzymało pijanego mężczyznę w parku koło ratusza. Niestety, później okazało się, że ów mężczyzna leżał na ławce, bo został pobity i okradziony z portfela i telefonu komórkowego, a jego mamrotanie nie było wcale spowodowane wysoką zawartością alkoholu we krwi, lecz udarem, którego dostał miesiąc wcześniej. W ramach rehabilitacji ten szanowany niemiecki przemysłowiec postanowił udać się z żoną w podróż na Wyspy Doggerlandzkie, co od wielu lat było ich wspólnym marzeniem. Dopiero kiedy żona, po trzech godzinach niespokojnego czekania na męża, który wyszedł z hotelu tylko na krótki spacer, skontaktowała się z policją, cała historia zaczęła się na nowo. Żadne przeprosiny nie były w stanie skłonić pary, żeby została na wyspach. Albo – jak zaznaczyli – żeby ich stopa jeszcze kiedykolwiek tu postąpiła.

O tej historii szeroko rozwodziły się doggerlandzkie, a co gorsza, także niemieckie media. Gudrun Kaldevik – jako minister politycznie

odpowiedzialna za działanie policji – została zmuszona do udzielenia licznych wywiadów w zagranicznych mediach i odkurzenia niemieckiego, którego nie używała od czasów szkolnych, co zaowocowało kilkoma wstydliwymi przejęzyczeniami i 1 337 063 wyświetleniami na YouTube. Jakby tego było mało, stało się to sześć tygodni przed ogłoszeniem Dunkeru kolejną Europejską Stolicą Kultury.

Kiedy minister przemawiała do zgromadzonych policjantów, panowała śmiertelna cisza, a potem Viggo Haugen zapewnił ją, że osobiście zajmie się przeprowadzeniem kulturowej rewolucji wśród załogi. To jego „osobiste doprowadzanie do kulturowej dobrej zmiany w policji” okazało się czymś tak idiotycznym i bez szans na powodzenie, jak brzmiało.

Karen i Karl wspinają się dalej ścieżką w milczeniu, wsłuchując się w szum rzeki mozolnie wpadającej do morza. Karen myśli o tym, co ją czeka i co jest nieuniknione.

– Spróbuj jeszcze dzisiaj złapać Angelikę Nowak. Zastanawiam się, czy nie mógłbyś być świadkiem podczas sekcji? Tak żebym mogła pierwszą rozmowę z Jounasem odbyć w pojedynkę. Może lepiej będzie, jeśli nie wpadniemy do niego oboje.

– Tak, tę przyjemność możesz zachować dla siebie – odpowiada Karl, wzdychając. – Kurde, ale to musi być dla niego cholernie nieprzyjemne.

Karen jest wdzięczna, że Karl nawet nie przypuszcza, że ona nie myśli wcale o Jounasie Smeedzie i jego ewentualnych uczuciach do zamordowanej byłej żony. Dalsze przesłuchania z większą liczbą osób wydają się wprawdzie nieuniknione, ale najpierw musi porozmawiać z nim na osobności. Po raz pierwszy, odkąd zostawiła go chrapiącego w pokoju numer pięćset siedem w hotelu Strand.

Karen jedzie do Dunkeru ze ściśniętym z niepokoju żołądkiem. Jedzie na pamięć, więc jej myśli wędrują swobodnie. Tak często pokonuje tę trasę, że czuje każdy zakręt, zanim w niego wejdzie, widzi każdą kolejną scenerię, jeszcze nim ta ukaże się jej oczom.

Droga do stolicy Heimö ze wschodu, prowadząca wzdłuż wybrzeża, wznosi się lekko i biegnie obok rozległych zboczy ciągnących się od północy, gdzie liściaste zagajniki otaczają kamieniste pastwiska. Białe i szare kłębki wełny poruszają się powoli z opuszczonymi łbami po zboczach, metodycznie przeżuwając trawę. Jeszcze kilka miesięcy owce będą się tutaj pasły, później rozpocznie się jesienny ubój, letnie runo owiec hodowanych na wełnę ma więc jeszcze trochę czasu, żeby podrosnąć, nim za kilka tygodni strzygacze opanują wyspę.

Po drugiej stronie drogi strome skały opadają do morza, które stale przypomina o swojej obecności, cicho szumiąc albo głośno hucząc. Dzisiaj świeża bryza sprawia, że białe gęsi bawią się na powierzchni wody, a słońce przebłyskuje między partiami chmur przemieszczającymi się szybko nad stały ląd.

Z płaskowyżu, który wznosi się na wschód od miasta, otwiera się panorama na Dunker. Ten, kto zdejmie nogę z gazu, może przez chwilę podziwiać całą zatokę. Stąd widać długą promenadę, która ciągnie się od portu na zachodzie, przemienia w piaszczystą plażę i dochodzi aż do klifów na południowym wschodzie. Z kolei temu, kto skieruje wzrok w stronę lądu, uda się zobaczyć wyrzeźbione przez morza miasto ciągnące się nad zatoką. Potem droga zacznie opadać po ostro wijących się zakrętach do jego centralnej części.

Układ Dunkeru stosuje ten sam niezawodny sposób na segregację różnych grup społecznych co inne miasta w Europie. I jak w innych miejscach, gdzie rybołówstwo stanowi główne źródło utrzymania, także i tutaj jądro miasta wychodzi od morza. Budynki ciągną się półpięściami w stronę lądu, a z każdym półkolem zmienia się ich charakter. Od nadmorskiej promenady i bulwaru w stronę portu – niczym mur chroniący przed morzem – wznoszą się okazałe fasady kamienic z piaskowca, bielone kamienice i niskie budowle z czerwonej cegły. Za

nimi znajdują się o wiele bardziej imponujące ceglane domy, które z czasem, wspinając się po drabinie społecznej Doggerlandu, zajmowali fabrykanci, właściciele statków i rozrastająca się klasa średnia. W Thingwalli, wieńczącej Zatokę Dunkerską od północnego zachodu, dominują duże murowane wille z okazałymi działkami między morzem a porastającym wydmy lasem. Tutaj wstęp nadal mają tylko nieliczni: Thingwalla jest i pozostanie luksusową dzielnicą Dunkeru.

Kolejny słuź w miejskiej tkance składa się z osiedli domów szeregowych z lat dwudziestych i trzydziestych dwudziestego wieku: Sande i Lemdal, które w czasach, gdy je budowano, wyznaczały granicę miasta od północnego wschodu i północnego zachodu. Schludne ulice przebiegają tu równolegle do głównych ulic starego miasta i obramowane są identycznymi szarymi murowanymi budynkami powstałymi w okresie optymalizacji zysków w dziedzinie rozwoju społecznego. W Dunkerze aktywnie stawiano na mieszkania, które zlikwidowałyby problem tuberkulozy i reumatyzmu wśród robotników przędzalni, portu i fabryki mydła.

Dzisiaj niemal każdy dom w Sande i Lemdal jest rozbudowany do granic możliwości. Na wąskich działkach, które pierwotnie zaplanowano po to, by każda rodzina mogła uprawiać ziemniaki i warzywa, wykorzystywano teraz najmniejszą lukę w prawie budowlanym.

W kolejnym służu, licząc od epicentrum Dunkeru, znajdują się domy wielorodzinne we wschodniej i zachodniej Odinswalli, a także ulica po ulicy wznoszą się trzypiętrowe bloki z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, które sięgają w głąb lądu. Tereny te wydają się na pozór bezsensownym marnotrawstwem przestrzeni, ma to jednak proste wyjaśnienie: aż do tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego drugiego roku doggerlandzkie prawo zakazywało stawiania nowych budynków powyżej trzech pięter.

W ostatnim półkolu, w dzielnicach Gaarda i Moerbeek, do ostatka wykorzystano zmianę w prawie. Tutaj, najdalej od morskich wiatrów, zabudowę stanowią szare, przypominające koszary ośmiopiętrowe bloki wzniesione w połowie i pod koniec lat siedemdziesiątych. Przyświecająca architektom i budowniczym idea racjonalizowania wykreśliła z planów wszelkie ewentualne potrzeby życia codziennego mieszkańców: potrzebę kontaktu z ziemią, zieleni, chęć posiadania własnego kąta i zakamarki.

Nie ma tu kawiarni, restauracji i handlu na rynku, nie licząc sprzedaży heroiny i amfetaminy, do której dochodzi mniej lub bardziej otwarcie na parkingach albo w którymś rogu jednego z dwóch boisk szkolnych. Wieczorne życie leży tutaj w gestii rywalizujących ze sobą dilerów, obchodzących swoje rewiry, i drobnych złodziejasków, szybko przemykających pod działającymi jeszcze latarniami. Porządni ludzie, którzy z tego czy innego powodu są zmuszeni wrócić do domu po ósmej wieczorem, przyspieszają kroku i szybko zamykają za sobą drzwi, wydając przy tym westchnienie ulgi. W Gaardzie i Moerbecku poczucie bezpieczeństwa można odnaleźć tylko za zaryglowanymi drzwiami, a niektórzy nie mają go nawet tam. Ale ten, kto otworzy wąski lufcik, kiedy wiatr wieje z północnego zachodu, może poczuć zapach mchu z mokradeł w głębi wyspy.

Karen jedzie przez Sande i skręca na zachód w stronę Thingwalli. Dom Jounasa Smeeda znajduje się – jak jej przełożony ma w zwyczaju podkreślać w towarzystwie kolegów z pracy – na skraju tego stylowego obszaru. Nawet jeśli doceniają jego próby zatuszowania swojego pochodzenia, wiedzą dobrze, że rodzina Smeedów nigdy nie znajdowała się – i nie będzie się znajdować – na skraju czegokolwiek. Ich szef mieszka w Thingwalli, koniec kropka.

Patrzy na okazałe, otynkowane na biało wille, jadąc wolno Fågelsångsvägen pod numer dwadzieścia cztery. Dotychczas była tu tylko raz. Kilka lat temu, w czasie fali upałów, Jounas zaprosił do siebie na grilla cały wydział kryminalny wraz z kolegami z sekcji technicznej i prokuratorami. Przy tamtym lejącym się z nieba sierpniowym upale była to miła i odprężająca odmiana.

Wygląda na to, że meteorologowie mieli rację, myśli Karen. Chmury zebrały się nad wyspą i kiedy otwiera drzwi samochodowe i sięga na fotel pasażera po kurtkę, czuje pierwszy podmuch zimnego wiatru, który według prognozy miał wiać w ciągu dnia z północnego zachodu. Drży i zerka w stronę budynku, gdzie puste okna wydają się ślepo na nią spoglądać. W tym dużym domu nie pali się ani jedna lampa, nie sposób dojrzeć ruchu za którymś z czarnych okien ani w tej części ogrodu, którą widać z ulicy.

Może nie ma go w domu, błyskawicznie przelatuje jej przez głowę irracjonalny promyk nadziei. Sekundę później słyszy warkot samochodu

zbliżającego się z dużą prędkością. Obraca się dookoła i widzi czarnego lexusa metalik, który z piskiem opon hamuje za jej starym fordem rangerem. Ich spojrzenia się spotykają. Jounas Smeed siedzi kilka sekund za kierownicą, a potem wrzuca jedynkę i nie kiwnąwszy do niej nawet głową, wolno przejeżdża dalej w stronę garażu.

Karen patrzy na jego samochód i ogarnia ją niechęć – będzie to dokładnie tak nieprzyjemne, jak się tego obawiała. Ciężkim krokiem idzie wjazdem do budynku i dociera tam w tej samej chwili, gdy jej szef zamyka drzwi garażowe. W ciszy okrążają narożnik domu i zbiegają razem do wejścia kuchennego.

– Napijesz się? – pyta Jounas i podnosi butelkę whisky, którą wziął z marmurowego blatu nad jedną z szafek kuchennych.

Karen rozpoznaje swój ulubiony trunek z destylarni Grotha na północy Noorö. Kręci głową. Jounas bierze szklanekę z szafki i wychodzi z kuchni. Nic nie mówi, ale ledwie dostrzegalne uniesienie brody wskazuje, że Karen ma pójść za nim.

Początkowa nerwowość przemienia się w narastającą irytację – gania za swoim szefem jak dobrze wytresowany pies. Człapie za nim bez słowa po lśniącym parkiecie i grubych dywanach w ciemnym domu. Mijają duży przedpokój, gdzie nad okrągłym stolikiem z wazą wypełnioną zwiędłymi tulipanami zwisa gigantyczny żyrandol. Na górę, na ciemne piętro, majestatycznie prowadzą szerokie schody. Na lewo od schodów Karen dostrzega coś, co wygląda jak gabinet, a później, kiedy mijają bibliotekę, spogląda na zielone fotele chesterfield ustawione przed bogato zdobionym kominkiem i polakierowanymi na ciemny kolor regałami.

Oczami wyobraźni widzi zalękniony pedantyzm w bezosobowym salonie Susanne Smeed. Mimo dziesięciu lat małżeństwa kontrast między jej domem a domem Jounasa jest wręcz krępująco wyraźny. Najwyraźniej Susanne nie dostała po rozwodzie nic z majątku Smeedów.

Jounas idzie dalej do dużego prostokątnego salonu i zapala oświetlenie sufitowe. Ostre światło sprawia, że Karen mruży oczy, a pokój odbija się w szybie okiennej, która pokrywa całą dłuższą ścianę. Karen podchodzi do przeszklonych drzwi, przez moment stoi bez ruchu i wygląda na ogród. Obok fasady znajduje się wyłożony drewnem taras w kształcie litery L z dobrze wyposażoną zewnętrzną kuchnią na jednym końcu – pod wygiętym daszkiem z dachówki gnieźdzą się gigantyczny grill i lśniące przyrządy kuchenne. Po skosie na prawo stoi długi stół na dwanaście osób, a dalej przy basenie rozłożone są wygodne meble ogrodowe pod olbrzymim parasolem.

Powinien był go złożyć, myśli Karen. Zaraz będzie wiało.

Wciąż cały zielony miękki trawnik równo opada do morza. Karen nie widzi z tego miejsca wody, ale wie, że niżej znajduje się prywatna piaszczysta plaża. Nie dalej jak w lecie przyglądała się jej z zazdrością od

strony wody, kiedy przepływała tędy motorówką. Większość willi ma własne pomosty, przy których stoją zakotwiczone ekskluzywne jachty, czekając, aż pod koniec sezonu zostaną odstawione do portu półtora kilometra stąd na północ.

Unosi wzrok w kierunku horyzontu, gdzie morze zabarwia się na niebieskoszary kolor pod mocno zachmurzonym niebem. W tym samym momencie widzi, jak poryw wiatru trzęsie parasolem i pierwsze krople deszczu spadają na miękką jak srebro powierzchnię drewna cumaru. Naprawdę powinnam mu powiedzieć, żeby złożył ten parasol, myśli.

Zamiast tego obraca się i widzi, jak Jounas Smeed zsuwa się na jednym z czterech foteli. W na pozór niedbałej, półleżącej pozycji wyciąga nogi przed siebie. Jedna ręka zwisa prosto do ziemi obok podłokietnika, a koniuszki palców niemal muskają podłogę, w drugiej trzyma szklankę whisky, którą balansuje na wysokości piersi.

– No więc, Eiken – mówi od niechcienia. – Jak zamierzasz to rozegrać?

– Hmm, rozumiesz chyba, że muszę z tobą porozmawiać...

– „Pełniąca obowiązki naczelnika wydziału kryminalnego”. Powinienem ci chyba pogratulować. Świetny dzień w robocie, co nie?

– Daj spokój. To nie ja o tym zdecydowałam.

– Ale podoba ci się to. No przynajmniej się przyznaj.

– Jasne. Rozkoszuję się bezgranicznie każdą sekundą. – Natychmiast żałuje doboru słów; wie, że Jounas wykorzysta pierwszą nadarzącą się okazję, żeby jej dogryźć.

– To tak jak w nocy. A w ogóle dlaczego uciekłaś bez pożegnania?

– Hmm, a jak myślisz? To wszystko to była pomyłka. Cholernie duża pomyłka i mam nadzieję, że zapomnimy o tym jak najszybciej. W porządku?

Jounas Smeed poprawia się trochę w fotelu i upija głęboki łyk ze szklanki. Potem wbija w nią wzrok i smutno uśmiecha się kącikiem ust.

– W porządku – mówi. – Co chcesz wiedzieć?

Karen chrząka i sięga do kieszeni po notatnik, ale zatrzymuje się i postanawia dać sobie spokój. Sytuacja jest wystarczająco napięta i ryzykownie jest podkreślać odwróconą hierarchię między nimi bardziej niż to konieczne. Odpowiedzi na te kilka pytań, które zamierza zadać, powinna zapamiętać. Chcąc zachować przynajmniej małą część autorytetu, z którego ją odarł, postanawia nie siadać.

– Hmm, na początek bądź tak miły i powiedz mi, gdzie byłeś między siódmą a dziesiątą rano.

Odgłos, który z siebie wydaje, brzmi jak coś między parsknięciem a oschłym śmiechem.

– Daj spokój, co to ma być? Brodal nie umie tego dokładniej określić? Boże, świetnie się to zaczyna...

Pozornie rozweselony Jounas opróżnia szklanekę i wstaje.

Przez moment Karen sądzi, że zamierza opuścić pokój, ale potem widzi, jak zamiast tego podchodzi do długiego stołu. Jego plecy przesłaniają widok, ale słyszy dźwięk metalu trącego o szkło podczas odkręcania butelki i słaby plusk, gdy druga porcja whisky ląduje w szklance. Jounas kołysze się lekko, kiedy się obraca, i Karen myśli, że nie był to raczej pierwszy kieliszek, który jej szef wychylił tego dnia. Najpewniej musiał mieć już kilka za sobą, kiedy przyjechał swoim cholernym snobistycznym autem. Chwilę później przypomina sobie własną podróż z Dunkeru do domu tego ranka. Jeśli media dowiedziałyby się, ile promili we krwi ma tego dnia doggerlandzka policja, wystarczyłoby to na długą serię radosnych podskoków w redakcjach. Jednak kwestią czasu pozostaje, kiedy pojawi się coś innego, co sprawi, że rozradowani będą zacierać ręce. Dzisiaj pewnie także większość dziennikarzy w tym mieście leczy kaca, ale taki stan ma określony termin, który w każdej chwili może upłynąć. Wiadomość o morderstwie Susanne Smeed rozejdzie się po wyspie lotem błyskawicy.

– Możesz odpowiedzieć na moje pytanie? – mówi spokojnie, kiedy Jounas znów opada na fotel. – Co robiłeś dzisiaj rano?

– Taaak, wiesz to chyba równie dobrze jak ja.

Przygląda się jej z uniesionymi brwiami.

– Wyszłam z pokoju mniej więcej dwadzieścia po siódmej – broni się Karen. – Później przynajmniej ja nie mogę dać ci alibi. Co robiłeś, kiedy sobie poszłam?

– Dwadzieścia po siódmej, tak? A później pojechałaś do domu – mówi Jounas w zadumie, w ogóle nie zważając na jej pytanie. – Obok domu Susanne? Bo chyba tylko przejeżdżałaś, a może się zatrzymałaś?

– Co ty, do diabła, insynuujesz?

– Ciii. Uspokój się, skarbie.

– I jaki niby miałabym, do cholery, powód, żeby odbierać życie twojej byłej? Ty z kolei prawdopodobnie miałeś... – Nagle milknie i dociera do

niej, że dała się zwabić prosto w jego pułapkę; jeszcze raz doprowadził do tego, że straciła nad sobą kontrolę.

Kilkoma słowami udało mu się zburzyć budowaną latami z takim trudem obojętność na jego monotematyczne drwiny. Karen kilka razy odдыcha głęboko i siada na samym skraju długiej białej kanapy. Spina plecy i zapiera się nogami, żeby nie zapaść się w miękkich poduszkach.

– Proszę cię, Jounas – mówi z wymuszonym spokojem. – Czy nie możesz po prostu powiedzieć, co robiłeś między godziną, niech będzie, dwadzieścia po siódmej a dziesiątą rano? Wiesz dobrze, że muszę o to spytać.

– Wróciłem do domu koło dziesiątej na potwornym kacu – odpowiada niespodziewanie pokornie. – Wcześniej tak jak ty: obudziłem się, wyrzygałem i wymknąłem z hotelu z podkulonym ogonem.

Karen ignoruje przytyk.

– O której opuściłeś hotel? – Wpół do dziesiątej, mniej więcej.

– Czy ktoś cię widział? Chodzi mi o recepcję.

– Z tego, co wiem, to nikt, do cholery. Nie, nie wydaje mi się, żeby ktoś tam siedział, ale nie zwracałem na to szczególnej uwagi, zapłaciłem, kiedy się meldowałem. Chciałem powiedzieć: kiedy *my* się meldowaliśmy.

Karen przez moment bije się z myślą, czy powinna zaproponować, że zwróci mu połowę kosztów za pokój, ale decyduje się odpuścić. Im mniej o tym mówią, tym lepiej.

– Pojechałeś do domu samochodem czy poszedłeś pieszo? – pyta zamiast tego.

– Poszedłem. Zajmuje to tylko dwadzieścia minut, potrzebowałem świeżego powietrza. Samochód zostawiłem na parkingu koło ratusza. Tak właściwie to obok twojego, nie zauważyłaś?

Czy stał tam samochód Jounasa? Może, ale przez spotkanie z Inguldsen i Langem miała inne zmartwienia na głowie.

– Nie parkujesz zwykle w garażu pod komendą?

– Zaparkowałem tam wcześniej w ciągu dnia. Ale zostałem do późna w pracy, miałem zły humor i zamierzałem pojechać prosto do domu. Kiedy znalazłem się na dole w samochodzie i wyjechałem na Redehusgate, zmieniłem jednak zdanie. Pomyślałem: bądź co bądź jest Oistra i trzeba wszamać przynajmniej pół tuzina ostryg i wypić kilka piw, zanim się wróci do domu. Zostawiłem samochód na parkingu z myślą, że

odbiorę go najwyżej za jakąś godzinę. No ale stało się, jak się stało. Sama wiesz.

Kilka piw z nawiązką, pomyślała. Ten Jounas, którego spotkała tamtego wieczoru, wypił zdecydowanie więcej niż kilka piw, raczej kilka butelek wina.

– Spotkałeś kogoś? Chodzi mi o rano, kiedy szedłeś do domu.

Jounas sprawia wrażenie, jakby się zastanawiał, a jej nasuwa się myśl, że odstawia szopkę. To pytanie bez wątpienia powinien był sobie sam zadać. Kiedy tylko dowiedział się, że jego była żona została zamordowana, musiał mieć jasność, że będzie zmuszony wyznać, gdzie się znajdował w chwili morderstwa. To i jeszcze wiele innych rzeczy. Na co mu ta cała pokazówka? Myśli i obserwuje zmarszczki na zamyślonym czole szefa.

– Tak, właściwie to tak – mówi po chwili. – Żula na promenadzie, który pytał, czy mam papierosy. Miałem, ale wątpię, żeby był w stanie powiedzieć, która dokładniej była wtedy godzina, jeśli nawet jakimś cudem uda ci się go namierzyć. Nie sądzę, żeby miał jakiś stały adres, biorąc pod uwagę, że wszystko ciągnął ze sobą.

– Jak wyglądał?

– Hmm, tak jak zwykle wyglądają żule: brudny i zarośnięty. Ciągnął ze sobą stary wózek sklepowy z pustymi butelkami i innymi śmieciami.

– I nie widziałeś nikogo innego? Z nikim nie rozmawiałeś?

– A jak myślisz? Ile osób spotkałaś dzisiaj rano?

Karen znów myśli o Björnne Langem i Sarze Inguldsen i postanawia zlekceważyć to pytanie.

– A później?

– Poszedłem do domu, zaległem na sofie i obudził mnie dopiero telefon Vigga Haugena tuż przed pierwszą. Wtedy dowiedziałem się, co się stało. Próbowałem dodzwonić się do Sigrid, ale nie odbierała.

– Twoja córka – mówi Karen i widzi przed sobą zdjęcie szczerbatej sześciolatki na gzymsie kominka Susanne Smeed.

– Tak, a kiedy się nie dodzwoniłem, postanowiłem do niej pojechać. Często nie odbiera telefonu, kiedy dzwonię. Nie chciałem, żeby usłyszała od kogoś innego, że jej mama nie żyje.

Karen kiwa krótko głową. Brzmi to sensownie, niemalże ludzko.

– Więc wróciłem do miasta po samochód i pojechałem do Gaardy. *Tak*, mieszka tam – dodaje poirytowanym głosem, jakby zbyt wiele razy

widział już uniesione brwi.

Najwyraźniej Karen nie udało się ukryć zdziwienia, że przyszła dziedziczka fortuny Smeedów zdecydowała się zamieszkać w jednym z szarych klocków z mieszkaniami czynszowymi na północ od miasta.

– Udało ci się ją zastać?

– Tak. Wpuściła mnie do siebie, nawet na dziesięć minut.

Jego ton nie jest zgorzkniały, raczej lekko zdziwiony tym, że udało mu się porozmawiać z córką. W którymś momencie będzie musiała się dowiedzieć, o co w tym chodzi, myśli Karen, ale nie teraz.

– Jak to zniosła? – pyta zamiast tego i widzi, jak cień irytacji przemyka przez twarz Jounasa.

– Sama chyba możesz ją o to spytać. Jestem pewien, że nie będziesz zbyt zwlekać z przesłuchaniem córki zamordowanej ofiary, i to niezależnie od tego, jak się czuje.

Jego głos znów stał się bardziej zacięty. Jounas podniósł się gwałtownie. Zachwiał się, ale udało mu się odzyskać równowagę.

– Nie mam nic więcej do dodania – powiedział, nie patrząc Karen w oczy.

Powoli wstała i powiedziała spokojnie:

– Okej, niech będzie. Ale będę musiała jeszcze z tobą porozmawiać, pewnie już jutro. Jeszcze tylko jedno pytanie, zanim pójdę.

Jounas, który podszedł do okna, stoi zwrócony plecami do niej i spogląda na ogród. Na zewnątrz deszcz się wzmógł, Karen widzi, jak parasol wygina się na wietrze.

– Kiedy ostatnio widziałeś Susanne?

– Idź do diabła, Eiken – mówi Jounas Smeed i przesuwając na bok szklane drzwi. – Możesz już iść.

Wiatr i deszcz smagają ją po twarzy, jakby chciały ją spoliczkować. Przez ten krótki czas, który spędziła w domu szefa, temperatura musiała obniżyć się o kilka stopni. Drewniane płytki wydają się zdradziecko śliskie pod jej ciężkimi podszewkami i Karen ostrożnie schodzi po trzech stopniach na żwirową ścieżkę. Zanim skręci za winkle, obraca się jeszcze i patrzy na oświetlony salon. Jounas Smeed znowu stoi przy bocznym stoliku i odkręca opróżnioną do połowy butelkę Grotha single malt. Potem Karen słyszy łomot wywracającego się parasola.

Langevik, marzec 1970 roku

Per Lindgren zamyka oczy i odchyła się. Sprawia wrażenie, jakby lekko się unosił, dryfował nad ziemią niesiony otaczającymi go dźwiękami. Słabym szumem wciąż nagich koron drzew i okrzykami mew szybujących nad morzem i wpatrujących się z nadzieją w wodę. Nie macie nawet co próbować, myśli Per, spotka was tylko zawód, tak jak mnie. Ani mewy, ani on nie dostaną na obiad ryby. Nie tutaj. Mięso, rzecz jasna, nie wchodzi w rachubę, nic takiego nie przeszłoby mu nawet przez myśl, ale jeśli chodzi o ryby, to dyskutowali, czy nie powinno się ich dopuścić. Część była za, część twardo przeciw. Większością głosów zdecydowali, że w komunie nie będzie wolno jeść ani ryb, ani skorupiaków, w przeciwieństwie do jajek, ale tylko od własnych kur albo gęsi.

Per Lindgren uśmiecha się na myśl o dyskusjach poprzedzających przeprowadzkę tutaj. Ingela zagroziła, że z Tomaszem wycofają się z całego przedsięwzięcia, jeśli zaczną odstępować od wegetariańskich ideałów. Brandon najchętniej widziałby na śniadanie zarówno jajka, jak i bekon, ale pod wpływem ostrzegawczych spojrzeń Janet postąpił na tyle mądrze, że zadowolił się tylko jedną z tych rzeczy. Co się tyczy Thea, dowiedzą się dopiero jutro; Holender ma dołączyć do ich wspólnoty dzień później. Theo Rep jest przyjacielem Janet i Brandona z czasów w Amsterdamie; pozostali wprawdzie go nie spotkali, ale Janet i Brandon ręczyli, że jest ulepiony z właściwej gliny. Poza tym posiada uaza, gazika. Per zastanawia się, skąd temu typowi udało się wytrzasnąć radzieckiego minibusa. Pojazd terenowy, w którym zmieści się wiele osób, jest dokładnie tym, czego im trzeba na wyspie.

Mają pół roku. Na tyle wystarczy im pieniędzy na utrzymanie, kiedy będą budować swoją wspólną przyszłość w gospodarstwie. Będą musieli oglądać każdego drobniaka, żyć skromnie, aż wreszcie uda się im zebrać plony. Każdy dał tyle, ile mógł, zrzucili się wedle możliwości. Tomasz i Ingela dali dwa tysiące, Disa swoją wiedzę, Brandon kontakty – jakie dokładnie i do czego miałyby się im przydać, Per nie jest pewien – Janet

kilkaset funtów, które odziedziczyła po babci, a Theo gazika i kilka sadzonek.

I jeszcze jego ukochana Anne-Marie; bez niej nic by z tego nie wyszło. Kiedy otrzymała wiadomość, że jej dziadek zmarł, nie znaczyło to dla nich nic więcej niż to, że jakiś starzec, którego nigdy nie spotkała, ojciec jej ojca, którego ledwie pamiętała, kopnął najwyraźniej w kalendarz. Nigdy nie była w Doggerlandzie, ledwie zdawała sobie sprawę, że ma w tym kraju korzenie. A teraz, znienacka, została właścicielką gospodarstwa Lothorp na północ od Langevik na wyspie Heimö. Nazwy te brzmiały obco, prawie egzotycznie. Firma adwokacka wyraziła się jednak jasno: jeśli tylko Anne-Marie zechce, z wielką chęcią zajmą się sprzedażą gospodarstwa, otaczających je pastwisk i rozległych lasów, które wchodziły w skład spadku. Ale jeśli chce go zachować, musi dopilnować, żeby ktoś zajął się majątkiem. Albo sama się nim zająć.

Zastanawiali się zaledwie tydzień, potem podjęli decyzję.

Per aż się wzdryga, słysząc, jak dobrze znane mu odgłosy biegających i śmiejących się dzieci zostają przerwane przez łomot towarzyszący upadkowi na żwirowy plac. Cicho liczy: raz, dwa, trzy i na cztery rozlega się krzyk. Sekundę później słychać łagodny głos Disy pocieszającej dziecko po duńsku:

– Ojoj, nic takiego się nie stało.

Per z zamkniętymi oczami wsłuchuje się w cichnący płacz, jednocześnie w domu rozlega się krzyk innego dziecka, a chwilę później następnego.

– Zajmę się tym – mówi Tomas i Per oczami wyobraźni widzi, jak przyjaciel podnosi Love'a do swojego nosa i z wprawą obwąchuje, czy nie trzeba mu zmienić pieluchy, a później bierze na ręce Oriana i pociesza go. Kąpanie, przebieranie i pocieszanie to zajęcia Tomasa, Ingela odpowiada za karmienie. I Tomas przykłada się do swoich zadań, chociaż dzieci nie są jego. Jest tak zakochany, że prawdopodobnie zgodziłby się na wszystko, żeby tylko tym razem zatrzymać Ingelę. Teraz, kiedy po wielu latach rozłąki wreszcie znów się ze sobą zesli.

A potem Per myśli, że Tomas wywiązuje się z tych obowiązków z taką dokładnością, jaką kiedyś – gdy byli mali – wykazywał przy budowaniu modeli samolotów. Wciąż pamięta zapach kleju, którego używali do łączenia maleńkich części rozłożonych na biurku w dziecięcym pokoju

Tomasa. Jemu często brakowało koniecznej cierpliwości, więc przeważnie zostawiał swojego najlepszego przyjaciela z małymi szarymi częściami z plastiku, a sam poświęcał się jego kolekcji płyt. Wuj Tomasa pracował w branży muzycznej i zaopatrywał bratanka w najnowsze płyty, o których Per tylko mógł pomarzyć.

– Możesz ją sobie wziąć – mawiał Tomasz, gdy widział, jak Per ze zmrużonymi oczami studiuje każdą literkę na tylnej stronie okładki jakiegoś singla, któremu on sam nie poświęcił nawet jednej myśli. – Weź ją, jeśli chcesz, mam ich tyle.

Nagle słychać dzwonienie porcelany i sztuców wkładanych na miejsce, skrzypiący odgłos korka, który stawia opór podczas wyciągania go z butelki, aż wreszcie z pyknięciem kapituluje. Gorączkowy stukot nóg wchodzących do domu i wychodzących na zewnątrz, szybkie kroki, żeby coś przynieść i postawić na stole. I do tego głosy. Głosy, które się podnoszą i opadają, zanoszą śmiechem, ktoś do kogoś krzyczy, żeby zabrać coś ze sobą z kuchni.

Odgłos przyjęcia.

Naprawdę powinien się podnieść i pomóc, ale nie może się przemóc, żeby opuścić swoje sny na jawie. A teraz Brandon zaczyna nucić *I Feel Like I'm Fixin' to Die-Rag*, a ktoś inny, jakaś kobieta – czyżby Ingela? – dołącza się, lekko fałszując. Nie może nadażyć – ani jeśli chodzi o tekst, ani o tempo Brandona – ale kiedy przychodzi pora na refren, wszyscy śpiewają razem przez śmiech:

*And it's one, two, three,
What are we fighting for?
Don't ask me, I don't give a damn,
Next stop is Vietnam*

Chwilę później Per uświadamia sobie, że otworzył oczy i sam śpiewa razem z nimi. Napotyka wzrok Anne-Marie i razem poruszają ustami, kiedy zbliża się do niego komicznym tanecznym krokiem.

*And it's five, six, seven,
Open up the pearly gates...*

Potem siada mu na kolanach, obsypuje pocałunkami jego szyję, a on czuje łaskotanie wzmagające się pod jego cienką skórą.

– Dobrze zrobiłeś – mamrocze Anne-Marie.

– Dobrze zrobiliśmy, chciałaś tego chyba równie mocno co ja?

Czuje, jak Anne-Marie przytakuje, przykłada usta do jego szyi. Tak, ona też tego chciała.

I tak się też stało: pomysł był jego od samego początku, ale decyzję podjęli wspólnie. Żeby zerwać ze wszystkim, zostawić to za sobą i zacząć od nowa.

Tym razem zupełnie inne życie.

Jedynie na dwóch piętrach komendy w Dunkerze pali się światło. W recepcji na parterze wąski strumień przeciska się zza drzwi windy na Redehusgate, reszta sześciokondygnacyjnego budynku przypominającego bunkier spowita jest w mroku.

Organizacyjnie policja w Republice Doggerlandzkiej podzielona jest między cztery główne dystrykty: północne i południowe Heimö, Frisel i Noorö. Poszczególne okręgi dzielą się na lokalne posterunki, w których prowadzi się większość codziennych spraw. Wszystkie poważne przestępstwa, za które grozi kara od pięciu lat więzienia wzwyż, rozpracowuje centralny Wydział Kryminalny Policji w Doggerlandzie, potocznie nazywany WKPD. Wydział ten zajmuje trzecie piętro, nad jednostką porządkową, czyli drogówką, i pod sekcją techniczną i działem informatycznym mieszczącymi się na czwartym piętrze.

Klinikę, jak masywny szary betonowy bunkier nazywa większość policjantów, którzy mają wątpliwą przyjemność w nim pracować, zbudowano na pustej przestrzeni, która powstała po zrównaniu z ziemią – mimo zaciętych protestów – czterech przecznic drewnianej zabudowy z osiemnastego wieku. Teraz ten kolos rzuca cień na piękny stary ratusz, który przekornie trwa na straży po drugiej stronie ulicy.

Tego wieczoru kwadrans po siódmej osiem osób zebrało się w największej sali narad na trzecim piętrze. Wydział kryminalny reprezentują – poza pełniącą obowiązki naczelnika Karen Eiken Hornby – dwaj komisarze, Karl Björken i Evald Johannisen, oraz aspiranci Astrid Nielsen i Cornelis Loots. Na miejscu jest też Sören Larsen, szef sekcji technicznej, i Kneought Brodal, lekarz sądowy, a telefonicznie łączy się z nimi dyżurująca prokurator Dineke Vegen.

Karen spogląda na zebranych rozproszonych wokół długiego stołu konferencyjnego. Stojący pod świetlówką półmisek z podeschniętymi kanapkami, termos i krzywa wieża z plastikowych kubeczków stanowią odizolowaną martwą naturę. Nikt nie kwapi się jednak, żeby po coś z niej sięgnąć.

– Dobrze, jesteśmy już wszyscy – mówi Karen. – Witam i dziękuję, że się tu pofatygowaliście. Wszyscy jesteśmy zmęczeni, więc nie ma powodu,

żeby bez potrzeby przedłużać to spotkanie, ale musimy odbyć naszą pierwszą wspólną naradę. Chciałabym zacząć od przedstawienia kilku podstawowych faktów.

Nikt nie protestuje, słysząc tylko złowieszcze skrzypienie krzesła, na którym Evald Johannisen próbuje zmienić pozycję, przeciągłe ziewnięcie Kneoughta Brodala i szelest, gdy Astrid Nielsen wyciąga z torebki tabletkę na gardło. Karen obserwuje wysoką, blondwłosą i prowokująco dobrze wytrenowaną koleżankę i odruchowo się prostuje, wciąga brzuch, a potem odchrząkuje i mówi dalej:

– Dzisiaj o godzinie jedenastej pięćdziesiąt pięć dyżurny odebrał zgłoszenie z centrum alarmowego. Sześć minut wcześniej, czyli o jedenastej czterdzieści dziewięć, zadzwonił do nich niejaki Harald Steen, zamieszkały w północnej części Langevik. Zgłosił, że pewna kobieta wyróciła się i coś się jej stało we własnej kuchni. Według operatora numeru alarmowego Steen nie był w stanie powiedzieć, czy kobieta jest ciężko ranna, bo widział ją jedynie przez okno. A dokładniej mówiąc, widział jedynie jej stopy i nogi od kolan w dół.

Kolejne ziewnięcie – najpierw Brodal, a sekundę później Cornelis Loots, który próbuje zasłonić otwarte usta wierzchem dłoni. Karen czuje, jak traci pewność siebie. Tutaj nie chodzi o mnie, to był po prostu długi dzień, powtarza sobie i ciągnie:

– Operator bardzo roztropnie zdecydował posłać tam nie tylko karetkę, lecz także skontaktować się z dyżurującym policjantem. O dwunastej dwadzieścia pięć na miejsce przybyli posterunkowi Inguldsen i Lange, co oznacza, że dotarli tam tuż przed karetką. Udało im się, po włamaniu do środka, szybko stwierdzić, że leżąca na kuchennej posadzce kobieta nie żyje i ma ciężkie obrażenia twarzy. Harald Steen wciąż przebywał koło domu i potwierdził, że denatką jest Susanne Smeed.

To, co dotąd zrelacjonowała Karen, nie było żadną nowością dla nikogo w tym pomieszczeniu, mimo to wspomnienie nazwiska byłej żony naczelnika wywołało powszechne skrzypienie krzesel, bo wielu zebranych w konsternacji zmieniło pozycję.

– A skąd on, do cholery, mógł wiedzieć, że to ona? Czy ci idioci wpuścili tego dziadygę do środka?

Na te słowa wszyscy obracają się w stronę Evalda Johannisena. Karen przygląda się uniesionym brwiom kolegi, słyszy niezadowolenie w jego

głosie i wie, że tym razem chodzi akurat o nią personalnie. Johannisen nie będzie jej ułatwiał sprawy.

– Nie – mówi spokojnie – ale Susanne Smeed była jego najbliższą sąsiadką i wiedział, że mieszka sama w tym domu. Ale oczywiście, masz rację, Evald, Steen *założył*, że to Susanne Smeed.

– A teraz już *wiemy* na pewno, że to ona – rozległ się opryskliwy głos z drugiego końca stołu. – Możemy przejść dalej?

Kneought Brodal siedzi wygodnie z oczami przymkniętymi do połowy i rękami splecionymi na okazałym brzuchu.

– Dziękuję, Kneought – mówi Karen. – Za chwilę dojdziemy do twojego raportu. Tak, więc powodem, dla którego stoję tutaj ja, a nie Jounas Smeed, jest właśnie fakt, że denatką jest jego była żona. W związku z tym naczelnik policji postanowił, że na czas śledztwa Jounas Smeed zostanie zawieszony i przez ten czas to ja będę pełniła obowiązki naczelnika wydziału kryminalnego, a także prowadziła śledztwo.

W sali nadal panuje cisza. Karen opiera się impulsowi, żeby wziąć łyk wody, i mówi:

– Rozumiem, że jest to trudna sytuacja dla nas wszystkich, do tego, jak sami rozumiecie, sprawa wzbudza duże zainteresowanie mediów. Dlatego jeszcze ważniejsze niż zwykle jest to, żeby z tej grupy nic nie wyciekało. Kontaktami z mediami zajmie się na razie Viggo Haugen. Będę informować jego i rzecznika prasowego na bieżąco o wszystkim, co dzieje się w śledztwie.

– Pismaki nie będą tym zachwycone – mówi Karl Björken, uśmiechając się przy tym krzywo. – Zawsze chcą rozmawiać z prowadzącym śledztwo i będą robić wszystko, żeby obejść Haugena i dotrzeć do ciebie.

– Tak, ale tak zostało postanowione – ucina Karen krótko. – Wszystko ma przechodzić przez dział prasowy i Vigga Haugena. Ani wy, ani ja nie odpowiadamy na żadne pytania mediów aż do odwołania. Żadnych przecieków na temat czasu zbrodni, narzędzia ani sposobu, w jaki dokonano zabójstwa. Żadnych wypowiedzi na temat osoby Jounasa ani jego małżeństwa z Susanne czy czegoś podobnego. Tym razem trzymamy języki za zębami. Okej?

Zaskakuje ją autorytaryzm w jej własnym głosie. Jest to dokładnie ten ton, który najciężej jej znieść, kiedy dochodzi z ust przełożonego; taki rodzaj prewencyjnego strofowania.

– W takim razie myślę, że oddamy ci teraz głos, Kneought, bo zaraz zaśniesz – dorzuca z krzywym uśmiechem i sięga po szklanekę z wodą.

Lekarz sądowy przywołuje pierwszą stronę swojej prezentacji i wszystkie spojrzenia kierują się na duży ekran wiszący na krótszej ścianie. Chwilę później słychać, jak wstrzymują oddech. Na zdjęciu widać leżącą na plecach Susanne Smeed ze zmasakrowaną twarzą i głową obróconą pod ostrym kątem obok narożnika dużej połyskującej czarnej kuchni żeliwnej. Wśród rozmazanej krwi lśnią resztki roztrzaskanej szczyki wykrzywionej w groteskowym uśmiechu.

Karen dostrzega, że piegowata skóra Cornelisa Lootsa błyskawicznie staje się jeszcze o ton jaśniejsza. Szybko odwraca on głowę i kilka razy przejeżdża ręką po rudych włosach, jakby próbował sam siebie rozproszyć. Siedzący obok Karl Björken stanowi jego wyraźne przeciwieństwo zarówno pod względem wyglądu, jak i reakcji: równo uczesane kruczoczarne włosy lśnią jak lustro, a ciemne oczy bez ustanku wpatrują się w ekran. Tylko ten, kto dobrze go zna, wie, co znaczy lekko rysujący się mięsień przy górnej szczęce. Karl Björken pod żadnym względem nie pozostaje nieporuszony.

Nawet Astrid Nielsen wygląda, jakby na moment straciła swoje chłodne opanowanie.

– Boże – mamrocze i sięga po torebkę z proszkami na gardło.

– Zakończyłem sekcję pół godziny temu – mówi Kneought Brodal. – Pełen raport napiszę jutro, ale już teraz dostaniecie najważniejsze informacje. I tak, spróbuję mówić w taki sposób, żeby zrozumieli to nawet doggerlandzcy policjanci – dodaje, jakby odpowiadał na pytanie, chociaż nikt go nie zadał; najwyraźniej słyszał je dużo częściej, niżby sobie tego życzył.

Brodal przywołuje kolejne zdjęcie: zbliżenie twarzy Susanne Smeed, i Karen zmusza się, żeby jeszcze raz się mu przyjrzeć. Ma przykrą świadomość, że wzrok wszystkich zaraz oderwie się od zdjęcia i skieruje na nią. Szukając u niej odpowiedzi, której jeszcze nie zna, oczekując, że poprowadzi ich przez to śledztwo.

Teraz ja odpowiadam za to, żeby dowiedzieć się, kto odebrał życie byłej żonie tego dupka, on sam może sobie siedzieć, popijać whisky i odmawiać współpracy. Jak, do cholery, mam sobie z tym poradzić, myśli. Nie umiem, do diabła, nawet sama sobą kierować.

– Jak już mówiłem, nie ma wątpliwości, że to Susanne jest na zdjęciu.

Karen słyszy Brodala po drugiej stronie pomieszczenia. Teraz pobrzmiwa w jego głosie słabość, jakby zaraz miał się załamać. Lekarz odchrząkuje i ciągnie:

– Dobrze się znaleźliśmy z czasów, kiedy była żoną Jounasa, i dlatego mogłem sam ją zidentyfikować mimo obrażeń, ale oczywiście potwierdzimy tożsamość jeszcze badaniami DNA.

Brodal zmienia zdjęcie i spojrzenia zebranych mimowolnie padają na rozerwaną skórę i pociemniałe od krwi kosmyki włosów.

– Obrażenia powstały w wyniku trzech bardzo mocnych uderzeń w głowę, zadanych prawdopodobnie za pomocą żelaznego pogrzebacza do pieca, ale do tego wróci jeszcze Sören. Pierwszy cios został wyprowadzony pod kątem, od tyłu, i roztrzaskał prawą kość policzkową i kość nosową. Ofiara została prawdopodobnie trafiona w chwili, gdy wstawała od stołu, ewentualnie udało jej się podnieść już po otrzymaniu ciosu, w zależności od tego, jakiego wzrostu był sprawca. Na tym etapie Susanne wciąż utrzymuje się na nogach.

Brodal odchrząkuje, bierze głęboki wdech i mówi dalej:

– Drugi cios został zadany zaraz po tym pierwszym. Morderca musiał dojść do wniosku, że pierwsze uderzenie nie było wystarczające, i zadał jeszcze jedno, które trafiło w górną szczękę z taką siłą, że ofiara poleciała do tyłu i uderzyła głową o kuchnię.

Kneought Brodal po raz kolejny zmienia zdjęcie. Tym razem pokazuje zbliżenie głowy Susanne Smeed.

Jak oskubana kura, myśli Karen.

– O kurna – mówi Karl Björken.

– Tak, tak można to określić – odpowiada sucho Brodal. – Bezpośrednią przyczyną śmierci było masywne krwawienie epiduralne między kością czaszki a mózgiem. Krew uciskała mózg w miejscu ośrodka oddechowego, tam gdzie mózg przechodzi w szpik, i dlatego denatka przestała oddychać. Lub może jak wy to określicie: umarła z powodu uszkodzenia czaszki.

Wokół stołu panuje cisza.

– Jeszcze jedno. – Teraz w głosie Brodala słychać powracającą złość. – Już po śmierci sprawca ściągnął jeden pierścionek lub dwa z lewego palca serdecznego Susanne. Poza tym widać wyraźne sińce na karku i szyi, z dużym prawdopodobieństwem można powiedzieć, że zerwano jej jakąś biżuterię.

Nie słyhać teraz nawet najmniejszego skrzypnięcia, szelestu ani ziewnięcia. Wszyscy w ciszy zastanawiają się nad jednym: czy Susanne Smeed zginęła z tak bezsensownego powodu jak zwyczajne włamanie, podczas którego coś poszło nie tak. To powinno być prostsze do wyjaśnienia. I prostsze dla wszystkich. W końcu Karen chrząka i przerywa milczenie.

– Mógłbyś coś powiedzieć o sprawcy, Kneought?

Zadaje to pytanie, nie mając większych nadziei na to, że odpowiedź, którą otrzyma, dokądś ją zaprowadzi. Zbyt wiele razy słyszała to pytanie i odpowiedzi na nie. Nie pierwszy raz bierze udział w takim śledztwie.

– Nie za wiele – odpowiada lekarz. – Możesz zapamiętać, że obrażenia dadzą nam dokładną wiedzę o tym, jakiego wzrostu i wagi był ten, kto zadał ciosy, takie cuda tylko w telewizji. Mogę natomiast powiedzieć, że wymaga to pewnej siły w rękach. Pogrzebacz sam w sobie jest dość ciężki, a uderzenia zadano ze znaczną siłą.

– Albo w przypiływie wściekłości? – mówi Karl Björken.

– Taa, to właśnie coś, co trzeba wyjaśnić. Ale jasne, złość albo może silne poczucie lęku często dają taką siłę, jakiej nikt by się nie spodziewał. Poza tym potrzeba też pewnej siły, lub jak wolicie – wściekłości, żeby ściągnąć nieboszczykowi pierścioneK. W tym przypadku wygląda to zresztą tak, że siedziały względnie mocno.

Znów moment cichej zadumy.

– Udało ci się dokładniej określić czas zgonu? – pyta Karen.

– Jak już mówiłem: kiedy przyjechałem, w kuchni było nadal potwornie gorąco. Kuchnia na opał najwyraźniej cały czas grzała, a drzwi do pomieszczenia były zamknięte. Później zostały tak samo jak drzwi wejściowe otwarte przez posterunkowych, którzy jako pierwsi przybyli na miejsce, przez co do środka dostało się chłodne powietrze i temperatura zaczęła szybko spadać, potem jednak znów je zamknięto. Następnie przyjechali technicy i ugasili wciąż palący się ogień. *Summa summarum* zmiany temperatury oznaczają, że nie da się dokładnie określić czasu zgonu.

Lekarz robi przerwę i upija kolejny łyk wody.

– Ale udało mi się go trochę zawęzić. Zgon, w mojej ocenie, nastąpił najpewniej gdzieś między wpół do ósmej a dziesiątą rano. Jeszcze bardziej prawdopodobne, że między ósmą a wpół do dziesiątej, ale nie da się tego powiedzieć z całą pewnością.

Karen bierze głęboki wdech. Najlepiej wyrzucić to z siebie od razu.

– Do tej układanki mogę osobiście dorzucić pewien element, jeśli chodzi o czas zgonu. Mniej więcej kwadrans po ósmej przejeżdżałam obok domu Susanne i widziałam ją z drogi.

– Kwadrans po ósmej? Kto, do cholery, z własnej woli wychodzi z domu o takiej porze dzień po Oistrze? – Głos Evalda Johannisena brzmi nieufnie.

– Nocowałam u znajomej w Dunkerze, ale wcześniej się obudziłam i pojechałam do domu. Tak czy inaczej, widziałam Susanne z pewnością żywą, jak po porannej kąpieli wspinała się ścieżką do domu koło ósmej piętnaście, może dwadzieścia.

Karen szybko rozgląda się wokół, ale nikt nie sprawia wrażenia, jakby chciał zakwestionować te informacje. Potem widzi uniesione brwi i ironiczny uśmiech Johannisena. Nie może chyba nic o tym wiedzieć? Właściwie jak blisko koleguje się z Jounasem? Karen czuje, że rumieńce występują jej na policzki, ale sekundę później z opresji wybawia ją głos Brodala.

– Aha, w takim razie to wiemy – mówi ze zniecierpliwieniem w zmęczonym głosie. – Pokrywa się to z moimi wnioskami. I nie mam o wiele więcej do dodania poza tym, że zawartość żołądka zgadza się z resztkami tego, co stało na stole: kawa z cukrem, jogurt, płatki owsiane i żytnie, rodzynki i migdały. Takie tam żarcie dla konia, które baby kupują, bo jest zdrowe – dodaje.

– Tak mi się właśnie wydawało, że wyjątkowo dobrze wyglądasz – mówi Karl Björken z krzywym uśmiechem.

Z różnych stron dochodzi rechot. Tym razem zrezygnowano z tradycyjnego, dość surowego żargonu, którym grupa śledcza zazwyczaj się osłania, kiedy lekarz sądowy pokazuje zdjęcia z poważnych przestępstw. Stąd też z wdzięcznością przyjęto mizerną próbę żartu Karla Björkena, a napięcie w sali dodatkowo zelżało, gdy Brodal wyłączył wreszcie prezentację.

– Czy ktoś jeszcze ma jakieś pytania, które chciałby zadać dziś Kneoughtowi? Nie? W takim razie myślę, że pozwolimy ci już wrócić do domu, do żony i musli – mówi Karen. Kiedy za plecami postawnego lekarza sądowego zamykają się drzwi, ciągnie: – Dobrze, w takim razie twoja kolej, Sören. I jeśli możesz, spróbuj się streszczać – prosi. – Wszyscy jesteśmy zmęczeni i chcemy wrócić do domu.

Szczególnie ja, myśli. Przedpołudniowa drzemka i adrenalina utrzymywały ją w pełnej gotowości aż do teraz, gdy nagle ogarnęło ją zmęczenie. Otwiera dokument, który Sören Larsen przesłał jej mailem pół godziny wcześniej, i przesuwa w jego stronę klawiaturę i mysz.

– Okej – mówi Larsen i wykonuje odmowny gest ręką. – Właściwie nie musimy teraz oglądać zdjęć, możecie to zrobić jutro. Dość łatwo da się podsumować to, co udało nam się do tej pory stwierdzić. Jak wspomniał Brodal, morderca posłużył się starym żelaznym pogrzebaczem. Należy więc go traktować jako narzędzie zbrodni, nawet jeśli w momencie śmierci mordercy przyszła z pomocą żeliwna kuchnia. Pogrzebacz jest kuty ręcznie, ma około siedemdziesięciu centymetrów długości i pochodzi prawdopodobnie z końca dziewiętnastego wieku. Do tej pory nie znaleziono na nim żadnych odcisków palców.

– Nawet tych Susanne? – pyta Astrid Nielsen.

Dlaczego ona nie wydaje się zmęczona, zastanawia się Karen, obserwując koleżankę siedzącą po skosie. Astrid Nielsen wygląda tak, jakby właśnie wróciła z orzeźwiającego spaceru, jej policzki są rumiane, a wzrok przytomny. Chociaż może pani Idealna nie wypija wczoraj hektolitrów wina, ucieka myślami Karen, przeganiając cień wyrzutów sumienia. Astrid jest dobra, naprawdę dobra, i do tego dobrze się z nią pracuje. Ale wyważona. Troje dzieci, mąż, który pracuje w dziale informatycznym policji, zawsze nienaganna fryzura i łagodny uśmiech malujący się na twarzy. Karen ma silne podejrzenia, że Astrid jest wyznawcą jakiegoś wolnego Kościoła, w każdym razie przemawia za tym jej wyraźny dialekt z Noorö.

– Nie, w ogóle żadnych. – Odpowiedź Larsena przywołuje Karen do rzeczywistości. – Morderca prawdopodobnie wytarł po sobie pogrzebacz albo może używał rękawiczek. Ale jak mówisz, w takim wypadku powinny się na nim znajdować odciski innych osób. Prawdę mówiąc, był tam jednak drugi pogrzebacz, zdecydowanie lżejszy i bardziej nowoczesny, i na nim znaleźliśmy odciski Susanne.

– Aha, czyli nie wiemy, czy to ona, czy morderca rozpałił pod kuchnią – mówi zawiedzionym głosem Evald Johannisen. – Ale zupełnie nie rozumiem, dlaczego miałyby palić drewnem o tej porze roku. Na zewnątrz musiało być co najmniej dziesięć stopni na plusie, a do tego ma chyba kocioł CO. Nie?

– Tak, to fakt – przyznaje Sören Larsen. – Nie znaleźliśmy nic ciekawego wśród resztek spalonego materiału, jedynie popiół po drewnie i papierze gazetowym. Więc to, dlaczego ktoś napalił pod kuchnią i czy to ma w ogóle związek z morderstwem, pozostaje kwestią do zbadania.

Karen widzi przed sobą zziębniętą postać Susanne Smeed i myśli, że może wcale nie ma w tym nic dziwnego, że pod koniec września ktoś chciał po kąpieli w Langeviksån szybko nagrzać w domu. Ale tym zajmiemy się jutro, myśli i daje Larsenowi znak, żeby mówił dalej.

– Z dużym prawdopodobieństwem można jednak stwierdzić, że to sprawca usiłował podpalić kosz z drewnem obok kuchni – mówi Larsen. – Ale drewno było mokre, a kosz był właściwie starą miedzianą balią, więc ogień sam zgasł, zanim dosięgnął zasłon. Jeśli tak by się nie stało, sceneria wyglądałaby tam zupełnie inaczej.

Sören Larsen robi krótką przerwę, żeby przejrzeć notatki, a później kontynuuje:

– Są pewne ślady potwierdzające teorię o włamaniu – mówi. – Komoda w przedpokoju wygląda tak, jakby została przeszukana, w torebce nie ma portfela, w którym przypuszczalnie były karty bankomatowe i prawo jazdy. Brakuje komputera i komórki, wprawdzie nie mamy pewności, że Susanne Smeed posiadała któryś z tych przedmiotów, ale w domu nie było zainstalowanego telefonu stacjonarnego, więc możemy założyć, że miała komórkę. Oczywiście sprawdzimy u większych operatorów, czy miała abonament.

Znów milknie na chwilę i sprawdza notatki.

– Kolejnym argumentem, który może przemawiać za teorią o włamaniu, jest, rzecz jasna, to, co Brodal powiedział o biżuterii. Ale też znaleźliśmy kilka przedmiotów, które każdy włamywacz z pewnością by zabrał: srebra stołowe za jakieś dwadzieścia tysięcy marek i kilka innych starych srebrnych przedmiotów, dokładniej z osiemnastego wieku, więc zapewne chodzi o pokaźną sumkę, nawet jeśli nie udało nam się jeszcze dokładnie określić ich wartości.

– Może złodzieje nie orientują się w takich subtelnościach – mówi oschle Evald Johannisen. – Może te młode ćpunkki nie oglądają *Łowców staroci*. Jakies odciski butów?

– Na razie nic przydatnego, ale zabezpieczyliśmy to, co było. Nasi koledzy, którzy przybyli na miejsce pierwsi, roznieśli dość dużo gliny i piachu po przedpokoju i trochę dalej po kuchni, więc nie wiążę z tym

zbyt dużych nadziei. Reszta jest mniej więcej równie skąpa. Było DNA i odciski palców innych osób, nie tylko Susanne Smeed, ale sprawdzanie ich w rejestrze potrwa co najmniej do jutrzejszego wieczoru albo do wtorkowego przedpołudnia. Z kolei udało się nam uzyskać wstępne trafienie, jeśli chodzi o świeże odciski palców z salonu, toalety na parterze i z kuchni.

Robi teatralną przerwę, jakby czekał na uwagę wszystkich zebranych.

– Te odciski należą do Jounasa Smeeda.

14 Dziesięć minut później, po rozprostowaniu nóg, znów usiedli w sali narad. Grupa skurczyła się i teraz przy stole siedzą jedynie pracownicy wydziału kryminalnego: Eiken, Johannisen, Björken, Loots i Nielsen.

Cornelis Loots wyciąga się przez stół i bierze jedną z podeschniętych kanapek, potem przesuwając ją do Astrid Nielsen, która bez słowa kręci głową. Karen śledzi wzrokiem krążące dookoła stołu naczynie z przekąskami. Kiedy łąduje przed nią, krzywiąc górną wargę, przygląda się przywiedniętemu liściowi sałaty, który wystaje spod idealnie prostokątnego, lśniącego tłuszczem plasterka sera żółtego. Ssanie w żołądku i pierwsze oznaki bólu głowy skłaniają ją do kapitulacji. Z westchnieniem bierze z półmiska kanapkę i podaje go dalej.

Jedząc, zebrani słuchają raportu Karla z ich spotkania z Haraldem Steenem i rozmowy telefonicznej z pomocą domową starca, Angeliką Nowak. Treść tej ostatniej była nowością także dla Karen.

– A więc to, co powiedział, mimo wszystko się zgadzało? Nie miałam nawet odwagi na to liczyć – wyznaje Karen.

– Tak, na to wygląda. Angelika Nowak potwierdziła, że przyjechała do Steena znacznie później niż zwykle. Nie miało to jednak związku ze świętem ostryg, co wyraźnie podkreśliła. Podobno była u innej pacjentki w wiosce – wyjaśnia Karl.

– Nie pacjentki – wtrąca się Johannisen. – Klientki, tak się to teraz nazywa. Niech mnie szlag, jeśli niedługo nie zdecydują, że my też mamy nazywać przestępców klientami – dodaje niewyraźnie, pakując ostatni kęs kanapki do ust, później pochyla się i sięga po kolejną.

Karl Björken posyła mu poirytowane spojrzenie i ciągnie:

– Zatem sprawa wygląda tak: ta druga... klientka to osiemdziesięcioletnia kobieta, która leżała na podłodze sypialni, kiedy Angelika do niej przyjechała. Była zdezorientowana i do tego ledwie dało się z nią nawiązać kontakt, więc Angelika zadzwoniła po

karetkę i rzecz jasna, musiała zaczekać, dopiero później mogła pojechać dalej, do Haralda Steena.

Karl rzuca okiem na notatki.

– Sprawdziłem w szpitalu. Wygląda na to, że wersja Angeliki Nowak się zgadza. Niejaka Vera Drammstad została zabrana ze swojego mieszkania o dziewiątej czterdzieści i przewieziona na ostry dyżur do szpitala Thysted. Prawdopodobnie miała tylko przemijający atak niedokrwienny, ale zatrzymali ją do obserwacji, jeśli was to interesuje.

– Widziała coś w takim razie? Mam na myśli Angelikę Nowak – mówi Karen, dławiąc w sobie ziewnięcie i nie żywiąc większej nadziei, że odpowiedź okaże się interesująca.

I wcale taka nie jest.

– Nie, nic z tego, co mogła sobie przypomnieć. Ale była mocno wstrząśnięta tym, co stało się tamtej staruszce, i zestresowana, bo spóźniła się do Haralda Steena. Dobrze wiedziała, że będzie na nią psioczył.

– Po prostu praca marzeń – mamrocze Cornelis Loots.

– Z kolei zgadza się to, że chwilę później zarówno ona, jak i stary Steen słyszeli, jak ktoś uruchamia jakiś samochód i nim odjeżdża. Według Angeliki Nowak było to tuż przed rozpoczęciem się wiadomości o dziesiątej – ciągnie Karl. – I faktycznie musiała powiedzieć, że warkot brzmiał jak auto jej ojca w Polsce. Ale działo się to dokładnie w chwili, gdy zaparzyła kawę i pomagała Steenowi wstać z łóżka, więc żadne z nich nie widziało odjeżdżającego samochodu.

– A więc w rzeczywistości mógł to być całkiem inny wóz. Ktoś mógł po prostu przejeżdżać tamtędy drogą – mówi Johannisen i rozkłada ręce.

– Tak, w zasadzie tak – potwierdza Karl, zmuszając się do zachowania spokoju. – Ale Harald Steen jest pewien, że rozpoznał go po hałasie.

Evald Johannisen wykrzywia usta w sceptycznym uśmiechu.

– A więc ten dziadyga jest tego pewien, ale żadne z nich nie zwróciło uwagi, że u sąsiadki się pali, kiedy tak sobie siedzieli i popijali kawkę? Czy nie jest to cholernie podejrzane?

– Niekoniecznie – syczy poirytowany Karl. – Zdaniem Brodala ogień dość szybko sam zgasł, a do tego okno kuchni Susanne wychodzi na inną stronę. To, na co dobrą godzinę później zwrócił uwagę Harald Steen, to nie ten dym, ale ten z komina. Wydało mu się dziwne, że Susanne pali,

skoro najwyraźniej nie ma jej w domu. Właśnie dlatego tam, do cholery, poszedł. Słuchasz?

Karl Björken odwraca się do stołu i rozkłada ręce, jakby szukał wsparcia sił wyższych. Johannisen otwiera usta, żeby odpowiedzieć.

– Okej – wcina się Karen. – Cornelis i Astrid, doszliście do czegoś przydatnego? I podajcie mi, proszę, jeszcze raz tamte zelówki i termos.

– Niestety nie – mówi Astrid Nielsen. – Rozmawialiśmy ze wszystkimi sąsiadami w promieniu pięciuset metrów od granicy działki Susanne Smeed.

– Hmm, nie mogło ich być zbyt wielu – mamrocze Karen, naciskając wieczko termosu i podstawiając plastikowy kubek pod cienki strumień jasnobrązowej kawy.

– No nie, domy poza centrum Langevik stoją w dość dużej odległości, ale w każdym razie znaleźliśmy kilka budynków poza tym Haralda Steena, które znajdują się wystarczająco blisko, żeby ci, którzy w nich mieszkają, mogli cokolwiek zobaczyć.

Chyba tylko jeśli staliby i opierali się o ogrodzenie, wyteżając wzrok w kierunku domu Susanne, myśli Karen, która wie dokładnie, o jakie budynki chodzi Astrid. No, zapewne też o chałupę Gudjonssonów, obstawia chwilę później. Byliby w stanie zajrzeć od siebie prosto do domu Susanne, w każdym razie gdyby weszli na piętro.

– No i? – mówi i czuje, jak wykrzywia się jej szczęka, gdy przełyka letnią gorzką kawę. – Nic?

– Niestety tylko w jednym domu ktoś był. Lage i Mari Svenningowie, młoda para, ale z tego, co mówią, spali do lunchu. Nic więc nie widzieli ani nie słyszeli.

– A co z Gudjonssonami? – dopytuje Karen.

Cornelis Loots patrzy na nią zdziwiony.

– Znasz wszystkich w Langevik?

– Wszystkich nie. Już nie.

– Wyjechali – przyznaje ponuro Astrid Nielsen. – Podobno pojechali na kilka tygodni na wakacje do Hiszpanii, mają wrócić do domu w przyszłą niedzielę, tak twierdzą rodzice Johannesesa Gudjonssona, z którymi udało się nam skontaktować telefonicznie. Szkoda, bo to najwyraźniej duża rodzina. Przy czwórce dzieci szanse byłyby naprawdę spore, że przynajmniej jeden z rodziców był na nogach w niedzielę rano.

– Skąd, do cholery, ludzie na to biorą? – mówi skwaszony Evald Johannisen. – Dwoje dorosłych i czwórka dzieciaków w hotelu na hiszpańskim wybrzeżu, jak myślicie, ile to może kosztować? Poza tym dzieciaki powinny chyba chodzić do szkoły – dodaje zrzędlwym głosem.

– Johannes Gudjonsson jest głównym inżynierem w NoorOyl – wyjaśnia oschle Karen. – Z kolei jego żona ma własne biuro audytowe, więc raczej ich na to stać. A dzieci są małe. Nie wydaje mi się, żeby najstarsze zaczęło już chodzić do szkoły, najmłodsze to para bliźniaków i mają tylko roczek.

– A więc ich znasz? – pyta Astrid.

– To wszystko, co o nich wiem – odpowiada Karen i zmienia temat.

Nie ma powodu mówić im, że jej dawny kolega ze szkoły Johannes Gudjonsson przez kilka lat zajeżdżał do niej po drodze do domu, wracając z platformy wiertniczej. Ten związek bez zaangażowania którejkolwiek ze stron, ale zadowolający ich seksualnie, skończył się w chwili, gdy na świat przyszły bliźniaki. Prawdopodobnie nie ma już na to czasu, myśli Karen. Albo siły.

Na głos mówi:

– Coś nowego o samochodzie Susanne, Evald?

Johannisen patrzy jej w oczy ze znudzoną miną.

– Nie sądzisz, że gdyby tak było, to sam bym o tym wspomniał? A ty? Rozmawiałaś z szefem?

Karen w skrócie relacjonuje swoją wizytę w domu Jounasa Smeeda. I mówi prawdę, nic innego jak prawdę. Tylko nie całą.

Ani słowa o ich wspólnej nocy w hotelu Strand, ani słowa o popijaniu whisky przez Jounasa, ani o jego niechęci do współpracy, kiedy z nim rozmawiała, ani o tym, że praktycznie została wyrzucona na deszcz. Zamiast tego krótko opowiada o tym, że Jounas Smeed – po tym jak poprzedniego wieczoru świętował Oistrę – zostawił samochód w centrum, poszedł do domu i zasnął na kanapie. I streszcza – zgodnie z prawdą – opowieść Jounasa o tym, jak następnego dnia obudził go telefon Vigga Haugena, a potem o tym, jak odebrał samochód, żeby pojechać do córki i przekazać jej wiadomość, że zamordowano jej matkę.

Ze zręcznością, która zadziwia ją samą, jej meldunek pomija fakt, że nie tylko samochód Jounasa, ale też on sam został na noc w mieście i że spacer odbył się dopiero rano.

Znów zapada cisza przy stole. Nikt nie zadaje na głos pytania: czy Jounas wskazał kogoś, kto mógłby potwierdzić jego wersję zdarzeń. Nikt nie przypuszcza, że jedyną osobą, która mogłaby dać mu alibi – przynajmniej do godziny siódmej dwadzieścia – jest Karen Eiken Hornby. Nie ma to jednak większego znaczenia, wmawia sobie Karen. Pytanie brzmi, co Jounas Smeed robił po tym, jak ona wyszła z pokoju hotelowego.

Karen siedzi w samochodzie i patrzy przed siebie. Latarnie na Redehusgate świecą słabo, trochę dalej widać księżyc w pełni, wiszący nad ciemnym parkiem Holländar, za którym przejeżdżają pojedyncze samochody po zdecydowanie lepiej oświetlonej Odinsgate. Centralne części miasta, nadal przykryte senną niedzielną powłoką, przygotowały się już na noc. Karen czuje zmęczenie aż po opuszki palców i ciężko opiera dłonie o kierownicę. Jest wpół do jedenastej i ma przed sobą prawie godzinę jazdy do domu. Posmak dwóch zeschniętych kanapek i lurowatej kawy z termosu utrzymuje się w jej ustach, przez co nachodzą ją gorzkie myśli o złożonej sobie rano obietnicy – że będzie żyć zdrowo. Naprawdę było to tego ranka? Wydaje się jej, jakby wydarzyło się to przed wieloma dniami.

Rzuca okiem na fotel pasażera, gdzie obok jej torebki nadal leżą banan i puszka coca-coli, które wzięła ze sobą rano z domu. Banan ściemniał, pojawiły się na nim brązowoczarne plamy, a wraz ze wzrostem temperatury we wnętrzu samochodu wydziela z siebie kwaskowaty zapach. Karen zastanawia się, czy wyrzucić go przez okno, ale nie ma siły, więc zostawia go tak, jak jest. Zamiast tego bierze puszkę; rozlega się syknięcie, kiedy wyłamuje zawleczkę; upija kilka łyków ciepłego, słodkiego napoju, a potem bekając, odstawia go do uchwyty między siedzeniami i sięga do drążka skrzyni biegów. Raptownie przerywa ruch, wyciąga rękę i grzebie w torebce. Wkłada papierosa do ust, zapala go i głęboko się zaciąga, myśląc, że początkiem nowego tygodnia i nowego życia powinien być zawsze poniedziałek. Teraz została jej jeszcze godzina tej parszywej niedzieli.

Jedzie równym, szybkim tempem, na skromnie oświetlanej drodze do Dunkeru oślepiają ją pojedyncze samochody; koncentruje się, żeby nie usnąć, przechodząc w myślach przez zdarzenia z dzisiejszego dnia. Poranek w pokoju hotelowym zdaje się teraz odległy, niemal nierzeczywisty, i Karen nie ma najmniejszej ochoty wracać do niego pamięcią. Pierwsze spotkanie tego dnia, z Inguldsen i Langem, również udało się jej – zapewne z czystego instynktu samozachowawczego –

zepchnąć gdzieś w mglistą niepamięć, podczas gdy wspomnienia z reszty dnia wciąż zachowują ostre kontury.

Na myśl nasuwa się jej rozmowa z Viggim Haugenem. Wtedy cała jej uwaga skupiła się na tym, że Susanne Smeed została zamordowana, i jak ona, Karen, ma, do cholery, dożyć kolejnego dnia, nie porzygawszy się. Dopiero teraz ma czas zastanowić się, dlaczego tak w ogóle to ją Haugen wyznaczył do prowadzenia śledztwa. I zastąpienia Jounasa na stanowisku naczelnika wydziału. Dlaczego nie Johannisena albo Karla? Nawet jeśli formalnie są niżsi rangą, Haugen spokojnie mógłby to jakoś ominąć. Wcześniej jakoś mu się to udawało.

Jej dotychczasowe próby awansu na to stanowisko niewątpliwie nie zakończyły się sukcesem.

Do mianowania jej komisarz kryminalną doszło pod kierownictwem Wilhelma Kastego. Kaste widział w niej swoją naturalną następczynię, gdy na niego nadejdzie już czas i przejdzie na emeryturę. Jednak cztery lata przed wyczekiwaną emeryturą zmarł nagle na zawał serca i wszelkie plany jej awansu zostały pogrzebane razem z nim. Kastego błyskawicznie zastąpił Olof Kvarnhammar, który miał wręcz zadziwiający stosunek do kobiet w życiu zawodowym; im wyższe stanowiska zajmowały, tym bardziej go to zdumiewało. Mimo wszystko – z tego zdawał sobie sprawę nawet Olof Kvarnhammar – nie miał większych szans, żeby usunąć Karen ze służby. Można ją jednak było wykluczyć na inne sposoby. Przez kolejne lata była notorycznie pomijana podczas przydzielania najciekawszych śledztw, regularnie lekceważona na naradach i nieustannie wytykano jej brak doświadczenia w pracy mundurowych. Fakt, że zdobyła wykształcenie policyjne: pół roku w terenie i licencjat z kryminologii na London Met, wydawał się pestką w porównaniu z bolącymi nogami kolegów, którzy przez lata patrolowali okolicę. Fakt, że na pytanie zadane jej wprost przez dziennikarkę, potwierdziła, że w doggerlandzkiej policji kwestia równouprawnienia pozostawia wiele do życzenia, nie poprawił raczej jej notowań wśród kierownictwa. Że powiedziała tak dwadzieścia lat temu, kiedy uczyła się jeszcze w szkole policyjnej, zdawało się bez znaczenia. Zbrodnia skalania własnego gniazda – jak ujął to Kvarnhammar – nie ulega przedawnieniu.

Jednak być może największym błędem, jaki popełniła, tym, który wciąż wisiał nad jej głową niczym ciemne chmury, było to, że raz zawiodła – odeszła z policji. Opuściła nawet kraj i przez wiele lat mieszkała za

granicą. Naprawdę nie wystarczyło znów się tu pojawić i udawać, że nic się nie stało, licząc, że będzie mogła zostać jedną z nich.

Kiedy po zaledwie pięciu latach na stanowisku naczelnika zmarło się nieoczekiwanie również Kvarnhammarowi (w jego przypadku pękła aorta), Karen zwietrzyła okazję. Gdy chłopaki pili w pubie żałobne piwo, ona siedziała w domu przy kuchennym stole z porządną szklanką whisky i pisała podanie na stanowisko kierownicze. Nagle jednak Jounas Smeed wypłynął jako nieoczekiwany kandydat. Sześć lat w policji porządkowej, przerwane studia prawnicze i trzy lata w roli zastępcy naczelnika jednostki do spraw przestępstw ekologicznych zapewniały – zdaniem Vigga Haugena – odpowiednie kwalifikacje na stanowisko naczelnika wydziału kryminalnego. Poza tym – jak wynikało z prezentacji nowego szefa przez Haugena – „Smeed pokazał, na co go stać, już przez te lata, kiedy patrolował ulice” (tutaj Haugen zrobił teatralną pauzę, wsłuchując się w wymuszony śmiech) i gdyby tego było mało, dał również próbkę swojej „inicjatywy organizacyjnej i dalekowzroczności” przez lata spędzone w przestępstwach ekologicznych, a do tego mógł się poszczycić „rzetelnie udokumentowanymi cechami przywódczymi”. Karen przestała słuchać po „patrolował”.

Nadal nie potrafi zdusić w sobie podejrzeń, że główną przyczyną mianowania Jounasa Smeeda na to stanowisko była jego przynależność do jednej z najbardziej wpływowych rodzin na Wyspach Doggerlandzkich. Choć przyznaje to przed samą sobą, właściwie nigdy nie była żywotnie zainteresowana rolą kierowniczą. Do napisania podania motywowała ją myśl o tym, że to ona będzie dawać wytyczne, podejmować decyzje o priorytetach, prowadzić trudne śledztwa i dostanie szansę pokazania, że jest w tym, do cholery, dużo lepsza od Olofa Kvarnhammara. Cała reszta wydawała się jej jednak mniej pociągająca: ocenianie współpracowników, rozmowy o podwyżkach, regularne składanie raportów do szefa policji, zmuszanie się do służalczego zginania kręgosłupa przed politykami i najgorsze ze wszystkiego: *działania motywujące personel*. Zawód spowodowany tym, że nie dostała wtedy awansu, szybko zastąpiła ulga.

Teraz jednak siedzi po uszy w gównie.

Ale tylko tymczasowo, upomina siebie i zapala jeszcze jednego papierosa. Im szybciej śledztwo się skończy, tym szybciej Jounas Smeed wróci na swój stołek, a ona odzyska wolność.

Sapiąc, Karen opiera ręce na kolanach i patrzy na morze. Daleko na horyzoncie, po ciemnej linii między niebem a morzem, sunie z wolna statek towarowy. Karen powoli prostuje plecy i czuje, że dzikie łomotanie serca się uspokaja, a jej oddech wraca do normy. Cztery kilometry leśną ścieżką wzdłuż wybrzeża, cały czas na północ od Langevik. Tylko cztery kilometry, a mimo to pot leje się jej po plecach i w ustach ma sucho. Dużo czasu minęło, odkąd oddawałam się jakiejś formie treningu, stwierdza. Było to zdecydowanie zbyt wiele miesięcy i zbyt wiele papierosów temu.

Kilka minut rozkoszuje się wiatrem, który schładza jej rozpalone policzki, ale zaczyna się trząść, gdy luźny, przepocony T-shirt dotyka jej ciała. Odgarnia włosy z twarzy i patrzy tęsknie na klify. Szybkie spojrzenie na zegarek: dwadzieścia po szóstej. Ma jeszcze trochę czasu, żeby usiąść na chwilę po zawietrznej stronie cypla, potem trzeba będzie biec z powrotem. Jeśli będzie miała szczęście, w którejś ze szczelin znajdzie deszczówkę.

Pije lodowatą wodę z wygiętej w łódkę dłoni, a później przesuwając się pod chropowatą skalną ścianę i podciąga kolana. Siedzi nieruchomo i obserwuje morze. Tylko niebo, woda i skały, i niezakłócony horyzont. Mimo to byłaby w stanie rozpoznać to miejsce spośród tysiąca podobnych. Wszystko to wryło się w nią jeszcze w dzieciństwie. I to tutaj powróciła wiele lat później, wtedy, gdy jej życie bez ostrzeżenia wywróciło się do góry nogami. Tylko tutaj była w stanie żyć dalej bez Johna i Mathisa. Mija właśnie jedenasty rok. Nadal jednak wykrzykuje ich imiona w stronę morza.

Morze nigdy nie kojarzy jej się z czymś niebieskim. Na południu, na Frisel, a nawet w Dunkerze i na całym zachodnim wybrzeżu aż do Ravenby, morze jest inne niż tutaj. Tam można od czasu do czasu zobaczyć białe gęsi żwawo podskakujące na ciemnoniebieskiej wodzie i białe obłoczki na błękitnym niebie. Na wybrzeżu falują zaś zielone wzgórza, a drzewa rosną wysokie i bujne. Ale tutaj, zaledwie kilkadziesiąt kilometrów na północny wschód od stolicy, wszystko, co rośnie, trzyma się blisko ziemi. Powyginane sosny walczą na klifach o życie, wyglądając

tak, jakby dla ochrony przed wiatrem zginały się wpół. Tutaj roślinność, której uda się wybić z nieurodzajnej ziemi, chyli się pod szkwałami. I w te nieliczne dni w roku, kiedy bezchmurne niebo zabarwia powierzchnię morza na niebiesko, ten krajobraz wydaje się jej niemal obcy, jakiś przymilny i niegodny zaufania, jakby próbował uchodzić za coś innego, niż jest naprawdę.

Tutejsza skala kolorów jest daleka od tej zieleni, która dominuje na żyznych terenach w głębi Heimö, albo od złotej żółci piaskowców na Frisel. Tutaj jest równie wiele odcieni co tam, ale tylko wprawne oko może dostrzec bogactwo kolorów w krajobrazie, gdzie granitowoszare płyty skalne stawiają opór otwartemu morzu.

Karen je widzi. Jej oczy nauczyły się rozpoznawać różne niuanse, to, jak morze mieni się srebrem, cyną i ołowiem. Widzi to delikatne bogactwo kolorów wierzb płożących i sitowia. Widzi fioletowe odcienie szczelin skalnych i zmiany pór roku z zawciągami pospolitym kwitnącym na przedwiośniu i krwawnicą pospolitą późną jesienią. A teraz, kiedy rośliny wędzną na klifach i lato nieuchronnie chyli się ku końcowi, wędruje wzrokiem głębiej, w stronę lądu, gdzie wrzosa falują na zboczach. To tutaj jest jej miejsce.

I z tą świadomością podnosi się i zaczyna biec z powrotem do domu.

Langevik, 1970 rok

– Czy ona nie mogłaby się choć raz podnieść? Dłużej nie wytrzymam!

Anne-Marie zsuwa z głowy poduszkę, którą przykryła sobie uszy, i ciska nią przez pokój. Zaczyna się wygrzebywać z łóżka przy akompaniamencie krzyków i westchnień. Per wyplątuje rękę spod kołdry, wyciąga ją i chwyta Anne-Marie za rękę.

– Uspokój się, to minie – mamrocze zmęczonym głosem.

Anne-Marie obraca się gwałtownie i spogląda na niego. Oskarżycielsko, jakby był współwinny.

– Minie? Niby kiedy? Nigdy się do tego nie przyzwyczaję.

Jej krzyk zagłusza to, co dolatuje z sypialni obok. Nastaje kompletna cisza.

– Chodziło mi o to, że Love’owi skończą się kolki – wyjaśnia cierpliwie Per. – Nie dalej jak wczoraj Disa powiedziała, że powinno to minąć lada chwila. Posłuchaj tylko, przestał płakać. Tomas jest na górze, słyszę jego kroki. Czy moglibyśmy iść spać?

– „Disa powiedziała” – przedrzeźnia go, szukając zaczepki. – „Tomas jest na górze”. Sam chyba słyszysz. Jedynie Ingela nie kiwnie nawet palcem.

Jej głos przechodzi w falset, przecina noc, a Per myśli o tym, że jej słowa przenikają przez ściany, przeciskają się przez szczeliny w drzwiach. Co, jeśli Tomas to słyszy, a może także Ingela? Per Lindgren puszcza rękę żony i podciąga się, żeby usiąść na łóżku. Z cichym westchnieniem zapala lampkę nocną.

– Karmi – mówi ostrożnie, w pełni świadomy, że każde słowo może być teraz jak benzyna dolana do ognia. – Po tym najwyraźniej można czuć się bardzo zmęczonym, a między chłopcami jest raptem rok różnicy.

– Ach, wspaniale, że tak się orientujesz w kwestiach karmienia piersią. Bo ja sama przecież nigdy bym na to nie wpadła. Czy to dlatego, że tak lubisz na to patrzeć? Myślisz, że nie zauważyłam?

Wyrzuty sumienia dają o sobie znać. Nie dlatego, że Anne-Marie ma rację, ale dlatego, że Per wyraźnie czuje, że może wykorzystać te oskarżenia i przejąć rolę męczennika. To on jest teraz tym zranionym i zamierza wytrącić broń z jej ręki. Robi to, nic nie odpowiadając. Odwraca tylko głowę i wpatruje się w okno. Już świta i prowizorycznie zawieszona tkanina nie daje rady utrzymać lipcowej nocy na zewnątrz. Nie patrząc na żonę, wie, że jej złość i bezsilność przeszły w niepokój.

– Przepraszam, Per – mówi. – Wiem, że nigdy byś...

Czeka, aż jej słowa wypełnią pokój, dopiero wtedy znów się do niej odwróci.

– Sama wiesz, że rozmawialiśmy o tym, że z taką gromadą dzieci może to być dla ciebie trudne. Że możesz sobie nie poradzić.

– Ale radzę sobie. No przecież sobie radzę. Chodzi tylko o to...

Per Lindgren przygląda się swojej żonie z czułością i irytacją zarazem. Teraz, kiedy już nie krzyczy, kiedy jej złość minęła i zastąpiła ją słabość, może jakoś wybrnąć z tej sytuacji. Robi to, w czym jest najlepszy. Pocięsza.

– No chodź – mówi i unosi kołdrę.

Anne-Marie zwleka, ale tylko chwilę, później kładzie się obok niego i przyciska zimne plecy do jego ciepłego brzucha. Per troskliwie okrywa ich kołdrą, naciąga ją na ich głowy i wwierca nos w jej szyję. Czuje, że Anne-Marie ma wilgotne włosy, i zaczyna muskać ustami jej ramiona. Udaje, że nie słyszy, jak mamrocze:

– To niesprawiedliwe, dzieciaki jakby z niej wyskakiwały, a ona nie jest za to ani trochę wdzięczna.

– Cii – mówi Per i dalej całuje ją po plecach. Pod dłońmi czuje jej chude ramiona przypominające skrzydła. Wzdryga się i zaczyna wstydzić z powodu swojej reakcji, kiedy zauważa, że Anne-Marie płacze.

– To wygląda tak, jakby się o nie w ogóle nie troszczyła, Tomas praktycznie sam się zajmuje dziećmi, chociaż one nie są nawet jego. Ingela co najwyżej je nakarmi – mówi Anne-Marie i pociąga nosem. – Wiem, że na nią nie patrzysz, ale dlaczego cały czas musi się z tym obnosić?

I kiedy jego ręce podciągają nocną koszulę Anne-Marie, a dłonie przesuwają się po ledwie wyczuwalnych krągłościach jej chudego ciała, Per ma przed oczami ten widok. Ingela, która odgarnia długie, ogniście

czzerwone włosy, a później jedną ręką rozpina bluzkę i unosi nabrzmiąłą od mleka pierś. Jej wzrok, który napotyka jego wzrok, kiedy to robi.

I to z tym obrazem przed oczami Per Lindgren wchodzi w swoją żonę.

Karen Eiken Hornby wysiada z windy na trzecim piętrze, nogi ledwie ją niosą, włosy nadal ma mokre. Zmęczenie dopadło ją w drodze powrotnej od rozpadliny skalnej, pod koniec podbiegu do domu, ale po szybkim prysznicu, owsiance i mocnej kawie wciąż odczuwa zadowolenie. Nowy tydzień, nowe zwyczaje i tym razem przynajmniej dobrze się to zaczęło.

Nawet widok Astrid Nielsen, która zapewne wstała o piątej rano i zrobiła podwójną rundkę, a teraz wygląda, jakby była pochłonięta pracą, nie jest w stanie tego poranka popsuć Karen dobrego humoru.

– Dzień dobry – mówi. – Jesteś pierwsza?

– Dzień dobry. Nie, jest jeszcze Johannisen, ale poszedł po kawę.

Od kiedy niby on się tu zjawia przed ósmą? – myśli Karen i czuje, jak uśmiech znika z jej twarzy. Idzie na swoje miejsce w open space, ściąga kurtkę i wiesza ją na oparciu krzesła. A w chwili, kiedy dobrze jej znana melodia sygnalizuje uruchamianie się komputera, wyrasta za nią Evald Johannisen z kubkiem kawy w ręce.

– Aha – mówi z udawanym zdziwieniem. – A więc nie zamierzasz przejąć pokoju szefa?

Zanim zdąży odpowiedzieć, na klatce schodowej rozlega się dzwonenie i Karen widzi przez szklane drzwi, jak Karl Björken i Cornelis Loots wysiadają razem z windy. Sekundę później otwierają drzwi i zbliżają się, głośno i zaciekle dyskutując o wyścigach konnych na torze w Rakne w nadchodzący weekend. Ta mała przerwa wystarcza, żeby Karen zdążyła powstrzymać spontaniczne zachnięcie. Zamiast tego spokojnie odpowiada Johannisenowi:

– Nie, chyba rozumiesz, Evald, mam nadzieję, że ta sytuacja jest na tyle krótkotrwała, że nie ma sensu się przenosić. Ty na to nie liczysz?

Johannisen bez słowa odwraca się i odchodzi do swojego biurka.

Dwadzieścia minut później członkowie grupy śledczej, jeden po drugim, zajmują miejsca przy stole konferencyjnym, mają ze sobą kubki z kawą, notatniki, laptopy i pomięte opakowania gum nikotynowych. Brakuje jedynie Evalda Johannisena, który nadal stoi na korytarzu i rozmawia przez komórkę. Karen z Cornelisem przyniosła tu dużą tablicę i ustawiła ją z przodu pomieszczenia. Czekając teraz, aż Johannisen

zakończy rozmowę, bierze okrągłe magnesy i kilka zdjęć przyczepia koło mapy Langevik i okolic. Pierwsze to powiększenie zdjęcia paszportowego Susanne Smeed. Pod nim Karen umieszcza zdjęcie pokazujące Susanne w całości, jak leży martwa na podłodze w kuchni, a na trzecim jest pogrzebacz z kutego żelaza ze śladami krwi i kilkoma blond włosami. Obok zapisuje imiona i nazwiska: Jounas Smeed, Sigrid Smeed, Harald Steen i Angelika Nowak. Poniżej przymocowuje – z braku czegoś lepszego – szereg zdjęć domu i działki Susanne.

Niezbýt wiele punktów zaczepienia. A właściwie żadnego.

– Zaraz będziesz mogła przyczepić jeszcze jedno zdjęcie – dobiega ją głos z progu. – Znaleźli samochód.

Ponury wyraz twarzy Evalda Johannisena zmienia się na taki, który zdradza hamowane podniecenie. Wchodzi jako ostatni do pokoju i zamyka za sobą drzwi.

– Stał na parkingu w Moerbecku – oświadcza, a potem opada na krzesło. – Drogówka go odgrodziła i technicy już są w drodze.

– Świetnie. Mógłbyś ich poprosić, żeby przyjrżeli się dodatkowo rozrusznikowi i sprawdzili, czy hałasuje w jakiś szczególny sposób?

Johannisen unosi brwi, ale tylko kiwa głową i notuje.

– Czy dostaliśmy listy pasażerów od armatora?

– Tak, niestety – mówi ponuro Cornelis Loots. – Na promie było stu osiemdziesięciu siedmiu pasażerów.

Karl gwizdże.

– Stu osiemdziesięciu siedmiu? Wygląda na to, że sprawdzenie ich trochę potrwa.

– Tak, mimo że to i tak dość mały prom jak na takie rejsy. Najwyraźniej było to takie najnowsze *small ship cruising*. Naprawdę małe, ale cholernie ekskluzywne.

– Z kim rozmawiałeś?

– Najpierw z kierownikiem portu, a potem szefem ochrony na statku. Był bardzo pomocny, ale zarazem mocno rozbawiła go myśl, że któryś z ich gości może być zamieszany w morderstwo. Najwyraźniej średnia wieku na promie jest dość wysoka. To głównie dobrze sytuowani amerykańscy emeryci, którzy z rejsów uczynili sposób na życie, plus kilku Skandynawów, Holendrów i paru Włochów. Nie do końca wiem, co zrobić z tymi listami.

Cornelis Loots patrzy zniechęcony na Karen.

– Hmm, chyba żaden z pasażerów nie mógł zniknąć ze statku tak, byśmy się o tym nie dowiedzieli – mówi ponuro Karen. – Musimy jednak sprawdzić, czy któryś z nich nie figuruje w rejestrze karnym. Rozumiem, że może się to zdawać beznadziejną robotą, ale trzeba ją odwalić, przynajmniej dla formalności. Będziemy musieli skorzystać z pomocy kolegów z krajów ojczystych danych pasażerów. Ale wyznaczę do tego kogoś innego. Haugen obiecał, że dostaniemy tyle wsparcia, ile tylko będzie nam potrzeba.

– W takim razie będzie to pierwszy raz – mamrocze z przekąsem Evald Johannisen. – Widać tu jak na dłoni, do czego się może przyczynić zainteresowanie mediów.

Karen walczy z uśmiechem. Johannisen ma rację, w przypadku zwykłych przestępstw Viggo Haugen nie należy do szczodrych, jeśli chodzi o przydział środków, teraz jednak sypie jak z rogu obfitości.

– Daj mi tylko znać, a postaram się, żebyś dostała tyle wsparcia, ile potrzebujesz, w tym śledztwie macie do dyspozycji wszelkie możliwe środki – oświadczył, kiedy Karen rozmawiała z nim przez telefon dziesięć minut wcześniej. – Masz mnie informować na bieżąco o tym, co się dzieje. Czy to jasne?

„Wszelkie możliwe środki”, myśli sobie. Nie ma tu za bardzo z czego wybierać. Chociaż wydział do spraw zwalczania przestępczości ekologicznej i wykroczeń przeciwko środowisku oparł swoją skuteczność na mieszance doświadczenia i udanego doboru nowych pracowników, liczba śledczych doświadczonych w badaniu morderstw jest mocno ograniczona. Morderstwa, w których od początku nie ma podejrzanego, są rzadkim zjawiskiem na Wyspach Doggerlandzkich. Do codzienności należą tu zabójstwa w afekcie, gwałty i rozboje; Karen przypomina sobie tylko kilka śledztw, w których osobiście brała udział, gdzie sprawca był nieznan. A jeden z tych przypadków do dziś nie został wyjaśniony: to, kto zakatował na śmierć starsze małżeństwo na północy Noorö, ustalano przez szesnaście miesięcy, i nikomu niczego nie udowodniono. Syn siedzący po uszy w długach, który jako jedyny mógłby zyskać na śmierci rodziców, miał mocne alibi. Wśród policjantów panowało przekonanie, że musiał mieć pomocnika, ale nie znaleziono dowodów potwierdzających tę teorię i zainteresowanie mediów stopniowo przycichło.

Tym razem ta ciekawość raczej sama z siebie się nie wypali, myśli Karen. Fakt, że wysoko postawiony policjant, który co więcej, należy do

jednej z najbardziej wpływowych rodzin w kraju, ma związek z tą sprawą, będzie podtrzymywał czujność dziennikarzy aż do wyjaśnienia morderstwa albo jeszcze dłużej, w zależności od tego, do czego doprowadzi śledztwo. Ryzyko przecieków do mediów jest większe niż kiedykolwiek wcześniej, a z każdą osobą włączaną do grupy śledczej zwiększa się ryzyko, że ktoś puści parę z ust. Nie chcę, żeby cała komenda się w to mieszała, pomyślała Karen, kiedy szef policji złożył jej tę wspaniałomyślną ofertę.

– Zaczniemy małą grupą, a potem będziemy ją powiększać w zależności od potrzeb – odparła.

Teraz Karen Eiken Hornby odwraca się do kolegów siedzących wokół stołu.

– Ci, którzy wchodzi w skład grupy śledczej, siedzą właśnie w tej sali. Poza tym zamierzam jeszcze pożyczyć z wydziału porządkowego Inguldsen i Langege, żeby byli na posyłki. Są zaznajomieni z tym, co się stało, i mogą nas odciążyć przy części czasochłonnych rutynowych zadań. Ty, Cornelis, będziesz się zajmował koordynacją ich pracy i kontaktami z wydziałem porządkowym, kiedy zajdzie potrzeba skorzystania z ich pomocy.

Cornelis Loots kiwa głową.

– Zakładam, że nie muszę powtarzać, że wszystkie informacje opuszczające ten pokój przechodzą przeze mnie i przez nikogo innego. I tak, to prawda – dodaje – o dwunastej będzie konferencja prasowa, którą Haugen poprowadzi osobiście, więc po spotkaniu dam mu krótko znać, co mamy.

– Tak, powinno pójść z tym szybko – mamrocze Johannisen.

– Tak, wiem, nie mamy jeszcze zbyt wiele do powiedzenia, ale według Haugena ważne jest, byśmy na wczesnym etapie pokazali, że jesteśmy otwarci na współpracę z mediami. Poza tym możemy otrzymać cenne wskazówki – dodaje, nie przejmując się sceptycznymi spojrzeniami innych. Wiadomość o morderstwie krąży po internecie od wczorajszego wieczoru i poranne media powtarzają te szczątki informacji aż do znudzenia. Dzisiejsza konferencja będzie nędznym przedstawieniem i Karen cieszy się, że nie będzie musiała brać w niej udziału. Bierze głęboki wdech i ciągnie: – Jeśli chodzi o podział pracy na dziś, zaraz po rozmowie z Haugenem ja i Björken pojedziemy do córki Susanne. Evald i Astrid, wy zajmiecie się miejscem pracy Susanne. Była zatrudniona

w domu starców w zachodniej części Odinswalli, jeśli dobrze się orientuję.

– Tak, zgadza się – przyznaje Evald Johannisen. – Wczoraj późnym wieczorem złapałem telefonicznie kierowniczkę. Będzie dzisiaj na miejscu najpóźniej koło dziewiątej. Tak powiedziała.

– Świetnie. Musimy porozmawiać z każdym, kto może nam coś powiedzieć o Susanne Smeed: z kolegami z pracy, sąsiadami i krewnymi. W jakich kręgach się obracała? Czy się z kimś spotykała? Zainteresowania, konflikty, wszystko, co tylko może nam pomóc wskazać jakiś ewentualny motyw. A ty, Cornelis, skontaktuj się z technikami i informuj mnie na bieżąco o ewentualnych postępach. Na zdrowy rozum musiała mieć w domu komórkę, a zapewne także komputer.

Wszyscy przyjmują swoje zadania, kiwając w milczeniu głowami i notując. Nawet Evald Johannisen nie ma żadnych obiekcji. W powietrzu czuć tylko ciche oczekiwanie na coś jeszcze. O czymś zapomniałam? – zastanawia się Karen z ukłuciem paniki. Czy powinnam coś jeszcze powiedzieć albo zrobić?

W tym momencie dociera do niej, na co czekają.

– Wiem, że ta sytuacja jest wyjątkowa, również dla mnie – mówi i przesuwa wzrok od jednej pary oczu do drugiej. – Niektórzy z was być może się zastanawiają, dlaczego Viggo Haugen to mnie powierzył prowadzenie tego śledztwa, ja sama też zadaję sobie to pytanie.

Krzesło Evalda Johannisena skrzypi ostrzegawczo, kiedy zakłada nogę na nogę i powoli się odchyła. Z uniesionymi brwiami spogląda jej w oczy, jakby z zainteresowaniem czekał na ciąg dalszy.

– I...? – pyta przeciągle. – Znalazłaś jakieś wyjaśnienie?

Niepewność Karen przechodzi w irytację, że po cholerę się kryguje.

– Sądzę, że to dlatego, że jako śledcza mam z nas największe doświadczenie – mówi krótko. – To prawda, że z tego, co wiem, nie spędziłam aż tylu lat co niektórzy z was, chodząc w mundurze, ale mam w tym wydziale największe doświadczenie, jeśli chodzi o wyjaśnianie poważnych przestępstw, i myślę, że nasze kompetencje wzajemnie się uzupełniają. W każdym razie liczę na wasze wsparcie i udaną współpracę. Jeśli nie ze względu na mnie, to na Jounasa.

Evald Johannisen wlepia wzrok w stół, inni kiwają głowami.

– Jasna sprawa – mówi Astrid.

– No a Jounas? – pyta Karl Björken. – Kto z nim porozmawia?

– Ja – odpowiada Karen. – Znów z nim porozmawiam, dzisiaj, ale trochę później. Teraz zacznijmy od córki. A pozostali z was niech grzebią dalej, choćby mieli się dokopać do samego piekła, widzimy się punkt szesnasta na naradzie. I od razu do mnie dzwońcie, jeśli pojawi się coś wyjątkowo interesującego!

Na klatce schodowej na Aspvägen 48 czuć środki czystości, jedzenie i dopiero co usunięte wymiocy. Szara kamienna posadzka w wejściu wciąż jest mokra po porannym sprzątanu, a sprzątac, którego spotykają w drzwiach wejściowych, znika, zmierzając szybkim krokiem z wiadrem w jednej ręce, a długim mopem w drugiej do furgonetki.

Sigrid Smeed mieszka na szóstym piętrze zgodnie z listą lokatorów, która pokrywa większą część ściany na parterze. Jadą więc windą. Karl Björken rozmawiał już przez telefon z córką Susanne Smeed i uprzedził ją, że są w drodze, jej drzwi otwierają się, jeszcze zanim zadzwonią. Musiała stać i czekać na dźwięk windy, myśli Karen, dostrzegając przelotnie bladą twarz. Później młoda kobieta obraca się do nich plecami i znika w mieszkaniu. Wymieniają z Karlem spojrzenia, kiedy ten zamyka za nimi drzwi. Potem idą za Sigrid do salonu.

W pokoju jest ciemno. Sofa przykryta tkaniną z orientalnym wzorem stoi tyłem do okna, a zaciągnięte zasłony nie przepuszczają jesiennego słońca. Jedynym źródłem światła jest promyk słońca przeciskający się przez dziesięciocentymetrową szparę w miejscu, gdzie grube ciemnoczerwone zasłony nie do końca się ze sobą stykają. Na regałach pokrywających dwie ściany stoją kieszonkowe wydania książek i płyty CD oraz kilka metrów winyli. Na trzeciej ścianie wisi plakat z wystawy Andy'ego Warhola w Muzeum Sztuki Nowoczesnej Louisiana i wycinek prasowy w ramce, który wygląda jak recenzja z festiwalu muzycznego na Frisel. Na podłodze pod nim, obok czarnego wzmacniacza Marshall, leżą dwa czarne futerały na gitary i sterta gazet.

Sigrid usiadła po turecku na środku kanapy, dając wyraźny sygnał, że nikt ma się do niej nie zbliżać. Na długim stoliku z ciemnego zabejcowanego drewna leży paczka papierosów i zielona plastikowa zapalniczka. Obok stoi duża niebieska filiżanka z białymi szczerbami na brzegu, a w niej do połowy niewypita herbata. Leżąca koło niej kanapka wygląda na nietkniętą.

Bez pytania o pozwolenie Karen siada na wytartym fotelu z wysokim oparciem i patrzy, jak postawny Karl kuli się na niskiej pufie z beżowej

skóry. Obserwuje cząsteczki kurzu, które szybują w świetle słońca, a później odwraca wzrok do ciemnowłosej dziewczyny na sofie.

Jej twarz jest blada, usta zaciśnięte. W przekłutej przegrodzie nosowej tkwi grube złote kółko, a na jej skrzyżowanych rękach wiją się długie wytatuowane zielono-niebieskie istoty przypominające węże. Włosy sięgają ramion i są potargane, jakby właśnie wstała z łóżka po długiej nocy. To, że ich kruczoczarny odcień nie jest jej naturalnym kolorem, zdradzają nieumalowane oczy prześwitujące między jasnymi rzęsami. Całe czerwone. Niestrzeżona luka w tym ciężkim uzbrojeniu.

Ależ mogła się zmienić ta uśmiechnięta jasnowłosa dziewczynka ze zdjęć w salonie Susanne Smeed, myśli Karen. Ile ona może mieć lat, niewiele ponad osiemnaście, może dziewiętnaście?

– Witaj, Sigrid – mówi. – Jak się czujesz?

Wzruszenie ramionami. Karen zbiera w sobie siły.

– Przede wszystkim chciałabym powiedzieć, że jest mi przykro z powodu śmierci twojej mamy. Musi być ci bardzo ciężko. Zwłaszcza że stało się to w taki sposób.

Jedyną reakcją jest wzrok wbity w sufit, jakby Sigrid cierpliwie czekała, aż jej goście przejdą do rzeczy. Karen próbuje jeszcze raz.

– Jak rozumiesz, usiłujemy zrobić wszystko, co w naszej mocy, żeby dowiedzieć się, kto zabił twoją mamę, i dlatego musimy zadać ci kilka pytań. To nie potrwa dłu...

– Co chcecie wiedzieć? – przerywa jej ostro Sigrid. – Powiedzcie, do cholery, czego chcecie się dowiedzieć, a potem sobie idźcie. Wieczorem pracuję, muszę się jeszcze przespać.

– Będiesz dziś pracować? – pyta zdziwiony Karl.

– A co? – odpowiada pytaniem Sigrid i przenosi na niego wzrok. – Uważasz, że nie wypada?

Karl nic nie mówi, ale zerka na Karen, która przejmuje inicjatywę. Miętkość jej głosu nieco zanika, kiedy zadaje kolejne pytanie.

– Pracujesz w jednym z pubów muzycznych w mieście, prawda? Jak on się nazywa?

– Lucius.

– Na Thybeckgate?

Brak odpowiedzi.

– Okej – mówi Karen. – Czy pracowałaś tam w zeszłą sobotę wieczorem?

- Tak.
- Do której?
- Pracuję zawsze do zamknięcia.
- A o której zamykacie? – pyta cierpliwie Karen.

Sigrid, która zabrała się do oglądania własnych paznokci, najwyraźniej znalazła tam coś ciekawego, bo teraz skoncentrowana skrobie coś paznokciem kciuka. Odprysk czarnego lakieru odchodzi i ląduje na jej kolanach.

– No mówże – wcina się Karl z wyraźną irytacją w głosie. – Szybciej się nas pozbędziesz, jeśli nie będziemy musieli wyciągać z ciebie każdego słowa. O której zamykacie?

– O pierwszej – mamrocze Sigrid i jednocześnie obgryza kawałek skórki z palca wskazującego prawej dłoni.

– O pierwszej – powtarza Karl i notuje.

– Chociaż akurat w zeszłą sobotę mieliśmy otwarte do trzeciej – dodaje Sigrid, trzyma uniesiony palec przed sobą i ogląda rezultat.

Nieźle, Karl, myśli Karen. Może dalej już jakoś pójdzie.

– Po pracy poszłaś prosto do domu?

– Nie, nie poszłam. Pojechałam rowerem – dodaje po krótkiej przerwie Sigrid.

Karen tłamsi w sobie ochotę, żeby podnieść głos. Tym razem niech to Karl uosabia irytację.

– Sama? Czy może zabrałaś kogoś ze sobą? – mówi tak neutralnym tonem, na jaki tylko ją stać.

– Masz na myśli jakiegoś typa na jedną noc? Wydaje ci się, że zabieram ze sobą klientów z roboty jak jakaś pieprzona dziwka?

– Nie, Sigrid. – Karen mówi teraz z przesadną cierpliwością w głosie. – Ale może twój chłopak cię odprowadził. A może ktoś czekał na ciebie tutaj, w domu.

Na twarzy Sigrid coś się zmienia; delikatne drgnienie kącika ust, jakby próbowała powstrzymać łzy. Pociąga za rękawy robionego na drutach swetra, tak je rozciąga, że zakrywają jej dłonie, i siedzi przez chwilę w milczeniu, później spogląda na Karen i odpowiada znów opanowanym głosem:

– Nie, nikt. Byłam sama.

– Ale nie mieszkasz tutaj sama, co? – mówi Karl i kiwa głową w stronę futerałów na gitary. – Obie są twoje czy masz chłopaka?

Sigrid wzrusza ramionami, a oni wyczekują.

– Co ja tam, kurna, wiem – mówi Sigrid po chwili. – Nie mam zielonego pojęcia, czy on w ogóle ma zamiar wrócić. Pokłóciliśmy się i się wyniósł. Nie widziałam go od tamtej pory.

– Jak się nazywa?

– Sam. Samuel Nesbö.

– Mieszkacie tutaj we dwoje?

Tym razem następuje skiniecie głową i szybki ruch wyciągniętym rękawem pod nosem.

– Co się takiego stało? Możesz nam zdradzić?

– Przecież mówiłam, pokłóciliśmy się.

– W sobotę?

– Jak?

– O co?

– Jak to o co? Czego chcecie się niby dowiedzieć? Jak się nam układa w łóżku?

– Nie, to akurat mamy gdzieś – mówi spokojnie Karl. – Ale chcemy wiedzieć, o co się pokłóciliście i która była wtedy godzina.

– Wkurzył się, kiedy powiedziałam mu o kilku typkach z Holandii, okej? Graliśmy, a w przerwie oni do mnie podeszli. Nie wiem, która była godzina. Może druga.

– Graliście? – mówi zaskoczony Karl. – Myślałem, że pracujesz w barze.

Sigrid przewraca oczami i kręci głową na tę niesamowitą głupotę, na twarzy maluje się jej szydery uśmiech. Przez moment Karen dostrzega w niej coś z tamtej małej dziewczynki ze zdjęć w salonie Susanne Smeed.

– No i to robię – odpowiada Sigrid. Teraz nadchodzi kolej, żeby to w jej głosie było słycać przesadną cierpliwość. – Ale sporo też gramy, rozumiecie. *Można* chyba robić kilka różnych rzeczy, co? – Robi krótką przerwę, a później kontynuuje: – A więc w sobotę pracowałam na barze do wpół do dwunastej, a później graliśmy aż do zamknięcia. Dwie fuchy jednej nocy, cholernie dziwne, nie? I co, teraz mnie aresztujecie?

Karen czuje, jak drżą jej kąciki ust, i marszczy brwi, żeby przegonić uśmiech. Na chwilę wbija wzrok w kolana, a później napotyka spojrzenie Sigrid i zadając kolejne pytanie, patrzy jej prosto w oczy.

– Więc ty i Sam pokłóciliście się i twierdzisz, że kiedy zamknęliście, pojechałaś sama do domu. Czy pojechałaś prosto do domu?

Karen widzi, jak oczy Sigrid się zwięzają, a górna warga wykrzywia się w grymasie wyrażającym głęboką pogardę.

– Nie, udałam się na przejażdżkę do Langevik i najpierw zamordowałam swoją matkę – mówi powoli i unosi kąciki ust w prowokującym, ponurym uśmiechu.

Karen dostrzega kątem oka, że Karl chce coś powiedzieć.

– Zrobiłaś to? – uprzedza go, pytając spokojnym głosem. – Pojechałaś do Langevik?

– A po kiego grzyba miałabym to zrobić?

– Hmm, może nie chciałaś jechać sama do domu. Może byłaś smutna i zamiast tego wolałaś przenocować u mamy?

– Wiesz, jak to jest daleko? Pedałowanie tam zajęłoby mi kilka godzin.

– O ile jechałabyś rowerem. Może złapałaś autostop, wiele osób jechało w tamtym kierunku po Oistrze. Nie jest wcale wykluczone, że ktoś cię tam podrzucił.

– Pojechałam do siebie – mówi krótko Sigrid. – Poza tym nawet nie miałam pojęcia, że jest w domu. Zawsze wyjeżdża w czasie Oistry. Nie może znieść tego, że inni są szczęśliwi.

Karen reaguje na nową informację.

– Dokąd zwykle wyjeżdża?

Kolejne wzruszenie ramion.

– Tradycyjnie, jak przypuszczam. Bierze prom do Anglii albo do Danii. Kiedyś jeździła na Majorkę, do Grecji i takich tam, ale teraz już jej raczej na to nie stać.

– Więc nie wiedziałaś, że twoja mama będzie w tym roku w domu?

– Nie, a nawet jeślibym wiedziała, tobym tam nie pojechała. Moja mama to tak jakby ostatnia osoba, którą chciałabym spotkać.

– Dlaczego tak mówisz? Nie miałyście dobrego kontaktu? – pyta Karl.

Sigrid posyła w jego stronę pogardliwe spojrzenie.

– „Nie miałyście dobrego kontaktu?” – przedrzeźnia go zrzędlwym, teatralnym głosem. – W ogóle nie miałyśmy kontaktu, jeśli cię to interesuje. Nie widziałam jej od ponad roku. I prawie z nią nie rozmawiałam.

– A z czego to wynika? – dopytuje Karen.

Sigrid sięga na stół i wyjmując papierosa z paczki. Jej chude dłonie delikatnie drżą, kiedy przytrzymuje przy nim płomień zapalniczki i głęboko się zaciąga.

– Nie była normalna – mówi krótko i wydmuchuje dym. – *That's why.*

– Nienormalna? Co masz na myśli?

– Zgorzkniała, upierdliwa. Wszystkich nienawidziła. Wydawało się jej, że może kierować moim życiem, chociaż już od ponad dwóch lat nie mieszkam w domu. Wystarczy?

– Od dwóch lat? Musiałaś bardzo wcześnie się wyprowadzić? Pozwolili ci?

– W dniu, kiedy skończyłam szesnaście lat. Nie pytałam o pozwolenie.

– Zaciąga się po raz kolejny i mówi trochę spokojniej. Surowość jej głosu nieco ustąpiła.

– A zanim się wyprowadziłaś? Po rozwodzie mieszkałaś na zmianę u mamy i taty czy tylko u mamy? – pyta Karen i zastanawia się, czy jej szef kiedykolwiek coś o tym wspominał. Nie, on nigdy nie mówił w pracy o swojej córce, w każdym razie nie w mojej obecności, myśli. Co najwyżej wspomniał ją kiedyś mimochodem.

Sigrid jeszcze raz się zaciąga i tym razem wypuszcza dym tak, że tworzą się małe kółeczka, które ona odprowadza wzrokiem, gdy unoszą się pod sufit.

– U obojga. Musiałam pakować się co niedziela i przenosić od jednego do drugiego. I to była masakra, jeśli chcesz wiedzieć.

– Ciągłe przeprowadzki? To masz na myśli.

– Nie, chodzi o to, że oboje są cholernie męczący. Jestem zapewne jedynym dzieckiem na świecie, które co wieczór modliło się, żeby jego rodzice się rozwiedli. Myślałam, że tak będzie lepiej, ale zamiast tego było jeszcze gorzej; w kółko się kłócili, a do tego uważali, że mam być jakimś cholernym posłańcem między nimi. Oni nie są normalni, żadne z nich – dodaje i gasi papierosa, mocno przyciskając go do spodka od filizanki z wypitą do połowy herbatą.

Nagle Sigrid sprawia wrażenie zdezorientowanej, jakby uświadomiła sobie, że mówiąc o matce, używa niewłaściwego czasu.

Słuchając tego, Karen i Karl czują się coraz bardziej nieswojo. Woleliby nie wiedzieć o tym, jak burzliwe było małżeństwo Jounasa Smeeda i że awantury trwały w najlepsze także po rozwodzie. Szczególnie w kontekście śledztwa w związku z morderstwem jego byłej żony. A słuchanie tego z ust jego córki przepełnia ich poczuciem, że wciskają nos tam, gdzie wcale nie chcą go wciskać. To jak obwąchiwanie czyichś brudnych gaci, myśli Karen.

– Jeszcze tylko jedno pytanie – mówi. – Czy masz jakieś podejrzenia, kto mógłby chcieć zrobić krzywdę twojej mamie? Czy z kimś się sprzeczała albo kłóciła?

Sigrid patrzy na nią z miną wyrażającą rezygnację.

– Czy z kimś się kłóciła? Poza tatą, znaczy? Hmm, tak jakby z każdym, kogo tylko spotkała.

– Czy myślisz o kimś konkretnym?

– Nie mam pojęcia, co ona robiła ani z kim się spotykała. Przez ostatnie lata nie miałyśmy właściwie żadnego kontaktu.

Milknie, a oczy zaczynają jej lśnić.

– Dobrze, Sigrid – mówi Karen. – Nie będziemy ci już dzisiaj zabierać więcej czasu, ale możliwe, że będziemy musieli jeszcze z tobą porozmawiać.

Wyjmuje wizytówkę z kieszeni.

– Tutaj jest mój numer. Jeśli coś ci się przypomni, zadzwoń. Albo jeśli będziesz chciała z kimś porozmawiać – dodaje, sama nie rozumiejąc, co ma na myśli. Mało prawdopodobne, żeby Sigrid Smeed dobrowolnie zwróciła się do któregoś ze znajomych taty, żeby zwierzyć się z tego, co leży jej na sercu. I to jeszcze do policjantki.

Karen kładzie wizytówkę na stole i wstaje. Sigrid dalej siedzi na kanapie i się nie rusza, kiedy Karl zamyka za nimi drzwi.

Powinna zamknąć na klucz, myśli Karen.

W milczeniu zjeżdżają windą. Kiedy wychodzą z budynku, widzą trzech chłopaków w wieku trzynastu lat, którzy rozbiegają się szybko jak szczury, uciekając od samochodu Karen.

– Cholerni gówniarze, dlaczego nie są w szkole? – mówi wściekły Karl, patrząc na litery napisane czarną farbą na szybie: HWDP.

– Pytanie brzmi raczej, skąd wiedzą, kim jesteśmy, skoro nie jeździmy oznakowani – zastanawia się Karen.

Karl śmieje się głośno, starając się zetrzeć czarną farbę rękawem kurtki.

– No co ty, te cholerne gnojki wyczują psa z odległości pięćdziesięciu metrów. Mają to w genach.

– Przestań, zniszczysz sobie kurtkę. I hamuj trochę te uprzedzenia.

Otwiera drzwi i włącza wycieraczki, a Karl wciska się na fotel pasażera. Razem czują, jak słaby zapach etanolu rozchodzi się po wnętrzu auta. W ciszy patrzą, jak płyn do mycia szyb rozmazuje czarny napis w szarą maź na przedniej szybie.

– Ale to był koszmar – mówi Karl po chwili.

Karen kiwa tylko głową.

– Jesteś pewna, że chcesz sama gadać z Jounasem? Może byłoby łatwiej, gdybyśmy pogadali z nim we dwoje.

– Dzięki, to miło z twojej strony, ale sądzę, że lepiej będzie, jak teraz też pojedę do niego sama. Wczoraj nie zaszliśmy za daleko, był... zszokowany i niezbyt rozmowny.

Karl spogląda na nią.

– Narąbany, chcesz powiedzieć? Taa, nie brałbym mu tego za złe, jeśliby sobie gołnął. Ja bym tak w każdym razie postąpił, gdyby ktoś zarznął moją eks. Nawet jeśli były z nią same utrapienia – dodaje i Karen nie jest pewna, czy ma na myśli swoją byłą żonę, czy Susanne Smeed.

Dochodzi do wniosku, że to bez znaczenia.

– No, może nie był do końca trzeźwy – odpowiada chłodno. – W każdym razie spróbuję ponownie sama, a potem ewentualnie wzmocnimy siły. Zależy też, do czego dojdą inni. Poczekamy na wyniki z dzisiejszego dnia, a później zobaczymy.

Wysadza Karla Björkena na Redehusgate przed komendą. Po przeciwnej stronie ulicy stoi zaparkowany wóz Radia Publicznego, a przy otwartych tylnych drzwiach wana z logotypem Doggerlandzkiej Telewizji Publicznej Karen rozpoznaje kamerzystę, który stale włóczy się z reporterem telewizyjnym Jonem Bergmanem. Teraz stara się wypoziomować na samochodzie trójnogi statyw, a jednocześnie trzyma kamerę. I gdy tylko Karl otwiera drzwi, żeby wysiąść, wysoka, szczupła sylwetka Jona Bergmana wynurza się zza wozu DTV. Sekundę później dostrzega on siedzącą za kierownicą Karen i kieruje się szybkim krokiem w stronę samochodu.

– Leć no, migiem, do cholery – syczy Karen do Karla. – I ani słowa mediom, słyszysz?

Drzwi zatrzasują się za Karlem, a ona rusza z piskiem w stronę Odinsgate. Rzuca okiem w tylne lusterko i widzi Jona Bergmana, który stoi pośrodku ulicy i patrzy za nią, po kilku sekundach odwraca się i gna za Karlem, który wchodzi do komendy.

Decyzja Vigga Haugena, żeby zorganizować konferencję prasową, nie pozostawiła miejsca na żadne dyskusje. Ale kiedy po porannym spotkaniu Karen raportowała mu oraz prokurator Dineke Vegen o stanie śledztwa, szef policji wyglądał na zaniepokojonego.

– Mówisz zupełnie poważnie, że nikt nic nie widział ani nie słyszał? I nie macie pojęcia, kto to zrobił?

– Dokładnie tak, nie udało się nam do tej pory znaleźć świadków ani motywu, ale wciąż jesteśmy w bardzo początkowej fazie śledztwa. Wszczęliśmy je niecałe dwadzieścia godzin temu.

– I co według ciebie mam niby powiedzieć na tej konferencji?

Szef policji rozłożył ręce i popatrzył na Dineke Vegen, jakby szukał wsparcia dla swojej krytyki. Ale prokurator zignorowała go i zamiast tego zanotowała coś w papierach.

– Hmm, chyba możesz przedstawić te fakty, które już ustaliliśmy, pomijając oczywiście sposób i narzędzie zbrodni – odparła Karen. – Czyli to, kto nie żyje, gdzie się to stało i że nie wykluczamy nienaturalnej przyczyny śmierci, ale dla dobra śledztwa nie możemy ujawniać żadnych szczegółów. Po prostu stara dobra śpiewka – wymusnęło się jej, zanim zdołała się powstrzymać.

Viggo Haugen posłał jej poirytowane spojrzenie i Karen szybko spróbowała złagodzić swoje słowa.

– Zawsze dobrze jest się spotkać z mediami już na tak wczesnym etapie. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, może dostaniemy od ludzi jakieś cenne wskazówki. – Właśnie rośnie mi nos, pomyślała, ale to, co mówiła, brzmiało przykładowo.

I może naprawdę jest to jeśli nawet nie dobre, to przynajmniej konieczne posunięcie, żeby już teraz zorganizować konferencję, myśli Karen, widząc w tylnym lusterku, jak plecy Jona Bergmana znikają w budynku komendy. O tym, że naczelnik wydziału kryminalnego miał bliskie związki z ofiarą, redakcje, rzecz jasna, już wiedziały i należało je poinformować o tym, jak policja zamierza postępować z Jounasem Smeedem w trakcie śledztwa. Wskazówki od społeczeństwa to z kolei strzał w ciemno. Wcześniejsze doświadczenia pokazują, że ci, którzy naprawdę mają coś ciekawego do powiedzenia, zgłaszają się bez zachęty mediów. Reszta – ci, na których działają podobne prośby – obciążają zaś linie telefoniczne i lokalne komisariaty policji w całym kraju. Można tylko stracić cenny czas na rozmowach z samotnymi ludźmi i wariatami o rzeczach, które nie mają zupełnie nic wspólnego ze śmiercią Susanne Smeed.

Karen skręca w lewo w Odinsgate, a później w prawo w Slaktehusgate, kierując się w stronę Packartorget. Na schodach Muzeum Narodowego siedzi jakieś dwadzieścia osób i wystawia twarze do słońca. W gruncie rzeczy jest za wcześnie na lunch, a ona nie jest szczególnie głodna, ale dochodzi do wniosku, że powinna coś zjeść, zanim pojedzie do Thingwalli. Spotkanie z Jounasem Smeedem będzie samo w sobie wystarczająco upiorne, a przy niskim poziomie cukru może się skończyć katastrofą.

Parkuje na rynku przed halami targowymi i wchodzi do nich przez wysokie drzwi. Przebija się szybko przez zapachy świeżo mielonej kawy, przypraw, chleba i idzie dalej do handlarzy rybami na drugim końcu. Tutaj lady aż uginają się od wędzonych śledzi i krewetek, stert różnych gatunków chropowatych ostryg, tac z intensywnie czerwonymi krabami, obłożonych lodem żabnic, dorszy i makrel, które leżą dostojnie obok zębaczy i plamiaków. Karen zatrzymuje się i przygląda ich szeroko otwartym oczom i rozwartym pyszczkom, i myśli o tym, żeby kupić porządny kawałek dorsza na weekend. Wspomnienie pustego, martwego

wzroku Susanne Smeed przelatuje jej przez głowę i Karen rusza dalej do gotowych dań.

Dziesięć minut później rozsiada się na schodach do muzeum z sałatką z łososiem i butelką wody mineralnej. Oślania oczy dłonią i spogląda na rynek, gdzie nawoływania sprzedawców owoców i warzyw rywalizują z muzyką klasyczną lecącą z głośników. Rada miejska w Dunkerze zdecydowała po długich bataliach, że także w tym roku w głównych punktach miasta będzie grana w porze lunchu muzyka. Wszystko zaczęło się od jednej z wielu zeszłorocznych imprez w ramach Europejskiej Stolicy Kultury, kiedy to partie prześcigały się w wysuwaniu kreatywnych propozycji, jak poszerzyć szeroko rozumianą ofertę kulturalną. Nikt się nie spodziewał, że wybuchną gorące protesty, gdy po roku sprzęt nagłaśniający miał zostać zdemontowany, i w końcu urzędnicy się poddali – zwyciężyła wola ludu. Dlatego nadal przez dwie godziny każdego dnia puszczano na Packartorget muzykę klasyczną. Wszelkie próby urozmaicenia i odświeżenia oferty były jednak odrzucane; żadna partia nie była gotowa, żeby zgodnie z prawem autorskim płacić za odtwarzanie dzieł młodszych niż te, których twórcy zmarli ponad siedemdziesiąt lat temu. Wszystko ma swoje granice.

Karen mruży oczy i przez kilka sekund słucha czegoś, co – jak sądzi – jest Mahlerem. Mimo że słońce znajduje się zdecydowanie niżej niż jeszcze kilka tygodni temu, wciąż grzeje ją w policzki i czoło. Ale nowa rzeźkość nadciągnęła nad wyspę: jak delikatne, ale ponaglące przypomnienie, że nic nie trwa wiecznie; lato definitywnie się kończy i niedługo nad Wyspami Doggerlandzkimi zaczną wiać zimne wiatry znad Atlantyku.

Odkręca nakrętkę, bierze łyk wody mineralnej i zabiera się do jedzenia wędzonego na ciepło łososa. Kiedy go gryzie, jej myśli wybiegają w przyszłość: do spotkania, które ją czeka. To strzał w ciemno, żeby jechać do Jounasa po raz drugi, nie uprzedziwszy go, ale jej plan zakłada, że obezwładni go, nim ten zdąży podnieść gardę. To mu się nie spodoba. Nie powinien być jednak zaskoczony tym, że znów musi z nim porozmawiać – najszybciej, jak to możliwe.

Biorąc pod uwagę statystyki, powinien być mi cholernie wdzięczny, że nie zabrałam go do komisariatu, myśli Karen, jedząc dalej lunch. W dziewięciu na dziesięć przypadków za morderstwo kobiety odpowiada

albo jej obecny, albo były mąż. Pytanie tylko, jak skory do współpracy będzie Jounas tym razem. I jak trzeźwy.

W chwili kiedy Karl Björken wchodzi do komendy przez obrotowe drzwi, słyszy w skrzydle za sobą zdecydowanie zbyt dobrze znany sobie głos Jona Bergmana.

– Cześć, Björken, masz może minutkę? Hej, zatrzymaj się!

Nie oglądając się za siebie, Karl zmierza energicznym krokiem do wind, ale młodemu reporterowi DTV z *Dziś na świecie* udaje się go dopaść, nim naciśnie przycisk. Powinienem był pójść schodami, myśli i zerka na recepcję, gdzie dyżurujący aspirant próbuje uspokajać dziennikarzy niecierpliwie czekających, aż wypisze im przepustki dla gości. Ciemnoniebieskie kręgi pod pachami na jego służbowej koszuli świadczą o tym, że instalacje jak zwykle nawalają, a głośno wyrażana przez gości krytyka zawiera uwagi o biurokracji i niekompetencji policji.

Strażnik z Gardii stoi i wyciąga ręce, żeby przeszkodzić reporterowi kryminalnemu z „Kvellsposten” wejść prosto do audytorium, bez wcześniejszej rejestracji w systemie dla gości.

Karl zerka na zegarek nad recepcją: trzy minuty po dwunastej. Najprawdopodobniej Viggo Haugen stoi teraz gdzieś z tyłu i niespokojnie przestępuje z nogi na nogę; czeka, żeby wkroczyć na podium, i zdenerwowany zastanawia się, dlaczego w sali wciąż nie ma dziennikarzy. Świetnie się to wszystko zaczyna, myśli Karl Björken i odwraca wzrok od tych dantejskich scen. Do tego godzina dwunasta musi być idiotyczną porą na konferencję prasową, stwierdza z cichym westchnieniem. Przynajmniej jeśli nie ma się zamiaru zaoferować tym żądnym krwi pismakom czegoś, co w porze lunchu uśmierzy ich największy głód.

Na tej konferencji nie trafią się im żadne smakowite kąski, ani w sensie metaforycznym, ani dosłownym; Viggo Haugen jest równie skąpy co żądny uwagi mediów, myśli Karl i dziękuje swojej szczęśliwej gwiazdzie, że nie musi brać udziału w tym bezsensownym spektaklu.

– Czy to była żona Jounasa Smeeda została zamordowana? Chociaż to mógłbyś chyba potwierdzić? Daj spokój, przecież już to wiemy, potrzebuję tylko usłyszeć to oficjalnie.

Jon Bergman zadaje te pytania, zerkając na swojego kamerzystę, który tłoczy się wśród innych w recepcji. Karl znów naciska nerwowo przycisk i patrzy na wyświetlacz nad drzwiami. Jedna z wind sprawia wrażenie, jakby utknęła na czwartym piętrze, druga właśnie jedzie na górę.

– Czy Smeed dalej pracuje? Jako osoba blisko związana z ofiarą musi chyba uchodzić za podejrzanego? Czy może już wiecie, kto jest sprawcą?

Jon Bergman próbuje okrążyć Karla, żeby nawiązać z nim kontakt wzrokowy. Bierze szybki wdech i ciągnie:

– Wiecie, jakiej broni użyto? Smeed ma chyba broń służbową? No daj spokój, Björken, coś przecież możesz powiedzieć.

Karl słucha w roztargnieniu potoku pytań. Niesamowicie, szczegóły najwyraźniej nie zaczęły jeszcze wyciekać do mediów. Zdaje się, że z szacunku dla Jounasa koledzy tym razem naprawdę trzymają język za zębami. Z ulgą stwierdza, że jedna z wind zjeżdża chyba wreszcie na dół.

– Oczywiście – mówi z szyderczym uśmiechem w chwili, kiedy winda dzwoni i jej drzwi się otwierają.

– Co? Co przez to rozumiesz? – Jon Bergman wydaje się zdezorientowany.

– Słuchaj, coś mi się zdaje, że już się zaczyna. – Karl kiwa głową w stronę audytorium, gdzie strażnik usunął się na bok i wpuszcza tłum niecierpliwych dziennikarzy i fotoreporterów. – Lepiej się pospiesz, bo jeszcze coś przegapisz – mówi i uśmiecha się do reportera, a drzwi windy zamykają się między nimi.

Kiedy winda jedzie na górę, Karl wyjmuje komórkę i pisze wiadomość do Karen. Wsiadając z windy na trzecim piętrze, naciska „wyślij”: *Smeed będzie zaraz miał gości/Karl.*

Evald Johannisen intensywnie wpatruje się w ekran komputera, mimo to Karl wnioskuje z nieobecnego wzroku kolegi, że myślami jest zupełnie gdzie indziej.

– Cześć, Evald – mówi i stuka pięścią w brzeg biurka. – Co tak siedzisz i dumasz?

Johannisen wzdryga się i przez twarz przebiega mu szybko cień niekontrolowanej wściekłości. Sekundę zajmuje mu zebranie się w sobie, później uśmiecha się szeroko i powoli odchyła na oparcie.

– No żeż cholera, zerwałeś się jej ze smyczy czy puściła cię dobrowolnie?

– Mam teraz chwilę, żeby pobiegać sobie wolno. Widziałeś Lootsa? Chciałbym się dowiedzieć, czy słyszał coś od techników.

Evald Johannisen wykonuje ruch głową w stronę kuchni.

– Pije kawę, jak zwykle. Ale słuchaj, gdzie się podziewa twoja pani?

– Pojechała do Smeeda. Mówiła przecież rano na zebraniu.

– Aha, rozumiem, że woli się z nim spotykać... na osobności, że tak powiem. To naprawdę wspaniałomyślne z jej strony, wyśmienity materiał na szefa, jakby mnie kto pytał.

Karl Björken przygląda się koledze i szybko rozważa to sam ze sobą. Niezadowolenie Johannisena jest równie męczące jak zwykle, ale mimo wszystko jego sarkazm wydaje się zazwyczaj nieco bardziej subtelny. Wyznaczenie Karen Eiken Hornby na pełniącą obowiązki szefa kryminalnych najwyraźniej mocno go rozjuszyło. Karl ma ochotę coś powiedzieć o psie ogrodnika, ale decyduje się dać spokój.

Lubi Eiken; mimo braków w politurze społecznej i kilku męczących cech zawsze odwała kawał dobrej roboty. Jednak nie ma ochoty sprzeczać się z Johannisenem. Stanie się obiektem jego drwin byłoby o niebo gorsze niż konieczność wytrzymywania tego, jak pastwi się nad innymi. Poza tym ten nowy podział zadań jest w najwyższym stopniu tymczasowy, a kiedy chodzi o biurową politykę, należy postępować ostrożnie. Kiedy Smeed wróci, Karen znów zostanie zdegradowana, a akcje Johannisena zyskają na wartości. Zadowala się krzywym uśmiechem, który Evald Johannisen może sobie tłumaczyć, jak chce.

– A ty? – mówi, zmieniając temat. – Nie miałeś jechać z Astrid do miejsca pracy Susanne Smeed?

– Miałem, już tam byliśmy, ale na niewiele się to zdało. Kierowniczka zapewniała nas, że jest wstrząśnięta tym, co się stało, ale ci z personelu, którzy byli na miejscu, nie sprawiali wrażenia, jakby współpracowali z Susanne szczególnie blisko. Będziemy musieli jeszcze raz spróbować z tymi pajacami.

– Rozmawialiśmy z Eiken z córką Jounasa i przyniosło nam to mniej więcej tyle samo – mówi Karl usłużnie. – Nie dało się z niej wyciągnąć nic pożytecznego, sprawiała wrażenie, jakby była cholernie wściekła.

– Tak, wiem, tatuaże, kolczyk w nosie i tak dalej. – Johannisen szczyrzy się i wygląda, jakby językiem szukał czegoś, co utkwilo mu między zębami.

– Och, spotkałeś ją kiedyś? Odniosłem wrażenie, że nie ma zbyt bliskiego kontaktu z Jounasem.

– Nie, ale Erlandsen pokazał mi ją na mieście kilka tygodni temu i powiedział, że to córka Smeeda. Biedny skurczybyk! Nie dość, że ta cała akcja z jego żoną, to jeszcze córka wygląda jak pierdzielona ćpunka.

– „Ta cała akcja z jego żoną”? Co przez to rozumiesz?

Evald Johannisen, który wsadził mały palec głęboko do ust, próbuje z pewnym trudem wydłubać to, co najwyraźniej utkwilo mu między tylnymi zębami.

– Połtorne bałbsko – mówi niewyraźnie i sekundę później wyjmuje palec. Przygląda się temu, co zostało mu pod paznokciem, a później mówi dalej wolno, w pełni świadomy, że ma przewagę, jeśli chodzi o informacje: – Oduść sobie, Björken. Przecież, do cholery, pół Doggerlandu wie, że Susanne Smeed zatruwała Jounasowi życie przez te wszystkie lata. I nie tylko jemu, o ile się nie mylę. Dawała się we znaki wszystkim wokół. Nie, nie brakuje tu ani wrogów, ani motywu. Czy ty w ogóle się nie orientujesz, mój mały Kalle?

Karl Björken patrzy z niesmakiem, jak kolega wyciera sobie palec o spodnie, i czuje, jak narasta w nim irytacja.

– Taaa – mówi i wzrusza obojętnie ramionami, próbując zneutralizować wartość informacji zawartej w wypowiedzi Johannisena. – Tego, że nie była matką Teresą, sam się domyśliłem, ale mógłbyś wyrażać się jaśniej. Będziemy mieli jakąś korzyść z plotek krążących po wsi?

Evald Johannisen powoli kręci głową i cmoka z uśmiechem wyrażającym współczucie.

– Zasada numer jeden: gliniarz nigdy nie powinien lekceważyć plotek. W dziewięciu na dziesięć przypadków właśnie tam znajdziesz prawdę. Ale jestem pewien, że nasza dzielna pani komisarz i mały Kalle sami dotrą do najlepszych kasków o szefie i jego rodzinie, zamiast prosić mnie, żebym im to podał jak na tacy.

Jak zwykle, kiedy raczy innych impertynencjami, Evald Johannisen uśmiecha się szeroko, osłaniając się tak, żeby zawsze mógł się wycofać, stwierdziwszy, że tylko żartuje. Ale tym razem Karl słyszy jakąś nową ostrość, coś, czego nie rozpoznaje w tonie Johannisena. Jakby atakował z gorszej pozycji na końcu peletonu i wiedział o tym.

– A ja jestem absolutnie pewien, że mimo wszystko jesteś na tyle dobrym policjantem, żeby podzielić się ze mną całą swoją wiedzą

i posunąć to śledztwo do przodu – mówi Karl. – Nawet jeśli jesteś dupkiem – dodaje i słyszy, że jego głos brzmi ostrzej, niż zamierzał.

– Co, kurna, nie znasz się na żartach? Czyżby mały Kalle poczuł się urażony?

Kolejny uśmiech, ale przez jego twarz przemyka coś jeszcze i zmienia się w udręczony, szyderczy grymas.

– Nie do tego stopnia urażony co ty teraz, Evald. Powinieneś przynajmniej dać Karen szansę. Wcale się nie prosiła o tę robotę i nikogo z nas nie bawi grzebanie w rodzinnych brudach Smeedów.

Evald Johannisen nie odpowiada, patrzy tylko pusto przed siebie.

Wygląda na zmęczonego, myśli Karl i przygląda się ciemnym worom pod oczami kolegi. Bledego i zmęczonego. Bycie tak cholernie zgorzkniałym musi go sporo kosztować.

– Wiesz równie dobrze jak ja, że musimy traktować Jounasa jak każdego innego potencjalnego sprawcę aż do czasu, kiedy się to wyjaśni – ciągnie. – A to się wiąże z szukaniem wszelkich możliwych motywów i brudów. To, że Karen woli przesłuchać go sama, zamiast ściągać go tutaj do komendy, i tak jest już taktownym ustępstwem z jej strony.

– Skoro tak mówisz... Ale teraz nie mam czasu siedzieć i plotkować z tobą dłużej – oświadcza Johannisen, spoglądając na zegarek. – Ktoś z nas musi się stąd ruszyć i znaleźć mordercę, żebyśmy odzyskali w wydziale swojego prawowitego szefa. A tak w ogóle to ty nie masz przypadkiem czegoś do zrobienia? Jesteś tu tylko dla ozdoby w tym matriarchacie? Och, do cholery!

Evald Johannisen wykrzywia się i chwyta prawą ręką za lewe ramię. Sekundę później z jego gardła wydobywa się rzeźenie, a on opada na biurko. Karl wzdryga się, gdy słyszy, jak kolega uderza czołem w klawiaturę.

Leży na leżaku obok basenu. Jest ubrany w dżinsy i szary sweter z owczej wełny, czapka z daszkiem przykrywa mu twarz i tylko stopy zwisają luźno, wystając poza brzeg leżaka. Karen zbliża się i słyszy ciche chrapanie, zastanawia się, jak powinna go obudzić. Próbuje stawiać nogi trochę głośniej, niż to konieczne, kiedy pokonuje trzy stopnie prowadzące na drewniany taras. Odchrząkuje. Żadnej reakcji. Cicho wzdychając, staje po przekątnej za podglówkiem i przygląda się śpiącej postaci. Chrapanie ustaje, ale nie widać śladu ruchu poza spokojnym, równym oddechem, który sprawia, że brzuch pod swetrem powoli się unosi i opada. Znowu chrząka, tym razem trochę głośniej.

– Zawsze tak giętko się poruszasz?

Karen wzdryga się, niespodziewanie słysząc głos spod czapki. Jounas Smeed nadal leży nieruchomo, a ona dostrzega wysoką szklanę z jakimś płynem z bąbelkami i plasterkiem cytryny na drewnianym podłożu pod leżakiem.

Gin z tonikiem, myśli. No żeż kurna.

Chwilę później Jounas wyciąga rękę, wodzi nią w powietrzu i w końcu dobrze trafia. Chwyta szklanę. Unosi czapkę z daszkiem, podnosi się trochę i wspiera na łokciu, opróżniając szklanę w trzech głębokich łykach.

– Uspokój się, Eiken – mówi ze wzrokiem utkwionym w zrezygnowanej twarzy Karen. – Perrier z cytryną, nic więcej. Czego chcesz?

– Przecież wiesz. Musimy porozmawiać.

– Och, cholera, nie jest to jedna z moich ulubionych kwestii, która pada z ust kobiety...

– Daj spokój. Mógłbyś usiąść porządnie?

Jounas niespodziewanie usłużnie siada z wolna, przeciera oczy dłońmi i głośno beka...

– Sorry. Dwutlenek węgla – mówi, gładząc się po brzuchu.

– Możemy wejść? – pyta Karen i kiwa głową w stronę domu. – Konferencja prasowa zaraz się skończy i dziennikarze zjawiają się tu lada chwila. Lepiej będzie porozmawiać w środku.

– Aha, w takim razie zdecydowanie wejdźmy do środka. Tak będzie lepiej dla nas obojga – odpowiada przeciągle i wstaje. Przez moment stoi w bezruchu i wpatruje się we wjazd. Karen stwierdza, że groźba przyjazdu mediów przyniosła zamierzony skutek. Czas teraz przetestować pozostałą część strategii.

Bez słowa wchodzi z nim przez przeszklone drzwi i siada na sofie, w tym samym miejscu co wczoraj. Jounas Smeed przystaje w połowie drogi do pokoju.

– Chcesz kawę? – pyta i wykonuje ruch głową w stronę kuchni.

– Chciałabym wiedzieć, jak długo zamierzasz ciągnąć to przedstawienie – mówi krótko Karen. – Zaczyna mnie to cholernie męczyć. – Jounas zamiera, ale nie odpowiada. – Co? – mówi i patrzy mu w oczy, nawet nie mrugając. – Chcesz, żebyśmy porozmawiali o tym, co się stało? Czy o to ci chodzi? Dam ci pięć minut na aluzje i uszczypliwe komentarze. Albo powiedz sam, ile czasu ci trzeba, żeby wyrzucić z siebie wszystko, co cię najwyraźniej gnębi, to może później zaczniemy rozmawiać poważnie.

– No żeż kurna, ale masz dzisiaj humor.

– Dziwi cię to? – mówi i dalej patrzy mu spokojnie w oczy. – Przyjeżdżam tu, żeby cię przesłuchać, i dobrze wiesz, że nie mam wyboru, zarazem jednak robisz wszystko, żeby mi to utrudnić, więc może później uda się nam poważnie porozmawiać.

– Nie no kurde, weź wyluzuj, Eiken...

Głos Jounasa brzmi nagle jak ostrzeżenie. A może pobrzmiewa w nim niepewność?

– Było więc tak – ciągnie Karen. – Upiliśmy się w trupa i straciliśmy rozum. Mam wprawdzie tylko mgliste wspomnienia, jak trafiliśmy do hotelu, ale niestety pamiętam, że się pieprzyliśmy. Było to cholernie głupie i niepotrzebne, i zdecydowanie niewarte zapamiętania, więc może wreszcie spuścisz trochę z tonu.

– Naprawdę było aż tak źle? – mówi przeciągle. – Powiedziałbym raczej, że sprawiałaś wrażenie...

– Jeśli koniecznie chcesz wiedzieć, to tak – wchodzi mu w słowo. – To, co pamiętam, jest naprawdę słabe i więcej się nie powtórzy. A jeśli nie skończysz z tymi uwagami, sam sobie zapewne najbardziej zaszkodzisz.

Widzi, jak Jounas Smeed kamienieje, a jego wzrok staje się czujny. Powoli podchodzi do niej i siada na brzegu stolika kawowego. Jego głowa znajduje się pół metra nad jej głową i Karen przeklina się w duszy za to,

że usiadła. Później Jounas powoli przytakuje, a jego uśmiechnięta twarz świadczy o tym, że tylko czeka, co dalej powie.

– Grozisz mi, Eiken? – Parska śmiechem. – Ach tak, a później jeszcze stwierdzisz, że nie zrobiłaś tego dobrowolnie. Że cię zmusiłem...

– Daj spokój – syczy i wstaje tak gwałtownie, że Jounas musi odchylić się do tyłu, żeby nie zostać znokautowany.

Karen staje kawałek od niego z rękami skrzyżowanymi na piersi.

– Było to zupełnie nierozsądne, ale niestety całkowicie dobrowolne. Chcę jedynie zaznaczyć, że nie tylko mnie wyjdzie to na dobre, jeśli teraz oboje o tym zapomnimy.

– Ach tak, tak sądzisz?

– Tak, twoja kariera raczej nic na tym nie zyska, jeśli wyda się, że tobie też zdarza się stracić głowę. Po pijaku zabrać podwładną do hotelu i ją zerznąć. Twoja wiarygodność trochę na tym ucierpi.

– Ty wredna su... – Przerywa w pół słowa.

– Mów dalej – zachęca go oschle Karen. – Po prostu to z siebie wyrzuć. Przy okazji pojedź trochę po feministkach, które potrzebują porządnego rżnięcia, a zobaczysz, że poczujesz się lepiej. Nie musisz się hamować, wysłuchuję takiego gadania już od czterech lat.

– Uważaj na słowa – mówi Jounas i powoli się podnosi. – Nie zapominaj, że znów będę twoim szefem, gdy tylko skończy się ten cały koszmar.

– Wiem, ale w tej chwili nim nie jesteś. A jeśli nie masz nic do ukrycia, to może pora, żebyśmy zaczęli współpracować. Im szybciej skończy się to śledztwo, tym szybciej wrócisz i będziesz mi uprzykrzał życie. Okej?

Jounas Smeed podchodzi do okna i wygląda na ogród. Stoi odwrócony do niej plecami, a ona wie, że teraz lepiej milczeć, wie, że wygrała. Tylko chwilowo, tylko w tej rundzie, ale to jej wystarcza.

W końcu Jounas obraca się i otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale ona go uprzedza.

– Propozycja kawy wciąż aktualna?

Kwadrans później odstawia filiżankę na stolik.

– Opowiedz mi o Susanne – prosi.

– Co chcesz wiedzieć?

Jego głos jest zmęczony, ale pozbawiony wrogości.

– Wszystko, tak myślę. Zacznij od waszego małżeństwa. Jak się poznaliście?

Odchyła się i wzdycha głęboko.

– W maju dziewięćdziesiątego ósmego, na ślubie mojej siostry. Chodziły razem do klasy w liceum, a po zakończeniu nauki utrzymywały dalej kontakt.

– Więc znałeś Susanne już wcześniej?

– Tak, widziałem ją kilka razy z Wenche, ale jestem dwa lata starszy od swojej siostry, a poza tym wyjechałem za granicę jakiś rok po tym, jak skończyły liceum. Kiedy wróciłem kilka lat później, Wenche zdążyła już spotkać Daga, więc prawdopodobnie się od siebie oddaliły i nie spotykały tak często. Ale tak, widziałem ją wcześniej kilka razy, zanim wbiła we mnie swoje szpony.

Karen ignoruje gorzki ton.

– Ale wciąż się spotykały po zakończeniu szkoły? – pyta. – Znaczący Wenche i Susanne.

Zapisuje sobie w pamięci, żeby możliwie jak najszybciej odnaleźć Wenche Smeed.

– Tak, od czasu do czasu. W każdym razie wystarczająco często, żeby Wenche zaprosiła Susanne na ślub. Jak już mówiłem, to wtedy naprawdę się poznaliśmy.

– Jaka była wtedy Susanne?

Jounas Smeed pochyła się i rozkłada ręce w geście oznaczającym, że to pytanie jest zbyteczne.

– Potwornie miła, rzecz jasna. Cholernie seksowna. Ale to było wtedy – dodaje.

Karen tłumy w sobie westchnięcie.

– Szczęściarz z ciebie, ale chodziło mi raczej o to, jaka była jako osoba.

– Wtedy? Wesoła, ustępliwa, zero zrzędzenia.

Ideał kobiety według Smeeda, myśli Karen. Seksowna, wesoła i ustępliwa. Zaraz jeszcze powie: wdzięczna i uległa.

– A więc dobrze się wam układało? Na początku, mam na myśli.

Jounas wybucha śmiechem. Gorzkie i bezdźwięczne parsknięcie.

– Na początku? Tak, można tak powiedzieć.

– W każdym razie na tyle, że wzięliście ślub.

– Tak, jesienią tego samego roku. Znana historia.

– Susanne zaszła w ciążę?

Przytakuje.

– Tak, po kilku tygodniach. Szybko poszło, trzeba jej przyznać.

– Ale chyba oboje mieliście w tym swój udział? – mówi gorzko Karen.

– Tak, tak twierdziła.

Karen porzuca ten temat. Nie da rady słuchać wywodów Jounasa o tym, do czyich obowiązków należy zabezpieczanie się przed niechcianą ciążą.

– I Sigrid jest waszym jedynym dzieckiem? – Zadaje to pytanie, chociaż zna odpowiedź; chce podtrzymać wrażenie, że to przesłuchanie jak każde inne. Z kimkolwiek.

– Tak – odpowiada krótko Jounas. – Urodziła się pod koniec stycznia.

Karen spogląda szybko w notes.

– To oznacza, że miała mniej więcej osiem lat, kiedy się rozwiedliście.

Jounas wzrusza ramionami, nie komentując tego stwierdzenia.

– Rozmawialiśmy z Sigrid i powiedziała, że mieszkała na zmianę u ciebie i u Susanne, aż wyprowadziła się z domu.

Kolejne wzruszenie ramionami i Karen zastanawia się, czy to pod wpływem myśli o córce Jounas przyjmuje jej wzorzec zachowań. Konkretne pytania, upomina samą siebie, inaczej nie dostaniesz odpowiedzi.

– Powiedziała też, że często się kłóciliście z Susanne. O co chodziło?

– Hmm, a o co zwykle chodzi? Sama masz za sobą nieudane małżeństwo...

Przez sekundę Karen spada, błądzi w poszukiwaniu czegoś, żeby się złapać, szoruje paznokciami i zaczepia o jakąś nierówność. Znowu wydostaje się na powierzchnię.

– To nie o mnie teraz rozmawiamy – mówi szybko i czuje, jak serce podchodzi jej do gardła i głośno wali, niemal zagłusza jej słowa. – Bądź tak dobry i po prostu odpowiedz.

Patrzy na nią z rezygnacją.

– Kłóciliśmy się o wszystko – mówi. – Dosłownie o wszystko.

Karen przygląda się Jounasowi, który zawiesił na czymś wzrok i teraz patrzy tępo przed siebie. Powoli kręci głową, a ona czeka, aż powie coś więcej.

– Kłóciliśmy się o to, gdzie będziemy mieszkać, gdzie mamy jechać na wakacje i o Sigrid. Do której szkoły powinna chodzić i na jakie zajęcia pozalekcyjne. I o pieniądze, rzecz jasna. I o moją pracę, głównie o moją pracę. Albo raczej o to, jaki zawód wybrałem.

Wygląda, jakby zastanawiał się nad tym, co właśnie powiedział.

– Nie, Susanne nie widziała siebie jako żony gliniarza, kiedy poprzez ślub wstępowała do rodu Smeedów. Cholera, jasne, że była wściekła.

Karen próbuje przypomnieć sobie to, co o tym słyszała. Wielu unosiło wtedy brwi ze zdziwienia, że syn Axela Smeeda nie zdecydował się iść w ślady ojca, a zamiast tego wybrał zdecydowanie mniej lukratywną i prestiżową karierę w policji. Ale słabo pamiętała tamte plotki. Skończyła szkołę policyjną w tym samym roku, w którym on ją zaczął. W młodości nigdy się nie poznali, ona i Jounas. Dorastała na wsi, on w centrum Dunkeru, różne szkoły, różne środowiska, różne życie, mimo że byli rówieśnikami. Na kilku pojedynczych imprezach z pewnością gościli oboje i nawet jeśli nie zapadło to Karen w pamięć, ich ścieżki zapewne skrzyżowały się w kilku barach i klubach, gdzie patrzono przez palce na ograniczenia wiekowe. Aż tak duże to miasto nie było.

Ale nawet jeśli mijali się z Jounasem Smeedem, na Wyspach Doggerlandzkich nie było chyba nikogo, kto by nie wiedział, kim jest jego ojciec. Axel Smeed i jego brat Ragnar dobrze zarządzali spadkiem po swoim ojcu. Dzięki inwestycjom w ziemię i obrotowi nieruchomościami przez Axela i kancelarię adwokacką Ragnara obaj podwoili majątek. Do tego zaangażowanie polityczne Ragnara i kilka kadencji w parlamencie zrobiło swoje; przeszkody, których nie dało się sforsować sprawnym wykorzystywaniem luk w prawie, można było zawsze obejść, równie sprawnie wykorzystując przyjaciół o dużych wpływach w sądownictwie i polityce. Wielu twierdziło, że rodzina Smeedów posiada jedną trzecią wyspy Heimö i pół Frisel. Karen pamięta, co zwykł powtarzać jej ojciec: „To, czego Smeedowie nie posiadają dzisiaj, postarają się ukraść jutro”. I pamięta, jak cieszył się przez telefon z ich nieszczęścia, kiedy syn Axela Smeeda zaczął szkołę policyjną.

– A więc będzie takim samym gliniarzem jak ty, Karen. Najwyraźniej nie jest nikim szczególnym ten chłopak Smeedów.

Susanne raczej nie powinny były zaskoczyć wybory zawodowe Jounasa, przecież musiał chodzić do szkoły policyjnej, jeszcze zanim się spotkali. Nie wiedziała o tym?

Nie musiała zadawać tego pytania, Jounas sam na nie odpowiedział.

– Zacząłem dopiero kilka lat po liceum. Wcześniej zapisywałem się i wypisywałem z różnych kierunków na uniwersytecie i nie wiedziałem, co chcę w życiu robić. Papiery do szkoły policyjnej złożyłem zapewne głównie dlatego, że w pewien sposób chciałem się zbuntować przeciwko

ojcu. Nie mogłem wyraźniej przekreślić jego planów, niż zostając gliniarzem.

– I udało się?

– Tak, można tak powiedzieć. Ojciec groził, że mnie wydziedziczy i takie tam. Problem w tym, że ja sam nie byłem tym szczególnie zachwycony. Szkołę lubiłem, ale okres po niej...

– Zatrzymywanie żuli i wyjazdy do awantur domowych – mówi Karen.

– Nie, ja też wtedy nie skakałam z radości.

– W każdym razie ja wytrzymałem dłużej od ciebie: prawie dwa lata.

– Tak, słyszałam.

– Ale później zabrałem się z tej wyspy.

Karen przebudza się. O tym nie miała pojęcia.

– I co wtedy robiłeś?

– Chcesz w skrócie?

Karen przytakuje.

– Podróżowałem po Ameryce Południowej, a później po Stanach. Pracowałem na czarno na różnych budowach i w barach w Kalifornii, a na ostatnie pół roku zatrzymałem się w Nowym Jorku. To tam wpadłem na lepszy pomysł i doszedłem do wniosku, że na dłuższą metę życie z dnia na dzień nie jest takie fajne. Zacząłem więc powoli zastanawiać się nad tym, żeby pojechać do domu i się ustatkować. Byłem najzwyczajniej zmęczony ciągłym chodzeniem bez kasy.

– I wtedy zdecydowałeś się zostać policjantem. Sprytnie...

Wymieniają uśmiechy, rozumiejąc się nawzajem.

– Nie, najpierw pokajałem się przed ojcem. Obiecałem zapomnieć o swoich dawnych planach, a lata w szkole policyjnej pominąć milczeniem. Najwyraźniej doszedł do wniosku, że więcej utrapienia jest z tym, że włączę się po Ameryce Południowej i palę trawkę w Stanach. Zapisałem się na uniwersytet i zacząłem studiować prawo. Z czasem dostałem dodatkową pracę w kancelarii mojego wuja, za obietnicę, że naprawdę skończę te studia, a później będę do dyspozycji ojca. Czysty nepotyzm, innymi słowy. Forsy miałem w bród i do tego duże mieszkanie na Freygate, które kupił mi ojciec.

Jounas podnosi się gwałtownie i patrzy na Karen.

– Jeśli mamy dalej grzebać się w tym syfie, muszę napić się czegoś mocniejszego. Tobie chyba nawet nie ma sensu proponować?

– Nie, niestety. – Karen uśmiecha się. – Nie mogę siedzieć i popijać na służbie, kiedy szef na mnie patrzy.

Mówi to jako taktyczną uprzejmość. Chce podkreślić, że zdaje sobie sprawę, że obecny podział ról jest tylko tymczasowy. Po raz pierwszy z własnej woli powiedział więcej niż dwa zdania z rzędu i Karen nie chce ryzykować, że znów zamknie się w sobie.

– Dobra, dobra, Eiken – mówi.

Wydaje się jej, że jeden z kącików jego ust się porusza, ale Jounas odwraca się i wychodzi z pokoju. Kiedy przychodzi z powrotem, Karen patrzy z zazdrością na zaparowaną szklankę z małymi bąbelkami, które perlą się wokół dwóch kostek lodu i plasterka cytryny; tym razem jest to zdecydowanie gin z tonikiem. Niemal wyczuwa zapach jałowca i czuje gorzki smak na języku, kiedy Jounas bierze porządny łyk. Sałatka na lunch, a teraz jeszcze to. Ile tygodni zdrowego trybu życia tak właściwie sobie obiecała?

– Kontynuuj – mówi ponaglająco. – Studiowałeś prawo i dodatkowo pracowałeś dla wuja. Czy to wtedy spotkałeś Susanne?

– Celny strzał. Miałem za sobą kilka lat konformistycznej apatii, zacząłem zbliżać się do trzydziestki i opuściłem gardę. To wtedy Susanne wbiła swoje szpony w jedynego syna Axela Smeeda.

– Więc byłeś tylko biedną ofiarą... Najpierw swojego ojca, a później Susanne?

Jounas przygląda się jej nad brzegiem szklanki i ciągnie:

– To chyba raczej ona postrzegала siebie jako ofiarę – mówi spokojnie.

– Szukała adwokata, a znalazła gliniarza. Była cholernie zawiedziona, mogę cię zapewnić.

Uśmiecha się zadowolony ze swojej parafrazy wiersza Edith Södergran, a Karen nie może powstrzymać śmiechu. A więc zna nordyckich poetów, myśli, albo przynajmniej pamięta kilka największych dzieł ze szkoły.

– I czym ten zawód się objawiał?

– Hmm, moje życie zamieniło się, rzecz jasna, w piekło, gdy pół roku po ślubie rzuciłem prawo. Dość długo już się tam męczyłem i w końcu nie dawałem rady, tak po prostu.

Jounas Smeed upija łyk drinka, a Karen w ciszy czeka na ciąg dalszy.

– Ojciec i Susanne na wyścigi starali się mnie przekonywać, żebym to przemyślał. Przez pewien czas zjednoczyli siły w walce, ale kiedy ojciec znów zagroził, że mnie wydziedziczy, zaczęła się wściekać też na niego.

Później on chłodno oświadczył, że zamierza sprzedać mieszkanie na Freygate i mamy się wyprowadzić.

– Chociaż mieliście dziecko? Był taki surowy czy chciał cię tylko nastraszyć?

– Tak, na swój sposób był surowy, ale go rozumiem. Dlaczego miałby pomagać nam finansowo, skoro nie byłem skory postępować zgodnie z jego wolą? Ja w każdym razie nie miałem ochoty dalej studiować prawa tylko dlatego, że mój ojciec albo moja żona tego chcieli. Zawsze też podejrzewałem, że mój wuj był mi bardzo wdzięczny za to, że mogłem się mnie pozbyć z kancelarii. Ta robota nigdy nie była dla mnie.

– Więc zdecydowałaś się zamiast tego wrócić do policji. Znow założyć mundur...

– Tak, tak było. Pół roku jeździłem do Ravenby, a później spędziłem kilka miesięcy w wydziale porządkowym tutaj, w Dunkerze, zanim mianowano mnie na szefa wydziału. W tamtym czasie dało się dość szybko awansować, coś mi świta, że mieliśmy wtedy reorganizację.

– Ale Susanne się z tego nie cieszyła?

– Żartujesz? Niecały rok od ślubu zamieniła sześciopokojowe mieszkanie na Freygate na trzy pokoje we wschodniej Odinswalli. Poza tym zaprzepaściłem wszelkie perspektywy na świetlaną karierę prawnika i dziedzica imperium ojca. Przez rok prawie nie rozmawialiśmy.

– A mimo to byliście małżeństwem jeszcze kilka lat?

– Tak, przynajmniej na papierze. Do pewnego czasu sprawdzało się to nawet całkiem nieźle. Stopniowo piąłem się w hierarchii i zamieniliśmy tamte trzy pokoje na domek szeregowy w Sande. Po prostu się nam poprawiło. Problem w tym, że dla Susanne nigdy niczego nie było wystarczająco dużo. Nie umiała machnąć ręką na to wszystko, co moglibyśmy mieć, i na to, że już więcej nie zapraszano nas do moich rodziców do domu. Jednak z jakiegoś powodu absolutnie nie chciała się rozwieść. A ja, tak, chyba myślałem...

Że to praktyczny układ, dopowiada w myślach Karen.

– Myślałem chyba, że powinniśmy wstrzymać się z rozwodem, aż Sigrid będzie nieco starsza. Chociaż dzisiaj zastanawiam się, czy to była słuszna decyzja – mówi zrezygnowany. – Obawiam się, że ciężko znosiła te ciągłe awantury. Spotkałaś się z nią przecież – dodaje, jakby to miało wyjaśnić, co ma na myśli.

– Sigrid wydaje się w porządku – mówi ostrożnie Karen, świadoma, że każde słowo może doprowadzić do kolejnego wybuchu. – Może sprawia wrażenie odrobinę zagniewanej, ale nie ma w tym chyba nic dziwnego.

– „Odrobinę zagniewanej”. Jesteś pewna, że się z nią spotkałaś? Nie widziałaś kolczyka w nosie? Jak dla mnie gówniara wygląda jak pieprzony byk.

– Dla mnie nie. Chciałabym natomiast, żebyś opowiedział mi więcej o Susanne, o tym, co się działo po rozwodzie.

– Co chcesz wiedzieć? Była chorą na punkcie pieniędzy, wyrachowaną dziwką. To nie wystarczy?

Jounas dopija resztkę ginu z tonikiem, trochę za mocno odstawia szklanekę na stół i patrzy na zegarek. Karen przygląda się mu z pozornym spokojem – nie wyczerpała jeszcze swoich pytań. Jeśli nie uda się im kontynuować tej rozmowy tu i teraz, aż otrzyma wszystkie potrzebne jej odpowiedzi, będzie zmuszona zabrać go do komendy, ale tego za wszelką cenę chce uniknąć.

– Okej – mówi i nie spuszcza go z oczu. – Rozumiem, że twoje relacje z Susanne były... chłodne. Ale z tego, co mówi Sigrid, wynika, że nie poprawiły się po rozwodzie. Czy wolno spytać, czego dotyczyły wasze kłótnie? To znaczy już po rozwodzie.

– Oczywiście dalej pieniędzy – syczy. – W przypadku Susanne wszystko kręciło się wokół pieniędzy. Niech mnie szlag, ale to jedyne, o czym myślała.

Karen przywołuje obraz domu Susanne, porównuje go z tym, w którym siedzi. Dwie sypialnie w Langevik, biały laminowany regał i sofa z IKEA. Czysto i schludnie, ale lata świetlne od gigantycznej willi w Thingwalli z prawdziwymi dywanami, drogocenną sztuką i basenem. I najwyraźniej jej wzrok błądzący po salonie zdradza to, o czym myśli.

– To się nazywa umowa przedmałżeńska – wyjaśnia oschle Jounas. – Cholernie sprawiedliwa rzecz. Zabiera się to, co się ze sobą wniosło. Nic poza tym.

– I zgodziła się na to? Tak po prostu?

– Nie, ale chyba nie miała wyboru, co nie? Ja też nie, jeśli mieliśmy znaleźć jakiś dach nad głową. A musieliśmy znaleźć, bo dziecko było w drodze. Od początku do końca był to pomysł mojego ojca: bez umowy przedmałżeńskiej miało nie być mieszkania, utrzymania ani pracy. Jasne, mogłem ją potem podrzeć, tak jak zerwałem ze starym. Żebyś wiedziała,

jak Susanne o tym głądziła. Ale... tak, nie miałem chyba ochoty iść jej na rękę. Cholernie mnie bawiło doprowadzanie jej do szaleństwa.

– A kiedy się rozwiedliście...

– ...nic nie dostała. Ani jednego grata poza rzeczami, które kupiliśmy w czasie trwania małżeństwa. Za to co miesiąc dostawała kasę, cholernie dużo pieniędzy, mogę cię zapewnić. Z mojej dobrej woli, aż tak bezduszny nie jestem. Przynajmniej tak długo, jak Sigrid u niej mieszkała pół na pół. Pieniądze miały być właściwie na to, żeby zapewnić Sigrid jakiś znośny poziom życia także przez te tygodnie, kiedy nie mieszkała u mnie. Ale idiotyzmem z mojej strony było to, że nigdy nie starałem się kontrolować, jak Susanne je wydaje.

– Jak je więc wydawała?

Jounas prycha i rozkłada ręce, tak że lód w szklance uderza o brzegi.

– Taa, co ja tam wiem. Na pedikiur, ubrania, odsysanie tłuszczu i inne bzdury, którym oddajecie się wy, kobiety. I na ciągłe podróże: do Tajlandii, Nowego Jorku, Hiszpanii. Założę się, że zdążyła też pojechać do Turcji.

I na buty, myśli Karen.

– A dom w Langevik, skąd go miała?

– To jej dom rodzinny. Matka umarła, jeszcze zanim się poznaliśmy, jej ojciec mieszkał tam, ale krótko przed naszym rozводом trafił do szpitala. Świetnie się złożyło, dom stał akurat pusty, Susanne musiała się tylko wprowadzić.

Świetnie się złożyło dla was dwojga, myśli Karen i podziwia zdolność Jounasa, którego każde słowo o Susanne brzmi jak bezpośrednie lub pośrednie oskarżenie. Nawet teraz, kiedy jego była żona nie żyje, nie jest w stanie pohamować pogardy.

– Więc jej ojciec leżał w szpitalu? Umarł?

Jounas wzrusza ramionami i wygląda, jakby stracił zainteresowanie.

– Tak, zapewne pił na umór i w końcu wątroba nie wyrobiła. Ale prawie nic nie wiem o rodzicach Susanne, nie chciała nigdy o nich mówić. Przypuszczam, że oni także nie spełniali jej oczekiwań.

– Jeszcze jedno, zanim pójdę. Jak mogło do tego dojść, że znaleźliśmy twoje odciski palców u Susanne? Według techników w kilku miejscach w domu były twoje świeże odciski.

Przez moment Karen ma wrażenie, że Jounas eksploduje. Albo raczej imploduje, myśli i przygląda się, jak twarz szefa zmienia kolor z białego

na czerwony. Później Jounas parska głośnym śmiechem.

– Ach tak, Eiken, a więc to ten as w rękawie, z którego wyciągnięciem tak czekałaś. Tylko się teraz nie posikaj, bo to nawet w połowie nie jest tak emocjonujące, jak na to liczysz.

– Bądź tak miły i po prostu odpowiedz – mówi zmęczona.

– Bo byłem tam, rzecz jasna. Niecały tydzień temu.

– Po co? Nic, co mówiłeś, nie wyjaśnia, dlaczego mógłbyś się z nią spotykać.

– Bo dzwoniła. Twierdziła, że chce porozmawiać o Sigrid i że to ważne. Oczywiście wahałem się, ale nalegała, że musimy porozmawiać o naszej córce, nie kłócąc się przy tym. Mówiła, że odkryła coś, co ją zaniepokoiło. I naprawdę wydawała się zaniepokojona...

Milknie.

– Więc tam pojechałeś? – mówi Karen sceptycznie.

– Tak – wydziera się. – Ale jak niby ty mogłabyś to zrozumieć, do cholery, że ze strachu o dziecko człowiek jest gotów odłożyć wszystko inne na bok.

Szumi jej w uszach i bezwładnie opada. Szum, który przemienia się w głośne walenie sprawiające, że słowa Jounasa wydają się jej odległe i obce.

– Możesz być pewna, Eiken, że dla Sigrid zrobiłbym zdecydowanie gorsze rzeczy, niż porozmawiał z jakąś porąbaną babą. Bo jak zwykle okazało się, że całkiem fiksuje. Jedyne, co miała do powiedzenia, to tradycyjne gładzenie, że Sigrid powinna zdobyć wykształcenie, zamiast stać w barze, i coś o jej chłopaku, który według Susanne nie był najwyraźniej dla niej odpowiedni. Jej zdaniem zajmował się najpewniej przeróżnymi podejrzanymi rzeczami, kradł, ćpał i Bóg jeden wie, co jeszcze sobie ubzduriała. I nagle to, że jestem gliną, okazało się cholernie przydatne. Żądała wręcz, żebym wszczął obserwację tego chłopaka, i wpadła w szal, kiedy odmówiłem udziału w tym cyrku.

Karen siedzi z pochyloną głową i mruży oczy, dudnienie powoli ustaje i znów dociera do niej głos Jounasa.

– ...więc sobie poszedłem i od tamtej pory ani jej nie widziałem, ani ona się do mnie nie odzywała. I wcale jej nie zabiłem, nawet jeśli wielokrotnie miałem na to ochotę i nawet ku temu sposobność.

Karen siedzi cicho jeszcze kilka sekund, myśli o tym, że nie wolno jej płakać, jeszcze nie teraz, nie do chwili, aż stąd wyjdzie. Powoli

wypuszcza powietrze, podnosi się, ale nogi wydają się odrętwiałe. Musi stąd wyjść, zanim wybuchnie płaczem.

– Dobrze – mówi. – W takim razie już pójdę.

– Tak nagle?

– Tak nagle. Odezwę się.

Udaje się jej w samą porę.

On sobie tego nawet nie wyobraża, myśli, kiedy kwadrans później papierową serwetką wyciera spod oczu maskarę i przekręca kluczyk w stacyjce.

Nic o mnie nie wie, przekonuje samą siebie. Nie mógł mieć na myśli nic osobistego.

Ależ tego dupka bierze cholera, dodaje w myślach i słyszy nienawistny ton Jounasa Smeeda opowiadającego o byłej żonie. Większość stara się nie mówić źle o zmarłych, we wszystkich śledztwach, w których Karen brała udział, nawet najbardziej zagorzali przestępcy uchodzili za potulnych jak baranki, gdy tylko odeszli z tego świata. W gruncie rzeczy nie umie sobie przypomnieć nikogo, kto do tego stopnia nie owijając w bawełnę, wyrażałby niechęć do zmarłego krewnego. Albo raczej nienawiść. Czy mógł ją wystarczająco nienawidzić, żeby pojechać tam po raz ostatni i zakatować na śmierć? Nie wierzy w to, w takiej sytuacji starałby się bardziej tonować swoją awersję do Susanne. Nie zarysował się też żaden bezpośredni motyw. W każdym razie jeszcze nie.

Poza tym wiem dokładnie, gdzie ten skurkowaniec znajdował się wczoraj rano, myśli i skręca w prawo, w Valhallagate. Jounas Smeed ma coś tak rzadko spotykanego jak pozbawione luk alibi aż do siódmej dwadzieścia rano. Ale co potem? Zgodnie z tym, co sam mówi, wyszedł z hotelu przed wpół do dziewiątej, dobre dwie godziny później, „na cholernym kacu”. Co się tyczy tego ostatniego, wierzy mu co do joty. Albo należałoby raczej powiedzieć: musi znaleźć coś, co potwierdzi jego zeznania, jeśli nie chce być zmuszona osobiście dać mu alibi choć na część tego czasu.

Z nikim nie rozmawiał poza żulem z plaży. Hmm, myśli, trudno znaleźć bardziej niewiarygodnego świadka, nawet gdyby ktoś bardzo się starał, a do tego nie sposób go teraz zlokalizować. I tak samo jak wtedy, gdy ona się wykradała z hotelu, recepcja była pusta; to ani nie wzmacnia, ani nie osłabia jego zeznań. A może? Jeśli będzie miała szczęście, może okaże się,

że ktoś tam siedział, chociaż Jounas go nie widział. Musi to sprawdzić, i to jeszcze dzisiaj. Daj Boże, żeby ktoś mógł potwierdzić jego słowa, myśli; jeśli okaże się to prawdą, zostanie wykreślony z grona podejrzanych i nikt nie będzie musiał dowiedzieć się o tym, gdzie spędził noc. Ani z kim. Jeśli wyszedł z hotelu o tej godzinie, o której twierdzi, najzwyczajniej nie mógł zabić Susanne. Z drugiej strony – podpowiada jej irytujący głosik – jeśli wyszedł z hotelu tuż po mnie, mógł zdążyć. Porzuca te myśli i zatrzymuje się na czerwonym świetle.

W tym samym momencie wzdryga się na sygnał telefonu komórkowego. Ręką grzebie w torebce leżącej na fotelu dla pasażera i jednocześnie zerka na sygnalizator. W ciągu ponad godziny, którą spędziła u Jounasa, jej komórka dzwoniła cztery razy; odrzucała połączenie, gdy tylko rozpoznawała numer. Jon Bergman. Najwyraźniej konferencja prasowa zrobiła swoje i odciągnęła od niej media, ale Jon miał do niej bezpośredni kontakt. Kiedy teraz przelotnie spogląda na telefon, jest pewna, że po raz kolejny zobaczy na ekranie numer reportera. Zamiast tego wyświetla się jednak nazwisko Karla Björkena i Karen natychmiast naciska zieloną słuchawkę.

– Cześć – wita się. – Coś nowego?

Karl nie traci czasu na powitania.

– Możesz wykreślić ze śledztwa Johannisena – mówi jej podłamany. – Miał zawał.

Z delikatnymi wyrzutami sumienia Karen przyglądała się górnej półce w komórcie na narzędzia.

Poczucie zadowolenia, które odczuwała po uszczelnieniu wszystkich siedmiu okien na parterze, zastąpiła rezygnacja. Zostało jej jeszcze piętro i jeśli się do tego nie weźmie, zanim będzie za późno, znów jej będzie wiało całą zimę. Szczerze mówiąc, wciśnięcie tam kilku warstw uszczelnienia nie wystarczy. Powinna zdjąć z zawiasów każde z okien po kolei, każdą ramę odskrobać ze starej farby, zagruntować, osuszyć, a później pomalować niebieską farbą olejną.

Przynajmniej farby mam pod dostatkiem, zauważa. Z jakiegoś powodu jej świętej pamięci ojciec poczuwał się najwyraźniej do obowiązku zgromadzenia dziesięciu dużych puszek, które wyzywająco stoją na baczność na solidnej półce przed nią. Zapewne zamienił się z kimś, kto miał kilka puszek za dużo, które „czyjś kuzyn gdzie znalazł”. Takiej okazji Walter Eiken nie mógł przepuścić. Wprawdzie zawsze pilnował, żeby nie znaleźć się w pierwszym rzędzie, gdy jakiś ładunek „przez przypadek” spadał z paki ciężarówki, ale trwał też zawsze na posterunku, żeby się nie spóźnić, kiedy coś takiego się zdarzało. Genów, które Walter Eiken dostał po ojcu z Noorö, nigdy nie udało się całkowicie zneutralizować spadkiem po matce, składającym się poza odrobiną poczucia sprawiedliwości z domu na Langevik i przynależnego do niego prawa połowu ryb. Ale to przeważnie wystarczało, żeby przez ostatnie czterdzieści lat życia trzymać go po tej właściwej stronie prawa.

Jeszcze raz Karen przejeżdża wzrokiem po półkach, koziołku do cięcia drewna, ścianach i podłodze, ale nie znajduje tego, czego szuka. Jeśli tu też tego nie ma, to znaczy, że musiała to komuś pożyczyć. Pytanie tylko komu.

Wzdychając, podenerwowana zamyka za sobą drzwi do komórki i opuszcza drewniany rygiel. Wlecze się przez podwórze i podnosi grabie, które leżą rzucone na trawnik.

Zatrzymuje się z długim drewnianym kijem w ręce i mierzy wzrokiem działkę, przygląda się każdej budowli z taką miną, jak matka patrzy na wyrodnego syna. Tyle czułości i miłości – tyle zmartwień. Tym wszystkim

powinna się zająć. Resztki dachówek, które spadły z dachu i roztrzaskały się o ziemię, leżą przed oknem kuchni. Wie aż za dobrze, że jeśli jedna z dachówek się obluźowała, następne czekają w kolejce. Z tego miejsca wprawdzie tego nie widać, ale Karen jest boleśnie świadoma, jak wygląda północny szczyt budynku gospodarczego. A jak powinien.

Powoli rusza w stronę domu, po drodze zrywa grono owoców z dużej jarzębiny rosnącej przed oknem kuchni i przygląda się jej barwie. Jeszcze nie pora, ale gdy tylko chwyci pierwszy przymrozek, będzie z tego kilka butelek nalewki. Tak wysoko jest w stanie sięgnąć. Całą resztę, którą – jak wynika ze starannych zapisków pozostawionych przez jej babkę – powinno się zebrać, w tym roku zostawi obiegowi natury. Perz, paprotka, tasznik, naziemek biały, rukwiel, owoce róży...

Zatrzymuje się w myślach i spogląda w dół, na gąszcz róży pomarszczonej przy ścianie budynku gospodarczego. Pewnie mimo wszystko powinna zebrać owoce. Jak trudne może być wrzucenie kilku garści owoców róży do garnka i zagotowanie? A później wysuszenie reszty? Może więc w któryś weekend.

Karen odstawia grabie, opiera je o pień jarzębiny. Nie ma sensu chować ich do szopy, póki nie opadną liście. Poza tym świetnie się nadają do ściągania owoców z jarzębiny. Ale to melodia przyszłości. Na razie powinna obdzwonić znajomych z pytaniem: „Czy to ty pożyczalesz ode mnie wyrzynarkę?”

Sumiennie wyciera kalosze o kant schodów i otwierając drzwi, jeszcze raz głęboko wzdycha, kiedy stwierdza, że przydałoby się naoliwić zawiasy.

Kiedy ekspres do kawy wydaje ostatnie rżenie, Karen przygląda się płaskiej paczce na kuchennym stole. Tego wieczoru oczywiście nie będzie poszukiwać tej cholernej wyrzynarki. Prawda jest taka, że minęło sporo czasu, odkąd widziała ją po raz ostatni, więc może się ona znajdować gdziekolwiek. Jutro po drodze z pracy postara się zajechać do Grenå i kupić sobie nową. Będzie trochę zimno, ale póki nie zamocuje wyjścia dla kota, będzie musiała zostawiać w kuchni uchylone okno.

Powinam chociaż otworzyć opakowanie i przestudiować jego budowę, myśli. Już teraz wymierzyć, gdzie dokładnie je zamontuje, i sprawdzić, jak się to robi. Albo może zejść do piwnicy i tam poszukać tej cholernej maszyny.

Ta myśl jest tak odrzucająca, że Karen zastanawia się, czy zamiast tego nie zadzwonić do mamy. Zaskoczyć ją dodatkową rozmową poza tymi obowiązkowymi w każde sobotnie przedpołudnie. Okazać się lepszą córką, niż była przez ostatnie...

Sekundę później uderza ją pewna myśl – równie oczywista co niepojęta. Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślała? Szybko podnosi z podłogi opakowanie drzwiczek dla kota, napełnia duży kubek kawą i odrobiną mleka, siada przy stole i sięga po komórkę.

– Coś się stało?

Głos Eleanor wydaje się taki podenerwowany, kiedy odbiera, że Karen dopadają wyrzuty sumienia. A więc tak niespodziewane jest to, że odzywa się spontanicznie, że jej matka natychmiast podejrzewa coś złego.

– Nie, nie – zapewnia. – Pomyślałam tylko, że zapytam cię, czy wiesz coś o...

Instynktownie milknie i nie zdradza swoich prawdziwych intencji, w sekundę wynajduje jakąś alternatywę. Sprawę, w jakiej mogłaby zadzwonić dobra córka, żeby zapytać mamę.

– ...jak się przyrządza owoce róży?

Przez kilka sekund panuje cisza, później głos Eleanor znów się rozlega.

– Róży? – mówi nieufnie. – Chcesz wiedzieć, jak się przyrządza owoce róży?

– Tak... nie pamiętam, czy trzeba je oczyścić, czy można je zgotować ze skórką i pestkami.

– I dzwonisz do swojej starej matki, żeby o to zapytać, zamiast sprawdzić w internecie?

Głos w słuchawce jest tak rozbawiony, że Karen przez moment żałuje, że zadzwoniła. Jak potworny automat odpowiada, a w swoim naburmuszonym tonie słyszy echo z okresu dorastania:

– Tak, *przepraszam*, że pytam.

Eleanor Eiken śmieje się teraz serdecznie – od zadań domowych, które wykonywała przez czterdzieści lat, dzielą ją dające poczucie wolności dwa tysiące kilometrów. Odchrząkuje i przyjmuje bardziej matczyzny ton.

– Możesz zrobić i tak, i tak, ale jeśli ich nie oczyścisz, będziesz musiała je precedzić. Weź do tego to stożkowe sito, które wisi po wewnętrznej stronie drzwi do spiżarni. To, które się nie mieści w szufladach.

– Okej, wiem które. A co u ciebie tak w ogóle? Jak się macie z... Harrym? Nic wam nie dolega?

Karen dziękuje opatrności, że przypomniała sobie jego imię. Jeszcze ich sobie nie przedstawiono, ale to prawdopodobnie tylko kwestia czasu, kiedy Eleanor stanie w progu domu w Langevik z nowym towarzyszem życia. Nie ma wątpliwości, że jej matka zakochała się na stare lata, Karen zdążyła się już nasłuchać o Harrym Lampardzie od momentu, kiedy w zeszłym roku ten wprowadził się do mieszkania spółdzielczego jej matki na słonecznym hiszpańskim wybrzeżu. Teraz wygląda na to, że nie odstępują się nawet na krok.

– Od soboty, chcesz powiedzieć? – śmieje się Eleanor. – Nie, właściwie to nie. Ale powiedz wreszcie, po co właściwie dzwonisz. No wiesz, owca pozna swoje jagnię...

Karen wzdycha i upija łyk kawy.

– Pamiętasz Susanne Smeed?

– Susanne? Jasne, że ją pamiętam. Nie jest to może najmilsza osoba na świecie, jeśli chcesz znać moje zdanie. Nikt, kogo by mi brakowało tutaj na południu. A dlaczego pytasz?

– Zmarła kilka dni temu.

Na parę sekund zapada cisza.

– Co ty mówisz? Nie była przecież starsza od ciebie.

– Nawet trzy lata młodsza.

– Cóż za straszna wiadomość, a ja tak siedzę i mówię źle o zmarłej. Rak? Zabrał też jej ojca, rak wątroby, tak mi się wydaje. A może – Eleanor obniża głos – odebrała sobie życie?

– Skąd ta myśl?

– Tak, coś takiego przechodzi w genach, no rozumiesz. Matka Susanne była niespokojną duszą i chodziła plotki, że odebrała sobie życie. Ale rzecz jasna, nie wiem nic na pewno. Lindgrenowie nigdy do końca nie stali się częścią naszej wsi. Byli przyjezdni i tacy zostali.

Karen bierze głęboki wdech.

– Susanne została zamordowana – mówi.

Eleanor Eiken nie jest żadną sensacją, ale odgłosy zdradzają, że gwałtownie nabiera powietrza.

Jej głos drży teraz lekko.

– Czy to chłopak Smeedów to zrobił?

Karen milczy przez kilka sekund. Później zadaje to pytanie najnaturalniejszym tonem, na jaki ją stać:

– Dlaczego sądzisz, że to właśnie on?

– Hmm, skakali sobie do gardeł, słyszało się o tym niezależnie od tego, czy się chciało, czy nie. Twój ojciec zawsze powtarzał, że życie z żadnym Smeedem nie może być łatwe, ale mogę ci powiedzieć, że bycie mężem małej Susanne też nie należało do przyjemności. Coś z tą dziewczyną było nie tak, to trzeba powiedzieć, mimo że nie żyje. Pomyślałam sobie, że może Jounas miał już w końcu dość, ot tak po prostu.

– Są prawie dziesięć lat po rozwodzie.

– Tak, masz rację, ależ jestem nieprzytomna. Ale kto to był w takim razie, wiecie?

Karen postanawia przymknąć oko na udawaną dezorientację matki.

– Jeszcze nie. Ale to tylko kwestia czasu – dodaje i pragnie, żeby udało się jej wykrzesać choć odrobinę więcej pewności w głosie. – Właśnie zajmujemy się zgłębianiem życia Susanne. To dlatego zastanawiałam się, co możesz o niej powiedzieć. Orientowałaś się w większości spraw dziejących się we wsi.

– No nie, moje drogie dziecko, nigdy nie byłam plotkarą – protestuje ostro Eleanor.

– Chodziło mi o to, że mieszkałaś tutaj długo i znasz większość osób we wsi. Musiałaś chyba kojarzyć rodziców Susanne.

– Oczywiście. Wszyscy kojarzyli Lindgrenów. Ale to nie to samo, co ich znać. Byli nieco dziwni. Nie stąd i... hmm, sama wiesz, jak to jest.

– Nie byli stąd? A skąd w takim razie?

– Ze Szwecji, rzecz jasna. Ale matka Susanne była wnuczką Vetlego Gråå, jego chyba pamiętasz? Nie, jasne, że nie pamiętasz, ale na pewno o nim słyszałaś; posiadał szmat ziemi. I lasu, i pastwisk. Tak, w każdym razie odziedziczyli majątek staruszka, więc w pewien sposób byli mimo wszystko stąd. Inaczej w ogóle by ich tutaj nie zaakceptowano. Z czego żyli, nigdy nie udało mi się zrozumieć. W każdym razie ani z bydła, ani z ryb.

– Dlaczego w ogóle się tu przeprowadzili?

– O ile się nie mylę, przez pierwsze lata mieszkali tam wyżej, w gospodarstwie Lothorp. Nie tylko Lindgrenowie, najwyraźniej było więcej takich, którzy próbowali szczęścia i się tutaj przeprowadzili. Ale tylko Lindgrenowie zostali na stałe.

Słowa sprawiają, że wspomnienia z dzieciństwa wypływają na powierzchnię. Pogłoski o sekcie z Lothorp żyły swoim życiem wśród dzieci w Langevik. W dzieciństwie Karen słuchała równie zafascynowana

co przerażona, jak starsi koledzy zmyślają na temat tego, co niegdyś się tam działo: sekretne rytuały i ofiary z dzieci składane bogom. I najbardziej przerażające ze wszystkiego: wszyscy z sekty zmarli i teraz straszli.

Kiedy dorosła, głównie ją to dziwiło. Dlaczego, na Boga, Langevik miałyby przyciągnąć jakichś „poszukiwaczy szczęścia”? Dlaczego ktoś miałby się tu dobrowolnie przeprowadzić?

– Ale to wszystko działo się wtedy, kiedy my jeszcze mieszkaliśmy na Noorö – ciągnie. – Kiedy przeprowadziliśmy się do Langevik, ci rolnicy z przypadku już dawno dali za wygraną.

No jasne, myśli Karen. Chociaż uważa się za rodowitą mieszkankę Langevik, nie do końca jest to prawda. Przez pierwsze lata jej rodzina mieszkała na północy, na wietrznym zachodnim wybrzeżu Noorö, skąd pochodził jej ojciec. Z tego okresu nie ma jednak żadnych wspomnień; wszystko, co wie, opiera się na opowieściach mamy. Dopiero kiedy Walter Eiken, najstarszy z synów, odziedziczył po rodzicach swojej matki dom w Langevik, jego żona dostrzegła szansę, żeby na dobre opuścić tamtą zniechęconą wyspę. Eleanor Eiken, z domu Wood, nie miała nic przeciwko dłoniom zniszczonym od czyszczenia ryb ani poświęcaniu wieczorów na naprawianie przegryzionej wełny, chociaż była córką lekarza z Ravenby. Nie udało się jej nigdy pogodzić z obłudną mieszanką bezprawia i świętoszkowości mieszkańców Noorö. Eleanor nie była ani kryminalistką, ani osobą szczególnie religijną i nie chciała, żeby jej córka stała się którąś z nich. Zapewnienie bezpiecznego dystansu do rodziny męża znacząco podniosło jakość życia Eleanor Eiken. Szczególnie teściową było zdecydowanie łatwiej znieść na odległość. I nawet jeśli pogoda na wschodnim wybrzeżu Heimö często dawała w kość, nie sposób jej było porównać do tego, co działo się na północno-zachodnim wybrzeżu Noorö.

Wyłożyła to mężowi, dodając na dokładkę, że jeśli teraz, kiedy wreszcie mają szansę się stąd wynieść, będzie dalej się upierał, żeby mieszkać na Noorö, będzie musiał poszukać sobie innej żony. I najwyraźniej Walter Eiken wierzył w jej ultimatum albo też sam chciał spróbować czegoś nowego, bo przeprowadzili się do Langevik. Był rok tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty drugi i Karen miała skończone trzy lata. A komuna z Lothorp żyła już tylko w historiach o duchach opowiadanych przez dzieciaki z okolicy.

W związku z tym przegapili pierwsze lata życia rodziny Lindgrenów w Langevik, ale mimo wszystko jej matka musi chyba umieć powiedzieć coś o Susanne.

Niczym w odpowiedzi na to niezadane pytanie Eleanor dodaje:

– Szczerze mówiąc, nie za dobrze pamiętam Susanne jako dziecko. We wsi było pełno dzieciaków i brakowało czasu, żeby nad któryś z nich się zastanawiać. Ale biorąc pod uwagę, jak postrzegano jej rodziców, mogę sobie wyobrazić, że miała ciężko. Z pewnością wiesz o tym więcej niż ja. Chodziłyście w końcu do jednej szkoły.

– Ale była trzy lata młodsza i mieszkała na drugim końcu wsi, więc mam tylko bardzo mgliste wspomnienia. A później? Co pamiętasz z czasów, kiedy dorosła?

– A wiesz, że niewiele. Szybko się stąd wyprowadziła, a potem wyszła za mąż i przez to weszła do rodziny Smeedów. Przez te lata nie widziałam jej nawet przelotnie. Ale sporo na jej temat gadano.

– Co gadano?

– Oczywiście to, że przez ślub awansowała. Głównie jej zazdroszczono. Ale jak się mówiło w czasach mojej młodości: „Jeśli bogato wyjdiesz za mąż, może cię to drogo kosztować”. Taa, może powinno się częściej słuchać starych powiedzeń – śmieje się Eleanor. – Nie żeby Harry był *tak* szaleńczo bogaty, nie w takim sensie to mówiłam. Tak, i nie żebyśmy planowali ślub...

Karen stwierdza, że mama zaczyna nerwowo paplać. Chwilę później niespodziewanie jednak milknie, jakby nagle dotarło do niej, że ten beztroski ton stanowi rażący kontrast z zasadniczym tematem ich rozmowy.

– A później, kiedy się rozwiodła i znowu tutaj przeprowadziła, było to mniej więcej w tym samym czasie, gdy działy się inne rzeczy... Miałyśmy wtedy dość swoich problemów. Tak, no sama wiesz – dodaje.

Tak, myśli Karen. Wie to dokładnie.

Kiedy po raz kolejny siadają w sali konferencyjnej, nastrój nie jest najlepszy.

Rozmowa telefoniczna z żoną Johannisena poprzedniego wieczoru potwierdziła, że nie był to zawał serca, ale ciężki przypadek dusznicy. Lekarze zalecili odpoczynek i kurację farmakologiczną. W tej chwili Johannisen czuje się względnie dobrze, przekazała żona. Tak jak Harald Steen, myśli Karen, chociaż jej kolega musi być od niego co najmniej dwadzieścia lat młodszy.

Kiedy pół godziny wcześniej poinformowała Vigga Haugena o chorobie Johannisena i co za tym idzie, zrozumiałym zwolnieniu lekarskim, jakimś cudem przybrał jeszcze bardziej zatroskany wygląd niż zazwyczaj.

– Nie mogło do tego dojść w mniej niedogodnym momencie, ale można wypożyczyć ludzi z innych wydziałów.

– Tak, i niewykluczone, że wrócę do tego, ale na tym etapie nie przyniesie to nam większego pożytku, że masa ludzi będzie kręciła się dookoła.

Opierała się twardo lęklivym próbom szefa mającym przekonać ją, żeby poszerzyła grupę. Zdziwiła ją gotowość Haugena do pójścia jej na rękę.

– No, w końcu to ty prowadzisz śledztwo – powiedział. – I ponosisz odpowiedzialność, Eiken.

Wy tłumaczenie nadeszło kwadrans później, kiedy rzecznik prasowy Johan Stolt odszukał ją w wydziale. Najwyraźniej konferencja prasowa okazała się rozczarowaniem dla obu stron. Po wstępnym przedstawieniu faktów i kilku pojedynczych pytaniach, na które policja nie mogła udzielić odpowiedzi, medialne zainteresowanie rozmowami z naczelnikiem policji całkowicie zniknęło i służby zalała fala krytyki za to, że nikt z operacyjnym rozeznaniem sytuacji nie brał udziału w spotkaniu. Rozczarowani przedstawiciele mediów opuścili audytorium, mamrocząc pod nosem i rzucając kartami wstępu na blat recepcji. Tyle to sami mogli wyciągnąć z informacji prasowych. Zrezygnowali z lunchu po to, żeby nie dostać nic w zamian.

– Musisz się chyba mimo wszystko przygotować na to, że będziesz miała kontakt z mediami – powiedział Johan Stolt ze zrezygnowaną miną.

Przyjrzała mu się nieufnie – nie tylko dlatego, że zdecydował się tego dnia na tweedową marynarkę w kratkę z podwójnym rzędem guzików.

– Jak to? Haugen powiedział przecież bardzo wyraźnie, że nie wolno mi się w ogóle wypowiadać.

– Tak, ale zmienił zdanie. Wezmę na siebie tyle, ile mogę, ale będziemy musieli być w stałym kontakcie w kwestii tego, co może wyjść na zewnątrz. A jeśli dojdzie do kolejnych konferencji, możesz być potrzebna. Miałaś już jakiś trening medialny?

Naczelnik policji tymczasowo usunął się w cień, żeby lizać rany po nieudanej konferencji, ale to tylko chwilowe wycofanie. Zastąpił mnie, myśli Karen. Jeśli nie rozwiążemy tej sprawy cholernie szybko, Viggo Haugen wyznaczy kogoś innego do jej prowadzenia, a ja zostanę kozłem ofiarnym.

Karen zatrzymuje się w progu sali konferencyjnej i patrzy na stół, przy którym rozsiadła się już grupa dochodzeniowa i rzecznik prasowy. Zwleka kilka sekund, a później mija krzesło z dłuższego boku stołu, na którym siedziała zarówno na wczorajszym, jak i porannym spotkaniu.

Moja odpowiedzialność, moje śledztwo, myśli i zajmuje miejsce u szczytu stołu.

– Czy wszyscy są na miejscu? – pyta i spogląda na zebranych. – Cornelis, czy mógłbyś zamknąć drzwi?

Cornelis Loots zamyka drzwi i siada na krześle tuż obok Astrid Nielsen. Oboje koncentrują całą swoją uwagę na Karen, a Karl Björken walczy z kubeczkami do kawy i termosami. Również dzisiaj na stole stoi półmisek z podeschniętymi kanapkami. Tym razem gotowana szynka i papryka, odnotowuje Karen i przechodzi ją dreszcz, kiedy widzi, jak Karl nalewa sobie lurowatą kawę.

Krótko referuje to, czego dowiedziała się od żony Evalda Johannisena, i ma nadzieję, że nic na jej twarzy nie zdradza ulgi, którą odczuwa w związku z tym, że nie będzie musiała go oglądać w dalszym toku śledztwa.

– Tak, rzecz jasna, będę w kontakcie z żoną Johannisena. Obiecała informować mnie na bieżąco o jego stanie zdrowia, ale operowany będzie dopiero jutro, jeśli nie pojawią się nagłe komplikacje.

– Może powinniśmy wysłać mu kwiaty – mówi Astrid Nielsen.

Karen wzdycha bezgłośnie: dlaczego sama o tym nie pomyślała?

– Świetny pomysł, to będzie pierwsze zadanie dla Björna Langego – mówi szybko i kiwa głową do Corneliusa, który posłusznie notuje. – Dopilnuj, proszę, żeby kupił coś ekstra i wziął jakąś kartkę, na której wszyscy się podpiszemy.

Potem zwraca się do Johana Stolta. Uzgodnili, że również rzecznik prasowy będzie uczestniczył w dzisiejszej naradzie, a na następnych będzie się pojawiał już tylko w razie potrzeby lub kiedy dojdzie do jakiegoś decydującego przełomu.

– Czy grupa powinna wiedzieć coś o konferencji prasowej? – pyta.

– Właściwie nie. Naczelnik przedstawił fakty, dużo więcej do powiedzenia nie było. Padły oczywiście pytania, których należało się spodziewać: jak do tego doszło, jakiej broni użyto, czy Jounas Smeed jest podejrzany, czy są jacyś inni podejrzani...

– I co na to odpowiedzieliście? – pyta Karl Björken.

Johan Stolt wzdycha zrezygnowany i uśmiecha się.

– Oczywiście, że ze względu na dobro śledztwa nie możemy niestety nic powiedzieć. To, rzecz jasna, nie powstrzymało dziennikarzy, próbowali uzyskać odpowiedzi innymi sposobami. Cały dzień szukałem Smeeda, żeby spytać, czy go odwiedzili, ale nie udało mi się go namierzyć. Może powinienem ostrzec też jego córkę, jeśli nie jest jeszcze za późno. Ale z tym musimy być ostrożni – dodaje Stolt. – Żeby nie wyglądało to tak, że staramy się kneblować kogoś spoza policji.

– Już rozmawiałam z Jounasem – mówi Karen. – I zna dobrze reguły gry. Córkę nie ostrzegałam, ale ona z natury nie wydaje się szczególnie wylewna. Nie jest raczej typem, który zgadza się na szczery wywiad.

– Może potrzebować pieniędzy...

– Tak, i nie możemy jej tego zabronić. Ale mimo wszystko chyba powinniśmy ją ostrzec dla jej własnego dobra, żeby nie przeżyła szoku. Jest ryzyko, że będą okupować wejście na jej klatkę, jeśli staną się zdesperowani. Możesz dać jej znać, Karl? Najlepiej od razu po spotkaniu.

Karl kiwa głową bez słowa.

– Okej, tego już chyba wystarczy. Hmm, ponieważ nie ma Evalda, to może ty, Astrid, opowiesz nam o waszej wizycie... – Karen zagląda do notatek – ...w domu spokojnej starości Solgården – mówi i odwraca się w stronę Astrid Nielsen.

Ta bez zająknięcia relacjonuje spotkanie z kierowniczką Solgården Gunillą Moen, która powiedziała im, że Susanne Smeed pracowała prawie cztery lata w domu spokojnej starości jako asystentka do spraw administracyjnych i odpowiadała przede wszystkim za wypłacanie wynagrodzeń i przyjmowanie faktur przychodzących. Z tego, co wiedziała, Susanne pracowała wcześniej jako sekretarka w biurze architektonicznym, ale musiała znaleźć inną posadę, kiedy biuro przeniesiono do Wielkiej Brytanii. Gunilla Moen nie była tego jednak stuprocentowo pewna, bo sama przyszła do Solgården trochę ponad dwa lata temu i przyjęła Susanne Smeed „z dobrodziejstwem inwentarza”, jak się wyraziła.

– Naszym zdaniem było wyraźnie widać, że nie przepadała za Susanne, ale nie udało się jej skłonić, żeby powiedziała wprost coś negatywnego – opowiada Astrid Nielsen. – I rzecz jasna, doznała szoku, kiedy usłyszała, co się stało, więc naprawdę ciężko było z niej wyciągnąć cokolwiek, co mogłoby się nam przydać.

– Rozmawialiście z kimś poza Gunillą Moen?

– Tak, z kilkoma członkami personelu, ale rzadko mieli z nią bezpośredni kontakt. Wydaje się, że Susanne trzymała się na uboczu, ktoś dał nam wprost do zrozumienia, że sprawiała wrażenie, jakby uważała się za „lepszą” i nie chciała zadawać się z opiekunami z oddziałów. Zarazem wygląda na to, że nie utrzymywała też bliższych kontaktów z Gunillą Moen ani z nikim innym z kierownictwa.

Będziemy musieli pojechać tam jeszcze raz, myśli Karen. Ktoś w jej pracy musi być przecież w stanie coś o niej powiedzieć. Astrid nakreśliła fakty: wszystko od historii zatrudnienia po zwolnienia lekarskie, ale cenne byłyby też wrażenia Johannisena z wizyty w Solgården. Może i jest dupkiem, ale zarazem doświadczonym policjantem i cwany skurczybykiem, myśli Karen, dziękując Astrid. Zwraca się do Cornelisa Lootsa.

– A do czego doszli technicy?

– Zdaje się, że Harald Steen miał rację co do samochodu. Rozrusznik jest podobno w potwornym stanie, więc bardzo możliwe, że faktycznie z pomocą domową słyszeli samochód Susanne Smeed.

– Okej – mówi Karl. – A więc Susanne została zamordowana jakoś między kwadrans po ósmej, kiedy ty, Karen, przejeżdżałaś obok i ją

widziałaś, a kilka minut po dziesiątej, kiedy dziadek Steen słyszał, jak samochód Susanne stamtąd odjeżdża.

– Idealnie się to pokrywa z przypuszczeniami Brodala – stwierdza Karen. – Coś jeszcze?

Znów odwraca się do Cornelisa Lootsa, który szybko rzuca okiem na swoje notatki, a później podnosi wzrok.

– Tak, nawet całkiem sporo. Nie znaleźliśmy wprawdzie samego komputera, ale opakowanie i paragon po laptopie HP kupionym dobre trzy lata temu. Może to wskazywać na to, że sprawca zabrał go ze sobą, nawet jeśli trzy lata to dziś dla komputerów podeszły wiek.

– Może nie zauważył, że jest taki stary? – podsuwa Astrid.

– Nadal nie znaleźliśmy żadnej komórki?

– Nic, ale ładowarka do samsunga została na stole w przedpokoju. A teraz najlepsze: przeprowadzono triangulację i zarejestrowano sygnał służbowej komórki Susanne Smeed trochę na północ od Moerbecku. Właśnie się tego dowiedziałem od techników.

Cornelis rozgląda się pełen nadziei dookoła stołu, ale widzi tylko zrezygnowane miny.

– Jesteś z Noorö, co? – pyta Karl Björken.

– Tak... – przyznaje z wahaniem, jakby tą odpowiedzią ryzykował nieprzyjemności.

Zgadza się, Cornelis Loots urodził się i dorastał na najbardziej na północ wysuniętej z Wysp Doggerlandzkich. Ale w przeciwieństwie do Karla przeprowadził się do położonej na Heimö stolicy nie dalej jak sześć miesięcy temu w związku z mianowaniem go na stanowisko aspiranta kryminalnego. Niemal trzy tygodnie trwała codzienna kampania polegająca na przekonywaniu jego żony Lise do przeprowadzki, pertraktacjach, aż wreszcie obietnicy, że Wielkanoc, przesilenie letnie oraz Boże Narodzenie będą spędzać u teściów, dopiero wtedy Lise się zgodziła.

– Ale maksimum pięć lat. Nasze dzieci nie mogą dorastać na Heimö – oświadczyła.

Ledwie po dwóch miesiącach spędzonych w Gaardzie, w mieszkaniu z widokiem na handlarzy narkotyków na placu zabaw pod oknem ich kuchni, Lise odkryła, że jest w ciąży, i postawiła jeszcze jeden warunek.

– Albo kupimy tu domek jednorodzinny, albo od razu wracam do domu.

Dwa pokoje na górze i dwa na dole z ogrodem od południa w Sande – jak się miało okazać – pożarły całą podwyżkę, która wiązała się z awansem, a do tego zniweczyły wszelkie próby odłożenia pieniędzy, ale Lise była zadowolona. I każdego wieczoru, kiedy Cornelis Loots widział żonę w zaawansowanej ciąży leżącą na sofie i z zadowoloną miną próbującą utrzymać kubek herbaty na ogromnym brzuchu, wiedział, że było to warte każdego szylinga.

Zdezorientowany przebiega teraz wzrokiem po twarzach kolegów.

– Kilka kilometrów na północ od Moerbecku znajduje się duży dół żwirowy – wyjaśnia Karen. – Głęboki i obecnie wypełniony wodą – dodaje.

– I – dorzuca Karl – nawet jeśli jakimś cudem udałoby się go wyciągnąć i będzie działał, to bardzo wątpliwe, żebyśmy coś z tego mieli.

– Ale w każdym razie możemy dostać chyba billingi od operatora? – pyta Astrid.

Cornelis kiwa głową.

– Prokurator zwróciła się już z prośbą o ich przekazanie i TelAB właśnie je zestawia.

– Och, cholera, to może za kilka miesięcy te leniwe dupki wypuszczą je z rąk – mówi Karl i rzuca długopis, który toczy się po stole, a później z cichym szcęknięciem ląduje na podłodze.

Nikt ze zgromadzonych nic nie mówi; wszyscy wiedzą, że Karl ma w zasadzie rację, nawet jeśli odrobinę przesadza. TelAB raczej nie słynie z chęci współpracy ani szybkiej obsługi.

– Będziemy musieli naciskać – mówi Karen. – Ktoś ma coś jeszcze?

Odpowiada jej zgodne kręcenie głowami.

– Okej, w takim razie na tym skończymy. Jutro rano o ósmej mam krótką naradę z Viggiem Haugenem i Dineke Vegen, ale nie powinno to zająć nam więcej niż pół godziny. Spotkajmy się więc o wpół do dziewiątej. I dzwońcie, jeśli coś wypłynie wcześniej.

Jest całkowiec ciemno i reflektory samochodów błędzą tam i z powrotem po dużym parkingu, polując na wolne miejsce. W ciągu dnia temperatura spadła gwałtownie i niemal letnie ciepło zastąpił zimny drobny deszcz. Nieprzygotowani Doggerlandczycy, którzy marzli cały dzień w zdecydowanie zbyt cienkich ubraniach, pędzą do domów, żeby zajrzeć na strychy i do piwnic i wyciągnąć kurtki i czapki.

Za rzędami samochodów wznoszą się przypominające bunkry budynki centrum handlowego Grenå. Tu – poza supermarketami dwóch konkurencyjnych sieci spożywczych – mieści się duży sklep z materiałami budowlanymi, sklep meblowy, szkółki roślin i wszelakie duże sieci ubraniowe oraz cel wypadu Karen do Grenå tego wieczoru. Sądząc po obłożeniu parkingu, żądza kupowania nie osłabła u Doggerlandczyków ani przez świętowanie w poprzedni weekend, ani przez zimno. Choć Karen nie może sobie przypomnieć, żeby była kiedyś w Grenå – bez względu na porę dnia czy dzień tygodnia – i żeby nie wiązało się to z kolejkami do kas, krzykiem dzieci i zaciśniętymi szczękami ludzi pchających ogromne wózki sklepowe. Toczy się tu współczesny odpowiednik dawnych polowań na dużego zwierza: spoceni i zmęczeni bohaterowie triumfalnie wracają w rodzinne pielesze ze zdobyczą w bagażniku niczym z trofeum. Rola powalonej zwierzyny przypada wypchanym torbom z jedzeniem lub – po bardzo owocnym polowaniu – telewizorowi z płaskim ekranem, który jest, do cholery, dużo większy niż ten kupiony przez sąsiada w poprzedni weekend.

Po dwóch ślamazarnych rundkach wokół parkingu Karen dostrzega w końcu nissana tyłem wyjeżdżającego ze swojego miejsca. Z gracją, która przez kierowcę w samochodzie za nią uważana jest raczej za czystą bezczelność, udaje jej się raptownie zahamować, szybko cofnąć o pięć metrów i wślizgnąć na upragnione miejsce. Pełna trwogi, a zarazem w bojowym nastroju Karen Eiken Hornby zmierza zdecydowanym krokiem w stronę najdalszego oświetlonego bunkra.

Pół godziny później z trudem udaje się jej przymocować duże pudło do skrzyni ładunkowej i z głośnym trzaskiem zamyka klapę. Trzęsąc się, siada za kierownicą z głośnym westchnieniem. Jazda do domu w taką pogodę nie będzie przyjemna, widoczność jest marna, a gdy tylko zjedzie z autostrady, nie sposób będzie uniknąć kałuży. Drzwiczki ciężko otworzyć, wyćwiczonym ruchem uderza w nie dłonią i stwierdza, że dobrze pamiętała: leży tam nieotwarta paczka papierosów, której zapomniała wyrzucić. Czy naprawdę kupiła je dopiero w piątek? Ma wrażenie, że od tamtej pory minęła cała wieczność.

Bez większego wysiłku dławi kiełkujące wyrzuty sumienia, odchyła się i zaciąga dymem. Siedzi spokojnie kilka minut w ciemności i przygląda się strumieniom światła rzucanym przez reflektory samochodów szukających wolnych miejsc. Jakiś bezdomny telepie się wśród klientów, którzy właśnie zapakowali do bagażników zakupy, i żebrze, żeby oddali mu wózek z monetą – poluje na kilka szylingów na piwo. Większość ludzi zdaje się mu wdzięczna za to, że sami nie muszą odprowadzać wózka, ale wygląda na to, że pewna kobieta odmawia. Karen przygląda się przez przednią szybę ich wymianie zdań niczym pantomimie, nie ma trudności, żeby wyobrazić sobie przekleństwa posyłane przez żebraka, który ze spiętymi ramionami pod przemoczoną kurtką odchodzi, powłócząc nogami. Kobieta patrzy za nim, aż ten wystarczająco się oddali, później popycha wózek na bok, tak że ten odjeżdża i zatrzymuje się przy latarni, potem wskakuje do mercedesa i odjeżdża.

– Wredna suka – mamrocze Karen, zaciąga się po raz ostatni, gasi papierosa i wkłada kluczyki do stacyjki. Następnie wyjmuje kilka papierosów z paczki i kładzie je ostrożnie na siedzeniu.

Kiedy przejeżdża obok żebraka, opuszcza szybę i macha do niego. Wyciąga banknot o nominale pięćdziesięciu marek i bierze paczkę papierochów.

– Nie łaż tu za długo w deszczu, bo się dorobisz zapalenia płuc – mówi i wzdryga się, kiedy jego lodowato zimna dłoń muska jej rękę.

Jeszcze zanim wyjedzie z parkingu, szybko rzuca okiem w lusterko wsteczne i widzi, jak górna część dużego pudła w bagażniku wystaje nad oparciami foteli. Viggo Haugen prawdopodobnie wpadnie w szal, kiedy przyjdzie faktura, ale jest gotowa się z tym zmierzyć.

Czterdzieści pięć minut później, kiedy otwiera drzwi pubu Zając i Wrona, wita ją dobrze znana kombinacja ciepła, cichego gwaru i słabego zapachu pleśni. Ostatni wyszynk w Langevik, który jeszcze się ostał, świeci tego wieczoru niespotykaną pustką. Przy stolikach siedzi może dwudziestu gości, a tuż przy barze widać rząd pleców należących do stałego establishmentu – przynajmniej we własnej ocenie tych trzech stałych gości wytwarza ten marginalny zysk, który zapewnia przetrwanie Zającowi i Wronie. Te trzy charakterystyczne grzbiety należą do Egila Jenssena, Jaapa Kloesa i Odda Marklunda, których obecnie dość obfite cztery litery zasłaniają większą część ich krzesel. Wszyscy trzej urodzili się we wsi i wszyscy pracowali niegdyś w przemyśle rybnym: Jenssen i Kloes zajmowali się połowem dorsza, Marklund kierował brygadą w fabryce Loke i odpowiadał za czyszczenie i pakowanie krewetek.

Karen zwleka chwilę, a później podchodzi do baru. Gdy tylko zajmie miejsce obok mężczyzn, będzie musiała wysłuchać skarg na zmiany zachodzące we wsi, zamknięcie jakiegoś sklepu, inwazję ludzi w kołnierzykach z Dunkeru oraz tradycyjnego wylewania żalów przez Marklunda nad rozwojem fabryki Loke i gorzką prawdą, że krewetki wysyła się obecnie na Łotwę, do Polski i Tunezji, żeby tam je wyczyścić i zalać słoną zalewą. Jednak właśnie tych trzech jegomościów z tłustymi tyłkami stanowi niewyczerpane źródło informacji o wszystkim i o wszystkich, a tym razem Karen przysłała tu właśnie po to, żeby wychwycić różne plotki.

– Cześć, Arild – mówi i uderza lekko dłonią w bar. – Co tam masz dziś ciekawego na kranach?

Arild Rasmussen spogląda na nią zza kasy ze skwaszoną miną. Widać wyraźnie, że nie śmieszają go docinki na temat skromnego asortymentu. To, że bary w Dunkerze chełpią się obecnie niezliczoną liczbą różnych typów piwa, nie robi na Rasmussenie wrażenia. I chociaż gwałtowny rozwój lokalnej branży piwnej niemal nie wpłynął na ofertę Zająca i Wrony, to mimo wszystko odzwierciedla ona demografię Doggerlandu ze skandynawskim, brytyjskim i holenderskim pochodzeniem mieszkańców, co zdaniem Rasmussena w zupełności wystarcza. Goście

Zająca i Wrony mogą innymi słowami wybierać między Carlsbergiem, Heinekenem i Spitfire'em. Albo Bishops Fingerem – tych dwóch nigdy nie ma jednocześnie. Nieliczni goście, którzy przypadkiem preferują wino, mają prosty wybór między czerwonym a białym. Arild Rasmussen prezentuje tę alternatywę tak opryskliwym tonem, że wszelkie ewentualne chęci, żeby zadać męczące pytania o kraj pochodzenia albo rocznik, zostają zdławione w zarodku. Mało kto jednak przychodzi tu, żeby napić się wina albo coś przekąsić, chociaż Arild Rasmussen potrafi akurat upichcić naprawdę przyzwoity gulasz jagnięcy.

Przepis dostał od żony Reidun, której osobliwa mieszanka szlagierów i rynsztokowych przekleństw dobiegała z okolic kuchni jeszcze osiem lat temu. Państwo Rasmussenowie kłócili się nieprzerwanie przez dobre trzydzieści dwa lata serwowania gulaszu jagnięcego i piwa w Zającu i Wronie, czasem przyjmowało to wręcz tak łagodną postać, że odgłosy tłuczonych talerzy i krzyki typu „ty wstrętna locho” i „ladaco, ty stary jurny koźle” powodowały, że skrępowani goście wiercili się i spoglądali na zegarki.

Mimo to kiedy w pewien majowy dzień Reidun dostała wylewu, ludzi we wsi ogarnął niepokój, że Arild nie podoła dalszemu prowadzeniu działalności na własną rękę. Czyżby ostatni pub we wsi miał podzielić losy zamkniętego już portowego pubu Kotwica?

Po udarze Reidun pub Zajęc i Wrona pozostawał zamknięty przez jedenaście dni, ale później, pewnego pięknego przedpołudnia, Arild powrócił na posterunek i otworzył drzwi. Wprawdzie teraz ze zdecydowanie mniej ambitnym menu – poza gulaszem jagnięcym można było wybierać jedynie między gotowymi krokietami rybnymi z groszkiem i purée ziemniaczanym albo gotowymi hamburgerami z frytkami. Ludzie gadają, że Reidun nadal dowodzi Zającem i Wroną z łóżka w mieszkaniu nad pubem, gdzie mieszka razem z Arildem, ale nikt nie wie nic na pewno.

W każdym razie tak się rzeczy mają, że beczki z piwem w Zającu i Wronie zawsze są opróżniane do dna, a cena za pintę jest wciąż kilka szylingów niższa od tych w centrum Dunkeru.

Teraz Arild sięga po pintowy kufel i podnosi jedną brew.

– To co zawsze? – pyta i kładzie rękę na kranie od beczki ze Spitfire'em.

Karen przytakuje. Zamiast wziąć kufel i rozsiąść się w swoim ulubionym miejscu w głębi, na prawo od kominka, odsuwa jedno z wysokich krzesel i wiesza torebkę pod ladą baru. Arild Rasmussen wyklada na blat kartonową podkładkę z logo Shepherd Neame i stawia na niej kufel. Karen dziękuje i szeroko się uśmiecha. Są tylko dwa sposoby, żeby skłonić Arilda Rasmussena do mówienia: schlebiać mu lub sprawić, żeby sam wypił piwo albo dwa.

– Ależ tu zmiany – mówi i kiwa głową w stronę stolików z wąskimi obrusami w szkocką kratę i małymi świecznikami z zielonego szkła.

– No proszę, ktoś zauważył – mamrocze Rasmussen. – Kupiłem kilka nowych rzeczy na Oistrę – dodaje, próbując zatuszować uśmiech zadowolenia.

– Wygląda bardzo ładnie, naprawdę stylowo – mówi Karen i macza usta w pianie.

Trzech stałych bywalców przysłuchuje się ich krótkiej pogawędce z kiepsko maskowaną ciekawością. Wreszcie Jaap Kloes odwraca się do Karen.

– Oho, stróż prawa z wizytą. A może powinienem powiedzieć stróżka, co?

Karen rejestruje, że Kloesowi swoim starym zwyczajem udaje się zawrzeć kilka impertynencji w jednym zdaniu. Ale nie bierze tego do siebie – tutaj buduje się przewagę, umniejszając innym, zawsze tak było. A kiedy obedrze się słowa z tutejszego żargonu, okaże się, że nie kryje się w nich właściwie żadna większa niechęć.

– Taa, choć właściwie zmieniliśmy nazwę na policjantów jakieś trzydzieści lat temu – mówi i uśmiecha się przepaszająco. – Ale rozumiem, że w tym wieku można mieć trudności, żeby nadążyć za nowościami; najpierw prawa wyborcze, a teraz jeszcze policjantki, do czego to wszystko doprowadzi?

Kloes mamrocze coś i szybko sięga po kufel, a pozostali śmieją się nieokrzesanie.

– Jeden zero – mówi Odd Marklund. – Jesteś dziś w formie, Karen. Do czego to doprowadzi?

– Nie bój bidy, nie zostanę długo – odpowiada. – Wypiję piwo albo dwa i trochę poplotkuję. W tej kwestii chyba zawsze można na was liczyć, co?

– Mówi o Smeedowej, zgaduję?

Karen kiwa głową i upija jeszcze jeden łyk. Później wierzchem dłoni wyciera pianę z górnej wargi.

– No więc co możecie powiedzieć o Susanne? Chcę wiedzieć wszystko!

Pół godziny później obraz zaczął się z grubsza klarować dzięki tym czterem mężczyznom w barze. Trzech stałych gości i właściciel pubu byli zgodni w swojej ocenie: Susanne była porywczą i zgorzkniałą kobietą, która miała świetnie rozwiniętą zdolność do darcia kotów z otoczeniem. Chociaż Karen irytuje się z powodu pełnego uprzedzeń i wyższości tonu mężczyzn, musi przyznać, że stworzony przez nich portret odpowiada jej własnym wrażeniom.

I może Susanne była już taka w dzieciństwie i w wieku nastoletnim; Karen ma tylko pozbawione konturów i bardzo słabe wspomnienie Susanne z tamtych czasów. Jasnowłosa dziewczynka z drugiego końca Langevik. Różnica wieku wynosząca trzy lata stanowiła przepaść, przynajmniej w oczach Karen. Kiedy Susanne zaczęła chodzić do pierwszej klasy, Karen przeniosła się już do tej części szkoły, gdzie zajęcia miały klasy 4–6, a kiedy Susanne się tam znalazła, ona zdążyła posmakować radości i wyzwania, które niosły ze sobą ostatnie klasy podstawówki: nowe przedmioty, nowi nauczyciele i – przede wszystkim – chłopcy ze starszych klas. Wszystko przepełnione oszałamiającym uczuciem, że wreszcie należy się do świata dorosłych. Jej myśli kręciły się wyłącznie wokół jej własnych braków, doskonałości innych i wokół tego, czy Graham z dziewiątej klasy naprawdę ją lubi, czy może nie. Na zajmowanie się dziećmi z młodszych klas nie miała czasu.

Mimo że dorastały z Susanne zaledwie kilka kilometrów od siebie, dystans między nimi był ogromny i z jakiegoś powodu nie skurczył się z upływem lat. Kojarzyły się z imienia i wyglądu, witały na ulicy i zamieniały kilka słów, kiedy jako dorosłe na siebie wpadały, ale nigdy nie przerodziło się to w coś więcej. Aż do pewnego razu cztery lata temu.

Pewnego dnia na początku kwietnia, krótko po tym, jak Jounas został szefem kryminalnych, Karen i Susanne spotkały się przy kasie w szkółce roślin. Kolejka posuwała się niemiłosiernie wolno, więc nie było innej możliwości, musiały zamienić kilka słów. Spokojnie trzymając wózek pełen fiołków, Susanne odpowiadała monosylabami na podejmowane przez Karen próby uprzejmej konwersacji. A później, po długiej i uciążliwej przerwie, powiedziała:

– Powinnaś na siebie uważać, Karen. Jounas zawsze wykorzystywał kobiety, które... hmm, po prostu kobiety takie jak ty.

Potem odwróciła się do swojego wózka, przeprosiła, mówiąc, że zapomniała czegoś, i wróciła między rzędy sadzonek i worków z ziemią. Karen zapłacała i pojechała do domu z dwiema śliwkami i nieprzyjemnym uczuciem, że domyśla się, jakie kobiety Susanne miała na myśli.

Ten zgodny obraz Susanne Smeed, który zostaje odmalowany tego wieczoru w Zającu i Wronie, głosi, że kiedyś wprawdzie mogła uchodzić za „naprawdę ponętny kąsek”, ale była też porywcza, pamiętliwa i zgorzkniała. A z wiekiem stała się zmorą dla otoczenia.

– Awanturowała się właściwie o wszystko – mówi Jaap Kloes. – Mogło chodzić o autobusy jadące na sprzęgle, sprawozdanie zarządu dróg, utrudnienia w ruchu koło szkoły, dzieciaki sąsiadów. A moja żona twierdzi, że taka sama była w pracy. Nikt z nią nie mógł wytrzymać, ani personel medyczny, ani przełożeni. Na jej obronę można powiedzieć jedynie to, że kopała równo i tych na górze, i tych na dole. Pieprzona cipa, wybaczcie mi wyrażenie.

– Weź na przykład tę awanturę o elektrownię wiatrową – uzupełnia Egil Jenssen. – Nas czterech było przeciwnych od samego początku, ale do ludzi w końcu dotarło, że zostało im się już tylko poddać.

Szczególnie do tych, którym sownie zapłacono za ziemię i którzy się na tym dorobili, myśli Karen, ale nic nie mówi.

– Rozumiem, że się wściekła, kiedy wzniesiono wiatraki – ciągnie Kloes. – Jej ziemia w końcu leżała najbliżej. Ale ona nigdy, do cholery, nie odpuściła! To cholerne psioczenie, wysyłanie listów do gazet i pism do rady wiejskiej. Czy naprawdę się jej wydawało, że zdemontują to gównno, skoro już je postawili? Tylko dlatego, że jej to przeszkadza?

– Właściwie to dość tragiczne. Samotna kobieta przeciwko właścicielom nieruchomości i firmie energetycznej nie miała najmniejszych szans – mówi Odd Marklund i powoli kręci głową.

W tonie Marklunda, w przeciwieństwie do tonu Jenssena czy Kloesa, pobrzmiewa współczucie, kiedy mówi o Susanne. Nie dziwi to Karen. Odd Marklund dał dowód odwagi cywilnej i rozsądku, kiedy po raz pierwszy pracowała w lecie przy czyszczeniu krewetek w zakładach rybnych Loke, gdzie był kierownikiem brygady. W przeciwieństwie do gorliwego kierownika zmiany, który sokolim okiem nadzorował linię czyszczenia

krewetek i z kiepsko ukrywaną radością żądał, żeby co jakiś czas komuś obcinano pensję za niedbalstwo, Odd Marklund ze spokojem podchodził do resztek pancerzy, które ostały się na krewetkach.

Właśnie dlatego Karen nie była bardzo zaskoczona, kiedy kilka lat później został usunięty z dużego koncernu rybnego w wyniku racjonalizacji. Mający większość udziałów Norwegowie postawili warunek, że doggerlandzka fabryka musi stać się bardziej efektywna, każdemu etapowi, który nie był zmechanizowany, groziło zamknięcie. W wieku pięćdziesięciu sześciu lat Odd Marklund stał się tam zbędny.

Sam wie dokładnie, jak to jest walczyć z czymś, co jest większe i bez porównania silniejsze, myśli Karen. Któż lepiej od niego może wczuć się w bezowocną walkę toczoną przez Susanne Smeed z producentem energii wiatrowej Pegasus?

A Susanne nie była osamotniona w tej walce; w ciągu ostatnich lat można znaleźć wiele przykładów podobnych zaciętych bojów. Debata poprzedzająca decyzję doggerlandzkiego rządu, żeby ratować gospodarkę i zapewnić jej w przyszłości wzrost przez inwestowanie na potęgę w energię wiatrową i jej eksport do północnej Europy, rozgorzała przed dwudziestu laty do granic możliwości.

Z czasem jednak opór, skargi i granie na zwłokę złagodniały wraz z tym, jak coraz więcej właścicieli ziemi obserwowało przyrost kapitału na kontach bankowych, kiedy trafiała do nich sowita zapłata za to, że wywłaszczono ich majątki.

Oczywiście rozbudowa elektrowni miała swoją cenę. Populacja ptaków obniżyła się drastycznie w znacznej części wyspiarskiego państwa i nadal krążyły plotki, że przedsiębiorstwo energetyczne ma specjalnych pracowników do zbierania z ziemi pod turbinami zmasakrowanych osobników. Ale nieliczni mówili o tym głośno.

I przedsiębiorstwo zarabia na tym, rzecz jasna, ogromne pieniądze, a połowa udziałów w rękach skarbu państwa oznacza, że rozwój ekonomiczny przeżywał prawdziwy boom przez ostatnie dwie dekady. Z tego też powodu większość była skłonna spojrzeć przez palce na to, że połowa zysku wpada do kieszeni właścicieli wielkich firm.

Susanne Smeed najwyraźniej była innego zdania, myśli Karen i kiwnięciem głowy daje znak Arildowi Rasmussenowi, żeby nalał jej jeszcze jedno piwo. Można powiedzieć, że Susanne dosłownie walczyła

z wiatrakami. Chociaż z tego, co Karen usłyszała, wynikało, że sama nie posiadała ziemi, o którą toczyła się batalia.

– Mówicie, że walczyła z właścicielami ziemi? Myślałam, że to do jej rodziny należał cały pas ziemi aż po samą grań.

– Nawet dużo więcej. Cały grzbiet i jeszcze solidny kawał lasu po drugiej stronie – mówi Arild. – To wszystko by do niej należało, gdyby jej ojciec tego nie sprzedał. Ale Perowi Lindgrenowi udało się spieniężyć cały spadek po rodzinie żony, hektar po hektarze.

Arild przeciera zewnętrzną stronę kufła zielonym ręcznikiem frotté i stawia go przed Karen.

– Zaczęło się to dużo wcześniej, kiedy jego żona jeszcze żyła – ciągnie.

– Tak finansowali swoją komunę czy jak to tam nazywali. W każdym razie banda wolnoduchów mieszkała w starym gospodarstwie Gråå.

Karen przywołuje w pamięci to, co powiedziała jej mama, i bujdy z dzieciństwa o gospodarstwie Lothorp.

– Ci szaleńcy wytrzymali tylko kilka lat, później rozjechali się w różne strony świata – mówi Egil Jenssen. – Ale Lindgrenowie zostali i dalej wyprzedawali to, co mieli, zamiast znaleźć sobie jakieś uczciwe zajęcie. Lindgren tylko malował obrazy, których nikt nie chciał kupić, i tak aż do samego końca. Cholera wie, jak jego żona i mała Susanne to wytrzymały. Innych dochodów nie mieli, a jakoś trzeba było płacić za jedzenie i ubrania, więc wyprzedali cały odziedziczony majątek, kawałek po kawałku.

– Ja sam kupiłem fragment lasu, który graniczył z moim. Musiało to być w siedemdziesiątym czwartym albo może w siedemdziesiątym piątym, jeśli mnie pamięć nie myli. Cholernie dobry interes, tyle mogę powiedzieć.

Wyraźnie ożywiony wspomnieniami i plotkami Jaap Kloes uśmiecha się kącikami ust, unosi kufel w stronę innych i pije piwo dużymi łykami z zadowoloną miną, jak niemowlak ssący mleko.

– Szaleni Szwedzi – ciągnie Kloes po odstawieniu kufła i osuszeniu ust.

– Pamiętajcie, jak kupili gęsi? Wydawało im się, że mogą chodzić po dworze przez całą dobę. Lis wykradł im je wszystkie już pierwszego lata. Ale sami wiecie, jak to się mówi: możesz doprawiać Brytonami, Fryzyczykami i Flamandami...

– ...ale doggerlandzką zupę i tak czuć głównie Skandami – dopowiada Karen ze zmęczonym uśmiechem.

Jaap Kloes rechocze zadowolony.

– No, a w tej komunie byli i Brytyjczycy, i Holendrzy – mówi Egil Jenssen cierpko i odwraca się do Karen. – Najbardziej dziwi mnie to, że tak długo wytrzymali. Twój ojciec postawił sto szylingów, że cała ta komuna da za wygraną przed pierwszą zimą. W tamtych czasach to była kupa pieniędzy.

– Mój tata? Dlaczego?

– Nie tylko on, wszyscy w Kotwicy się zakładali. Harald Steen robił za bukmachera, a potem było cholernie dużo gadania, jak podzielić pieniądze, bo Lindgrenowie zostali, ale pozostali wyjechali. W którym to roku oni tu przyjechali? W sześćdziesiątym dziewiątym?

– W siedemdziesiątym – mówi Kloes. – W tym samym roku urodził się mój najmłodszy syn. Pamiętam, jak przyjechali tu w robionych na drutach czapkach z Peru i opowiadali, jak będą uprawiać rośliny bez nawozu i żyć z tego, co da im ziemia, takie tam bzdury. I będą wszystkim się dzielić, tak mówili.

– Przez tę całą Lindgrenową i jej pogadanki o życiu bez chemii, barwnikach roślinnych i Bóg wie, o czym tam jeszcze, mojej starej rzucało się na głowę – dodaje Jenssen. – Palili też trawkę na umór, tak przypuszczam. Nie, nigdy nie zrozumiałem, czego tu szukali.

– Zielona fala – mówi Odd Marklund. – Naprawdę wielu tu wtedy przyjechało. Także na Frisel. Powrót do natury, ma się rozumieć. Na południu niejeden chłop na takich zarobił; sprzedawali im kawałek nieurodzajnej gleby i chałupę po zawyżonej cenie, a później odkupywali wszystko za niższą stawkę, kiedy okazywało się, że życie na wsi nie jest wcale takie łatwe. Że nie dadzą rady żyć z tego, co uda im się wyciągnąć z ziemi.

– Tak, Lindgrenowie nie musieli przynajmniej kupować ziemi. Żona, Anne-Marie, chyba tak jej było, odziedziczyła starą posiadłość po rodzinie Gråå, należała do jej pradziadka. Dostała to wszystko, chociaż wcześniej jej noga nigdy nie powstała na wyspie. Ale był chytry lis z tego Vetlego Gråå, pamiętasz go, Karen? Miał plecy wygięte jak kosa, ale chodził po swoim majątku i doglądał wszystkiego aż do śmierci. Miał dwóch synów, jeden się zapił, drugi ożenił ze Szwedką, więc można zrozumieć, dlaczego stary był taki opryskliwy – mówi Jaap Kloes.

– Czyli ojciec Anne-Marie? – dopytuje Karen. – Co się z nim stało?

– To nie on spadł z jakiejś budowy w Malmö i się zabił? – pyta Odd Marklund i w odpowiedzi dostaje triumfalne skiniecie głową.

– Taaa. Mimo tych wszystkich wydumanych praw dotyczących bezpieczeństwa pracy, które tam mają. Potem stary Vetle nie miał litości dla bratniego kraju na wschodzie, taki był z niego Skand.

Karen kręci głową. Oczywiście słyszała opowieści o Vetlem Gråå. Tak jak mówiła jej mama, jego nazwisko słyszało się jeszcze długo po jego śmierci. Ale nigdy nie interesowało jej, do kogo należy który kawałek ziemi i kto kogo okantował w niekończącym się łańcuchu dziedziczenia, sprzedawania z konieczności i zamian, o których słyszała, kiedy jej rodzice rozmawiali w domu przy kuchennym stole. Ale wszyscy we wsi, starzy i młodzi, wiedzieli, że posiadłości starego Gråå w Langevik były rozległe.

– Więc mama Susanne była wnuczką Gråå – mówi zamyślona. – A mimo to mówicie, że poza domem nie zostało nic, co Susanne mogłaby odziedziczyć?

– Jedyne, co się ostało z majątku Gråå, to działka koło starego domu, w którym mieszkała Susanne. Lindgrenowie przeprowadzili się tam po rozpadzie komuny, sprzedali wtedy gospodarstwo w Lothorp i okoliczną ziemię. A to, co pozostało: parcele w Kvattle i lasy, Per Lindgren sprzedawał kawałek po kawałku przez lata, więc gdy wyciągnął kopyta, nie został nawet skrawek trawnika.

– Ta komuna... – zaczyna zamyślona Karen – właściwie jak była duża? Ilu ich tam mieszkało, o to mi chodzi.

– Taa, mnie tam nie było i nie liczyłem – mówi Egil Jenssen. – Byli tam oczywiście Lindgrenowie i jeszcze jedna rodzina ze Szwecji. I jeszcze jakaś Dunka, tak mi się wydaje. Moja stara chyba kilka razy z nią gadała i mówiła, że zdawała się nawet rozgarnięta. Lepsza od tych pozostałych, tak mówiła.

– Wydaje mi się, że był też ktoś z Anglii albo z Irlandii, w każdym razie często rozmawiali ze sobą po angielsku, słyszało się, jak zjawiali się we wsi. Nie, nie wiem dokładnie, ale może było ośmioro, dziewięcioro dorosłych, no i do tego, rzecz jasna, dzieciaki. Ale żadnych nazwisk nie pamiętam...

Odd Marklund odwraca się z pytającą miną do kompanów od piwa. Obaj kręcą głowami.

– Z tej drugiej Szwedki była w każdym razie cholernie ładna babeczka – mówi Jaap Kloes. – Często siedzieliśmy w porcie w Kotwicy i fantazjowaliśmy, co się tam działo, kiedy gasło światło. Było się ciekawym tego, co gadano o Szwedach i wolnej miłości, no wiecie.

– Mów o sobie, ja nie miałem czasu latać dookoła Lothorp i węszyć wieczorami – protestuje Arild Rasmussen i znika w kuchni z plastikową skrzynką wypełnioną pustymi butelkami po piwie.

Karen przygląda się steranym życiem mężczyznom. To, o czym opowiadają, wydarzyło się prawie czterdzieści lat temu – musieli być po trzydziestce, kiedy Lindgrenowie i inni członkowie komuny tutaj przyjechali. Prawdopodobnie byli rówieśnikami, ale pochodzili z odmiennych światów. Trzydziestoletniemu mężczyźnie z plecami i stawami noszącymi już wyraźne świadectwo piętnastu lat spędzonych na zawodowym połowie ryb na Morzu Północnym ktoś gotowy porzucić wygodne życie, żeby uprawiać warzywa na smaganej wiatrami wyspie pośrodku morza, musiał wydawać się kompletnie obłąkany. Dla kogoś, kto przeżył dzieciństwo z kuchnią na opał i przy lampie naftowej, życie bez nowoczesnych udogodnień nie miało romantycznego blasku. Ni w pięć, ni w dziewięć było dla nich dobrowolne pozbawianie się tego, co inni z takim trudem starali się osiągnąć. W tamtym okresie samochody z pudłami przeprowadzkowymi jechały w przeciwnym kierunku, żaden zdrowy na umyśle człowiek nie zamieniłby przecież nowoczesnej Szwecji na Doggerland.

Karen bardzo dobrze może sobie wyobrazić te wszystkie fantazje na temat członków komuny, delikatnie mówiąc, te młode kobiety musiały wydawać się egzotyczne w porównaniu z przedwcześnie starzejącymi się żonami rybaków w Langevik. Prawdopodobnie kobiety z wioski też nie były wcale zachwycone widokiem ubranej w batik i wyzwolonej ze staników wolności. Jednak nawet śliniący się w Kotwicy mężczyźni nie przygarnęli przybyszów do swojej wiejskiej wspólnoty. Chociaż ciekawi, zdawali się obserwować członków komuny z mieszanymi uczuciami: cieszyli się z ich niepowodzeń i zazdrościli im. Ale mimo tego oporu Per i Anne-Marie tu zostali. Co ich skłoniło, żeby to znosić?

A teraz ta niewielka rodzina odeszła i wygląda na to, że nikt ich nie opłakuje, spostrzega Karen z nieprzyjemnym uczuciem. Nikt nie ma do powiedzenia ani jednego dobrego słowa nawet o Susanne, która

wychowywała się przecież w Langevik. Jakie właściwie było jej dorastanie we wsi?

– Czy coś wiadomo, jak działała ta komuna? Ciągnęli to w końcu przecież ponad rok, mieszkali blisko siebie i wszystkim się dzielili, jak mówicie. Nie krążyły żadne plotki o waśniach albo kłótniach?

Kloes wzrusza ramionami, jakby stracił zainteresowanie tematem.

– Taaa, przecież się wyprowadzili, najwyraźniej nawet dla nich musiało tam być za dużo tej wolnej miłości i ekologicznych bzdur – mówi Jensen.

– Tak, ja też z nikim bym się nie chciał dzielić żoną. Nawet jeśli ktoś by ją chciał – dodaje i parska śmiechem, który już sekundę później przechodzi w grzmiący atak kaszlu.

Odd Marklund odstawia kufel i napotyka wzrok Karen.

– Było wtedy wielu, którzy chcieli spróbować żyć inaczej; niektórzy szukali czegoś nowego, a inni zapewne pragnęli od czegoś uciec. Przez lata wielu przeprowadzało się tutaj i stąd się wyprowadzało, czyż nie, Karen?

On wie, myśli Karen i patrzy na swoją dłoń, która mocno trzyma blat, widzi wilgotny ślad na ciemnym drewnie.

– Co jest, moja mała?

Odd Marklund przygląda się jej z zaniepokojoną miną. Karen posyła mu uspokajający uśmiech.

– Tylko zakręciło mi się w głowie. Nie jadłam nic od lunchu, więc chyba najwyższa pora jechać do domu. – Odwraca się do wychodzącego właśnie z kuchni Arilda Rasmussena. – Jeszcze tylko ostatnie pytanie. Wspominałeś coś o tym, że Susanne nie była już właścicielką ziemi przylegającej do jej działki, tej, na której stoi wiatrak. A mimo to toczyła boje z przedsiębiorstwem energetycznym?

– Tak, tak właśnie było. Nie wiedziała, że teren został sprzedany, sądziła, że nadal do niej należy. Aż do czasu, gdy geodeci i inżynierowie pojawili się bez uprzedzenia na ziemi, do której jak sądziła, miała prawo. Było to zaraz po rozwodzie i przeprowadzce tutaj, więc pewnie nie zdążyła się jeszcze we wszystkim zorientować. Wkrótce potem zmarł jej ojciec i dopiero wtedy dowiedziała się, że wszystko jest już dawno sprzedane.

– Nie ma się więc co dziwić, że czuła się oszukana – stwierdza Karen. – To, co uznawała za swoje, było już sprzedane i teraz miało znów zostać sprzedane, a ona miała dostać po sąsiedzku czterdzieści dwa wiatraki.

– Nic podobnego – przerywa jej Arild Rasmussen. – Właściciel gruntu nigdy go nie sprzedał. Temu cwanemu skurczybykowi udało się wynegocjować umowę najmu z Pegasusem. Na pięćdziesiąt lat, z podziałem zysku i całą resztą. Ktoś się pytał, jak to jest zjeść ciastko i mieć ciastko. Któż to wie, jak mu się to udało.

Głos Rasmussena świadczy o jednoczesnej wzdardzie i podziwie. Ją ogarnia przede wszystkim żal z powodu nieszczęścia Susanne Smeed.

– Nie da się zaprzeczyć, że brzmi to jak świetny interes – mówi krótko Karen. – A kto był takim „cwanym skurczybykiem”, to też może wiecie?

– Chłopak Axela Smeeda, Jounas, rzecz jasna, a kto inny?

– Poczekaj, pomogę ci!

– Nie trzeba, mocno trzymam, ale bądź tak łaskaw i otwórz drzwi.

Cornelis Loots robi to, o co go prosiła, i zważym krokiem idzie z windy do drzwi z matowego szkła, które prowadzą do wydziału kryminalnego. Z poczuciem, że nie jest tu do niczego potrzebny, patrzy, jak czerwona na twarzy komisarz Karen Eiken Hornby bokiem wchodzi do środka, stękając pod ciężarem ogromnego pudła, które taszczy.

– No żeż kurna – mamrocze, kiedy duża torebka zsuwa się jej z ramienia.

Cornelis Loots czuje się jak idiota, nie mogąc wpaść na lepszy pomysł, jak tylko unieść jej torbę i iść obok swojej szefowej, kiedy ta odchyłona do tyłu, szeroko stawiając nogi, dźwiga ciężki pakunek. Kiedy skręca w stronę kuchni, Cornelis nie wytrzymuje dłużej. Wspólnymi siłami stawiają tę kobyłę na podłodze bez jakichkolwiek niepokojących dźwięków. Karen posyła mu uśmiech wdzięczności i rozmasowuje sobie obolałe dłonie.

– Ale miałam szczęście, że cię spotkałam, sama nie otworzyłabym tych drzwi. Tak przy okazji, lubisz majsterkować? Możesz mi pomóc to podłączyć, zanim zjawią się inni?

Wykonuje zamaszysty ruch ręką w stronę pudła i Cornelis dopiero teraz dostrzega, co przedstawia zdjęcie na gładkiej powierzchni.

– Och, cholera, co za olbrzym – mówi. – Ile taki kosztuje?

Karen wzrusza ramionami.

– Nie chcesz wiedzieć. Ale szef wyrażał się jasno, że dostaniemy wszelkie potrzebne zasoby.

– Nie sądzisz, że chodziło mu o zasoby personalne...

– W mojej profesjonalnej ocenie nie możemy dalej prowadzić śledztwa z tą przeklętą lurą jako jedynym paliwem.

Karen macha pogardliwie ręką w stronę brązowego ekspresu do kawy na blacie koło zlewozmywaka. Ktoś postawił nieumyty szklany dzbanek na płycie podgrzewającej i kwaśny odór wczorajszej kawy utrzymuje się niby dobrze znany bukiet zapachów w małym aneksie kuchennym.

Dwadzieścia minut później Cornelis Loots odkłada śrubokręt na blat ze zlewem i opuszcza rękawy koszuli. Przyglądają się swojemu wspólnemu dziełu. Karen z równą mieszanką szacunku i zdziwienia obserwowała, jak podłączał maszynę do prądu i wody. Teraz nie będzie musiała już dzwonić po strażnika Kofsa i wysłuchiwać jego marudzenia, że to z pewnością nie należy do jego obowiązków służbowych. Robi krok w przód, wyciera odcisk kciuka z lśniącej chromowanej obudowy, naciska palcem wygięte ramię dyszy spieniającej mleko i trochę ją przekręca. W księgowości będzie duży popłoch, myśli.

– Czy do czegoś takiego nie potrzeba specjalnej kawy?

Trzydzieści dni na opłacenie faktury... Może Smeed wróci do tego czasu. Przegania tę myśl i szeroko uśmiecha się do Cornelisa. Potem wyciąga dwie półkilowe torebki niemielonych ziaren kawy z torby i rzuca je na stół.

– Włącz tego potwora, a ja skoczę na moment na drugą stronę ulicy. Mam zaplanowane krótkie spotkanie z Vegen i Haugenem – rzuca okiem na zegarek na swojej ręce – które rozpoczęło się dwie minuty temu.

– Ale w takim razie możemy chyba wykluczyć Smeeda z grona podejrzanych; nie widzę najmniejszego powodu, żeby nie mógł już wrócić do służby. – Viggo Haugen opanowuje szybko nieznaczne drżenie głosu i koniec zdania zahacza o niskie tony z klatki piersiowej. Zebrali się w biurze prokurator i siedzą teraz na kilku fotelach zgrupowanych w jednym końcu pomieszczenia.

Karen wzdycha bezgłośnie i błyskawicznie wymienia spojrzenia z Dineke Vegem. Vegem jest dobra. Drgnienie jej kącika ust wskazuje, że doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że nie jest to aż takie proste, jak chciałby to widzieć naczelnik, ale uniesione brwi zdradzają, że zamierza pozwolić komisarz Eiken stoczyć tę batalię. Do tej pory nie dostrzegła też powodu, żeby samej przejąć śledztwo.

– Rozumiem, co masz na myśli – mówi Karen, patrząc Haugenowi prosto w lodowo niebieskie oczy. – Oczywiście byłoby świetnie, gdybyśmy mogli już teraz wykluczyć Jounasa, ale nadal pozostaje kilka znaków zapytania, które najpierw trzeba wyjaśnić.

Viggo Haugen otwiera usta z zamiarem przerwania jej, ale znów je zamyka, kiedy Karen mówi dalej z dopiero co odkrytym w sobie przekonaniem:

– Mnie również, podobnie jak i tobie, bardzo trudno uwierzyć, że to Jounas ponosi winę za zamordowanie Susanne, ale to za mało. Nadal brakuje mu formalnego alibi na czas popełnienia zbrodni, a co gorsza, jest kilka okoliczności, które da się zinterpretować na jego niekorzyść. Niedawno odwiedzał dom Susanne, zgodnie z tym, co sam twierdzi, sześć dni przed morderstwem, a ich stosunki można, delikatnie mówiąc, opisać jako skomplikowane.

– Ależ Boże, przecież to nas już do niczego więcej nie zaprowadzi. Jeśliby każdego, kto ma „skomplikowane” stosunki z byłą żoną, automatycznie uznawać za podejrzanego...

Viggo Haugen wykonuje palcami w powietrzu znak cudzysłowu, a później rozkłada ręce.

– Karen ma rację. – Głos Dineke Vegem przerywa to małe przedstawienie.

Haugen milknie ze zmarszczką zdziwienia między oczami.

– Kiedy postępowanie przygotowawcze zostanie upublicznione – ciągnie prokurator – możesz być pewien, że wszyscy dziennikarze w tym kraju poddadzą je wnikliwej analizie. Nie może się tam znaleźć nic, co by choć sugerowało, że stanowisko Jounasa miało jakiś wpływ na śledztwo. Niestety, musimy być ostrożniejsi niż zazwyczaj i gruntownie sprawdzić wszystko, co później może zostać wyciągnięte przeciwko Jounasowi Smeedowi.

Viggo Haugen odchrząkuje i intensywnie myśli. W przeciwieństwie do Karen Dineke Vegen promienieje. Tego typu kobiecy autorytet Haugen naprawdę szanuje. Więcej nauki i elegancji, a mniej... zrzedliwego babska. Naczelnik policji odwraca się do prokurator z uśmiechem.

– Oczywiście nie miałem na myśli tego, żebyśmy...

– To także dla dobra samego Jounasa – wcina się Karen. – Jeśli nie zostanie oczyszczony ze wszystkich podejrzeń, będzie czekało go tu małe piekło, kiedy wróci. A możesz mi wierzyć, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby go oczyścić – dodaje.

Viggo Haugen ripostuje błyskawicznie, zerkając przy tym na Dineke Vegen:

– Jest jeszcze inna możliwość: żebyś znalazła wreszcie tego, kto naprawdę jest winny. To byłoby chyba najlepsze dla Jounasa.

– Właśnie to miałam na myśli – mamrocze pod nosem Karen. – Tylko nieprecyzyjnie się wyraziłam.

– Tak, i to raczej nie pierwszy raz. No dobrze, przyjmuję wasz punkt widzenia, po spotkaniu od razu poinformuję Jounasa.

Dineke Vegen jeszcze raz podnosi starannie wyregulowane brwi.

– Oczywiście tylko o tym, że nadal jest wyłączony ze służby. Nic więcej. Tak, a zatem postanowione – zapewnia i wstaje.

Karen znów rzuca okiem na Dineke Vegen i widzi, jak przez jej twarz przemyka lekki uśmiech.

Langevik, maj 1970 roku

– Nigdy bym nawet nie pomyślała, że przyjdzie nam mieszkać w wiosce z taką hołotą. Biedny stary Gråå przewraca się w grobie, widząc, co oni tam wyprawiają w jego gospodarstwie.

Mówiąc to, ekspedientka w sklepie żelaznym wbija na kasę zdecydowanymi, prawie wściekłymi stuknięciami w klawisze cenę dwóch tuzinów śrub i spogląda na klienta, szukając poparcia.

Anne-Marie Lindgren stoi w przejściu między półkami, gdzie puszek z farbą tłoczą się z olejami do drewna i terpentyną. Zamarła w pół ruchu, pochylając się po pędzle malarskie, i stoi teraz zgarbiona, jakby okryta wstydem.

Czy wiedzą, że tutaj stoi? Czy celowo miała to usłyszeć, czy nie zauważyli, kiedy weszła? Palą ją policzki, ich słowa są jak uderzenia w twarz.

Teraz słyszy mamrotanie klienta w odpowiedzi, a sekundę później podniesiony głos ekspedientki znów przeszywa lokal:

– Widział pan ich? Ubierają się jak ćpuni, wszyscy bez wyjątku, długie suknie i długie włosy. Razem osiemdziesiąt szylingów. I jeszcze mają małe dzieci, kilka sztuk. Bóg jeden wie, jak się nimi zajmują. Pójdą do szkoły we wsi, kiedy nadejdzie pora? Będą się bawić z naszymi dziećmi? Nie, tacy jak oni po prostu nie powinni mieć dzieci. Tak, wiem, że brzmi to okrutnie...

Najwyraźniej mężczyzna kupujący dwa tuziny śrub coś mówi, bo chwilę później podniesiony głos ekspedientki obniża się nieco.

– Tak, Arthur mówi to samo – wzdycha. – Góra pół roku – mówi i dodaje: – Dwadzieścia szylingów reszty i paragon, dziękuję. Wiosną i latem to co innego, ale kiedy zaczną się jesienne sztormy, dadzą za wygraną i wrócą z powrotem do domów, zapamiętajcie moje słowa. Tak, tak mówi Arthur, ale ja sama nie wiem.

Znów mamrotanie klienta, a później głos ekspedientki:

– Ach tak, tak pan mówi? No cóż, pozostaje nam na to liczyć. Dziękuję i zapraszam ponownie!

Bez słowa Anne-Marie prostuje się, odwraca się i szybkim krokiem wychodzi ze sklepu. Czuje na plecach ich spojrzenia, kiedy dzwonek przy drzwiach oznajmia otwarcie drzwi. Z pewnością pomyślała, że coś ukradła, przechodzi jej przez głowę. Dołożą kolejne oskarżenia do tej długiej listy. A w końcu wygrają. Nie będziemy mogli już dłużej tu mieszkać; nie damy rady.

Po truchcie do domu, świadoma krytycznych spojrzeń wszystkich mijanych ludzi, wpada bez tchu do środka, mruga oczami, żeby łzy przestały ją palić. Nie chce nic mówić, nie chce, żeby machnęli na to wszystko ręką i powiedzieli, że jest zbyt wrażliwa, że nie powinna się przejmować tym, co myślą inni. Nie chce ich niepokoić, oni zawsze się o nią tak niepokoją.

Przy stole kuchennym siedzi Per z Janet i Theo, a Disa stoi przy kuchni i w dużym garze farbuje prześcieradło. Podnosi kawałek materiału drewnianą łyżką i ogląda żółty kolor. Woń fasoli, cebuli i przypraw unosi się z drugiego garnka wraz z parą i skrapla na kuchennym oknie. Brandon siedzi na kuchennej sofie, jak zawsze z gitarą opartą o pierś, a Mette usiłuje mu pomóc ciągnąć za struny. Ingela schodzi właśnie po schodach z Orianem na rękach.

– Pać – woła chłopiec, ściskając w rączce długi sznurek z nawleczonymi dzwoniącymi muszelkami, który ma na szyi. – Mam nasijnik!

Nikt nie słyszał, jak Anne-Marie weszła do domu, mimo to Per odwraca się instynktownie, jakby wyczuł jej obecność. Jego uśmiech przemienia się w niepokój, gdy widzi jej zaczerwienione policzki i szklące się oczy. Chwilę później wszyscy na nią patrzą. Niepokoją się, prowadzą do stołu, odsuwają krzesło, stawiają przed nią kubek i nalewają jej herbaty z miodem. A ona zapewnia ich, że tchu brakuje jej z powodu wspinaczki, droga prowadząca ze wsi jest przecież stroma, czuje się tylko niesamowicie zmęczona, może dopadło ją to samo przeziębienie, które część dzieciaków miała w zeszłym tygodniu. I nagle zwraca uwagę na to, że Per patrzy na nią, a jego oczy nie są w stanie ukryć nadziei.

Nie, nic im nie mówi. Nic o tym, co przez przypadek słyszała, kiedy zeszła na dół do wsi, żeby kupić pędzle i pomalować framugi okien. I nic o nagłym przeczuciu, że ta idylla, która teraz panuje w gospodarstwie

Lothorp, niedługo się skończy. Niebezpieczeństwo wydaje się oczywiste, jego oddech czuć na plecach, jakby pierwszy podmuch wiatru dostał się do domu i ostrzegał przed nadchodzącymi sztormami. Nie może dostrzec, skąd zawieje, nie wie, jak jest blisko. Wie tylko, że będzie to dużo gorsze niż ordynarna baba ze sklepu żelaznego.

W momencie gdy kładzie rękę na klamce, dopadają ją wątpliwości. Czy to był na pewno dobry pomysł? Może uznają, że próbuje się im podlizać, zaskarbić sobie ich sympatię, przekupić cholernym ekspresem do kawy.

Zamiast po prostu wejść do środka, Karen stoi kilka sekund na klatce schodowej, a myśli krążą jej po głowie. Może mają rację. Czy nie chodzi tu właśnie o rodzaj łapówki? Desperacką próbę zdobycia poparcia w grupie?

Nie ma przynajmniej Evalda Johannisena, przypomina sobie i prostuje plecy. Sama myśl o jego uszczypliwych komentarzach, którymi z pewnością by ją uraczył, powoduje tak nieprzyjemne uczucie, że Karen aż się krzywi. Może inni przyznaliby mu rację.

– Do diabła – mówi tak głośno, że echo niesie się po schodach.

Do tego trzeba jeszcze za tę kobyłę zapłacić. Za trzydzieści dni będzie tu więcej skwaszonych min. Dwadzieścia dziewięć, poprawia samą siebie i naciska klamkę.

Zapach kawy dolatuje do niej, gdy tylko przekroczy próg.

W głębi korytarza w wydziale kryminalnym drzwi do sali konferencyjnej są uchylone i Karen słyszy słaby gwar dobiegających stamtąd rozmów. Szybko idzie przez pusty open spejs do swojego biurka i z górnej szuflady wyciąga teczkę. Następnie rusza dalej zdecydowanym i nieco nerwowym krokiem w stronę sali konferencyjnej i zamyka za sobą drzwi.

Niewdzięczni dranie, myśli.

Chwilę później opada na swoje miejsce z rozpalonymi policzkami, spontaniczny aplauz przycicha, a talerz z drożdżówkami podjeżdża w jej stronę.

– Cholernie dobra inicjatywa, Eiken – mówi Karl. – Ale jak sądzę, dostaniesz za to po dupie.

– Nie ma co się martwić na zapas – odpowiada Karen i uśmiecha się krzywo, wbijając zęby w jedną z gigantycznych bułeczek cynamonowych.

– Zaczynamy? – mówi po chwili i zlizuje kilka kryształków perlistego cukru z palca.

Szybko streszcza to, czego dowiedziała się od starców w Zającu i Wronie, i kończy słowami:

– A więc Susanne Smeed miała na pieńku z wieloma i mało kto w okolicy uważał ją za dobrego ducha, tyle chyba możemy stwierdzić. Przełożeni i koledzy z pracy mówią zresztą to samo.

– I córka – dopowiada Karl Björken. – Jounas chyba też nie miał o niej dużo dobrego do powiedzenia.

– Tak, to prawda. Delikatnie rzecz ujmując, jak do tej pory nikt się pozytywnie o niej nie wypowiadał. Pytanie tylko, czy udało się jej zaleźć komuś za skórę do tego stopnia, że odebrał jej życie. Czy mogła, ot tak, posunąć się do szantażu? Wiemy, że była obraźliwa i nieprzyjemna, ale czy była typem osoby, która zbiera na innych haki? Ktoś coś?

Wszyscy siedzą cicho i wyglądają na zamyślonych.

– Raczej nieprzejednana – mówi Astrid Nielsen. – Przynajmniej z tego, co mówiła jej przełożona i tych kilkoro kolegów z pracy, z którymi udało mi się skontaktować z Johannisenem. Susanne Smeed była typem osoby, która dostrzega błędy innych i chętnie je komentuje. Miała też trochę z plotkary.

– Cornelis i Astrid, pojedziecie dzisiaj jeszcze raz do Solgården i spróbujecie dowiedzieć się tam jak najwięcej. Ja z kolei spotkam się z Wenche Hellevik. To siostra Jounasa i jedna z niewielu przyjaciółek, które jak się wydaje, miała Susanne – dodaje Karen, gdy podnosi wzrok i napotyka pytające spojrzenia. – To pozwoli nam może uzyskać bardziej zniuansowany obraz Susanne. Ale chciałabym wziąć kogoś ze sobą. Karl, masz czas? – Karl kiwa głową i Karen znów zwraca się do Cornelisa Lootsa: – Coś ciekawego od techników albo o innych sprawach, którymi się zajmujesz?

– Dziś rano rozmawiałem z Larsenem. DNA i odciski są właśnie badane. Zapewne dostaniemy je w ciągu dnia. To znaczy poza tymi odciskami, które już zostały zidentyfikowane jako odciski Jounasa Smeeda – dodaje z zatroskaną miną. – No i dalej czekamy na informacje z banku Susanne i o pasażerach.

– A właśnie, przy okazji: jak z tym idzie? Daleko doszliście?

– Rozesłaliśmy zapytania dotyczące wszystkich pasażerów. Mowa tu o wszystkich państwach skandynawskich, Stanach Zjednoczonych, Holandii i Włoszech. No i Niemczech; okazało się, że jeden z Duńczyków ma niemieckie obywatelstwo – mówi Cornelis Loots, czytając z kartek.

– I...?

– Do tej pory nie spłynęły żadne raporty o poważniejszych przestępstwach, a mówiąc to, mam na myśli kary więzienia powyżej roku. I chociaż wymiar kar różni się w poszczególnych krajach, to jeśli włączy się w to wszystkie osoby, które kiedykolwiek zostały skazane na jakąkolwiek formę pozbawienia wolności, znajdziemy dwa takie przypadki. Są to... – Cornelis kartkuje swoje papiery – ...szwedzki przedsiębiorca Erik Björnlund, który siedział osiemnaście miesięcy za wykorzystywanie informacji objętych tajemnicą służbową, i Amerykanin Brett Close, który przesiedział sześć miesięcy, ale za nieumyślne spowodowanie śmierci. Jednak kiedy sprawdziliśmy to trochę dokładniej, okazało się, że chodzi o jazdę pod wpływem alkoholu, w wyniku czego zmarła trzyletnia dziewczynka. Tak czy inaczej, Brett Close ma dzisiaj siedemdziesiąt dwa lata, a do wspomnianego zdarzenia doszło w połowie lat siedemdziesiątych. Od tamtej pory prowadzi się bez zarzutu, a zdaniem szefa ochrony z promu mężczyzna jest głęboko religijny, podobnie jak jego żona. Kościół episkopalny, tak chyba powiedział.

– Hmm, widzieliśmy już bogobożnych facetów, którzy popełniają najcięższe przestępstwa – mówi rzeczowo Karen. – Nie zapominajcie o pastorze z Noorö, który zabił żonę i czwórkę dzieci, żeby uchronić ich przed dalszym grzeszeniem. Ale rozumiem, co chcesz powiedzieć, Brett Close nie wydaje się strzałem w dziesiątkę. Coś jeszcze?

– Nie, to tyle, co na razie udało nam się znaleźć, ale nie wszystkich zdążyliśmy przejrzeć, a od Włochów nie przyszła jeszcze żadna odpowiedź. Zadzwońię do nich zaraz po spotkaniu.

Karen wzdycha. Nadzieja na to, że dojdą do czegoś przydatnego za pośrednictwem armatora promu, od samego początku była niewielka, a teraz rozwiąła się jeszcze bardziej. Kiedy Loots i Nielsen dostaną informacje ze wszystkich krajów, będą mogli najpewniej odpuścić i skupić się na czymś innym.

Pytanie tylko na czym. Pierwsze dwadzieścia cztery godziny śledztwa są zwykle krytyczne; statystycznie możliwość wyjaśnienia przestępstwa obniża się drastycznie z każdą mijającą godziną. Według policyjnych statystyk osiemdziesiąt procent poważnych przestępstw, w których wyniku ginie człowiek, zostaje wyjaśnionych w ciągu trzech dni.

Jednak bez względu na to, czy w przypadku Susanne Smeed chodzi o zaplanowane morderstwo, czy o zabójstwo w afekcie, szansa, że to

śledztwo będzie zaliczało się do tych osiemdziesięciu procent, wygląda coraz marniej. Po zakończonej rundce, która nie wniosła nic istotnego, i po chwili czystych spekulacji o prawdopodobnym przebiegu zdarzeń i możliwym motywie oraz po rozdeleniu zadań Karen kończy naradę, ale prosi Karla Björkena, żeby został. Wyjaśnia mu, że ma do załatwienia sprawę przed południem, i umawiają się o pierwszej na parkingu.

Dwadzieścia minut później przechodzi przez rozsuwane drzwi hotelu Strand.

Karen patrzy na młodego recepcjonistę i wzdycha w duchu. Truls Isaksen jest zupełnie zwyczajnym dwudziestopięcioletkiem. Patrzy na nią, a na twarzy malują mu się wymuszona uprzejmość i głęboko odczuwane poczucie wyższości, typowe dla osób z jego grupy wiekowej, które pracują w usługach. Ciemne włosy są schludnie zebrane w dyskretny koński ogon, a pionowy rząd małych dziurek w płatkach uszu zdradza, że zazwyczaj znajduje się tam jakaś forma biżuterii, kiedy akurat nie jest w pracy.

Karen przedstawia się i mówi, w jakiej sprawie przyszła, zaraz potem uśmiezek na twarzy chłopaka gaśnie, a jego podniesione brwi opadają do bardziej wyluzowanego poziomu. W pracy najwyraźniej wymagają pewnego stopnia uprzejmości w stosunku do gości hotelowych, ale nikt nic nie mówił o tym, że ma włączyć w tyłek psom.

Siadają w kuchni na zapleczu recepcji i Truls – po tym jak sam nalał sobie kawy – pyta, czy ona też się napije. Nie chce. Recepcjonista zabiera się do opróżnienia do połowy opakowania czekoladowych ciastek i wyciąga paczkę papierosów, którą niecierpliwie obraca w palcach. Najwyraźniej wychodzi z założenia, że szybko odbębnią tę rozmowę, dzięki czemu będzie mógł wyjść na niewielkie tylne podwórze i zasłużyć się zaciągnąć. Karen zastanawia się, czy zaproponować, że z nim pójdzie i przeprowadzą tę rozmowę na zewnątrz. I być może tak by zrobiła, gdyby miała lepszy humor albo gdyby Truls Isaksen był sympatyczniejszy. Zamiast tego udaje, że nie zauważyła paczki papierosów, którą położył przed sobą na stole, gdy przeszedł do zabawy małą czerwoną plastikową zapalniczką, którą zapala i gasi bardzo mocno skoncentrowany.

Zaczynają rozmowę. Karen zadaje pytania, nie dając się sprowokować ani zdenerwować, a Truls Isaksen odpowiada coraz krócej i z coraz mniejszym zainteresowaniem. Karen czuje, jak z każdym „no przecież”, które wciska do swojej odpowiedzi, dodatkowo psuje się jej nastrój.

Nie, nie ma pojęcia, kiedy gość z pokoju pięćset siedem wymeldował się w niedzielę rano; no przecież pokój był opłacony z góry i no przecież gość mógł w dowolnej chwili położyć klucze na ladzie recepcji. No

przecież w hotelu nie mają zwyczaju szpiegować gości. Nie, no przecież nie przesiaduje całej zmiany co do sekundy w jednym miejscu; ma no przecież prawo coś zjeść albo iść do toalety. Tak, ma nawet prawo zrobić sobie krótką przerwę na papierosa, kiedy w recepcji panuje spokój. Poza tym no przecież jest dzwonek i można zadzwonić, jak ktoś potrzebuje pomocy. I tak, to on musiał meldować gości do pokoju pięćset siedem, no bo przecież nikogo innego nie było w pracy o wpół do dwunastej w nocy. Nie, osoba, którą meldował, nie zapadła mu w pamięć. Nie, nie ma w tym nic szczególnie dziwnego, akurat w nocy, gdy obchodzona jest Oistra, takie spontaniczne wynajmowanie pokoju jest dość częste; w sobotę w nocy pojawiło się bez uprzedzenia prawdopodobnie sześciu gości. No i przecież wiadomo, co ich tu sprowadziło.

– Napaleni faceci z jakąś laską, która czai się trochę dalej, żeby nie było jej widać – mówi Truls Isaksen z miną wyrażającą zblazowane doświadczenie. – Ogólnie dzieje się tak też w zwykłe weekendy, ale najgorzej jest w Oistrę, masa pijanych ludzi w średnim wieku, których rozpiera chcica.

W głębi duszy aż ją skręca nieprzyjemne uczucie wywołane trafnym opisem młodego mężczyzny. Na zewnątrz jednak wyraz jej twarzy nie zdradza, o czym myśli. Zachowywanie maski jest konieczne i wyćwiczyła tę zdolność w trakcie wielu przesłuchań. Mimo to kolejne słowa Trulsa Isaksena sprawiają, że się wzdryga.

– A tak w ogóle to pani przypadkiem tu nie było? Mam wrażenie, że skądś panią znam.

Po jego nagłym olśnieniu Karen przygląda się podejrzliwie młodemu recepcjoniście. Jak to możliwe, żeby chłopak, który nic nie widział, nic nie słyszał i nie pamięta ani gości, ani godziny, i który prawdopodobnie przespał pół zmiany, miałby rozpoznać akurat ją? On teraz też zaczyna się jej przyglądać, z równie nieoczekiwanym co niemile widzianym zainteresowaniem.

– Czy to nie pani wymknęła się stąd tak cholernie wcześnie rano w niedzielę? O jakiejś siódmej? Właśnie wróciłem z kibla i widziałem, jak czmycha pani przez drzwi...

Karen przygląda mu się z uniesionymi brwiami, co on być może odczyta jako zdziwienie albo niezadowolenie z tego, że może być tak głupi i mylić policjantów z gośćmi hotelowymi. Albo ma to po prostu gdzieś. W każdym razie chwilowe zainteresowanie w spojrzeniu Trulsa

Isaksena gaśnie i odchyła się on z głębokim westchnięciem, jakby nagłe wspomnienie odebrało mu wszystkie siły. Pod wpływem jego dalszej wypowiedzi ogarnia ją fala ulgi.

– Taa, to musiał być ktoś inny. Właściwie wyglądała raczej na nierozgarniętą, nawaloną babę niż na policjantkę. Chociaż w pewien sposób była do pani trochę podobna. Tak bez urazy.

Karen chrząka i uśmiecha się sztywno.

– Jeszcze tylko jedno pytanie i będzie mógł pan zapalić – mówi i kiwa głową w stronę paczki papierosów. – Nie ma żadnego sposobu, żeby dokładnie ustalić, kiedy goście opuszczają hotel, jeśli pokój został z góry opłacony? Nikt w recepcji nie rejestruje od razu, kiedy ktoś zwraca kartę? Nie ma tu kamer?

– Tylko na parkingu. Jeśli ten koleś miał samochód...

Truls Isaksen wygląda tak, jakby pożałował swoich słów już w chwili, kiedy je wymówił. Czy teraz będzie zmuszony pokazać, gdzie są przechowywane taśmy z monitoringu? No nie, niech to szlag. Niech szef się tym zajmie.

– Niestety nie miał – mówi Karen. – Przynajmniej nie tutaj w hotelu.

Podnosi się i wyciąga rękę.

– Hmm, w każdym razie dziękuję za poświęcony mi czas.

Truls Isaksen podaje jej rękę, a drugą wyciąga upragnionego papierosa. Później odwraca się i szybkim krokiem wychodzi z kuchni, idzie korytarzem, który – jak się zdaje – prowadzi do drzwi na podwórze. Najwyraźniej nie przyszło mu do głowy, żeby odprowadzić ją do wyjścia. Karen patrzy za nim. Drzwi na dwór są otwarte i Karen dostrzega kobietę, która stoi na wyłożonym kostką małym placu i pali papierosa. Najwidoczniej marznie w cienkim jasnoniebieskim fartuchu sprzątaczk i sandałach ortopedycznych; wygląda to tak, jakby starała sama się objąć, żeby tylko nie dopuścić do siebie zimna. Później drzwi się zamykają i Karen odwraca się, chcąc ruszyć w przeciwną stronę, do hotelowego lobby. Sekundę później słyszy głos Trulsa Isaksena:

– Hej, halo...

Drzwi na podwórze znowu się otwierają; stoi w progu i z przyjemnością wymalowaną na twarzy wydmuchuje gęsty obłok dymu, machając do Karen, żeby do niego podeszła.

– Przyszło mi do głowy, że Rosita może coś wiedzieć – mówi.

– Rosita?

– Tak, sprzątała tutaj w niedzielę rano.

Potem przesuwa się na bok i kobieta w błękitnym fartuchu znów się jej ukazuje.

Pół godziny później Karen wie już wszystko, co chciała, a nawet więcej. Rosita Alvarez zdała jej szczegółowe sprawozdanie ze swojej codziennej pracy – jak zawsze starannie zapisuje, który pokój jest do sprzątnięcia i czy coś odbiega od normy, na przykład czy ktoś ukradł ręczniki albo czy konieczne jest dodatkowe sprzątnięcie. Karen słucha skoncentrowana, nie popędzając jej.

– Ludzie rzygają – mówi szorstko Rosita. – Łąduje to na podłodze, a oni po sobie nie wycierają. Jeden zarzygał mi kiedyś całą wannę, ale poszłam wtedy do menedżerki i zażądałam dodatkowego czasu. Mamy tylko kwadrans na pokój, jeśli to wyjeżdżający.

– Wyjeżdżający?

– Tak, tacy, którzy się wymeldowują. Mamy też zostających, tych, którzy zostają na więcej niż jedną noc; na te pokoje dostają tylko siedem minut.

Karen nie pyta, czy sprzątnięcie pokoju pięćset siedem wymagało dodatkowego nakładu pracy, nie chce wiedzieć. Słucha jednak z narastającym przerażeniem raportu o dniu pracy hotelowej sprzątaczk. Bez dramatyzowania Rosita Alvarez opowiada o ręcznikach, których kradzież trzeba zgłosić, żeby nie odbiło się to potem na sprzątaczkę, o rzeczywistych, urojonych i zmyślonych kradzieżach, o które zawsze jest podejrzewana w pierwszej kolejności, o różnych typach zaplamionych prześcieradeł, gościach nietrzymających rąk przy sobie, obelgach i stałej presji czasu. Opowiada też o tym, że zazwyczaj zaczyna jak najwcześniej, żeby zdążyć do domu, do męża i trzynastoletniego syna w Moerbecku.

– Zawsze zaczynam od najwyższego piętra i zjeżdżam na dół. Drugi obchód robię w przeciwnym kierunku, a potem trzeci, kiedy sprzątam ostatnie pokoje, znów w drodze na dół. Trzy albo cztery obchody zazwyczaj wystarczają na całą rundę.

– Czemu nie, dziękuję – mówi Karen i bierze papierosa z paczki, którą Rosita podaje jej z zachęcającym skinieniem głową. – A więc koniecznych jest kilka wizyt na jednym piętrze? – Tak, zawsze trafi się ktoś, kto śpi dłużej; część je śniadanie w pokoju, a na niektórych drzwiach wisi tabliczka „Nie przeszkadzać”. Wtedy to można czekać w nieskończoność.

– Może pamięta pani, jak to było w zeszłą niedzielę rano. Muszę się dowiedzieć, kiedy goście wymeldowali się z pokoju pięćset siedem.

– Oczywiście nie pamiętam – mówi Rosita i po raz ostatni zdecydowanie zaciąga się papierosem. – Mamy tutaj pięćdziesiąt pięć pokoi i nie mogę mieć tego wszystkiego w głowie.

Pochyliła się nad drewnianym stolikiem i gasi papierosa o odwróconą do góry dnem glinianą doniczkę, która służy za popielniczkę.

– Ale mogę sprawdzić w księdze – dodaje i uśmiecha się szeroko na widok zawiedzionej miny Karen. – Zapisuję wszystko z dokładną godziną, żebym wiedziała, w których pokojach już skończyłam. Mam już swoje lata – mówi i zaciśniętą pięścią stuka się w czoło. – I jeśli pójdzie pani ze mną, kiedy pani wypali...

– Zachowuje pani wszystkie notatki? – pyta Karen i szybko gasi wypalonego do połowy papierosa, wznosząc po cichu okrzyk „alleluja”.

– Nie w nieskończoność, mniej więcej przez miesiąc – mówi Rosita i przytrzymuje drzwi. – Na wypadek gdyby później były jakieś skargi od gości. Albo ewentualnie ze strony kierownictwa – dodaje z ponurą miną, strząsając kilka płatków popiołu z fartucha.

Gdyby tylko wszyscy byli tacy jak Rosita Alvarez, myśli Karen, zbliżając się kwadrans później do miejsca parkingowego naprzeciwko komendy. Ustaliła z Karlem, że się tu spotkają i pojedą razem do siostry Jounasa, Wenche Hellevik. Karen rzuca okiem na zegarek i stwierdza, że przyjechała siedem minut za wcześnie. Ostrożnie siada na samym brzegu zakurzonej skrzynki na gazety przed trafiką na rogu Kirkegate i Redehusgate i spogląda na wejście do komendy.

Uśmiechając się, wraca myślą do spotkania z niezrównaną sprzątaczką z hotelu Strand, Rositą Alvarez. Tej kobiecie należy się medal, myśli.

Tak, wywieszka „Nie przeszkadzać” wisiała na drzwiach pokoju pięćset siedem, kiedy tamtego ranka kilka minut po dziewiątej Rosita zameldowała się na korytarzu na piątym piętrze. Zamiast tego zajęła się pokojem pięćset jeden i pięćset trzy, z których goście już wyjechali. Pół godziny później, kiedy się z nimi uporała, wywieszka była zdjęta i z jej notatek wynika, że Rosita Alvarez sprzątnęła pokój pięćset siedem między dziewiątą trzydzieści pięć a dziewiątą pięćdziesiąt.

Karen jeszcze raz przechodzi przez godziny. Zdaje się więc, że to, co powiedział Jounas – że opuścił hotel wpół do dziesiątej – może się

zgadzać. Jasne, teoretycznie mógł opuścić hotel tuż po tym, jak Rosita zobaczyła „Nie przeszkadzać” kilka minut po dziewiątej. Zostaje półgodzinna luka, kiedy sprzątała inne pokoje. Według Kneoughta Brodala Susanne umarła najpóźniej o dziesiątej, bardziej prawdopodobne, że przed wpół do dziesiątej. Powiedzmy, że Jounas opuścił hotel tuż po dziewiątej, myśli Karen. Mógłby się więc bez problemu dostać do Langevik przed dziesiątą i zabić Susanne. I zmieściłoby się to w górnej granicy widełek podanych przez Brodala.

Ale najpierw musiałby pójść na parking przy ratuszu i odebrać samochód; dodatkowo minimum pięć minut. Zostaje dobre czterdzieści pięć minut. Taa, jej samej zdarzało się czasem pokonywać ten odcinek w pół godziny, ale wtedy nie przestrzegała ograniczeń prędkości. Jeśli wciskałby pedał gazu do podłogi, mógłby zdążyć, ale dlaczego miałby ryzykować, że wpadnie na jakąś kontrolę? Nie było przecież żadnego powodu, żeby walczyć z czasem.

Cholera, myśli, to nie wystarczy.

Odrywa wzrok od drzwi komendy, odwraca twarz do przyjemnego jesiennego słońca i zamyka oczy. Jest tak blisko, żeby całkowicie wykluczyć swojego szefa z grona podejrzanych. Oszłamiająco blisko, a mimo wszystko to wciąż za mało. Możliwość teoretycznie pozostaje. Minuty, sekundy przemawiają za tym, że miał taką sposobność, ale czy motyw? Co mogłoby być tym czynnikiem zapalnym? Coś mogło się stać tam, wtedy w hotelu, kiedy poszłam, myśli. Telefon, esemes, mejl; coś, co obudziło Jounasa i doprowadziło do tego, że wpadł w szal? Albo ogarnął go lęk.

– Ach, tutaj siedzisz i się opalasz. Twój wóz czy mój?

Karen wzdryga się na głos Karla. Oczywiście, że mój, myśli, ale tłamsi w sobie ten impuls. Siedzenie na fotelu pasażera jest dla niej zawsze mordęgą, ale tego dnia powinna jednak oddać kierownicę Karlowi.

– Możesz jechać – mówi. – Muszę pomyśleć.

Autostrada z Dunkeru do Ravenby przecina po skosie płaski krajobraz Sörlandu. Po drodze trudna do uprawy ziemia przeplata się z lasami liściastymi i rozległymi wrzosowiskami. Kiedy droga skręca na północ, na zachodzie widać horyzont, a mimo to z głębi lądu można odnieść wrażenie, że zachodnia strona wyspy bez ostrzeżenia nieubłaganie stromo opada do morza. Niewielu już daje wiarę legendzie o olbrzymie Frendurze, który w przypiływie szału przeciął Heimö mieczem – wschodnią część oszczędził, ale zachodnią, gdzie żyli w grzechu jego wiarołomna żona i fałszywy brat, pozwolił pochłonąć Atlantykwowi. Jednak tak samo jak w piękny letni dzień Ziemia może wydawać się płaska, a niebo wyglądać jak klosz z niebieskiego szkła, zachodnie wybrzeże Heimö naprawdę wygląda, jakby zostało odrąbane siekierą przez kogoś w piekielnym humorze.

Karl prowadzi szybko, ale pewnie. W godzinę udało się im pokonać sto dziesięć kilometrów autostrady i skręcić w drogę krajową numer 20. Teraz tablice kierują ich już do Helleviksnäs. Znow się zaczyna chmurzyć, myśli Karen i pochyla się, żeby dokładnie obejrzeć szare chmury, które nadciągnęły z zachodu i są nad nimi.

– To przypadek? – pyta Karl, zerkając na GPS. – To znaczy, że mają na nazwisko Hellevik i mieszkają w Helleviksnäs?

– Nie sędzę – mówi Karen. – Wydaje mi się, że mąż Wenche naprawdę wywodzi się z wpływowej rodziny, możliwe, że niegdyś cała wioska do nich należała. Ale nie jest to przecież nic nadzwyczajnego.

– Tutaj może nie, ale na Frisel niemal się to nie zdarza. Nie ma nikogo, kto posiadałby więcej niż własny ogródek. A nawet i to nie.

– Nie, wy, mieszkańcy Frisel, nie słynęliście nigdy z manii wielkości. Z ciężkiej pracy zresztą też nie – dodaje, spoglądając ironicznie na Karla.

Karl prycha z udawanym oburzeniem. Słyszał to już wcześniej; im dalej się mieszka na północy Wysp Doggerlandzkich, tym bardziej ludzie uważają się za pracowitych i uczciwych. Mieszkańców Noorö, mających przeważnie norweskie i szwedzkie korzenie, opisuje się jako niezłomnych, milczących i bogobożnych, podczas gdy ich kuzyni z najbardziej na południe wysuniętej wyspy, gdzie ludność w dużej mierze wywodzi się

z Danii i Holandii, cieszą się opinią trzpiotów, którzy zbyt długo trzymają sieci w morzu. Pomędzy nimi leży Heimö z mieszanką ludności pochodzenia brytyjskiego, skandynawskiego i kontynentalnego. Ludzie przywędrowali tam z różnych stron i z różnych powodów. Prawdą jest zapewne to, że Heimö przed wiekami stanowiło oazę wolności dla wielu, którzy z tej czy innej przyczyny musieli szybko opuścić ojczyznę – choć raczej nie aż do tego stopnia, jak wynikałoby z opowieści. I nawet jeśli odsetek złodziei, morderców i innych przestępców nigdy nie był tak wysoki, jak głoszą klechdy, zdaniem kuzynów z Noorö i Frisel główna wyspa zamieszкана jest przede wszystkim przez oszustów, posiadaczy ziemskich, armatorów i innych, którzy wiedzą, jak żyć na cudzy koszt. Najgorzej jest oczywiście w stolicy, w Dunkerze.

Innymi słowy, w Doggerlandzie odnaleźć można tę samą hierarchię kozłów ofiarnych co w większości krajów – ciężko pracująca północ, beztróskie południe i stolica pełna cwaniaków i zarozumiałych draniów.

– No jasne – mamrocze Karl Björken. – Córka Axela Smeeda musiała wyjść za mąż odpowiednio do swojego stanu. Jak się dorastało ze srebrną łyżeczką w ustach, to nie weźmie się przecież pierwszego lepszego biedaka. Założę się, że kąpią się w kasie.

– Zobaczymy – mówi Karen bez emocji.

I już kiedy skręcają, a następnie wjeżdżają przez bramę do majątku państwa Hellevików, staje się jasne, że chociaż rodzina może nie kąpie się w kasie w dosłownym znaczeniu, to z całą pewnością robi to w przenośni. Przy korcie tenisowym po prawej stronie wjazdu nie brakuje ani budynku klubowego, ani dwurzędowej trybuny, a basen w kształcie nerki po drugiej stronie jest największym, jaki Karen kiedykolwiek widziała na prywatnej działce. Słyszy, jak Karl mamrocze coś o Sknerusie McKwaczu, kiedy widzi trampolinę wysokości dwóch pięter. Jadą dalej do imponującego dworu i parkują przy zaśniedziałej fontannie, która wieńczy podjazd. Karl wyłącza silnik i pochyla się, żeby wyjrzeć przez przednią szybę na fasadę budynku.

– Myślisz, że możemy tu stać? Czy oczekują, że wejdziemy przez kuchnię, co?

Karen nie ma czasu odpowiedzieć, bo zza rogu budynku wychodzi wysoka kobieta i staje u podnóża okazałych schodów. Za nią hasają dwa mokre yorkshire terriery, które na widok przyjezdnych od razu wpadają w szal radości. W harmidrze złożonym z nawoływania ich pani i spazmów

radości ganiają tam i z powrotem między nogami właścicielki a samochodem Karla. Karen wydaje się, że dostrzega za nimi coś, co wygląda na równie mokrego, ale zdecydowanie spokojniejszego setera irlandzkiego. Pies podchodzi do pani i siada obok niej, a kobieta automatycznie kładzie rękę na czubku jego rudobrazowej mordy.

Karl i Karen równocześnie otwierają drzwi i wychodzą z samochodu.

– Witam! – woła Wenche Hellevik. – Już, już, uspokójcie się!

Nie robi nawet kroku w stronę gości, ale szeroko się do nich uśmiecha i Karen z Karlem jak najszybciej zacierają w kierunku wyciągniętej dłoni. Możliwie najdyskretniej Karen obserwuje siostrę Jounasa Smeeda. Włosy w kolorze platynowego blondu upięte we francuski kok, równie powściągliwy co jej strój: ciemnozielony żakiet na białym golfie, dopasowana spódnica w zieloną kratkę, która kończy się tuż pod kolanem, subtelny sznur pereł i paznokcie pomalowane na odcień delikatnego perłowego różu.

Podają jej ręce i się przedstawiają.

– Tak mi się wydawało, że słyszałam samochód. Właśnie wróciliśmy do domu z małego spaceru i musieliśmy się przepłukać w pralni. Nie, pani powiedziała, że nie wolno skakać! Napiją się państwo kawy? A może herbaty? Z pewnością są państwo potwornie zmęczeni po podróży. Nie, nie wolno!

To ostatnie właścicielka psów mówi niespodziewanie krzepkim głosem do setera irlandzkiego, który wygląda tak, jakby zupełnie nie rozumiał, dlaczego ma nie otrząsać mokrej sierści. Wenche Hellevik rusza przodem po szerokich schodach, a potem przechodzi przez masywne, bogato zdobione podwoje dębowych drzwi. Kontrast między jesiennym słońcem a panującym wewnątrz mrokiem sprawia, że Karen potrzebuje kilka sekund, żeby zobaczyć gigantyczny hall owinięty folią i papierem pakowym. Dwóch ubranych na biało mężczyzn stoi pośród galimatiasu drabin, puszek z farbą malarską, szpachlówek, wałków i pędzli. Omawiają coś z trzecim, zdecydowanie wyższym mężczyzną w niebieskim garniturze. Wszyscy trzej mają zatroskane miny, a jeden z nich wskazuje na sufit.

– Proszę nam wybaczyć ten bałagan, zalało nam jedną z łazienek na górze i musimy wyremontować cały hall. Kochanie, policja już jest, chodź się przywitaj, zanim pojedziesz!

Wysoki mężczyzna szybko kończy rozmowę z malarzami i do nich podchodzi, z uprzejmym uśmiechem podaje rękę najpierw Karen, a potem Karlowi.

– Magnus Hellevik – przedstawia się. – Jeśli dobrze zrozumiałem żonę, przyjechali tu państwo w związku z tą straszną historią, która przydarzyła się Susanne.

– Tak, to prawda, musimy porozmawiać z jak największą liczbą osób, które ją znały – wyjaśnia Karen.

– Nie wiem, czy będą państwo mieli jakiś pożytek z rozmowy ze mną, ale jeśli tak, to oczywiście jestem do państwa dyspozycji, tylko prosiłbym, żeby zaczęli państwo ode mnie. Mam pewną pilną sprawę do załatwienia w Ravenby i w gruncie rzeczy już dawno powinienem tam pojechać, ale jak państwo widzą, mamy tu mały problem.

Magnus Hellevik wykonuje ruch ręką w kierunku farb i drabin, przenosząc przy tym wzrok raz na Karla, raz na Karen, jakby zastanawiał się, które z nich ma wyższą rangę, chociaż właśnie mu się wylegitymowali.

– Dobrze znał pan Susanne? – pyta Karen.

– W ogóle. Oczywiście spotykaliśmy się często na uroczystościach rodzinnych w czasie, kiedy Susanne i Jounas byli jeszcze małżeństwem, ale później kontakt się urwał. A odkąd ich drogi się rozeszły, minęło już wiele lat.

Karen kiwa głową.

– W takim razie nie będziemy pana dodatkowo stresować. – Uśmiecha się. – W każdym razie nie dzisiaj. Przede wszystkim chcieliśmy porozmawiać z panią Wenche, ale odezwiemy się, jeśli okaże się, że panu także musimy zadać kilka pytań.

Magnus Hellevik wygląda, jakby mu ulżyło, uśmiecha się przepraszająco i szybko całuje żonę w policzek.

– Czy możemy...?

Wenche wykonuje gest w stronę przesuwanych drzwi po prawej stronie i rusza przodem. Kiedy je rozsuwa, rozlega się słabe stuknięcie.

– Proszę usiąść, zaraz wrócę. Mówili państwo, że napiją się kawy czy herbaty?

Kilka minut później wraca z tacą z trzema filiżankami herbaty, termosem i półmiskiem babeczek cytrynowych. Siada na skraju beżowej sofy i odwraca się do gości, którzy rozsiedli się na obitych kwiecistym perkalem fotelach.

– Proszę się częstować i proszę mi powiedzieć, jak mogę państwu pomóc. Mleka?

Nie jest podobna do brata, myśli Karen. Ten sam nos i może ta sama budowa ciała, ale dzięki Bogu nic poza tym. W każdym razie na twarzy siostry Jounasa nie widać śladu zgorzknienia ani arogancji. Karen podchwytuje spojrzenie Karla i skinieniem daje mu znak: „Zaczynaj”.

– Czy mogłaby pani powiedzieć coś o tym, jak się panie poznały z Susanne? O ile dobrze się orientuję, chodziły panie razem do szkoły.

– Tak, to prawda, ale oczywiście dopiero do liceum. Wcześniej Susanne mieszkała w Langevik i tam chodziła do podstawówki, liceum było dla niej długo wyczekiwaną szansą, żeby wyprowadzić się z domu.

– Aha – mówi Karen. – Więc nie dojeżdżała do Dunkeru jak wszyscy pozostali?

Na moment przenosi się w czasie o trzydzieści lat, do telepiącego się żółtego autobusu Leyland, którym jeździła każdego dnia przez trzy lata. Pamięta te ciągłe mdłości – powodowane albo przez odrabianie lekcji w autobusie, albo papierosy na przystanku.

– Nie, i właściwie dlatego się zaprzyjaźniłyśmy – ciągnie Wenche. – Mój tata był właścicielem kamienicy na Nygate i dostałam tam od niego małe dwupokojowe mieszkanie pod jednym warunkiem: sama miałam opłacać czynsz. Skrupulatnie pilnował takich rzeczy. – Upija łyżeczek herbaty i powoli odstawia filiżankę, a potem mówi dalej: – Miałam stypendium, a dodatkowo pracowałam w weekendy, ale starczało to na niewiele, jeśli chciało się wyjść na miasto albo kupić kilka ubrań, więc po kilku miesiącach wywiesiłam kartkę, że szukam współlokatorki. Susanne musiała przeczytać to ogłoszenie jako pierwsza i jestem gotowa uwierzyć, że zaraz potem je zerwała. W każdym razie skontaktowała się ze mną tego samego dnia w czasie przerwy i... hmm, wprowadziła się już kilka dni później.

– I tak się panie zaprzyjaźniły? Były sobie panie bliskie?

Karl sięga po babeczkę, a Karen dostrzega, że zacięta mina, z którą tu przyszedł, teraz złagodniała. Zapewne podoba mu się, że to nie jej kochany tatuś płacił czynsz, a Wenche sama musiała znaleźć dodatkową pracę, myśli. Poza tym Wenche Hellevik wydaje się naprawdę dość mocno stąpać po ziemi, mimo basenu i kortu tenisowego.

– Bliskie? Hmm, tak, no może. W młodości ludzie łatwo znajdują bliskich przyjaciół. Jeszcze zanim zdążą rozwinąć swoją prawdziwą

osobowość, jeśli rozumieją państwo, co mam na myśli. Dopiero później kształtują się poglądy na wszelkie możliwe tematy, ale w późnym wieku nastoletnim to chyba głównie chłopcy, ciuchy, muzyka i niesprawiedliwi nauczyciele tworzą nasz świat.

Karen przytakuje. To właśnie te tematy poruszano w telepiącym się autobusie, z tego, co pamięta.

– I młodzi ludzie są jeszcze takimi paskudnymi konformistami, nawet jeśli się im *wydaje*, że są potwornie radykalni. Większość chce po prostu za wszelką cenę się dopasować i upodobnić do kolegów. Ale odpowiadając na pana pytanie, byliśmy sobie tak bliskie, jak bliskie są sobie dwie nastolatki. Najlepsze psiapsiółki, tak to się chyba mówi.

– Może pani powiedzieć coś o tym, jaka była Susanne? Jak postrzegała pani jej osobę?

Wzrok Wenche Hellevik staje się nieobecny, wygląda tak, jakby sięgała daleko w przeszłość.

– Wystraszona – mówi w końcu. – Miła i pomocna, ale zawsze niesłuchanie się starała, żeby dogodzić innym i się wpasować. Właściwie dość uzdolniona, ale nauka nieszczególnie ją interesowała, zdawało się, że bardziej zajmowało ją pielęgnowanie stosunków towarzyskich.

– Była popularna?

– Susanne była bardzo ładna, więc nie miała trudności z poznawaniem chłopców. Ale wśród dziewczyn nie była równie lubiana, nigdy też nie przykładała się do tego, żeby znaleźć sobie inne przyjaciółki poza mną. Z jakiegoś powodu podziwiała właśnie mnie; naśladowała wiele rzeczy, które robiłam, obcięła się, kiedy ja ścięłam włosy, utleniła je jak te moje. Tak, to znaczy ja jestem, rzecz jasna, naturalną blondynką – poprawia się szybko Wenche Hellevik. – Ale rozumieją państwo, o co mi chodzi. Po prostu papugowała mnie, kupowała podobne ubrania i tak dalej na tyle, na ile pozwalały jej finanse.

– I co pani o tym sądziła?

Wenche Hellevik wzrusza lekko ramionami, a Karen przelatują przed oczami Jounas i Sigrid.

– Czasami trochę mnie to denerwowało, ale nie było to nic wielkiego. Z pewnością trochę mi to też schlebiało. Miałam raczej wrażenie, że bardzo imponuje jej moja rodzina i że wstydzi się nieco swojego pochodzenia. Że chce zostawić za sobą przeszłość.

– Opowiadała coś o swojej rodzinie?

– Na początku bardzo mało, z czasem zyskałam jednak pełniejszy obraz tego, że nie miała szczęśliwego dzieciństwa. Nie żeby źle ją traktowano w domu, raczej chodzi o to, że... jak by to powiedzieć...? Odniosłam wrażenie, że brakowało jej szacunku dla rodziców. Byli bardzo dziwni, a w tamtym czasie odstawanie od normy nie mogło być łatwe, szczególnie w tak małej społeczności jak Langevik.

– Aha? A dlaczego powiedziała pani, że byli dziwni? – pyta Karl.

Udało mu się zrobić naprawdę zdumioną minę, jakby nie miał pojęcia, choć Karen opowiedziała mu podczas jazdy zarówno o tym, czego dowiedziała się od mamy, jak i o tym, co starcy w Zającu i Wronie mówili o komunie założonej w gospodarstwie Lothorp. Karen zapisuje sobie w pamięci, że musi poprosić techników, żeby się pospieszyli i oddali album ze zdjęciami, który znalazła z Karlem w sypialni Susanne.

– Myślę, że byli to chyba ci tak zwani hippisi – mówi niepewnie Wenche Hellevik. – Jej rodzice przeprowadzili się tu ze Szwecji i o ile dobrze zrozumiałam, żyli przez pierwsze lata w czymś w rodzaju komuny.

– Mówiła coś więcej o tamtym okresie?

– Nie, była wtedy bardzo mała, więc pytanie, czy w ogóle miała jakieś konkretne wspomnienia z tej komuny. Coś innego stało się później jej utrapieniem.

– To znaczy? Co ma pani na myśli?

– Hmm, na przykład ani jej tata, ani jej mama nigdy nie mieli prawdziwej pracy, co Susanne, jak rozumiem, uważała za krępujące. Większość dzieciaków na wsi pochodziła z domów rybaków, locmanów i innych, których zajęcia poważano, a ojciec Susanne stał tylko w ogrodzie i malował obrazy.

Zgadza się to z tym, co mówił Jaap Kloes i inni, myśli Karen. A skoro największym marzeniem Susanne było to, żeby się dopasować, nie mogło być jej łatwo należeć do rodziny Lindgrenów.

– Jej matka zmarła przedwcześnie – ciągnie Wenche – i choć może się to wydać trochę nie na miejscu, trzeba powiedzieć, że Susanne się jej wstydziła.

– Wstydziła? Dlaczego?

Najwyraźniej w głosie Karla zbyt mocno pobrzmiwa nadzieja, bo Wenche Hellevik odpowiada lakonicznie, z odrobiną ironii:

– Nie mogę niestety powiedzieć nic o żadnych emocjonujących skandalach. Mama Susanne była raczej typem, który ściąga na siebie

spojrzenia i w głębokim poważaniu ma konsekwencje; ubierała się inaczej niż inne matki; praktykowała jogę, zajmowała się leczeniem i takimi tam. A Susanne chciała najpewniej mieć taką mamę, jakie mieli wszyscy jej koledzy. Nie taką, o której tylko by mówiono. Szczerze mówiąc, nie wiem jednak nic więcej – dodaje.

Jej uśmiech jest serdecznie przeprasający, ale autorytet w głosie wyraźnie wskazuje na to, że Wenche Hellevik nie ma już nic więcej do powiedzenia o dorastaniu Susanne. Karen decyduje się zmienić trop.

– Z tego, co rozumiem, jej rodzina utrzymywała się ze sprzedaży ziemi – mówi. – Podobno odziedziczyli naprawdę rozległy majątek ziemski po krewnych jej matki.

– Tak, wiem, ale w tamtych czasach Susanne nic o tym nie wspominała, jestem pewna. Prawdopodobnie sądziła, że żyją z pieniędzy odłożonych przez starego Gråå. Z tego, co się później dowiedziałam, nie miał on jednak nic w banku, wszystko pakował w ziemię.

Robi przerwę i upija łyk herbaty, a potem mówi dalej:

– Oczywiście wiedziała, że ma korzenie na wyspie, i z pewnością o tym, że jej mama odziedziczyła po dziadku wielki majątek ziemski. Ale o tym, że spadek sprzedawano hektar po hektarze, żeby mieć na utrzymanie, dowiedziała się dopiero dużo później. Szczerze mówiąc, nie wydaje mi się, żeby miała jasny obraz sytuacji aż do śmierci swojego ojca. Ja sama w każdym razie dowiedziałam się o tym dopiero kilka lat temu, gdy mój brat wspomniał o tym przy okazji rozwodu.

– A więc Jounas wiedział o tym, zanim Susanne się dowiedziała...?

Wenche Hellevik wygląda na zakłopotaną.

– Tak sędzę. To w końcu nasz tata kupił znaczną część ziemi Lindgrenów. Wstyd, że tak powiem, bo sędzę, że kupił ją dużo poniżej ceny. Ojciec Susanne nie miał zupełnie głowy do interesów i zapewne sądził, że może zaufać teściowi własnej córki. A kiedy tata zmarł, Jounas odziedziczył całą ziemię.

– Mówi pani, że Jounas odziedziczył. A pani?

– No tak, ale podzieliliśmy się spadkiem tak, że Jounas dostał większą część ziemi, a ja przejęłam przedsiębiorstwa taty. Jako policjant nie miał czasu ani chęci prowadzić dalej firm ojca, za to ja z Magnusem mieliśmy.

Karen zastanawia się nad tym, co powiedziała Wenche. Oznacza to, że stary Axel Smeed musiał skupować ziemię od ojca swojej synowej także wtedy, kiedy Susanne i Jounas byli małżeństwem. Systematycznie

odkupował to, co Susanne powinna była odziedziczyć, żeby dać to swojemu synowi. Czy Jounas – w przeciwieństwie do tego, co mówi Wenche – wiedział o tym od samego początku? Czy może Axel robił to za plecami syna?

Jakby czytała w jej myślach, Wenche podchwytuje wzrok Karen i patrzy jej prosto w oczy.

– Tata był trudny – mówi. – Nie tolerował „nierobów, Fryzjczyków i lekkoduchów”, jak mówił, i wychodził z założenia, że my, dzieci, powinniśmy iść jego śladem i podzielać jego przekonania. Jounas był tym z nas, który się zbuntował, ja tego nie zrobiłam. Był to wielki cios dla taty, kiedy jego jedyny syn wybrał szkołę policyjną, zamiast zarządzać tym, co on zbudował. A kiedy później Jounas ożenił się z Susanne, biorąc pod uwagę jej pochodzenie i dziwną rodzinę, to myślę, że tata porzucił wszelkie plany co do niego. Zamiast tego zaczął pokładać całą swoją nadzieję w kolejnym pokoleniu. Ja z Magnusem nigdy nie doczekaliśmy się potomstwa, więc Sigrid była jego jedyną wnuczką.

– Zatem to nie swojego syna, ale wnuczkę chciał chronić?

– Tak, tak przypuszczam. Sądził pewnie, że na wypadek rozwodu będzie bezpieczniej, żeby ziemia była jednak w rękach Jounasa, a nie Susanne. Według niego była łąsą na złoto córką szwedzkich lekkoduchów, którzy nie rozumieli wartości pieniądza. Myślę, że wychodził z założenia, że się rozwiodą, i wszystko wcześniej przygotował. I co do tego miał rację.

Mieli jeszcze umowę przedmałżeńską, myśli Karen. Axel Smeed o to zadbał. Był to warunek postawiony przez niego, żeby w ogóle pomógł synowi i ciężarnej synowej z mieszkaniem. Pasuje to wszystko do reputacji, jaką miał Axel Smeed: trudny i gotów iść po trupach do celu. Nie zawahał się nawet przed tym, żeby za plecami synowej odkupić jej przyszły spadek po zaniżonej cenie i pozwolić, aby mimo jego obiekcji wylądował on w rękach syna, tylko po to, żeby dopilnować, że wszystko trafi dokładnie tam, gdzie tego chciał. Do Sigrid, jedynej wnuczki, w której płynęła jego krew.

Obraz Sigrid, siedzącej na kanapie ze skrzyżowanymi wytatuowanymi rękami, kolczykiem w nosie i ćwiekami, przelatuje Karen przez głowę. Nie był to raczej ideał dziedziczki fortuny Smeedów. Zapewne nie takiej wnuczki życzył sobie Axel Smeed, myśli Karen. I raczej nie takie nadzieje pokładali w córce Jounas i Susanne, kiedy posyłali ją do szkółki

jeździeckiej i na lekcje tańca. Ciekawe, jak to jest sprawić komuś taki zawód.

– Widuje pani czasem Sigrid? – pyta Karen.

– Od dawna już nie. Prawie całkiem zerwała kontakt z rodzicami, kiedy wyprowadziła się z domu. Tak, zerwała z całym swoim pochodzeniem, można tak powiedzieć.

– Jak właściwie do tego doszło?

Wenche Hellevik zdaje się zwlekać sekundę.

– Z moim bratem nie zawsze jest lekko – mówi następnie. – Bywał nieprzejednany i surowy, taki też był w stosunku do Susanne. Ona z kolei była zgorzkniała i kłótniwa. Ich ciągle awantury i kłótnie, w których wykorzystywali Sigrid jako posłańca i zmuszali, żeby opowiadała się po którejś ze stron. W końcu nie miała innego wyboru, jak tylko odciąć się od obojga i uciec od tej całej sytuacji.

Tak samo jak Susanne, myśli Karen. Obie opuściły dom rodzinny najszybciej, jak tylko mogły. To w każdym razie miały ze sobą wspólnego.

– Przeskoczmy może trochę w czasie – proponuje Karl. – Czy pani przyjaźń z Susanne trwała dalej?

– I tak, i nie – mówi Wenche Hellevik z delikatną ulgą w głosie, jakby cieszyła się ze zmiany tematu. – Nie chodzi o to, że się pokłóciłyśmy, po prostu wyjechałam na studia do Stanów i straciłyśmy ze sobą kontakt. Wprawdzie często się spotykałyśmy, kiedy wracałam do domu na wakacje, ale coraz widoczniejsze stawało się to, że nasze drogi się rozchodzą.

– To znaczy?

– Hmm, dla mnie zawsze było oczywiste to, że pójdę na studia, a Susanne zaczęła pracować od razu po liceum. Można powiedzieć, że chwyciła się tego, co tylko znalazło się w jej zasięgu, nie mając żadnego określonego kierunku. Dostała nawet kilka pojedynczych zleceń jako modelka, była w końcu bardzo ładna, a do tego wysoka.

– Aha – mówi Karen zdziwiona. – Jako fotomodelka, mówi pani?

– Nie chodziło nigdy o większe zlecenia, ale o jakieś reportaże o modzie i kilka reklam, tak mi się wydaje. Niestety, nie było to nic, z czego mogłaby się utrzymać, cały czas jednak mocno w to wierzyła i może dlatego nie zdobyła porządnego wykształcenia. Ale propozycje modelingu trafiały się wyjątkowo rzadko, więc musiała chwycić się różnych zajęć, żeby z trudem związać koniec z końcem.

– A kiedy już na dobre wróciła pani do domu, nadal się spotykałyście?
– pyta Karl.

– Tylko od czasu do czasu, szczególnie w okresach, kiedy żadna z nas nie miała akurat chłopaka. Przez kilka lat, mniej więcej w wieku dwudziestu pięciu lat, dużo imprezowałyśmy, przesiadywałyśmy w różnych klubach i chodziłyśmy na imprezy. Jasne, dobrze się bawiłyśmy, ale prawdę mówiąc, chyba zawsze czułam, że zależało jej bardziej niż mnie na naszych spotkaniach. A potem spotkałam Magnusa i świeżo zakochana miałam mniej czasu na spotkania z Susanne i innymi przyjaciółmi. Mocno ją to smuciło, o ile pamiętam.

– Jak się to przejawiało?

Kolejny raz we wzroku Wenche pojawia się coś nieobecnego, jakby cofała się w czasie.

– To chyba wtedy mój obraz Susanne zaczął się naprawdę zmieniać – mówi zamyślona. – Sprawiała, że robiło mi się nieprzyjemnie, czułam się niemal winna za każdym razem, gdy się spotykałyśmy. Dużo mówiła o tym, że mam wszystko, a ona nie ma nic. Padło sporo ostrych słów na temat tego, że już dłużej nie da rady tak żyć. Poza tym zlecenia z modelingu prawie całkiem ustały i czuła, że wszystkie drzwi się przed nią zamknęły, kiedy ja parłam do przodu.

– Przestałyście się spotykać?

– Nie, miałam trochę wyrzutów sumienia, bo pozwoliłam, żeby Magnus zajął cały mój czas, więc pilnowałam, żeby zapraszać ją na przyjęcia albo czasem umawiać się z nią na drinka na mieście. Starłam się jej pokazać, że się myli co do tego, że uważam, że nie jest wystarczająco ważna. A po kilku latach Magnus mi się oświadczył i oczywiście zaprosiłam ją na nasz ślub. Może Jounas już o tym wspominał? Bo poznali się właściwie na naszym ślubie.

– Tak – mówi Karen. – Wspominał. I podobno niechcący zaszła w ciążę już kilka miesięcy później.

Wenche parska śmiechem, który nie pasuje do jej uprzejmej i opanowanej postawy. Chwilę później podnosi się i wygładza kilka niewidocznych zmarszczek na spódnicy.

– „Niechcący” – mówi oschle. – Tego nie jestem taka pewna.

Podchodzi do stojącego z boku stolika, gdzie tłoczą się butelki i kryształowe karafki, i z podniesionymi brwiami odwraca się do Karen i Karla, którzy kręcą głowami.

– Tak, ja w każdym razie czuję, że potrzebuję czegoś na wzmocnienie.

Nalewa sobie dwa centymetry trunku z jednej z butelek i upija łyk, później wraca na miejsce na beżowej sofie. Kiedy znowu siada, na jej twarz powraca serdeczny uśmiech. Upija jeszcze mały łyk i odstawia kieliszek na stół.

– Więc nie sądzi pani, że to przypadek, że Susanne zaszła w ciążę tak szybko? – wraca do tematu Karen.

– Nie znam nikogo, kto by tak sądził. Proszę mi wybaczyć, jeśli sprawiam wrażenie poruszonej, ale prawda jest taka, że odebrałam to jako... hmm, jako rodzaj wtargnięcia, jakby z premedytacją zagnieździła się w mojej rodzinie.

– Nie wierzy pani, że ona i Jounas byli w sobie naprawdę zakochani?

Wenche Hellevik jeszcze raz wzrusza lekko ramionami i wzdycha.

– Jounas był oczywiście zauroczony, ale nie sądzę, żeby rozważał ślub, gdyby nie został do tego w ten sposób zmuszony. A jeśli chodzi o Susanne, jestem skłonna zgodzić się z ojcem: mocno pociągały ją pieniądze i status rodziny Smeedów. Może naprawdę była zakochana w Jounasie, ale nigdy nie było między nimi żadnej chemii. Brakowało tej iskierki, spontanicznych pocałunków i zakochania w ich spojrzeniach. Mimo to w osobliwy sposób sprawiała wrażenie zadowolonej z całej sytuacji. Nigdy nie przegapiła okazji, żeby wspomnieć o tym, że teraz będziemy szwagierkami.

– A potem, kiedy już wzięli ślub? Jak opisałyby pani ich małżeństwo?

– Wydaje mi się, że przez pierwsze dwa lata żyli we względnej harmonii, także dzięki małej Sigrid, którą oczywiście oboje kochali. Jednak kiedy Jounas rzucił prawo i wrócił do policji, w domu rozpętało się piekło. Tata był wściekły, Susanne wpadła w histerię, a Jounas był uparty i głuchy na argumenty. Odbiło się to na nas wszystkich, rozbiło całą rodzinę. Później nic nie było już takie samo. Oczywiście spotykaliśmy się przy okazji większych świąt i urodzin, ale poza tym Jounas i Susanne żyli odizolowani od reszty rodziny. Tata odciął im wsparcie i musieli wyprowadzić się z eleganckiego mieszkania na Freygate. Odwiedziłam ich chyba raz w ich trzech pokojach w Odinswalli i wtedy była już całkowicie odmieniona.

– To znaczy? – pyta Karen.

– Zgorzkniała, zawiedziona. Już wcześniej przejawiała takie skłonności, ale wówczas całkiem wzięły górę i sprawiły, że stała się zmęczona w taki

sposób, jakiego wcześniej nie widziałam. Było mi jej niemal żal. A Jounas, szczerze mówiąc, zachowywał się jak prawdziwy dupek. Rozumiem, że chciał iść swoją drogą, a nie tańczyć, jak mu tata zagra, ale w ogóle nie zważał na innych, z nikim się nie konsultował, nawet z żoną. Jak na ironię, wyraźnie dało o sobie znać to, że on i tata są z jednej gliny: całkowicie pozbawieni skrupułów i gotowi iść po trupach, żeby tylko postawić na swoim.

Pół godziny później, kiedy Karl i Karen siedzą znów w samochodzie, oboje są głęboko pogrążeni w myślach. W końcu Karl przerywa ciszę.

– Nie sądzisz, że... Chodzi mi o to, że jak możemy być właściwie pewni, że szef naprawdę leżał w domu na sofie, kiedy zamordowano Susanne?

– Niewystarczająco.

– To znaczy?

Karen bierze głęboki wdech i powoli wypuszcza powietrze.

– Okej – mówi. – Ale musi to zostać między nami. Po Oistrze Jounas przespał całą noc w Strandzie.

Karl obraca głowę tak gwałtownie, że samochodem aż zarzuca.

– Do cholery, Eiken, dlaczego nie mówiłaś tak od początku? Powiedziałaś przecież wszystkim, że poszedł do domu.

– Dokładnie wiem, co powiedziałam, i masz rację. Chociaż on naprawdę poszedł do domu, tylko dopiero rano.

– Okłamałaś nas.

– Nie powiedziałam całej prawdy, ale uważałam na to, żeby wprost was nie okłamać.

– Ach tak, nie wprost. Miło z twojej strony... naprawdę.

Głos Karla aż kipi sarkazmem. Karen zerka na niego. Ma wzrok utkwiony w drodze, ale zaciśnięte szczęki świadczą o tym, że jest zły.

– Posłuchaj mnie, Karl – mówi. – Nie chciałam mówić całej grupie, że szef spędził noc w hotelu z pewną kobietą. Ale sprawdziłam, kiedy stamtąd wyszedł. Miał maksymalnie czterdzieści pięć minut, żeby pójść do ratusza, wziąć samochód, pojechać do Langevik i zabić Susanne. Jak wiarygodnie brzmi to twoim zdaniem?

– Nieszczęśliwie.

Siedzą w milczeniu, a samochód zostawia za ich plecami kolejne kilometry. Jeszcze raz to Karl przerywa ciszę.

– Ale nie jest niemożliwe – mówi.

Karen stoi przy oknie i wygląda na parking oraz park po drugiej stronie ulicy. Bujne korony drzew w Holländarparken poruszają się na wietrze i coraz więcej żółtych liści przyłącza się do leżących na ziemi kasztanów. Zbliżyła się siódma i już jest ciemno, ale w świetle latarni widać, że chodnik jest mokry od deszczu.

– Nie może być – mamrocze Karen i mocniej pochyła się do szyby.

W tej samej sekundzie mały biały płatek ląduje na szybie i zjeżdża po niej, szybko się rozpuszczając. Tak, dobrze widziała: śnieg z deszczem. Na początku października. Co najmniej miesiąc za wcześnie, nawet licząc doggerlandzką miarą.

Nieco dalej na zachód widzi na parkingu swojego rangera i dochodzi do wniosku, że najwyższa pora zacząć korzystać z garażu pod komendą. Niedługo nieprzyjemności związane z wsiadaniem do wychłodzonego samochodu staną się gorsze niż ponury wystrój z lśniącymi rurami tam na dole. Do tego pracownicy nie muszą za to płacić.

Robi się późno, myśli, powinnam pojechać do domu, zanim pogoda jeszcze bardziej się popsuje.

Ale zostaje przy oknie. Błoto pośniegowe na autostradzie jest równie mało pociągające co ciemny, cichy dom. Karen wolałaby przysiąść w najbliższym barze, w ciepłe, wśród ludzi, wsłuchać się w gwar i upić. Zostać w mieście, a następnego dnia przyjść do pracy bladym świtem. Albo – co bardziej prawdopodobne – zasnąć godzinę.

Właściwie nie muszą jechać do domu, myśli. Okno w kuchni jest uchylone, Rufus ma pod dostatkiem suchej karmy i wody; spokojnie przetrzyma jedną noc. W tej samej chwili dociera do niej, że przy takiej pogodzie nie powinna zostawiać otwartego okna i że powinna jechać do domu zamontować tę cholerną klapkę. Tłumi w zarodku wyrzuty sumienia i wyciąga komórkę. Skroluje do jednego z najczęściej wybieranych numerów na liście.

W głosie, który odbiera telefon, słycać miłe zaskoczenie:

– Cześć, skarbie! Ach, żyjesz jeszcze?

– Ledwo, mam takie wrażenie. Jesteś ciągle w mieście?

– Niestety. Siedzę już w aucie i dojeżdżam do domu. Gdzie jesteś?

– Nadal w pracy, ale zamierzałam skończyć na dziś i liczyłam na towarzystwo.

– Mogłaś dać znać trochę wcześniej – mówi Marika. – Nie dam rady jechać z powrotem w taką pogodę. Mówią, że pada marznący deszcz. W październiku, świat stanął na głowie!

– Ach, tym bardziej nie chce mi się jechać do domu. Masz coś przeciwko, żebym przenocowała dzisiaj u ciebie w atelier?

– Nie no, skąd, masz przecież klucze. Jest ciepło i przytulnie; piec chodził od wczoraj i wyłączyłam go tuż przed wyjściem. A co z sobotą?

Przez dwie sekundy Karen błądzi po swoim banku pamięci, później załapuje. W chwili słabości zaprosiła do domu kilkoro przyjaciół, żeby uczcić swoje urodziny jeszcze po tej dobrej stronie pięćdziesięcioletniego odcinka.

– Cholera, całkiem mi to wyleciało z głowy.

– Wyleciało?

– Myślnami byłam gdzie indziej. Czytujesz chyba gazety?

– Tylko dodatek kulturalny, przecież wiesz. Ale nie, nawet mnie nie udało się przeoczyć tego, że jakaś biedaczka została zamordowana w Langevik. Pracujesz nad tym?

– Żeby tylko, prowadzę śledztwo.

Marika gwizdże.

– Świetnie. W takim razie w sobotę będziemy mogli poznać uroczne szczegóły.

Karen zwleka trochę z odpowiedzią.

– Szczerze mówiąc, nie wiem, czy zdążę. I raczej nie ma czego świętować. Z kolei w przyszłym roku...

– Potraktuj to więc jak stypę. Obiecałaś, że zaprosisz nas na mule.

– Nie byłam trzeźwa. Obietnice złożone w Oistrę się nie liczą.

– À propos, Kore mówił, że kogoś wyrwałaś, jak już poszłam do domu. Co to za facet?

– Nikt taki. Nic z tego nie wyszło.

Trochę za szybko, trochę zbyt ostro, żeby zabrzmiało przekonująco.

– Ach tak, skoro tak mówisz...

– Nie jest to w każdym razie coś, o czym w tej chwili chciałabym mówić.

– A więc tradycyjnie jakiś dupek. Nie przyszło ci nigdy do głowy, żeby przespać się z kimś, kto naprawdę ci się podoba? – Zanim Karen udaje się

odpowiedzieć, Marike dodaje: – Okej, będę skręcać, więc muszę się rozłączyć. Pogadamy o tym innym razem. Ale jeśli naprawdę zmieniłaś zdanie co do soboty, musisz zadzwonić do Eirika i Korego. Wiem, że bardzo czekają na to spotkanie.

Karen szybko robi wstępne rozeznanie – omułki może ugotować nawet we śnie, a wino zdąży kupić któregoś dnia po pracy. Jeśli nic pilnego nie wydarzy się w śledztwie, powinno się udać. Poza tym odrobina towarzystwa dobrze jej zrobi.

– Nie, masz rację – mówi. – Jasna sprawa, wpadajcie. Ale nie zdążę posprzątać i będziesz musiała kupić jakieś dobre pieczywo w mieście. W Langevik nie ma już porządnej piekarni. A jeśli coś się stanie i każą mi wracać do pracy, to będziecie musieli sobie jakoś sami poradzić.

Czterdzieści dziewięć, myśli po zakończeniu rozmowy. Jak to się stało, do cholery?

Dwadzieścia minut później przeciska się przez zatłoczoną część barową w restauracji Klasztor i siada przy stoliku dla dwóch osób. Rzuca szybko okiem na czarną tablicę z menu, kiwa na kelnera i zamawia dorsza z masłem klarowanym i chrzanem.

– I pół butelki domowego czerwonego wina – dodaje.

Wodzi wzrokiem po lokalu. Przy barze znad pleców wystają ręce próbujące zwrócić uwagę barmana, żeby wyrobić się ze złożeniem ostatniego zamówienia w ramach *happy hour*. Część restauracyjna jest z kolei ledwie w połowie pełna i Karen przygląda się pozostałym gościom, udając, że podziwia wystrój.

Klasztor znajduje się rzut kamieniem od Teatru Miejskiego i prawdopodobnie część gości tam się właśnie wybiera; może para w średnim wieku, której właśnie podano deser, z pewnością cztery elegancko ubrane kobiety około sześćdziesięcioletnie, które śmiejąc się radośnie, zamawiają jeszcze jedną butelkę białego wina i od razu proszą o rachunek. Może też para trzydziestolatków, którzy siedzą najbliżej Karen, chociaż to nie jest aż takie pewne. Kobieta mówi o czymś z zaangażowaniem, a mężczyzna intensywnie przeżuwa antrykot i posyła tęskne spojrzenia w stronę baru. W równych odstępach czasu wydaje z siebie nieobecne, rutynowe chrząknięcia. Przeszywa ją to samo uczucie co wtedy, gdy na placu zabaw obserwuje znudzonych rodziców huśtających dzieci w niedzielny poranek, którzy z nieobecnym uśmiechem zdają się myśleć: czy temu młodemu kiedyś się to znudzi? Albo właściciela psa cierpliwie czekającego podczas wieczornego spaceru, aż jego czworonóg wszystko obwącha i załatwi swoją potrzebę.

Czy ta kobieta naprawdę nie dostrzega braku zainteresowania mężczyzny, a może nie ma to dla niej żadnego znaczenia? Czy odpowiada jej to, że obchodzi się z nią jak z psem?

Świeżo ugotowane ziemniaki parują, kiedy kelner stawia przed nią talerz i małą miedzianą miseczkę z klarowanym masłem. Dorsz prezentuje się od najlepszej strony; lśniący i w sam raz doprawiony solą rozpada się posłusznie na płaty, gdy Karen dotyka go widelcem. Czuje, jak chrzan pali ją w oczy, i przeżuwając, uśmiecha się do siebie. Opory przed samotnym

wyjściem do restauracji ustąpiły z wiekiem. Ignoruje zaciekawione i pełne pożądania spojrzenia, posyłane w jej kierunku z coraz bardziej zatłoczonego baru. Kiedy kobieta z pary tuż obok uśmiecha się współczująco, Karen unosi kieliszek do toastu i uśmiecha się do niej wesoło, co sprawia, że ta natychmiast opuszcza wzrok i coś szepcze do swojego partnera. Szybko odwraca on głowę i mierzy Karen wzrokiem od góry do dołu, a potem ze znudzoną miną odwraca się i znów bierze do jedzenia. Tak sobie tu siedzimy, my, dwie kobiety, i jest nam siebie nawzajem żal, przychodzi Karen do głowy.

Jej myśli wędrują do Karla. Jego złość po tym, jak dotarło do niego, że Karen nie była z nim zupełnie szczerą co do poczynań Jounasa w nocy poprzedzającej morderstwo, straciła na sile, ale wdarł się między nich pewien dystans. Przez pozostałą część dnia utrzymywała się w jego głosie nutka nienaganej uprzejmości, jak rodzaj małej kary. A na południowym spotkaniu siedział niepokojąco cicho.

Karl Björken jest w pracy jej najbardziej zaufaną osobą. To do niego zwraca się, kiedy chce przedyskutować z kimś lub skonfrontować swoje pomysły albo kiedy chce iść po pracy na piwo. Wprawdzie nigdy nie zaprotestował otwarcie przeciwko prostackiemu językowi, który od wielu lat dominuje w ich wydziale, ale nigdy też nie brał udziału w takim czczym gadaniu. Jeśli stracę jego zaufanie, myśli Karen, dalsza praca zmieni się w koszmar.

W połowie dorsza zamiera. Dobrze jej znana postać przemyka koło baru i Karen momentalnie ogarnięta paniką odwraca twarz, zastanawiając się, jak tego uniknąć. Chwilę później to on się obraca i dostrzega ją. Jon Bergman rusza zdecydowanym krokiem w jej stronę, na twarzy ma szeroki uśmiech. W normalnych okolicznościach cieszyłaby się na jego widok; teraz jednak musi go spławić.

– Cześć, Karen. Sama jesteś? Można się dosiąść?

– Wykluczone – mówi z naciskiem.

On położył już rękę na krześle naprzeciwko niej, żeby je odsunąć, i teraz zatrzymuje się w pół ruchu. Z niepewną miną stoi przy jej stoliku. Karen odkłada sztucę na talerz i odchyła się na krześle.

– Wiesz, że nie mogę z tobą rozmawiać o toczącym się śledztwie.

– Okej – mówi. – Ale mimo wszystko chyba możesz coś powiedzieć. Smeed wciąż jest podejrzany?

– Kto w ogóle twierdził, że jest podejrzany?

– Taa, przecież gdy tylko jakaś kobieta zostanie zabita, zazwyczaj to mąż albo były mąż znajdują się w ścisłym gronie podejrzanych. Ale może wy już to...?

Karen wzdycha głęboko.

– Proszę cię, Jon, daj sobie spokój. Nie ma szans, nic ci nie zdradzę. Czy mogłabym teraz zjeść w spokoju?

– A więc jest coś do zdradzenia? Czy tak mam to rozumieć?

– Możesz to rozumieć tak, że chcę zjeść swojego dorsza, zanim wystygnie, i zrobić to w samotności.

Jon Bergman ignoruje jej gest w stronę talerza, upija łyk piwa i stawia kufel na stole.

– I pomyśleć, że to ty byłaś kiedyś taka otwarta i bez ogródek mówiłaś, co myślisz.

– Może trochę za bardzo otwarta.

Żałuje tych słów w chwili, kiedy je wypowiada. Wie, że Jon Bergman od razu zaatakuje.

– Ach tak, zakneblowali ci usta, możesz prowadzić śledztwo, ale nie wolno ci się wypowiadać. To dlatego ten pajac Haugen wziął na siebie „konferencję prasową”.

Jon Bergman zaznacza cuszysłów palcami w powietrzu, a jej przychodzi na myśl, jak bardzo nie lubi, gdy ludzie tak robią. Później myśli o tym, że resztką dorsza z pewnością już wystygła. Daje znać kelnerowi, że chciałyby zapłacić.

Wprawdzie Jon Bergman jest reporterem telewizyjnym, nie pisze do prasy, więc Karen nie ryzykuje, że w porannej gazecie przeczyta swoje przekreśnione słowa, ale odebrało jej apetyt. Wie, że to tylko kwestia czasu, zanim on wyciągnie to, co stało się przed czterema laty. Krótkie, ale intensywne letnie zauroczenie, kilka tygodni, kiedy ledwie wychodzili z łóżka, a potem kilka miesięcy, gdy spotykali się nieregularnie, zanim wszystko rozeszło się po kościach. Przyjemne głupstwo, do którego rzadko wraca myślami, ponieważ obracają się z Jonem w różnych kręgach i obecnie sporadycznie na siebie wpadają. Ale nawet jeśli było to dawno temu, jej wiarygodność zdecydowanie by spadła, gdyby ich krótki romans stał się przedmiotem rozmów na korytarzach komendy. Stanowczo zbyt wiele informacji przecieka do mediów, a to, kto z nich nie trzyma języka za zębami, jest źródłem niekończących się dyskusji.

Przesiadanie z Jonem Bergmanem i popijanie z nim wina w trakcie toczącego się śledztwa nie wchodzi w rachubę. Jeśli wymknie się jej choć słówko, on już nie popuści, myśli Karen. Pochyliła się po leżącą na podłodze torebkę i wyjmuje portfel.

– Dobrze, jeśli nie chcesz iść, to ja pójdę – mówi. – Trochę mi się spieszy – dodaje, żeby złagodzić swoje słowa.

– Ależ do diabła, wyluzuj – mówi Jon Bergman. – Coś chyba możesz mi podrzucić w imię dawnych czasów...

Nie odpowiadając, Karen podaje kartę kelnerowi, który wciska kilka cyfr na terminalu, stawia go na stole przed nią, a później zerka na jej talerz.

– Mam nadzieję, że wszystko w porządku z jedzeniem – mówi, przyglądając się resztkom dorsza i tafla zastygłego masła.

– Jak najbardziej – zapewnia go Karen. – Po prostu muszę się zbierać.

Podnosi się i posyła kelnerowi przelotny uśmiech. Jon Bergman, który cofnął się o krok, przygląda się, jak Karen zarzuca na siebie kurtkę.

– Nie chciałem ci zakłócać posiłku. Może mógłbym cię chociaż zaprosić na drinka przy barze? Albo gdzie indziej?

– Szczerze mówiąc, nie zdążę – odpowiada.

Jon idzie za nią jak cień, kiedy ona kieruje się do wyjścia.

– Masz mój numer! – woła, kiedy Karen popycha drzwi. – Zadzwoń!

Zatrzymuje się w pół ruchu, odwraca się do niego i uśmiecha.

– Okej, Jon, obiecuję. Jeśli jeszcze kiedykolwiek stracę rozum, od razu do ciebie zadzwonię. Ale będzie to już po zakończeniu śledztwa.

Utrzymujące się ciepło z pieców do wypalania otacza ją, gdy tylko Karen robi krok za próg. Przez moment rozważała, czy mimo wszystko nie wrócić do Langevik, skoro jej wieczór na mieście skończył się tak raptownie, ale dociera do niej, że wypłała większą część wina. Wyrzuty sumienia, że w niedzielę rano jechała do domu na kacu i najpewniej zdecydowanie przekroczyła dopuszczalny limit promili, wciąż krążą nad nią jak ciemna chmura. Wprawdzie ludzie na wyspach jeżdżą ze znaczną ilością alkoholu we krwi – przepisy są chybione, kary niskie, o ile nie dojdzie do wypadku, a kontrole rzadkie, ale Karen Eiken Hornby przysięgła sobie: maksymalnie kieliszek. Klucze do atelier Marike w dawnym porcie w Dunkerze są częścią tej obietnicy.

Kurtkę i torbę rzuca na ławę w części sklepowej i przechodzi do dużego prostokątnego pomieszczenia z tyłu budynku, gdzie Marike zmienia upragnioną glinę w sztukę. Tę specjalną niebieskozieloną glinę, która skłoniła ją do przeprowadzki z Kopenhagi na Heimö i do zakupu ziemi. Kawałek podmokłego terenu w głębi łądu, na którym nic nie da się uprawiać ani nic zbudować i który nie jest nawet szczególnie ładny, ale pod zewnętrzną warstwą kryją się tony tego – w jej oczach – złota.

Tak się poznały. Ziemię sprzedawał kuzyn Karen, Torbjörn, a ona była u niego z wizytą w sobotnie przedpołudnie prawie siedem lat temu, gdy nagle na ganku pojawiła się bez uprzedzenia pewna wysoka kobieta ze świadomym celem spojrzeniem.

Kobieta miała ze sobą mapę okolicy z zaznaczonym czerwonym flamastrem kawałkiem ziemi. Z trudnym do zrozumienia duńskim akcentem wyjaśniła, że za wszelką cenę musi kupić ten teren, cena nie gra roli. Tak powiedziała: *for enhver pris*. Kiedy Torbjörn zrozumiał, co oznacza to duńskie wyrażenie, w jego oczach zapłonęła iskierka.

Negocjacje okazały się farsą. Kiedy minęło pierwsze zdziwienie, że ktoś naprawdę może być zainteresowany tym nieużytkiem na południowo-zachodnim skraju jego posiadłości, Torbjörn dostrzegł szansę, żeby utuczyć swój portfel. I szybko stało się całkowicie jasne, że ta Dunka nie ma najmniejszego rozeznania w doggerlandzkich cenach ziemi ani warunkach, na jakich można wybudować tam planowany przez nią dom.

Do tego nieporozumienia językowe, przede wszystkim z niezrozumiałym duńskim systemem liczenia i niepojętym dla osób postronnych doggerlandzkim systemem walutowym, doprowadziły do kapitulacji i mimo skandynawskiego powinowactwa zainteresowani przeszli w końcu na angielski.

Karen najpierw z rozbawieniem słuchała, jak kuzyn sprawnie doi Dunkę, ale w końcu nie dała rady utrzymać języka za zębami. Mimo wściekłych spojrzeń Torbjörna podkreśliła, jak niewielką wartość ma ten gliniasty teren i że zupełnie wykluczone jest wybudowanie tam jakiegokolwiek budynku. I do tego podsunęła pomysł, że sensownie byłoby włączyć do transakcji także graniczący pas ziemi od strony rzeki Portlandsån, który od dawien dawna przynależał do tego skrawka; tam da się wybudować dom i będzie się miało przyjemny widok, przynajmniej w jednym kierunku.

Ta propozycja kosztowała ją półroczne ochłodzenie stosunków z kuzynem, ale zapewniła jej trwałą przyjaźń Marike Estrup.

Teraz podnosi plastikowy pokrowiec, który przykrywa jedno z dużych pudeł stojących w atelier, i uszczknąwszy niewielki kawałek gliny, roluje go między palcami, czuje jego elastyczną miękkość, kiedy przygląda się wypalonym rzeczom, które stoją rzędem przy długiej przeszklonej ścianie. Widziała cały ten żmudny proces: od poczęcia do gotowego produktu – jak Marike ubrana w sięgające do ud gumowce wygrzebuje glinę z poletka za domem, jak starannie przemywa ją kilka razy wodą, cierpliwie daje jej wyschnąć, a w końcu rozbija ją z wprawą silnymi ramionami i wiezie do atelier w Dunkerze. A tam zaczyna się przeobrażanie. Karen fascynują siła i upór w twórczym dążeniu do celu, kształty, które zdają się wyłaniać z nicości, kolory, które zmieniają się w tysiącstopniowej temperaturze. Doświadczyła napięcia towarzyszącego otwieraniu drzwiczek pieca; obserwowała niepokój w oczach Marike, kiedy ta dokładnie przyglądała się rezultatom tego trudu.

Mimo wszystko nie może zrozumieć, że rzeźby wystawiane w najbardziej prestiżowych galeriach świata są uformowane z takiej samej lepkiej grudki, jaką trzyma między palcami.

W następnej chwili dopada ją rzeczywistość i Karen myśli, że śledztwo w sprawie morderstwa Susanne Smeed to jej lepiąca się grudka, która może nigdy nie nabierze kształtu. Spotkanie z Wenche Hellevik dało względnie zniuansowany obraz Susanne Smeed. Dorastanie w Langevik

nie mogło być łatwe dla dziewczyny, której rodzina wyróżniała się jak paw wśród stada mew. To przynajmniej do pewnego stopnia może wyjaśnić usilne starania Susanne, żeby się dopasować, gdzieś przynależeć, dostać się do rodziny tak odmiennej od tej, w której się urodziła. I jej gorczy, kiedy spełzło to na niczym. W wyniku rozwodu i dlatego, że musiała wrócić na wieś, tylko po to, żeby zorientować się, że ziemia, którą miała odziedziczyć, jest już sprzedana i należy do mężczyzny, którego nienawidziła. Do Jounasa Smeeda. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby to Susanne rozbiła mu głowę żelaznym pogrzebaczem, myśli Karen. Ale odwrotnie? Nie, nie może dostrzec, jaki motyw mógłby mieć Jounas. Ale mimo wszystko istnieje teoretycznie taka możliwość, irytująca matematyczna możliwość, że miał kilka minut, żeby to zrobić. Któż inny?

Raport Cornelisa Lootsa i Astrid Nielsen, złożony późnym popołudniem, był wzorowy i wystarczająco szczegółowy. Rozmawiali zarówno z najbliższymi kolegami z pracy Susanne, jak i z personelem medycznym, i jeszcze raz przepytali kierowniczkę domu spokojnej starości Solgården, Gunillę Moen. Mniej więcej połowa pytanych nie miała w ogóle zdania o Susanne Smeed, znali ją tylko z nazwiska i z widzenia i utrzymywali z nią bardzo sporadyczny kontakt. Druga połowa zgodnie twierdziła, że odpowiadająca za faktury, wypłaty i wnioski urlopowe Susanne była staranna i dobrze zorganizowana, jeśli chodzi o obowiązki służbowe, ale wyróżniał ją brak jakiegokolwiek elastyczności czy chęci pomocy, nawet w przypadkach losowych nie była skłonna wysilić się ponad absolutne minimum, żeby pomóc komuś wybrnąć z trudnej sytuacji. Wniosek urlopowy, który trafił na jej biurko minutę za późno, nie miał szans na pozytywne rozpatrzenie, nawet jeśli osoby pracujące na zastępstwo stały w kolejce do pracy. Zaliczek na poczet wypłaty odmawiano niezależnie od powodu prośby. Zarazem Susanne miała irytujący zwyczaj mieszania się we wszystko i wytykania innym braków oraz nieustannego kwestionowania liczby wyrobionych nadgodzin czy potrzeby nowych ubrań roboczych. Krótko mówiąc, Susanne Smeed była „wrednym wrzodem na tyłku”, jak podsumowała to jedna ze sprzątaczek.

Nikt nie był w stanie podać im żadnych przydatnych szczegółów z życia prywatnego Susanne. Zdaniem Nielsen i Lootsa nie jest jasne dlaczego. Zapewne dlatego, że nie było nic ciekawego do opowiedzenia,

albo dlatego, że w Solgården nikt nie interesował się tym, żeby zgłębić, jak Susanne spędza wolny czas. Większość orientowała się, że jest rozwiedziona i mieszka w Langevik, do tego starsi koledzy pamiętali, z kim wzięła rozwód i że ma córkę. Niektórzy wiedzieli, że kiedyś jeździła na zagraniczne wakacje, ale podróże z upływem lat stały się coraz rzadsze; dużo czasu minęło, odkąd ostatni raz wróciła do pracy z opalenizną znad Morza Śródziemnego albo z Tajlandii.

– Przypuszczam, że miała trudności, żeby wygospodarować na to pieniądze, i nie jest to nic dziwnego, jeśli weźmie się pod uwagę tutejsze zarobki – powiedziała Gunilla Moen.

Nic konkretnego ponad to nie padło: Susanne ubiegała się o posadę zastępcy kierownika dobry rok wcześniej, ale jej nie dostała, chociaż kilka razy tymczasowo pełniła obowiązki, gdy Gunilla Moen i inni brali wolne. Zdaniem obecnej kierowniczką powodem były trudności we współpracy i brak elastyczności, które potwierdziło wielu pracowników. Później Susanne Smeed się odizolowała, zawsze jadła lunch w samotności, nie brała udziału w spotkaniach personelu, które nie były bezpośrednio związane z pracą, przychodziła punktualnie o ósmej i wychodziła równo o piątej. Ani minuty później, ani minuty wcześniej.

Jednak kiedy kierownictwo wydało wiosną zakaz używania służbowych komórek do celów prywatnych, Susanne wyszła nagle ze sztywnych ram i nieoczekiwanie wybuchnęła gniewem. Cztery osoby mogły zaświadczyć, że krzyczała do Gunilli Moen, że „może opowiedzieć co nieco o tym miejscu” i że ta „powinna mieć się na baczności”. Gunilla Moen ani nikt inny nie miał pojęcia, o co mogło chodzić, jak twierdzili. Niektórzy domyślali się, że wybuch Susanne brał się z jej domniemych problemów z alkoholem, inni twierdzili, że powodem był po prostu fakt, że była „typową jędzą z klimakterium”.

Susanne nic nie zrobiła i więcej o tym nie wspominała, ale ten krępujący wybuch dodatkowo wzmógł napięcie między nią a kolegami. W końcu ktoś zgłosił tę sprawę jako problem w miejscu pracy i Susanne została wezwana do dyrektora działu HR w centrali firmy Eirabolagen, żeby porozmawiać o możliwości przeniesienia do innego z ich ośmiu ośrodków opieki. Susanne odmówiła i po ostrej reprymendzie pozwolono jej dalej pracować w Solgården.

W ciągu ostatnich miesięcy nie było jej w pracy tak często, że Gunilla Moen znów musiała skontaktować się z działem HR, ale nie podjęto

jeszcze żadnych kroków. Zaledwie w poniedziałek poprzedzający morderstwo zadzwoniła i zgłosiła, że jest chora. Tym razem nie podała żadnego wyjaśnienia, zostawiła tylko wiadomość na ogólnej sekretarce automatycznej. Po tym więcej nie pojawiła się w miejscu pracy.

Policyjny dział IT zakończył analizę firmowego komputera Susanne, a złożony przez nich raport był krótki. Kiedy Solgården zdecydowało o zakazie prywatnych rozmów ze służbowych telefonów, na jej służbowym komputerze ustała też korespondencja mailowa i surfowanie po sieci o charakterze prywatnym. Wcześniej chodziło głównie o zamawianie przez internet ubrań i kosmetyków, kilka rozwlekłych skarg do firmy produkującej energię wiatrową, parę odwołań w sprawie kar za opłacanie po terminie rachunków oraz sporadyczną i przeważnie jednostronną korespondencję mailową z córką.

Był jeden wyjątek: przyszedł do niej mail o charakterze prywatnym, ale nigdy nie doczekał się odpowiedzi. Pod koniec maja niejaka Disa Brinckmann przysłała mail na adres susanne.smeed@solgården.dg. Zdawał się napisany mieszanką szwedzkiego i duńskiego. Karen puściła wydruk wokół stołu.

Droga Susanne!

Pewnie mnie nie pamiętasz, minęło wiele lat, odkąd się widziałyśmy, a Ty byłaś wtedy bardzo mała. Ale może o mnie słyszałaś od rodziców. Kilka lat mieszkaliśmy razem w komunie w Langevik. Mam pewną wiadomość, która może być dla Ciebie ważna, i dlatego chciałabym się z Tobą skontaktować możliwie jak najprędzej.

Pozdrawiam

Disa Brinckmann

Tel: +46 40 682 33 26

Mail przysłało z adresu dbrinckmann@gmail.com, ale Susanne nie odpowiedziała na niego, w każdym razie nie ze służbowego adresu w Solgården.

– Mogła mieć przecież prywatny adres i odpowiedzieć z własnego komputera, jeśli tylko jakiś miała – powiedział Karl. – Albo mogła zadzwonić. Sprawdziliśmy już numer?

– Prowadzi do adresu w Malmö – wyjaśniła Karen. – Na południu Szwecji – dodała.

– Dzięki, wiemy, gdzie leży Malmö.

– Próbowałam do niej zadzwonić – ciągnie Karen, nie zwracając uwagi na Karla, który najwyraźniej wciąż jest zły. – Ale nikt nie odbiera, nie ma też automatycznej sekretarki, więc nie da się zostawić wiadomości. Będziemy oczywiście dalej dzwonić, ale biorąc pod uwagę, jak aspołeczna była Susanne i jak gardziła stylem życia rodziców, są naprawdę małe szanse, że kiedykolwiek zareagowała na prośbę Disy Brinckmann o kontakt.

Narada kończyła się w kiepskim nastroju. Słaby, ale wyraźny powiew beznadziei po raz pierwszy wdarł się do grupy jak cuchnący bąk, który wszyscy czują, ale udają, że nic się nie dzieje. Głosem pełnym przekonania, do którego brakowało jej jakichkolwiek podstaw, Karen spróbowała poprawić im nastroje: rozmowa z Disą Brinckmann mogła im mimo wszystko coś dać i oczywiście spróbują dowiedzieć się, czy Susanne naprawdę wiedziała coś, co mogłoby zaszkodzić Gunilli Moen, ośrodkowi Solgården albo jego właścicielowi. Potem podkreśliła, że to jest wciąż wczesny etap śledztwa, minęły ledwie trzy doby. Wszyscy jednak wiedzieli, że są to właśnie te trzy doby, które nie powinny minąć bez choćby najmniejszego postępu. Nikt tego głośno nie powiedział i może tylko się jej wydawało, ale mimo wszystko wisiało to chyba w powietrzu? „Gdyby Smeed tu był, doszliby do czegoś więcej”.

Karen odkłada grudkę gliny do pudła i wyciera wilgotne palce o dzinsy. Potem idzie do aneksu kuchennego koło atelier i otwiera lodówkę. Marike jej nie zawodzi. Na górnej półce leży wprawdzie tylko pół kostki sera, kilka bananów, przeterminowany karton mleka, kilka rolek filmu fotograficznego i słoik z oliwkami, ale na półce niżej, w dostojnym rzędzie, stoją dodatki do oliwek: trzy butelki ginu i butelka wermutu, co zdaniem Marike należało do kategorii produktów pierwszej potrzeby. Karen otwiera zamrażalnik i wyjmuje kieliszek do martini.

Idzie zabrać torebkę z ławy w sklepie i wraca do atelier, a potem siada na sofie z wypełnionym po brzegi kieliszkiem. Już przy pierwszym łyku nachodzi ją ochota na papierosa, ale ze zdenerwowaniem stwierdza, że tym razem nie będzie miała szansy złamać danego sobie słowa: ostatnią paczkę papierosów dała zebrakowi przy centrum handlowym Grenå. Przez półtorej minuty bije się z myślami, żeby wyjść i przejść się na Varvsgate, gdzie znajduje się najbliższy sklep całodobowy, ale wygląda

przez okno i szybko odrzuca tę myśl. Zamiast tego otwiera torbę i wyciąga z niej dużą plastikową torebkę strunową z czymś ciężkim w środku, siada po turecku, odchyła się i kładzie paczkę na kolanach. Ostrożnie odsuwa mały suwak i wyciąga gruby album, który znaleźli z Karlem w komodzie Susanne Smeed i który wreszcie oddali technicy.

Przez moment przygląda się albumowi i ostrożnie gładzi dłonią jego wierzch; elegancko pomalowana okładka imituje brązową skórę, ale zagięte rogi zdradzają, że jest z prasowanego papieru. Później Karen otwiera album i czuje znajomy zapach kurzu i starego kleju wznoszącego się znad stron.

U niej w domu są może trzy, cztery albumy ze zdjęciami z różnych okresów; wydaje się, że rodzina Lindgrenów miała zgromadzone różne zdjęcia w jednym miejscu. Może wybrano najważniejsze przed wyprawą ze Szwecji? Najstarsze zdjęcia w sepii, zrobione w atelier, pochodzą z początku poprzedniego stulecia i jest to prawdopodobnie portret praprzodków Pera albo Anne-Marie. Karen odczytuje imiona, które razem z rokiem zapisano ozdobnym charakterem pisma: Augusta i Gustav, 1901, Göta i Albin, 1904. W obu przypadkach kobiety stoją w czarnych sukniach, z włosami upiętymi w proste koki, tuż za mężczyznami, którzy w eleganckich kostiumach siedzą na krzesłach. Imiona i lata, ale żadnych dalszych wskazówek, kim są osoby ze zdjęć.

Dalej, na kolejnych stronach, następuje prezentacja krewnych i przyjaciół rodziny Lindgrenów na przestrzeni kolejnych dziesięcioleci dwudziestego wieku i z dekady na dekadę motywy są coraz mniej powiązane z dostojnymi uroczystościami, a coraz bardziej codzienne: mężczyzna z dumną miną, zapewne Rudolf, stoi w garniturze i ciężkich butach oparty o forda T, 1927; roześmiana kobieta z dużym biustem w kwiecistej sukni w stylu lat trzydziestych i w białych butach w ogrodzie koło domu nazywa się zapewne Anna-Greta, a fotografię wykonano w roku 1933. Na innym zdjęciu, prawdopodobnie zrobionym przy tej samej okazji, młody mężczyzna, Lars-Erik, stoi w czapce studenckiej na schodach żółtej drewnianej willi i obejmuje tę kobietę. Matka z synem, myśli Karen.

Rok po maturze niejaka Ulla wykonuje ćwiczenia na równoważni, a następne zdjęcie przedstawia chłopców Karla-Artura i Eskila, którzy w 1935 roku razem z kilkoma innymi niewymienionymi z imienia dziećmi skaczą do wody z pomostu. Kilka kobiet w ubraniach z lat czterdziestych wygląda, jakby marzło zimą na stacji kolejowej; jedna z nich macha do obiektywu, a inne nalewają zupełnym umundurowanym mężczyznom stojącym w długiej kolejce. „Katrineholm 1943” – napisano odręcznie pod zdjęciem.

Wśród fotografii przodków jest też bardzo małe zdjęcie zrobione na tle, które Karen wydaje się znajome; widać na nim jakby jedną z rybackich

budek w Langevik. Przedstawia ono podstarzałą parę, która siedzi na krzesłach i reperuje sieci: Vetle i Alma Gråå, 1947.

Ku swojemu zdziwieniu Karen czuje się wzruszona. Wiele zdjęć mogłoby być wziętych z jej albumu rodzinnego i to nagłe poczucie wspólnoty i bezsensowności przemijania sprawia, że czuje gulę w gardle. Szereg kobiet, mężczyzn i dzieci z poważnymi lub wesołymi wyrazami twarzy, świadkowie z różnych dziesięcioleci, którzy prawdopodobnie już nie żyją. Pokolenie za pokoleniem walczyło o przeżycie i kontynuację rodu – i być może choćby o cień szczęścia. Ci wszyscy praprzodkowie, o których troskach i radościach można teraz wnioskować tylko z kilku wyblakłych zdjęć. Ludzie, którzy kiedyś znaczyli dla kogoś wszystko; mimo to większość z nich została zapomniana na przestrzeni kilku pokoleń.

Niektórzy pewnie jeszcze szybciej, myśli Karen i dopija resztkę z kieliszka.

Jeszcze raz niczym fala ogarnia ją tęsknota za papierosem i w nagłym olśnieniu Karen podnosi się, idzie do kuchni i otwiera szafkę nad komodą. Marike wciąż pali od czasu do czasu. Podobnie jak Karen prowadzi nieustanne zmagania z tym, żeby przestać, i zdecydowanie zbyt ochoczo porzuca swoje próby, gdy tylko ma ku temu okazję; ostatnio na Oistrze Karen widziała, jak nerwowo paliła, uskarżając się na nierówne emaliowanie.

Karen przejeżdża wzrokiem po półkach pełnych kubków, szklanek, talerzy i misek. Maca palcami tam, gdzie nie sięga wzrokiem; z tyłu za ogromną misą z emaliowanej czerwonej gliny dosięga czegoś znajomego. Z poczuciem triumfu i tylko delikatnym poczuciem winy wyciąga pół paczki cameli.

Wymieszawszy sobie jeszcze jedno dry martini, otwiera dwa okna, wciąga na siebie sweter i znów siada na sofie. Wysyła Marike esemesa, że zamierza opróżnić jej zapas papierosów na czarną godzinę. Potem znowu kładzie sobie ciężki album na kolanach i dalej przygląda się zdjęciom. Lars-Erik może być ojcem Pera Lindgrena, myśli. Trudniej wytypować, które ze zdjęć, jeśli w ogóle którekolwiek, przedstawiają krewnych Anne-Marie. Nie podano nazwisk ani stopnia pokrewieństwa i Karen z coraz mniejszym zainteresowaniem kartkuje strony z rzędami anonimowych twarzy i oklepanych motywów.

Jej oczom ukazują się ostrożne powojenne nadzieje. Zdjęcia nadal są biało-czarne, ale kiedy lata czterdzieste przechodzą w pięćdziesiąte, motywy coraz bardziej przypominają te dzisiejsze: dzieci bawią się przy fontannach na przedmieściach, młody mężczyzna w dżinsach i skórzanej kurtce kuca obok motocykla. „Per, 1957” – napisano poniżej. Jeszcze kilka klepsydr; najwyraźniej biuściasta Anna-Greta Lindgren zmarła w 1955 roku w wieku siedemdziesięciu czterech lat; oplakują ją i żegnają „mąż, dzieci i wnuki”. Jeszcze kilka zdjęć na zakończenie szkoły; uśmiechnięta dziewczyna ze starannie upiętymi włosami i niepewnym uśmiechem: Anne-Marie, 1959. Na fotografii obok widać równie schludnego młodego mężczyznę z ulizanymi jasnymi włosami i kilkoma bliznami na wysokich kościach policzkowych, które świadczą o wyleczonym trądziaku.

Karen zapala kolejnego papierosa, popija dry martini i przerzuca kolejną stronę. Teraz dotarła do lat sześćdziesiątych i pamiątki rodziny Lindgren uwiecznione są w eksplozji kolorów z charakterystyczną żółtawą domieszką, która jak lekka mgiełka pokrywa zdjęcia. W tym czasie aparaty musiały najwyraźniej stać się dostępne dla każdego; spontaniczność dodaje energii ujęciom, ale zarazem cierpi na tym jakość zdjęć. W centrum uwagi znajduje się teraz często coś przed, za lub najzwyczajniej obok głównego motywu, a ucięte do połowy osoby wystają zza brzegów zdjęcia. I – możliwe, że z tego samego braku troski – brakuje informacji o imionach i latach. Nie ma jednak wątpliwości, że na scenę wkroczyły lata sześćdziesiąte. Wiele starszych osób nosi wprawdzie wciąż ubrania, które były modne dziesięć lub dwadzieścia lat wcześniej, ale tym wyraźniej moda nowego dziesięciolecia odciska swój ślad na młodszym pokoleniu. I na zdjęciach pojawiają się teraz przede wszystkim dwie osoby: para o wyglądzie zaawansowanych dwudziestolatków, Karen rozpoznaje ich ze zdjęć zrobionych na zakończenie szkoły. Wyraźnie w sobie zakochani Anne-Marie i Per pozują w różnych sytuacjach, ona w spódniczce mini, on w wąskich spodniach od garnituru, czasem sami, ale przeważnie z grupą przyjaciół. Ktoś w tym towarzystwie starał się najwyraźniej uwiecznić każde spotkanie: przyjęcie, kolację, wspólne wakacje. Przybywa ciężarnych kobiet, a potem stopniowo na zdjęciach pojawiają się dzieci. Młoda para podnosi za rękę małego chłopca, a ten, śmiejąc się, wisi między nimi, młoda kobieta z długimi włosami karmi

piersią swoje dziecko na rozłożonym na trawie kocu. Chociaż ma do połowy zasłoniętą twarz, widać, że się uśmiecha.

Karen odrywa wzrok od albumu i zamyka oczy. Czy ona też była w tym nieuświadomionym upojnym stanie? Wtedy, jeszcze zanim kolka, grypy, ospa i zapalenie ucha zmieszały to oszałamiające szczęście z podmuchem stale obecnego niepokoju. Wtedy, nim rozrzucone klocki Lego wbijały się jej w bosc stopy, nim wiek dziecięcej krnąbrności obrócił porę ubierania w walkę. Wtedy, zanim dom wypełnił się odgłosem jej własnego gderania. Tego ciągłego gderania, żeby pamiętać o rękawiczkach i szaliku, odrobić lekcje i nie oglądać tyle telewizji i „nie jedz, na Boga, płatków śniadaniowych prosto z opakowania” oraz „John, czy mógłbyś go nauczyć, żeby następnym razem podnosił deskę klozetową” albo „przypilnuj, żeby miał zapięte pasy, skoro wiesz, że odpina je, kiedy tylko przestajesz patrzeć”.

Czy dalej spoglądała na to małe zawiniątko, które trzymała w ramionach, z takim rzewnym, niemal zatroskanym uśmiechem, kiedy już dotarło do niej, co się może stać? Co naprawdę może się stać, jeśli choćby na cholerną sekundę opuści gardę. Jeśli na moment wmówi sobie, że nie musi się o wszystko niepokoić. Jeśli nie zdąży ustrzec go przed niebezpieczeństwem.

Mechanicznie, nie zauważając nawet, że łzy zaczęły jej płynąć po twarzy, ociera je z brody wierzchem dłoni i szybkim pociągnięciem powstrzymuje cieknące z nosa gluty. Jej dłoń drży tylko trochę, kiedy przykładła zapalniczkę do kolejnego camela; podnosząc kieliszek, znów jest spokojna. Tym razem jest już po wszystkim. Zdarza się to może równie często, myśli, ale nie trwa już przynajmniej równie długo. Jest coraz lepiej.

Bierze głęboki wdech, a później wraca wzrokiem do zbioru zdjęć Susanne, przekręca stronę i przygląda się fotografiom z nowym dystansem. Rzeczowo stwierdza, że moda – teraz, kiedy późne lata sześćdziesiąte wzięły rodzinę Lindgrenów w obroty – najwyraźniej nakazywała chodzić w dzwonach, obcisłych koszulkach, długich batikowych sukniach i fryzurach z przedziałkiem. Zdjęcie po zdjęciu ukazują się jej uśmiechnięci młodzi ludzie na tle kodakowoniebieskiego nieba.

Czy ktoś z nich przeprowadził się z Lindgrenami do Doggerlandu? Czy ktoś z nich należy do osób, o których z taką pogardą wypowiadali się

starcy w Zającu i Wronie? Szybko kartkuje dalej i wreszcie je znajduje: zdjęcie, które łączy życie Pera i Anne-Marie Lindgrenów w Szwecji z ich nową egzystencją w odległej komunie.

Grupowe zdjęcie przy relingu na promie samochodowym. Karen natychmiast rozpoznaje zielone logo armatora, które prześwituje w tle – stylizowana ryba nad uformowaną na fale linią wciąż zdobi promy pływające między Dunkerem a Esbjerg.

Trzy kobiety, dwóch mężczyzn, troje dzieci. Dziewczynka, która wygląda na pięć lat, trzyma jedną z kobiet za rękę i uśmiecha się do obiektywu. Inna kobieta trzyma noworodka w długiej chuście owiniętej wokół ciała, a jeden z mężczyzn przytrzymuje wózek. Dziecko, które w nim siedzi, wygląda na roczek. Długie włosy stoją zwichrzone na wietrze, a spódnice kobiet płaczą się im dookoła nóg.

Musieli poprosić któregoś współpasażera, żeby zrobił im zdjęcie, myśli Karen, albo była z nimi jeszcze jedna osoba. Przygląda się pełnym oczekiwania uśmiechom i wzdryga. Kilkoro z nich wróciło do Szwecji niecałe dwa lata później, ci, którzy zostali w Langevik, nie żyją.

Na kolejnej stronie przyklejono tylko jedno zdjęcie. Pomarańczowym flamastrem ktoś nakreślił nad nim wysokie na pół centymetra cyfry i litery: „Langevik, 1970”. Wokół fotografii narysowane są kwiaty i pacyfki w różnych kolorach. Zdjęcie pośrodku przedstawia grupę ludzi: ośmioro dorosłych – tyle samo kobiet co mężczyzn – stoi ściśniętych w dwóch rzędach na kamiennych schodach, które prowadzą do pomalowanych na zielono podwójnych drzwi dużego domu. Na trawie u podnóża schodów siedzi gromadka dzieci.

Pod tekstem starannie zapisano imiona: „Disa, Tomas, Ingela, Theo” – to najwyraźniej ludzie na górnym stopniu schodów. Karen pochyla się, żeby przyjrzeć się kobiecie najdalej po lewej stronie. Disa Brinckmann. A więc tak wygląda. Albo należałoby raczej powiedzieć: tak wyglądała blisko pięćdziesiąt lat temu. Karen wędruje wzrokiem dalej do osób stojących na dolnym stopniu i czyta ich imiona: „Per, Anne-Marie, Janet i Brandon”.

Per i Anne-Marie Lindgrenowie, rodzice Susanne Smeed, myśli i z nieprzyjemnym uczuciem przygląda się uśmiechniętym twarzom. Zdjęcie zrobiono przed urodzeniem Susanne i osoby na nim na szczęście nigdy się nie dowiedzą, jak zakończyło się jej życie.

Imiona w najniższym rzędzie brzmią: „Orian, Mette i Love”. Orian wygląda na rocznego chłopca, a Mette sprawia wrażenie pięciolatki, kiedy siedzi ze skrzyżowanymi nogami i trzyma na rękach Love; nie sposób stwierdzić, czy Love jest chłopcem, czy dziewczynką.

Trzy z kobiet, dwóch mężczyzn i troje dzieci wydają się tymi samymi osobami co na zdjęciu z promu, pozostali to nowe twarze. I oczywiście brakuje nazwisk, stwierdza zawiedziona Karen.

W albumie jest niewiele więcej zdjęć i nigdy nie zostały porządnie przyklejone. Powtykano je tylko luźno między ostatnie strony. Kilka widoczków z portu w Langevik i kilka z gospodarstwa Lothorp: duży dom, dwa mniejsze budynki gospodarcze, komórka, kurnik i coś, co wygląda jak dopiero założone poletko ziemniaków. Zdjęcie długowłosego mężczyzny w okrągłych okularach i z nagim torsem, który siedzi w gotowości na dachu z młotkiem. Karen porównuje je ze zdjęciem grupowym i stwierdza, że mężczyzna nazywa się najprawdopodobniej Brandon.

Karen bierze następne zdjęcie. Jest trochę nieostre, ale pokazuje kobietę, zapewne trochę starszą od pozostałych, która stoi przy kuchni i miesza w dużym kotle. Długie popielate włosy związała w gruby warkocz, opadający na jedno z ramion. Jest ubrana w suknię do kostek. Odwraca się do kamery z zakłopotanym uśmiechem, nie wypuszczając z ręki drewnianej łyżki. Kolejne porównanie ze zdjęciem grupowym: tak, to Disa.

Jeszcze jedna fotografia: kobieta z włosami farbowanymi henną i przypominającym balon ciężowym brzuchem pod batikową sukienką trzyma ręce za plecami i wygląda na zmęczoną. To musi być ta sama kobieta co na promie ze Szwecji, ta z niemowlakiem w chuście, stwierdza Karen i porównuje ją z osobami na zdjęciu grupowym. Ingela; przynajmniej jedno z dzieci musi być jej, a teraz najwyraźniej znowu jest w ciąży, nic dziwnego, że wygląda na zmęczoną.

Ostatnie zdjęcie przedstawia dwie kobiety siedzące na schodach ganku. Nadal, ponad czterdzieści lat później, Karen wyczuwa nie najlepszą atmosferę. Anne-Marie siedzi z brodą wspartą na rękach i głową odwróconą do połowy, za to rudowłosa Ingela wyciąga rękę w stronę obiektywu, jakby chciała powstrzymać fotografa.

Inne życie, myśli Karen, prawdopodobnie tylko tego chcieli. Nowe czasy, nowe ideały, nowy kraj.

Zapewne szukali – tak jak wszyscy inni – lepszego życia, wspólnoty przepełnionej radością, takiej, jak ją sobie wyobrażali. I wyjechali daleko, żeby ją znaleźć, postawili wszystko na jedną kartę, aby dostać to, czego szukali. Mieli odwagę i chęć, żeby samemu zbudować sobie takie życie, o jakim marzyli. Jednak to marzenie rozwiało się zaledwie po kilku latach.

Coś najwyraźniej poszło nie tak tam, w gospodarstwie Lothorp, myśli Karen. Pytanie tylko co. Nagle nawiązanie kontaktu z Disą Brinckmann wydaje się jej jeszcze ważniejsze niż dotąd.

Langevik, sierpień 1970 roku

Kamień ciąży mu na piersi i promieniuje do brzucha. Per Lindgren pochyła się i oddycha gwałtownie, żeby pozbyć się skurczu. Po chwili prostuje się i idzie dalej ścieżką, nie dając rady otrzeć łez, które spływają mu po policzkach. Jak on mógł? Jak mógł, do cholery?

Zna odpowiedź. Całe lato było jedną długą przygrywką. Roześmiane usta Ingeli z pełnymi czerwonymi wargami, tak odmienne od zatroskanego uśmiechu Anne-Marie. Ingela, która z rękami umorusanymi ziemią z poletka nabiera czerpakiem wodę z beczki przy domu i spłukuje sobie pot z czoła i pleców. Jego wzrok na jej obfitych kształtach zaznaczających się pod mokrym podkoszulkiem. Beztroska radość Ingeli, tak różna od stałego lęku Anne-Marie.

Spojrzenie Ingeli, kiedy napotyka jego wzrok. Jej dłonie, które w przelocie gładzą go po plecach za każdym razem, gdy przechodzi obok, jej uda pod stołem przy jego udach, język, który zmysłowo zlizuje wino z górnej wargi, kiedy jej wzrok jest utkwiony w nim.

I on. Cały czas dobrze wiedział, gdzie jest Ingela. Jego oczy bez przerwy jej szukały, szukały potwierdzenia i za każdym razem je znajdowały. On, który tamtego wieczoru kilka tygodni temu, śmiejąc się, potargał włosy Anne-Marie, gdy ta kolejny raz skonfrontowała go ze swoimi oskarżeniami: Dlaczego w ten sposób patrzy na Ingele? Spał z nią? Z żoną Tomasa. Z żoną swojego najlepszego przyjaciela. No, powiedz szczerze – tak czy nie?

– Nie, Ammi – podśmiewając się, odparł zaskoczony. Był tak przekonujący, że już wtedy dotarło do niego, jak łatwo ją zawiedzie. Już wtedy, nim jeszcze do czegokolwiek doszło na poważnie. Użył zdrobnienia jej imienia i mówił tak miękkim głosem, że jej złość przeszła w łzy. – Jesteś zazdrosna?

– Powiedz po prostu, jak jest – prosiła.

Wszystkiemu zaprzeczył, a później odwrócił oskarżenia. Nie, między mną a Ingelą nic nie było, oczywiście, że nie, wmawiasz sobie. A nawet

jeśli coś by było, Anne-Marie nie miała prawa go oskarżać. Powiedzieli sobie w końcu, że nie będą się nawzajem traktować jak swoje własności. Czy to właśnie nie z tego typu drobnomieszczańskimi wartościami chcieli skończyć tutaj, w gospodarstwie?

– Możesz chyba powiedzieć, jak jest – zwróciła mu uwagę.

Rzucił tylko coś o tym, że ona próbuje go stłamsić. I w końcu się wycofała, dała spokój, powiedziała, że mu wierzy. Widział jednak niepokój w jej oczach i obiecał sobie, że oderwie wzrok od piersi i ust Ingeli. Była przecież, do cholery, żoną Tomasa, jego najlepszego przyjaciela. A on kochał Anne-Marie. Naprawdę ją kochał.

Kocham ją, myśli, spoglądając na morze. Naprawdę ją kocham. Anne-Marie nie może się nigdy o tym dowiedzieć, bo ją stracę. Stracę też Tomasa. Stracę wszystko, co razem stworzyliśmy. Sekundę później eksploduje w nim niezrozumiała złość. Czemu to on jest tak surowo oceniany? Brandon, ten napalony sukinsyn, też przecież gapi się na Ingele, kiedy tylko Janet odwraca wzrok. I kto go tam wie, do czego doszło między nim a siostrą Thea, która kilka tygodni temu przyjechała w odwiedziny.

I czy to nie Tomas właśnie najzarliwiej opowiadał się za wolną miłością, głosił, że nikt nie jest niczyją własnością, że miłość nigdy nie może mieć granic? Czyż nie przyjął z powrotem Ingeli, kiedy ich drogi się rozeszły na blisko trzy lata, a później wróciła z podkulonym ogonem do dawnego poczucia bezpieczeństwa? Znowu ją kochał, chociaż zrobiła sobie dziecko z innym. Mówił, że wszystkie dzieci są wspólnymi dziećmi. Zajmował się bachorami Ingeli, jakby były jego, karmił je, nosił na rękach, zmieniał im pieluchy i odwalał całą resztę.

Było tak, jak mówili: dzielimy się wszystkim, majątkiem, jedzeniem, pićm, pracą, radościami i troskami. Ich życie w gospodarstwie miały wyznaczać wspólnota, wolność, szczerłość. I miłość. Reszta powinna sama się ułożyć.

Problem w tym, że nikt nie był do końca szczery. Nie był Brandon, który zdradzał Janet, nie był Theo, który chomikował najlepszą trawkę pod swoim materacem. Nie była nawet Anne-Marie, która powiedziała, że mu wierzy, chociaż jej oczy zdradzały co innego.

A w najmniejszym stopniu on sam. Tchórzliwie, jak złodziej nocą, czekał tylko, aż Tomas musiał pojechać do Szwecji.

Mój najlepszy przyjaciel zostawia rodzinę w moim gospodarstwie, żeby pochować matkę, a ja korzystam z okazji, aby przelecieć jego żonę, myśli Per, walcząc ze wstydem. I nie skończyło się na jednym razie; ciągnęło się to dalej – kiedy Tomas wrócił, chichocząc, znajdowali ku temu okazję i miejsce, rozkoszowali się swoją tajemnicą, podczas posiłków posyłali sobie ukradkowe spojrzenia tak, żeby nikt tego nie widział.

Bo chyba nikt nie widział?

Nigdy więcej, obiecuje sobie. Nigdy więcej, mówi na głos. Nikt nie musi wiedzieć, że dziecko, którego spodziewa się Ingela, nie jest Tomasa. Tym razem też nie.

– To twoje dziecko, Per – powiedziała mu. – Jestem tego całkowicie pewna.

On w każdym razie nie zamierza do niczego się przyznawać ani przed Anne-Marie, ani przed Tomasem. Dlaczego właściwie miałyby być szczery, skoro nikt inny nie jest? I Ingela też nie będzie o tym mówić. Wie, że to byłby cios dla Anne-Marie.

I dla Tomasa. Tym razem może ci wcale tak łatwo nie wybaczyć, powiedział jej Per. Jeśli się przyznamy, wszystko diabli wezmą, wyjaśnił. Gospodarstwo, ich przyjaźń, jego związek z Anne-Marie. Wszystko się zawali, wszystko to, co zaczęli budować, zostanie zmiecione, jeśli tylko wyznają prawdę.

W końcu Ingela obiecała zachować to dla siebie. Tak, naprawdę obiecała.

Problem w tym, że była tak cholernie... nieprzewidywalna.

Per odwraca się i zaczyna iść z powrotem w stronę gospodarstwa. Muszę jeszcze raz z nią porozmawiać, myśli. Teraz, zanim będzie za późno.

– Kto, do cholery, szwenda się pieszo po Hiszpanii? Co to za szwedzki idiotyzm?

Karen odchyła się na krześle z takim animuszem, że to odjeżdża do tyłu i uderza o puste biurko Johannisena.

Nikt nie odbiera telefonu zarejestrowanego na Disę Brinckmann pod jej adresem w Malmö, ale Astrid Nielsen udało się dotrzeć do niejkiej Mette Brinckmann-Grahn, córki Disy Brinckmann, zamieszkałej z dwudziestotrzyletnim synem Jesperem w Lommie na przedmieściach Malmö. I kiedy Karen do niej zadzwoniła, odebrał właśnie jej syn.

Trudno jej było zrozumieć jego południowszwedzki dialekt, tyle jednak udało się jej wywnioskować: Jasper Grahn nie wie nic o ewentualnych kontaktach babci z żadną Susanne Smeed z Doggerlandu. W gruncie rzeczy nie wykazywał większego zainteresowania działaniami i pomysłami swojej babci. Możliwe, jak sądził, że jest w Hiszpanii.

– Jakaś cholerna wędrownia jezusowa czy co oni tam robią – powiedział, silnie akcentując dyftongi. – Ale lepiej zapytajcie moją mamę, wróci do domu za godzinę.

I rzeczywiście, kiedy Karen udało się skontaktować z Mette Brinckmann-Grahn trochę ponad godzinę później, te informacje się potwierdziły. Disa Brinckmann pojechała do Santiago de Compostela i prawdopodobnie miała wrócić za dziesięć, dwanaście dni.

– Mamę bardzo zajmują sprawy duchowe, wydaje mi się, że już trzeci raz pokonuje tę trasę, więc nie chodzi tu o żadną zorganizowaną podróż; zazwyczaj nie ma jej przez dwa, góra trzy tygodnie. Ale coś mi majaczy, że w przyszły weekend wybiera się na koncert w Malmö, więc do tego czasu powinna wrócić do domu.

– Rozumiem, a czy pani mama ma telefon komórkowy? Nie udało nam się dotrzeć do żadnego numeru.

– Oj tak, ale jest zarejestrowany na moje nazwisko, bo to ja płacę rachunki. Dostała go pod choinkę. Leży tutaj w kuchni. Odwoziłam ją na samolot i wtedy poprosiła mnie, żebym się nim zajęła.

– Dlaczego?

– Mimo wszystko nie chciała go mieć włączonego podczas wędrówki. Idea tego wyjazdu opiera się na wyciszeniu i refleksji. Poza tym bała się, że może go zgubić. Pytałam, jak będę mogła się z nią skontaktować, gdyby coś się stało, ale wyjaśniła, że dzwoniący telefon zniweczyłby całe przeżycie. Nie było nawet sensu jej przekonywać. Chce pani mimo wszystko numer? Wróci w końcu niedługo do domu.

Karen westchnęła głęboko, zanotowała numer i zmieniła temat.

– Czy to prawda, że pani mama mieszkała w komunie w Langevik na początku lat siedemdziesiątych?

Mette Brinckmann-Grahn milczy przez kilka sekund, a kiedy wreszcie odpowiada, w jej głosie wyczuć można powiew chłodu.

Trzyma się na baczności, myśli Karen.

– Tak, to prawda, ale było to ponad czterdzieści lat temu. Przeprowadziłyśmy się z powrotem do domu, zanim poszłam do szkoły. O co właściwie chodzi?

Karen krótko opowiada o tym, że niejaka Susanne Smeed została znaleziona martwa i że doggerlandzka policja ma informacje wskazujące na to, że Disa starała się z nią skontaktować kilka miesięcy wcześniej. Teraz po prostu zadają rutynowe pytania tym, którzy mieli kontakt z Susanne w ostatnim czasie.

– Czy ma pani jakieś przypuszczenia, dlaczego pani mama chciała się skontaktować z Susanne?

Tym razem odpowiedź pada szybko.

– Nie mam pojęcia.

Karen wyczekuje po drugiej stronie w milczeniu, aż Mette Brinckmann-Grahn rozwinie swoją wypowiedź.

– Prawdopodobnie chciała się skontaktować z kimś z tamtego okresu i liczyła, że Susanne będzie mogła jej pomóc. Mama jest trochę... jak by to powiedzieć? Ona wciąż na swój sposób bardzo mocno żyje tym, co działo się w latach siedemdziesiątych. Ale powinniście oczywiście porozmawiać z nią sami, kiedy już tu będzie.

Mette obiecała dopilnować, żeby mama skontaktowała się z Karen, kiedy tylko wróci do domu albo nawet wcześniej, jeśli wbrew wszelkim przypuszczeniom odezwie się do córki z Hiszpanii. Potem zakończyły rozmowę.

Karen zamyka oczy i myśli o słowach Jespera Grahna. „Wędrówka jezusowa”.

Śmieje się pod nosem. Taa, tak też to można określić. Sama czytała o pielgrzymkach do Santiago de Compostela, widziała piękne, przyprawiające o zawrót głowy zdjęcia z różnych tras obieranych przez pielgrzymów, ale jej samej nigdy to nie pociągało. Tę szczątkową wiarę w Boga, którą wyniosła z domu – rodzina ojca podejmowała nieprzekonujące próby sprowadzenia jej na tę wąską ścieżkę w czasie tygodni, które Karen spędzała latem z kuzynami na Noorö – zatraciła w pewien grudniowy wtorek jedenaście lat temu.

Pielgrzymowanie na obolałych nogach nie wchodziło dla Karen Eiken Hornby w rachubę. I jak, do diabła, kobieta, która musi mieć dobre siedemdziesiąt dwa lata, daje radę drałować po pylistych wiejskich drogach w Hiszpanii przez kilka tygodni?

– A jak można, do cholery, być na nogach już kilka dni po zawale serca – mamrocze poirytowana i posyła ponure spojrzenie w stronę biurka Johannisena, a później kieruje się do własnego stanowiska.

Evald Johannisen kazał przekazać za pośrednictwem żony, że ma zostać wypisany jutro rano i w najlepszym wypadku wróci do pracy już za dwa tygodnie.

– Dusznicy – poprawia ją Karl. – To nie był zawał. Mój ojciec też wcina nitroglicerynę i blokery wapnia...

– Tak, tak, ale on jest, do cholery, dentystą, nie policjantem – przerywa mu skwaszona. – Johannisen powinien skorzystać z okazji i przejść na emeryturę. Wcześniej też nie był przecież w topowej formie, jeszcze zanim zważyło go z nóg, jak on to sobie, do cholery, wyobraża? Że niby jak da radę?

– Pytanie brzmi raczej, czy ty dasz radę. Wydajesz się, delikatnie mówiąc, zestresowana – stwierdza spokojnie Karl. – Jadłaś już lunch?

– Nie jestem głodna – zbywa pytanie. – Uważasz, kurna, że jestem zestresowana, bo do niczego jeszcze nie doszliśmy. Niedługo minie tydzień, a nie mamy nic.

– Minęło pięć dni – mówi Karl i się podnosi. – Wiele może się jeszcze zdarzyć, jak sama mówiłaś wczoraj na naradzie.

– Kłamałam – odpowiada ponuro.

– Tak, wiem, czasem ci się zdarza.

– Wydawało mi się, że już to sobie wyjaśniliśmy – burczy Karen.

Karl ma zapewne rację, myśli. Te lekkie zawroty głowy świadczą prawdopodobnie o tym, że poziom cukru spadł jej do kostek.

– Wyluzuj, Eiken.

– Przepraszam. Jestem po prostu cholernie zmęczona tym, że nie posuwamy się do przodu. Każdy z tropów, który sprawdzamy, prowadzi do punktu wyjścia. Ktoś zabił Susanne Smeed i nie mamy zielonego pojęcia, kto to zrobił ani dlaczego.

– Hmm, nie była raczej do rany przyłoż, więc niewykluczone, że ktoś miał motyw.

– Ja też nie jestem do rany przyłoż, ale nikt mi za to nie roztrzaskał głowy.

– Jeszcze nie... – mówi Karl i się szczerzy. – Chociaż Johannisen chętnie by to zrobił. A czasem ja też.

– Założę się, że Haugen każe przejąć to śledztwo komuś innemu, jeśli nie dojdziemy zaraz do czegoś, co choćby przypomina teorię. Poza tym mam wrażenie, że powietrze zaczyna schodzić z grupy.

– Tak, ale tak czy inaczej, jestem głodny i zamierzam skoczyć na dół do Magazynu. Idziesz? Mają tam cholernie dobre szproty...

Wzdychając, Karen wstaje i ściąga kurtkę z oparcia fotela.

Kwadrans później rozsiadają się przy stoliku pod oknem. Zbliża się wpół do drugiej i pora najgorszego lunchowego szczytu już minęła. Karen bierze łyk piwa i spogląda na port.

Duże statki rybackie mają obecnie swój macierzysty port w Ravenby, ale wciąż cumują tu trawlerzy i krągłe kutry w jednym rzędzie z aluminiowymi łodziami poławiaczy ostryg. Grupa płetwonurków stoi zwarta na krawędzi nabrzeża; sprawiają wrażenie, jakby omawiali coś, żywo gestykulując. Prawdopodobnie jak zwykle uskarżają się na konkurencję z mielizny ostrygowej na południu Frisel. Trochę dalej idzie pochylony do przodu mężczyzna ze sklepowym wózkiem i szuka aluminiowych puszek. Karen rozpoznaje go – kiedy rano po Oistrze stała przy murku na promenadzie, widziała, jak spał na plaży.

Tyle się działo, odkąd obudziła się w hotelowym łóżku koło swojego szefa, że ledwie miała czas pograć się w żalu i skrusze. Teraz, na wspomnienie tego, co się stało, ogarnia ją nieprzyjemne uczucie i szybko odwraca wzrok w stronę Karla.

– No proszę – mówi zadowolony, kiedy kelnerka stawia przed nimi talerze i koszyczek z chlebem.

Od samego zapachu skręca ją w żołądku: na chrupko usmażone szproty, masło czosnkowe, cytryna i pietruszka. I parujący chleb na zakwasie prosto z pieca. Czosnek jest współczesnym wynalazkiem; starsi ludzie wciąż jedzą szprota z roztopionym smalcem, kroplą octu winnego i siekanym czosnkiem niedźwiedzim, kiedy tylko pora roku na to pozwala. Karen słyszy z zadowoleniem cichutkie trzeszczenie, kiedy wbija widelec w pierwszego szprota. Z uśmiechem na twarzy patrzy Karłowi w oczy.

– Miałaś rację – mówi. – Ale byłam głodna.

Jedzą w ciszy, aż wreszcie Karl zbiera resztki stopionego masła kawałkiem chleba. Upija kilka łyków piwa, odchyła się na krzesło i przyglądając się Karen, tłumi beknięcie dłonią.

– Naprawdę sądzisz, że Jounas mógł to zrobić? – pyta. – Wydaje mi się, że wszyscy się zastanawiają, czy ty naprawdę sądzisz, że to on, czy tylko sobie z nim pogrywasz.

– Pogrywasz? Przecież nie ja, do cholery, zdecydowałam o tym, żeby zawiesić go w obowiązkach służbowych, nawet Haugen doszedł do wniosku, że to jedyne rozwiązanie.

– Wiem – odpowiada spokojnie Karl. – Ale to ty przesłuchiwałaś go na osobności i tylko ty możesz rozstrzygnąć, czy jego wersja tego, co robił w niedzielę, ma ręce i nogi. A ty najwyraźniej tak nie uważasz, jeśli dobrze cię rozumiem.

– Chciałabym, żeby tak było. Uwierz mi, wcale nie zamierzałam wpakować się w taką sytuację.

– A więc nie masz ambicji, żeby zostać szefową kryminalnych? Przyznaj, że trochę podoba ci się ta myśl.

Spogląda mu w oczy bez uśmiechu na twarzy.

– Nie w ten sposób – odpowiada. – A Jounas albo wróci i zmieni moje życie w piekło, albo nie wróci, ale wtedy i tak nie dostanę na stałe tego stanowiska.

– Niby czemu nie? Bo szastasz pieniędzmi na potwornie drogie ekspresy do kawy?

– Bo w takim wypadku przyczynię się do tego, żeby wsadzić Jounasa Smeeda za kratki za morderstwo. I dlatego, że wpływy rodziny Smeedów

sięgają wysoko w kierownictwie policji. Wiesz chyba, że wuj Jounasa jest żonaty z siostrą Haugena?

– A więc myślisz, że to dlatego dostał tę pracę?

– Nie tylko. Jest świetnym policjantem. Nadętym i niesympatycznym, ale sprytnym jak cholera, przecież wiesz. I chłopaki go lubią. Johannisen wylizałby mu buty, gdyby Jounas go o to poprosił.

– Okej, co w takim razie się nie zgadza? Przedyskutujmy to jeszcze raz.

– Sprawdziłam w hotelu, w którym się tej nocy zatrzymał; mogą potwierdzić, że najwcześniej opuścił pokój pięć po dziewiątej. Wtedy sprzątaczką widziała, że wywieszka „Nie przeszkadzać” wciąż była na drzwiach.

Upija piwo i mówi dalej:

– Jego samochód stał zaparkowany pod ratuszem i żeby tam dojść, potrzebował najwyżej sześciu, siedmiu minut. Miał więc w takim razie czterdzieści pięć minut, żeby pojechać do Langevik i zabić Susanne. Zdaniem Brodala mogła zostać zakatowana najpóźniej o dziesiątej, nawet jeśli prawdopodobnie doszło do tego wcześniej. Sam chyba słyszałeś, że nie jest w stanie dokładniej tego określić. Mnie samej pokonanie trasy między Dunkerem a Langevik zajęło pół godziny. Zazwyczaj trwa to czterdzieści minut.

– A więc dziesięć minut. Taka jest luka.

– Tak.

– Co na to Haugen?

– Jest poirytowany, ale prokurator Vegen to na szczęście mądra kobieta. Rozumie, że musimy trzymać Smeeda z dala od śledztwa tak długo, jak długo luka nie zostanie domknięta.

– A co na to mówi sam Jounas?

– Że wyszedł z hotelu o wpół do dziesiątej i poszedł prosto do domu. Nikt w hotelu nie widział, jak wychodził, ale może to być prawda. Chłopak z recepcji nie należy raczej do tych, którzy siedzą uwiązani na swoim posterunku.

– A przed dziewiątą, zastanawiałaś się nad tym? Zdaniem Brodala do morderstwa mogło dojść już koło ósmej. Jounas mógł przecież wyjść z hotelu wczesnym rankiem i obrócić do Langevik i z powrotem. Jeśli tak łatwo było się prześlizgnąć obok chłopaka z recepcji, to jest to całkowicie możliwe. Gadałaś z tą babą, którą wziął ze sobą do hotelu?

Karen, która właśnie uniosła kufel do ust, zamiera w pół ruchu tak gwałtownie, że piwne fale uderzają o brzegi i obryzgują jej dłoń. Podejmuje desperacką próbę zamaskowania tego udawanym kaszlem. Karl przygląda się jej z uniesionymi brwiami i nieufną miną. A sekundę później Karen obserwuje, jak to do niego dociera.

– Nie może być – mówi. – A niech mnie, to nie może być prawda.

– To znaczy? – pyta i odstawia kufel, uciekając przed jego wzrokiem.

Jej głos jest spokojny, ale policzki ją palą i wie, że to widać. Karl przejrzał ją w ułamku sekundy. On też jest bystrym policjantem, myśli.

Teraz przygląda się jej w milczeniu, a ona szykuje się na wybuch sarkazmu, który zaraz ma nastąpić. Karl nie będzie plotkował, wydział nie musi się dowiedzieć, ale myśl o tym, że Karl już wie, wystarcza. Karen Eiken Hornby przespała się z szefem.

Nie naciska, żeby się przyznała, wie, że nie musi pytać, czy ma rację.

– I o której wyszłaś ze Strandu? – pyta tylko.

– Dwadzieścia po siódmej – mówi cicho.

– Okej, to obala tę teorię – mówi oschle Karl. – Chcesz jeszcze jedno piwo? Ja w każdym razie go potrzebuję.

Karen przytakuje niemrawo w odpowiedzi, a Karl kiwa na kelnerkę i zamawia jeszcze dwa piwa.

– A, słuchaj – mówi i znów odwraca się do Karen. – Żałujesz?

– No zgadnij.

– Okej, nie będę pytać, jak było. Przypuszczam, że nie pamiętasz tego zbyt dobrze.

– Oistra, no wiesz – mówi i próbuje się uśmiechnąć, ale bez powodzenia. – Chyba nic nie powiesz...

– Nie no, od razu polecę z tym do Haugena. Potem zadzwonię do Jounasa i zapytam, czy jesteś dobra w łóżku. Co ty w ogóle sobie o mnie myślisz!

– Dzięki i przepraszam.

Jeszcze jedna próba, żeby się uśmiechnąć; jej policzek się marszczy. Z wdzięcznością spogląda na swoje piwo, które kelnerka dopiero co postawiła przed nią na stole. Piją przez chwilę w ciszy, później Karl znów zabiera głos:

– Hmm – mówi. – Jeśli dostawałbym pięć marek za każdy nieudany seks, byłbym zamożnym człowiekiem. Ale tak serio, Eiken, ty i Smeed... nigdy bym w to nie uwierzył. Musiałaś mieć w niedzielę cholernego kaca.

Zdaje się, że w tej samej chwili coś do niego dociera.

– A wtedy właśnie dzwoni Haugen i mówi, że żona Smeeda została zamordowana.

– Była żona – poprawia go Karen.

Karl Björken pochyła się do niej i w jego krzywym uśmiechu dostrzec można radość z jej nieszczęścia.

– Ach tak. A więc to dlatego tak się starałaś, żeby przesłuchać go w cztery oczy. Cholera, ale jestem łatwowierny: „To ze względu na Jounasa”, tak mówiłem Johannisenowi.

Karen milczy, wpatrzona w stół.

– Musiałaś przechodzić przez małe piekło, Eiken. I dobrze ci tak.

Jest już prawie trzecia, kiedy wracają do komendy. Karen stara się odegnąć od siebie poczucie wstydu, przedzierając się jeszcze raz przez wszelkie pisemne raporty, które przesłano jej w ciągu dnia. Napłynęły już odpowiedzi ze wszystkich krajów w związku z ich zapytaniem o ewentualne figurowanie któregoś z pasażerów w rejestrze karnym. Do tych, których wcześniej zgłoszono jako skazanych na karę pozbawienia wolności, doszła jeszcze tylko jedna osoba. Mężczyzna z Włoch, który kilkakrotnie obnażał się na podwórzach szkół i placach zabaw. Ostatni raz dopiero po ośmiu miesiącach w zakładzie otwartym pozwolono mu wrócić do żony i dzieci mieszkających pod Palermo. Obecnie doskwiera mu jednak ciężki reumatyzm i okresowo siedzi na fotelu inwalidzkim, zanotował Cornelis Loots.

Kilka godzin później Karen rzuca okiem na zegarek i stwierdza, że popołudniowa narada zaczyna się za sześć minut. Zniechęcona podnosi się i idzie do ekspresu. Kiedy patrzy, jak czarna kawa nalewa się strumieniem do kubka, coś majaczy jej z tyłu głowy. Coś, co jest blisko, ale wyślizguje się jej, gdy tylko próbuje to uchwycić. Takie niejasne uczucie, że coś słyszała albo widziała, ale nie zwróciła na to należytej uwagi. Coś, co może mieć znaczenie.

– Z grubsza rzecz biorąc, tylko pięć numerów powtarza się wśród połączeń przychodzących i wychodzących. Bezpośredni numer Gunilli Moen, bezpośredni numer szefa HR, centrala w Solgården, komórka Jounasa Smeeda i Sigrid Smeed. Jest też, rzecz jasna, kilka pojedynczych rozmów z różnymi sprzedawcami i dostawcami. I połączenie z zarejestrowanego szwedzkiego numeru oraz trzy z niezarejestrowanego numeru na kartę.

Cornelis Loots jeszcze raz kartkuje dużymi piegowatymi dłońmi zszyte ze sobą kartki A4, które zawierają historię połączeń przychodzących i wychodzących ze służbowej komórki Susanne Smeed z sześciu ostatnich miesięcy. Kiedy billingi przyszły kilka godzin wcześniej, nawet Karl Björken musiał przyznać, że tym razem TelAB uwiął się z tym nadzwyczaj prędko.

Teraz Cornelis Loots odkłada papiery na stół i patrzy na kolegów, którzy co do jednego mają utkwione w nim swoje pełne nadziei spojrzenia.

– I – mówi powoli, jakby rozkoszował się tym, że po raz pierwszy jest w centrum uwagi – tę niezarejestrowaną kartę SIM sprzedano w Szwecji. Dokładniej w Malmö.

– Ach tak. Stawiam dziesięć marek, że Disie Brinckmann – oświadcza Karl i odchyła się z westchnieniem.

Karen przyciąga do siebie billingi od Cornelisa. Przegląda swoje notatki, a potem zatrzymuje się i kręci głową.

– Nie, to nie jest komórka Disy Brinckmann – mówi. – Z kolei ten zarejestrowany numer należy do niej. W takim razie najwyraźniej udało się jej w końcu skontaktować z Susanne. Rozmawiały ze sobą blisko godzinę dwudziestego pierwszego czerwca.

– Kim jest więc, do cholery, ta druga osoba, która dzwoniła? Ktoś inny, kto również mieszka w Malmö, jak bardzo jest to prawdopodobne? Nie no, załóżę się, że ten numer na kartę też należy do Brinckmann.

– Susanne nie mogła używać telefonu służbowego do celów prywatnych, więc logiczne jest, że musiała mieć też prywatny numer –

mówi Astrid Nielsen. – Tam jest prawdopodobnie wszystko to, co mogłoby nas zainteresować.

– Tak, choć to raczej zwyczajny telefon alibi – zgadza się Karl.

Karen patrzy na niego z uniesionymi brwiami.

– Telefon alibi?

– Tak, żeby zachowywać pozory przed pracodawcą. Nie trzeba przecież używać tego drugiego, o ile nie chce się oglądać porno albo dzwonić z pogróżkami.

– Też taki masz? To znaczy, żeby zachowywać pozory przed górą.

– E tam, ja, kurde, jestem zawsze na służbie – szczerzy się Karl. – Tych kilka prywatnych rozmów w miesiącu odbywam na koszt państwa.

– Ja posiadam w każdym razie prywatną komórkę, której naprawdę używam – oświadcza Astrid. – Mamy jakiś abonament rodzinny z kilkoma numerami.

Oczywiście, myśli Karen i wzdycha. Rodzina Idealna zawsze dokonuje dobrych wyborów: jogging, zdrowe odżywianie i rodzinny abonament. Zapewne jeszcze chodzą do kościoła. W tej samej chwili dostrzega, że Astrid wygląda niezwykle blado. Kosmyk włosów odstaje jej z kucyka i odgarnia go z czoła zmęczonym ruchem.

– W każdym razie Susanne odebrała w sumie trzy połączenia przychodzące z tego numeru na kartę na służbową komórkę – ciągnie Cornelis Loots cierpliwie. – Dwa pod koniec czerwca, pierwsze trwało prawie pół godziny, a drugie zaledwie dwie minuty. Później minęły prawie trzy miesiące, aż przyszło jeszcze jedno połączenie z tego numeru, ale wydaje się, że trafiło prosto na automatyczną sekretarkę. – Cornelis robi teatralną przerwę, a potem dodaje: – To połączenie przyszło dwudziestego siódmego września o dziesiątej piętnaście – mówi.

– Dwudziestego siódmego? Przecież to było, do cholery, w zeszły piątek!

Dookoła stołu zapada cisza na dokładnie cztery sekundy. Ktoś zadzwonił do Susanne dwa dni przed tym, jak została zamordowana. Po tych czterech sekundach ciszy Cornelis Loots chrząka.

– TelAB pomogło nam zlokalizować, skąd dzwonił, i wygląda na to, że sygnał został odebrany przez maszt w centrum Kopenhagi.

– Tak, a więc zdecydowanie nie była to Disa Brinckmann. Ona pojechała do Hiszpanii... – Karen kartkuje swoje notatki – właśnie

dwudziestego siódmego. Nie miałyby raczej czasu, żeby wyskoczyć do Kopenhagi tego samego dnia, w którym leciała do Bilbao.

Do tej pory Astrid Nielsen siedziała cicho i stuknęła coś na komórcę. Teraz sięga po dzbanek z wodą, a drugą ręką uwalnia małą tabletkę przeciwbólową z plastikowego blistra. Naprawdę wygląda na zmęczoną, myśli Karen i przesuwa dzbanek w jej stronę. Może powinnam z nią porozmawiać i zapytać, jak się czuje. Astrid wtyka tabletkę prosto do ust i popija ją dwoma szybkimi łykami wody.

– Spokojnie mogła zdążyć – mówi. – Podróż pociągiem z Malmö do Kopenhagi nie zajmuje więcej niż pół godziny. A z Kastrup jest zdecydowanie więcej lotów niż z Malmö. Mógł to być najprostszy sposób, żeby dostać się do Bilbao.

– O ile jest teraz w Hiszpanii – mówi Karl. – Jeśli zamiast tego nie przyjechała tutaj. Mamy chyba listy pasażerów z dwudziestego siódmego? Może jakaś Disa Brinckmann przyleciała z Kastrup do Dunkeru.

Cornelis kiwa głową i podnosi się.

– Od razu to sprawdzę.

Nagle sala konferencyjna wibruje czymś, czego Karen nie czuła od kilku dni. Nadzieją. Może wreszcie natrafili na trop, który warto pociągnąć.

Osiemnaście minut później nadzieja zostaje rozwiana.

– Żadnej Disy Brinckmann nie było w samolocie do Dunkeru dwudziestego siódmego – mówi Cornelis Loots z niemal przeproszającym wyrazem twarzy, kiedy wraca na naradę.

– Przecież mogła przylecieć później, powinniśmy sprawdzić jeszcze przynajmniej kolejny dzień.

– Obawiam się, że to bez sensu – mówi Cornelis Loots. – Według SAS Disa Brinckmann z całą pewnością znajdowała się w samolocie lecącym o dziewiątej czterdzieści z Malmö do Bilbao dwudziestego siódmego września.

Jeszcze raz w pokoju zapada cisza.

– Wszystko wskazuje na to, że ta baba znajdowała się akurat w drodze do Hiszpanii, kiedy dzwoniło – mówi głucho Karl i ubiera w słowa to, do czego wszyscy już doszli. – Okej, a więc nie mogła to być Disa Brinckmann. Kto w takim razie, do cholery?

Karen zjeżdża z autostrady w stronę centrum handlowego Grenå. Zbliża się wpół do siódmej, ale w Temie kolejki do kas wciąż są długie. Tłok w sklepach w piątkowe popołudnia zrobił się kilka lat temu do tego stopnia nie do zniesienia, że coraz więcej osób robi zakupy na weekend już w czwartek. A teraz najwyraźniej ten odwrócony wyścig dodatkowo przesunął zakupy na środowy wieczór. Jeśli tak dalej pójdzie, myśli ponuro Karen ze wzrokiem utkwionym w listę zakupów, stojąc koło półek z alkoholem, niedługo weekendowe zakupy będziemy zaczynać już w niedzielę wieczorem.

Dyscyplina mieszkańców Doggerlandu, jeśli chodzi o kupowanie alkoholu, jest jednak ścisła, a efektywność wysoka. W delikatesach wolno stać i wybierać między pasztetami a szynką serrano, w sklepie rybnym oczekiwane jest staranne przebieranie i wybrzydzenie, i poświęcanie na każdy zakup mnóstwa czasu. Z kolei w dziale monopolowym ludzie wiedzą, czego chcą, szybko i wyraźnie artykułują zamówienie, przykładają kartę, biorą paragon i kilka minut później otrzymują alkohol w punkcie odbioru. Rodzaj taśmy produkcyjnej, która sprawia, że numerki szybko tykają. Pojedyncze butelki wina i piwa można kupić w małych sklepach z ograniczoną ofertą, ale większe zakupy robi się w którymś z marketów Tema lub Freja. Karen nie znosi robić dużych zakupów. Chociaż jedzenie w sobotę będzie proste, nie może zabraknąć niczego do picia. Poza tym musi uzupełnić piwniczkę.

Dwadzieścia minut później manewruje brzęczącym wózkiem po nierównej powierzchni wyasfaltowanego parkingu.

Po załadowaniu do samochodu dwóch skrzynek wina, palety piwa, dwóch butelek ginu, butelki whisky i torby z cebulą, czosnkiem, masłem i śmietaną bierze duży gryz czekoladowego ciastka, które zgarnęła przy wyjściu, i zaczyna wracać z wózkiem.

Małże kupi w piątek w porcie, a Marike obiecała przywieźć świeży chleb z miasta, ale zapewne powinna podać też jakiś deser. Dlaczego nie pomyślała o tym wcześniej? Myśl o powrocie do sklepu nie jest pociągająca.

Młody mężczyzna w czerwonym stroju roboczym z Temy odczepia długi rząd wózków i zaczyna iść z nimi w kierunku wejścia. Szarlotka, myśli, mam w domu masę jabłek, dobrze będzie.

– Halo, ten też pan weźmie?

Mężczyzna zatrzymuje się i obraca, ale nie wydaje się doceniać tego, że mu przerwano. Z westchnieniem bierze wózek Karen i wsuwa go na koniec rzędu. Całą swoją siłę musi włożyć w to, żeby znów wprowadzić w ruch długi zaprzęg i Karen przygląda się jego pochylonej postaci, a myślami dalej krąży wokół soboty. Klasyczna z cynamonem albo może tarta tatin...

Nagle zamiera. Sekundę później wyciąga telefon z kieszeni kurtki i szybko skroluje spis kontaktów.

Jounas Smeed odpowiada po piątym sygnale.

– Cześć, Eiken, co ci leży na sercu tym razem? – Jego słowa są nieprzyzwoicie uprzejme, ale głos zdradza, że nie cieszy się z jej telefonu. Karen ignoruje jego skwaszony ton i przechodzi do rzeczy, bez przywitania.

– Ten facet, na którego wpadłeś w niedzielę rano. Pytał cię o papierosy – mówi. – Pamiętasz coś jeszcze z jego wyglądu?

– Daj sobie wreszcie z tym spokój. Nie, mówiłem przecież. Wiesz, ilu żuli szlaja się po tym mieście? Słyszałem od Haugena, że najwyraźniej stoicie w miejscu, ale nie masz nic lepszego, żeby się zaczepić?

– Nic nie pamiętasz? – nie ustępuje. – Nic a nic? Skup się.

– Chodzi ci o coś więcej niż smród potu i fermentacji alkoholowej? Proszę cię, Karen, naprawdę nie jesteś aż tak ładna, żeby być *tak* głupia.

Rechocze, najwyraźniej zadowolony ze swojej podwójnej impertynencji, a ona walczy z chęcią, żeby się rozłączyć. Tak łatwo by było to wszystko po prostu olać. I to nie z powodu Jounasa podejmuje jeszcze jedną próbę.

– Powiedziałaś, że wpadliście na siebie na promenadzie. Zwróciłeś może uwagę, skąd szedł?

– Niby jak, do cholery? Zataczał się na końcu ulic, tuż przy szczycie zejścia na plażę. O co ci właściwie chodzi?

Coś zmieniło się w głosie Jounasa; słaba nutka zainteresowania przebija przez udawaną obojętność. Karen zwleka, potem zadaje pytanie, nie chcąc na nic go naprowadzać. To ostatni płomyk nadziei.

– Hmm, czy miał coś ze sobą?

Poirytowane westchnięcie zdradza, że ta iskierka zainteresowania, która była bliska rozbłysnięcia, właśnie szybko przygasa.

– Nie mam, cholera, pojęcia, co miał ze sobą. Wydaje mi się, że taki duży wózek ze sklepu, który część z nich podwędza z marketów, ale nie prosiłem go, żeby pozwolił mi do niego zajrzeć. Szczerze mówiąc, Eiken...

Karen bez słowa kończy połączenie.

Spinnhusgate wydaje się na pozór pusta, kiedy Karen powoli okrąża Stadshusparken i jedzie dalej Valhallagate w stronę budynku parkingu za starą solarnią. Siedzi lekko pochylona za kierownicą i wyteża wzrok, wsłuchując się w monotony dźwięk wycieraczek, które co cztery sekundy zbierają wodę z przedniej szyby. Na wysokości parkingu za halą targową dostrzega to, czego szukała. Błyskawicznie hamuje, przechyla się nad siedzeniem i opuszcza okno po stronie pasażera.

Kobieta, która zamierza właśnie przejść pod żółtym szlabanem przy wyjeździe, zastyga na odgłos zatrzymującego się wozu i raptownie odwraca. Instynktownie wypina do przodu pierś i formuje usta w zachęcający dzióbek. Chwilę później dostrzega, kto siedzi w samochodzie, który ją dogonił, i przerywa swoje przedstawienie.

– Cześć, Gro! – woła Karen. – Wskoczysz się ogrzać na chwilę? Chciałabym cię o coś zapytać.

Gro Aske zwleka przez moment, potem, stukając wysokimi obcasami, zbliża się do krawędzi chodnika. Pochyla się z krzywym uśmiechem na ustach, który odsłania szczerbę w górnej szczęce między dwójką a czwórką.

– Cholera, wzięłam cię za frajera.

Tlenione włosy są ciemne u nasady i wilgotne od deszczu, a krótka kurtka z białego sztucznego futerka jest kiepsko dobranym do takiej pogody strojem.

– Nie masz przypadkiem nic do picia? – pyta Gro Aske pełna nadziei, kiedy siada na fotelu i chucha na zaciśnięte dłonie. – Potrzebowałabym czegoś, żeby się rozgrzać.

Miała chociaż na tyle rozumu, żeby zostawić w domu mini, myśli Karen, przyglądając się wąskim džinsom, które opinają chudziutkie uda Gor Aske.

– Sorry – mówi. – Ale możesz dostać papierosa – dodaje i sięga do kieszeni kurtki po dopiero co kupioną paczkę.

Żebyś tylko wiedziała, co mam z tyłu w samochodzie, myśli na wspomnienie skrzynek z winem, piwa i whisky w bagażniku. Sekundę później krzywi się na rumor, który dochodzi z piersi Gro Aske, gdy ta

zaciąga się po raz pierwszy, a potem, kaszląc, przeklina. Karen widywała Gro na ulicach od blisko dziesięciu lat, jednak dopiero teraz, z bliska, dostrzega, jak naprawdę mocno zniszczona jest ta kobieta: wychudzona, z zapadniętymi oczami i poszarzałą skórą. Pewnie nie ma jeszcze czterdziestki, myśli i stara się nie pokazywać, jak ją to porusza.

– Chyba najwyższy czas z tym niedługo skończyć? – pyta.

– Z paleniem? O to ci chodzi? – odpowiada Gro z sarkastycznym uśmiechem.

– Wiesz, o co mi chodzi.

– I co miałabym robić?

– Nie wiem, może budzić się bez obaw. Przestać babrać się w tym gównie. Może spotkać z córką. Najpewniej od ręki daliby ci miejsce w Lindvallen, jeśli tylko zgłosiłabyś się po pomoc.

– Wiem. Szczerze? Zastanawiam się nad tym każdego ranka, kiedy po raz pierwszy daję sobie w żyłę, ale wieczorem wychodzę i znów zaczynam polowanie. Hmm, wiesz, jak jest...

Czy na pewno? – myśli Karen.

Co ona właściwie wie o tych kobietach i młodych dziewczynach, które w zdecydowanie za krótkich spódniczkach i z posiniałymi od zimna nogami pochylają się przy otwartych oknach samochodów? Co wie o niemogących spać matkach, które oglądają zdjęcia lodowato zimnych schronień zajmowanych przez narkomanów i próbują zagłuszać własne myśli i które obawiają się ostatecznej rozmowy o przedawkowaniu? Co ona właściwie wie o trudnościach piętrzących się przed kimś, kto chce wydostać się z tego bagna?

A może jej własna niezdolność do zapanowania nad życiem nie różni się wcale tak mocno od tej Gro, jak chciałyby w to wierzyć?

Karen postanawia przejść do rzeczy.

– Potrzebuję twojej pomocy – mówi. – Znasz chyba większość bezdomnych w tym mieście?

Nie odpowiadając, Gro wpatruje się w żar papierosa i wydyma usta, jej mina wskazuje, że może to być prawda.

– Jest jeden facet, który kręci się z dużym wózkiem sklepowym – ciągnie Karen.

– Wielu tak robi. Mówią na nich zmotoryzowani.

Karen mimowolnie parska śmiechem.

– Ten facet trzyma się chyba okolic promenady i zbiera puste butelki.

Gro zaciąga się, przez kilka sekund przytrzymuje w płucach dym, a później wydmuchuje go z głośnym świstem.

– Nie kabluję. Wiesz przecież.

– Wiem, a ja wcale nie szukam go, żeby za coś wsadzić. W takiej sytuacji bym ciebie nie pytała.

– O co więc, do cholery, może chodzić?

– Możliwe, że jest w stanie dać pewnej osobie alibi, nic więcej. Słowo, Gro.

– I nie masz nic do picia?

Karen kładzie rękę na kluczyku w stacyjce.

– Pomożesz mi czy nie? Jeśli nie, to muszę szukać dalej.

Gro Aske zaciąga się po raz ostatni, otwiera drzwi i wyrzuca niedopałek na chodnik. Ale później znów je zamyka.

– Chodzi ci prawdopodobnie o tego nowego kołesia – mówi. – Leo Friis, tak mi się wydaje. Trzyma się głównie z boku, choć zdarza się, że przysiada na chwilę z chłopakami w Riksis. Chociaż raczej nie sądzę, żeby siedział tam przy tej pogodzie.

Leo Friis, myśli Karen. Nazwisko wydaje się jej jakby znajome. Pewnie siedział nieraz na dołku za pijaństwo.

– A poza tym? Wiesz, gdzie zwykle przebywa?

– I mówisz, że on nic nie zrobił?

– Przyrzekam. Słowo honoru.

Karen podaje jej paczkę papierosów i kiwa nią zachęcająco. Gro wyciąga w jej stronę zmarzniętą rękę.

– Podobno ma małego bzika, jeśli chodzi o zamknięte przestrzenie. Sprawdzałaś w Nyhamnen, pod którąś z ramp załadunkowych?

Telefon dzwoni w chwili, gdy Karen właśnie skręca z autostrady w stronę Dunkeru. Przycisza poranne wiadomości o wpół do ósmej i wkłada do ucha słuchawkę.

Jej próby odnalezienia wczoraj wieczorem Leo Friisa od początku były skazane na porażkę. Po tym, jak dwadzieścia minut krążyła powoli wśród magazynów i ramp załadunkowych, wodząc światłami samochodu jak reflektorami poszukiwawczymi, dała za wygraną. Dawny teren portowy o wprowadzającej w błąd nazwie Nyhamnen – Nowy Port – nie był może duży, mierząc go miarą dzisiejszych portów, ale trudny do przeszukania. Jeśli Leo Friis zatrzymał się tu w którejś z niezliczonych kryjówek, była dużo większa szansa, że zobaczy ją pierwszy, zanim ona zdąży dostrzec jego. A jeśli on także – jak wszyscy inni bezdomni – jest w stanie wyczuć policjanta ze stu metrów, nie należało liczyć na to, że się zdemaskuje.

Pomysł, żeby zadzwonić do Sary Inguldsen, okazał się z kolei zrzędzeniem losu. Nie, odparła, w tej chwili była akurat w domu i miała się właśnie położyć, ale jutro zaczynają z Björnem zmianę o wpół do szóstej. Oczywiście będą mieli oczy szeroko otwarte i będą wypatrywać bezdomnego, który chodzi ze sklepowym wózkiem w okolicach starego Nyhamnen.

– Ale nie zatrzymujcie go – podkreśliła jeszcze raz Karen przed zakończeniem rozmowy. – Zachowujcie dystans i dajcie mi tylko znać, gdzie jest, a ja już go znajdę.

I teraz, z samego rana, Sara Inguldsen doniosła jej, że zauważyli kogoś, kto może być Friisem – idzie Gammelgårdsvägen od strony portu.

Zlokalizowanie go zajmuje jej sześć minut. Leo Friis człapie po delikatnie wznoszącej się Gammelgårdsvägen w stronę centrum. Ma zgarbione plecy i szarobury wełniany koc narzucony na ramiona. Karen przejeżdża obok i zatrzymuje się kawałek dalej na ulicy. Potem wysiada z samochodu, wyciąga paczkę papierosów i udaje, że szuka czegoś w torebce. Cholerne szczęście, że nie dałam rady rzucić, myśli, może mogłabym podciągnąć papierosy pod wydatki służbowe?

– Przepraszam – mówi do zbliżającego się do niej Leo Friisa. – Masz może zapalniczkę?

Bezdomny zatrzymuje się i rozgląda zdezorientowany, żeby zobaczyć, kto zadał to pytanie.

– A nie, tutaj jest – mówi Karen zniesmaczona swoim kiepskim aktorstwem. – Chce pan jednego?

Wyciąga paczkę w jego stronę, Leo Friis wygląda, jakby się wahał. Tacy jak on nie są, do cholery, zatrzymywani przez baby, które oferują im fajki, o ile nie kryją się za tym żadne problemy.

– Czego chcesz? – mówi krótko.

– Leo Friis?

– A ty to, kurwa, kto?

– Karen Eiken – mówi i wyciąga do niego rękę.

Nie odpowiada tym samym. Rozdarty między naturalnym odruchem, żeby stąd odejść, a głodem nikotynowym, który doskwiera mu od wczorajszego wieczoru, trzyma wzrok utkwiony w paczce papierosów w drugiej ręce Karen. Ona próbuje jeszcze raz.

– Jestem z policji i... nie, tylko spokojnie, nie zrobiłeś nic złego, chciałabym ci tylko zadać jedno pytanie.

– Nie mam nic do powiedzenia.

Leo Friis napręża się, żeby wprawić w ruch ciężki wózek, a ona rzuca okiem na zawartość: torby z pustymi puszkami i butelkami, coś, co przypomina zwinięty śpiwór, para zimowych butów i kilka tobołków z bliżej nieokreśloną zawartością. Nie chcąc mu tego dodatkowo utrudniać, Karen usuwa się na bok, żeby przynajmniej nie musiał jej wymijać.

– Nawet jeśli pomożesz oczyścić kogoś z podejrzeń, kogoś, kto najprawdopodobniej nie popełnił przestępstwa?

Leo Friis nie odpowiada.

– Chcesz zjeść śniadanie? Tam dalej jest otwarta kawiarnia, widziałam – mówi szybko jak automatyczna sekretarka. – Ja stawiam. Kawę i kilka kanapek. A potem papierosy. Dostaniesz całą paczkę. – Kiwa głową w stronę kawiarni po przekątnej i widzi, że Leo Friis podąża za jej wzrokiem.

– I wydaje ci się, że mnie tam wpuszczą? Zapomnij.

– Wpuszczą cię, skoro tak mówię.

Je z apetytem, co rusz rzucając okiem na zaparkowany przed oknem wózek. Na szczęście koc też zostawił na zewnątrz i Karen zwróciła uwagę, że zanim weszli do środka, przejechał palcami po włosach, żeby się ogarnąć. Pewność siebie, z jaką Karen usadziła swojego gościa przy stoliku pod oknem i z jaką później zamówiła dzbanek kawy, szklankę mleka, dwie kanapki z serem i jedną z pieczenią baranią, sprawiła, że dziewczyna za ladą powstrzymała się od jakichkolwiek komentarzy. Na podejrzliwe spojrzenia Karen nie jest w stanie nic zaradzić, ale Leo Friis wydaje się ich nie dostrzegać, a może po prostu się nie przejmuje. Na szczęście lokal jest prawie pusty, a ci nieliczni goście, którzy wchodzą, wybierają stoliki możliwie jak najdalej od tej dziwnej pary pod oknem.

Daje Leo zjeść w ciszy i obserwuje go zza filiżanki kawy. Z daleka wydawało się jej, że jest po sześćdziesiątce, może nawet starszy. Teraz, kiedy przygląda się temu mężczyźnie, dochodzi do wniosku, że raczej nie może mieć dużo więcej niż czterdzieści lat. Jego dłonie są zgrubiałe i mają czerwono-fioletowy kolor – prawdopodobnie następstwo zbyt wielu zimnych nocy spędzonych na dworze. Twarz do połowy pokrywa broda, ale dookoła oczu skóra jest stosunkowo pozbawiona zmarszczek. Za każdym razem, kiedy on odwraca głowę, żeby sprawdzić, czy jego drogocenny majątek wciąż znajduje się za oknem, dolatuje ją falami słaby zapach potu i pleśni.

– Poranek po Oistrze – mówi w końcu Karen, kiedy Leo wkłada sobie do ust ostatni kęs kanapki z baraniną i popija ją mlekiem. – Spałeś tamtej nocy na plaży, czyż nie?

– To zabronione?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Wydaje mi się, że to ciebie widziałam, kiedy stałam przed hotelem Strand parę minut po siódmej rano i spoglądałam na plażę. Czy to prawda?

Leo Friis na sekundę przechwytyje jej spojrzenie nad kubkiem kawy. Upija łyk i potem krótko kiwa głową.

– Niewykluczone. Spałem tam całe lato. Ta przeklęta pogoda zaczęła się dopiero kilka dni temu.

– Tak, pamiętam, że już nad ranem było wtedy ciepło i myślałam, że ten, kto tam śpi na dole, zapewne nie będzie czuł się szczególnie dobrze, kiedy się obudzi. Szczerze mówiąc, ja też nie czułam się tego dnia szczególnie dobrze – dodaje.

Leo Friis nie komentuje ani temperatury, ani tego, że kobieta naprzeciwko niego z jakiegoś powodu zdradza mu swój własny stan tamtego poranka.

– W każdym razie podejrzewam, że jakieś dwie godziny później doszedłeś do siebie i wspiąłeś się na górę, na promenadę. Chciałabym wiedzieć, czy tak było, a jeśli tak, to czy pamiętasz, czy kogoś tam spotkałeś. Kogoś, od kogo próbowałeś wyżebrać papierosa.

Ma tępy wyraz twarzy. Pustym wzrokiem spogląda przed siebie, jakby nie rozumiał pytania. Oczywiście, że jest to mocno naciągana teoria, myśli Karen, albo wręcz strzał w ciemno. Jak mogła chociaż przez moment łudzić się, że facet, który żyje jak Leo Friis, będzie w stanie przypomnieć sobie, gdzie był albo z kim rozmawiał cztery dni wcześniej? Zapewne cieszy się, jeśli sobie przypomni, co robił godzinę temu.

– A jeśli faktycznie tak było... – mówi, ociągając się.

– Jak to? To było tak czy nie było?

– Słuchaj, nie jestem całkiem stuknięty. Jeszcze nie. Tak, pamiętam, że gadałem z jednym gościem.

– Jesteś tego całkowicie pewien? Jak wyglądał, pamiętasz?

– Nie, taki normalny koleś. Urzędas, który zgubił się na mieście o niewłaściwej porze. Ale pomijając garnitur, wyglądał na potwornie steranego życiem, to mogę ci powiedzieć. Niech mnie szlag, ale wcale nie wyglądał, jakby był w dużo lepszej formie ode mnie dzisiaj.

– Garnitur, twierdzisz?

– Tak, ale niestety, nie powiem ci jakiej marki. Armaaani, może Hugo-nazi-Boss.

Leo Friis wymawia nazwy przez nos i Karen jest zdziwiona, że w ogóle zna marki domów mody. Ale właściwie czemu miałyby ich nie znać? Coś jej podpowiada, że Leo nie żyje jakoś bardzo długo z dala od reszty społeczeństwa. Jego nałóg nie odcisnął na nim jeszcze szczególnie głębokiego piętna.

– Okej – mówi Karen i się uśmiecha. – Pominiemy ten szczegół. Zastanawiam się, czy może pamiętasz, która mogła być wtedy godzina. To znaczy zrozumieć, jeśli nie pamiętasz dokładnie, ale...

– Za dwadzieścia dziesiąta – przerywa jej.

Karen patrzy na niego sceptycznie.

– Za dwadzieścia dziesiąta? I to akurat pamiętasz? Ot tak?

– Tak, to pamiętam. Ot tak. Zastanów się trochę, psia twoja mać.

Coś w jego głosie sprawia, że Karen odpuszcza następne pytanie i zamiast tego robi, co kazał. Zastanawia się. Co mogło sprawić, że facet, który odsypiał zamroczenie alkoholowe na plaży i obudził się spocony i skacowany, pamięta dokładnie, która była godzina? Chwilę później znajduje odpowiedź.

– Sklepy – mówi. – W niedziele otwierają o dziesiątej.

– Bingo! Cztery piwa i mała paczka papierosów. Właściwie też opakowanie kiełbasek. Tamtego ranka byłem niezwykle bogaty: puste butelki leżały stertami na plaży, wystarczyło je tylko pozbierać. Cały problem w tym, że kiedy się obudziłem, jeszcze nie otworzyli.

Leo sięga po dzbanek i nalewa sobie kolejną filiżankę kawy, a później ciągnie:

– Pakując je do wózka, cały czas sprawdzałem godzinę na kościele Mariackim. I kiedy pojawił się ten typ, zostało jeszcze dwadzieścia minut, żebym mógł sobie kupić papierosy, ale miałem tak ogromną ochotę na fajkę, że mógłbym go sprzątnąć, gdyby nie dał mi jej dobrowolnie.

– Wspaniale! Już dzwonię do Jounasa, żeby przekazać mu dobre wieści. Świetna robota, Eiken, naprawdę!

Viggowi Haugenowi śmieje się cała twarz i wykonuje on ruch, jakby chciał się podnieść z fotela dla gości w gabinecie prokurator Dineke Vegen. Później zatrzymuje się i znów opada na miękkie siedzenie. Obraca się w stronę sąsiedniego fotela, przekrzywia trochę głowę i posyła Karen współczujące spojrzenie.

– Tak, to oczywiście oznacza, że Jounas Smeed niezwłocznie wraca do służby. Należą ci się ogromne wyrazy uznania za twój wkład, Eiken, ale teraz już nic nie stoi na przeszkodzie, żeby Smeed przejął główną odpowiedzialność za śledztwo. Zdawałaś sobie chyba sprawę, że twoje zastępstwo jest tymczasowe, prawda?

Karen patrzy na niego zdziwiona. To, że nie musi już zastępować naczelnika wydziału, jest oczywiście jasne, nie liczyła się jednak z tym, że główna odpowiedzialność za śledztwo zostanie teraz zrzucona na Smeeda.

Dineke Vegen chrząka.

– Wstrzymaj się chwilę, Viggo – mówi. – To rzeczywiście dobra wiadomość, to znaczy, że możemy odwiesić Jounasa, ale nie sądzę, że powinien przejmować to śledztwo.

Viggo Haugen pochyla się, jakby miał zamiar zaprotestować, ale Dineke powstrzymuje go ruchem ręki, który zamyka mu usta.

– Nawet jeśli nie ma już podejrzeń w stosunku do samego Jounasa, to jest on w najwyższym stopniu powiązany z ofiarą. O ile dobrze rozumiem, wciąż nie macie żadnych podejrzanych ani teorii na temat motywu?

Karen mimo woli to potwierdza. Dineke Vegen ma niestety całkowitą rację, o czym Karen wie aż za dobrze. Viggo Haugen nie przepuszcza takiej okazji.

– I właśnie dlatego potrzebujemy Smeeda – mówi poirytowany. – Tak, nie bierz sobie tego do serca, Eiken, ale niedługo minie pięć dni, a my nie zrobiliśmy żadnego postępu.

– Nie, Viggo, właśnie dlatego Jounas nie powinien uczestniczyć w tym śledztwie – mówi cierpliwie Dineke Vegen. – Trzeba przeprowadzić

jeszcze wiele przesłuchań i rozszerzyć krąg potencjalnych podejrzanych. Nie można chyba oczekiwać, że Jounas będzie przesłuchiwał swoich krewnych, na przykład córkę.

– Córkę – prycha Viggo Haugen. – Przecież już ją przesłuchaliście, co nie? I jej chłopaka także, jeśli dobrze zrozumiałem poranny raport.

– Tak, to prawda, Karl Björken skontaktował się z Samuelem Nesbö wczoraj późnym wieczorem. Przedstawił mniej więcej tę samą wersję co Sigrid, jeśli chodzi o wieczorne nagrania i kłótnię, która się zawiązała. Samo w sobie nie oznacza to, że któreś z nich ma alibi na niedzielny poranek, lecz jedynie to, że nie kłamała co do tego, co robiła w sobotnią noc. Albo może oboje kłamią – dodaje Karen i widzi kącikiem oka, jak Viggo Haugen świdruje ją wzrokiem.

– W każdym razie nie możemy jeszcze wyeliminować ani córki, ani jej chłopaka – podsumowuje Dineke Vegen.

Viggo Haugen nie poddaje się.

– A jaki niby miałyby być twoim zdaniem motyw? Susanne nie zostawiła po sobie żadnych pieniędzy. A tamten dom...

– Nie o tym teraz rozmawiamy – przerywa mu prokurator, tym razem nieco ostrzejszym tonem. – Pozwól, że powiem jasno: nie wchodzi w rachubę to, żeby Jounas brał w ogóle jakikolwiek udział w tym śledztwie. Wiesz, że niechętnie wtrącam się w praktyczną pracę policji, chociaż jako prokurator mam pełne prawo, żeby nawet przejąć odpowiedzialność i samej poprowadzić śledztwo. Ale tym razem nie zawaham się działać, jeśli zostanę do tego zmuszona.

– Nie, nie, miejmy nadzieję, że tak daleko nie będziemy musieli się posunąć. Zazwyczaj jakoś się dogadujemy, prawda?

Karen unika spoglądania na szefa policji. Kiedy jakiś mężczyzna na jego stanowisku zostaje przywołany do porządku przez kogoś o wyższej randze, lepiej nie być świadkiem tego, jak musi się podporządkować. Chociaż sam w dość nieprofesjonalny sposób wpakował się w sytuację, która jest równie krępująca dla całej trójki. Jeszcze wyrówna ze mną rachunki, myśli Karen. Wcześniej czy później.

– Proponuję, żeby Karen dalej pracowała z tą samą grupą co teraz i nadal składała raporty bezpośrednio do nas. Jounas wróci do swoich zadań jako naczelnik wydziału, ale będzie trzymał się z dala od tego jednego śledztwa. Rozumiemy się?

Haugen ma w każdym razie połowiczną rację, myśli Karen, kiedy kwadrans później opada na fotel przy swoim biurku. Prawdopodobnie ktoś inny powinien przejąć to śledztwo. Jasne, że nie Smeed, ale ktoś inny, ktoś z werwą. Ona czuje się zupełnie pusta. Był taki okres, że podeszłaby do tej sprawy jak terier, który dorwał oblepioną mięsem kość. Okres, gdy jej zawodowe marzenia obejmowały chęć zostania szefem, możliwość wywierania daleko idącego wpływu na ich pracę. Dzisiaj jest inaczej.

Sama myśl o powrocie Jounasa Smeeda działa na nią paraliżująco. To, że dalej będzie odpowiadała za śledztwo i składała raporty z pominięciem przełożonego, bezpośrednio do szefa policji i prokurator, raczej nie sprawi, że atmosfera między nią a Jounasem stanie się mniej napięta. Jego nieobecność oznaczała tymczasową ulgę, małą bańkę powietrza, w którym mogła oddychać, a nawet miała uczucie, że powraca do niej dawna radość z pracy. Teraz ta bańka została przebita. To, do czego doszło między nimi w Strandzie, zawsze będzie wisiało nad nią jak chmura niepokoju. Straciła teraz ten szacunek, który poniekąd miał w stosunku do niej Jounas, ale najgorsze było to, że może kłapać ozorem, że inni się dowiedzą. Czy naprawdę może tu zostać z mieczem Damoklesa wiszącym na cienkiej nitce nad głową?

Nie, zdecydowanie nie jestem odpowiednią osobą do prowadzenia tego śledztwa, wzdycha cicho. Już może sama prokurator byłaby w stanie lepiej zainspirować grupę i spojrzeć na sprawę pod nowym kątem. Albo Karl, myśli, on przynajmniej wciąż ma w sobie ten głód. W tym samym momencie Karl Björken wyrasta obok niej.

– Co powiedzieli?

– Jounas wraca na stanowisko szefa wydziału, ale nie będzie uczestniczył w śledztwie. Haugen miał do niego natychmiast zadzwonić.

Karl kiwa głową.

– Taa, można się było tego spodziewać. Chociaż myślałem, że Haugen będzie walczył o to, żeby Jounas przejął sprawę, skoro został już definitywnie oczyszczony z podejrzeń.

Karen zwleka. Czy powinna powiedzieć, jak jest, czy lepiej pozwolić, żeby Karl żył w przeświadczeniu, że Viggo Haugen podjął mądrą decyzję?

– Nie, pracujemy dalej jak zwykle – mówi. – Zarówno ja, jak i reszta grupy.

– Świetnie. Poza tym możesz już chyba całkiem zapomnieć... – Karl rozgląda się po open spejsie i przyciszonym głosem dodaje – tamtą noc w hotelu, skoro Jounas ma inne alibi, co nie? Dlaczego więc wyglądasz na tak cholernie przybitą?

Karen odkręca się powoli na krześle i patrzy Karlowi Björkenowi w oczy.

– Dlatego że nie mam, do cholery, pojęcia, w którą stronę powinniśmy teraz pójść.

W tym samym momencie dzwoni telefon.

Kneought Brodal opowiada krótko o tym, że wyniki testów DNA są gotowe i potwierdzają, że ofiarą jest Susanne Smeed.

– Tym samym identyfikacja została zakończona i nie ma nawet najmniejszych wątpliwości co do przyczyny śmierci. Ciało więc może zostać wydane bliskim, żeby je pochowali – mówi rzeczowym głosem, który nie zdradza, że znał osobiście denatkę.

„Bliskim”, myśli Karen i widzi przed sobą Sigrid. Formalnie Susanne nie miała innych krewnych. Jak Sigrid poradzi sobie z organizacją pogrzebu? Wystawienie zwłok nie wchodzi chyba w rachubę – Karen wątpi, żeby Sigrid kultywowała dawne tradycje. Ale organizacja samego pogrzebu będzie dla niej prawdopodobnie wystarczająco trudna. Cała nadzieja w tym, że jest na tyle rozsądna, żeby skorzystać z pomocy ojca. Nawet jeśli Jounas jest dupkiem, zupełnie wyzutym z jakichkolwiek uczuć do byłej żony, zapewne przyjdzie z pomocą, gdy tylko córka go o to poprosi, myśli. Będzie z tym trochę pośpiechu, jeśli mają spełnić zasadę siedmiu dni: zmarły powinien zostać pogrzebany w doggerlandzkiej ziemi w ciągu tygodnia. Na południu Frisel ludzie wciąż trzymają się pięciu dni, nawet jeśli młodsze pokolenia zaczynają przyjmować bardziej skandские wzorce. Mówiąc dokładniej, norweskie i duńskie. Żeby wyeliminować ryzyko, że zrobi się tu jak w Szwecji, gdzie zmarły może leżeć w chłodni nawet do dwóch miesięcy, przyjęto nowe prawo. Jeśli żaden z krewnych nie ma czasu zająć się pogrzebem w ciągu pięciu dni i dwóch weekendów, zadanie to przejmują służby społeczne i złożenie do grobu odbywa się bez obecności rodziny.

Pogrzeb Susanne odbędzie się zapewne w sobotę, myśli Karen. Musi poprosić Karla, żeby się tam wybrał, jeśli ona sama nie zdąży. Nawet jeśli nie wygląda to jak w telewizji, że morderca stoi i czatuje w krzakach na cmentarzu, to może warto tam pójść. Może pojawi się ktoś, z kim

rozmowa okaże się interesująca. Jakiś stary przyjaciel Susanne, którego przeoczyli.

Za dwadzieścia czwarta w piątkowe popołudnie grupa śledcza znów budzi się do życia.

Cały tydzień roboczy stali i przebierali nogami jak gotowe do startu psy wyścigowe, a zegar nieubłaganie tykał. I stopniowo cichł harmider na linii startowej. Jedna za drugą upływały krytyczne cezury: pierwsze dwadzieścia cztery godziny, które z reguły są potrzebne, żeby wskazać dziewięćdziesiąt procent nieporadnych, zdesperowanych sprawców, trzy doby, w czasie których śledczym zazwyczaj udaje się zatrzymać tych nieco bardziej przebiegłych. Teraz, szóstego dnia śledztwa, przygasła też nadzieja, że test DNA albo inne techniczne materiały dowodowe pchną śledztwo naprzód. Wszystko, co mają, leży na stole. Nikt już nie liczy, że pojawi się jeszcze jakieś ciekawe zeznanie świadka, który wkroczy tu niczym *deus ex machina*. Nic z tych ochłapów, do których udało im się dotrzeć w pracy śledczej, nie wygląda tak, jakby miało pomóc ruszyć im z miejsca. Może Disa Brinckmann. Nawiązali już pierwszy kontakt z hiszpańską policją, ale sądząc z chłodnego odzewu, zapewne zdąży sama z siebie wrócić do domu, nim któremuś z kolegów na południu uda się ją zlokalizować. Pytanie tylko, co ponadsiedemdziesięciodwuletnia kobieta może mieć wspólnego z morderstwem. To, że nie ona je popełniła, jest jasne; cała nadzieja w tym, że może powiedzieć coś o Susanne. Coś, czego nikt jeszcze nie wie.

I to właśnie wtedy Cornelis Loots macha do Karen, żeby do niego podeszła.

Raport z włamania do domu letniskowego koło Thorsvik na północy Heimö umknął im wszystkim. Cornelis odkrywa go dość przypadkowo, gdy po raz kolejny przegląda ich wewnętrzny system raportowania, szukając przestępstw, które zostały zgłoszone w ciągu ostatnich trzech tygodni. Do włamania trochę na wschód od terminalu promowego doszło w sobotę, dwudziestego pierwszego września, a więc ponad tydzień przed zamordowaniem Susanne Smeed. Po fakcie policjanci z Ravenby zmienili kwalifikację czynu na włamanie do domu jednorodzinnego i próbę

podpalenia z narażeniem życia. I to właśnie ta zmiana wywołuje reakcję Cornelisa.

Próba podłożenia ognia została zniweczona przez sąsiada, który wyczuł dym i pobiegł na granicę swojej działki, żeby zobaczyć, co za idioci są właścicielami domku, że palą w nim w taką pogodę. Jednak zamiast letników opróżniających z zapalem działkę z najróżniejszych gratów, dostrzegł młodego mężczyznę, który wyszedł z domku sąsiadów z plecakiem zarzuconym na jedno ramię, nerwowo zerkając przez drugie, jakby chciał się upewnić, że domek naprawdę zajmie się ogniem, który właśnie podłożył.

Sąsiad, niejaki Hadar Forrs, postąpił – nawet jeśli niechętnie – tak, jak należało. Zamiast gonić młodego mężczyznę o skłonnościach pirotechnicznych, który zdaniem Forrsa odjechał na żółtym motocyklu, zawiadomił służby ratunkowe, a później sam, niewiele myśląc, wybił okno i wsadził do środka wąż ogrodowy. Dzięki temu udało mu się zgasić podłożony ogień jeszcze przed przyjazdem straży pożarnej.

Kiedy doszło do włamania, właściciel, niejaki David Sandler, który zdecydował się spędzić swój ostatni w tym roku weekend w domku letnim, żeby przerobić potężny zbiór kurek, pojechał samochodem do Kvicku w centrum Thorsvik, żeby kupić masło i śmietanę. Kiedy wrócił po półtoragodzinnej nieobecności, stwierdził, że cała nowa podłoga w kuchni jest zalana wodą i że zapewne miną tygodnie, zanim uda mu się pozbyć swądu spalenizny. Jego nowiutki laptop i stary rolex po ojcu, które leżały na stoliku nocnym, zniknęły, a do tego miał teraz dług wdzięczności wobec upierdliwego sąsiada. David Sandler wcale się z tego nie cieszył, co wyraźnie dało się wyczuć z raportu policji.

– Z drugiej strony mógł mieć teraz głowę roztrzaskaną pogrzebaczem, jeśli przypadkiem byłby w domu – mówi Karl Björken i ubiera w słowa to, co wszystkim chodzi po głowie.

Karen zwołała dodatkową naradę i zdaje się, że informacja o włamaniu dodała im wiatru w żagle. Siedzą teraz na baczność na krzesłach, ze wzrokiem utkwionym w niej, gotowi notować.

– Nie powinniśmy liczyć na Bòg wie co, ale teraz musimy skoncentrować się na znalezieniu innych potencjalnych związków. Usiądźmy razem i omówmy każdy szczegół wszystkich zgłoszonych włamań. Zaczniemy od dzisiejszej daty i będziemy się cofać w czasie. Przygotuję listę różnych haseł jako pomoc przy tym zadaniu.

W normalnych okolicznościach tego typu zadanie spotkałoby się z westchnieniami i pojękiwaniem, ale teraz Karen ledwie udaje się zakończyć naradę, już wszyscy pędzą na swoje miejsca, żeby zalogować się do systemu raportowania.

Godzinę i trzydzieści pięć minut później Astrid podnosi się i woła pozostałych. Najpierw nikt nie rozumie, na co właściwie zareagowała. Kolejne włamanie, tym razem na Noorö, trochę na północ od terminalu promowego między siedemnastym a dwudziestym września podczas nieobecności właściciela. Nikt jednak nie próbował podpalić domu. Wśród skradzionych przedmiotów są między innymi dwa przenośne komputery i spora ilość – prawdopodobnie znacznie zawyżona przez ofiarę przestępstwa – złotej biżuterii. O tym, że na północy Noorö ludzie kradną jak najęci, policji wiadomo. W raporcie nie ma nic szczególnie godnego uwagi. Poza jednym szczegółem.

Wśród rzeczy, które zgłoszono jako skradzione, jest żółta honda, model CRF 1000L Africa Twin.

Po raz kolejny to Karl Björken podsumowuje to, co oczywiste.

– To ten sam chłopak. Gwizdnął motocykl na Noorö i wykorzystał go podczas włamania w Thorsvik. Czy na promie mają kamery?

Niczym niewidoczny gaz, niemożliwy do zatrzymania, wśród załogi szerzą się myśli: może morderstwo Susanne Smeed było zwykłym włamaniem, które poszło nie tak. Może ten chłopak, który podłożył ogień w domu pod Thorsvik, tydzień później zrobił to samo w Langevik. Może od dawna obserwował właścicieli domów i wiedział, że Susanne zazwyczaj wyjeżdża na Oistrę. Może skatował ją w akcie desperacji, kiedy okazało się, że jest w domu. Może wiedzą wreszcie, jak i dlaczego Susanne Smeed została zamordowana. W takim razie pozostaje już tylko kwestią czasu, kiedy zatrzymają chłopaka, który to zrobił.

Tym, który zdecydowanie czuje powiew wiatru w żagle, jest Viggo Haugen. Karen ma okazję to stwierdzić pół godziny później, kiedy opuszcza gabinet szefa policji.

– Doskonałe wiadomości – powtarza i uderza dłonią w biurko.

Ostatnią rzeczą, którą Karen słyszy przed zamknięciem za sobą drzwi, jest to, że Haugen podnosi słuchawkę telefonu.

Klimatyzacja w sali konferencyjnej, gdzie zbiera się grupa śledcza, wyłącza się punkt dwudziesta i Karen czuje, jak opuszcza ramiona, kiedy buczący dźwięk milknie. Brązowy papierowy kubeczek z odrobiną whisky, którą wykradła z gabinetu Jounasa Smeeda, jest małą, ale dziwnie zadowalającą zemstą jej ostatniego dnia na stanowisku szefa kryminalnych. W poniedziałek Smeed wróci na swoje miejsce po tygodniowej nieobecności.

W każdej chwili może się podnieść i pójść po dwie siatki mały, które udało się jej wcisnąć do zamrażarki w aneksie kuchennym. Znów prawie zapomniała, że zaprosiła do domu gości, ale kilka godzin temu dostała esemesa od Eirika, który pytał, czy mają coś jutro przynieść. „Nic. Zapraszam!” – odpowiedziała i w ostatniej chwili, tuż przed zamknięciem stoisk, udało jej się zbiec do portu. Później wróciła do biura.

Teraz jest sama w pomieszczeniu, położyła nogi na biurku i z daleka przygląda się dużej tablicy pod ścianą. Na samej górze wiszą rzędem zdjęcia Susanne Smeed. Po lewej niedawno zrobiony portret, który dostali z Eirabolagen – wszyscy pracownicy w ich domach opieki mają legitymacje ze zdjęciem umieszczone w dobrze widocznym miejscu na stroju roboczym i Gunilli Moen zajęło nie więcej niż cztery minuty zorganizowanie wydruku. Na prawo, obok poważnej Susanne, która patrzy prosto w obiektyw, powieszono wybór zdjęć przedstawiających jej zmasakrowane ciało razem z ujęciami z kuchni z różnych perspektyw.

Pod równym rzędem zdjęć Karl narysował poziomą linię i na tej osi czasu zazaczył to, co już wiedzą.

Piątek, 20 wrz. 16.30 Susanne wychodzi z pracy w Solgård

Poniedziałek, 23 wrz. 7.45 Susanne dzwoni do Solgård i zgłasza, że jest chora

Piątek, 27 wrz. 7.15 Połączenie przychodzące z Kopenhagi na służbowej komórce Susanne

Sobota, 28 wrz. Brak obserwacji

Niedziela, 29 wrz. 8.30–10 Zdaniem Kneoughta Brodala możliwy czas popełnienia morderstwa

Niedziela, 29 wrz. ok. 9.45 Angelika Nowak przyjeżdża do Haralda Steena

Niedziela, 29 wrz. ok. 9.55–10.00 Harald i Angelika słyszą samochód odjeżdżający spod domu Susanne

Niedziela, 29 wrz. 11.49 Harald Steen dzwoni pod sto dwanaście

Niedziela, 29 wrz. 12.25 Sara Inguldsen i Björn Lange przybywają do domu Susanne

Sumiennie zapisali także nazwiska tych kilku osób, które miały jakieś bliższe stosunki z Susanne: Jounas Smeed, ich córka Sigrid i jej chłopak Samuel Nesbö, Wenche i Magnus Hellevikowie, Gunilla Moen. Przy nazwisku Disy Brinckmann znajduje się znak zapytania. Poza tym na tablicy nie ma nic więcej, co zapewne jest powodem, dla którego tak daleko odsunęli ją od stołu.

A teraz można wykreślić z tablicy dwa nazwiska podejrzanych.

Z tego, co Karl Björken opowiedział im kilka godzin wcześniej, wynika, że Sigrid Smeed nie powiedziała im całej prawdy. W tej sprawie powinna to była zrobić dla własnego dobra.

Kiedy Karl pukał do drzwi na jej klatce schodowej w Gaardzie, udało się mu porozmawiać z jednym – nadal bardzo skwaszonym – sąsiadem, który zajmował mieszkanie tuż obok mieszkania Sigrid i którego w niedzielny poranek tuż przed ósmą obudziła awantura na klatce. Według niego – mężczyzny w wieku pięćdziesięciu lat, któremu czuć było z ust alkoholem i wędzoną rybą – Samuel Nesbö, zataczając się, wrócił właśnie do domu i zastał drzwi z założonym łańcuchem.

Chłopak Sigrid – sąsiad rozpoznał go przez judasza – najpierw bardzo uporczywie dzwonił do drzwi, a później zaczął krzyczeć i wreszcie darł się wniebogłosem, że dziewczyna ma mu otworzyć.

W końcu Sigrid musiała go jednak wpuścić, bo zdaniem sąsiada awanturowali się potem i krzyczeli na siebie w mieszkaniu, aż wreszcie chłopak cały w złości wyszedł jakąś godzinę później.

– Miał pan wrażenie, że się biją? – spytał Karl, w głębi duszy zastanawiając się, czemu nikt nie zadzwonił na policję. Jednak dobrze wiedział dlaczego: w mieszkaniach w Gaardzie awantury były chlebem powszednim, a policji starano się w najwyższym stopniu unikać.

– Co ja tam, kurna, wiem, żyła w każdym razie, kiedy wyszedł, bo gnój na nią psioczył.

Karen ani przez chwilę nie uważała córki Susanne za prawdopodobną sprawczynię, w każdym razie teraz zarówno ją, jak i jej chłopaka mogli definitywnie wykreślić z listy podejrzanych. Pojawiły się dwa nowe wątki, których należało się trzymać: trzeba zidentyfikować kierowcę żółtej hondy i skontaktować się z Disą Brinckmann. Może któryś z tych wątków pchnie śledztwo do przodu, nie stanie się to jednak przed powrotem Smeeda. Tydzień bez konkretnych postępów – on nie puści tego w niepamięć, myśli gorzko Karen i wygląda przez okno. Po szybie spływają strużki deszczu. Ludziom już się znudziło mówienie o nagłym załamaniu pogody: po cieplej, wręcz letniej Oistrze wcześniej nadciągnęły noce, gdy temperatura spada do zera, oraz nieustannie padający deszcz. A meteorologowie nie zostawiają nadziei: nize niecierpliwie stoją w kolejce nad Atlantykiem i tylko czekają, żeby nadciągnąć nad Wyspy Doggerlandzkie i załatwić swoje potrzeby.

Karen przygląda się kalejdoskopowi szarości za oknem, a w głowie przechodzi przez notatki. Na tym etapie zna je na pamięć i nie ma najmniejszego powodu, żeby jeszcze raz otwierała czarny segregator.

W myślach kartkuje je do zapisków o charakterze Susanne, gdzie mówiąc delikatnie, słowo „konflikt” pojawia się we wszelkich możliwych kontekstach: liczne konflikty z Jounasem zarówno w czasie trwania małżeństwa, jak i potem, dotyczące głównie pieniędzy i ziemi. Konflikty z córką i niekończące się kłótnie z jej ojcem, awantury o to, że ku niezadowoleniu Susanne jej ubrane w tiul i tańczące w balecie dziecko przemieniło się w młodą kobietę z kolczykiem w nosie i tatuażami na rękach. Konflikty z pracodawcą o używanie telefonu służbowego do celów prywatnych i stanowisko, o które Susanne się starała, ale którego nie dostała. Konflikt z elektrownią wiatrową Pegasus o prawo do ziemi i uciążliwy hałas z parku wiatrowego nieopodal jej domu. Konflikty z Wenche Hellevik, kiedy Susanne uważała, że ta nie ma dla niej wystarczająco dużo czasu.

O żadnym jawnym konflikcie z Samuelem Nesbø nie było im wiadomo, chociaż można przypuszczać, że chłodne relacje Sigrid z matką przełożyły się na to, że również jej chłopak nie żywił cieplejszych uczuć do Susanne.

Czy Susanne Smeed i Disa Brinckmann trwały w jakimś konflikcie, nadal nie zostało wyjaśnione.

Na marginesie znajdują się też notatki o szeregu mniejszych konfliktów z kolegami z pracy, przewoźnikami autobusowymi i różnymi dostawcami towarów i usług, z których Susanne Smeed z tego czy innego powodu nie była zadowolona. Zdaje się, że taki czy inny problem miała z większością ludzi, z którymi się zetknęła.

Włącznie ze mną, myśli Karen i nieprzyjemne uczucie ogarnia ją na wspomnienie spotkania przy kasie w szkółce roślin. Susanne zdecydowanie chowała urazę do Karen Eiken Hornby, jeszcze długo przedtem, nim naprawdę pojawił się ku temu powód. O tym, co się stało w pokoju pięćset siedem w hotelu Strand, nigdy się jednak nie dowie.

Pytanie tylko, czy coś z tego było dla kogoś na tyle poważne, żeby zechciał zabić Susanne. Czy komuś tak bardzo uprzykrzyła życie, że ta osoba straciła nad sobą panowanie? A może wiedziała coś, co mogło dla kogoś stanowić zagrożenie? Nie mając na to jakichkolwiek dowodów, Karen mimo wszystko ma wrażenie, że Susanne była typem człowieka, który mógłby upaść aż tak nisko. Czy Susanne Smeed oddała się szantażowi?

Ale przecież, myśli Karen, sącząc whisky, nic z tych rozmyślań nie ma większego znaczenia. Sądząc po podnieceniu w głosie Vigga Haugena kilka godzin wcześniej, morderstwo Susanne Smeed zostało wyjaśnione.

– Nawet ty nie możesz nie zauważyć, że stawia to sprawę w zupełnie nowym świetle – powiedział. – To całkowicie wiarygodne wyjaśnienie całej tej przykrej historii.

Taa, czemu nie, myśli Karen i bierze jeszcze jeden łyk, pewnie i tak się okaże, że to ten sam chłopak, który dokonał wcześniej włamania na Noorö i w Thorsvik. Z jakiegoś powodu zdecydował się podnieść stopień napięcia, dodatkowo usiłując podłożyć ogień podczas drugiego włamania. I niewykluczone, że kontynuował swoje tournée do Langevik. Może został przyłapany przez Susanne albo odczuwał potrzebę, żeby posunąć się jeszcze dalej. Od włamania, przez podpalenie, po morderstwo. Klasyczny przypadek znieczulicy, zjawiska, które wcale nie jest takie rzadkie: potrzeby narastającej stymulacji, szczególnie częstej wśród sprawców z ciętami psychopatycznymi. Chociaż, myśli, rozwój znieczulicy trwa zwykle dużo dłużej niż tydzień.

– Ach, to miłego weekendu.

Głos dochodzi z progu i sprawia, że Karen się wzdryga i resztką tej odrobiny whisky burzy się aż po brzeg papierowego kubka.

– Jeszcze jesteś? Myślałam, że zostałam tu już sama – mamrocze i wygładza ręką dzinsy.

– Nie chciałam cię przestraszyć – mówi Astrid Nielsen i znów zabiera się do zapinania suwaka parki.

Wygląda na naprawdę zmęczoną, myśli Karen z ukłuciem wyrzutów sumienia. W związku z ostatnimi odkryciami trzeba było przejrzeć nagrania monitoringu ze wszystkich promów i na większą skalę poszukać przestępstw, które dałyby się jakoś połączyć z tymi dwoma włamaniami. Biorąc pod uwagę niechęć lokalnych funkcjonariuszy do używania nowego wewnętrznego systemu raportowania PIR, który prawie jedenaście miesięcy po wprowadzeniu – według działu IT – wciąż cierpi na „choroby wieku dziecięcego”, będą musieli dodatkowo obdzwonić wszystkie posterunki, żeby to zweryfikować. Astrid Nielsen przypadło zadanie zestawiania wszystkich danych.

– Mam nadzieję, że to nie moje niewolnicze ciągoty odrywają cię od męża i dzieci o tej porze w piątek wieczorem – mówi Karen z uśmiechem.

Astrid waha się przez chwilę, a potem sprawia wrażenie, jakby chciała coś powiedzieć.

– Nie, to nie twoja wina. Dzieciaki są u moich rodziców, a Ingemar jest... hmm, równie dobrze mogę to powiedzieć, bo i tak się przecież dowiecie. Rozwodzimy się.

Karen zdejmuje nogi z biurka i pochyla się do przodu.

– Chodź tutaj – mówi. – Możesz usiąść na chwilę?

Po raz kolejny Astrid wygląda tak, jakby się wahała, ale potem z wolna rozpina suwak kurtki. Nic nie mówiąc, opada na krzesło i Karen widzi, że zaciska usta.

– Powiedz, co się stało – zachęca.

I w ciągu następnych trzydziestu minut Karen uświadamia sobie, że Astrid Nielsen mimo wszystko nie jest tak obrzydliwie wspaniała, a jej mąż równie religijny, jak się jej wydawało.

Nie wszystkie miejsca są zajęte, ale mimo to Karen jest zaskoczona, ile osób zjawilo się w kościele w Langevik w to sobotnie przedpołudnie, żeby uczestniczyć w pogrzebie Susanne Smeed.

Na samym przedzie siedzą Sigrid i Jounas razem z Wenche i Magnusem Hellevikami. Jakby przez wzgląd na żalobę najbliższych rząd za nimi stoi pusty, ale w innym miejscu Karen rozpoznaje Gunillę Moen w towarzystwie jakiejś kobiety, która prawdopodobnie też jest jedną z koleżanek Susanne z pracy w Solgården. Wielu sąsiadów ze wsi usadowilo się na twardych kościelnych ławkach; pofatygowal się tu nawet Harald Steen, podobnie jak Odd Marklund, Jaap Kloes i Egil Jossen z żoną. Karen może tylko spekulować, kto przyszedł z szacunku dla zmarłej, a kogo przyciągnęła czysta ciekawość. Ona sama zajęła miejsce po lewej stronie prawie na końcu kościoła, prawdopodobnie nie widzieli jej ani Sigrid, ani Jounas. Z kolei Wenche Hellevik rozpoznała ją i skinęła głową z subtelnym uśmiechem.

Sigrid była blada i skoncentrowana, kiedy wchodziła do kościoła. Tuż za nią szedł jej ojciec. Teraz, kiedy ksiądz przemawia, siedzi z pochyloną głową i Karen widzi, że Jounas próbuje coś do niej mówić, ale ta natychmiast odwraca głowę w innym kierunku.

Rozlegają się te psalmy co zwykle, ksiądz jest na szczęście oszczędny w słowach i przekazuje tylko to, co najważniejsze. Ale kiedy ziemia uderza w wieko trumny, Karen słyszy stłumiony szloch dochodzący z przednich rzędów. Teraz nie widzi już Sigrid i zajmuje jej kilka sekund, zanim dojrzy pochyloną do przodu córkę Susanne, która siedzi zgięta w pół. Jounas Smeed nerwowo kręci się na swoim miejscu, a Wenche Hellevik kładzie rękę na plecach Sigrid, ale równie szybko ją zabiera.

Wszystko kończy się po godzinie. Kiedy Karen jako jedna z ostatnich opuszcza kościół i staje przed wejściem, widzi, że Jounas i Sigrid stoją już na dole koło małego parkingu, a Wenche i jej mąż wciąż znajdują się na kościelnym wzniesieniu i rozmawiają z księdzem. Wyraźnie widać, że Jounas i Sigrid o coś się kłócą. On otwiera drzwi do samochodu

i wygląda, jakby starał się ją przekonać, żeby weszła, ale ona kręci głową. Wykonuje gest w stronę samochodu, tym razem poirytowany, ale ona stoi dalej nadąsana ze skrzyżowanymi na piersi rękami. Potem bez ostrzeżenia odwraca się na pięcie i rusza w stronę cmentarza, Jounas coś za nią krzyczy.

Chwilę później wsiada do samochodu i zatrzaskuje drzwi z takim hukiem, że wszyscy obecni odwracają się w tamtą stronę, a Wenche Hellevik posyła zaniepokojone spojrzenie w stronę brata. Szybko kończy rozmowę z księdzem i z mężem depczącym jej po piętach pośpiesznie zmierza na parking.

I prawie udaje im się tam dotrzeć, ale Jounas wycofuje i odjeżdża z piskiem, który sprawia, że żwir leci w stronę innych samochodów.

Przez moment Wenche stoi niezdecydowana i patrzy raz na Jounasa, raz na swoją bratanicę, która ścina na ukos cmentarz, idąc w przeciwnym kierunku. Potem podenerwowana kręci głową, mówi coś do męża i razem wsiadają do samochodu. Spokojnie, bez śladu gwałtownego zrywu, Magnus Hellevik cofa swoje metalicznie niebieskie volvo i odjeżdża spod kościoła.

Ostatnią rzeczą, którą Karen widzi, zanim sama wsiądzie do samochodu, są wąskie plecy Sigrid znikające za gąszczem cisów.

Grzechot muli wypadających z wiadra i uderzających o blachę zlewozmywaka sprawia, że Rufus szybko wycofuje się z kuchni na sofę w salonie. Zaraz tu wróci, myśli Karen i powoli naciąga – niczym chirurg przed ważną operacją – gumowe rękawiczki. Obserwuje przy tym lśniące, czarne muszle. Potem bierze nóż z krótkim ostrzem i przystępuje do dzieła. Ponad pięć kilogramów omułek czeka, aż je oczyści z brudu i wąsów; trochę jej na tym zejdzie, ale goście zjawiają się dopiero za kilka godzin. Łącznie będzie osiem albo dziewięć osób: Kore i Eirik, i oczywiście Marike; Aylin nie była najpierw pewna, czy znajdzie opiekunkę do dzieci, ale później przysłała wiadomość, że przyjdą razem z Bo. Cholera, pomyślała Karen. Bo na bank nie będzie w najpogodniejszym nastroju, kiedy uświadomi sobie, że czeka go wieczór z bandą bab i dwoma gejami. I dlatego – nie do końca ze względu na Bo, ale raczej z troski o Aylin i ogólny nastrój – Karen zaprosiła też swojego kuzyna Torbjörna i jego żonę Veronicę. To znacznie poprawi humor Bo. Jako czołowy prawnik ze świeżo ukutymi planami kariery politycznej ma wprowadzić rozległą sieć kontaktów, ale on i Veronica należą do tej samej partii, a ambicje Bo sięgają wysoko. To dla Aylin, przekonuje samą siebie Karen.

Jeśli w ogóle ma mieć szansę spotkać przyjaciółkę, musi zaprosić też jej męża i utrzymywać go w dobrym nastroju. Jeśli tylko Marike będzie trzymać język za zębami, wszystko powinno się udać. Jej zdaniem mąż Aylin jest „piekielnym dupkiem” z „patologiczną potrzebą kontroli”.

– Mogę się założyć, że ją bije. Niby czemu ma zawsze długie rękawy? – oświadczyła latem.

I Karen zapytała wprost. Podjechała do Aylin, kiedy wiedziała, że nie zostanie w domu Bo. I po dwóch filiżankach kawy wreszcie wydusiła z siebie to, co ją trapiło. W odpowiedzi usłyszała śmiech. Bo miał swoje wady, ale żeby bić? Tego nie robił. Oczywiście, że nie.

Rysa pozostała.

Kiedy komórka na blacie kuchennym brzęczy, Karen wyciera ręce. Esmes od Astrid: *Niestety, nie dam rady wpaść wieczorem. Nie spałam całą noc i mam masę rzeczy do zrobienia. Ale dziękuję za zaproszenie i wszystkiego dobrego z okazji urodzin!*

Spontaniczna myśl, żeby zaprosić koleżankę z pracy, była w równym stopniu spowodowana zaskoczeniem co sympatią. Pani Idealna i jej świetnie ułożony mąż informatyk rozwodzą się, i to z powodu zdrady. Astrid dowiedziała się o niej przez przypadek, tak powiedziała. Standardowy przebieg: otwarta przez pomyłkę koperta zaadresowana do Ingemara, rzut oka na wyciąg z konta i nagłe olśnienie, które sprawiło, że świat się zatrzymał, a ona zmieniła się w słup lodu. Dwa wypadki do restauracji i noc w hotelu. W Paryżu.

Czarno na białym Astrid mogła się przekonać, że Ingemar nie spędził tamtego weekendu w Londynie, oglądając z chłopakami mecz Premier League.

Przyznał się od razu. Również poprzedni wyjazd piłkarski był tylko blefem, ale wszystkie wcześniejsze odbyły się naprawdę. Zapewniał o tym tak gorąco, jakby miało mu to zapewnić co najmniej kilka dodatkowych punktów.

– Ale czy ta historia z inną kobietą to naprawdę coś poważnego? – spytała Karen i od razu tego pożałowała.

– A to ma twoim zdaniem jakieś znaczenie? Mam poczekać, aż się wyhula, i kiedy mu się już znudzi, płaszcząc się, wróci do mnie?

Nie, Karen tak nie uważała, chociaż z wiekiem coraz trudniej było jej uwierzyć w dozgonną wierność. Czy naprawdę nie można komuś wybaczyć i iść dalej? Skok w bok nie jest najgorszym, co może dotknąć rodzinę. Może tym być z kolei tir, który bez uprzedzenia odbija w bok.

Na głos powiedziała:

– Nie, jasne, że nie. Od kiedy wiesz?

– Od czwartku wieczorem. Pomysł był taki, że wyślemy dzieci do matki Ingemara, żebyśmy mogli to w weekend omówić, ale nie mam na to ochoty. Już dzwoniłam i zarezerwowałam sobie pokój w Rivalu. Najchętniej wzięłabym ze sobą po prostu butelkę wódki i została w pokoju, ale pewnie będę siedzieć w barze. Wyrwę sobie, do cholery, jakiegoś faceta, tak w ramach zemsty.

Przez moment Karen miała ochotę przynieść butelkę whisky z gabinetu Jounasa i wręczyć ją Astrid, ale dała sobie spokój. Siedzenie samej

w hotelowym pokoju było najpewniej ostatnią rzeczą, której ta potrzebowała. Bar w Rivalu nie był może dużo lepszy, ale przynajmniej nie będzie sama; wyrwanie tam kogoś nie powinno być raczej trudne.

A później wymuskięło się jej:

– Jeśli jesteś skłonna wstrzymać się trochę z tym wyrwaniem, zapraszam cię do siebie.

Astrid nie powiedziała ani tak, ani nie na to zaproszenie. Może pojedzie do siostry do Ravenby, nawet jeśli ta jest męcząca, a Karen zapewniła, że wystarczy, jak po prostu wpadnie, jeśli poczuje, że ma na to ochotę.

Zapewne mądrze z jej strony, że nie przyjdzie, myśli Karen i uderza nożem, żeby otworzyć muszlę. Pewnie ma dzisiaj ważniejsze rzeczy na głowie; musi się choćby zastanowić, jak powiedzą o tym dzieciom. I rodzicom Ingemara z Noorö, którzy zdaniem Astrid są bardzo religijni. Wcale się mocno nie pomyliłam, myśli Karen, nawet jeśli restrykcyjne podejście do świętości małżeństwa zelżało w kolejnym pokoleniu w rodzinie Nielsenów.

Prostuje plecy i wygląda przez okno kuchni. Poranna mżawka ustała, a stado jemiołuszek skorzystało z okazji i obsiadło jarzębinę. Za kilka godzin czerwone koraliki znikną co do jednego, ale widok, który właśnie przyszło jej oglądać, wart jest tego, żeby tej zimy obejść się bez galaretki.

W ciszy przygląda się jedwabiście miękkim grzbietom. Chwilę później przerywają ją drapieżne odgłosy wydawane przez Rufusa, który wskoczył na zlew i obserwuje ptaki z tęsknotą w oczach.

– Nie, kotku. Masz zamiast tego mula.

Razem jeszcze przez chwilę oglądają ucztę jemiołuszek, potem Rufusowi się to nudzi i zeskakuje na podłogę, a Karen wraca do czyszczenia muszli. Przy dźwiękach skrobania i stukania jej myśli wędrują dalej. Będą musieli zjeść w kuchni, mimo że w dziewięć osób – jeśli mimo wszystko Astrid się jednak pojawi – będzie im trochę ciasno przy stole. Wprawdzie weranda jest zadaszona, a temperatura podniosła się nawet o kilka stopni, ale i tak jest za zimno, żeby siedzieć na dworze. To właśnie na takie okazje warto by było przebudować komórkę na przybory rybackie – tak jak zrobili to wszyscy inni, myśli Karen. Może powinnam pochylić głowę i się do tego zabrać. Pamiętać o tym wiosną, żeby skończyć do lata.

Z zamyślenia wyrrywają ją trzy głośne trąbnięcia klaksonu.

Chwilę później stado jemiołuszek zrywa się do lotu, a samochód Marike, podskakując, przejeżdża przez bramę i wciska się obok jej auta ustawionego na zwirowym placu poniżej dziedzińca. Nie zdjęwszy gumowych rękawiczek, Karen otwiera drzwi wejściowe i przygląda się obfitym biodrom Marike, kiedy ta pochyła się nad tylnym siedzeniem, żeby wyjąć torby i bukiet kwiatów. Potem Marike obraca się z uśmiechem od ucha do ucha i ryczy na całe gardło po duńsku sto lat:

– *I dag er det Karens fødselsdag, hurra, hurra, hurra! Hun sikkert sig en gave får som hun har ønsket sig i år med dejlig chokolaaaaade og kager til!*

Karen słucha cierpliwie lekkiego fałszowania, odbiera bukiet żółtych róż i uściski.

– Dzięki, kochana. Tylko jedna zwrotka dzisiaj? Nie, nie, wystarczy! – dodaje szybko.

– Co za niewdzięczna kobieta. Cześć, kotku!

Ostatnie słowa skierowane są do zwierzaka, który wyslizgnął się za Karen na werandę i ociera się o kalosze Marike. Później ta bierze ciężkie torby, które ze sobą przyniosła, wymija Karen i wchodzi do kuchni.

– Prosto z pieca – mówi, wyjmując trzy duże bochenki chleba na zakwasie. – Albo w każdym razie pieczone dziś rano według chłopaka z Bakker. A spójrz tylko na to, też prosto z pieca.

Marike wyciąga z drugiej papierowej torby, którą ostrożnie postawiła na stole, duży niebiesko-zielony ceramiczny półmisek. Kolory się zlewają, na oko nakładane kilkakrotnie, a gruba glazura tworzy efekt trójwymiarowej głębi, który sprawia wrażenie, jakby patrzyło się na dno zatoki morskiej.

Karen zapiera dech. Bez słowa bierze Marike w objęcia i długo ją ściska.

– Dobrze, już dobrze. Wystarczy. Masz wino?

Półtorej godziny później Karen Eiken Hornby stoi w komórce rybackiej i przygląda się metamorfozie. Wystarczyło nieopatrzenie wspomnieć o komórkach przebudowywanych na dodatkowy pokój, a Marike już przystąpiła do dzieła. Jeden telefon do Korego i Eirika, którzy wprawdzie mieli właśnie wsiadać do samochodu, ale rzecz jasna, mogli przejechać obok jej atelier. Szybka rundka po domu i dodatkowo po składziku. To wszystko w czasie, kiedy Karen siekała i podsmażała cebulę, czosnek i marchewkę, dolewała na patelnię wino i śmietanę, a na koniec dodała duży kawałek owczego sera, żeby rozpuścił się podczas gotowania. I w czasie, kiedy pochłaniało ją obieranie jabłek i podsmażanie ich z cukrem na maśle, wyjmowanie z lodówki ciasta francuskiego i wykładanie blachy papierem do pieczenia, Marike razem z Korem i Eirikiem, którzy do niej dołączyli, ściągnęła do komórki dwie pary starych drzwi, cztery koziołki i dwa stare prześcieradła.

Za pomocą przedłużacza – który wisiał przez całą drogę od budynku gospodarczego na ukos przez zwirową ścieżkę aż do komórki ze sprzętem rybackim – i grzejnika temperatura w środku podniosła się o co najmniej dziesięć stopni.

Długi stół, który rozstawiono pod jedną ze ścian, prawdopodobnie nie wytrzymałby, gdyby ktoś zechciał na nim zatańczyć, a ci, którzy będą siedzieli plecami do ogromnej łodzi, będą musieli uważać, żeby nie wpaść do wody. Jednak w świetle tych wszystkich świec i latarenek, które im się udało znaleźć, nie widać ościeni, szpadli, wideł, popsutych sieci, żółtych strojów rybackich ani starego porzewiałego metalowego łóżka w dwóch częściach, które jej ojciec kiedyś tu przyciągnął i które dopiero po trupie jego żony miało móc przekroczyć próg ich domu.

Na fotelach ogrodowych, kilku krzesłach z kuchni i ławie, która niedawno jeszcze stała w składziku, leżą złożone koce. Stół jest nakryty dwoma białymi prześcieradłami, a ktoś – najpewniej Eirik, jak przypuszcza Karen – z siatki dla kur, gałęzi jałowca i jarzębiny, której nie zdążyły spałaszować jemiołuszki, stworzył na stole dekorację, która biegnie między talerzami i kieliszkami.

– Sto lat – mówi Kore i uśmiecha się na widok jej zaskoczenia. – Niegłupio mieć wśród przyjaciół parę obrotnych pedałów i duńską maniaczkę, co nie?

Kilka godzin później upojenie alkoholowe wśród zebranych osiągnęło zadowalający i przyjemny stopień. Takie wieczory powinno się zapisywać w pamięci, myśli Karen i przygląda się po kolei każdemu z gości przy stole. Siedzący obok niej Kore pochyła się i rozmawia z Marike. Wyglądają tak, jakby plotkowali o czymś, co w końcu doprowadza ich do wybuchu śmiechu. Może Koremu wymknął się jakiś niedyskretny szczegół z wczorajszego nagrania w KGB Productions, którego jest właścicielem na spółkę z dwoma Szwedami i do którego artyści z całej Europy z jakiegoś powodu – Karen nigdy go nie pojęła – wałą drzwiami i oknami, żeby nagrywać. W każdym razie dopóki Marike rozmawia z Korem, nie istnieje ryzyko, że wda się w jakiś konflikt z Bo.

Obaj z Torbjörnem odnaleźli bezbłędnie swoje bezpieczne towarzystwo i kuzyn Karen przygląda się czemuś, co – jak się zdaje – Bo rysuje widelcem na obrusie. Z zainteresowaniem kiwa przy tym głową, sięga po butelkę wina i napełnia ich kieliszki. Na drugim końcu stołu Eirik z poważną miną dyskutuje z Aylin, która wygląda na zatroskaną i nieuważnie rozrywa na mniejsze kawałki kromkę chleba. Może wygląda na taką poważną, bo jako jedyna jest całkowicie trzeźwa – oczywiście to Aylin będzie prowadzić. A może to dlatego, że jest żoną dupka, myśli Karen. W każdym razie tego wieczoru popędliwy temperament Bo nie dał jeszcze o sobie znać i z jego ust nie padł na razie ani jeden komentarz ubliżający jego żonie.

Astrid się nie pojawiła; oby tylko była u siostry, a nie spędzała kolejnego wieczór w barze w Rivalu, myśli Karen i podnosi się, żeby sprzątnąć ze stołu. Za chwilę zaparzy kawę i podgrzeje szarlotkę.

– Ty siedź – mówi Kore i ciągnie ją z powrotem na krzesło.

Zamiast tego Karen odwraca się do Veroniki, która siedziała dotąd cicho i obserwowała innych. Najwyraźniej jej także przypadła rola kierowcy i dlatego wolno sączy wina z kieliszka. Wprawdzie nie ryzykują, że natkną się na kontrolę: najkrótsza droga do domu Torbjörna i Veroniki prowadzi wąską ścieżką przez grań Langevik, a tam nie widziano radiowozu przez ostatnie trzydzieści lat, ale Veronica zasiada

w parlamentarnej komisji zdrowia i nie może pozwolić sobie na takie ryzyko. Kiedy napotyka wzrok Karen, unosi kieliszek.

– Na zdrowie, Karen, jeszcze tylko rok do twojego naprawdę wielkiego dnia! Czas biegnie jak szalony. Mnie samą napawa to lękiem, chociaż mam jeszcze kilka lat przed sobą.

– Tak, w przyszłym roku o tej porze zostanie mi już tylko rzucić się do wody i umrzeć – mówi Karen z krzywym uśmiechem i bierze dwa głębokie łyki wina. – Co słyhać w Tingshuset? Posuwacie się do przodu z projektem ustawy o gwarantowanej opiece?

Żałuje tego pytania już w chwili, kiedy je zadaje. Obietnice wyborcze Partii Postępu, wśród których było zapewnienie opieki wszystkim powyżej osiemdziesiątego roku życia, bezpłatna opieka stomatologiczna dla wszystkich poniżej osiemnastego roku życia i miejsce na odwyku oraz gwarancja miejsca zamieszkania dla wszystkich, którzy będą skłonni podpisać tak zwaną umowę o życiu z dala od narkotyków, dały im wprawdzie głosy potrzebne, żeby dzielić się władzą z liberałami, ale przez to okazały się trudniejsze do wprowadzenia. Wciąż jeszcze – dwa lata po utworzeniu rządu – gazety raz po raz donoszą o starcach, którym odmówiono miejsca w domu opieki, a liczba narkomanów, którzy są gotowi przystać na warunki konieczne przy resocjalizacji, jest krępująco niska. A statystyki – według porannych wiadomości – zmierzają w przeciwnym kierunku.

Veronica Brenner odpowiada jak polityczka, którą jest.

– Tak, dziękuję, sądzę, że rodzice nastolatków w naszym kraju są szczęśliwi, że nie muszą już martwić się o wysokie rachunki od dentystów – mówi z uśmiechem.

Zapewne, myśli Karen. Gazety rozpisywały się o tym, że liczba zaleceń stomatologów, żeby założyć aparat ortodontyczny, lawinowo wzrosła. Jeszcze trochę i wszystkie krzywe zęby uda się wytępić z Wysp Doggerlandzkich. Szkoda tylko, że żadna z dwóch bardziej wartych wspomnienia reform nie przyniosła na razie żadnych rezultatów.

Na głos mówi:

– Tak, na wszystko potrzeba czasu.

– À propos czasu – mówi Veronica. – Jak idzie śledztwo w sprawie morderstwa? Robicie w ogóle jakieś postępy? – Nie czekając na odpowiedź, dodaje: – Słyszałam, że Jounas Smeed ma w poniedziałek wrócić do pracy. To musi być chyba dla ciebie dobra wiadomość?

– Gdzie to słyszałaś?

Veronica Brenner przez moment wygląda na speszoną.

– Hmm – mówi z ociąganiem, jakby zastanawiała się, czy coś w jej odpowiedzi może okazać się kompromitujące. – Annika Haugen musiała chyba o tym wspomnieć – mówi wreszcie. – Żona Vigga. Jak wiesz, znamy się z czasów partyjnej młodzieżówki. Tak, to ona musiała mi powiedzieć o tym, że Jounas teraz przejmie dowodzenie, że tak to ujmę.

– To prawda, Jounas wraca w poniedziałek – odpowiada Karen. – Ale oczywiście nie będzie uczestniczył w śledztwie w sprawie morderstwa byłej żony. Ja z resztą grupy śledczej będziemy dalej pracować tak jak do tej pory.

Veronica śmieje się.

– Hmm, może nie jak do tej pory, mam taką nadzieję. Najwyższy czas, żeby dowiedzieć się, kto zabił biedną Susanne.

– Znałaś ją?

– Powiedziałabym, że tak i nie, widywałyśmy się na różnych spotkaniach towarzyskich, kiedy jeszcze była żoną Jounasa.

– A w późniejszych latach? Nie spotykałyście się już po ich rozwodzie?

Veronica wydaje się zaskoczona.

– Nie... – mówi, jakby było to dziwne pytanie. – Nie, nie wydaje mi się, żebyśmy później kiedykolwiek się spotkały. Oczywiście, widziałam ją na mieście i może zamieniłyśmy kilka słów przynajmniej na początku, tuż po rozwodzie, ale nie w późniejszych latach. Ale zawsze się z nią witałam – dodaje.

Miło z twojej strony, myśli Karen. Nigdy nie miała bliskiego kontaktu ze swoim jedynym kuzynem po kądzieli, mimo że zawsze mieszkali z Torbjörnem niedaleko siebie. Spotykali się podczas uroczystości rodzinnych, ślubów i pogrzebów, ale nie częściej.

W dorosłym życiu podjęła kilka sporadycznych prób, żeby zbliżyć się do Torbjörna, wpadała do niego na kawę i kilkakrotnie zapraszała jego i Veronicę do siebie. I robiła, co mogła, żeby przymknąć oko na jego nadęte podejszcie do świata i na pozór niezaspokajalną potrzebę, żeby zarobić jeszcze ciut więcej. W tym obcesowym kuzynie było mimo wszystko coś, co lubiła. Może to, że nigdy nie starał się maskować: nie wstydzi się swoich uprzedzeń i skąpstwa. I w przeciwieństwie do żony nie interesuje go wspinaczka na wyżyny społeczne. Nie był też pamiętliwy – kilka tygodni milczenia nastąpiło po tym, jak Karen pomogła nowo

przybyłej Marike dostać gliniasty teren po rozsądnej cenie, ale potem nigdy więcej nie poruszał tej kwestii ani się nie dąsał.

Z Veronicą Brenner to inna para kaloszy. W przeciwieństwie do swojego męża zawsze dawała z siebie wszystko, żeby wbijać dobrze zawołowane szpile i dołączyć subtelny uśmiezek. Nigdy nie skomentowała tego, że zysk ze sprzedaży gliniastego terenu mógł być dwa razy wyższy, gdyby Karen się w to nie wmieszała, ale chociaż mieszkali po sąsiedzku z Marike Estrup już blisko siedem lat, wciąż nazywała tę wysoką na metr osiemdziesiąt i cieszącą się międzynarodowym uznaniem artystkę na przemian Maritą Estrup, Marike Ernstrup albo po prostu – kiedy rozmawiała z Karen – „twoją duńską przyjaciółką”.

Może coś w wyrazie twarzy Karen skłania Veronicę, żeby ciągnęła:

– Oczywiście w zeszłą sobotę też chciałam się przywitać z Susanne, ale wydaje mi się, że mnie nie zauważyła. A później... no tak...

– Że co powiedziałaś? – mówi Karen i odstawia kieliszek. – Widziałaś Susanne?

– Tak, szczerze mówiąc, widziałam ją nie dalej jak dzień przed morderstwem – przyznaje Veronica. – Kiedy usłyszałam, co się stało, pomyślałam, że to był ostatni raz.

– Kiedy i gdzie dokładnie to było?

Zmarszczka niezadowolenia pojawia się między brwiami Veroniki na ten władczy ton, ale odpowiada bez protestów.

– Na parkingu koło portu głębokowodnego w sobotę rano. Alice przyплыnęła porannym promem z Esbjerg i prosiła, żebym ją odebrała. Studiuje w Kopenhadze, ale chciała przyjechać na Oistrę. A mama, rzecz jasna, służyła samochodem, chociaż była dopiero siódma i cudownie byłoby pospać sobie dłużej, kiedy człowiek pracuje sześćdziesiąt godzin tygodniowo.

Veronica kończy podniesionym głosem, posyłając znaczące spojrzenie mężowi, który spokojnie rozmawia dalej z Bo, jakby nie słyszał tego przytyku.

– Widziałaś może, czy miała się z kimś spotkać albo czy sama przyплыnęła tym promem?

Karen zadaje to pytanie, chociaż jest całkowicie pewna odpowiedzi. Susanne wprawdzie zgłosiła w pracy, że jest chora, i równie dobrze mogła

wykorzystać zwolnienie na wyjazd, ale jej nazwisko nie figurowało na żadnej z list pasażerów, które sprawdzali.

– Nie, nie myślałam o tym – mówi Veronica. – Zobaczyłam tylko jej głowę nad dachami samochodów i pomyślałam, że zapewne zaparkowała kilka miejsc dalej. Ale raczej nie zostawiłaby samochodu na niestrzeżonym parkingu, gdyby płynęła do Danii. Jako policjantka wiesz chyba, że ten, kto popełni taki błąd, nie może liczyć na to, że po powrocie zostanie którąś z felg.

Zapewne ma rację, myśli Karen. Odkąd koło terminalu zbudowano garaż, bezpłatny parking w południowej części portu służy głównie do odbierania i odstawiania pasażerów oraz tym, którzy pracują w porcie. Ale skoro Susanne nie przyплыnęła promem, musiała z kimś się tam spotkać. Najprawdopodobniej z osobą, która dzwoniła do niej o siódmej piętnaście, żeby powiadomić ją o swoim przybyciu.

– I nie widziałaś, czy miała jakieś towarzystwo?

Veronica zwleka.

– Nie wiem. To znaczy nikogo nie widziałam, ale pamiętam, że pomyślałam wtedy, że chyba z kimś rozmawia.

Odgłos pustych butelek wrzucanych do zielonego kontenera stacji recyklingu razi jej uszy i Karen zaciska zęby, kiedy ostatnia butelka po winie ląduje na stercie szkła. Chociaż wczoraj nie szaleli, i tak zrobiło się późno. Zasnęli dopiero przed wpół do czwartej, ale Eirikowi, temu niepoprawnemu rannemu ptaszkowi, udało się ściągnąć wszystkich z łóżek o wpół do dziesiątej przygotowanym przez siebie śniadaniem i zapachem świeżo parzonej kawy.

Karen odrzuciła wszystkie propozycje pomocy przy sprzątanii. Marike, Eirik i Kore zrobili wczoraj nawet więcej, niż trzeba, i nikt z nich nie wyglądał, jakby był w formie do sprzątanii. Poza tym nie mogła się doczekać, żeby zostać w domu sama i przespać się jeszcze kilka godzin.

– Jedźcie do domu – powiedziała, przyglądając się skacowanym przyjaciółom podczas śniadania. – Kupcie sobie pizze i walnijcie się na kanapie, a ja pozmywam dziś wieczorem.

Ale kiedy zatrzasnęły się ostatnie drzwi od samochodu, wróciła do kuchni i zadziwiająco pełna energii zabrała się do pracy. Ze zmywaniem uwinęła się w pół godziny, a uporządkowanie komórki zajęło jej mniej więcej tyle samo. Zostawiła tam stół i fotele ogrodowe, krzesła z kuchni zaniósła z powrotem do domu. Ściągnąwszy pościel Korego i Eirika w budynku gospodarczym i wrzuciwszy ją do pralki, zebrała puste butelki i zbiór gazet z kilku tygodni, załadowała to wszystko do samochodu i pojechała do zawrotki na końcu drogi. Koniec drogi – wciąż tak mówiono we wsi. Dla innych to miejsce wyznaczało początek drogi Langeviksvej.

Karen składa ostatnią papierową torbę, wciska ją do pojemnika na makulaturę i wsiada do samochodu. Znowu zaczyna się odzywać zmęczenie. Jest jej gorąco i czuje, że lepi się od taszczenia krzesel i pustych butelek. A do tego ta przekłeta mżawka, myśli, obserwując szarobure niebo. Po wczorajszej krótkiej przerwie rozpadało się znowu, kiedy siedzieli w komórce, więc skuleni musieli biegać pod brezentem do domu, żeby przynieść kawę, więcej wina i skorzystać z toalety.

Piwo w Zającu i Wronie byłoby w sam raz, myśli. Prawdopodobnie znajdzie też na barze wieczorną gazetę. O tej porze roku pierwsi stali

klienci zjawiają się zwykle z „Kvellsposten” pod pachą już koło dwunastej. Na zewnątrz jest ponuro i paskudnie, ale wewnątrz dwie rzeczy plasują się na szczycie listy: światło i towarzystwo innych. Przez nadchodzące miesiące więcej właścicieli pubów, nie tylko Arild Rasmussen, będzie zacierać ręce i z zadowoleniem przysłuchiwać się, jak marki i szylingi dzwonią i grzechoczą w kasie, pikają terminale płatnicze i jak rozlega się dźwięk odrywanych paragonów na zmianę z nowymi zamówieniami.

Karen patrzy na zegarek na ręce – zaraz będzie druga. Przekręca kluczyk w stacyjce, rzuca okiem w tylne lustro i wykręca samochodem.

Osiem minut później zwalnia i pochyla się nad siedzeniem pasażera, żeby lepiej widzieć. Ogarnia ją nagłe wrażenie déjà vu i na moment nie dowierza własnym oczom. Ale ta zgarbiona postać, która tym razem wspina się po trawniku, to nie Susanne Smeed. Ktoś inny jest u niej w domu. Ktoś, kto jak burza wyciąga ze środka graty i układa je w stertę na działce.

W kolejnej sekundzie Karen zatrzymuje samochód na poboczu. Słyszała na własne uszy, jak Karl dzwonił do córki Susanne, żeby poinformować ją, że badania techniczne domu dobiegły końca i że policja nie potrzebuje już do niego dostępu. Ale z jakiegoś powodu zakładała, że Sigrid nie będzie chciała tam pojechać. Przez kilka minut przygląda się wątej postaci, która właśnie opadła na schody przed domem, na pozór niezdolna, żeby coś dalej taszczyć. Wygląda na to, że nie ma z nią nikogo. Karen zwleka jeszcze chwilę, a później kładzie rękę na skrzyni biegów. Zatrzymuje się jednak w pół ruchu – widok tej samotnej postaci sprawia, że nie jest w stanie odjechać. Klnąc pod nosem, wyciąga kluczyk ze stacyjki i otwiera drzwi.

Sigrid siedzi pochylona z głową ukrytą w rękach i dopiero gdy już tylko kilka metrów dzieli Karen od niej, zauważa, że ma gościa. Podnosi wzrok i próbuje wstać, ale opada z powrotem na schody.

– Cześć, Sigrid, to tylko ja. Karen.

Sigrid kiwa głową, ale nie odpowiada. Jej twarz jest trupio blada, a oczy przeszkłone. Żałoba, myśli Karen. Tak to wygląda. Robi kilka szybkich kroków i siada koło osamotnionej dziewczyny. Sigrid powoli obraca ku niej twarz i napotyka jej wzrok, potem kaszle i odwraca głowę.

Słyszając charkot, Karen uświadamia sobie, że te przeszklone oczy nie mają tylko związku ze łzami. Sigrid ma gorączkę.

– Och, moja mała, jak się tak naprawdę czujesz?

W każdym razie miała na tyle oleju w głowie, żeby założyć płaszcz przeciwdeszczowy, myśli Karen i spogląda na długie mokre włosy, które przyklejają się do czoła i policzków Sigrid. Karen ostrożnie odgarnia jej włosy i kładzie dłoń na czole córki Susanne.

– Jesteś chora. Nie możesz tutaj tak siedzieć.

Roztropnie obejmuje chudą postać, ciągnie ją do góry i prowadzi do środka przez otwarte drzwi. Zamiast wejść do kuchni, kieruje się do salonu i pilnuje, żeby Sigrid usiadła na kanapie. Zrobią się brzydkie plamy, myśli, patrząc na strużki wody, które spływają po płaszczu i zostają wchłonięte przez jasne obicie.

– Kiedy dostałaś gorączki?

– Dopiero dzisiaj, tak sędzę.

Głos jest słaby i nie słychać w nim ani śladu tej zuchwałości, którą Sigrid prezentowała, gdy Karl i Karen spotkali się z nią w mieszkaniu w Gaardzie.

– Wzięłaś coś przeciwgorączkowego?

Sigrid kaszle i kręci głową.

– Poczekaj tutaj.

Karen pokonuje schody na piętro w czterech susach. Ma nadzieję, że Susanne miała coś więcej w szafce łazienkowej poza proszkami nasennymi.

Kilka minut później Sigrid posłusznie wkłada paracetamol do ust i bierze szklankę z wodą, którą podaje jej Karen. Z grymasem na twarzy połyka lek.

– Boli cię gardło?

Sigrid przytakuje.

– Jak długo już tu jesteś?

– Od wczoraj. Chciałam przejrzeć... muszę w końcu zająć się...

Głos jej się załamuje i nie jest w stanie dokończyć zdania. Zamiast tego Sigrid kładzie się na boku i opiera głowę o podłokietnik sofy, stopy w gumiakach wciąż trzyma na podłodze. Karen obserwuje, jak woda z długich czarnych włosów rozchodzi się po różowej dekoracyjnej poduszce.

Opada na jeden z foteli stojących naprzeciwko sofy i przygląda się tej zmarnowanej dziewczynie. Sigrid musiała przyjść tu od razu po pogrzebie; to tutaj skierowała się, gdy zostawiła na parkingu Jounasa i przecięła na skos cmentarz. Karen szybko rozważa różne możliwości. Nie może tu tak po prostu zostawić Sigrid, jest zdecydowanie zbyt chora, żeby zostać sama. A ona pod żadnym pozorem nie chce przebywać w domu Susanne i doglądać tej trudnej młodej panny. Poza tym, że czułaby się nieswojo, byłoby to zapewne błędem etycznym, gdyby prowadząca śledztwo nocowała w domu ofiary morderstwa, nawet jeśli badania techniczne zostały już zakończone. Telefon do Jounasa i prośba, żeby zajął się córką, odpada z wielu względów: nie wygląda na to, żeby Sigrid chciała mieć kontakt z ojcem, a ona sama nie ma nawet siły myśleć o tym, że będzie musiała z nim porozmawiać. Do chłopaka Sigrid, Sama Nesbø, jeśli wciąż są parą, Karen nie ma telefonu i nie zna nazwisk innych znajomych Sigrid. Równie szybko analizuje wymówki, które przychodzą jej do głowy: Zapewne sama sobie poradzi, o ile tylko pomożę jej położyć się do łóżka. Mogę tu zajechać i zajrzeć do niej z samego rana. Tak, jest chora, ale raczej nie śmiertelnie. Jeśli przypadkiem nie przejeżdżałabym obok, musiałyby sobie jakoś poradzić.

Po co, do cholery, miałabym tu zostawać?

Potem się podnosi.

– Sigrid, nie możesz tak leżeć, możesz pojechać do mnie do domu.

Odpowiedź, jakakolwiek jest, ginie w ataku kaszlu.

– Dasz radę się podnieść i dojść do samochodu? Stoi przy drodze.

Ku swojemu zdziwieniu widzi, jak Sigrid powoli wstaje i kiwa głową.

– Widziałam twój plecak w przedpokoju, chcesz coś jeszcze zabrać ze sobą?

Sigrid bez słowa kręci głową.

Klucze do domu leżą na stoliku w sieni. Szybko sprawdziwszy, czy kuchenka i ekspres do kawy są wyłączone, Karen gasi światło i zamyka za nimi drzwi. Rzuca okiem na działkę. Sberta ubrań leży razem z ozdobnymi poduszkami, zasłonami i kwiecistą pościelą na gliniastym trawniku. Obok stoi duże, mokre od deszczu kartonowe pudło przeprowadzkowe. Karen rozpoznaje dekoracyjne przedmioty Susanne, stelaż lampy i kilka ramek ze zdjęciami wystają z pudła, które grozi tym, że lada chwila się rozwali. Przez moment Karen zastanawia się, czy nie poszukać jakiejś plandeki, żeby to wszystko przykryć, jest ryzyko, że

któryś z ciekawskich sąsiadów postanowi obejrzeć te rzeczy, ale pod wpływem kolejnego ataku kaszlu Sigrid zgina się wpół i Karen odrzuca tę myśl. Najważniejsze jest teraz to, żeby młoda jak najszybciej się wysuszyła i znalazła w łóżku.

Pół godziny później stoi w drzwiach pokoju gościnnego i patrzy na śpiącą dziewczynę. Jej włosy są nadal wilgotne; próby ich wysuszenia, kiedy Sigrid opornie piła ciepłą zupę z owoców dzikiej róży, powiodły się tylko połowicznie. Czasu na zmianę pościeli nie było, Sigrid będzie musiała spać pod poszewką Marike, przynajmniej do jutra. Termometr pokazał trzydzieści dziewięć i osiem, wprawdzie po kilku wykrzywających usta łykach ciepłej zupy, ale po połknięciu tabletek przeciwbólowych. Będzie musiała zmierzyć temperaturę jeszcze raz za kilka godzin, ale w tej chwili nie da się zrobić nic więcej. Karen jak najciszej zamyka za sobą drzwi do małej sypialni, ale zmienia zdanie i zostawia je uchylone, potem schodzi na dół.

Ostatnie dwa tygodnie na zmianę mżyło i lało. Ziemia jest nasiąknięta i mniejsze drogi zaczynają przyjmować coraz bardziej brązowy kolor gliny, która wraz z wodą powoli występuje z przepelnionych rowów. Ludzie okręcili się w wiatroodporne kokony brzydkich, ale praktycznych kurtek i płaszczy.

Miesiące walki z siłami natury będą rozgrywać się pod kołyszącymi się latarniami, na opustoszałych placach zabaw i w cichych, pustych parkach. Silne wiatry i deszcz ze śniegiem będą smagać kraj od grzbietów górskich na Noorö po rozległe wrzosowiska na Friesel. Sztormy będą się wzmacniać i cichnąć, porywając ze sobą wzniesione w pocie czoła osłony i mury, które ludzie będą później naprawiać skostniałymi rękami. Drzewa liściaste i iglaste będą się łamać, statki przymusowo zostaną w porcie, a rybacy z niecierpliwością i trwogą będą czekać na kolejną okazję, żeby wypłynąć w morze.

Kobiety będą rozdarte między poczuciem ulgi, że statki zostały w porcie, a niepokojem z powodu budżetu domowego, skoro nie będzie połowów. Ciężkie torby z jedzeniem trzeba będzie nosić pod wiatr, klnąc pod nosem na podwyżki cen i odsetki i wznosząc modły, żeby pieniędzy starczyło do kolejnej wypłaty.

Ale z mroku wyłoni się także coś całkiem innego. W czarnych oknach kamienic zapłoną elektryczne wieńce, gwiazdy i półksiężycy. Balustrady balkonów zostaną oplecione gałązkami świerkowymi, świetelkami, przed każdym domem staną latarenki z woskowymi świecami, a świeczniki i podgrzewacze zostaną wyciągnięte ze strychów, a także będą znikać ze sklepowych półek, do alarmów przeciwpożarowych zostaną włożone nowe baterie, od ciepła kozy i piece wydawać będą dźwięki, a trzask drewna brzozy będzie dochodzić z kominków.

Nastawiła budzik na szóstą, ale budzi się pół godziny przed tym, jak zadzwonił. Odgłos kroków przebija się przez grube pokłady snu i w końcu dociera do niej, powodując ukłucie strachu. Sekundę później rozlega się grzmiący, chrzęszczący kaszel w pomieszczeniu obok i powraca jej

pamięć. Sigrid. Kilka szybkich kroków i Karen jest już koło pokoju gościnnego, staje w progu i patrzy na siedzącą na łóżku dziewczynę.

– Dzień dobry. Jak się czujesz?

– Co ja tutaj robię? To twój dom?

– Tak, jesteś u mnie w Langevik, tylko kilka kilometrów od domu mamy. Nie pamiętasz, że wczoraj cię stamtąd zabrałam?

Sigrid kręci głową i krzywi się z bólu.

– Byłaś bardzo chora. *Jesteś* bardzo chora – dodaje i marszczy czoło, kiedy kolejny atak kaszlu wstrząsa chudą postacią przed nią.

– Pamiętam jak przez mgłę, że jechałyśmy samochodem – przypomina sobie Sigrid, kiedy atak kaszlu mija. – I zupę z owoców róży. Nienawidzę jej.

– Okej, już więcej jej nie dostaniesz.

– Masz proszki na ból głowy? Tak cholernie mnie boli.

– To prawdopodobnie gorączka. Mierzyłaś rano temperaturę?

Sigrid kolejny raz zaprzecza, tym razem ostrożnie. Karen kiwa głową w stronę stolika nocnego, na którym leży termometr.

– Zmierz, a ja przyniosę proszek i coś do picia.

Dobłą godzinę później Karen zostawia leżącą w łóżku Sigrid i wsiada do samochodu. Gorączka spadła do trzydziestu dziewięciu i dwóch i powinna spać jeszcze bardziej dzięki paracetamolowi, który dostała razem z kubkiem herbaty z miodem i kanapką. Kanapkę zostawiła jednak nietkniętą.

– Jakby co, to dzwoń – powiedziała Karen i zapisała numer swojej komórki na kartce, którą położyła obok kubka z herbatą. – Twój plecak stoi tutaj, obok łóżka. Bierz, co chcesz z kuchni, ale najważniejsze, żebyś leżała i odpoczywała.

Sigrid zasnęła, zanim Karen skończyła zdanie.

Równy o siódmej dwadzieścia Karen wysiada z windy na czwartym piętrze w komendzie w Dunkerze; znacznie wcześniej, niż ma w zwyczaju przychodzić do pracy. Właśnie tego poranka chce być pierwsza na miejscu. Chce popatrzeć z lekko zdziwioną miną na swojego szefa, który najpewniej wkroczy tu tradycyjnie koło dziewiątej. Tak jak zwykle i ona. Po tygodniu nieobecności Jounas Smeed wraca do służby.

Dwie minuty później, klnąc, Karen ciska na biurko torebkę.

Jounas siedzi za swoim biurkiem. Przez przeszklone drzwi Karen widzi, że zaopatrzył się w kawę i studiuje coś na monitorze komputera ze skoncentrowaną miną. Zważywszy na to, Jounas Smeed musiał być już dłuższą chwilę na miejscu, ale nie zauważył jeszcze, że ona też tu jest. Posyłając pod nosem kolejne przekleństwo, wiesza płaszcz na wieszaku za biurkiem.

Po prostu to zrób, mówi sobie. On nie zniknie, jak bardzo byś tego chciała. Wzdycha i idzie do pokoju przełożonego. Kilka sekund stoi przed szklanymi drzwiami i zwleka. Potem trzy szybkie puknięcia we framugę, jeszcze kilka sekund oczekiwania, Jounas Smeed z wystudowaną powolnością odwraca twarz w stronę drzwi i dopiero wtedy odrywa wzrok od monitora.

Posyła jej to samo lekko zdziwione spojrzenie, które ona zamierzała posłać jemu, a później wykonuje ruch głową. Karen odczytuje to jako sygnał, żeby otworzyć drzwi i wejść do środka.

– Cześć, Eiken, siadaj.

Robi to, co jej powiedziano.

– Hmm, a więc witaj z powrotem – rzuca.

Nie odpowiadając, Jounas wykonuje ruch głową w stronę komputera.

– Sprawdziałaś PIR?

– Chodzi ci o to, czy dzisiaj rano? Nie, dopiero przyszłam.

– Prewencja dzwoniła do mnie o piątej. Sporo się działo w nocy.

Mimo że słyszy, jak nieprofesjonalnie to brzmi, reaguje w pierwszej kolejności na to, że dowódca prewencji zadzwonił do Smeeda, a nie do niej.

– Do ciebie? Niby czemu? Przecież wróciłeś do pracy dopiero dzisiaj rano.

Smeed kręci głową i unosi rękę.

– No tak, ale spokojnie. Słyszeli, że wracam, i uznali, że będzie lepiej, jeśli zadzwonią bezpośrednio do mnie. Spójrz na to tak: miałaś szansę się wyspać.

Wyspać, myśli gorzko. Byłam na nogach od wpół do szóstej i zajmowałam się twoją chorą córką, tobie raczej by na to nie pozwoliła.

Ta myśl podnosi ją trochę na duchu.

– A co się stało? – pyta.

– Dwie młode kobiety zostały brutalnie pobite i zgwałcone: jedna jeszcze wczoraj w nocy, w krzakach obok ścieżki prowadzącej z przystanku koło centrum handlowego w Moerbecku, a druga w pomieszczeniu na rowery na Karpvågen sto dwadzieścia dwa dzisiaj w nocy.

– O cholera. Ale czy mimo wszystko nie jest to trochę dziwne, że budzili ciebie, żeby donieść ci o dwóch gwałtach?

W tej samej chwili dociera do niej, dlaczego skontaktowano się z naczelnikiem wydziału kryminalnego. Jounas Smeed widzi jej minę i potwierdza to kiwnięciem głową.

– O morderstwie – poprawia ją. – Dziewczyna z Karpvågen zmarła w karetce w wyniku doznanych obrażeń.

Odchyła się i bierze kubek z logo klubu piłkarskiego z Thingwalli.

– Niezła – mówi, upiwszy łyk. – Przypuszczam, że przyjdzie faktura, którą według ciebie powinienem zapewne opłacić.

– Według mnie to świetna inwestycja. Jeśli inaczej to oceniasz, mogę zawsze zabrać ekspres do domu i sama za niego zapłacić.

– À propos oceniania – mówi Jounas, nie komentując jej propozycji. – Jak z pewnością rozumiesz, będziemy musieli zmienić trochę priorytety w związku z tym, co się stało w Moerbecku. Skontaktowałem się już z grupą, z którą zamierzam pracować. Cornelis Loots i Astrid Nielsen przechodzą do mnie; przy takiej sprawie dobrze, żeby w zespole była jakaś kobieta. Hmm, z pewnością rozumiesz, co to oznacza dla twojego śledztwa, ale po prostu musimy podzielić się tymi zasobami, które mamy.

A więc nie bierzesz Karla, myśli Karen i ukrywa swoje zdziwienie. Oprócz mnie i Evalda Johannisena Karl ma najwięcej doświadczenia. Nie masz odwagi zaryzykować, że ktoś może mieć swoje zdanie. Szczególnie teraz, kiedy nie ma tu Johannisena, który wchodziłby ci w dupę.

Na głos mówi:

– A więc mogę zachować jedynie Karla. I jak ty to sobie wyobrażasz? Śledztwo przecież dopiero się zaczęło.

– No, miałaś ponad tydzień. Do tej pory nie do końca szło ci wyśmienicie, chociaż oddano ci do dyspozycji wszystkie zasoby. I jak mówiłem, z pewnością rozumiesz, że musimy wyznaczyć jakieś priorytety. Zwłaszcza że nie ma Evalda, ale rozmawiałem z nim i na

szczęście już niedługo wróci, a wtedy jeszcze raz przyjrzymy się temu podziałowi.

Jeśli przydzielisz mi Johannisena, złożę wypowiedzenie, myśli Karen.

– Okej – mówi pospiesznie. – Ale co na to Haugen? Mam w końcu w tej sprawie składać raporty bezpośrednio do niego, a nie do ciebie.

– Hmm, możesz go chyba sama zapytać. Ma się do ciebie odezwać z samego rana, tak powiedział, kiedy z nim rozmawiałem chwilę temu.

Viggo Haugen dzwoni jedenaście minut później. Szef policji mówi to, czego można się było spodziewać i co Karen przeczuwała i w głębi duszy uważała za słuszną decyzję. Musi dojść do rozlokowania zasobów i tym razem nawet prokurator Dineke Veggen trzyma stronę naczelnika. Wszystkie siły operacyjne mają skupić się na Moerbeckeru.

– Poza tym sama chyba przyznałaś, że wygląda na to, że te włamania wyraźnie łączą się z morderstwem Susanne Smeed – mówi Viggo Haugen, najpewniej nie zdając sobie sprawy z ulgi, którą zdradza jego głos.

Krytykę w mediach spowodowaną tym, że nie można było donieść o żadnym przełomie w sprawie morderstwa Susanne Smeed, wzmogła nieudana konferencja prasowa. Fakt, że później wszystkie informacje przekazywano przez rzecznika prasowego, nie stłumił irytacji i samemu Haugenowi mocno oberwało się w wielu mediach. Teraz uwaga zwróci się jednak w zupełnie innym kierunku i tym razem Jounas Smeed poprowadzi śledztwo. Viggo Haugen może odetchnąć.

– Powiedziałaś, że *może* istnieć jakiś związek – poprawia go Karen – ale szczerze mówiąc, nie jest szczególnie wyraźny. A nawet jeśli by był, nie oznacza to, że zidentyfikowaliśmy sprawcę, a tym bardziej że go zatrzymaliśmy.

– Może i nie, ale teraz, kiedy wiemy, jak najprawdopodobniej do tego doszło, musicie skupić siły na tym tropie. Złapanie go powinno pójść już szybko. Oczywiście także w dalszym toku śledztwa będziesz miała do dyspozycji wszelkie środki, których możesz potrzebować, o ile będzie to konieczne do zatrzymania. Tak, albo jeśli mimo wszystko znajdziecie innego potencjalnego sprawcę, ale wtedy będziesz musiała o nie wystąpić. Musimy wyznaczyć pewne priorytety – mówi Haugen, wyraźnie akcentując każdą sylabę.

I Karen oczywiście rozumie. Zasoby są znikome i to słuszną decyzją, żeby za priorytet uznać te dwa gwałty, szczególnie że jest pewnie duże

ryzyko, że sprawca znów uderzy. Prawdę mówiąc, sama dużo by dała, żeby móc rzucić wszystko, co wiąże się z rodziną Smeedów, włamaniami do domów i ukradzionym motorem i zamiast tego poświęcić czas na wsadzenie za kratki tej świni, która grasuje po Moerbecku.

Zarówno Björken, jak i ona sama uczestniczą w pierwszej odprawie dotyczącej dwóch gwałtów. Każdy w wydziale kryminalnym ma zawsze podstawowe informacje o największych śledztwach. Bo nawet jeśli w początkowej fazie nic na to nie wskazuje, nie można wykluczyć, że zostaną odkryte jakieś powiązania między różnymi sprawami albo że któraś z osób przesłuchiwanym w jednej sprawie będzie miała informacje o innej. W kręgach przestępczych wewnętrzny obieg informacji jest zdecydowanie dużo efektywniejszy niż PIR, a na pewno szybszy. Nieraz się zdarzyło, że policja mogła wykorzystać to na swoją korzyść.

Wiadomość ta wstrząsnęła nimi wszystkimi. Gdy Kneought Brodal przedstawia szczegóły, w pomieszczeniu panuje martwa cisza. W obu przypadkach posłużono się obtłuczonym szkłem; ofiarom pocięto twarz i piersi, a później sprawca wprowadził stłuczoną butelkę w ich narządy płciowe. Zakrwawione resztki trzystupięćdziesięciomilimetrowej butelki po Groths Old Stone Selection leżały w miejscu, gdzie w niedzielę koło czwartej nad ranem przechodzący właściciel psa znalazł Sandrine Broe – która błędziła dookoła zakrwawiona i kompletnie przerażona. Teraz leży w szpitalu Thysted, w ciężkim stanie, ale żyje.

Loa Marklund nie miała tyle szczęścia. O wpół do ósmej w niedzielę rano mężczyzna mieszkający po sąsiedzku na Karpvägen sto dwadzieścia dwa i jego ośmioletni syn, uzbrojeni w wędki, zjechali windą do piwnicy. Mieli wziąć rowery i udać się na ostatnią w tym sezonie wyprawę na ryby do Svartsjön. Kiedy zszokowany tata zadzwonił pod sto dwanaście, minęło ponad osiem godzin – zgodnie z pierwszą opinią lekarza sądowego – odkąd w drogi rodne Loi wprowadzono obtłuczoną butelkę po budweiserze. Mimo sporej utraty krwi dziewczyna żyła, kiedy przyjechała po nią karetka. Gdy dotarli do Thysted, już nie.

– Sperma? – pyta ktoś cicho, na co Kneought Brodal kręci głową.

– Pytanie brzmi, czy sprawca w ogóle odbył z ofiarami stosunek. Wiele wskazuje na to, że zadowolili się tym, by butelki odwalily za niego robotę. Porąbany zbok. Jeśli chcecie znać moje zdanie, impotent.

Karen wodzi wzrokiem po członkach swojej dawnej grupy, którzy trawia nieprzyjemne szczegóły z napadów w Moerbecku. Tak samo jak wtedy, kiedy po raz pierwszy pokazano zdjęcia Susanne Smeed, w sali zapada najpierw paralizująca cisza. Później nastrój się zmienia, jakby coś powoli się uniosło, otrząsnęło i mrucało przytłumione. Teraz znów obudził się w nich instynkt łowiecki, ale kto inny jest ofiarą i ich wzrok zwrócił się w inną stronę, w kierunku innego łupu. Pozostaje mieć nadzieję, że to dochodzenie pójdzie zdecydowanie lepiej niż jej własne.

Karen chwyta myszkę i stopuje nagranie. Potem odchyła się i mruży oczy. Za zamkniętymi powiekami przelatują jej obrazy z filmu; na pozór nieprzebrany strumień różnych pojazdów, które podrygują na pokładzie w jednym z okienek na ekranie i wyjeżdżają z promu w drugim.

Prom samochodowy z Noorö do Thorsvik odchodzi co dziesięć minut między godziną szóstą a dwudziestą trzecią pięćdziesiąt i co dwadzieścia minut po północy. Żółty prom mozolnie postępuje, płynąc przez sund, bez względu na to, czy ktoś nim jedzie, czy nie. Krytyczne głosy dochodzące od rozrastającej się rzeszy, która domaga się obniżenia podatków, proponowały już wielokrotnie wariant „na żądanie”, przynajmniej nocą, co spotkało się z głośnymi protestami mieszkańców Noorö, którym jak dotąd udało się oddalić groźbę ograniczeń.

Lecz jeśli liczba podróży nocą nie uzasadnia ruchu promu nawet w półgodzinnych odstępach, strumień samochodów w innych porach doby bywa okresowo wartki. Duże samochody, małe samochody, jasne samochody, ciemne samochody; nagrania są czarno-białe i oferują jedynie nieograniczoną skalę szarości. Dominują volva razem z bmw, fordami i SUV-ami wszelkiej maści. Linia autobusowa siedemdziesiąt osiem przepływa promem raz na pół godziny, samochody osobowe, furgonetki, dwa traktory, ciężarówki z logo rzeźni z Ravenby, przewóz osób NoorOyl z północnego portu głębokowodnego pełen zmęczonych mężczyzn i kobiet, którzy zakończyli właściwe trzytygodniowe zmiany na którejs z platform wiertniczych, rowery, motorowery i quady. I kilka motocykli. Niestety, nie ma hondy model CRF 1000L Africa Twin. Dla porównania Karen ma na biurku wydrukowane zdjęcie tego modelu.

Jej wzrok rejestruje wszystkich, którzy wjeżdżają na prom w porcie Noorö i po kilku sekundach przewijania filmu zjeżdżają z pokładu w Thorsviku. Na promie znajdują się dwie kamery skierowane w przeciwnych kierunkach. Oba ujęcia są pokazywane na monitorze równocześnie i spojrzenie Karen przechodzi na zmianę od załadunku do wyładunku. Już po dwóch rejsach i jednym przeoczonym motorowerze

dociera do niej, że będzie musiała przestudiować oba ujęcia. Bo motocykl może zostać łatwo zasłonięty przez tira, ciężarówkę albo autobus siedemdziesiąt osiem.

Do włamania na Noorö doszło między wpół do ósmej we wtorek, siedemnastego września, a za kwadrans piąta po południu w piątek dwudziestego września. Trzy i pół dnia, setki możliwych rejsów promem, kiedy to młody mężczyzna na skradzionym motorze mógł zostać sfilmowany przez którąś z kamer monitoringu na pokładzie.

Otwiera oczy i spogląda w bok. Karl Björken, który siedzi przy biurku obok niej, właśnie odłożył telefon i nacisnął czubek długopisu, a później z zawiedzioną miną przekreślił coś na kartce papieru. Najwyraźniej kolejny miejscowy komisariat nie miał nic do zaraportowania, myśli Karen.

– Chcesz się zamienić? – pyta. – Nie dam rady już dłużej patrzeć na to gównno.

– I na co ty narzekasz? – mówi Björken z ironicznym uśmiechem. – Nie może być chyba znacznie więcej rejsów niż jakieś sto dziennie?

– Sto dwadzieścia dwa – mówi bez entuzjazmu.

– Dużo ci jeszcze zostało?

– Właśnie sprawdziłam prom z dziewiętej czterdzieści osiemnastego września. Tam też ani śladu africa twin. W ogóle nie było ani jednego cholernego motocykla od czasu, kiedy na pokład wjechało kawasaki dwadzieścia po siódmej. A tobie jak idzie?

– Jak myślisz? Jeśli jakimś cudem uda mi się na coś trafić, nie będę trzymać tego w tajemnicy. Ale właściwie zamierzam zbierać się powoli do domu; Arne i Frode mają gorączkę, a mała Sara nie chce spać w swoim łóżeczku. Ingrid zagroziła rozwodem, jeśli nie wrócę przed szóstą. „I nie zamierzam zabrać ze sobą dzieci”. –Karl naśladuje swoją żonę.

– Tak, to chyba najlepiej będzie, jak się pospieszysz – mówi Karen z uśmiechem. – A tak w ogóle nie idziesz lada moment na ojcowski?

– Dopiero od pierwszego listopada. I nie, to nie ma nic wspólnego z polowaniem na kuny.

A więc Karl zniknie za niespełna miesiąc. No tak, myśli, jeszcze jeden powód dla Smeeda, żeby nie włączać go do swojego zespołu.

– Dlatego najbezpieczniej będzie, jeśli przedtem rozwiążemy tę sprawę – mówi Karl i wyłącza komputer. – Inaczej dostaniesz prawdopodobnie

Johannisena do pomocy. A to najpewniej skończy się tym, że on naprawdę dostanie zawału.

– Albo ja. Przebrnę tylko przez ostatnie środowe rejsy i potem też się zbieram do domu – mówi Karen i się przeciąga.

I w chwili, kiedy dwadzieścia cztery minuty później Karl Björken otwiera drzwi bliźniaka w Sande, a do jego uszu dobiegają wrzaski trójki dzieci, Karen odrętwiała od siedzenia przed monitorem unosi się z pozycji półleżącej. Szybko cofa film o kilka sekund i jeszcze raz ogląda tę sekwencję.

– No to cię mam – mówi powolnie. – A więc tak wyglądasz.

Kiedy Karen przekracza próg domu, Sigrid siedzi przy stole kuchennym. Przed nią na blacie kot zlizuje resztki z talerza, który wygląda tak, jakby wcześniej znajdował się na nim jogurt z musli. Ciekawe, w której szafce to znalazła, zastanawia się Karen, nie jadłam musli od lat. W tej samej chwili staje jej przed oczami przerwane śniadanie Susanne Smeed. Szybko otrząsa się z nieprzyjemnego uczucia.

– O, jesteś na nogach – mówi. – Jak się czujesz?

Sigrid podnosi wzrok, a na jej twarzy maluje się coś, co przypomina uśmiech. Karen aż przechodzą ciarki na tę przemianę; pierwszy raz widzi Sigrid, która nie syczy jak kot ani nie jest wycieńczona gorączką. Nadal jest blada i ma przeszkłone spojrzenie, ale z twarzy zeszły jej czerwone wypieki spowodowane wysoką temperaturą i związała włosy w koński ogon.

– Lepiej, dziękuję. W porządku? – pyta i kiwa głową w stronę talerzyka.

– Chodzi ci o jogurt czy o Rufusa? Spokojnie – dodaje z uśmiechem. – On zazwyczaj robi, co chce, nawet jeśli jestem w domu.

Odstawia torbę na blat przy zlewozmywaku i kącikiem oka dostrzega, że Sigrid ostrożnie zestawia Rufusa na ziemię.

– Kupiłam w mieście indyjskie jedzenie na wynos. Już wystygło, ale zamierzam podgrzać je w mikrofalach. Najadłaś się czy zmieści ci się jeszcze trochę porządnego zarcia?

Karen bierze talerz z suszarki i ostrożnie wyjmuje kilka aluminiowych tacek z papierowej torby.

– Nie dam już rady. Ale dziękuję – dodaje Sigrid.

Potem siedzi cicho przez chwilę i patrzy, jak Karen wyklada porcję curry masala na talerz i wstawia ją do mikrofalówki.

– Właściwie powinnam chyba zbierać się do domu – mówi i zaczyna się podnosić. – Albo w każdym razie wrócić do domu mamy.

Karen zatrzymuje się w pół ruchu z ręką na pokrętle timera.

– Dlaczego? To chyba jasne, że możesz tu zostać, aż wyzdrowiejesz. A tak przy okazji, czy temperatura ci spadła od rana?

– Jakies półtorej godziny temu. Trzydzieści osiem i sześć.

– Posłuchaj mnie, Sigrid. Nie wiem, jakie paskudztwo złapałaś, ale nie ma najmniejszych wątpliwości, że to jakaś infekcja dróg oddechowych. Hmm, sama widzisz – dodaje i robi przerwę, kiedy kolejny donośny atak kaszlu sprawia, że Sigrid musi zgiąć się wpół. – Jesteś tu mile widziana i możesz zostać, aż całkiem wrócisz do zdrowia. Jak z pracą, dzwoniłaś do nich?

– Wysłałam rano wiadomość.

– A twój chłopak, Sam?

– Mój były chłopak – poprawia Sigrid.

– Ach tak, a więc nadal między wami koniec. Okej, ale w takim razie nie rozumiem, czemu tak ci spieszno.

Mikrofalówka dzwoni i Karen wyjmuje z niej talerz.

– Na pewno? – mówi, kiwając głową w jego stronę.

– Na pewno.

Karen otwiera drzwi spiżarni i wyjmuje z niej butelkę.

– Tak, wina nie dostaniesz, chociaż zamierzam wypić kieliszek.

– Właściwie skończyłam już osiemnaście lat.

– Świetnie, to dostaniesz trochę, jak wyzdrowiejesz. A więc zostajesz?

Tym razem nie ma najmniejszych wątpliwości, że to uśmiech widać na bladej twarzy Sigrid.

Godzinę później Sigrid śpi na sofie przykryta kocem. Nie chciała iść na górę, żeby się porządnie położyć, wolała dotrzymać towarzystwa Karen, która po jedzeniu usiadła w fotelu nad krzyżówką. Z sofy dobiega teraz słabe rżenie i od czasu do czasu Sigrid kaszle przez sen. Karen opuszcza gazetę i się jej przygląda.

W tym samym wieku, myśli. Urodzili się w tym samym roku, chociaż on kilka miesięcy później. W grudniu też by skończył osiemnaście lat. Chodził po klubach, załatwił sobie fałszywy dowód, żeby móc kupić w pubie piwo. Prawdopodobnie odpowiadałby równie zdawkowo na jej pytania, starał się ukrywać uśmiech, gdy nie chciałby się z nią czymś dzielić. Jej syn. Mathis.

Może spotkałby kiedyś Sigrid, kiedy ona i John zabraliby go na wakacje do Doggerlandu. W któryś letni wieczór mogliby wpaść na siebie w jednym z lokali w Dunkerze, może zaszedłby właśnie do tego baru, w którym pracowała. Posłuchał, jak gra.

Skończ z tym wreszcie.

Znów wbija wzrok w krzyżówkę.

Ale potoku myśli nie sposób zatrzymać. Może na starość naprawdę przeprowadziłaby się tu z Johnem z powrotem, tak jak czasem o tym rozmawiali. Chociaż nie wydaje jej się.

Kochała Londyn, miała tam swoje życie, a tęsknota za wyspą dopadała ją tylko chwilami, tylko pod postacią krótkich napadów, kiedy wracała myślami do domu. Wtedy całą sobą czuła, że czegoś jej brakuje. Morza. Ono było tak daleko.

– Ale mamy przecież, do diabła, widok na Tamizę – mówił John.

Właściwie powiedział to tylko raz.

– Pojedziemy na wybrzeże – próbował innym razem, kiedy dokuczała jej tęsknota. – Zapakujemy wszystko i pojedziemy do mojej siostry do Margate na weekend. Tam jest morza pod dostatkiem.

– Margate. No proszę cię, John.

Nigdy nie była w stanie tego wyjaśnić. Ale tęsknota zawsze przechodziła. A ona naprawdę lubiła Londyn; kochała to miasto od czasu, kiedy dzieliła mieszkanie w Clapham ze Scottem, Eliną i Ulrichem. Mimo że w chłodne zimowe miesiące musieli uszczelniać okna rajstopami jej i Eliny. Uwielbiała te puby, domy towarowe i parki. Uwielbiała London Met, gdzie uczyła się o tych okropnych rzeczach, które ludzie robią sobie nawzajem. Uwielbiała przesiadywać w sądzie i słuchać. Kochała Johna, a później Mathisa. Tak, naprawdę kochała to miasto, które dało jej męża i syna. To miasto, które dało jej życie.

Mimo wszystko bez chwili wahania zostawiła je w pewien grudniowy dzień blisko jedenaście lat temu.

Karen daje za wygraną i odkłada krzyżówkę. Czy to dlatego chce, żeby została? – myśli i patrzy na Sigrid na sofie. Bo jej ścieżka prowadzi dalej od miejsca, gdzie ścieżka Mathisa dobiegła końca? Bo dzięki niej mogą sobie wyobrazić jego przyszłość? Bo ona pomaga mi pamiętać?

List gończy został nadany przez PIR. Karen osobiście wrzuciła go do wewnętrznego systemu raportowania tuż po tym, jak wreszcie udało jej się znaleźć odpowiednią sekwencję nagrania z promu z Noorö. Zdjęcia młodego mężczyzny, który przyплыł o dwudziestej trzeciej dwadzieścia osiemnastego września, miały przyzwoitą ostrość, a numer rejestracyjny motocykla pokrywał się z tym, który skradziono podczas włamania. Problemem był kask z wizjerem, który skutecznie zasłaniał twarz. Z jakiegoś powodu chłopak zsiadł z motoru, podszedł do relingu i wychylił się nad barierką. Przesłoniła go jednak do połowy furgonetka i mimo wielu prób przejrzenia każdej klatki po kolei nie dało się zobaczyć, czy wrzucił coś do morza, czy tylko najzwyczajniej chciał rozprostować nogi i zaczerpnąć świeżego powietrza. I cały czas miał na sobie kask.

Dzięki punktom odniesienia udało się stwierdzić, że najprawdopodobniej ma około metra siedemdziesięciu pięciu centymetrów wzrostu i że pod wytartymi dżinsami i cienką kurtką wydaje się szczupły, na granicy wychudzonego. To jednak był zdecydowanie marny rysopis. W związku z tym treść listu gończego skupiała się na motocyklu. Ten model znaleźć można było zapewne w wielu egzemplarzach, ale kolor był niecodzienny. Problem tylko w tym, że tego nie było widać na czarno-białym zdjęciu, które rozesała. Ale razem z listem gończym załadowała do PIR zdjęcie żółtej hondy africa twin, które znalazła w internecie, może to skłoni kóregoś z kolegów do reakcji. A może nie.

– Wcześniej czy później ten chłopak popełni błąd, a wtedy go dorwiemy – mówi Karl następnego ranka, dmuchając na kawę i pochylając się nad komputerem Karen. – Kurna, ależ wygląda młodo, ile on może mieć lat? Szesnaście, siedemnaście?

– Tak, nie da się zaprzeczyć, że dość młodo wygląda. Naprawdę myślisz, że to on zabił Susanne? Tak szczerze, Kalle?

Karl marszczy czoło, tak że jego ciemne brwi się wyginają. Częściowo ze względu na swoje zniechęcone przezwisko, częściowo dlatego, że tak samo jak Karen ma wątpliwości. Coś w tej furii, z którą została zamordowana Susanne, podważa teorię o związku morderstwa z włamaniami. Dla Haugena to powiązanie wydaje się jednak całkowicie oczywiste, a dla prokuratora co najmniej prawdopodobne. On sam jest daleki od bycia przekonanym.

Ale kilka godzin później również Karl Björken zaczyna się łamać.

Kolega z posterunku w Grunderze dzwoni tuż po lunchu, zaledwie trzy godziny po tym, jak poirytowana Karen nagrała wiadomość na automatycznej sekretarce jednostki z prośbą o natychmiastowy kontakt. Rozesłali wiadomości do wszystkich posterunków i jeszcze tylko trzy z nich się nie odezwały w sprawie ewentualnych mniejszych przestępstw, które dałoby się powiązać ze śledztwem. Frustracja z powodu tego, że nikt nie odpowiada na stale obsadzonym komisariacie w Grunderze, sprawiła prawdopodobnie, że ton jej wiadomości utwierdził tamtejszych kolegów w przekonaniu o „despotach z komendy”.

Karen odbiera telefon, odchyła się i słucha z uprzejmie maskowaną niecierpliwością, jak posterunkowy Grant Hogan wyjaśnia, że brakuje im ludzi, a czasem trzeba iść do toalety, a potem wysłuchuje obowiązkowych utyskiwań na PIR i kilku zawikłanych meldunków o wszelkich drobnych przestępstwach, do których doszło latem na północno-wschodnim krańcu Heimö. Dbając o to, żeby nie powiększać dystansu między centralą policji a ich lokalnymi zasobami, dodaje kilka „hmm” w odpowiednich miejscach, myśląc zarazem, że powinna zadzwonić do Sigrid i sprawdzić, jak się czuje. Ale kilka minut później Grant Hogan mówi coś, co sprawia, że Karen nadstawia uszu i zdejmuje nogi z biurka. Macha do Karla Björkena, żeby podszedł, i kładzie komórkę pomiędzy nimi na blacie.

– Dam cię teraz na głośnik, Grant. Karl Björken też cię słucha. Bądź tak dobry i powtórz ostatnie, co powiedziałaś.

Nie przerywając, słuchają go i Karen daje znać Karlowi, żeby nie próbował przyspieszać tego nadto rozwlekłego meldunku. Pośród masy dygresji pada to, co sprawia, że Karl Björken zaczyna się zastanawiać, czy Viggo Haugen choć raz nie ma mimo wszystko racji.

Do połowy spalony dom w Ramsviken w okręgu policyjnym Grunder, tylko trzydzieści kilometrów na północ od Langevik. Doszło do tego

ledwie dwa dni przed Oistrą: para, do której należał dom, wyjechała na urlop do Londynu. Grant Hogan rozwija swoją wypowiedź o „wypadzie do teatru i na zakupy”, „świeżo upieczonych emerytach”, „skradzionych komputerach i biżuterii”, „lokalizacji na pustkowiu z imponującym widokiem”, „rosnących cenach nieruchomości”, „pożarze, który prawdopodobnie zaczął się od zasłon w kuchni”, „szoku, kiedy weszli do domu”, „pokryciu z ubezpieczenia”... i w końcu „braku świadków”.

Karen podnosi wzrok i napotyka spojrzenie Karla; słyszą, jak kolega na drugim końcu bierze głęboki wdech, a potem ciągnie:

– Prawda jest taka, że sam chciałem do was zadzwonić. Nie z powodu pożaru, ale dlatego, że rozmawiałem wczoraj z kierownikiem jednego z kół łowieckich. Nazywa się Yngve Lingvall i znamy się od lat. Szczerze mówiąc, sam czasem poluję, to znaczy, o ile praca mi na to pozwala. To dlatego zadzwonił do mnie w trakcie polowania, w przeciwnym razie machnąłby na to ręką.

– Zadzwonił w jakiej sprawie? – Karl niecierpliwie stuka palcami w biurko, ale przestaje, kiedy Karen na niego spogląda.

– Wczoraj jeden z chłopaków z koła znalazł rozbity motocykl w wąwozie trzy kilometry na południe stąd. Chłopak interesuje się akurat dwuśladami i chciał się zająć tym na własną rękę, ale Yngve uznał, że powinni najpierw do nas zadzwonić. Dobry z niego gość. Więc udałem się na przejażdżkę i sprawdziłem, wszystko się zgadza. Leży w dole zwirowni koło Kalvmotet, w gruncie rzeczy zaledwie kilka kilometrów na północny zachód od posterunku w Grunderze.

– W jakim jest kolorze? – pyta Karl. – To znaczy motocykl – dodaje, żeby nie musieć słuchać o kolorze posterunku w Grunderze.

– Żółty, tak sądzę, ale leży głęboko w dole i jest cholernie brudny. Nie znam się na motorach, ale zdaniem chłopaka, który go znalazł, to honda, model Africa Twin. Przed chwilą widziałem list gończy w PIR i właśnie miałem do was dzwonić, skoczyłem jeszcze tylko do kibla.

Karen prosi bezgłośnie Karla, żeby przyniósł kawę, i pozwala jeszcze chwilę mówić Grantowi Hoganowi. Kolega wykazał się mimo wszystko pewną przytomnością umysłu, chociaż za ważniejszą uznał poranną wizytę w toalecie. Teraz jednak rozbudziła się jego ciekawość. Ach tak, przecież w sprawie z Langevik też był jakiś pożar. Tak przynajmniej słyszał od szwagra, który należy do ochotniczej straży pożarnej. Mowa też była o śladach włamania, chociaż drzwi były zaryglowane, tak w kwestii

szczegółów... Nie, rozumie, że nie mogą nic powiedzieć. Tak, oczywiście zrobią wszyscy, co tylko w ich mocy, żeby wsadzić tego drania, który odebrał życie żonie Smeeda. Tak, nawet jeśli tak się składa, że to jego była żona. Chodzili razem do szkoły policyjnej.

– To znaczy ja ze Smeedem, nie z jego żoną – precyzuje Grant Hogan.

Karen kończy rozmowę z poczuciem rezygnacji. Milcząc, bierze kubek kawy, który podaje jej Karl. Nawet ona nie może dłużej przymykać oka na to, że zaczyna to wyglądać jak powiązane ze sobą sprawy, a nie czysty przypadek. Najzwyklejsze, proste włamania, wszystkie dokonane, kiedy nie było w domu właścicieli. Czy tak właśnie było w Langevik? Coś, co miało być zwyczajnym włamaniem, ale z jakiegoś powodu poszło katastrofalnie nie tak? Samotny sprawca skupiający się na komputerach i biżuterii, które łatwo można było zabrać w plecaku. Karen słyszała wcześniej te argumenty, jeszcze przed telefonem Granta Hogana, i niechętnie musi przyznać, że jak się zdaje, może coś być w tej teorii. Nie musi patrzeć na mapę, żeby zobaczyć pewien wzorzec; czasowo pasuje, a miejsca włamań pokazują, jak podczas tygodniowego tournée sprawca przemieszczał się z Noorö przez terminal w Thorsvik, aż na północne wybrzeże Heimö. Nawet po stracie motocykla mógł się równie dobrze dalej przemieszczać na południe do Langevik.

– Musimy zawiadomić media, potrzebujemy zeznań kogoś, kto wziął autostopowicza po drodze na południe z Grunder – mówi. – Chłopak raczej nie pokonał całej tej trasy pieszo. Bo chyba nie było nic o skradzionych w tej okolicy samochodach?

– Nie, właśnie sprawdziłem.

– Ale dlaczego miałyby wybrać właśnie dom Susanne Smeed?

– Taa, a czemu nie? – pyta i dmucha na swoją kawę. – Córka Susanne mówiła przecież, że mama zazwyczaj wyjeżdżała na Oistrę. Może sprawca skądś o tym wiedział i wpadł w desperację, kiedy okazało się, że mimo wszystko zastał ją w domu. Nie mam, cholera, pojęcia, jak się mógł dowiedzieć, ale są miliony możliwości.

– Tylko dlaczego sądził, że naprawdę wyjechała? Zdaniem Haralda Steena z komina dymiło – protestuje Karen.

– Tak, ale wtedy, gdy Steen widział dym, ona już była martwa. To sprawca mógł rozpaść pod kuchnią, a nie Susanne.

– A czemu, na Boga, miałyby robić coś tak idiotycznego? Jeśli chciał spalić dom, nie musiał przecież robić tego na okrętkę i palić pod kuchnią.

W takim przypadku byłoby prościej i szybciej podłożyć ogień pod zasłonki, jak zrobił to w Thorsviku.

Karl wzrusza ramionami.

– Poza tym na działce stał samochód Susanne. Chyba przynajmniej to powinno ostrzec go, że ktoś jest w domu.

– Niekoniecznie – sprzeciwia się Karl. – Samochód często zostaje, kiedy ludzie udają się na urlop, stoi albo na parkingu długoterminowym, albo w domu, jeśli jest ktoś, kto służy podwózką do samolotu albo na prom. Poza tym to samochód mógł być głównym motywem. Może po prostu wszedł do domu, żeby poszukać kluczyków.

– I wychodził z założenia, że ten, kto tam mieszka, dalej śpi? Cholerne ryzyko, na moje oko. Nie miał przecież pojęcia, ile osób tam mieszkało.

– O ile tego nie sprawdził, jak już mówiłem.

Karen słucha tych argumentów, rozważa je – każdy z osobna i wszystkie razem. Nadal daleko jej do pewności, ale najwyraźniej Karl wziął teraz na siebie zadanie obrony tego prostego rozwiązania, które Viggo Haugen i inni tak chętnie zaakceptowali.

– Pamiętaj, że siedziała przy stole w kuchni – mówi. – Myślisz, że ten chłopak wszedłby do środka tak bezgłośnie, że udałoby mu się ją zaskoczyć nad filiżanką kawy? Że przeszedłby przez podwórko tak, że ona nie dostrzegłaby go przez okno?

– Mógł zakraść się od tyłu, od drogi. Nie chciał pewnie ryzykować, że zauważy go któryś z sąsiadów, okna Haralda Steena wychodzą przecież na podjazd.

– No tak – przyznaje. – Ale mimo wszystko. Słysząc przecież, do cholery, że ktoś wchodzi do domu, jeśli siedzi się w kuchni i pije kawę.

– Było włączone radio. I to głośno zdaniem Sörena Larsena.

Karen w milczeniu kręci głową i upija łyk kawy. Ona sama w każdym razie zwróciłaby uwagę na to, że ktoś wszedł do domu, nawet jeśli włączone byłyby jednocześnie i radio, i telewizor.

Zwróciłaby chyba?

– Może wpuściła go dobrowolnie – mówi Karl po chwili milczenia.

– Dlaczego miałyby, na Boga, to zrobić?

– Nie wiem, mógł zmyślić chyba coś przekonującego. Serwisant od internetu albo coś...

– O poranku po Oistrze? Lepiej może...

– A może zmyślił coś o podbramkowej sytuacji. Nie byłby to przecież pierwszy raz, kiedy złodzieje sięgają po tę sztuczkę, żeby wejść do czyjegoś domu.

– Daj spokój, Kalle, mówimy tu o Susanne Smeed. Jeśli ktoś bez wahania miałby zatrzaskać potrzebującemu drzwi przed nosem, to właśnie ona.

– A może dostał się do środka, grożąc jej jakąś bronią – ciągnie Karl, nie zważając ani na przezwisko, ani na uwagi Karen.

– Tak, a Susanne grzecznie usiadła przy kuchennym stole?

– Tak, ja w każdym razie bym tak postąpił, gdyby ktoś mierzył do mnie z broni – mówi Karl. – A ty nie?

Nie ma żadnych wątpliwości, jesień złapała w żelazny uścisk Wyspy Doggerlandzkie. Pogoda podkręciła śrubę, napięła się i oznajmiła, że niedługo zabawa zacznie się na poważnie. Mżawkę i drobny deszczyk zastąpiły silne nawałnice nadciągające z zachodu i ostrzegające, że zima jest tuż-tuż. Meteorologowie również ostrzegali: w ciągu najbliższej doby należy się na wybrzeżu liczyć ze sztormami.

Kiedy Karen zjeżdża z autostrady w stronę Langevik, niepogoda osiąga apogeum. Deszcz zamienia przednią szybę w morze i wycieraczki nie nadążają zbierać fal. Karen jedzie powoli, pochylona do przodu ze zmrużonymi oczami. Obracając kierownicą, niweluje boczne uderzenia wiatru. Jeśli temperatura spadnie w nocy poniżej zera, rano będzie piekło, myśli i czuje, jak koła ślizgają się na glinie spływającej ze stromych zboczy.

W gruncie rzeczy powinna się udać prosto do domu, bo lada chwila drogi staną się całkiem nieprzejezdne. Wprawdzie Sigrid czuje się lepiej, ale daleko jej do bycia zdrową. Nie potrzeba jednak więcej niż pół godziny, żeby zajechać do Haralda Steena. Naturalnie Karen będzie musiała przystać na propozycję kawy i poświęcić chwilę na uprzejmą pogawędkę, nim przejdzie do tego, co naprawdę ją do niego sprowadza. To strzał w ciemno, ostatnim razem, kiedy spotkała Steena, przejawiał on wyraźne oznaki demencji. Wprawdzie przy poprzednim przesłuchaniu wydusili z niego w końcu prawdziwe informacje – Angelika Nowak poświadczyła wszystko, co powiedział – ale sporo czasu zajęło mu sięgnięcie pamięcią do tego, co działo się tego samego dnia rano. A teraz chce go poprosić, żeby cofnął się we wspomnieniach o przeszło czterdzieści lat.

Sama niechętnie zaczęła w duszy przyznawać, że teoria, którą przedstawił jej Karl, może równie dobrze być prawdziwa, nawet jeśli niektóre szczegóły nadal nie pasują. Zarys pewnego związku zaczął przebijać się wśród bazgrołów – zbiegów okoliczności. Bez wątpienia zdarzają się jeszcze dziwniejsze rzeczy niż seria włamań dokonanych przez tego samego sprawcę, która z jakiegoś powodu eskaluje z samych

włamań, przez próbę podłożenia ognia ze skutkiem śmiertelnym, aż po morderstwo. Albo przynajmniej zabójstwo w afekcie.

Ten ostatni fragment układanki – dołożony przez Granta Hogana z Grunderu – wystarczył w każdym razie, żeby przekonać naczelnika policji i prokurator, że teraz trzeba się skoncentrować na znalezieniu kierowcy motocykla. Haugen, który zwietrzył szansę na rychłe zakończenie śledztwa, najprawdopodobniej z miejsca by ją odwołał, gdyby tylko wiedział, dokąd się kieruje i dlaczego.

Jeszcze jeden podmuch wiatru daje kuksańca jej autu i Karen czuje, jak koła ślizgają się po glinianej brei. Naprawdę powinnam pojechać do domu, myśli i skręca na podjazd Haralda Steena.

– Niech się poczęstuje, nie są wprawdzie domowej roboty, ale czym chata bogata.

Usiedli w kuchni Haralda Steena i z lekkim wyrzutem sumienia Karen pozwala, żeby starzec zaprosił ją na kawę z termosu i jedną z dwóch drożdżówek, które Angelika Nowak położyła na spodku i przykryła przezroczystą folią, żeby Harald miał na podwieczorek.

– Wygląda na to, że dobrze się o pana troszczy – mówi Karen i gryzie miękką bułeczkę.

– Ach, tak, tak, chyba można tak powiedzieć. Ale za to jej płacą. Suto płacą w porównaniu z tym, co ja dostawałem w swoim czasie. Za czterysta dwadzieścia marek i czterdzieści szylingów miesięcznie musiałem się jakoś utrzymać z żonką.

– Od dawna jest u pana? Mam na myśli Angelikę.

– Hmm, nie więcej jak rok. Góra dwa. To przez to przekłete serce, nie daje rady pompować tak, jak powinno, tak mówią; i dlatego miewam zawroty głowy. Inaczej jakoś sam bym sobie poradził, nawet jeśli Harry nie chce już w to wierzyć. To on się starał, żebym dostał tę babę. Skontaktował się z pomocą społeczną, nie pytając mnie wpierrw o zdanie.

Karen myśli, że syn Haralda Steena musiał się zapewne nieraz nasłuchać z powodu swojego faux pas. Próbuje innej strategii.

– Dostał pan jakby gospodynię, panie Haraldzie. Tak, z pewnością sobie pan na to zasłużył. Sama nie odmówiłabym, gdyby ktoś mi trochę pomógł w domu.

Okrasza te pochlebne słowa najśłodszy uśmiechem. Teraz jest ważne, żeby utrzymać starca w dobrym humorze.

– Ach tak, skoro tak mówi? Gospodynię...

Harald Steen ukrywa zadowolony uśmiech za brzegiem filiżanki kawy i siorbie zamyślony, przyjmując ten nowy punkt widzenia. Wyraźnie pobudzony odstawia w końcu filiżankę na spodek ze zdecydowanym brzdękiem.

– Ale niech wreszcie to z siebie wydusi. Przecież nasza droga policjanteczka nie przyjechała tu tylko na kawę?

„Policjanteczka”. Karen się wzdryga, strąca z siebie to słowo i pochyła się po torbę, którą postawiła na podłodze. Strzela w ciemno, więc najlepiej jak najszybciej mieć to z głowy.

– Tak, właściwie chciałabym o coś zapytać. Pomyślałam, że nikt nie będzie mi w stanie lepiej pomóc od pana. W Langevik nie zdarzyła się chyba taka rzecz, o której by pan nie wiedział.

Karen szybko spogląda na zdjęcie, które wyciągnęła z torebki. Rok tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty, uśmiechnięte młode kobiety i mężczyźni stojący w dwóch rzędach na schodach, a kilkoro dzieci siedzi na trawniku poniżej. Później odwraca zdjęcie i kładzie je na stole przed Haraldem Steenem.

– Czy orientuje się pan, kim są te osoby, panie Haraldzie?

Cierpliwie obserwuje, jak starzec powoli sięga po leżący na stole futerał, odchyła zauszuki i zakłada okulary. Zamiast podnieść zdjęcie, pochyła się nad nim i studiuje ze zmarszczonymi brwiami. Chwilę później zanosi się śmiechem. Suchym, pozbawionym radości śmiechem, po którym następuje głębokie westchnienie.

– Tak, dobry Boże – mówi. – Skąd to wytrzasnęła?

– Fotografia pochodzi z albumu Susanne. Z tego, co rozumiem, osoby ze zdjęcia mieszkały w komunie, którą zapoczątkowali tu jej rodzice. Problem w tym, że nie zapisano w albumie pełnych nazwisk, są tam tylko imiona. Zapisałam je z tyłu zdjęcia.

Nie odwracając fotografii ani nawet nie podnosząc jej ze stołu, Harald Steen dalej studiuje ją w ciszy. Coraz bardziej tracąc nadzieję, Karen patrzy na jego twarz, która nie zdradza nawet drganiem powieki, czy rozpoznaje kogoś z tej gromady. Było to prawie pięćdziesiąt lat temu, myśli, a on prawdopodobnie nie pamięta nawet, co jadł na śniadanie dzisiaj rano.

Harald Steen raptownie odsuwa od siebie zdjęcie, ściąga okulary i odchyła się na krzesło.

– A jaki będzie miała pożytek z tych nazwisk, jeśli wolno spytać?

– Najprawdopodobniej żaden – odpowiada uczciwie. – Staram się tylko ułożyć sobie obraz życia Susanne i pomyślałam, że być może jest jakiś cień szansy, że miała kontakt z którąś z osób, które kiedyś tam mieszkały. Może z jakimś dzieckiem.

Harald Steen prycha.

– Trudno mi w to uwierzyć, nie utrzymywała kontaktów nawet z córką. Mogę powiedzieć, że ze mną zamieniała ledwie dwa słówka, chociaż mieszkaliśmy działka w działkę. Susanne miała ciężki charakter, trzeba przyznać. Nie była do końca normalna, jeśli by mnie spytać.

Harald Steen stuka się w głowę, a Karen maskuje zawiedzione westchnienie kolejnym uśmiechem.

– Tak, ale jak już mówiłam, to był czysty strzał w ciemno. Kilka dni temu rozmawiałam z Jaapem Kloesem, Egilem Jenssenem i Oddem Marklundem w Zającu i Wronie i żaden z nich nie mógł sobie przypomnieć ich nazwisk, więc znalazł się pan w dobrym towarzystwie. Ale minęło już prawie pół wieku, więc właściwie nie powinnam spodziewać się niczego innego.

Tym razem Harald Steen prycha z oburzeniem i tak silnie, że mała kropelka uwalnia się z jednej dziurki jego nosa i ląduje na szydełkowym obrusie.

– Kloes i Jenssen! Oni nigdy nie mieli pojęcia o niczym istotnym. Przesiadują tylko w barze i się przechwalają, robili to przez całe życie! Mogę ją zapewnić, że jeśli mają na dłoniach jakieś odciski, to nie nabawili się ich od wioseł. Marklund jest lepszy, ale kto go tam wie, jak daje radę przesiadywać z tą dwójką. „Dobre towarzystwo”, powinna się za to wstydzić.

Steen mocno ściska uszko kubka i Karen widzi, jak drży mu dłoń, kiedy podnosi kawę do ust. Tylko żeby nie dostał ataku serca, myśli. Nie mam teraz na to ani czasu, ani siły. Co ja tu, do cholery, w ogóle robię?

Potem Harald Steen odstawia kubek z głośnym stuknięciem.

– A więc – mówi – zapytała ich pierwszych, a później przyjechała tutaj, do starego Steena, kiedy tamci nie mogli jej pomóc. Wtedy tylko człowiek jest potrzebny.

Karen odpowiada intuicyjnie, jak skarcona dwunastolatka:

– Tak się akurat złożyło, że byli tam, kiedy wpadłam na piwo. Inaczej zwróciłabym się oczywiście od razu do pana – dodaje i ma nadzieję, że te

słowa złagodzą jego wzburzenie.

Nie odpowiadając, Harald Steen się pochyła. Następnie przyciska poślódkę paznokciem do zdjęcia, wskazując na parę na krańcu górnego rzędu na schodach.

– Disa Brinckmann, Tomas i Ingela Ekmanowie i Theo Rep – mówi, wolno przesuwając palcem po osobach na zdjęciu.

Przenosi palec niżej, na dolny rząd, i podniesionym głosem duka:

– Janet i Brandon Connorowie, Per i Anne-Marie Lindgrenowie.

Po ostatnim nazwisku znów odchyła się na krzesło i podnosi okulary na czoło. Tym razem jego skrzyżowane ręce i uśmiech wyrażają w równym stopniu urazę co triumf.

– Jak nazywały się dzieciaki, nie pamiętam, musi mi wybaczyć – mamrocze. – A Susanne była wtedy jeszcze tylko iskierką w oczach swojego ojca. Urodziła się chyba rok później, o ile sobie dobrze przypominam.

Karen patrzy oniemiała na mężczyznę po drugiej stronie stołu. Chociaż stary Steen nie pamięta, co jadł na śniadanie, nie ma wątpliwości, że jest pewien swego. Jak to w ogóle możliwe, że pamięta nazwiska ludzi, których odległym sąsiadem był przez krótki czas ponad czterdzieści lat temu? Ona sama w każdym razie by nie pamiętała. Miała nadzieję, że Harald Steen w najlepszym wypadku przypomni sobie jedno z nazwisk i jeszcze coś innego, co umożliwi jej dotarcie do tych informacji w inny sposób. Teraz jednak bez najmniejszej wątpliwości podał nazwiska wszystkich ośmiorga dorosłych na zdjęciu.

– Jak to możliwe? – powtarza. Tym razem głośniej.

Harald Steen spokojnie patrzy jej w oczy i sięga po swój kubek.

– To ja zrobiłem to zdjęcie.

Przejazd z domu Haralda Steena do jej własnego trwa normalnie co najwyżej dziesięć minut. Tego wieczoru zajmuje jej trzydzieści dwie. Kiedy samochód ślamazarnie wlecze się po gliniastej brei, jej myśli wracają do tego, co powiedział jej Steen.

– Dobrze wiem, że ludzie tutaj we wsi krzywo patrzyli na tych młodych z Lothorp, ale mnie oni nie wadzili. I było nas coraz więcej, nie tylko ja, którzy nadkładaliśmy drogi, żeby choć zerknąć na ich fatalaszki.

Przy tym Harald mrugnął konspiracyjnie. Mimo wszystko zajęło jej parę sekund, żeby jej oczy wielkości spodków zmniejszyły się i żeby zrozumiała, że to powab kobiet chodzących bez staników i prowincjonalne fantazje o grzesznych Szwedkach tak ich przyciągały.

– A co oni myśleli o tym, że przemykaliście w krzakach?

– Oj, nie, w przeciwieństwie do innych ja skierowałem się jakby prosto do gospodarstwa, żeby się przedstawić. Zaprosili mnie na herbatę, bo kawy, na Boga, to oni nie pili, byli więc jednak nieco dziwni. Zapytali się, czy nie pomógłbym im zrobić zdjęcia, i tak to się potoczyło od słowa do słowa.

A potem Harald Steen opowiedział jej, że dał im kilka dobrych rad i podzielił się z nimi tym, co stary Gråå mówił mu o swoim gospodarstwie, co tam na górze ziemia przyjmuje, a co odrzuca. Kilka razy w tygodniu odwiedzał ich gospodarstwo i pomagał im ruszyć z sadzeniem ziemniaków i zapoczątkować uprawę wielu innych warzyw. Zawiązała się między nimi pewnego rodzaju przyjaźń: Steen był wprawdzie nieco starszy od nich, ale na początku lat siedemdziesiątych nie był przecież jeszcze stary, strofowała się Karen.

Na podnózu delikatnego wzniesienia na północ od portu Karen raptownie się zatrzymuje. Opony ślizgają się po glinie, a ona zdaje sobie sprawę, że musi znaleźć coś do podłożenia pod tylne koła, żeby je unieruchomić. Wzdychając, otwiera przednie drzwi i wysiada z samochodu. Deszcz pada na jej twarz, kiedy opuszcza klapę i skostniałymi palcami otwiera zieloną blaszaną skrzynkę, którą zawsze wozi na pace rangera. Krótką chwilę grzebie wśród narzędzi i w końcu wyciąga piłę. Lodowato zimna gliniasta breja przeciska się nad zelówkę

ciężkich butów, kiedy Karen schodzi do rowu, żeby dosięgnąć krzaków jałowca po drugiej stronie.

Słowa Haralda Steena odbijają się w jej głowie echem, kiedy przeklinając po cichu, przepiłowuje wiotki jałowiec.

– Nie mam pojęcia, gdzie udali się ci pozostali, poza Anne-Marie, która umarła już w osiemdziesiątym szóstym, i Perem, który mieszkał tu sam przez te wszystkie lata, aż w końcu też trafił do szpitala. Czasem się spotykaliśmy, żeby pograć w karty przez pierwsze lata, ale później i on, i ja zaczęliśmy mieć trudności z poruszaniem się. Zaglądał do butelki, mówią, i może to prawda. Tak, i wiem jeszcze, rzecz jasna, o Brandonie i Janet, którzy mieszkają na północy w Joms.

– Chodzi panu o Joms tutaj na Heimö? To oni dalej mieszkają na wyspie?

Karen sama słyszy, jak jej głos stał się piskliwy z podniecenia.

– Niech się uspokoi, żeby jej tu zaraz serce nie wysiadło. Taa, przynajmniej tam mieszkali do zeszłego lata, bo wtedy na nich wpadłem w hali targowej w centrum Dunkeru, jak byłem u dentysty. Drogo wyszło, jak cholera, ale co zrobić, jak trzeba, to trzeba.

Kiedy w końcu Karen otwiera drzwi ostatniego szarego murowanego domu na północ od Langevik i przekracza próg, jej ciężkie buty są przesiąknięte szarą gliną, a myśli ma zajęte tym, jak dostanie się jutro do Joms, jeśli deszcz będzie lał jak z cebra przez całą noc. Albo czy w ogóle uda jej się wydostać z Langevik.

Dlatego też w pierwszej chwili nie zwraca uwagi na aromaty dolatujące z kuchni. Dopiero po rozsznurowaniu butów i ściągnięciu ich razem z mokrymi skarpetami dociera do niej, że nie będzie musiała grzebać w lodówce i szukać czegoś, co da się wrzucić do mikrofalówki. Sigrid stoi koło zlewozmywaka z durszlakiem w ręce.

– Będzie spaghetti po bolońsku, to z grubsza jedyna rzecz, którą potrafię ugotować – mówi. – Wrzuciłam makaron, kiedy usłyszałam samochód, więc powinno być gotowe za dziesięć minut.

Karen czuje, jak ciepło rozchodzi się po jej ciele mimo przemoczonych od deszczu ubrań, które się do niej lepią.

– Nawet nie wiesz, jaką mam ochotę na spaghetti po bolońsku. Wskoczę tylko pod prysznic. A tak w ogóle, jak się czujesz? Szczerze mówiąc, wyglądasz dużo lepiej.

– Jestem trochę zmęczona, ale już prawie nie mam gorączki, więc mogę napić się wina. Otworzyć butelkę?

– Możesz dostać kieliszek, ale nie więcej.

– Postanowiłaś już, co zrobisz z domem? – pyta Karen między jednym kęsem a drugim, kiedy chwilę później siedzą przy kuchennym stole. – Należy teraz do ciebie.

Sigrid wzrusza ramionami. Karen zaczyna się do tego przyzwyczajać.

– Sprzedam, tak przypuszczam. Jeśli ktoś w ogóle będzie chciał go kupić.

– Z tym raczej nie powinno być problemu. To piękny dom, a Langevik stało się w ostatnich latach popularne. Więc wolisz dalej mieszkać w Gaardzie?

– Nie, tam już nie mogę mieszkać. Wynajmujemy mieszkanie z drugiej ręki od brata Sama, więc to on w nim zostanie. Dzwonił dzisiaj, żeby mi przypomnieć, że muszę zabrać swoje rzeczy. Najwyraźniej koczował na sofie u któregoś kumpla, od kiedy się wyniósł, i uznał, że równie dobrze ja to mogę robić. Obdzwonię jutro znajomych i popytam.

– Więc nie zastanawiasz się nad tym, żeby przenieść się do domu mamy? Do swojego domu – poprawia się.

– Nie da rady. Jak bym miała dojeżdżać do pracy bez samochodu? I zanim cokolwiek powiesz, nie zamierzam prosić ojca o pieniądze.

– Nie masz prawa jazdy?

– Mam, ale nie mam samochodu, powiedziałam przecież.

– Właściwie to masz, znaleźli samochód twojej mamy. Podobno nie działa skrzynia biegów, ale zdążymy ją naprawić, zanim wrócisz do pracy.

– Naprawdę?

Sigrid rozpromienia się, ale zaraz wygląda na równie niezdecydowaną. Huśtawka nastrojów, myśli Karen.

– Nie wiem, czy chcę tam mieszkać. Nie mam dobrych wspomnień z tamtego domu. A teraz nie dają nawet rady wejść tam do kuchni, choć wszystko uprzątnęli. Widziałaś, jak to wyglądało, co nie?

Karen w milczeniu kiwa głową i szuka właściwych słów. Spojrzenie Sigrid zdradza, że chce wiedzieć, ale zarazem woli tego nie słuchać. Przez moment sprawia wrażenie zupełnie zagubionej. Potem podnosi się

raptownie i podchodzi do zlewozmywaka. Udaje, że coś tam robi, chrząka i mówi dalej:

– Poza tym mam gdzieś te wszystkie szpargały, których nakupowała. Wszędzie leżą poduszki i na bank miała ze sto par butów.

Karen przygląda się jej szczupłej postaci. Słyszy, jak Sigrid stara się odzyskać kontrolę nad głosem i tym, co niepojęte.

– Nie ma nic złego w smutku, Sigrid – mówi.

– Niech mnie szlag, wszędzie są te jej szpargały. Wiedziałaś, że na górze w sypialni miała domową siłownię? I saunę parową do twarzy i inną maszynę do masażu stóp, tak przynajmniej mi się wydaje, że to do tego... Nie dam rady mieszkać wśród tych wszystkich gratów.

Karen kiwa głową i myśli o stosach ozdóbek, które Sigrid zostawiła na trawniku. To dlatego poszła do domu mamy, wiedziała, że Sam wyrzuci ją z mieszkania. Zapewne sądziła, że będzie musiała mieszkać tam przynajmniej przez jakiś czas. Jest dumna, myśli Karen, przyglądając się Sigrid, która zaczyna zbierać naczynia ze stołu. Wzbrania się przed tym, żeby o coś poprosić ojca, mimo że ten ma w bród pieniędzy i pewnie z chęcią by jej pomógł, gdyby tylko mu pozwoliła. Ciekawe, czemu jest na niego taka zła. I dlaczego jest taka zła na mamę.

– A co powiesz na to, żebyś została tu przez kilka tygodni, a ja pomogę ci doprowadzić dom do porządku? Wyrzucimy wszystko, czego nie chcesz zachować, przemaalujemy go i przerobimy tak, jak chcesz. Wtedy będziesz mogła zdecydować na spokojnie, czy chcesz tam mieszkać, czy wolisz go sprzedać i kupić coś innego.

Sigrid siedzi przez chwilę cicho i rozważa tę propozycję.

– Nie będę miała pieniędzy na wynajem, dopóki nie wrócę do pracy w przyszłym tygodniu.

– Ten obiad był dla mnie wart tyle co tygodniowy czynsz.

Sigrid patrzy na Karen z iskierką podejrzliwości w oczach.

– Dlaczego jesteś taka miła? Mama nigdy nie zostawiała na tobie suchej nitki. Mówiła, że mieszkałaś w Anglii, ale mąż cię wyrzucił z domu i że to dlatego tu wróciłaś.

– Ach tak, tak mówiła.

Sigrid wygląda, jakby się wahała, ale potem zaczyna znowu:

– Mówiła, że odkąd straciłaś męża, stałaś się jedną z tych, które polują na cudzych.

Karen sięga po butelkę i napełnia swój kieliszek lekko drżącą ręką.

– To po części prawda – mówi i stwierdza, że jej głos brzmi całkiem spokojnie.

Sigrid siedzi cicho, wygląda, jakby zastanawiała się nad odpowiedzią. Kiedy w końcu otwiera usta, Karen wzdryga się, jakby ktoś wymierzył jej cios.

– Masz syna, prawda?

Przestało padać. Przez szparę w powłoce chmur wpada do sypialni słabe światło księżyca, a duża lipa przed oknem rzuca cień na ściany.

Karen czuje, że sen wciąż jest daleko.

Wszystko się z niej ułało tego wieczoru. Wszystko to, co nosiła w sobie przez lata samotnej żałoby. Cała prawda, którą знаła jedynie jej mama, to wszystko, o czym jej najbliżsi przyjaciele wiedzieli jedynie we fragmentach; reszty się domyślali, ale nigdy nie odważyli się spytać. Słowa z niej wylatywały i nie zważała na to, że odbiorcą jest osiemnastolatka, zdezorientowana z powodu lawiny, którą wywołały jej własne słowa.

Wszystko zaczęło się, gdy dwóch policjantów i lekarz powiedzieli to, co niepojęte – wtedy życie Karen Eiken Hornby się zatrzymało. Przestała istnieć, kiedy słowa takie jak *massive collision*, „M25”, „Waltham Abbey” i *one truck and five cars* przedarły się do jej świadomości.

Obaj – Mathis i John – zginęli, powiedzieli. Bez bólu, powiedzieli. Ona wiedziała, że to nieprawda.

Zginęli w mgnieniu oka, wyszeptał policjant do jednej z pielęgniarek, ciężarówka zgmiotła samochód do połowy, jak puszkę sardynek. Zginęły cztery osoby, a kolejne sześć zostało ciężko rannych.

To, że kobieta wyszła z tego samochodu bez obrażeń, to cud, powiedział lekarz, ale sekundę później poprawił się: bez fizycznych obrażeń; wciąż nie powiedziała ani słowa, odkąd uwolniono ją z auta.

Później zwrócił się prosto do Karen. Czy mają do kogoś zadzwonić? Nie odpowiedziała. Musieli zadzwonić do Allison i Keitha, którzy zjawili się bladzi, z zaczerwienionymi oczami, zszokowani.

Z pierwszej doby nie ma żadnych wyraźnych wspomnień, tylko fragmenty; szepczące głosy i cichy płacz. Valium. Sen. Niespokojne spojrzenia, kiedy się budziła.

A potem kolejny dzień. Zupełnie nowy dzień zaczyna się, jakby nic się nie stało. Jakby świat nie pojął, że wszystko się skończyło.

Całkowicie nowy dzień. I kostnica.

Dwa ciała, dwaj polegli żołnierze z rękami wzdłuż ciała; wysoki i niski, każdy pod swoim całunem. Musieli zadzwonić też do jej matki. Mama, która stała tam, kiedy Karen się odwróciła i zostawiła Johna i Mathisa w wyłożonej kafelkami chłodni. Mama, która siedziała cicho na tylnym siedzeniu radiowozu wiozącego je z kostnicy do domu i tak mocno trzymała Karen za rękę, że ta to czuła. Mama, która znalazła klucze w jej torebce, otworzyła drzwi i wprowadziła ją do środka. Mama, która nie opuściła jej ani na chwilę w tym nieznośnym łańcuchu dni, które zlewały się ze sobą.

Mama, która tłumiała w sobie żałobę w ciągu dnia, spychając ją na dalszy plan, i popuszczała wodze w nocy, kiedy myślała, że Karen nie słyszy, jak nie znajdując wytchnienia, krąży po parterze – z kuchni do salonu i z powrotem. Godziny spazmatycznego płaczu, bo ona też wszystko straciła. Johna, którego z czasem nauczyła się kochać. I Mathisa – jedyne dziecko jej jedynaczki.

Żałoba mamy nie miała miejsca, nie miała odbiorcy. Mimo wszystko ona dalej żyła, kiedy Karen nie mogła. Załatwiła wszystko łamanym angielskim, dłońmi drżącymi z rozpacz.

Kościół. Trumny. Pustka.

Minuty spędzane w domu były nie do zniesienia; to był ich wspólny dom, nie jej. Bez nich przypominał jedynie więzienie pamięci. Londyn. Każda ulica to wspomnienie, każdy z sąsiadów szukających właściwych słów, każde dziecko, które widziała, każda piosenka, każdy program telewizyjny. Wszystko przypominało jej tamto życie, które miała. Droga przed nią zniknęła; nic nie czekało na nią jutro, nic w przyszłym tygodniu, nic na Boże Narodzenie, nic latem, nic za kilka lat, Mathis nigdy nie dorośnie. Nie miała już życia, nic nie miała przed sobą.

Za nią unosiła się tylko jedna jedyna kra, której mogła się chwycić. Musiała do domu. Z powrotem do domu.

Sigrid siedziała blada w milczeniu, a z Karen wylewały się urywane słowa i zmieniały się w zdania; ta cała śmierzcząca prawda o jej życiu, które skończyło się tamtego dnia. To wszystko, o czym przysięgała, że nigdy nikomu nie powie, zrzuciła z siebie na barki młodej dziewczyny.

– Przepraszam – powiedziała Sigrid. – Nie chciałam być wścibska, ale widziałam zdjęcie w twojej sypialni, kiedy szukałam paracetamolu.

Karen wstrzymuje oddech i nasłuchuje odgłosów z pokoju Sigrid, słyszy jednak tylko bicie swojego serca, które podeszło jej do gardła. Odwraca głowę i spogląda na zdjęcie na stoliku nocnym, które skłoniło Sigrid do zadania tego pytania. „Masz syna, prawda?”

John i Karen na plaży na Krecie, a między nimi opalony i roześmiany Mathis z włosami pełnymi piachu. John uparcie odmawiał poproszenia kogoś innego, żeby zrobił im zdjęcie; ustawił aparat na leżaku i włączył samowyzwalacz. Po nieskończonej liczbie podejść zakończonych niepowodzeniem wreszcie udało się im wszystkim zmieścić w obiektywie, a do tego John zdążył dobiec z powrotem i usiąść. Mathis tak się śmiał z niezdarności taty, że aż się krztusił, Karen śmiała się z perlistego śmiechu syna, a John śmiał się z nich obojga.

Zdjęcie wyszło w końcu naprawdę dobre, stwierdzili i poszli do kawiarni przy plaży, żeby zjeść ośmiornice. Ich ostatnie lato. Ich ostatnie wspólne zdjęcie.

Karen czuje się dziwnie ociężała; ręce i nogi leżą ciężko na materacu, jakby były z ołowiu, a myśli wciąż się kłębią: Czemu nie schowała tego zdjęcia, jak zwykle, kiedy miała gości? Czy Sigrid powie ojcu? A Jounas innym? Czy prawda się rozniesie, tworząc wokół niej kręgi współczucia? Będzie musiała uśmiechać się pocieszająco do wszystkich, którzy się teraz dowiedzą i poczują zmuszeni, żeby złożyć jej kondolencje? Czy koledzy będą ją obgadywać i milknąć, gdy wejdzie do pokoju? Czy inni będą mówić o jej żałobie? Mówić o Johnie. O Mathisie.

Tyle energii włożyła w to, żeby nigdy do tego nie doszło. Bo to był jedyny sposób, żeby mogła temu podołać. Temu kiedyś, które przestało istnieć. I temu teraz. Pomiędzy nie było nic. Odcięła się w domu, który kiedyś należał do jej mamy, a teraz do niej. Nastąpiły tygodnie za zaciągniętymi zasłonami, z nieruszoną talerzem zupy. Potem tygodnie włączenia się nad morzem, godziny wpatrywania pusto w horyzont i nieustannego przyciągania na brzeg klifu.

W końcu mama wzięła sprawy w swoje ręce.

– Rozmawiałam z Wilhelmem Kastem – powiedziała. – Szukają aspiranta do wydziału kryminalnego i obiecał spotkać się z tobą w czwartek o dziesiątej. Podrzucę cię.

Z jakiegoś powodu nawet nie próbowała protestować. I tam, w gabinecie Wilhelma Kastego, rozpoczęła się dalsza część jej życia.

– Twoja mama powiedziała mi, co się stało, i dodam tylko, że przykro mi z powodu twojej straty. Nikt więcej nie wie i nie będę więcej poruszał tego tematu, jeśli sama nie zdecydujesz się o tym mówić. Jeśli chcesz tę robotę, jest twoja; nie z powodu mojego współczucia i nie dlatego, że przyjaźnię się z twoją matką od dzieciństwa, ale dlatego, że masz najlepsze kwalifikacje spośród aplikujących. Jesteś wręcz nadmiernie wykwalifikowana na stanowisko aspiranta, ale w tej chwili nic innego nie mamy do zaoferowania. Przyjmujesz tę pracę?

Zgodziła się. W dniu, kiedy zaczynała, Kaste wezwał ją do siebie do gabinetu.

– Ponieważ wiele osób w tym budynku będzie miało dostęp do twoich akt personalnych, pozwoliłem sobie trochę zmodyfikować ich zawartość. Chodzi jedynie o miejscowe archiwum, ci wyżej postawieni będą oczywiście mogli dowiedzieć się o tobie więcej, jeśli zadadzą sobie choć odrobinę trudu, ale nie sądzę, żeby komuś się chciało. Z tego, co powszechnie wiadomo, jesteś rozwódką po krótkim małżeństwie w Wielkiej Brytanii. Nie masz dzieci – dodał i odchrząknął. – Twoja mama powiedziała, że tak wolisz, ale muszę usłyszeć to od ciebie.

– Tak właśnie wolę – powiedziała.

I tak się właśnie stało. Prawda była zbyt bolesna, żeby o niej mówić, poczucie winy tak duszące, że musiała je w sobie zamrozić, by móc dalej funkcjonować.

Pod drzwiami pokoju gościnnego przebłyskuje światło, kiedy ostrożnie puka do drzwi. Sigrid leży całkowicie ubrana na łóżku z plecakiem obok. Oczy ma opuchnięte od płaczu i gwałtownie siada, kiedy Karen otwiera drzwi.

– Zabiorę się stąd, gdy tylko zrobi się jasno – mówi.

Karen opada na brzeg łóżka i kładzie rękę na dłoni Sigrid.

– Nie rób tego. To nie twoja wina, Sigrid.

– Nie powinnam była pytać. Jeśli tylko bym wiedziała, nigdy bym się nie odezwała.

– To nie twoja wina, Sigrid – powtarza. – Po prostu nigdy o tym nikomu nie mówiłam. To był mój sposób na przetrwanie.

– Rozumiem. I musiałaś znosić te wszystkie pomyje. Tak mi przykro.

Siedzą w ciszy, a Karen wodzi kciukiem po dłoni Sigrid.

– Ale jest jedna rzecz, której ci nie powiedziałam. – I potem mówi to głośno: – To była moja wina. Ja prowadziłam.

Chociaż deszcz zrobił sobie przerwę trwającą już blisko osiem godzin, na bocznych drogach wciąż występują trudności. Po Thorsbyleden znów odbywa się ruch, ale droga pod wiaduktem kolejowym w Västerport musiała zostać zamknięta do czasu, aż spłynie z niej woda.

Karen jedzie ze wzrokiem utkwionym w drodze i nasłuchuje przez słuchawkę bluetootha, co oficer dyżurny donosi tego ranka o sytuacji na drogach. Zgodnie z dotychczasowymi raportami nie powinno być większych kłopotów, żeby dostać się do Joms, jeśli tylko będzie się jechać ostrożnie i nie będzie się próbować przedzierać przez miejsca, gdzie zebrała się woda.

– Musieli wyciągać dziewiętnaście samochodów tylko tego ranka – mówi Thorstein Klockare z mieszkanką rezygnacji i radości z czyjegoś nieszczęścia w głosie. – Ale najgorzej jest w głębi lądu i na nizinie. Przy okazji, jak to wygląda w Langevik?

Karen poprawia słuchawkę.

– Wczoraj było ślisko, ale większość rano spłynęła. Wiesz, jak wyglądają zapowiedzi na później? Nie zdążyłam sprawdzić pogody przed wyjściem z domu.

– Dzień przerwy, mówią, ale kolejne nize stoją w kolejce nad Morzem Północnym.

– A więc jak zwykle.

– No dokładnie – potwierdza Thorstein Klockare.

Kończą rozmowę i Karen rzuca okiem na GPS. Jeśli informacje dyżurnego się potwierdzą, powinna być na miejscu w Joms za pół godziny.

Ponad pół godziny później hamuje przed zawrotką na końcu asfaltowej drogi. Pochyliła się i spogląda przez przednią szybę na dom na wzniesieniu i wijącą się do niego wąską żwirową drogę. Później wyłącza silnik, otwiera drzwi i wysiada. Wprawdzie jeśli patrzy się z tego miejsca, droga wydaje się przejezdna, ale Karen czuje przez kalosze, jak namoknięta jest ziemia. Zachodzi poważne ryzyko, że górna warstwa żwiru zapadnie się,

jeśli spróbuje wjechać na wzniesienie. Ratownicy mają już wystarczająco dużo roboty, myśli i rusza w górę stromego wzniesienia.

Kiedy Janet Connor odebrała telefon, jej głos brzmiał, jakby dopiero się obudziła. Albo dopiero co została obudzona, nawet jeśli zapewniła Karen, że zarówno ona, jak i Brandon byli już na nogach. Oczywiście Karen mogła do nich zjechać, chociaż Janet nie rozumiała, jak mogliby z Brandonem pomóc policji.

Teraz otwiera drzwi, jeszcze zanim Karen zdąży wejść na werandę.

– Zapraszam – woła głosem, który wyzbył się wszelkich oznak senności.

– Napije się pani kawy albo herbaty?

Wysoka, szczupła Janet Connor ubrana jest w długie kimono, które nadaje jej sylwetce majestatyczny wygląd. Siwe włosy zebrała za pomocą cienkiego zielonego szala, który umiejętnie okręciła wokół głowy, ale na stopy ma naciągniętą parę szarych zmechaconych skarpetek, co odbiera jej nieco dostojności. Wygląda na siedemdziesiąt kilka lat, chociaż mimo siwych włosów sprawia młodzieńcze wrażenie, kiedy stoi uśmiechnięta w progu domu.

Za nią można dostrzec mężczyznę w tym samym wieku. Wygląda, jakby trochę brakowało mu tchu, i właśnie poprawia rozporek. Wchodząc na górę po schodach, Karen stara się nie myśleć, w czym im właśnie przeszkodziła.

– Wszystko jedno, dziękuję – mówi z uśmiechem, potem wyciąga rękę i dodaje: – Karen Eiken Hornby. To naprawdę miło z państwa strony, że zechcieli się państwo tak szybko ze mną spotkać. Mam nadzieję, że nie zakłócam państwu nazbyt mocnych porannych czynności – dorzuca i żałuje tego w chwili, kiedy widzi, jak Brandon i Janet Connorowie szybko wymieniają spojrzenia.

– Ani trochę! Proszę wejść!

W kuchni, gdzie jest ciepło jak w inkubatorze, pachnie intensywnie kuminem, siemieniem lnianym i świeżo upieczonym chlebem. Przyrządzono tu zapewne niejedną potrawę z soczewicy, myśli Karen i zdejmuje kurtkę, zerkając przy tym na Brandona. Jeśliby miała jakieś wyobrażenia o tym, jak wygląda zakonserwowany członek komuny z lat siedemdziesiątych, w pełni by się potwierdziły. Brandon Connor jest – jak jego żona – ponadprzeciętnie wysoki, prawdopodobnie ma przeszło metr dziewięćdziesiąt. Wydaje się w dobrej formie, chociaż górna część jego pleców jest lekko zgarbiona, kiedy wyjmuje z lodówki mleko i ser. Może

te jego cienkie, szerokie spodnie to pizama, ale coś mówi jej w duszy, że równie dobrze mogą być one – podobnie jak sprany T-shirt z podobizną Franka Zappy – codziennym ubiorem Brandona. Podobnie jak Janet, ma na stopach coś w rodzaju zmechaconych skarpet, ale te jej zrobiono ze zwykłej szarej wełny, prawdopodobnie na wyspach, podczas gdy skarpety Brandona wyglądają, jakby wydziergała je jakaś Peruwianka z zamiłowaniem do zbyt wielu i zbyt jaskrawych kolorów. Rzadkie siwe włosy związał w cienki koński ogon, a jego brodę zdobi długi rzadki zarost.

– W chlebie są orzechy włoskie – mówi. – Nie ma pani alergii?

– Nic mi o tym nie wiadomo – mówi Karen. – Wygląda przepysznie, sami państwo pieką?

Brandon odrywa wzrok od noża do chleba i spogląda na nią z ogromnym zdziwieniem.

– Tak... – mówi powoli. – A niech to, nie wydajemy pieniędzy na to badziewie, które sprzedają w Kvicku. Pani wydaje?

– Czasem – odpowiada. – Albo kupuję w piekarni – dodaje, nie chcąc sprawiać wrażenia całkiem spisanej na straty.

Po krótkiej pogawędce o wypieku chleba i jakości sieci spożywczych Karen sprowadza rozmowę na to, co naprawdę ją tu przywiodło.

– Zakładam, że słyszeli państwo o morderstwie w Langevik. Zdają sobie państwo zapewne sprawę ze swoich powiązań z Susanne Smeed? – dodaje i patrzy na nich pytająco.

– Tak – odpowiada Brandon. – Nie udało nam się uciec przed wiadomością o morderstwie. Ale nie czytamy wieczornej prasy, a w zwyczajnych dziennikach jej nazwisko padło dopiero kilka dni temu, trochę więc trwało, zanim dotarło do nas, że to ich córka. To znaczy Pera i Anne-Marie.

– To prawda. Susanne Smeed, z domu Lindgren. I właśnie to, jak państwo rozumieją, mnie tu sprowadza. Czy to prawda, że na samym początku lat siedemdziesiątych mieszkali państwo przez pewien czas razem z Perem i Anne-Marie Lindgrenami i jeszcze kilkoma osobami?

– Tak, oczywiście, że mieszkaliśmy. Dokładniej mówiąc, od marca siedemdziesiątego do końca lutego siedemdziesiątego pierwszego. Równy rok.

– Czy od tamtej pory cały czas mieszkali państwo na wyspie?

– Nie do końca. Najpierw, rzecz jasna, przenieśliśmy się do Kopenhagi, wszyscy wtedy tak robili, ale tam zostaliśmy tylko kilka miesięcy, potem przeprowadziliśmy się do Szwecji. Przez parę lat mieszkaliśmy w innej komunie w Huddinge pod Sztokholmem. Tutaj trafiliśmy z powrotem dopiero... kiedy to tak właściwie było?

Brandon konsultuje się z żoną, patrząc na nią pytająco.

– W maju siedemdziesiątego szóstego – mówi. – Od tamtej pory już się nie ruszaliśmy.

– Czy po powrocie utrzymywali państwo kontakt z Perem i Anne-Marie? Albo może z kimś innym z gospodarstwa Lothorp?

– Tylko z Theo Repem. O ile ma pani na myśli regularne kontakty. Rozrzuciło nas wszystkich po świecie, a wtedy nie było ani komórek, ani Facebooka, więc nie było łatwo. Ale kiedy przeprowadziliśmy się tu z powrotem, zdarzało się, że wpadaliśmy na siebie z Perem i Anne-Marie w centrum Dunkeru.

– Ale nie spotykali się państwo?

– Odniosłam wrażenie, że oni tego nie chcą. W każdym razie ona nie chciała – mówi Janet. – Anne-Marie była trochę... jak by to powiedzieć? Może wrażliwa.

– Powiedz, jak było, że była dziwna – przerywa jej popędliwie Brandon, a Janet posyła mu, jak się wydaje, ostrzegawcze spojrzenie.

– Dlaczego uważają państwo, że była dziwna?

– Proszę mi wybaczyć – mówi Janet – nie rozumiem, co to ma wspólnego z morderstwem Susanne. Anne-Marie i Per nie żyją przecież już od wielu lat.

Karen zwleka przez moment. Potem decyduje się odpowiedzieć zgodnie z prawdą.

– Szczerze mówiąc, sama nie jestem pewna. Chodzi o to, że staramy się wyrobić sobie zdanie na temat życia Susanne i tego, jaką osobą była. Coś w rodzaju układanki, której pierwszy element pasuje jakby do gospodarstwa Lothorp. Co mogą państwo powiedzieć o tamtym okresie? Jak to się stało, że w ogóle się państwo tam znaleźli?

Jeszcze raz Connorowie patrzą na siebie, jakby starali się po cichu porozumieć.

– Taa – mówi w końcu Brandon. – Zaczęło się chyba od tego, że postanowiłem, że Uncle Sam będzie musiał sobie poradzić w NAM beze mnie.

– Brandon zdezerterował – wyjaśnia Janet.

– Więc jest pan Amerykaninem – mówi zaskoczona Karen.

Z jakiegoś powodu zakładała, że zarówno on, jak i Janet są z Wielkiej Brytanii. Oboje mówili płynnie po doggerlandzku i trudno było rozróżnić amerykański akcent od brytyjskiego.

– A pani? Gdzie pani dorastała?

– W Southampton – odpowiada Janet. – Spotkaliśmy się na Isle of Wight trzydziestego pierwszego sierpnia sześćdziesiątego dziewiątego roku. Byłam tam, chociaż rodzice stanowczo mi tego zabronili.

– Ja byłem tam nielegalnie, przyplłynąłem prywatną łodzią z Amsterdamu w towarzystwie Theo i grupy hippisów. Ponieważ z oczywistych powodów odpuściłem Woodstock kilka tygodni wcześniej, zdecydowaliśmy się pojechać w zamian na festiwal Isle of Wight. Nie tak znaczący, ale udało mi się zobaczyć Dylana, a poza tym spotkałem Janet, więc nie ma co narzekać.

Brandon sięga po dzbanek z herbatą i pytająco unosi brwi w stronę Karen, która kręci głową. Dopadają ją rozterki: z jednej strony chciałyby przesiedzieć tutaj cały dzień, zajadając się chlebem z orzechami i słuchając opowieści z czasów, kiedy sama chodziła w pieluchach. Z drugiej – musi myśleć racjonalnie i ich przycisnąć.

– A potem tutaj przyjechaliście – mówi.

– Tak, Theo spotkał Disę przy jakiejś okazji, nie pamiętam przy jakiej, a ona знаła już wcześniej Tomasa i Ingele. Wydaje mi się, że spotkali Disę, kiedy przyuczała się na położną w Kopenhadze. Tomas był w połowie Duńczykiem, ze strony matki. A on i Per przyjaźnili się z kolei od dzieciństwa. Tak, w każdym razie rozniosła się plotka, że Anne-Marie odziedziczyła ziemię w Doggerlandzie i że zastanawiają się nad założeniem komuny.

– Rozumiem, że były tam też dzieci? To znaczy od samego początku.

– Tak, Ingela miała dwóch synów, dzieliło ich tylko kilka lat różnicy. Oriana i Love’a. A Disa miała córkę, wydaje mi się, że pięcioletnią. Nazywała się Mette.

– A państwo mają dzieci?

– Tak, syna, ale urodził się dużo później. Dylan jest maklerem giełdowym w Londynie – mówi Brandon ze zrezygnowaną miną, która zdradza, że życzyłby sobie innej kariery dla pierwszoroznego. – Robiliśmy, co w naszej mocy – dodaje z krzywym uśmiechem.

– A więc Susanne urodziła się dopiero rok po wszystkim?

– Tak, ale my już wtedy się stamtąd wyprowadziliśmy, więc nic o tym nie wiemy.

Karen unosi brwi.

– O tym?

Janet kładzie rękę na ramieniu męża.

– Brandon chciał powiedzieć, że w gospodarstwie popsuła się atmosfera i czuliśmy, że nadeszła pora, żeby się stamtąd ruszyć. Słyszeliśmy, że w Kopenhadze dzieją się ciekawe rzeczy, więc postanowiliśmy tam pojechać.

Janet mówi szybko i Karen jednym uchem słucha jej wyjaśnień, że przeprowadzili się do Christianii, okupowanego dawnego obszaru wojskowego, ale wytrzymali tam tylko kilka miesięcy, później przenieśli się dalej do Szwecji. I Karen wydaje się, że kobieta przeklina w duchu, kiedy zdaje sobie sprawę, że ona zamierza dalej skupiać się na gospodarstwie Lothorp.

– Zła atmosfera, powiedziała pani? O co chodziło?

Janet podnosi się z poirytowaną miną.

– To prywatne sprawy – mówi. – Naprawdę nie rozumiem, co to może mieć do rzeczy.

– Prawdopodobnie ma pani rację, ale proszę pozwolić, że sama zdecyduję – odpowiada spokojnie Karen. – Działo się to blisko pięćdziesiąt lat temu i cała rodzina Lindgrenów już nie żyje, więc to, co pani powie, w żadnym razie nie zaszkodzi komuś z nich.

– Zdradził ją – mówi krótko Brandon. – Per i Ingela mieli romans, kiedy Tomas wyjechał. Per był zrozpaczony, a Anne-Marie zwariowała.

Janet Connor wraca do stołu z pełnym dzbankiem herbaty i siada, głęboko wzdychając.

– Nie zwariowała, Brandon. Popadła w stan, który dzisiaj prawdopodobnie określiliby się jako ciężką depresję. Właściwie nic dziwnego, można by chyba uznać: Lothorp należało przecież do niej i prawdopodobnie czuła się zarówno wykorzystana, jak i zdradzona przez wszystkich.

– Kiedy to się stało?

– Późnym latem, tego samego roku, kiedy się wprowadziliśmy. Wcześniej było cudownie, ale wszystko się zmieniło, kiedy Anne-Marie zachorowała.

Sierpień, może wrzesień siedemdziesiątego, musiało być to w tym samym czasie, gdy Anne-Marie oczekiwała Susanne, myśli Karen. Każda kobieta straciłaby rozum na wiadomość, że jej mąż ją zdradza, kiedy ona spodziewa się dziecka. Szczególnie kiedy trzeba było dzielić dom z tą inną kobietą. Swój własny dom.

– Było dokładnie tak, jak powiedział Brandon, atmosfera zgęstniała i żadne z nas nie było w stanie poradzić sobie z depresją Anne-Marie ani z rozpaczliwymi próbami Pera, żeby poczuła się lepiej. Do tego wielu z nas uważało, że to, co się stało, nie było aż tak wielkim problemem. Wiem, że wiele osób w tamtym czasie uważało zdradę za typowy drobnomieszczański wynalazek.

– Jak zareagowali Tomas i Ingela?

– Ingela miała początkowo dość nieskomplikowane podejście do życia. Tak, wszyscy chyba przyjechaliśmy do gospodarstwa z pewnym naiwnym wyobrażeniem tego, że będziemy dzielić się wszystkim i wyzwolimy się z mieszczańskich konwencji, ale kiedy przyszło co do czego, nikt z nas nie umiał sobie z tym poradzić. Nawet Ingela. Doskwierało jej to, że Anne-Marie zachorowała, ale nie sądzę, żeby kiedykolwiek przyznała, że ona i Per zrobili coś złego.

– Tomas zniósł to chyba najlepiej, mimo że Per był jego najlepszym przyjacielem – dopowiada Brandon. – Właściwie jako jedyny z nas naprawdę żył, tak jak twierdził, że będzie. *Live and let live*, wszystko, co moje, jest i twoje, rozumie pani. Razem z Ingelą byli najbardziej hardkorowymi hippisami. Szli na całość, a my pozostali... hmm...

Brandon milknie i sięga po kubek z herbatą.

– W każdym razie wytrzymali dłużej od nas – mówi Janet. – Zdaje się, że zostali jeszcze kilka miesięcy, a potem przeprowadzili się z powrotem do Szwecji. Razem z Disą. Ale od tamtej pory nie mieliśmy właściwie z nimi żadnego kontaktu.

– Z Perem i Anne-Marie też nie, chociaż mieszkali na Heimö?

– Jak już mówiłam, wpadliśmy na siebie kilka razy w centrum Dunkeru i była wtedy mowa, że kiedyś musimy odwiedzić Langevik, ale nigdy do tego nie doszło. Jak powiedziałam, nie były to miłe wspomnienia.

– Wiedzą państwo coś więcej o tym, co działo się z Ingelą i Tomaszem po ich wyprowadzce?

– Poszli swoimi drogami. Ona dalej korzystała z życia, a on zrobił zwrot o sto osiemdziesiąt stopni i włożył garnitur i krawat. Powoli przejął

firmę ojca. I w mgnieniu oka dawny hippis Tomas Ekman przeobraził się w kapitalistę pełną gębą. Tak na marginesie, niestety, umarł zaledwie kilka miesięcy temu.

– Ach tak. A jak dowiedzieli się państwo o jego śmierci? Przecież mówiła pani, że nie mieliście kontaktu.

– Nasz syn Dylan opowiedział nam o tym, kiedy latem przyjechał do domu w odwiedziny. Słyszał w pracy. Tomas był najwyraźniej kojarzony w biznesowym świecie, a Dylan wiedział, że znaliśmy się w młodości. Tomas Ekman zdecydowanie bardziej mu imponował niż stary ojciec – mówi Brandon i uśmiecha się krzywo. – Czasem jabłko pada jednak dość daleko od jabłoni.

– A Ingela, czy żyje?

– Nie mamy pojęcia – mówi krótko Janet. – Jak już mówiliśmy, nie mamy z nią kontaktu.

– A Disa?

– Przykro mi, ale to dla nas zamknięty rozdział.

I jakby dla podkreślenia tego, że nie mają nic więcej do powiedzenia, podnosi się i zaczyna zbierać naczynia ze stołu.

Muszę chyba dać sobie spokój, myśli Karen, kiedy pół godziny później skręca na autostradę, kierując się do komendy w Dunkerze. Pora zostawić tę starą hippisowską komunę i zamiast tego skupić się na potwierdzeniu związku między napadami.

Delikatnej słonecznej poświacie udało się przebić przez powłokę chmur i jezdnia zaczęła miejscami wysychać. Spojrzawszy na zegarek, Karen przyśpiesza i próbuje wyzbyć się irytującego poczucia, że Brandon i Janet Connorowie nie powiedzieli jej całej prawdy.

Poprawia stertę papierów, pochyla się i włącza nagranie dźwiękowe.

– Przesłuchanie Linusa Kvanneho, podejrzanego o włamanie, próbę podpalenia ze skutkiem śmiertelnym i morderstwo, względnie zabójstwo w afekcie. Obecni poza Linusem Kvanne są: pełnomocnik przesłuchiwanego Gary Brataas i komisarze kryminalni Karl Björken i Karen Eiken Hornby.

– Nikogo, kurwa, nie zabiłem. Nie próbujcie mnie nawet, kurwa, wsadzić za coś, czego nie zrobiłem.

Głos jest niespodziewanie niski i kontrastuje z rachityczną chłopięcą sylwetką. Karen myśli o ujęciach z kamery monitoringu z promu: szesnaście, siedemnaście lat, tak sądzili razem z Karlem. Linus Kvanne zdążył jednak skończyć dwadzieścia cztery lata i odsiedzieć trzy kary pozbawienia wolności w zakładzie w Kabare. Pierwszą za zabójstwo w afekcie.

Awanturę, w wyniku której Lars Hayden, znany policji dwudziestoosmiolatek uzależniony od przeróżnych substancji, stracił życie sześć lat temu, adwokat Linusa Kvanneho przedstawił wręcz jako czyn bohaterski. Impreza sylwestrowa, która już wcześniej wymknęła się spod kontroli, definitywnie dobiegła końca, gdy Kvanne znalazł swoją ówczesną dziewczynę w jednej z sypialni. Na niej leżał Hayden z opuszczonymi spodniami i przykładał nóż do jej szyi. Sąd orzekł, że do pierwszego pchnięcia mogło dojść w obronie koniecznej – kiedy Linus Kvanne usiłował rozbroić Larsa Haydena. Jednak kolejne cztery oceniono jako „przemoc wykraczającą poza konieczne środki”. Ale ze względu na młody wiek Kvanneho i fakt, że nie był wcześniej karany, zapadł łagodny wyrok. Po odsiedzeniu pięciu z dziewięciu miesięcy wyroku Kvanne wyszedł na wolność za wzorowe sprawowanie, w łącznej ocenie ekspertów ryzyko, że wróci do przestępczości, było niewielkie.

Od tego czasu wyrobił sobie jednak markę i odsiedział dwie krótsze kary za posiadanie narkotyków i jedną za kradzież dość dużej ilości miedzi. Ostatni pobyt w zakładzie w Kabare zakończył nie dalej jak w lipcu.

Teraz siedzi na pozór wygodnie, odchyłony do tyłu z nogą założoną na nogę.

Gary Brataas kładzie uspokajająco rękę na ramieniu swojego klienta.

– Oczywiście, że nie. Teraz posłuchajmy spokojnie, co policja ma do powiedzenia. To może być ciekawe – dodaje i uśmiecha się kącikiem ust.

– W porządku, Linus – mówi Karen. – O godzinie dziesiątej czterdzieści pięć zostałeś zatrzymany w swoim mieszkaniu na Tallvägen w Lemdal. Przy okazji zatrzymania przeszukano mieszkanie i poza dość pokaźną ilością narkotyków natrafiono na wiele przedmiotów, które zostały zgłoszone jako skradzione podczas kilku włamań do domów na Noorö i Heimö. Możesz to jakoś wyjaśnić?

Linus Kvanne udaje, że tłumi w sobie ziewnięcie, przeciąga się i splata ręce na karku.

– Wyjaśnić? To, że jakiś pies wyłamał drzwi do mojego mieszkania i wgramolił się do środka, jak sobie smacznie spałem? O to ci chodzi? Nie, nie mogę.

Karen szybko zerka z ukosa na Karla. Ze sceptycznie uniesionymi brwiami nadał policzki i teraz wypuszcza powietrze z westchnieniem, które świetnie ilustruje to, co oboje myślą: „Ach tak, a więc to taki typ, trochę nam zejdzie”.

Nie dając się sprowokować, Karen zadaje swoje pytanie jeszcze raz.

– Chodzi mi o to, czy możesz wyjaśnić, skąd wzięły się fanty, które miałeś w salonie i pod łóżkiem.

Linus Kvanne wzrusza ramionami i uśmiecha się tak, że snus, który wsadził sobie pod górną wargę, zaraz spadnie mu na kolana.

– Taa, przypuszczam, że ktoś je tam umieścił. To najbardziej prawdopodobne, co?

– A któż to miałby zrobić twoim zdaniem?

Tym razem Linus Kvanne zaśmiewa się i rozkłada ręce.

– No, tego nie wiem. Tak wielu wchodzi i wychodzi. Mój dom jest otwarty dla wszystkich.

– Wiesz, co ja myślę? – mówi spokojnie Karen. – Myślę, że to ty zwędziłeś te rzeczy podczas serii włamań. Sądzę też, że na Noorö ukradłeś motocykl model Africa Twin i posłużyłeś się nim, żeby dostać się dalej przez Thorsvik aż do Grunderu.

– Ach tak, skarbie, tak sądzisz?

– I po włamaniu w Grunderze pozbyłeś się motocykla albo dobrowolnie, bo bałeś się, że będzie poszukiwany, albo dlatego, że najzwyczajniej wypadłeś z drogi. Jak było?

Linus Kvanne kręci wolno głową i próbuje uchwycić spojrzenie Karla Björkena, licząc na męskie zrozumienie.

– Nie mam pojęcia, o czym ona bredzi. Powiesz coś, zanim sobie pójdę?

– Przykro mi, stary – mówi spokojnie Karl. – Ale mamy zdjęcia ciebie i motocykla, kiedy przepływasz promem z Noorö. Poza tym wiemy, że siedziałeś wczoraj cały wieczór w Jaskini i się tym przechwalałeś.

Jego ręce błyskawicznie opadają i Kvanne pochyla się nad stołem.

– Kto niby, do cholery, tak twierdzi?

– Mój klient nie musi...

Gary'emu Brataasowi przerywa Karen:

– To chyba trochę głupie przechwalać się swoimi występkami? – mówi.

– Zwłaszcza po pijaku, a już szczególnie w miejscu, gdzie jest masa ludzi i ciasno między stolikami. Ryzykuje się, że komuś może przyjść do głowy, żeby sypnąć. Ale – dodaje – może jesteś trochę głupi, Linusie. Jak sądzisz? Jesteś?

Szybko przysuwa głowę, jego twarz znajduje się ledwie kilkadziesiąt centymetrów od twarzy Karen.

– Ty pieprzona zdziro.

Gdyby wybrał jakieś inne określenie, uniknęłaby małych kropelek śliny. Nie okazując, jakie odczuwa obrzydzenie, Karen czeka, aż Linus Kvanne cofnie się i ponownie oprze na krześle, a później wyciera ślinę, która wylądowała na jej dolnej wardze i brodzie.

Udaje całkowicie spokojną, kiedy ciągnie:

– Czy to dlatego zdecydowałeś się podłożyć ogień pod tamte domy? Obleciał cię strach i pomyślałeś, że mimo rękawiczek zostawiłeś po sobie jakieś ślady? Jakiś malutki włos albo skrawek naskórka, który technicy będą w stanie z tobą powiązać? Tak, właściwie to nie takie głupie, prawda?

Karen zwraca się do Karla, który kiwa głową w zamyśleniu.

– Nawet dość sprytne – dodaje Karl. – Szkoda tylko, że nie udało mu się porządnie rozpaść ognia, zanim się stamtąd zwinął. Technicy mają teraz duże pole do popisu, żeby po fakcie znaleźć jego DNA w tych domach. Teraz, kiedy już wiemy, czego szukamy.

Karen kiwa zgodnie głową, obserwując zarazem Linusa Kvannego, który zaczął stukać palcami w podłokietniki krzesła. Uśmiech zastąpiło napięcie wokół ust, a jego język wędruje pod górną wargę, żeby dodatkowo wycisnąć trochę nikotyny.

– Pytanie tylko, czemu tym razem posunął się krok dalej – ciągnie Karen, nie spuszczać wzroku z Kvannego.

– To cholernie głupie – dopowiada Karl. – Chodzi mi o to, że nie mielibyśmy środków, żeby posyłać techników do zwyczajnych włamań, ale kiedy chodzi o morderstwo, to już inna para kaloszy. Z tego, co rozumiem, roi się tam teraz od techników.

Gary Brataas nie daje się dłużej powstrzymać.

– Jeśli macie jakieś dowody, że mój klient dopuścił się morderstwa lub zabójstwa w afekcie, proponuję, żebyście je przedstawili i żebyśmy zakończyli ten spektakl.

– Taaa, zbyt udane to przesłuchanie nie było! – mówi dwadzieścia minut później Karl w windzie, kiedy wracają do wydziału kryminalnego po wizycie w areszcie po drugiej stronie ulicy.

Wygląda na zmęczonego, myśli Karen, przyglądając się koledze, który grzebie najpierw w jednej, a potem w drugiej kieszeni spodni.

– To znaczy gdyby chodziło tylko o kilka cholernych włamań, byłoby to potwornie udane przesłuchanie – dodaje i wkłada do ust nikotynową gumę do żucia.

Wbrew zaleceniom adwokata Linus Kvanne przyznał się do czterech włamań: jednego w Noorå, jednego pod Thorsvikiem, jeszcze jednego dotychczas niezgłoszonego do domku letniskowego w Haven i w końcu do tego w Grunderze. Przez całe przesłuchanie zaprzeczał jednak jakimkolwiek udziałowi w morderstwie Susanne Smeed.

– Nigdy, kurwa, nie byłem nawet w Langeviku – powiedział.

Problem w tym, że oni mu wierzą.

– Idziesz zapalić?

Kore unosi paczkę papierosów i wykonuje głową gest w stronę drzwi. Karen przytakuje.

– Eirik się wścieknie – mówi Kore przytłumionym głosem kilka minut później i wypuszcza dym z westchnieniem rozkoszy. – Pewnie wyczuje smród dymu jeszcze z Niemiec – dodaje i znów się zaciąga.

Rozsiedli się w ogródku restauracji i baru Lina, gdzie zadziwiająco dużo odważnych dusz stawia opór zimnemu jesiennemu powietrzu za pomocą promienników i koców. Kore nie miałby nic przeciwko, żeby przesiedzieć tam cały wieczór. Eirik pojechał do Frankfurtu na nowe otwarte targi florystyczne, a jego partner korzysta z okazji, żeby zaszaleć z piwem i papierosami.

Są taką niedobraną parą, myśli Karen i przygląda się srebrnemu pierścieniowi z trupa czaszką na lewej wytatuowanej ręce przyjaciela. Tego, że jej stary kumpel ze szkoły, Eirik, jest gejem, domyślała się na długo przed tym, jak pewnego wieczoru przed dwudziestu pięciu laty – po tym jak obiecała milczeć jak grób – w końcu jej się zwierzył. Nikt inny nie mógł się dowiedzieć, zwłaszcza jego ojciec, to by go wykończyło.

I Karen milczała. Bezsilnie obserwowała walkę Eirika, żeby sprostać oczekiwaniom otoczenia. To, jak robił krzywdę samemu sobie, odgrywając rolę „jednego z chłopaków” w szkole, na boisku, w rodzinie. Jak coraz częściej spędzał weekendy w Londynie, Kopenhadze, Amsterdamie i Sztokholmie. Jedynie z dala od rodziców, drużyny piłkarskiej i chłopaków z pubu miał odwagę pokazać, kim jest naprawdę. Za swoich czasów w Anglii widziała to podwójne życie z bliska. John w końcu ochrzcił pokój gościnny za kuchnią pokojem Eirika. Nigdy nie rozumiał jego potrzeby, żeby prowadzić podwójne życie. Wystarczyło przecież powiedzieć, jak jest; żyli już, do cholery, w latach dziewięćdziesiątych, nawet w Doggerlandzie. *Not a big thing nowadays*, mówił. Eirik i Karen wymieniali porozumiewawcze spojrzenia: Brytol nigdy tego nie zrozumie.

A kiedy Eirik w końcu zrobił ten krok i wyszedł z szafy, nie było to przejawem ufności, ale rozpacz i wściekłości. Pewnego grudniowego

dnia prawie jedenaście lat temu telefon od matki Karen przełamał wszelkie bariery. John zginął. Mathis zginął. Karen przestała żyć. Tamtego dnia świadomość przemijalności przydusiła Eirika i już nie chciała puścić. Tamtego dnia Eirik From pozwolił, żeby to wszystko z niego uleciało, i w przypiływie szału wykrzyczał ojcu i całemu światu, że mogą spierdalać. A w każdym razie nie mogą liczyć na żadne pieprzone wnuki.

Był przy niej, kiedy przeprowadziła się z powrotem do domu. Dotarło to do niej dopiero później. Przez grubą warstwę smutku dolatywały do jej sypialni zaniepokojone głosy z kuchni – jej mamy i Eirika. Słyszała, jak niezdarnie próbował pocieszyć jej matkę, jak sam zaczynał płakać, i znów próbował. I znów. A ona myślała, że dobrze, że mama i Eirik mają przynajmniej siebie. Teraz, kiedy jej już nie ma.

I dopiero kilka miesięcy później, kiedy wciąż skostniała ze smutku opuściła swój pokój, dostrzegła, że coś się zmieniło w jej przyjacielu. Zaczął się przeobrażać.

Dziś Eirik wpisuje się idealnie w stereotypowy obraz geja: dobrze ubrany, z idealnym manikiurem oraz lekko kobiecymi gestami i sposobem mówienia. A to, że jest florystą z wykształcenia i właścicielem ogólnokrajowej sieci kwiaciarni, potęguje jeszcze ten obraz. Eirik zdecydowanie wyszedł z szafy.

W kolejnych latach przedstawiał jej jednego partnera za drugim; większość przypominała samego Eirika, związki z nimi rzadko trwały jednak na tyle długo, żeby zdążyła zapisać ich imiona w pamięci. A później pojawił się Kore.

Może to, że był całkowitym przeciwieństwem Eirika, sprawiło, że Karen już wtedy – po minięciu pierwszego szoku – zrozumiała, że imię Korego naprawdę warto zapamiętać. Dwóch mężczyzn nie mogło różnić się od siebie bardziej: pod względem wyglądu, temperamentu, zainteresowań, środowiska. Kore, producent muzyczny z czarnym irokezem, wytatuowanymi ramionami i złotymi kółkami w uszach. I Eirik, florysta z wyprasowanymi koszulami i idealnie wypastowanymi butami. Jeśli Eirik był tezą, Kore był antytezą. A może na odwrót. Sześć lat później wciąż byli parą.

Kore przeciąga palcami po włosach, nie zwracając uwagi na to, że spopielony czubek odpadł i białe płatki spadają na ufarbowaną na czarno grzywę.

– Czuję się jak grillowany kurczak – mówi Karen i przykłada rękę do rozpalonego policzka. – Jak ludzie wytrzymują siedzenie w takich inkubatorach?

Wykonuje gest w stronę wąskiej uliczki, gdzie przeszklone ogródki restauracji ciągną się wzdłuż ceglanych budynków dawnego obszaru przemysłowego. Budynków, które mieściły warsztat powroźniczy, starą fabrykę lanoliny, przedziałnię i szereg innych zakładów, już dawno zamkniętych lub przeniesionych do nowoczesnych lokali. Teraz to wszystko zmieniło się w teren pełen restauracji, designerskich sklepików, kawiarni i barów. Pomysłowi restauratorzy dali z siebie wszystko, żeby znaleźć takie rozwiązania, które utrzymają w dobrym humorze gości uzależnionych od nikotyny, jak i będą zgodne z nowymi przepisami. Każdy właściciel lokalu odznaczający się instynktem przeżycia oferuje palącym gościom miejsce osłonięte pleksiglasem i wyposażone w promienniki.

– Ostatnia paczka jak dla mnie – mówi Kore i wyciąga papierosy. – Mam odebrać Eirika z lotniska o wpół do dziewiątej rano i ten mnie obwącha, do cholery, jak pies. Och, do diabła!

Karen wzdyga się, kiedy Kore wydaje z siebie ostry gwizd. Dźwięk odbija się echem od przeszklonych partii, ale wydaje się nie wydostawać poza inkubator, w którym się znajdują. Chwilę później Kore wstaje i gwałtownie wymachuje ręką.

– Friisen, do diabła, chodźże tu!

Moment później Kore wytacza się z ogródka, gna na przełaj przez ulicę i bierze w objęcia jakiegoś mężczyznę. Karen widzi, jak zamieniają kilka słów i jak Kore wskazuje na stolik, przy którym siedzi. Mężczyzna obraca się, a Karen aż wzdyga się, kiedy go rozpoznaje. To Leo Friis, który z wyraźnym wahaniem pozwala się prowadzić Koremu w stronę Liny. Tym razem nie ma ze sobą ani wózka ze sklepu, ani brązowego koca narzuconego na ramiona. Nadal wygląda niedbale i Karen dostrzega niepewność w spojrzeniach, które posyła w stronę restauracji. Muzyka i gwar w środku osiągnęły niepokojący poziom i wylewają się przez drzwi. Ten hałas sprawia, że Leo zatrzymuje się w pół kroku.

– Spokojnie, usiądziemy na zewnątrz – mówi Kore i udaje mu się zaciągnąć go do ogródka. – To Karen. Karen, ten mężczyzna to mit, legenda, Leo Friis.

Ich spojrzenia zamierają na chwilę, kiedy się spotykają. Przez sekundę Karen rozważa, czy powinna powiedzieć, że już się poznali, czy udawać, że widzą się pierwszy raz? Postanawia pozostawić tę kwestię otwartą i wyciąga rękę:

– Cześć, Leo. Siadaj.

Leo ściska jej rękę i kiwa krótko.

– Cześć, Karen.

Nic w jego powitaniu nie wskazuje na to, że wcześniej się spotkali, a tym bardziej że Leo Friis był przesłuchiwany w charakterze świadka. Kore zdaje się całkowicie nie przejmować zapuszczonym wyglądem przyjaciela. Karen nagle robi się niepewna: czy on w ogóle wie, że Leo jest bezdomny i spędza noce pod rampą towarową w porcie Nyhamnen? Zarazem Kore wydaje się jednak nieco spięty.

– Co chcesz? Ja stawiam – dodaje i przywołuje do siebie kelnerkę. – Dla ciebie to samo, Karen?

Składa zamówienie i ponownie zwraca się do Leo:

– Cholera, Leo, ale fajnie cię widzieć. Od jak dawna jesteś w mieście?

– Przyjechałem na lato. Od początku maja, tak sędzę.

– No co ty, byłeś w mieście przez całe lato i się nie odezwałeś? Coś ty takiego porabiał? Jak się masz?

– Może będzie łatwiej mu odpowiedzieć, jeśli będziesz zadawał pytania pojedynczo – mówi spokojnie Karen i robi na stole miejsce dla kelnerki idącej z pełną tacą.

Leo zerka na nią.

– Sorry, sorry, gadam jak twoja matka – mówi Kore. – Tak cholernie się cieszę, że cię widzę – dodaje i unosi kufel. – Wasze zdrowie, do cholery!

– Na zdrowie – odpowiadają jednocześnie Karen i Leo.

Unoszą kufle na wysokość oczu, opuszczają je i piją równocześnie.

– Właściwie Karen i ja już się spotkaliśmy – mówi Leo, odstawiwszy kufel i otarłszy dłonią z brody piwną pianę. – Byliśmy razem na kawie.

Wzrok Korego krąży między nimi tam i z powrotem. Zdaje się, że na sekundę stracił swoją nerwową swadę.

– Wy dwoje? Jak to? *Znacie się?* – mówi zdezorientowany.

– Spotkaliśmy się raz. Przesłuchiwałam Leo jako świadka w związku ze sprawą, nad którą pracuję.

Kore wybałusza oczy w taki sposób, że do Karen dociera, jak daleko mu do tego, by być takim niezaniepokojonym o swojego przyjaciela, za

jakiego stara się uchodzić.

– Ale ty przecież pracujesz nad morderstwem w Langevik? Cholera, *widziałeś* to, Leo?

Karen unosi uspokajająco ręce, kiedy ludzie przy stoliku obok patrzą w ich stronę, słysząc głos Korego. Odpowiada za Leo.

– Och, dobrze by było. Nie, ale Leo dał pewnej osobie alibi na czas, w którym doszło do morderstwa.

– Cholera, ale ekstra. Komu?

Niepokój Korego przeszedł teraz całkowicie w ciekawość.

– Daj spokój. Naprawdę sądzisz, że odpowiem ci na to pytanie? Ale dostaliśmy cenne informacje, które zaoszczędziły nam wiele pracy.

Uśmiecha się do Leo, który znów unosi swój kufel i pije. Nie odpowiada jej uśmiechem, ale wydaje się, że część napięcia w jego spojrzeniu i postawie ustąpiła. Kore także sprawia wrażenie, jakby się uspokoił, i znów zwraca się do Leo, teraz normalnym, niemal łagodnym głosem.

– Słyszałem, że miałeś ciężki okres, kiedy odszedłeś. No wiesz, krążyły różne plotki. Ale w ostatnim roku nie słyszałem ani słowa. Myślałem nawet, że zapadłeś się pod ziemię.

Po raz pierwszy pod zarostem Leo daje się dostrzec uśmiech.

– To właśnie zrobiłem. Aż mnie zdemaskowałeś.

– Poważnie? – Kore zerka na pobliskie stoliki i pochyla się do niego. – Wydaje się, że nie ma tu nikogo, kto cię rozpoznaje – mówi obniżonym głosem. – I prawdę mówiąc, w tym stroju nie jest to wcale dziwne. Bez urazy, ale serio, wyglądasz koszmarnie.

Tym razem Leo parska śmiechem. Gwałtownym, kanciastym śmiechem. Śmiechem, który świadczy o tym, że jest świadom swojego upadku i akceptuje go.

Karen coś ściska w żołądku, kiedy zaczyna jej świtać, kim właściwie jest Leo Friis.

Sigrid jedzie męcząco powoli i ostrożnie. Czego innego można było się spodziewać, myśli Karen, siedząc wygodnie na fotelu pasażera. Niedoświadczony kierowca z gliną u boku w samochodzie, który najlepsze lata ma już za sobą. W warsztacie najwyraźniej naprawili rozrusznik; kiedy Sigrid odebrała ją z Repslagartorget przed dziesięcioma minutami, jej samochód nie wydawał z siebie bardziej niepokojących odgłosów, niż zazwyczaj wydają toyoty z tego rocznika i tego modelu.

– Wzięłaś wszystko z mieszkania? – pyta Karen i poprawia pas wrzynający się jej w szyję.

– Wszystko, co chcę zachować – odpowiada Sigrid, ruchem głowy wskazując tylne siedzenie, gdzie upchnięte są papierowe torby z ubraniami i kilka toreb podróży z niebieskiego płótna. – Rzeczy mam jeszcze w bagażniku – dodaje i zerka w lusterko wsteczne, a potem włącza kierunkowskaz. – Dobrze się bawiliście? Chyba tak, biorąc pod uwagę, jaki rozsiewasz wokół siebie zapach. Ile właściwie wypiałś?

Karen powoli odwraca głowę i patrzy na Sigrid z krzywym uśmiechem.

– Trzy piwa, mamó – odpowiada. – Tak, zawsze jest fajnie spotkać Korego. Miło z twojej strony, że mnie zgarnęłaś po drodze. Sofa w atelier Marike ma pewne ograniczenia, jeśli chodzi o poziom komfortu.

– Był naprawdę przystojny. Mówię o tym w skórzanej kurtce.

Sigrid stara się, żeby jej głos brzmiał niewinnie. Ale nie udaje się jej.

– Tak. Jego facet też jest naprawdę przystojny – odpowiada ponuro Karen. – I miły.

– O cholera. Szkoda.

– Eirik i ja chodziliśmy razem do szkoły; to tak poznałam Korego.

– A ten drugi? Też się znacie od jakichś, powiedzmy, stu lat?

– W ogóle go nie znam. Ale najwyraźniej jest starym kumplem Korego.

– Wyglądał na trochę... zniszczonego. To znaczy wczorajszego.

Karen nie odpowiada.

– Znasz The Clamp? – pyta po chwili.

Sigrid patrzy na nią zaskoczona.

– No jasne, że ich znam. Albo znałam, należałoby raczej powiedzieć. Dlaczego pytasz?

– Po prostu rozmowa jakoś zeszała na ich temat. Najwyraźniej byli dość znani.

– Tak, ale rozwiązali się kilka lat temu. Niektórzy mówią, że szkoda, ale sama nie wiem. Ważne jest chyba, żeby zejść ze sceny wtedy, kiedy jest się jeszcze na szczycie.

Karen chłonie mądrości życiowe Sigrid i posyła jej rozbawione spojrzenie.

– A skąd wiadomo, kiedy jest się na szczycie?

– Tego nigdy nie wiadomo aż do czasu, gdy już się na nim nie jest. To wtedy dociera do człowieka, że powinien był skończyć wcześniej. No ale ten, oni byli całkiem w porządku, choć nie był to do końca mój klimat.

– Jaki jest więc twój klimat? Hip-hop? Faceci w luźnych ciuchach i z ogromną biżuterią...

Sigrid spogląda na nią.

– Daj spokój, masz sto lat. Nie lubisz rapu?

– No joł. W osiemdziesiątym czwartym widziałam w Londynie Johna Coopera Clarka. Poszłyśmy z koleżanką na dwudniowe wagary i popłynęłyśmy promem do Anglii, a mama się wściekła.

– Kim, do cholery, jest John Cooper Clark?

– *Fancy Cuba but it cost me less to Majorca.*

Sigrid jeszcze raz nieufnie zerka na nią kątem oka.

– O czym ty, kurna, gadasz?

– Zapomnij. To było dawno.

– Craving – mówi nagle Sigrid. – Coś w rodzaju mieszanki rapu, jazzu i brzmień afrykańskich, ale właściwie dużo, dużo więcej. Sztuka i teatr, i... hmm, wszystko inne. Nie ma jakby granic.

– Craving? Co to jest... craving?

– To tak jakby cały koncept. I o to chodzi: nie ma żadnych ograniczeń i nie trzeba czekać na nic innego. Wszystko dzieje się teraz. Czaisz?

Karen nie czai.

Siedzą w milczeniu, a samochód pokonuje kilometr asfaltu po kilometrze. Karen zamyka oczy i pozwala myślom swobodnie wędrować. Miło jest mieć towarzystwo, po prostu siedzieć koło kogoś i milczeć. Nawet jeśli Sigrid nie wie, kim jest John Cooper Clarke. Z pewnością by go polubiła, muszę poszukać starych płyt, myśli. W domu też miło jest mieć towarzystwo – przynajmniej przez jakiś ściśle ograniczony czas.

Dała słowo Sigrid, że ta będzie mogła pomieszkać w jej pokoju gościnnym podczas remontu odziedziczonego domu.

Uzgodniły, że nie będą rozmawiać o śledztwie. Sigrid nie będzie pytać, a Karen opowiadać nic ponad to, co Sigrid może sama przeczytać w gazetach.

Dziwne jest jednak to, że ona naprawdę nigdy o to nie pyta, myśli Karen. Nie interesuje jej, kto zabił jej mamę? A może jest tylko posłuszną córką policjanta, która nauczyła się, że nie należy zadawać pytań? I dlaczego jest taka bezkompromisowa w stosunku do rodziców? Karen nie zamierza o to pytać, jeśli Sigrid będzie chciała, opowie jej to sama z własnej inicjatywy.

Jej myśli ospale wracają do wieczoru z Korem. I z Leo Friisem. Zostawiła ich w ogródku restauracji, kiedy Sigrid zatrąbiła z drugiej strony ulicy. Umówiły się, że podjedzie po Karen o dziewiątej, i zatrąbiła tak punktualnie, że Karen podejrzewa, że przez chwilę siedziała w samochodzie i ich obserwowała, zanim dała im o sobie znać.

Nie miała okazji, żeby porozmawiać z Korem w cztery oczy. Ma do niego tysiąc pytań o Leo Friisa, ale w przeciwieństwie do niego nie chciała zbyt często okazywać ciekawości. Zrozumiała w każdym razie, że był gitarzystą The Clamp. Jak przez mgłę pamięta kilka ich numerów, ale z jakiegoś powodu zawsze zakładała, że byli Brytyjczykami lub Amerykanami. Czasy ich świetności przypadły na ten okres jej życia, w którym całą energię poświęcała na to, żeby w ogóle podnieść się rano z łóżka.

Wprawdzie z czasem zauważyła, że z jakiegoś powodu Doggerland albo przynajmniej Dunker stał się pomocniczą siłą napędową przemysłu muzycznego z całym zastępem cieszących się powodzeniem tekściarzy i producentów, ale nigdy w to nie wnikała. Sześć lat temu Kore, wzdychając raz za razem, przejrzał jej kolekcję płyt winylowych i stwierdził, że mało co z tego zainteresowałoby nawet konesera winyli.

Później zarzucił ją playlistami. Z tymi znienawidzonymi naśladowcami pretensjonalnych mieszanych bandów, którymi chłopcy bombardowali ją w czasach, kiedy chodziła na randki.

– Po prostu musisz posłuchać tego kawałka. – To zdanie wciąż sprawia, że musi natychmiast zamknąć oczy.

Playlisty od Korego zawierały numery nagrane w jego własnym studiu KGB Productions, jak i inne, które – jak sądził – powinny się jej spodobać.

I jasne, zdarza się, że ich słucha, ale nawet w przybliżeniu nie tak często, jak Kore sobie to wyobraża. Wręcz przeciwnie, często szuka ciszy. Nużą ją dżingle reklamowe, podkłady muzyczne w każdej scenie we wszystkich filmach, muzyka uzupełniająca każdy program w telewizji, muzyka nieustannie lecąca w tle w sklepach, restauracjach i barach.

Ale imprezy w KGB zazwyczaj dobrze wspomina; dzięki Koremu poznała artystów, w których obecności większość ludzi zaczyna szukać notesu na autografy. O ile pamięta, Leo Friis nie był jednym z nich. Choć przecież wyglądał prawdopodobnie inaczej ledwie kilka lat temu. Teraz w każdym razie zdaje się, że nikt nie rozpoznaje w tym zarośniętym kloszardzie rockowego idola. Spojrzenia, które goście posyłałi mu kilka dni temu w kawiarni, jak i dziś wieczorem w Linie, wyrażały jedynie dezaprobatę.

Czy tego wieczoru uda się prosto z inkubatora w ogródku Liny pod którąś rampę towarową? – zastanawia się Karen. Jak długo da się jeszcze nocować na dworze? Póki temperatura utrzymuje się w okolicach zera, ale to już tylko kwestia dni, kiedy śmiertcionośny mróz osiągnie to, co zostało w ogrodach. I prawdopodobnie pozbawi życia kilku biedaków, którzy śpią na dworze zamiast w noclegowni.

– Trzyma się na uboczu – powiedziała Gro Aske. – Ma małego świra, jeśli chodzi o zamknięte pomieszczenia.

Ciekawe, czy ma to poważniejszą przyczynę, czy tylko przeżył załamanie psychiczne, zastanawia się Karen, ale zostaje wyrwana z nieskładnych rozmyślań, gdy Sigrid skręca z głównej drogi i pierwsza dziura w nawierzchni na Langeviksvej sprawia, że samochód podskakuje.

– Ale nie powiesz tacie, że u ciebie mieszkam?

Karen prostuje się na swoim siedzeniu i pospiesznie zerka na Sigrid.

– Nie, jeśli sobie tego nie życzysz. Jesteś przecież pełnoletnia. Ale oczywiście uważam, że wyszłoby ci na dobre, gdybyś sama z nim porozmawiała. Szczególnie teraz, kiedy twoja mama...

– A ty chciałabyś z nim porozmawiać? – przerywa jej Sigrid. – Sądzisz, że mój tata jest osobą, z którą przyjemnie się rozmawia?

Jej głos jest twardy i ironiczny, Karen przypomina sobie pierwsze przesłuchanie w Gardzie. To porozumienie, które udało im się nawiązać przez ostatnie dni, wciąż jest bardzo kruche, dzielący je mur prawdopodobnie szybko dałoby się odbudować. Sigrid zdaje się ciągle stać w pełnej gotowości z cegłami i kielnią.

– Nie – odpowiada szczerze Karen. – Nie sędzę tak.

Ale ja będę musiała z nim porozmawiać, myśli. Już jutro. Zaproszenie na naradę przyszło tuż przed tym, jak zbierała się do wyjścia z pracy: w gabinecie prokurator, w ratuszu o dziewiątej rano. Szef policji Viggo Haugen wysłał to zaproszenie zarówno do Jounasa Smeeda, jak i do niej.

Karen wie dokładnie, czego będzie dotyczyć narada.

– Widziałem cię wczoraj wieczorem w Linie.

Słyszy te słowa już po naradzie zwołanej przez Vigga Haugena. Padło na niej dokładnie to, czego Karen się spodziewała. W asyście Jounasa zjeżdża na dół windą, żeby zamiast truchtać przez parking w deszczu, przejść suchą nogą podziemnym korytarzem pod Redehusgate. Teraz stoją w garażu komendy i czekają na windę, która zawiezie ich do wydziału kryminalnego.

Kiedy nie odpowiada, Jounas Smeed mówi dalej:

– Przechodziłem i zobaczyłem, jak siedzisz w ogródku w dość wątpliwym towarzystwie, wybacz, że tak to ujmę.

Nadal bez słowa Karen naciska poirytowana na przycisk windy, chociaż ten już się świeci.

– Tak, jak sądzę, twój spedalony kumpel jest bez zarzutu, ale ten drugi gość wyglądał koszmarnie – ciągnie beztrosko. – Niech mnie szlag, ale przypominał mi tych typów, którzy zwykle przesiadują za halami. Miałem nawet wrażenie, że skądś go kojarzę.

– Bo powinienes.

Jounas Smeed patrzy na nią pytająco, ale Karen postanawia, że nie zdradzi mu, że to Leo jest tym kloszardem, który de facto dał mu w końcu alibi.

– Tak dobrze znasz się przecież na ludziach – mówi w zamian słodkim głosem. – Widzisz przecież od razu, na co ludzie są skłonni pójść.

– Daj już spokój, Eiken. Jesteś policjantką; naprawdę sądzisz, że wypada pokazywać się na mieście z takimi typami?

– Tak, odnotowuję stopniową poprawę. To znaczy od Oistry.

Jounas Smeed milczy kilka sekund, jakby wstrzymywał oddech. Z ciężkim westchnieniem wypuszcza później powietrze i ze współczuciem mlaska językiem.

– Karen, Karen. Chodzisz taka wściekła. Zawsze z kolcami na wierzchu. Szczerze mówiąc, robi się to męczące.

– Może mam swoje powody?

Winda wreszcie dzwoni. Karen wchodzi do środka i w milczeniu obserwuje, jak lśniące stalowe drzwi powoli się zamykają.

– Rozumiem, że czujesz się zawiedziona tym, że śledztwo zostało zawieszona na kołku, ale nie możesz mnie za to winić. To przede wszystkim decyzja prokuratora, a ona z Haugenem są co do tego zgodni: złapaliśmy właściwego chłopaka i siedzi w areszcie.

– Złapaliśmy chłopaka, który przyznał się do czterech włamań do domków i dwóch prób podpalenia ze skutkiem śmiertelnym. To nie on zabił Susanne.

– A niby jak możesz być, do cholery, taka pewna?

– Taa, teraz już się tego nigdy nie dowiemy, co nie?

Ich przekaz był jasny: zostaje uznane, że policja wyjaśniła sprawę morderstwa Susanne Smeed. Wszelkie próby szukania innych potencjalnych motywów lub sprawców należy zakończyć.

– Nie, jak przypuszczam – mówi Smeed. – Ale nie wysunęłaś przecież ani jednej konkretnej teorii przez cały ten czas, który miałaś do dyspozycji.

– To znaczy przez cały jeden tydzień, chcesz powiedzieć?

– Teraz w każdym razie przymknęliśmy wreszcie Kvannego i nie ma w tym raczej twojej zasługi, mogę dodać. Gdyby nie cynk od kapusia, do tej pory zdążyłby się prawdopodobnie włamać do jeszcze kilku chałup i podłożyć w nich ogień. Może zabiłby jeszcze jakiegoś nieboraka, gdyby ten miał pecha i przebywał akurat w domu.

Winda znów dzwoni i wysiadają. W momencie kiedy Karen kładzie dłoń na klamce matowych szklanych drzwi z logotypem policji i sfatygowanymi już samoprzylepnymi literami, które wyznaczają rewir wydziału kryminalnego, Jounas Smeed opiera rękę o futrynę i uniemożliwia jej wejście do środka.

– Wiesz, jak teraz będzie, Eiken – mówi. – Björken przejdzie na kilka najbliższych tygodni do śledztwa w sprawie gwałtów w Moerbecker, a potem pójdzie do domu zmieniać pieluchy. Ty zaniechasz wszelkich aktywności śledczych w sprawie Langevik i zamiast tego skupisz się na tym, żeby skleić końcowy raport o Kvanne. I do tego będziesz robić w pracy dobrą minę. Cholernie dobrą minę.

Karen Eiken Hornby naprawdę robi dobrą minę do złej gry. Przez całe dwa dni opiera się pokusie powiedzenia, co myśli. Ani słowem nie krytykuje podjętej decyzji.

– Czy prokurator naprawdę sądzi, że to przejdzie? – pyta Karl.

– Na to wygląda.

Albo po prostu ma to gdzieś, myśli Karen, ale nie mówi tego na głos. Inne sprawy czekają w kolejce: pobicie, handel narkotykami, prostytutka. I Moerbeck. Mimo skomasowanych działań śledczych nie udało się nikogo zatrzymać. Wręcz przeciwnie: już trzy kobiety zostały zgwałcone i ciężko pobite; ostatnia nie dalej jak wczoraj wczesnym rankiem. Wprawdzie nadal tylko jeden przypadek okazał się śmiertelny, ale ostatnia z ofiar, dwudziestosiedmioletnia mama dwójki dzieci, która wracała do domu z nocnej zmiany w szpitalu Thysted, leży teraz na oddziale intensywnej terapii, który zaledwie kilka godzin wcześniej był jej miejscem pracy.

Z gorączką i bólem gardła Greta Hansen zeszła z dyżuru już o wpół do piątej rano – do domu odesłała ją taksówką oddziałowa. Kierowca, poirytowany tym, że ostatniego dnia przed wyjazdem z tego deszczowego piekła na trzy tygodnie zasłużonych wakacji w Tajlandii trafiła mu się potwornie przeziębiona klientka, ruszył z piskiem, gdy tylko wysadził Gretę na Atlasvägen w Odinswalli. Jej mąż, Finn Hansen, redaktor w „Nya Dagbladet”, spał sobie w najlepsze w dopiero co wyremontowanym i przyjemnie urządzonej mieszkanie na trzecim piętrze, nie przypuszczając, że w tym samym czasie w krzakach pod domem ktoś wsadza obtłuczoną butelkę w narządy rodne jego żony.

Informacja, że sprawca opuścił zdominowany przez margines społeczny Moerbeck i najwyraźniej przeniósł się ze swoją działalnością na obszar klasy średniej w Odinswalli, skłoniła media do epatowania takimi słowami jak: lęk, panika i terror.

Po wczorajszej konferencji prasowej krytyka działań policji była jednogłówna: te wszystkie patrole, ci wszyscy wywiadowcy w cywilu zostali najwyraźniej skierowani w złe miejsce. Naprawdę nie dało się przewidzieć, że sprawca zmieni swój teren łowiecki? Czy policja może zagwarantować bezpieczeństwo? Co ma do powiedzenia niespokojnym

kobietom? Czy Haugen jest osobiście zadowolony z podjętych środków? Czy rozważał dymisję? Co na to minister spraw wewnętrznych?

Koledzy syczą na siebie, wszyscy wyglądają na bladych i zawziętych, liczba wyrabianych nadgodzin sprawia, że w dziale HR dzwoni alarm ostrzegawczy. Komendę w Dunkerze ogarnia frustracja, bo jeszcze jedna kobieta została poszkodowana, bo środki nie pozwalają patrolować każdej cholernej ulicy w tym mieście, bo to ścierwo wciąż chodzi wolno. I jeszcze ten stale obecny niepokój, że znów do tego dojdzie. Może już tej nocy.

Wiadomość, że wreszcie doszło do zatrzymania w sprawie z Langevik, została zepchnięta do kolumny z kroniką, ale najmniejsza wzmianka o tym, że to nie ten mężczyzna siedzi w areszcie, sprawiłaby, że w mediach by zawrzało. Linus Kvanne po prostu musi okazać się winny. Poza tym trzeba wziąć pod uwagę brutalną rzeczywistość. Ani doggerlandzka policja, ani prokuratura nie mają środków na to, żeby równolegle prowadzić więcej priorytetowych spraw.

Prawda jest zapewne taka, że Haugenowi na rękę było śledztwo w sprawie z Moerbecku, bo widział w nim możliwość odbudowania utraconej reputacji. Tego właśnie potrzebowali: wyrazistej sprawy, kompetentnego prowadzącego śledztwo i trochę rzetelnej policyjnej harówki. Wkrótce znów miał zapanować porządek.

Teraz prawdopodobnie Haugen nie jest już tego taki pewny, myśli Karen.

Ale nic nie mówi. Karen Eiken Hornby naprawdę opanowała sztukę robienia dobrej miny do złej gry.

Mimo wszystko nie powstrzymuje jej to przed tym, żeby dwie godziny później, zerkając na pokój szefa, wziąć do ręki telefon.

– Nie, mama jeszcze nie wróciła do domu – mówi Mette Brinckmann-Grahn, teraz z nutką irytacji w głosie. – Ile razy zamierzają mnie państwo o to pytać?

– A pani wciąż jeszcze nie miała od niej żadnych wiadomości?

Mette Brinckmann-Grahn wzdycha.

– Miałam, zadzwoniła do mnie przedwczoraj z Bilbao i powiedziała, że wróci do domu, kiedy tylko uda jej się znaleźć tani lot. Ale to wszystko wyjaśniałam już przecież pani koleżance.

Karen przeklina swoją kiepską znajomość szwedzkiego. Musiała coś źle zrozumieć.

– Co ma pani na myśli? Komu już to pani wyjaśniła?

– Tej drugiej policjantce, która dzwoniła dziś rano. Ktoś dzwonił na komórkę mamy i w końcu ją odebrałam; pomyślałam, że może to coś ważnego. Ale ona zadała tylko te same pytania co pani teraz. Chciała skontaktować się z mamą i dowiedzieć, kiedy mama wraca do domu. Czy państwo tam w tej policji w ogóle ze sobą nie rozmawiacie?

Przez moment myśli krążą Karen po głowie. Policjantka? Czy Astrid Nielsen mogła próbować skontaktować się z Disą i nic jej o tym nie powiedzieć? Nie, była teraz oddelegowana do śledztwa Smeeda i ledwie starczało jej czasu na cokolwiek innego. I Astrid bez wątpienia powiadomiłaby ją, jeśli z jakiegoś niewyjaśnionego powodu zrobiłaby coś takiego.

– Ta druga kobieta, z którą pani rozmawiała... czy na pewno powiedziała, że jest z policji? Chodzi mi o to, czy dokładnie tak to ujęła.

Mette milczy przez kilka sekund, a potem mówi szczerze zaskoczonym tonem:

– Nie, jak pani tak dopytuje, może faktycznie tego nie zrobiła. Ale przedstawiła się z imienia i nazwiska, co brzmiało bardzo formalnie. I mówiła mniej więcej tak jak pani.

– Jak ja? To znaczy co pani przez to rozumie?

– No tak, też mówiła z takim wyraźnym l i r, jak państwo. I jak już mówiłam, zadawała te same pytania. Byłam pewna, że jest od państwa.

Mette Brinckmann-Grahn znów milknie. Potem dodaje:

– Właściwie równie dobrze mogłaby być z Anglii. Albo może ze Stanów. Lepiej by to pasowało do nazwiska. Nazywała się Anne Crosby.

– Anne Crosby. I jest pani tego pewna?

– Oczywiście, zapisałam to razem z jej numerem i tak dalej. Miałam zadzwonić do niej, gdy tylko mama się do mnie odezwie, obiecałam jej to.

Karen mruży oczy, zadając kolejne pytanie:

– Zrobiła to pani? Zadzwoniła pani do tej Anne Crosby i powiedziała jej, że pani mama jest w drodze do domu?

– Oczywiście! Zastanawiałam się, czy do pani też nie zadzwonić, ale potem pomyślałam, że jedna rozmowa z policją chyba wystarczy.

Zakładałam, że Anne Crosby panią powiadomi o tym, że mama wraca. Tak jej też powiedziałam.

Zdaje się, że Mette Brinckmann-Grahn dostrzega swój błąd dopiero, gdy wypowiada te słowa:

– Myślałam, że... Wzięłam to jakby za pewnik, że... Tak, ale to przecież bez znaczenia – dodaje głosem świadczącym o tym, że próbuje się jakoś usilnie zrehabilitować. – W każdym razie mama jeszcze nie wróciła.

Kim, do cholery, jest Anne Crosby, zastanawia się Karen, kiedy po ośmiu sygnałach daje za wygraną i ciska komórkę na biurko.

Mette Brinckmann-Grahn bardzo uczynnie i bez protestów przeczytała numer Anne Crosby cyfra po cyfrze zarówno po szwedzku, jak i po angielsku, żeby uniknąć nieporozumień. Kiedy zakończyły rozmowę, Karen od razu wybrała ten numer. Dziesięć sygnałów, brak odpowiedzi, nie włączyła się nawet poczta głosowa. Kolejna próba pięć minut później i dodatkowe osiem sygnałów bez żadnego rezultatu.

Teraz chwyta za myszkę komputera i patrzy, jak wywołujący lęk notoryczny ruch wygaszacza ekranu zostaje zastąpiony logo doggerlandzkiej policji. Dwa szybkie wyszukiwania i Karen stwierdza, że nie ma żadnej Anne Crosby zameldowanej w Republice Doggerlandzkiej, ale liczba kobiet o tym nazwisku w pozostałych częściach świata wydaje się nieskończona. Trzecie wyszukiwanie – tym razem po numerze telefonu. Zero wyników. Prawdopodobnie telefon na kartę, Karen myśli zrezygnowana.

Chwilę później podnosi się, żeby zawołać Karla Björkena, ale zmienia zdanie i opada na krzesło. Szybko, z dziwnym poczuciem, że szef ją obserwuje, otwiera plik z materiałami dotyczącymi morderstwa Susanne Smeed, klika na raport Cornelisa Lootsa z badań technicznych i przejeżdża do części z informacjami z działu IT. Czterdzieści pięć sekund później udaje się jej przenieść wzrok z ekranu komórki na monitor komputera już wystarczająco wiele razy.

Jeszcze jedna próba, znów osiem sygnałów i brak jakiegokolwiek rezultatu. Zamiast tego podenerwowana wybiera numer małżeństwa Connorów i po czterech sygnałach słyszy głos Brandona:

– Janet i ja robimy teraz ciekawsze rzeczy i nie możemy odebrać telefonu. Zostaw, proszę, wiadomość, oddzwonimy.

Postępuje zgodnie z instrukcją.

Jeszcze jedno spojrzenie na Smeeda; rozmawia z kimś przez telefon, a sądząc po wyrazie twarzy, ten ktoś nie przekazuje mu wcale dobrych wiadomości.

Smeed i Haugen niech spadają, myśli Karen, bierze kurtkę i podchodzi do Karla Björkena.

– Lunch? Ja stawiam.

Kwadrans później Karl przykłada nóż do ziemniaka, w którego wbił widelec, i z pomocą kciuka ściąga z niego cienką skórkę. Usiedli w jednej z lepszych restauracji serwujących lunchy na Parkvej w Norrebro, zachowując dla bezpieczeństwa prawie dwukilometrowy odstęp od komendy. Karen zdaje sobie sprawę, że odbije się to na jej portfelu.

– Ostatnia w tym roku kapusta morska – mówi i pełnym czci wzrokiem spogląda na to niepozorne warzywo korzeniowe. – Drogie, ale warte każdego szylinga, jeśli chcesz znać moje zdanie.

– Te pierwsze są lepsze – odpowiada Karen i ściąga kurtkę. – Ale i tak nie smakują jak kiedyś. Dzisiaj to czysty przemysł; duże ciężarówki załadowane jakimiś zielonymi wodorostami, które są rozrzucane po polach. Powinieneś spróbować tych, które mój dziadek uprawiał na Noorö. Sam modrak morski, rosnący prosto w szczelinach skalnych.

– Lepszy taki niż żaden – odpowiada Karl, wyławiając z marchewki kolejnego ziemniaka, którego kładzie obok kawałka turбота dziesięciocentymetrowej grubości. – Jasne, że trzeba korzystać, kiedy zapraszają. Mogę spytać tak w ogóle, co to za okazja? Wygrałaś na wyścigach?

– Pomyślałam, że będzie to najszybszy sposób, żeby z tobą porozmawiać – odpowiada oschle Karen. – Nie należysz chyba do tych, którzy zadają setki pytań, gdy macha się im przed nosem książeczką czekową?

Karl uśmiecha się zadowolony i wkłada do ust pół ziemniaka ociekającego palonym masłem z porządnym kawałkiem turбота.

– Hmm, Smeed w każdym razie nie będzie skakał z radości, jeśli się dowie, że zrobiłem sobie długą przerwę na lunch – mówi, przeżuując. – Mam w końcu pracować nad jego śledztwem, a nie przesiadywać tu z tobą. Właśnie zacząłem się wczytywać w to gówno, kiedy przybiegłaś. Niech mnie szlag, ale nie jest to przyjemna lektura, mogę cię zapewnić.

– Świetnie, w takim razie potrzebujesz przerwy. Lunchu w przyjacielskiej atmosferze, jak między dwojgiem kolegów. Tego chyba nie może mieć nam za złe?

– Daj już spokój, Eiken, nigdy nie zaprosiłabyś mnie na lunch, jeśli nie miałabyś w tym jakiegoś interesu. Mów, o co chodzi.

Karen gorączkowo rozgląda się dookoła po pełnym lokalu i pochyła się do Karla.

– Zadzwoiłam jeszcze raz do Mette Brinckmann-Grahn – wyznaje.

– Myślałem, że masz się skoncentrować na Kvannem? Robić dobrą minę i nie podskakiwać.

Nie komentując jego słów, Karen ciągnie:

– Chciałam przynajmniej sprawdzić, czy otrzymała jakąś wiadomość od matki. Disa miała przecież wrócić do domu w tym tygodniu.

– Okej. I co? Zrobiła to? To znaczy czy słyszała coś o powrocie matki.

– Tak, najwyraźniej w końcu wraca do domu. Ale powiedziała mi, że nie tylko ja jedna usiłowałam się skontaktować z Disą Brinckmann.

– Hmm, powinniśmy chyba mieć nadzieję, że staruszka ma więcej kontaktów ze światem zewnętrznym niż tylko ten z doggerlandzką policją.

Karen ignoruje jego sarkastyczny ton.

– Podobno jakaś kobieta dzwoniła w tej samej sprawie. Przedstawiła się jako Anne Crosby i zostawiła swój numer. Córka Disy miała wrażenie, że jest z policji. Kobieta nie powiedziała tego wprost, ale też najwyraźniej nie wyprowadziła jej z błędu. Mette Brinckmann-Grahn zaznaczyła, jak mocno zdenerwowało ją to, że musi powtarzać to samo kilku różnym policjantom.

– Jedzenie ci wystygnie – mówi Karl i kiwa głową w stronę nietkniętych kotletów jagńczych na talerzu Karen.

Ta starannie odkrawa kawałek mięsa i wkłada go do ust. Gryzie i czeka, aż Karl odbije piłeczkę, którą właśnie zaserwowała.

– Hmm – mruczy po chwili. – Anne Crosby, mówisz. I kim ona miałaby być?

– No popatrz, też się nad tym zastanawiam. Próbowałam się do niej dodzwonić, ale nikt nie odbiera.

– Ciekawe. Naprawdę. Jakaś kobieta, o której nic nie wiemy, dzwoniła do kogoś, kto prawdopodobnie nie ma nic wspólnego ze śledztwem.

Popijając piwo, Karl Björken posyła jej sceptyczne spojrzenie znad brzegu kufla. Ze wzrokiem utkwionym w jego oczach Karen przechyla się na bok, grzebie w torebce na podłodze i wyciąga z niej kartkę papieru. Bez słowa rozkłada ją i kładzie obok jego talerza.

– Ach tak – mówi Karl, prześledziwszy wzrokiem informacje. – Wprawdzie na nic się to nie zdało, ale trzeba przyznać, że Cornelis był bardzo dokładny. Mam nadzieję, że równie starannie przygotowuje wszystkie raporty w sprawie z Moerbecku. Wydaje się, że będzie to konieczne, jeśli mamy wsadzić tego sukinsyna.

Karl znów kieruje swoją uwagę na talerz.

Nie komentując tego, Karen kładzie komórkę po drugiej stronie jego talerza. Na ekranie widnieje ostatnio wybierany numer. Cztery sekundy później Karl Björken przestaje gryźć. Później odchyła się na krzesło i patrzy jej w oczy.

– O cholera – mówi. – No to kwestia tajemniczego numeru na kartę została wyjaśniona. I co teraz?

– Nie wiem. Ale w jakiś sposób muszę pociągnąć ten trop. A więc najpierw Anne Crosby zadzwoniła do Susanne: dwukrotnie w czerwcu, a później dwudziestego siódmego września. Zaledwie dwa dni przed morderstwem. A teraz próbuje nawiązać kontakt z Disą Brinckmann. To raczej nie przypadek, że usiłuje skontaktować się z dwiema osobami z naszego śledztwa.

– A może tak właśnie jest – mówi spokojnie Karl. – To znaczy czysty przypadek.

Karen spogląda na niego nieufnie.

– A mówiąc dokładniej – dodaje – Disa Brinckmann nie jest w gruncie rzeczy przedmiotem śledztwa. Tylko nazwiskiem, które w nim wypłynęło.

– Nazwiskiem, które wypłynęło przy okazji sprawdzania przeszłości ofiary morderstwa.

– I właśnie dlatego jest to zapewne całkowicie naturalne, że jedna i ta sama osoba szukała zarówno Susanne, jak i Disy. Ta cała Anne Crosby zna je po prostu obie. We wszystkich śledztwach aż się roi od zbiegów okoliczności, które nie mają żadnego związku z samą sprawą.

– W takim razie cholernie dziwny jest ten zbieg okoliczności. Disa i Susanne nie znają się nawzajem. Susanne ledwie co się urodziła, kiedy Disa opuściła wyspę.

– Okej, ale Disa znała jej rodziców. Ta Anne Crosby jest prawdopodobnie jakoś powiązana z komuną; znała kogoś z nich albo wręcz sama tutaj mieszkała, co ja tam wiem. Musiała się tam przewijać cała masa ludzi. Pytałaś Brandona i Janet Connorów?

– Jeszcze nie, ale zostawiłam im wiadomość na automatycznej sekretarce. Zastanawiam się, czy nie wysłać esemesa na komórkę Anne Crosby. Poprosić ją, żeby się ze mną skontaktowała.

– Hmm, czemu nie? To, że również policja szuka Disy, jej córka i tak już zapewne zdradziła. Trochę dziwne, że Anne Crosby nie sprostowała od razu tego małego nieporozumienia, co do tego mogę się z tobą zgodzić. Z drugiej jednak strony może nie załapała, o czym mówiła Mette; niech mnie szlag z tym jej skańskim dialektem, nie da się tego w ogóle zrozumieć.

– Więc sądzisz, że powinnam wysłać jej wiadomość? Mimo że kazali mi się skoncentrować na Kvannem?

Karen kładzie kciuk na przycisku „Wyślij”.

– Czemu mnie o to pytasz? Przecież i tak już zdecydowałam.

Komórka pika, kiedy esemes zostaje wysłany. Karen obraca telefon i daje Karlowi do przeczytania krótką wiadomość o tym, że policja kryminalna z Dunkeru szuka Anne Crosby i prosi ją o niezwłoczny kontakt pod podanym numerem telefonu. Karl wolno kręci głową.

– Smeed zapewne wpadnie w szal, gdy zda sobie sprawę, że nie odpuściłaś.

– Ale nie musi się o tym dowiedzieć. Prawda?

– W każdym razie nie ode mnie. Zostawię ci tę przyjemność, sama mu o tym powiedz. Przypuszczam, że jeśli Anne Crosby się odezwie, będziesz do tego zmuszona. Chociaż zadzwoni pewnie tylko wtedy, gdy *nie* będzie miała nic wspólnego z morderstwem.

Langevik, 1971 rok

– Nie ma szans, nie przeżyje, jeśli nie rozwiążemy problemu karmienia.

Disa odstawia butelkę ze zniechęconym mlekiem zastępczym, dłonią ociera czoło i kładzie sobie dziecko na ramieniu.

Już w ciągu drugiej doby zdała sobie sprawę, że mieszanka mleka, mąki i odrobiny masła się nie sprawdzi. Nie w tym przypadku. Widziała ich spojrzenia; widziała, jak tli się w nich zwątpienie, kiedy poprosiła Pera, żeby pojechał do apteki do Dunkeru i kupił mleko zastępcze. Nestlé. Nazwa ta wykrzyczała cały swój szyderczy potencjał: naruszanie praw Trzeciego Świata, bezwstydną naciąganie. Główny symbol kapitalistycznej gospodarki rabunkowej. Per jednak pojechał i kupił. I tym samym sprzedali dusze diabłu, nie znajdując ratunku.

Trzecia doba. Z niepokoju i braku snu Disę boli brzuch i pieką oczy. Trzecia doba, odkąd Ingela leży w łóżku. Spokojnie, z zamkniętymi oczami, nawet gdy nie śpi. A inni chodzą wokół niej na palcach – nieporadni, niemający doświadczenia, ogarnięci obezwładniającą bezradnością.

Nieoczekiwana wściekłość wybucha w sercu Disy. Oni wszyscy są jak dzieci. Głupie szczeniaki w ciałach dorosłych. To w niej pokładają całą swoją wiarę; wychodzą z założenia, że wszystkim się zajmie, rozwiąże wszelkie problemy. Disa, ta spokojna, sumienna Disa. Ma wiedzę o sposobach przeżycia z minionych czasów, o dawnych kuracjach domowych i starych przepisach. Disa, akuszerka, położna. Kto by potrzebował szpitala i lekarzy do czegoś tak naturalnego jak urodzenie dziecka?

Disa stwierdziła podwójne bicie serca w dziewiętnastym tygodniu. To, że Tomas nie może być ojcem, zrozumiała dużo wcześniej. Może jeszcze zanim Ingela zechciała spojrzeć prawdzie w oczy. Disa widziała Ingele i Pera, rozumiała to, na co Tomas przymykał oko. Widziała, kiedy

musiało dojść do poczęcia dzieci i że Tomasa nie było wtedy w pobliżu Langevik.

– Musisz im powiedzieć – oświadczyła. – I Tomas, i Per mają prawo wiedzieć. I Anne-Marie – dodała i zrozumiała, że odtąd wszystko będzie inaczej.

W końcu Per wyznał żonie tę okrutną prawdę. Że ją zdradził. Że dzieci, których spodziewała się Ingela, są jego. Że będzie ojcem, a Anne-Marie prawdopodobnie nigdy nie urodzi dziecka. Może kiedy rozdzierający serce płacz niósł się z piętra, oni wszyscy rozumieli już, że to początek końca. Może pojęli to, jeszcze zanim krzyki i kłótnie przeszły w lodowate milczenie. A może uświadomili to sobie dopiero w kolejnych tygodniach, kiedy lęk o Anne-Marie zmienił się powoli w irytację?

Może to wtedy jednego po drugim niechętnie dopadała świadomość, że pomysł dzielenia się wszystkim jest piękny w teorii, ale okropny w rzeczywistości. Może to wtedy, gdy wszyscy w tajemnicy myśleli, że reakcję Anne-Marie jest mimo wszystko łatwiej zrozumieć niż obojętność Tomasa. Kiedy ich podziw dla jego zdolności wiecznego przebaczenia i pójścia dalej powoli zaczął przechodzić w pogardę dla jego słabości. Czemu nie wpadł we wściekłość? Czy naprawdę mógł wybaczyć Ingeli i Perowi? Czy nie był – myśl ta była równie zakazana, co sama się nasuwała – prawdziwym mężczyzną?

Jeden za drugim porzucali marzenia. Theo wrócił do Amsterdamu zaledwie kilka tygodni po tym, jak idylla runęła. Brandon i Janet wytrzymali trochę dłużej. Znosili smutek Anne-Marie i podszyte strachem pijaństwo Pera. Znosili niepojęty spokój Tomasa w obliczu tego, co szalało wokół niego. Znosili widok rosnącego brzucha Ingeli, tę stałą przypominajkę, że wszystko się kończy. Tym razem problem po prostu nie zniknie.

Brandon znalazł Janet na dole w porcie pewnego mroźnego poranka w lutym, siedzącą samą na pachołku.

– Jutro stąd wyjeżdżam – oświadczyła. – Jedziesz ze mną?

– Dokąd? – spytał.

– Dokądkolwiek.

Oni także dali za wygraną i opuścili komunę. Ale Disa została. W poczuciu obowiązku czekała, aż dzieci przyjdą na świat, tak jak im to obiecała. Potem – to obiecała sobie samej – również miała opuścić to piekło.

I kiedy wreszcie zaczął się poród, nadzieja powróciła niczym wrodzony instynkt. Może wszystko będzie lepiej, kiedy dzieci już się urodzą. Kiedy życie powróci do domu. Ingela mechanicznie postępowała zgodnie z jej wskazówkami: oddychaj, nie przyj jeszcze, czekaj, czekaj... teraz!

A Tomas cały czas siedział przy jej boku. Tomas, nie Per. Może to właśnie w ten sposób chciał się zemścić. Pozwolił sobie na tę jedną małą demonstrację siły: wykluczył Pera. To on, Tomas, miał być pierwszym, który zobaczy nowo narodzone dzieci, choć nie były jego.

I poszło to niespodziewanie szybko: już po paru godzinach od pierwszych bólów jedno z dzieci przyszło na świat. Zdrowa i pełna życia dziewczynka krzyczała, kiedy delikatnie wycierano ją ręcznikiem. Później Disa zauważyła, że coś jest nie tak. Ingela straciła nagle siły i wpadła w apatię. Potrzebna jeszcze była prawie godzina, zanim wszystko dobiegło końca i druga dziewczyna pojawiła się na świecie. Słaba i wycieńczona, była połową swojej siostry. Disa słyszała o tym w szkole: jeden bliźniak może pobierać z macicy tyle pożywienia, że ten drugi zatrzymuje się w rozwoju. I rzecz jasna, czytała o matkach, które nie odczuwają przywiązania do swoich dzieci, kobietach, które zamiast cieszyć się z macierzyństwa, popadają w ciężką depresję. Słyszała o tym i czytała, ale nigdy sama się z tym nie spotkała.

Już trzy doby. Trzy doby niepokoju. Z powodu dziecka, które nie je, z powodu Ingeli, która zdaje się w ogóle nie troszczyć o dzieci. Po raz pierwszy, odkąd postanowiła zostać akuszerką, Disa Brinckmann chce znaleźć się w szpitalu.

– Nie może tak być – powtarza. – Musimy ściągnąć pomoc.

Podnosi oczy i napotyka ich wzrok. Zrezygnowany Tomasa, złękniiony i rozbiegany Pera. I jeszcze Anne-Marie, która trzyma na rękach drugą dziewczynkę. Disa przygląda się jej i zastanawia, czy ona w ogóle zdaje sobie sprawę, że to nie jej dziecko. W chwili gdy Ingela wpadła w apatię, Anne-Marie zaczęła jakby odżywać. Zajmowała się zdrową dziewczynką, kołysała ją, karmiła i pocieszała, pilnowała jej, jakby dziecko było z jej własnej krwi. Teraz patrzy obojętnie na Disę, a później znów odwraca wzrok w stronę dziecka, przyciska je mocniej do siebie i uśmiecha się, obserwując ssące ruchy ust wokół gumowego smoczka.

– Przecież je. Jak jej daję – mówi.

– Melody tak – odpowiada Disa – ale Happy zdecydowanie za mało waży. Nie mogę brać na siebie takiej odpowiedzialności, trzeba zawieźć ją do lekarza. Ingela też potrzebuje pomocy. Widzicie przecież, że coś jest nie tak, nie jest nawet w stanie przytrzymać dzieci.

Per podnosi się tak raptownie, że krzesło wywraca się z głośnym hukem.

– To moje dzieci – mówi. – Nie możecie ich po prostu zabrać.

W kuchni zapada cisza jak makiem zasiał. Ciągące się sekundy, niespokojne oddechy, nieprawdopodobne myśli. Potem Disa pochyla się nad stołem.

– Musisz wybrać, Tomas: albo zabiorę Ingelę i Happy do szpitala w Dunkerze, albo wieczorem popłyniemy promem do Szwecji.

Anne-Marie podnosi się bez słowa, odstawia na stół butelkę i opuszcza pomieszczenie z Melody na rękach.

Tomas patrzy za nią, a później spogląda na Disę.

– Jedziemy do domu – mówi cicho.

Z mocno zaciśniętymi zębami Karen wychodzi z Zająca i Wrony, wsiada do samochodu i opiera czoło o kierownicę. Myliła się.

Tak cholernie się myliła.

Ostatni dzień pełen był papierkowej roboty, rozmów telefonicznych z prokuraturą i ciągłego zerkania na telefon komórkowy. Anne Crosby nie odezwała się. Disa Brinckmann też nie.

Przeprowadziła jeszcze jedno bezowocne przesłuchanie Linusa Kvanneho, który twardo obstawał przy swoim. Tak, przyznawał się do winy, jeśli chodzi łącznie o cztery włamania. Tak, próbował podłożyć ogień pod chałupami w Torsviku i Grunderze, ale jak, do kurwy nędzy, mogą nazywać to podpaleniem z narażeniem życia? Przecież nikogo tam, kurwa, nie było; wiedział o tym, kiedy je podpałał. Okej, ale w takim razie to najwyższy czas, do cholery, zmienić przepisy!

I nie, nie zabił Susanne Smeed, w ogóle jego stopa nigdy nie postąpiła w tej cholernej dziurze, Langevik, czy jak to się tam nazywa.

To ostatnie dało się jednak obalić zaledwie w pół godziny, odkąd Karen wyszła z przesłuchania. Technicy zadzwonili kwadrans przed czwartą i rozmowa zaczęła się od ogólnikowych przeprosin i tłumaczenia, że mają masę pracy w sprawie z Moerbecku, co opóźniło wyniki, na które czekała.

Karen powstrzymała się od komentarza i wysłuchiwała dalszego ciągu wypowiedzi Sörena Larsena.

– Komórka Kvanneho łączyła się z nadajnikiem na południe od Langevik przez prawie jedenaście godzin między dwudziestą drugą trzydzieści jeden a dziewiętnaście dwadzieścia cztery – powiedział Larsen ze słabo maskowaną złośliwą radością. – Biedny drań musiał spędzić całą Oistrę w tej zabitej dechami dziurze. Co, na miłość boską, można tam właściwie robić, ty chyba wiesz najlepiej?

– Nie za wiele – odparła Karen. – A nawet niewiele, niestety.

– Tak, jasne, że tutaj był – powiedział Arild Rasmussen, kiedy kilka godzin później w Zającu i Wronie pokazała mu zdjęcie Linusa Kvanneho

z aresztu. – Siedział tam w rogu i cały czas gadał przez telefon. Wolał zostać w środku, choć był taki ciepły wieczór i inni siedzieli na zewnątrz. Napruł się jak szpak, tyle mogę powiedzieć, aż musiałem go wyrzucić koło trzeciej. To znaczy chciałem powiedzieć koło dwunastej...

– Mam gdzieś, jak długo miałeś otwarte, Arild. Ale czas jest tu istotny.

– No dobra, poszedł jako ostatni chwilę po trzeciej. Był kwadrans po trzeciej, kiedy wszedłem na górę do mieszkania.

– Wiesz może, dokąd poszedł?

– Nie mam pojęcia. Pytał, czy nie mam pokoju do wynajęcia, ale ja od dawna ich nie wynajmuję. Pewnie spał w samochodzie.

– Miał samochód? Widziałeś to auto?

Arild Rasmussen wyglądał, jakby się zastanawiał.

– Nie, chyba nie widziałem, ale musiał przecież mieć. Jak inaczej miałby się, na Boga, tutaj dostać?

Tak, oto jest pytanie, myśli teraz z głową na kierownicy. Jak Linus Kvanne pokonał blisko trzydzieści kilometrów od zwirowiska, gdzie znaleziono skradziony motocykl, do Zająca i Wrony w Langevik? W każdym razie najprawdopodobniej miał samochód, kiedy opuszczał Langevik: toyotę z krnąbrnym rozrusznikiem.

„Moja stopa, do cholery, nigdy nie powstała w Langevik”. Ten drań kłamał w żywe oczy, a ona mu wierzyła. Naprawdę mu wierzyła. Karen głośno wzdycha.

Będę musiała sprawdzić każde połączenie, które wykonał, i wszystkich, którzy tam byli tamtego wieczoru, myśli, podnosząc czoło z kierownicy. Ktoś przecież musiał widzieć, w którym kierunku poszedł, kiedy zamykano.

Cholerny Sören, czy nie mógł wypluć tego z siebie trochę wcześniej? Jednak w tej samej chwili, kiedy tak myśli, dociera do niej, że bezsensowne jest zwalanie winy na kogoś innego. To jej własny upór i niechęć do zaakceptowania faktów doprowadziły do tej sytuacji. Kiedy – zamiast przeświecić Linusa Kvannego w każdym najmniejszym calu – przez półtora dnia traciła cenny czas na grzebanie w historii starej hippisowskiej komuny z lat siedemdziesiątych.

Z jeszcze jednym ciężkim westchnieniem zapina pasy, przekręca kluczyk i uruchamia silnik.

Kolejny raz czuje rozkoszne aromaty, gdy przekracza próg swojego starego domu. Sigrid zbiega po schodach z ręcznikiem owiniętym wokół głowy.

– Cholera, ale super – mówi. – Mam nadzieję, że nie zostawiłam po sobie zbyt wielu śladów w łazience. Wiedziałaś, że w sklepie żelaznym sprzedają farby do włosów?

Zarzuca głową, pochyla się do przodu i czeka, aż ręcznik rozwinie się, a potem wyciera mokre kruczoczarne włosy.

Karen patrzy zmęczonym wzrokiem na poplamiony ręcznik.

– Och – mówi Sigrid. – Ale możesz dostać w zamian jeden z ręczników mamy, miała ich od cholery.

– Daj spokój. Co jest do jedzenia? Pachnie fantastycznie.

– *Coq au vin*. Mniej więcej. Podkrałam ci butelkę wina ze spiżarni. Wiedziałaś, że przy drodze do Grene mieszka rolnik, który sprzedaje ekologicznie hodowane kurczaki?

Karen prychna.

– Chodzi ci o Johara Iversena? On nie jest w stanie przeliterować słowa „ekologiczny”. Nawet robaki wzbraniają się przed jego jarmuzem.

Sigrid wygląda na zawiedzioną.

– Kurczaki żywione wyłącznie naturalnie i z wolnego wybiegu, zarzekałam się. Jajka też kupiłam.

– Oj tam – mówi Karen. – Z wolnego wybiegu to na pewno. Kury starego Johara biegają wolno po drogach. Przejechałam już pewnie co najmniej trzy sztuki przez te lata... Spokojnie, przesadzam trochę – dodaje, kiedy widzi przerażoną minę Sigrid. – Miałam po prostu zły dzień w pracy.

– Ma to coś wspólnego z mamą? Wiem, że miałyśmy o tym nie rozmawiać, ale nawet w gazetach pisali, że zatrzymaliście podejrzanego.

Karen zwleka. Cały ich układ – to, że Sigrid u niej mieszka – opiera się na starannym unikaniu dwóch tematów: jej mamy i jej taty.

– Okej, zgadza się. I naprawdę wiele przemawia za tym, że to właściwy chłopak, tyle mogę powiedzieć. Ale zanim będziemy pewni w stu procentach, nie mogę zdradzać, kto to i dlaczego siedzi w areszcie.

Obyś tylko go nie znała, myśli sekundę później. Wprawdzie Linus Kvanne był kilka lat starszy od Sigrid i nie wyglądało na to, żeby należeli do tych samych kręgów towarzyskich, ale mieszkał w Gaardzie, tylko kilka przecznic od mieszkania Samuela Nesbö.

Coq au vin w wydaniu Sigrid jest racjonalne. Kurczak i wino. Szczegóły, takie jak boczek, pieczarki czy cebula, musiały ustąpić miejsca puszcze białej fasoli i kilku ząbkom czosnku, które dorzuciła na koniec. Po dodaniu solidnej porcji soli i pieprzu jest to nadspodziewanie smaczne. A przede wszystkim Karen nie musiała sama tego gotować. Prawdopodobnie zjadłabym nawet siano, gdyby tylko ktoś postawił je na stole, myśli i z pomocą kawałka chleba łapczywie pochłania resztki.

– Jeśli zrobisz kawę, pozmywam – mówi i próbuje się podnieść.

W tym samym momencie dzwoni jej telefon.

Karen wyciera palce o dżinsy, wychodzi do przedpokoju i wyciąga komórkę z kieszeni kurtki.

– Eiken.

– Dobry wieczór, mówi Brandon Connor. Chyba musimy porozmawiać.

Zapach kuminu jest równie intensywny co poprzednim razem, kuchnia równie przyjemna, a stół równie zachęcający. Na pozór Janet i Brandon są równie wyluzowani co ostatnio, ale tym razem kuchnię przeszywa wyczuwalne napięcie. Karen patrzy, jak para wymienia nerwowe spojrzenia, kiedy ustawiają na stole kubki i dzbanek z kawą.

Nie powinna była tu przyjeżdżać, powinna była powiedzieć im przez telefon, że policja nie jest już zainteresowana tym, co działo się w komunie pół wieku temu. Tym razem nie traci czasu na pogawędkę.

– Mieli mi państwo coś do powiedzenia.

Jeszcze jedno spojrzenie, jakby uzgadniali to ze sobą po raz ostatni. Potem Janet kiwa głową i oddaje głos Brandonowi.

– Ostatnim razem nie byliśmy do końca szczerzy – mówi. – Ale postanowiliśmy złamać raz dane słowo i powiedzieć, co wiemy.

– Słowo? Dane komu?

– Disie. Milczała o tym przez te wszystkie lata, aż do śmierci Tomasa.

– A więc mimo wszystko mieli państwo kontakt z Disą Brinckmann.

Brandon kiwa głową.

– Od czasu do czasu, tak można chyba powiedzieć. Ale tak, mieliśmy kontakt. Była tu nie dalej jak zeszłego lata. Wtedy nam o tym powiedziała. Nie dawała już dłuższej rady zachowywać tego dla siebie, tak twierdziła.

Karen stara się przeczekać ciszę, która zapada, kiedy Brandon pije herbatę i – jak się zdaje – myśli, jak ująć to w słowa. Później odstawia filiżankę, bierze głęboki wdech i ciągnie:

– A więc stało się to po tym, jak Janet i ja opuściliśmy gospodarstwo. Opowiem tylko to, co powiedziała nam Disa. Nic więcej nie wiemy.

Karen przytakuje.

– Jak pani wie, Disa była położną, a Ingela zaszła w ciążę w czasie, kiedy mieszkaliśmy w Lothorp – mówi Brandon. – I to Disa jej pomagała, kiedy nadszedł czas porodu. O szpitalu, rzecz jasna, nigdy nie było mowy, z wielu powodów.

– Z jakich powodów?

– Hmm, częściowo dlatego, że wszyscy w komunie mocno wierzyli, że lepiej jest rodzić w domu, naturalnie i bez środków przeciwbólowych, które mogłyby zaszkodzić dziecku. Ale też dlatego, że byliśmy wykluczeni z tutejszej społeczności; nikt z nas się tu nie urodził, nikt z nas nie miał korzeni na wyspie. No tak, poza Anne-Marie, ale ponieważ dorastała w Szwecji i nigdy nie spotkała dziadka, ją również zaliczano do przyjezdnych. Nie mieliśmy też kontaktu z urzędami i szczerze mówiąc, nie jestem pewny, czy przyjęliby Ingelę do szpitala, gdybyśmy spróbowali ją tam zawieźć.

O tak, przyjęliby, myśli w duchu Karen. Nikt nie odmówiłby pomocy rodzącej kobiecie, nawet w tamtych czasach. Mówi jednak głośno:

– W takim razie musiała też pomagać przy porodzie Anne-Marie. Susanne urodziła się w kwietniu siedemdziesiątego pierwszego. Anne-Marie musiała być w ciąży mniej więcej w tym samym czasie.

– Anne-Marie nigdy nie była w ciąży – zaprzecza cicho Brandon. – Susanne była córką Ingeli.

Brandon odchyła się na krzesło i wzdycha głęboko, ruchem ręki daje znać Janet, żeby mówiła dalej. Ta gładzi męża po policzku, a później pochyła się i opiera łokciami o stół.

– Wiedzieliśmy, że Per i Anne-Marie nie mogli mieć dzieci. Anne-Marie kilkakrotnie poroniła w Szwecji i ostatni raz prawie przyplącała życiem. Był to jeden z powodów, dla których chcieli się tu przeprowadzić, taka próba rozpoczęcia wszystkiego od nowa: znalezienia wspólnoty, gdzie tradycyjna rodzina nie stałaby w centrum.

Janet sięga po słoik z miodem i pełną łyżeczkę dodaje do kubka. Karen podziękowała za proponowaną jej herbatę; ta wizyta miała zostać szybko zaliczona, tak sobie wmawiała. Teraz dociera do niej, jak bardzo się myliła. Znowu.

– I na początku się to sprawdzało – ciągnie Janet. – Anne-Marie mogła odgrywać rolę dodatkowej matki dla córki Disy, Mette, i obydwu chłopców Tomasa i Ingeli, ale było wyraźnie widać, że cierpi z tego powodu, że żadne z dzieci nie jest jej.

Janet robi przerwę, żeby napić się herbaty.

– Ironią było to, że Anne-Marie z nas wszystkich, hmm, może z wyjątkiem Disy, najbardziej kochała dzieci. Po prawdzie, zajmowała się chłopcami bardziej niż sama Ingela: bawiła się z nimi, pocieszała ich, wstawiała do nich w nocy. Ingela urodziła ich i wykarmiła, ale na tym

kończyło się jej zaangażowanie. Resztą musiał zajmować się Tomas, z pomocą Anne-Marie.

– A później Ingela znów zaszła w ciążę – mówi Karen. – A Anne-Marie nadal nie miała dzieci. I to wpędziło ją w depresję.

– Obawiam się, że nie tylko to – mówi Janet i pospiesznie zerka na męża, jakby szukała u niego wsparcia.

Brandon jednak wpatruje się uporczywie w blat stołu. Janet wzdycha i rozkłada ręce w geście rezygnacji.

– Tym razem ojcem dzieci był Per.

Karen czuje, jak ściska ją w żołądku i jak mdłości podchodzą jej do gardła. Ta rozpacz z powodu dziecka, którego nie będzie się miało, dziecka, które urodzi się, ale nie jest wyczekiwane, dziecka, które należy do kogoś innego. I dziecka, które umiera. Dziecka, które jest wyczekiwane i kochane, ale śmierć je odbiera, w mgnieniu oka. Kobiety, które z taką łatwością rodzą dziecko za dzieckiem i nie wykazują ani trochę szacunku dla tego daru. I ci, którzy są go pozbawieni.

Anne-Marie nie tylko została postawiona przed faktem, że jej mąż ją zdradził. Spodziewał się też dziecka z inną kobietą. Gdy ona rozpaczała, bo nie mogła zajść w ciążę, okazało się, że jej mąż miał zostać ojcem. I to wszystko działo się na jej oczach, w tym życiu, które miało być jej schronieniem.

– Proszę mówić dalej – mówi Karen beznamiętnie.

Janet szybko na nią zerka, podsuwa jej dzbanek i pusty kubek, a później kontynuuje.

– Jak już mówiliśmy, wyjechaliśmy z gospodarstwa, kiedy Ingela miała rodzić, więc to, co opowiadamy, wiemy od Disy. Powiedziała nam to, kiedy była tu latem. Wcześniej my też nic nie wiedzieliśmy; Disa aż do śmierci Tomasa nie pisnęła o tym ani słowa.

Karen przytakuje.

– A więc Ingela zostawiła Susanne u Pera, kiedy wracali do Szwecji? Przecież był jej ojcem, więc może nie jest to aż takie dziwne – mówi.

Prędzej dałabym sobie odrąbać rękę, niż zostawiła swoje dziecko, myśli.

– Zostawili jedno dziecko. Drugie Ingela i Tomas zabrali ze sobą do domu, do Szwecji.

W kuchni jest cicho jak makiem zasiał. Dwoje dzieci. Nie jedno. Mimo wszystko to nie informacja o tym, że Susanne miała siostrę, tak wstrząsa Karen. Desperacko stara się uchwycić jakąś logikę w tym, co właśnie powiedziała Janet. Że rozdzielili dwoje dzieci, zachowali jedno, a oddali drugie. Jedno wybrali, a drugie odrzucili.

– Podobno musieli szybko stąd wyjechać – mówi Janet. – Jedno z dzieci od początku było słabe i potrzebowało więcej opieki, niż mogła mu zapewnić Disa. Ingela była wycieńczona i nie mogła nawiązać kontaktu z potomstwem. Na próżno starali się ją przekonać do karmienia, ale nic to nie dało i słabsza z dziewczynek coraz bardziej traciła na wadze, mimo eksperymentów z mlekiem zastępczym. W końcu podjęli decyzję, żeby opuścić gospodarstwo i pojechać do Szwecji. Myślę, że była to kwestia dni, zanim zdecydowali się wyjechać.

– Bez Susanne?

Janet kiwa głową.

– Bez Susanne. Albo Melody, jak wtedy ją nazywali. Melody i Happy.

Janet błagalnym wzrokiem patrzy na swojego męża, prosząc, żeby mówił dalej.

Wyraźnie widać, że jest im obojgu ciężko z tym, że zawiodą zaufanie Disy. Karen zdaje sobie świetnie sprawę z tego, że jej profesja stanowi dodatkową trudność dla tych starych hippisów. Kiwa zachęcająco głową do Brandona i ten kontynuuje, niechętnie, ale zdecydowanie:

– Nie mieli prawa pobytu i nie chcieli w to mieszać służb, najlepszym rozwiązaniem był więc wyjazd do domu, do Szwecji – wyjaśnia. – Zamysł był prawdopodobnie taki, że wrócą, gdy tylko dziewczynka otrzyma odpowiednią pomoc i się wzmocni.

– Ale nigdy tego nie zrobili?

– Podobno po powrocie do Szwecji przyłączyli się do czegoś w rodzaju sekty religijnej. Jakiejś quasi-hinduistycznej bandy, tak mi się wydaje. Tomas dość szybko z niej odszedł, ale Ingela została. Od ostatniego porodu cierpiała zdaniem Disy na jakiś rodzaj psychozy, ale wydaje mi się, że nie był to jedyny problem.

– Narkotyki?

Brandon zanosi się śmiechem.

– Wszyscy paliliśmy trawkę i haszysz, ale Ingela bardzo... jak by to powiedzieć... gardziła tym światem. Hmm, poniekąd wszyscy nim gardziliśmy, tak przynajmniej udawaliśmy. Dla nas była to świadoma walka z konwenansami, ale w jej przypadku... tak, ona jakby grała we własnej lidze. Tak czy inaczej, Ingela uciekła do Indii razem z tą sektą i zabrała ze sobą chłopców. Według Disy Tomas przez rok starał się ich znaleźć, ale w końcu dał za wygraną. Zamknął ten rozdział swojego życia. A formalnie nie miał żadnych praw: dzieci nie były jego.

– A czyje w takim razie?

– Nie mamy pojęcia. Tomas i Ingela byli parą już w młodości, ale rozeszli się na kilka lat. To wtedy Ingela urodziła Oriana, a później Love'a. Ale o tym, kto jest ich ojcem, nigdy nie było mowy. Tomas ożenił się z nią i krótko później razem przeprowadzili się do komuny, więc nawet jeśli formalnie nie adoptował chłopców, nigdy się nad tym nie zastanawialiśmy.

– I mówią państwo, że ona zabrała ze sobą chłopców? A dziewczynkę? Happy?

– Ją zostawiła u Tomasa.

Karen czuje, jak ze złości robi się na twarzy czerwona. Ingela porzuciła najpierw jedną, a potem drugą córkę. Mimo to obie dziewczynki wyciągnęły prawdopodobnie zwycięski los na loterii w porównaniu ze swoimi braćmi. Czy któryś z chłopców przeżył dorastanie w religijnej sekcie w Indiach u boku matki, która najpewniej miała zaburzenia psychotyczne od narkotyków?

A dziewczynki wprawdzie znalazły opiekę, ale matka nigdy ich nie kochała. Melody i Happy, myśli Karen.

Cóż za okrutna ironia.

– Z czasem Tomas przechrzcił Happy na Anne – dodaje Janet, jakby czytała w myślach Karen. – Po wyjeździe Ingeli całkowicie się zmienił. Przekwalifikował się i przejął firmę ojca. Na papierze był ojcem Anne, on i Ingela byli w końcu małżeństwem, a Anne urodziła się w związku. Nie wiem, czy kiedykolwiek unieważnił to małżeństwo ani czy Ingela nadal żyje, w każdym razie Tomas nigdy więcej o niej nie słyszał.

Anne, myśli Karen. To musiała być ona. Opiera się pokusie, żeby przyspieszyć tę opowieść, przeskoczyć do momentu, kiedy Happy – dorastająca jako Anne Ekman – przybiera nazwisko Crosby.

– Więc Tomas nigdy więcej się nie ożenił? – pyta.

– Nie, najwyraźniej nie. Disa utrzymywała z nim przez kilka lat sporadyczny kontakt i wiele razy starała się go przekonać, żeby wyznał Anne, że ma przyrodnich braci i siostrę bliźniaczkę, ale nie chciał. To wszystko było dla niego zamkniętym rozdziałem, tak mówił, a Anne powiedział, że jej mama nie żyje. Disa z kolei dotrzymywała danego mu słowa i milczała; ona już taka jest.

– Poza tym zdawała sobie sprawę, że wywróciłaby też do góry nogami życie Pera i Anne-Marie, gdyby zaczęła mącić wodę.

Nie mącić wody, pomyślała Karen. Nie burzyć w szklance wody. Nie rozdrapywać starych ran. Nie, gdyby ta historia wyszła na jaw, prawdopodobnie nie wyszłaby na dobre odnoszącemu sukcesy biznesmenowi Tomasowi Ekmanowi. Do tego doszłoby ryzyko, że straci Anne. Zapewne nie ułatwiłoby to też sytuacji Pera i Anne-Marie Lindgrenów. Ich reputacja w Langevik już i tak nie należała do najlepszych; a gdyby rozniosło się, że Susanne jest owocem romansu Pera z inną kobietą z komuny, już raczej nie mogliby tu mieszkać.

– Więc milczała przez te wszystkie lata?

– Tak, aż do śmierci Tomasa. Wtedy zdecydowała się wyznać prawdę obu dziewczynkom. Anne przeprowadziła się do Stanów Zjednoczonych i wyszła za mąż, ale przyleciała na pogrzeb Tomasa, i to wtedy Disa ją odnalazła.

– A Susanne? Jak nawiązała z nią kontakt?

– Prawda jest taka, że to my pomogliśmy jej się dowiedzieć, gdzie Susanne pracuje, potem wszystko było już dość proste.

– Ale dlaczego? – pyta Karen. – Dlaczego było to takie ważne dla Disy, żeby wszystko im opowiedzieć? Chyba zdecydowanie prościej byłoby dalej milczeć.

– My też się nad tym zastanawialiśmy – odpowiada Brandon. – Ale Disa miała pewien sprecyzowany pogląd: uważała, że jeśli jedno z bliźniąt zostanie pozbawione drugiego, to zawsze będzie żyło z poczuciem pustki. Do tego w tym przypadku siostry zostały rozdzielone za jej namową. A poza tym Anne zawsze żyła w przekonaniu, że jej mama nie żyje. Myślę, że Disie stale doskwierało poczucie winy, które chciała z siebie zrzucić, zanim umrze.

– Zanim umrze? – dopytuje sceptycznie Karen.

Jest rzekomo w na tyle dobrej formie, żeby ganiać po hiszpańskich szlakach pielgrzymkowych, myśli.

– Pół roku temu dowiedziała się, że ma raka piersi. Złośliwego, niestety. Podobno nie dało się już z tym nic więcej zrobić.

Karen włącza sprzęt do nagrywania i mówi monotonnym głosem, jaki jest dzień i która godzina, kto znajduje się w pomieszczeniu i dlaczego. Domyśla się, co teraz nastąpi: pewne ustępstwa, desperacka próba wykazania chęci współpracy, teraz, kiedy nie da się już milczeć jak grób. Linus Kvanne najpewniej przyzna, że wprawdzie przypadkowo znajdował się w Langevik w nocy po Oistrze, ale będzie obstawał przy tym, że nie ma nic wspólnego z zamordowaniem Susanne Smeed. Nikt mu w to nie uwierzy. Pytanie, czy Karen jeszcze w ogóle mu wierzy. A zakazany głosik w jej głowie mówi, że powinna olać to, jak było naprawdę.

Szybko zerka w papiery, a później na darmo stara się spojrzeć Linusowi Kvannemu w oczy. Ten siedzi z opuszczoną głową i wydaje się zajęty skubaniem skórki prawego środkowego palca. Zamiast tego Karen zwraca się z westchnieniem do jego adwokata Gary'ego Brataasa:

– Tak, a więc to przesłuchanie odbywa się z państwa inicjatywy – mówi. – Najwyraźniej pana klient chce nam coś powiedzieć.

Gary Brataas patrzy pospiesznie na Linusa Kvannego i kładzie rękę na jego ramieniu, potem odpowiada Karen:

– Mój klient przypomniawszy sobie pewne okoliczności, które mogą okazać się przydatne dla śledztwa. Ja chciałbym z kolei zwrócić uwagę, że te okoliczności w żaden sposób nie zmieniają tego, jak mój klient ustosunkowuje się do kwestii winy. To znaczy Linus jest całkowicie niewinny, jeśli chodzi o zabójstwo Susanne Smeed.

– Całkowicie niewinny? – powtarza Karen z podniesionymi brwiami. – Sratatata – dodaje cicho pod nosem.

Chyba jednak nie robi tego wystarczająco cicho, z czego zdaje sobie sprawę, gdy Gary Brataas otwiera usta, żeby zaprotestować. Karen go jednak uprzedza:

– Dobrze, zamieniam się w słuch, Linusie.

Nie spuszczać wzroku ze skórki, Linus Kvanne mamrocze coś niezrozumiałego.

– Musisz mówić trochę głośniej, jeśli mamy cię słyszeć.

– Byłem w Langevik. Tamtego wieczoru.

– Ach tak. Nie jest to dla nas nic nowego. Jak wiesz, ustaliliśmy już, że znajdowała się tam twoja komórka. A ponieważ nie zgłosiłeś, że ktoś ci ją ukradł ani że ją zgubiłeś, wyciągnęliśmy wniosek, że ty też tam byłeś, czemu wcześniej zaprzeczałeś. Właściwie dlaczego to robiłeś?

– Hmm, a jak myślisz, do cholery?

Wreszcie Kvanne podnosi wzrok. Patrzy zadziornie prosto na Karen, która nie odwraca oczu.

– Przecież próbujecie mnie wsadzić za morderstwo. Nikogo, kurwa, nie zabiłem.

– Hmm, jeśli o to chodzi, Linusie, to zabiłeś. Dokładniej w Nowy Rok przed sześciu laty.

Kvanne raptownie odchyła głowę do tyłu i wytrzeszcza oczy.

– No tak, ale to było przecież w obronie koniecznej – mówi.

Jego głos zdradza ogromne rozgoryczenie, jak u ucznia, który stara się wyjaśnić, że to naprawdę ten wysoki chłopak z piątej b rozpoczął bójkę na korytarzu.

– Tak twierdziłeś. Pięć ciosów nożem, o ile dobrze pamiętam. Z tego ostatnie cztery, kiedy napastnik był już unieszkodliwiony.

Gwałtownym ruchem Kvanne rzuca się przez stół w jej stronę. Jego twarz zatrzymuje się tak blisko jej twarzy, że Karen czuje jego oddech, kwaśny od przeżuwania tytoniu.

– Niech cię szlag, ty pierdolona...

– Uspokój się, Linusie – mówi Brataas i kładzie rękę na jego ramieniu. – Nie ma powodu prowokować mojego klienta, kiedy wykazuje chęć współpracy – dodaje, zwracając się do Karen.

– Ten typ próbował mnie dźgnąć, kiedy ratowałem swoją dziewczynę, którą on usiłował zgwałcić – mamrocze. – Tego nie możecie chyba, kurwa, liczyć? To, do cholery, zupełnie bez sensu, nie miałem nawet szansy.

Rozkłada ręce w geście bezradności i milknie. Karen czeka, nie komentując tego, i słyszy, jak Gary Brataas odchrząkuje.

– Jak mój klient zauważył, ta sprawa nie ma tu nic do rzeczy.

– Co więc takiego chcesz nam powiedzieć, Linusie? Chcesz, żebyśmy zmarnowali jeszcze więcej czasu, czy może powiesz nam, co naprawdę się stało w Langevik tamtego ranka po Oistrze?

– I co myślisz?

Dineke Vegen odstawia kubek z kawą na biurko i odkłada wydruk protokołu przesłuchania.

– Sama nie wiem – mówi Karen. – Czy muszę odpowiadać?

Wiadomość, że Susanne Smeed ma siostrę, została skwitowana wzruszeniem ramion przez Vigga Haugena i panią prokurator. Nawet Karl Björken nie wykazał większego zainteresowania.

– Tak, to wyjaśnia, dlaczego miała kontakt z Susanne – skwitował. – Nic nie wskazuje jednak na to, żeby Anne Crosby chciała zamordować siostrę. Raczej wręcz przeciwnie. Chyba musisz dać sobie spokój i przełknąć to, że mimo wszystko to Kvanne.

Może mają rację, myśli Karen. Dlaczego Anne Crosby miałyby zabijać siostrę? Motywy ekonomiczne są wykluczone, motyw zemsty i zazdrość mogą ewentualnie wchodzić w rachubę, ale wydają się mocno naciągane w porównaniu z ciągłym pościgiem Kvannego za dającymi się łatwo spieniężyć fantami. Jedyne, co pozostaje, to chyba szantaż, Susanne nie była raczej typem, który przepuściłby taką okazję, gdyby zaistniała. Ale gdyby dowiedziała się czegoś takiego o swojej siostrze, że Anne Crosby uznałaby za konieczne sprzątnięcie jej ze swojej drogi? Nie, Karl ma prawdopodobnie rację: pora odpuścić.

Prokurator z uśmiechem na ustach odchyła się na krześle.

– Właściwie nie musisz – odpowiada. – Jest prawie pewne, że wniesiemy akt oskarżenia przeciwko Kvannemu; mamy wystarczająco dużo dowodów. Znajdował się w Langevik w czasie popełnienia morderstwa, innymi słowy, miał i motyw, i możliwość. I do tego mijał się z prawdą. Poza tym dał już wcześniej pokaz tego, że jest gotów sięgnąć po brutalne metody, jeśli w danej chwili będzie mu to na rękę.

– Chodzi ci o zabójstwo w afekcie? Nie zrobił tego z myślą o własnych korzyściach, raczej w ramach zemsty. Albo żeby obronić swoją dziewczynę, jeśli spojrzy się na to życzliwym okiem.

– Tak, ale była to też oznaka braku zahamowań. Arild Rasmussen twierdzi, że Linus Kvanne był pijany, kiedy wyrzucał go z pubu, zapewne też mocno naćpany, jak obstawiam. Włamał się do Susanne Smeed: albo po to, żeby ukraść jej kosztowności, albo żeby po prostu się gdzieś przespąć.

– Powinien zdawać sobie sprawę, że ktoś może być w domu. Samochód stał przecież zaparkowany na działce.

Dineke Vegen wzrusza ramionami.

– Nie jest to nic nadzwyczajnego, że do włamania dochodzi, kiedy właściciele są w domu. Mieliśmy wiele przypadków, że ludzie budzili się, a włamywacz stał w ich sypialni.

– Tak, ale wtedy chodziło zazwyczaj o kilku sprawców.

– Może Kvanne nie podejmował do końca racjonalnych decyzji. I nie zapominaj, że co najmniej w dwóch przypadkach podkładał ogień w domach, do których się włamał.

– Nie sądzisz, że w takim razie zabrałby ze sobą srebra?

Dineke Vegen znów wzrusza ramionami.

– Może ktoś mu przeszkodził albo najzwyczajniej przeoczył szufladę, w której leżały. Nie, to raczej nie przypadek, że nasz poczciwy Kvanne przebywał w Langevik właśnie tego poranka. Jedynym problemem jest chyba samochód.

Karen przytakuje. W toyocie nie znaleziono DNA nikogo poza Susanne i tylko jej odciski palców udało się zidentyfikować. Na kłamce od strony pasażera znaleziono jednak też inne ślady: te same niezidentyfikowane odciski co w domu. Zła wiadomość była taka, że nie należały do Kvannego.

– Twierdzi, że złapał stopa. To może się zgadzać – mówi Karen bez przekonania w głosie.

Myśli o tym, jak wyglądały drogi tamtego poranka po Oistrze. Jeśli jakimś cudem pojawił się tam nawet samochód, nie było zbyt wiarygodne to, że Kvanne miał akurat tyle szczęścia, by kierowca się zatrzymał i go zgarnął.

Dineke Vegen szybko kartkuje papiery, a później czyta na głos:

– „Czekałem mniej więcej pół godziny, ale później jakiś facet się zatrzymał. Volvo, tak sądzę. Czarne, a może ciemnogrnatowe”.

– Ależ praktycznie – mówi Karen. – Już zaledwie po półgodzinie. I oczywiście volvo, bo cóż by innego?

Teraz przychodzi kolej prokurator, żeby wzruszyć ramionami.

– Nie, jeśli o to chodzi, to nawet ja mam w tym punkcie pewne wątpliwości. Najbardziej prawdopodobne jest to, że odjechał stamtąd mimo wszystko samochodem Susanne. Pewnie tylko dopilnował, żeby nie zostawić po sobie żadnych śladów.

Karen posyła jej sceptyczne spojrzenie, ale nie wspomina o tym, że Linus Kvanne nie jest raczej typem, który miałby tyle sprytu, żeby zataić przed technikami nawet najmniejszy dowód.

– Twierdzi, że pojechał tam rowerem, i rzeczywiście znaleźliśmy rower – mówi zamiast tego Karen. – Zwinął go z jednego z gospodarstw na południe od Grunder, po tym jak skasował kradziony motocykl. Poza tym zdaniem lekarza miał pęknięty prawy obojczyk i sporo obtarć na jednym z bioder, co potwierdza tę część jego zeznań.

Prokurator prychnął.

– Co za biedactwo. Stał tam poobijany, z plecakiem pełnym kradzionych przedmiotów. A później bocznymi drogami dojechał do Langevik, żeby ukryć się tutaj przed policją po włamaniu. To naprawdę wzruszający obrazek.

Kąciki ust Karen unoszą się w niechcianym uśmiechu.

– Jeśli przeczytasz cały raport, zobaczysz, że udało nam się potwierdzić, że odbył rozmowy, o których wspomniał. Stary ćpun Jörgen Bäckström, pewnie go kojarzysz, potwierdził, że kiedy się obudził po południu, dzień po Oistrze, miał cztery nieodebrane połączenia. Jedno od matki i trzy od Linusa Kvannego. Ten za każdym razem łączył się z pocztą głosową. Ale nie jest to takie dziwne, jeśli wziąć pod uwagę, że Beckis prawdopodobnie nie był o tej porze szczególnie kontaktowy. A tym bardziej nie był w stanie podjechać samochodem i odebrać kumpla.

– I wtedy się włamał, zabił Susanne Smeed i odjechał stamtąd jej samochodem. Musimy tylko spróbować wyjaśnić, dlaczego nie zostawił śladów w aucie. Wiem, że chłopaki są dokładne, ale czy nie mogą jeszcze raz zbadać tego samochodu?

– Niestety nie. Już go zwrócili. Ale Larsen nigdy by do tego nie dopuścił, gdyby nie był na bank pewien. Jeśli Kvanne jechał tym samochodem, musiał mieć na sobie rękawiczki i czepek na włosy. Albo cholernego fuksa.

Karen wstaje. Nie zdradza ani słowem, co myśli: że Kvanne może wcale nie włamał się do domu Susanne Smeed, że tak się tylko złożyło, że był

w pobliżu, dokładnie tak, jak twierdzi. Że Linus Kvanne tym razem miał po prostu pecha. I nie mówi nic o niedającym jej spokoju przeczuciu, że ten, kto zabił Susanne Smeed, wciąż jest na wolności. Gdyby miała jakieś nazwisko albo chociaż teorię na temat motywu, ale ma tylko mgliste przeczucie... Nie, tym razem Karen trzyma język za zębami.

– Taa, dużo dalej nie uda mi się dojść – mówi. – Teraz twoi ludzie będą mieli ten zaszczyt, żeby to dalej poprowadzić. Dzisiaj przed końcem dnia będzie czekał na ciebie w skrzynce cały raport. Ja sama zamierzam wreszcie udać się na zasłużone wakacje. I Haugen, i Smeed bardzo się ucieszą, że wyjeżdżam – dodaje z krzywym uśmiechem.

Dineke Vegen też się podnosi, wyciąga rękę i się do niej uśmiecha.

– Tak, słyszałam, że będziesz miała trochę wolnego. Należą ci się podziękowania. Jeśli coś się pojawi podczas twojej nieobecności, zajmę się tym z Jounasem. Dokąd się wybierasz tak w ogóle?

– Do północno-wschodniej Francji. Mam udziały w pewnej winnicy i chciałabym zdążyć, zanim skończy się winobranie.

– Nie w Alzacji przypadkiem?

– Tak, w Alzacji. Możemy się założyć o skrzynkę wina.

– Okej. O co miałybyśmy się założyć?

– Jeśli zarzuty wobec Kvannego się utrzymają, dostaniesz skrzynkę białego wina.

– A jeśli nie?

– Wtedy ja będę miała rację. To mi wystarczy.

– A więc opuszczasz statek, kiedy nie dali ci już dłużej bawić się w kapitana.

Karen nawet się nie rusza, tylko wpatruje w kawę powoli ściekającą do kubka, który pobieżnie opłukała, i dopiero później odwraca się ociężale, dmuchając przy tym na kawę, zanim zamoczy w niej usta. Opiera się pośladkami o blat i patrzy na Evalda Johannisena, który zajął miejsce w progu malutkiej kuchni.

Nawet mrugnięciem oka nie zdradza, że właśnie do niej dotarło, że zapomniała o cukrze, i gorycz wykrzywia jej usta.

– Mnie też miło cię widzieć, Evald – mówi. – Słyszałam, że wróciłeś. Napijesz się?

Obrzydzenie maluje się na jego twarzy.

– Takiej pedalskiej kawy? Nie, dzięki, wolę starą dobrą policyjną kawę.

– Czemu mnie to nie dziwi? Ale naprawdę powinienesz spróbować. To porządny sprzęt.

Unosi rękę i przejeżdża dłonią po matowej stali. Potem pstryka palcem w rączkę spieniacza mleka, która skręca, a ona uśmiecha się do kolegi. Ten przygląda się jej i kręci głową.

– Tak, a podatnikom przyjdzie zapłacić za tę zabawkę – mówi ponuro.

– Ale zapewne to tylko jedna z rzeczy, z którymi Jounas będzie musiał zrobić po tobie porządek.

– Ach tak – mówi spokojnie Karen. – Jakie emocjonujące plotki słyszałeś?

Evald Johannisen robi kilka kroków i wchodzi do kuchni, otwiera lodówkę i bierze z półki na drzwiach puszkę coca-coli. Później otwiera ją, unosi jak do toastu i bierze kilka dużych łyków.

W każdym razie najwyraźniej jest na kofeinowym głodzie, myśli Karen i w odpowiedzi unosi kubek.

– Może powinienesz uważać z takimi mocnymi trunkami – mówi łagodnym głosem i ruchem głowy wskazuje puszkę z napojem gazowanym. – To raczej nie jest dobre na serce.

– Idź do diabła.

– Nic z tego, ale jadę na północ Francji. Wyjeżdżam w sobotę wieczorem. Będę siedziała w ogrodzie i popijała wino, kiedy wy dalej będziecie tu tyrać smagani zimnym wiatrem.

Johannisen upija jeszcze jeden łyk i ociera usta wierzchem dłoni.

– Ach tak, w końcu zmusili cię, żebyś dała sobie spokój – mówi. – Nie pozwolili ci dalej marnować czasu i środków na coś, co powinno zostać wyjaśnione maksymalnie w tydzień. To musiało solidnie zboleć. – Odsuwa krzesło i na nim siada. Potem opiera się wygodnie, krzyżuje wyciągnięte przed siebie nogi i znów przykłada puszkę do ust. – A ty oddawałaś się ganiu w kółko i pytaniu o to, co działo się przeszło pięćdziesiąt lat temu, zamiast spojrzeć na to, co miałaś tuż przed oczami – ciągnie, bierze łyk, a później beka, nie zamknąwszy ust.

Karen powstrzymuje grymas, zamiast tego przechyla głowę i się uśmiecha.

– Ach, no tak, spotkaliście się więc ze Smeedem na pogaduszki. Co ci jeszcze powiedział?

– Masz na myśli to, ile czasu poświęciłaś na przeglądanie starych albumów, bieganie do miejscowego pubu i gadanie z podstarzałymi hippisami? Nie no, o tym sam mogłem przeczytać. Jounas prosił mnie, żebym przegryzł się przez twoje notatki i nie jest to budująca lektura.

– A mimo to przeczytałaś ją od deski do deski. Wzruszające.

– Tak, bo było to konieczne. Mam być teraz osobą kontaktową dla prokuratury, skoro ty postanowiłaś uciec z podkulonym ogonem.

– Hmm, fantastycznie, w takim razie przeczytałaś też protokoły z przesłuchań Linusa Kvannego. Jestem pewna, że to wystarczy, żebyś był w pełni przekonany. Tak jak Vegen, Haugen i Smeed. Po prostu świetnie, że się zgadzacie.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Dokładnie to, co powiedziałam. Wydaje wam się, że macie wszystko, czego wam trzeba. Proszę bardzo!

– Czyli ty dalej nie wierzysz w to, że Kvanne jest winny. To masz na myśli?

Evald Johannisen prychnie i ociera strużkę gazowanej piany, która ścieka mu po brodzie. Karen przygląda mu się, ale nie odpowiada, czeka na ciąg dalszy.

– Niech mnie kule biją, ale przeszedłem przez każdy cholerny szczegół z tego, do czego się dokopałaś, rozmawiając z zakonserwowanymi

dezerterami, albo co udało ci się wyciągnąć z plotek, siedząc w pubie. Hippisi, duńska akuszerka i porzucone dzieciaki: wszystko całkowicie bez znaczenia. I nie ma najmniejszych wątpliwości, jakie należało wyciągnąć wnioski. Jeśli to do ciebie nie dociera, to nie wiem, co ty w ogóle robisz w policji.

Karen podchodzi do zlewu, płucze kubek i stawia go do góry dnem na suszarce. Potem odwraca się.

– Wiesz co, Evald, ja sama też się nad tym zastanawiam.

Ostatnią rzeczą, jaką słyszy, przechodząc nad wyciągniętymi nogami Johannisena i opuszczając pomieszczenie, jest odgłos kolejnej porcji gazu, która wydostaje się z jego gardła.

W chwili kiedy Karen wyciąga z zamka kluczyk do samochodu, brzęczy jej komórka. Jednak to uczucie podniecenia, które ogarnęłyby ją dzień wcześniej na widok nazwiska Anne Crosby na ekranie, jest nieobecne i przez kilka sekund rozważa, czy po prostu nie odpuścić i nie odbierać.

Rozmowa z Brandonem i Janet odpowiedziała na te pytania, które miała. To, co stało się w Langevik blisko pięćdziesiąt lat temu, było tragedią. To, że Anne Crosby jest małą dziewczynką, która wróciła z Tomaszem i Ingelą do Szwecji, stwierdzono bez żadnych wątpliwości. Z pomocą Cornelisa Lootsa – dyskretnie i po zapewnieniu, że Jounas Smeed się o tym nie dowie – udało jej się potwierdzić, że Happy została z czasem ochrzczona jako Anne i dorastała w Malmö u Tomasza Ekmana, którego najpewniej uważała za biologicznego ojca. Pod koniec lat osiemdziesiątych Anne przeniosła się do Stanów Zjednoczonych, żeby studiować marketing, a potem wyszła za niejakiego Gregory'ego Crosby'ego, z którym rozwiodła się przed sześciu laty. Para nie miała dzieci i Anne Crosby była zameldowana jako osoba samotna pod adresem w Los Angeles.

To, że dwie siostry, Anne i Susanne, dowiedziały się o sobie nawzajem tylko kilka miesięcy przed śmiercią Susanne, jest tragicznym zbiegiem okoliczności. Wyjaśnia jednak, skąd wzięły się połączenia przychodzące do Susanne Smeed zarówno od Disy Brinckmann, jak i samej Anne Crosby.

Przede wszystkim prawdopodobieństwo, że Anne zabiła Susanne, jest znacznie mniejsze, niż że zrobił to Linus Kvanne. Prawie pięćdziesięcioletnia i według informacji uzyskanych przez Cornelisa bardzo zamożna kobieta nie miała prawdopodobnie żadnego interesu w tym, żeby zabić swoją niedawno odzyskaną siostrę w jakiejś zapyziałej dziurze na doggerlandzkiej Heimö. W końcu nawet Karen się z tym pogodziła.

Telefon wydaje z siebie trzeci sygnał i Karen dochodzi do wniosku, że musi odebrać. Po tej ponaglącej wiadomości, którą wysłała, byłoby zwykłą impertynencją nie porozmawiać teraz z Anne Crosby, skoro ta wreszcie oddzwania. Niechętnie naciska zieloną słuchawkę.

– Halo, Karen Eiken Hornby przy telefonie – mówi.

– Nazywam się Anne Crosby. Szukała mnie pani?

Głos jest uprzejmy, ale wydaje się zabiegany, prawie zziębnięty, jakby Anne Crosby zależało na tym, żeby jak najszybciej załatwić tę sprawę. Dobrze się składa, myśli Karen.

– Tak, to prawda. Szukałam pani w związku z pewnym morderstwem tutaj na Heimö.

Karen przerywa i milknie na kilka sekund. Czy Anne Crosby wie, że jej siostra nie żyje? Czy wywnioskowała to z rozmowy z Mette?

– Chodzi o Susanne Smeed – mówi ostrożnie. – Nie wiem, czy pani wie, że ona...

– Tak, wiem, że Susanne nie żyje. To okropne.

Anne Crosby mówi to szorstkim tonem, a w uszach Karen brzmi to niemal jak perfekcyjny szwedzki, mimo tylu lat spędzonych w Stanach.

– Chodzi o to, że przejrzelismy billingi Susanne i pojawił się tam pani numer razem z numerem Disy Brinckmann. Od jej córki dowiedzieliśmy się, jak się pani nazywa, i w ten sposób połączyliśmy panią z tym numerem. Ponieważ to numer na kartę, nie mogliśmy dowiedzieć się tego w inny sposób.

– Ach tak, zawsze używam telefonu na kartę, kiedy jestem za granicą.

– Tak, tak jest chyba najbezpieczniej, inaczej może to zapewne bardzo drogo kosztować.

Coś, co przypomina dźwięki z placu budowy, rozlega się na drugim końcu, ale Anne Crosby milczy.

– W każdym razie – ciągnie Karen – właściwie dostałam już odpowiedzi na swoje pytania. Poza tym śledztwo w tej sprawie jest w zasadzie zakończone. Mamy podejrzanego, który siedzi w areszcie, i obciążają go poważne dowody...

– W zasadzie zakończone? Nie jesteście pewni?

– Jesteśmy, ale tak się mówi, jak coś zostało wyjaśnione przez policję. Teraz chodzi tylko o to, żeby zarzuty zostały podtrzymane w sądzie.

W słuchawce rozlega się szuranie, a chwilę później zapada cisza. Przez moment Karen wydaje się, że Anne Crosby się rozłączyła.

– Ach, to chyba dobrze – słyszy sekundę później.

– Wybieram się teraz na urlop na kilka tygodni, ale jeśli pani chce, mogę poprosić prowadzącą śledztwo, żeby informowała panią o rozwoju

zdarzeń. Jeśli poda mi pani namiary na siebie, przekażę je pani prokurator.

– Można do mnie dzwonić na ten numer.

– Zamierza pani zostać przez jakiś czas w Szwecji?

Tym razem szuranie na drugim końcu jest tak głośne, że Karen instynktownie odsuwa słuchawkę od ucha.

– Przepraszam – mówi Anne Crosby. – Stoję trochę niefortunnie.

– Oczywiście przed wyjazdem spróbuję się skontaktować też z panią Disą – mówi Karen. – Ale nie jest to najłatwiejsza sprawa, jak pani wie. Jej córka twierdzi, że mama wreszcie wraca do domu. Czy pani udało się już porozmawiać z Disą? Pani Mette wspominała, że pani również próbowała.

– Słucham? Nie. To znaczy jeszcze nie.

– Tak, spróbuję do niej przedzwonić przed wyjazdem. W przeciwnym razie zastanawiam się, czy nie zajechać do Malmö w drodze powrotnej. Słyszałam, że to ładne miasto, a nie będzie to zbyt duży objazd, teraz, kiedy jest już most.

Paplam, myśli. Przecież nie interesują jej moje plany urlopowe, a krótka pogawędka nic nie zmieni – jej siostra nie żyje. Jeszcze kilka sekund ciszy i Karen już chce zakończyć połączenie.

– A więc jedzie pani do Danii na wakacje?

– Właściwie to aż do Francji. W sobotę wsiadam na wieczorny prom do Esbjerg, a dalej będę podróżować samochodem.

– W takim razie życzę przyjemnej podróży.

– Dziękuję. I – dodaje – naprawdę mi przykro z powodu pani siostry.

– Nawet nie zauważysz, że jestem tam z tobą. Słowo.

– Niby jak? Przecież będziesz siedziała obok mnie w samochodzie? Czy może zamierzasz położyć się w bagażniku?

W oczach Sigrid pojawia się isierka nadziei.

– A więc w porządku? Mogę jechać?

Karen wzdycha. Dwa dni marudzenia sprawiły, że w końcu zaczęła mięknąć. Batalia, żeby się zgodziła, zaczęła się w momencie, kiedy powiedziała Sigrid, że zamierza udać się na długo odkładany urlop i jedzie samochodem do dobrych przyjaciół do Alzacji. Sigrid zapewniła, że pokryje połowę kosztów benzyny, że będzie ciężko pracować przy winobraniu, że zawsze marzyła o tym, żeby pojechać właśnie do Francji, a to wszystko mówiła błagalnym, anielskim głosem.

Kiedy nie przyniosło to zamierzonych rezultatów, zmieniła strategię.

Naprawdę potrzebuje „małego breaku” od tego „porąbanego kraju”, a w klubie (który był „pieprzoną dziurą”) regularnie pojawia się Sam, podczas gdy ona nie chce go więcej widzieć, więc i tak zamierza złożyć wypowiedzenie i od nowego roku pójść na studia (wcale nie dlatego, że tata jęczy jej z tego powodu, bo ten „obłudny dupek” może spadać na drzewo).

Poza tym Karen nawet nie zauważy, że z nią będzie. Jounas prawdopodobnie dostanie szału, jeśli usłyszy, że pojechałam z jego córką na wakacje, myśli Karen.

– No dobra – odpowiada.

Po rozmowie z Korem i Eirikiem oraz z Marike uświadamia sobie, że ma mały problem. Nikt z nich nie może mieszkać u niej w domu przez trzy tygodnie, żeby zająć się Rufusem. Karen nie ma odwagi wywieźć kota do Marike. Kiedy to wychudzone biedaczysko pojawiło się nie wiadomo skąd niecały rok temu, widać było po nim, że wędrowało długo i mozolnie. Najpewniej więc by uciekł i spróbował wrócić do domu. I jeszcze dorwałby go lis, albo – co bardziej prawdopodobne – wpadłby pod koła samochodu.

Jasne, mogła poprosić któregoś z sąsiadów, żeby go nakarmił, ale biorąc pod uwagę, jak bardzo Rufus łaknął jej towarzystwa – a teraz także towarzystwa Sigrid – zostawianie go na kilka tygodni samego w domu wydawało się jej okrucieństwem. Dlaczego, do diabła, przygarnęła tego przeklętego kota? Dlaczego nie pomyślała, że przekreśli to jej szanse na dłuższe wyjazdy?

Rozwiązanie zaproponowane przez Korego nie wydawało się pociągające. Mimo to Karen siedzi w samochodzie między dwiema rampami towarowymi w Nyhamnen, po tym jak wcześniej dwadzieścia minut wlokła się dookoła ciemnych budynków i wpatrywała w przejścia między nimi. W chwili kiedy właśnie postanawia sobie odpuścić i odjechać, Leo Friis bez ostrzeżenia pojawia się w świetle reflektorów. Stoi pośrodku ulicy, którą Karen musiała przejeżdżać co najmniej dwa razy. Uczucia, które ogarniają ją na jego widok, składają się po równo z ulgi i instynktownej ochoty, żeby stąd odjechać, póki czas. Później myśli o promie do Esbjerg, który odchodzi za niecałą dobę. Pojutrze będzie siedziała z Philippe'em, Agnès i całą resztą z kieliszkiem zeszłorocznego wina w ręce i spoglądała na winnice.

Zostawia silnik na chodzie, otwiera drzwi i wysiada z samochodu.

– Okej, a gdzie jest haczyk? – pyta Leo Friis, wysłuchawszy jej propozycji.
– Raczej byś mnie o to nie prosiła, gdyby nie było haczyka. Nie znamy się.

Patrzy na nią nieufnie i nie dziękując, bierze od niej jeszcze jednego papierosa.

– Kore za ciebie ręczy. I to raczej nie ty tu ryzykujesz. Będiesz po prostu pilnował mojego domu, kiedy ja będę we Francji. Chciałabym, żeby ktoś się nim zajął i przypilnował, by nikt mi się nie włamał, i miał na oku to czy tamto.

– To czy tamto...?

– Mojego kota. Przypilnował, żeby miał żarcie i wodę i... taa, głaskał go.

– Aha. Czyli to kot jest tym haczykiem. Co z nim nie tak?

Karen czuje, że zaczyna tracić cierpliwość. Zapuszczony żul, prawdopodobnie z historią problemów długą jak lista zakupów.

– W głębi duszy to dobry chłopak – powiedział Kore. – Miał masę problemów, kiedy ściał się z zespołem: narkotyki, długi i reszta syfu, ale

jest poczciwy. Poza tym mogę zajeżdżać do ciebie od czasu do czasu i mieć go na oku, jeśli chcesz. Utrzymujemy kontakt, odkąd spotkaliśmy się tamtego wieczoru w Linie. No tak, sama przecież tam byłaś, można więc powiedzieć, że go znasz.

– Po dwóch piwach? A tak w ogóle, to jak wam dwóm udało się utrzymywać kontakt? On chyba nie ma komórki?

– Nie, ale tamtą noc przekimał w studiu, a później spał tam jeszcze kilka razy. I zaprosiłem go na kolację.

– Do domu? Eirik się na to zgodził?

– Było trochę gadania, ale w końcu się zgodził. Siedział, kurna, jak na szpilkach, kiedy Leo rozwalił się na tej białej sofie, którą kupiliśmy wiosną.

– Hmm, mogę to sobie wyobrazić – odparła Karen. – Okej, wiesz, jak można go złapać? Dalej mieszka w studiu czy pod rampą w Nyhamnen?

– Obawiam się, że to drugie. Mamy teraz cholernie dużo roboty w studiu, ludzie kręcą się tam na okrągło, więc musi trzymać się przez jakiś czas na uboczu. Chłopcy nie byliby zachwyceni, gdybym powiedział im, że dałem mu klucze. Samo wyposażenie jest warte miliony.

– Nie no, lepiej w takim razie, żeby ukradł te nędzne resztki, które ja posiadam...

– Daj spokój. Leo nie jest taki. Poza tym: jaki masz wybór?

Teraz przygląda się mężczyźnie przed sobą z mieszanką fascynacji i niechęci. Jego płaszcz był prawdopodobnie kiedyś całkiem ładny, może po prostu jego własny, a ciężkie buciory wyglądają na podejrzenie nowe. Ale światło reflektorów demaskuje, że przebłyskujący czerwony sweter pokrywają plamy niewiadomego pochodzenia, a wystające rękawy są szarobure od starego brudu. Włóczka popruła się wzdłuż rękawa, a agrafka, na którą nawleczone jest oczko, jest tylko nieudolną próbą powstrzymania dalszego prucia. Szarego koca, który Leo Friis nosił narzucony na ramiona przy ich pierwszym spotkaniu, na szczęście nie widać, ale czapka i wełniane skarpetki, które wystają z buciorów, są prawdopodobnie pełne robactwa. On cały jest zapewne pełen robactwa.

Powinien być mi wdzięczny. Skwapliwie skorzystał z okazji, że przez trzy tygodnie będzie miał jedzenie i dach nad głową bez zadawania masy pytań. Zamiast tego stoję tu jak cholerny sprzedawca odkurzaczy i próbuję go przekonać. Co on, kurna, sobie myśli, że kim jest?

Jednocześnie Karen uświadamia sobie, że zapewne pilniej potrzebuje jego usług niż on jej.

– Z kotem wszystko w porządku – mówi. – Po prostu wymaga sporo uwagi.

– Jesteś pewna, że to nie jest kotka?

Leo Friis drapie się po brwi i czapka zsuwa mu się z czoła.

– Och, kloszard z poczuciem humoru – syczy Karen. – Masz wszy?

Jego czapka wygląda tak, jakby miała uciec o własnych siłach.

– Skąd mam to, do cholery, wiedzieć? Masz wannę?

– Oczywiście.

– Okej.

– Co okej?

– Okej, zamieszkałam w twoim domu, przypilnuję twojego kota i dopilnuję, żeby nikt się nie włamał, kiedy ty pojedziesz sobie na słoneczne hiszpańskie wybrzeże i będziesz popijać sangrię.

– Do winnicy we Francji. Szczerze mówiąc, jestem jej współwłaścicielką.

– Ojoj, gratulacje.

Leo chrząka i zbiera plwociny. Karen patrzy na niego z niesmakiem, kiedy odwraca głowę i wypluwa je za krawędź rampy.

– Mam jeden warunek – mówi. – Nie będziesz ściągał do domu żadnych dziwnych kumpli i nie będziesz brał narkotyków, kiedy u mnie mieszkasz. Żadnej trawki. Możesz pić, jeśli chcesz, ale nic poza tym.

– No wiedziałem. Zawsze jest jakiś haczyk...

– Jestem policjantką, nie mogę ryzykować, że będziesz zajmował się czymś takim u mnie w domu. Mówię poważnie. Dasz radę.

– Słuchaj, na piwie i tanim winie dałem radę prawie dwa lata. Masz w ogóle coś w domu?

– Nic, co zapewne odpowiadałoby twoim gustom. Tylko porządne wino i dobrą whisky. Plus zamrażarkę pełną jedzenia, telewizor i pokój gościnny z czystą pościelą – dodaje, żeby jakoś złagodzić swoją butę.

– A gdzie leży ten raj?

– W Langevik, na północny wschód od miasta.

– Wiem, gdzie to jest. Tylko jak mam się tam dostać? Jak zapewne rozumiesz, nie mam samochodu.

Karen milczy kilka sekund i liczy w głowie. Dwadzieścia trzy godziny do odejścia promu. Jutro nie będzie miała raczej czasu, żeby jeździć po

mieście i szukać Leo Friisa, a nie ma odwagi zdać się na to, że dostanie się do Langevik na własną rękę, nawet jeśli da mu pieniądze na taksówkę.

– Samochodem – mówi. – Zaraz jedziemy. Jeśli nie masz innych planów – dodaje.

Odgłosy na piętrze umilkły. Szum wody z kranów, który przeplatał się z bulgotem wystygłej wody, spuszczonej, żeby zrobić miejsce nowej wodzie, wreszcie ustał po ponad godzinie.

– Myślisz, że zasnął? – pyta Sigrid, w roztargnieniu dzwoniąc łyżeczką o kubek z herbatą; kciukiem drugiej ręki cały czas skroluje w górę i w dół ekran telefonu. – Może utopił się w wannie? Słyszy się przecież o takich przypadkach – ciągnie i na sekundę odrywa wzrok od telefonu. – Może lepiej do niego zajrzyjmy?

– Myślę, że Leo potrafi sam o siebie zadbać – mówi oschle Karen i przegania Rufusa, który wskoczył na krzesło i oparł łapy o blat stołu. – Jeśli nie będziesz już jadła sera, to go schowam.

Karen podnosi się, żeby sprzątnąć ze stołu. Na blacie pełno jest okruszków po bochenku chleba z orzechami włoskimi, z którego ostała się tylko marna piętka. Musiał wpakować w siebie co najmniej osiem kromek, myśli i otwiera zamrażarkę, żeby wyjąć kolejny bochenek. Jeśli będzie utrzymywał takie tempo, to po powrocie do domu nie zastanę tu ani grama jedzenia.

– Pod tą brodą kryje się chyba całkiem przystojny facet. W każdym razie wygląda cholernie dobrze na starych zdjęciach w internecie. Popatrz!

Karen odwraca się i patrzy na Sigrid, która entuzjastycznie podsuwa jej komórkę. Nawet nie spojrzawszy, kręci nieufnie głową.

– Z pewnością jest dwadzieścia lat starszy od ciebie – mówi niechętnie. Sigrid wzdycha i podnosi się z miejsca.

– Ej no, myślisz, że byłabym zainteresowana takim starym dziadem? Myślałam o tobie.

– Dzięki. Ale ten stary dziad jest prawdopodobnie dziesięć lat młodszy ode mnie.

– Właściwie to osiem. Sprawdziłam.

Karen pozwala, żeby to podanie wyszło na aut.

– Spakowałaś się już? – pyta zamiast tego.

– Zaraz to zrobię. Wyluzuj, czemu jesteś taka zestresowana?

Bo zamiast spędzać czas w samotności i mieć święty spokój, z jakiegoś powodu siedzę przy stole z dziewczyną z kolczykiem w nosie i rękami pokrytymi tatuażami, a do tego w łazience na piętrze mam kloszarda, myśli Karen. Na głos jednak mówi:

– Mogłabyś przynieść czystą pościel i położyć ją w budynku gospodarczym? Rozkręć też grzejnik, jeśli okaże się, że jest zakręcony, zapomniałam sprawdzić.

– A więc mam się tam wynieść? Chcesz zostać z brodaczem sam na sam?

Sigrid uśmiecha się szeroko i unosi jedną brew, przez moment Karen dostrzega w niej pewne podobieństwo do Jounasa.

– Nie bądź głupia – syczy. – Leo prześpi się tam dziś w nocy. Kiedy wyjedziemy, może się tutaj przeprowadzić, jeśli będzie miał ochotę. Ale chcę, żeby najpierw przeszedł kwarantannę, aż się przekonamy, że nie ma wściekliczny.

Na piętrze znów rozlega się bulgotanie, tym razem kran z ciepłą wodą nie zostaje jednak odkręcony. Zamiast tego w łazience słychać kroki, otwierane drzwi, a następnie skrzypiące schody. Chwilę później w drzwiach kuchni pojawia się Leo Friis w samym tylko ręczniku okręconym wokół bioder. Karen odwraca wzrok. Sigrid tego nie robi.

– Goliłeś się mikserem? – pyta.

– Znalazłem nożyczki do paznokci. Macie jakieś ubranie, które mógłbym pożyczyć? Swoje muszę chyba uprać.

Raczej wysterylizować, myśli Karen. Albo spalić.

– Sigrid, pokaż Leo, gdzie jest pralka, i sprawdź, czy w szafach nie ma czegoś, co mógłby założyć. Ja muszę zadzwonić.

Karl Björken odbiera po pierwszym sygnale.

– Cześć, Eiken, co też znowu wymyśliłaś?

– Nic, szczerze mówiąc. Przeszłam w tryb urlopowy. Jutro wsiadam na wieczorny prom i do domu wrócę najwcześniej za trzy tygodnie. A kiedy ty znikasz? Chodzi mi o wychowawczy.

– Prawdopodobnie dopiero pierwszego grudnia, zdążysz wrócić, zanim będę miał wolne.

Jeśli wrócę, myśli. W tej chwili powrót do Jounasa Smeeda i Evalda Johannisena wydaje się jej o wiele mniej pociągający niż kiedykolwiek dotąd.

– Hmm, rozmawiałam wczoraj z Anne Crosby.

– Ach tak, w końcu się odezwała? I co miała do powiedzenia?

– Nie za wiele. Wydaje się bardzo powściągliwa.

– A ta cała Disa Brinckmann? Z nią też rozmawiałaś?

– Jeszcze nie. Ale powinna była już wrócić do domu, spróbuję do niej jeszcze przedzwonić. Trochę dziwne tak to zostawiać. To znaczy bez wyjaśnienia, dlaczego ich szukałam, chociaż to już nieaktualne.

– Myślałem, że zamierzasz zrobić sobie wolne. Przeszłaś w tryb urlopowy, nie tak to ujęłaś?

– Tak, ale obiecałam Anne Crosby, że będziemy ją informować na bieżąco o oskarżeniu Kvanneho. Mimo wszystko chodzi przecież o jej siostrę, nawet jeśli nie ma żadnych oficjalnych dokumentów potwierdzających pokrewieństwo. Chciałabym cię poprosić, żebyś do mnie przedzwonił, gdyby coś się działo.

Chociaż to niemożliwe, Karen słyszy wyraźnie, jak Karl Björken się uśmiecha.

– A więc to nie ty sama chcesz wiedzieć?

Karen wzdycha z rezygnacją.

– Okej – przyznaje. – To po prostu bardzo dziwne uczucie, tak nagle to wszystko zostawiać.

– Wiesz, co się mówi o ciekawości...

– Zadzwonisz do mnie czy nie? To znaczy jeśli się przyzna.

– W porządku. Ale spróbuj teraz tak naprawdę przejść w tryb urlopowy.

– Masz moje słowo. Zapewne nawet przez moment nie będę o was myśleć, kiedy już usiądę pośród wzgórz obrośniętych winoroślą.

I kiedy dwadzieścia minut później dociska wieko walizki i zasuwa w niej suwak, łapie się na tym, że nuci sobie dziecięcą piosenkę:

*Więcej nie wolno ci węszyć tam,
posłuchaj starca, ciekawski kocie.*

*Następnym razem ratuj się sam,
albo utoniesz w głębokiej wodzie.*

Aha, a więc to tyle, jeśli chodzi o to towarzystwo, myśli Karen i patrzy, jak Sigrid znika, idąc w kierunku baru na dolnym pokładzie.

Już w kolejce, kiedy samochody czekały, żeby wjechać na pokład, wypatrzyła kilkoro znajomych w jednym z wozów z przodu. Upewniwszy się, że Karen nie weźmie jej tego za złe, zostawiła ją samą za kierownicą i pognąła do drugiego auta, zapukała w szybę i natychmiast została wpuszczona.

– Widzimy się za jakiś czas na pokładzie – powiedziała. – Jaki mamy numer kajuty?

Karen dała jej jedną z kart z numerem sto dwadzieścia jeden wyślubionym w białym plastiku.

– Chciałabym się jak najwcześniej położyć. Bądź więc tak miła i nie budź mnie, kiedy przyjdiesz podchmielona. Muszę się wyspać, jeśli mam mieć jutro siły, żeby prowadzić całą drogę do Strasburga.

– Nawet nie zauważysz, że z tobą jestem – zapewniła ją Sigrid.

Wygląda na to, że miała rację, myśli Karen i ogarnia ją niepokój. Czy podczas podróży Sigrid będzie wiele razy znikać z jej pola widzenia? A jeśli coś jej się stanie? Albo co, jeśli ubzdura sobie, żeby zniknąć z którymś z chłopaków jeżdżących między gospodarstwami i pomagających przy zbiorach. Są niezmiernie przystojni. Jak wyjaśni coś takiego Jounasowi Smeedowi? Sigrid jest wprawdzie pełnoletnia, ale mimo wszystko Karen wzięła na siebie ogromną odpowiedzialność, zgadzając się, żeby z nią pojechała.

A skoro już i tak się niepokoi, przy okazji staje jej przed oczami dom w Langevik. Leo Friis otoczony pustymi kieliszkami i kreskami kokainy, Rufus, który na próżno kręci się między miskami z jedzeniem. Co ona sobie, do diabła, myślała?

Jej rozważania przerywa trąbienie. Samochody przed nią powoli ruszyły i znikają przez otwartą furtę jeden za drugim pod pokładem M/S Skandia.

Pół godziny później Karen siada na skórzanym fotelu w małym barze na górnym pokładzie. Ku swojemu rozczarowaniu stwierdza, że obecnie nie ma tu nigdzie popielniczek. To chyba właśnie ten bar był wyjątkiem, jeśli chodzi o zakaz palenia?

– Czy można gdzieś palić na pokładzie? – pyta kelnera, który kładzie na stole małą serwetkę i stawia na niej gin z tonikiem.

– Oj, nie. Już od pięciu lat nie. Oczywiście na zewnątrz jest to dozwolone – mówi i bierze kartę, którą Karen mu podaje.

Karen spogląda za okno. Prom odpłynął o czasie i właśnie zostawili za sobą ostatnie światła wyspy. Kilka strużek deszczu spływających po atramentowoczarnej szybie sprawia, że mija jej ochota na papierosa. Poza tym czuje znajome kołysanie, które zdradza, że Morze Północne jest nieco wzburzone. Kelner podąża za jej wzrokiem i utwierdza ją w tym przekonaniu, posyłając jej rutynowy uśmiech, który ma uspokajać zaniepokojonych podróżnych.

– To nic takiego – zapewnia. – Może trochę kołysać, ale nie ma najmniejszego powodu do obaw. Nie wyszlibyśmy z portu, gdyby było jakieś niebezpieczeństwo.

Karen spogląda na niego rozbawiona. Ich sposób pojmowania, co znaczy „trochę kołysać”, najwyraźniej nieco się różni.

– A więc zbliża się załamanie pogody – mówi spokojnie.

– Mówią, że pogoda naprawdę ma się załamać nad Doggerlandem, ale powinniśmy zdążyć przedtem dotrzeć do wybrzeża Danii. Ale – mówi ze wzrokiem wbitym w jej kieliszek – jeśli cierpi pani na chorobę morską, powinna pani z tym trochę uważać.

Karen uśmiecha się i kręci głową.

– Nie, na szczęście nie mam choroby morskiej. Słyszałam, że to istne piekło.

Kelner bierze terminal, drukuje potwierdzenie i zgniata je w dłoni, gdy Karen wykonuje odmowny gest.

– Tak – mówi. – Słyszałem, jak ludzie zarzekają się, że woleliby umrzeć, kiedy naprawdę mocno ich weźmie. Ale jak już mówiłem, nie sądzę, żeby w nocy było aż tak źle – dodaje z uśmiechem i zostawia ją.

Odległe dźwięki którejs z piosenek Lady Gagi dolatują do cichego baru z pokładu poniżej, kiedy podstarzała para otwiera drzwi i wchodzi do środka. Gdy przekraczają próg, promem kołysze. Kobieta krzywo stawia stopę i natychmiast przyjmuje nienaturalną pozycję. Jedną ręką mocno

trzyma się złotego łańcuszka przy torebce, druga, spleciona z mężem, lawiruje w głąb lokalu. Karen obraca głowę i odprowadza ich wzrokiem, aż usiądą przy jednym z małych stolików.

W dużym barze jest teraz zapewne tłok, ale tutaj ceny odstraszyły wszystkich z wyjątkiem jakichś dwudziestu osób. Kelner stawia dry martini i szklankę whisky na innym stoliku przed inną dobrze ubraną parą w średnim wieku. Trzy starsze kobiety zdają się popijać na spółkę butelkę białego wina. Trochę dalej Karen dostrzega dwóch mężczyzn w garniturach z kieliszkami koniaku, a nad oparciem zielonego fotela chesterfield wystaje tył głowy kobiety, która sprawia wrażenie, jakby szukała czegoś w torebce. Mimo braków w rozeznaniu, jeśli chodzi o modę, Karen dostrzega, że jej torebka wygląda na drogą. Coś błyska w ręku tamtej kobiety, a Karen domyśla się, że to małe lustereko, którego musiała szukać i które teraz trzyma przed twarzą. Pewnie chce poprawić szminkę.

Hmm, w tym barze raczej nie ma szans na podryw, myśli Karen i upija łyk ginu. To ostoja tych, którzy zdecydowali się na prom, a nie samolot, ale nie odpowiada im gwar w dużym barze. Dla tych, którzy boją się latać albo mają ze sobą samochód. Albo dla nas, którzy po prostu powoli robimy się za starzy, myśli. Piętro niżej bawią się ci, dla których rejsy promem z Dunkeru albo Ravenby są celem same w sobie i mają gdzieś, czy w ten weekend płyną do Esbjerg, czy Harwich. Ci, których pociągają zakupy *tax-free*, automaty do gry i szansa, żeby znaleźć towarzystwo na tę jedną noc. I młodzież, którą kusi pobieżna kontrola wieku w barach na promach.

Minęło już wiele lat, ale Karen pamięta dokładnie, jak to było.

Może powinnam zadzwonić do Sigrid, myśli. Krótka do niej dryndnąć, żeby upewnić się, że nie ma choroby morskiej. Ani nie jest pijana. Jeśli coś się stanie, Sigrid na pewno się odezwie. O ile nie będzie leżała naćpana w którejś kajucie i...

– Daj spokój – mówi Karen do siebie.

Zerka na zegarek: dopiero dwudziesta trzecia trzydzieści sześć.

Jedna z kobiet w średnim wieku odwraca głowę w jej stronę i Karen uświadamia sobie w mgnieniu oka, że wypowiedziała te słowa głośno. Zauważyła, że ostatnio często zdarza się jej mówić na głos w samotności. Trzymanie w domu Rufusa jest świetnym alibi, ale siedzenie samej na

promie pośrodku Morza Północnego i odzywianie się w próżnię może działać odstrasza­jąco na otoczenie.

Nie, powinna pójść się położyć, myśli. Przespać kilka godzin, zanim znów będzie trzeba usiąść za kółkiem. Dopija resztkę alkoholu i wstaje. Stawia szybki krok w bok, kiedy zarzuca promem, i uśmiecha się zażenowana do innych gości. Zdaje się, że nikt nie zwrócił na nią uwagi. Kobieta, która szukała czegoś w torebce, lekko przekręca głowę w jej stronę, ale zaraz znów się odwraca.

Evald Johannisen posyła żonie pytające spojrzenie. Zapaliła lampkę nocną i ze zrezygnowaną miną opadła z powrotem na poduszki z telefonem przyciśniętym do ucha. Teraz mówi coś bezgłośnie do męża i palcami jednej ręki pokazuje mu, że osobie na drugim końcu nie zamykają się usta.

Evald rzuca okiem na radiobudzik, którego czerwone cyfry szyderczo przypominają o dawno minionej młodości i straconej sile: dwudziesta druga czterdzieści siedem.

Jest sobotni wieczór i nie wybiła jeszcze jedenasta, mimo to on i Ragna już spali.

Z drugiej strony, myśli poirytowany, kto, do cholery, dzwoni o tej porze?

Chwilę później wyczytuje to z ruchu ust Ragny: kuzyn Hasse.

– Nie, jasne, że jeszcze się nie położyliśmy – mówi Ragna i zerka na męża. – Nie, nie, bardzo dobrze. Tak, siedzi obok, sam możesz z nim porozmawiać. Ach tak, to świetnie. Pozdrów koniecznie Evę. Tak, naprawdę musimy. Tak, ty też. Masz Evalda.

Z osowiałym wzrokiem wbitym w żonę Evald Johannisen bierze telefon i podciąga się do pozycji półsiedzącej. Rozmowy ze szwedzkim kuzynem bywają zwykle rozwlekłe i sprawiają, że czuje się nic niewart. Może dlatego, że Hans często wspomina, że awansował wyżej w szwedzkiej policji niż Evald, chociaż konkurencja w Doggerlandzie jest zdecydowanie mniejsza. A może to odwieczny kompleks młodszego brata, który dopada wszystkich Doggerlandczyków w kontaktach ze znacznie większym sąsiadem ze wschodu.

Tym razem kuzyn Hans Kollind, zastępca szefa policji w rejonie południowej Szwecji, niezwykle się jednak streszcza. Już po krótkim wstępie na temat zdrowia Evalda i zapewnień, że musi podejść do tego spokojnie, sprawia wrażenie, jakby przechodził do sedna sprawy.

– Chodzi o to – wyjaśnia – że mamy nieco osobliwą sprawę w Malmö. I zastanawiam się, czy nie mógłbyś nam pomóc. Nie chciałbym dzwonić o tej porze do kogokolwiek.

Nie, za to mnie oczywiście można przeszkadzać, myśli Evald, ale czuje, jak promieniująca z lędzwi irytacja powoli przeradza się w ciekawość.

– Słucham cię – mówi.

– Hmm, znaleźliśmy starszą kobietę zamordowaną w jej domu i nie ma żadnych śladów włamania ani przemocy seksualnej. Wygląda na to, że ktoś po prostu tam wszedł, zabił ją, a później sobie poszedł. Według lekarza sądowego doszło do tego przedwczoraj wieczorem i nie udało nam się jeszcze znaleźć ani motywu, ani świadków.

– I co niby ja miałbym z tym zrobić?

Zdziwienie Evalda Johannisena jest szczere. Jest przyzwyczajony do tego, że kuzyn dzwoni po to, żeby rozwodzić się nad samym sobą i przechwalać wszystkim, od pracy po dzieciaki, ale nie do czegoś takiego. Szczerze mówiąc, brzmi to tak, jakby Hasse prosił go o pomoc.

– Tak, problem w tym, że jej córka, która oczywiście jest zrozpaczona i w szoku, powiedziała nam, że kontaktowała się z nią doggerlandzka policja, próbując namierzyć jej matkę, która była rzekomo na jakiegoś rodzaju pielgrzymce w Hiszpanii. Według córki ktoś od was dzwonił do niej kilkakrotnie.

– Od nas? Dlaczego mielibyśmy...

I właśnie wtedy, gdy wypowiada te słowa, Evald Johannisen uświadamia sobie, kim jest ta kobieta, która dzwoniła, i kim jest ta zamordowana. Mimo wszystko zadaje to pytanie:

– Jak ona się nazywa?

– Chodzi ci o zamordowaną? Disa Brinckmann.

Jarzeniówki we wschodniej części korytarza na trzecim piętrze komendy w Dunkerze mrugają i dopiero potem zapalają się i zimnym światłem oświetlają puste biurka. Evald Johannisen kieruje się prosto na swoje miejsce i włącza komputer, a potem ciężko stąpając, idzie do kuchni, bierze porcelanowy kubek z suszarki do naczyń i naciska przycisk oznaczony jako podwójne cappuccino. Patrzy na zegarek i wzdycha.

Disa Brinckmann.

Kuzyn Hasse nie musiał tego nawet mówić, Evald Johannisen już dostrzegł związek. Mimo wszystko przeczytał dwa razy raporty Karen. Uważnie. Wprawdzie głównie po to, żeby znaleźć w nich jakieś błędy i podstawy do dalszych drwin, ale wystarczająco dużo z tego, co tam napisano, utkwilo mu w głowie, mimo że traktował to jak czyste szaleństwo. Ale to, co powiedział mu Hasse, skłoniło go, żeby odrzucić na bok kołdrę i podnieść się z łóżka.

Ile takich babsztyli mogło się właściwie znajdować na pielgrzymce w Hiszpanii?

A to, że dwie osoby figurujące w jednym śledztwie zostały zamordowane, zdecydowanie nie mogło – jakkolwiek Johannisen by sobie tego życzył – być przypadkiem. I teraz będzie musiał skontaktować się z Eiken. Niech to szlag.

Żona nie protestowała, kiedy jej mąż, który zaledwie godzinę wcześniej był zbyt zmęczony, żeby kochać się z nią po raz pierwszy od zasłabnięcia w pracy, nagle i bez jakiegokolwiek wyjaśnienia wstał z łóżka, ubrał się i wyszedł z domu. Zamiast zasypywać go pytaniami i wygłaszać kazanie, Ragna Johannisen wyłączyła lampkę nocną, znów odwróciła się na bok i zasnęła. Z Evaldem byli małżeństwem blisko czterdzieści lat. Wiedziała, że to nie ma sensu.

Teraz siedzi odchylony, z zamkniętymi oczami, w fotelu przy biurku. Po raz trzeci przejrzał raport i znalazł to, czego szukał. Nie, to nie mógł być zbieg okoliczności, tego był pewien. Nie ma pojęcia, jak dokładnie się to ze sobą łączyło, ale Evald Johannisen jest przekonany, że istnieje

związek. Ma jeszcze w sobie tyle z gliniarza, że mimo dolegliwości starczych, dławicy piersiowej, a ostatnio najwyraźniej także impotencji wie, kiedy rzeczy naprawdę mają ze sobą coś wspólnego. To nie przypadek, że kobieta, której szukała Karen, została zamordowana. Niechętnie musi przyznać, że Eiken najwyraźniej wpadła na jakiś ślad. Pytanie tylko: na ślad czego? Nie, poprawia się, pierwsze pytanie brzmi: gdzie ona się, do cholery, podziewa, że nie odbiera telefonu.

Evald Johannisen znów wykręca jej numer – po raz trzeci – i ponownie włącza się jej poczta głosowa. Tak mocno ciska słuchawką na aparat, że przez moment obawia się, że rozwalił telefon. Z tego tylko powodu, że poszła na urlop, nie może się przecież od razu stawać nieosiągalna. Jakiegoś cholernego minimum poczucia odpowiedzialności można chyba wymagać nawet od bab?

Szybko sprawdza, czy jest sygnał, i stwierdza, że telefon mimo wszystko działa. Potem bierze głęboki wdech i wybiera numer Karla Björkena.

Do diabła, myśli, wsłuchując się w sygnały w słuchawce. Jeśli Eiken miała rację, będzie musiał pić to piwo aż do emerytury.

– Cześć, Evald. – Karl odbiera zgodnie z ogólnie przyjętym zwyczajem.

– Jak szybko możesz tu przyjechać?

– Hmm, dzięki, naprawdę dobrze się bawimy – mówi zgryźliwie Karl. – Dzieciaki już się położyły i...

– Mówię poważnie. Jak szybko możesz się znaleźć na komendzie?

Krótką przerwę na drugim końcu.

– Daj mi pół godziny.

– Okej. Jeszcze jedno: wiesz może, czy Eiken zdążyła już wyjechać? Coś mi świta, że mówiła o Francji.

– Karen? Dlaczego chcesz...?

– Mniejsza o to. Wiesz czy nie?

– Tak, wydaje mi się, że miała wziąć prom do Esbjerg o wpół do jedenastej wieczorem, a potem pojechać samochodem na południe. Ale o co właściwie chodzi?

Evald Johannisen nie słyszy tego ostatniego. Już zdążył zakończyć połączenie.

Teraz wpatruje się w pusty ekran, a serce pracuje mu na najwyższych obrotach. Siedzi całkowicie spokojnie przez cztery minuty i tylko wpatruje się przed siebie. Potem energicznie pochyla się i wpisuje

w wyszukiwarce doggerlines.com. Po kilku kliknięciach znajduje to, czego szukał, i bierze telefon.

Właściwie wystarczyłoby może złapać Eiken jutro rano, myśli, kiedy rozlega się sygnał. Mało co da się teraz zrobić, żeby ustalić związek między morderstwem Disy Brinckmann a Susanne Smeed. Oczywiście najlepiej by było załatwić to bez jej pomocy. Cholera, ale będzie zła.

Również inne nieprzyjemne i niewyjaśnione uczucie zaczyna ogarniać Evalda Johannisena. Czuje je gdzieś w żołądku, kiedy z narastającą irytacją wysłuchuje w telefonie nagranych głosu, który zapewnia go, że oczekuje na połączenie w kolejce i niedługo nadejdzie jego kolej. Musi, do diaska, chyba istnieć jakieś inne dojście do tego przeklętego armatora niż dzwonienie do zwykłej obsługi klienta. Problem w tym, że nie wie, gdzie szukać w środku nocy, kiedy na miejscu nie ma jego przełożonych. Choć przecież dotarcie do informacji, których potrzebuje, nie wymaga od razu mieszania w to żadnych grubych ryb. To właściwie drobnostka, z którą prawdopodobnie równie dobrze mógłby poczekać do jutra.

Gdyby tylko nie to bulgoczące poczucie, że mimo wszystko trzeba się pośpieszyć.

Pięć minut później Karen mija korytarz z pikającymi automatami do gier i zatrzymuje się otoczona głośną muzyką, śmiechem i ludźmi, którzy są przyczyną tego hałasu, krzycząc do siebie, żeby w ogóle mogli siebie usłyszeć. Linia basu dudni jej w piersi, kiedy szybko przeciska się przez przepełniony lokal.

Nie jest to właściwie określona droga, tak sobie pomyślała. Zajdę tam i sprawdzę, czy gdzieś ją widać. Upewnię się, że wszystko okej. Teraz jednak dociera do niej, że to zadanie z góry skazane na porażkę. W barze panuje ścisk i hałas, a armator postanowił, że odpowiednim oświetleniem będą tylko lampy podświetlające sam bar i coś w rodzaju świateł stroboskopowych na parkiecie, które podnoszą puls. Nie ma najmniejszych szans, żeby kogoś tutaj znaleźć. Szturchnięta Karen wpada na jakiegoś faceta, który klnie, gdy rozlewa się mu piwo.

– Ej no, do cholery, gdzie masz oczy! – ryczy.

– Sorry, też mnie popchnęli – próbuje, ale zauważa, że on już się odwrócił i krzyczy coś do ucha jakiejś dziewczynie z twarzą oświetloną komórką, którą trzyma w ręce. Nie zwracając uwagi na faceta, Karen opiera się naglej pokusie, żeby wyciągnąć telefon i oświetlić nim jeszcze inną dziewczynę, która stoi obok.

– Szit, on naprawdę nie jest normalny, spójrz!

– Nie no, serio. Powinien, kurna...

Karen nie słucha dalszego ciągu. Zamiast tego przepycha się dalej przez lokal w kształcie podkowy i wzdycha głośno z ulgą, kiedy dociera na drugą stronę.

Tamtej dobrze ubranej kobiecie z drogą torebką najwyraźniej znudził się spokój panujący na górze, w górnym barze, bo teraz stoi przy jednym z automatów do gry w głębi.

Ach tak, myśli Karen, nie wyglądasz, jakbyś musiała zasilać swój budżet. Wie jednak, że jedną ze stałych kategorii gości na promach są ci uzależnieni od gier – w różnych stadiach i w różnym zakresie uzależnienia.

Dobrze ubrana kobieta nie wydaje się szczególnie głęboko uzależniona; w każdym razie nie włożyła nawet szylinga do automatu. Wpatruje się

tylko w nieruchomy rząd wiśni, zegarów i siódemek. Długie czarne spodnie i zakiet świadczą o tym, że ma pieniądze i poczucie smaku. Wprawdzie nie są może w guście Karen, ale to wszystko sprawia jednak wrażenie, jakby stała tam kobieta dbająca o wygląd. To uczucie potęgują jej włosy. Fryzura Karen nie wymaga od niej częstych wizyt u fryzjera, a problem siwych kosmyków w brązowych włosach zazwyczaj rozwiązuje sama we własnej łazience. Mimo wszystko – a może właśnie dlatego – widzi wyraźnie, że ani ten dobrze wystrzyżony paż kobiety, ani miodowe pasemka nie są wynikiem domowych zabiegów. Karen przeszywa słabe, ale nieprzyjemne uczucie, kiedy przygląda się plecom nieznajomej. W tej samotnej postaci, która stoi nieruchomo i wpatruje się w jednorękiego bandytę, jest coś smutnego, niemal przepelnionego lękiem.

Muszę zapalić po tym koszmarze, myśli Karen i rzuca okiem na światło stroboskopowe przy parkiecie. Jeden papieros, a później idę się położyć. Wkłada rękę do torebki i szuka po omacku paczki papierosów, nie znajduje jej, więc kuca i opiera się plecami o ścianę. Kiedy otwiera torebkę, dostrzega zimne światło komórki i czuje, że serce zaczyna bić jej trochę szybciej. Ktoś próbował się z nią skontaktować.

Jednak to nie Sigrid dzwoniła. Karen patrzy nieufnie na wyświetlacz komórki i widniejące na nim nazwiska. Trzy nieodebrane połączenia z numeru, który zna aż za dobrze: z centrali w komendzie. I jedno od jej mamy.

– Dzień dobry, witamy w liniach promowych Dogger Lines, mówi Pie, w czym mogę pomóc?

Dlaczego ludzie, kiedy odbierają telefon, muszą w dzisiejszych czasach wygłaszać cholerny referat, myśli Evald, stukając palcami o blat biurka.

Na głos zaś mówi:

– Mówi komisarz Evald Johannisen z Wydziału Kryminalnego Policji w Doggerlandzie. Pilnie potrzebuję zasięgnąć informacji o promie odchodzącym o dwudziestą drugą trzydzieści z Dunkeru w kierunku Esbjerg.

– Hmm, o jaki dzień chodzi?

– O dzisiejszy. Teraz.

Chwila ciszy.

– Chodzi panu o ten rejs, który właśnie jest w drodze do Esbjerg?

– Zgadza się. Muszę wiedzieć, czy pasażerka o nazwisku Karen Eiken Hornby jest na pokładzie. W takiej sytuacji potrzebowałbym przekazać jej natychmiast wiadomość.

– Przykro mi, ale szczerze mówiąc, nie możemy udzielać informacji o poszczególnych...

Evald Johannisen wie, jaka będzie go czekała dyskusja, jeśli od razu jej nie powstrzyma.

– Proszę mnie posłuchać bardzo uważnie, moja mała. Wiesz bardzo dobrze, że policja ma prawo w dowolnej chwili otrzymać dostęp do każdej waszej listy pasażerów.

– Tak, wiem – odpowiada potulnie Pie. – Ale mamy nakaz, żeby nie wymieniać nazwisk poszczególnych...

– Macie te listy w formie cyfrowej, czyż nie?

– Oczywiście – mówi głosem, który nie pozostawia żadnych wątpliwości, że Dogger Lines mają porządek w dokumentacji.

– Więc prześlij mi tę cholerną listę, a sam sprawdzę. I zrób to natychmiast! Masz kartkę i długopis?

Zdaje się, że Pie poprawnie zanotowała adres mailowy Johannisena, i do tego szybko dotarła do informacji, o które prosił, bo już sześć minut

później mail z załączonym plikiem Excel ląduje na samej górze wśród wiadomości przychodzących.

Lista jest ułożona alfabetycznie i znalezienie nazwiska Karen zajmuje Johannisenowi cztery sekundy. Potem znów sięga po słuchawkę. Tym razem łączy się od razu.

– Dzień dobry, witamy w liniach promowych Dogger Lines, mówi Pie, w czym mogę pomóc?

– Tu znowu Johannisen. Dziękuję za listę, ale zmarnowaliśmy już sześć minut, więc proszę mnie teraz słuchać uważnie i robić, co mówię. W porządku?

– W porządku... – odpowiada Pie z wahaniem, jakby w równym stopniu bała się obiecać coś w ciemno, jak i odmówić czegoś urzędowemu głosowi na drugim końcu.

– Potrzebuję pilnie skontaktować się z pasażerką promu, o którym właśnie rozmawialiśmy. Staralem się dodzwonić do niej na komórkę, ale nie odpowiada.

– Zasięg może trochę szwankować na pokładzie.

– Chciałbym więc, żeby personel wywołał ją przez głośnik albo zapukał do jej kajuty, albo zrobił cokolwiek, byle tylko ją namierzyć i dopilnować, żeby do mnie zadzwoniła.

– Nie ma problemu – mówi radośnie Pie.

Z zaskoczenia Johannisenowi opada szczeka. Najpierw ten mały babsztyl groził mu, że nie udzieli mu informacji, którą i tak mógłby od niej wyciągnąć z pomocą kilku biurokratycznych wybiegów. A teraz mówi mu nagle, że nie ma problemu.

– Dopilnuję, żeby wywołano ją przez głośniki. Jak nazywa się pana przyjaciółka?

Evald Johannisen jest bliski tego, żeby eksplodować z oburzenia.

– Nazywa się *komisarz kryminalna* Karen Eiken Hornby. I nie jest moją przyjaciółką! Zrozumiano?

– Przepraszam, wymusnęło mi się. Tak wiele osób próbuje...

– Tak, tak, proszę dopilnować, żeby przekazano jej wiadomość, że ma natychmiast zadzwonić do Evalda Johannisena. Ma mój numer. Teraz pani też go ma – dodaje, wstukując na komputerze cyfry i odpowiadając na maila Pie. – Jeśli nie odezwie się do mnie w ciągu pół godziny, znów będę do pani dzwonił.

I tą groźbą kończy rozmowę.

Karen dalej kuca i mamrocze przekleństwa. Prawie nie zwraca uwagi na spojrzenia, które posyłają jej przechodzący obok ludzie, a już na pewno nie przejmuje się tym, co myślą. Jak to możliwe, zastanawia się, cały czas miała telefon przy sobie. Sekundę później dostrzega mały znaczek przekreślonego dzwonka i dociera do niej, że ma włączony tryb cichy. Żeby uniknąć rozmów z oficerem dyżurnym albo kimś innym, kto nie zorientował się, że poszła na urlop, wyłączyła dźwięk wczoraj wieczorem, zanim położyła się do łóżka. Nie miała ochoty być budzona w środku nocy przez najbliższe trzy tygodnie. I najwyraźniej zrobiłam słusznie, myśli, trzy połączenia zaledwie w ciągu ostatniej godziny. Muszę zadzwonić do dyżurnego i powiedzieć, żeby uaktualnił grafik.

Niepokoi ją z kolei to, że szukała jej mama. Karen sprawdza, o której dzwoniła, i stwierdza, że było to tuż po wpół do dziesiątej. Najwyraźniej nagrała się jej na pocztę głosową. Dlaczego ni stąd, ni zowąd zadzwoniła w sobotę wieczorem? – zastanawia się, wybierając krótki numer poczty głosowej, zazwyczaj dzwonią do siebie w niedzielę. Niecierpliwie słucha monotonnego głosu.

– *Masz dwie nowe wiadomości. Wiadomość numer jeden odebrana dzisiaj o dwudziestej pierwszej trzydzieści cztery.*

– *Cześć, kochanie. Zgadnij, gdzie jestem! Nie, jasne, że nie zgadniesz. Tak, pojechaliśmy z Harrym do Londynu odwiedzić jego siostrę, zastanawiamy się, czy przy okazji nie wpaść do ciebie w odwiedziny. Harry mówi, że bardzo chciałby zobaczyć Langevik. Tylko na kilka dni, więc nie musisz się kłopotać, możemy zamieszkać w budynku gospodarczym. Jutro w porze lunchu odchodzi prom z Harwich. Zadzwon i powiedz, czy coś przywieźć, a poza tym do zobaczenia jutro! Całuję!*

Karen opuszcza komórkę i pustym wzrokiem wpatruje się przed siebie. Później mruga i rzuca okiem na zegarek: czternaście minut po północy. Czy teraz ma zadzwonić do mamy i to wszystko odkręcić, czy lepiej poczekać do rana? Prawdopodobnie o tej porze mama i Harry leżą w łóżkach i śpią. Miejmy nadzieję, że śpią, myśli. Wciąż nie spotkała tego

chodzącego ideału: Harry'ego Lamparda, ale nie ma wątpliwości, że mama zakochała się na stare lata. A teraz bez uprzedzenia porzuciła słoneczne wybrzeża Hiszpanii, żeby udać się w rodzaj tournée po krewnych.

Postanawia wysłać jej esemesa i zadzwonić z samego rana. Bo musi to jakoś odkręcić. Sama myśl o tym, jak zareaguje Eleanor Eiken, kiedy przyjedzie do domu w Langevik i spotka Leo Friisa, sprawia, że Karen musi zamknąć oczy z przerażenia. Tego Leo z krzywo obciętą brodą, ubranego w spodnie dresowe Karen, które ledwie sięgają mu do kostek, i w ciasny T-shirt z logo doggerlandzkiej policji. Tak w każdym razie wyglądał, kiedy kilka godzin temu go tam zostawiała. Był czysty, ale to tyle.

Cześć! Byłoby super, ale właśnie jadę do Francji, więc musimy to przełożyć na kiedy indziej. Zadzwonię rano. Ściskam, K.

W chwili kiedy naciska „wyślij wiadomość”, dopada ją jeszcze jedna przerażająca myśl: może mama ubzdura sobie, żeby pojechać do ojczyzny, chociaż jej córki nie będzie w domu. Postanowi zostać tam kilka dni i na własną rękę pokazać Harry'emu okolice. Bądź co bądź Eleanor Eiken mieszkała w Langevik czterdzieści lat i to miejsce dużo dla niej znaczy, nawet jeśli od ośmiu lat to Estepona jest jej domem. Muszę ją powstrzymać, myśli Karen, zadzwonię do niej, kiedy tylko się obudzę. Dlaczego wpadli na to, do diabła, akurat teraz?

Chęć zapalenia jest w tej chwili przytłaczająca – Karen musi się uspokoić i wypalić papierosa lub dwa, zanim zejdzie na dół do kajuty. Gorączkowo grzebie w torebce, szukając paczki i zapalniczki, w końcu je znajduje i podnosi się z kucek. Nogi jej prawie zdrętwiały, więc potrząsa nimi, żeby wrócił obieg krwi, kiedy idzie do drzwi prowadzących na pokład.

W chwili kiedy Karl Björken popycha przeszklone drzwi w lewym korytarzu na trzecim piętrze komendy w Dunkerze, mija dokładnie dwadzieścia sześć minut, odkąd dzwonił do niego Johannisen. Jest szesnaście minut po północy i Karl zbliża się do biurka Evalda Johannisena z ponurą miną.

– Co się takiego dzieje, do cholery? – pyta, chociaż widzi, że kolega przyciska telefon do ucha.

Johannisen podnosi wzrok i kręcąc głową, odkłada słuchawkę.

– To babsko nie odpowiada.

– To babsko?

– Eiken. Próbuje już od godziny.

Karl Björken nie mówi nic o paradoksie, jakim jest to, że Johannisen określa tym zwrotem kogoś, kto jest o piętnaście lat młodszy od niego samego.

– Pewnie śpi. Wiesz, która jest godzina? O co w ogóle chodzi?

– O Disę Brinckmann – mówi Johannisen głucho. – Została zamordowana.

Przez kilka sekund Karl Björken wpatruje się w kolegę zupełnie pustym wzrokiem. Potem coś powoli zaczyna mu świtać, pierwsze powiązania, a później niechciane wnioski.

– Anne Crosby – mówi i opada na krzesło.

– Siostra – wzdycha Johannisen i przypomina sobie, jak wyśmiał ten fragment raportu Karen. – Ale nie jest wcale pewne, że to ona – próbuje bez przekonania.

– W każdym razie ona łączy obie ofiary. Karen chciała, żebyśmy bliżej się jej przyjrzeliby, ale Haugen i prokurator ją spławili. Ja też nie słuchałem; byłem całkowicie pewien, że to Kvanne. Ale byliśmy idiotami!

– Tak, co zrobić – mamrocze Johannisen – ale ktoś się w każdym razie dostał do mieszkania Disy Brinckmann i ją zabił.

– Skąd to wiesz?

– Hasse dzwonił ze Szwecji. Podobno tak nią szarpano, że uderzyła głową o futrynę drzwi, a później na wszelki wypadek jeszcze ją uduszono, kiedy była nieprzytomna.

Karl wie wprawdzie, że kuzyn Johannisena Hans Kollind jest dość wysoko postawiony w szwedzkiej policji, ale wie też, że ci dwaj raczej do siebie nie dzwonią, żeby rozmawiać o pracy. W każdym razie nie, jeśli zależy to od Johannisena. I ten jakby czytając w jego myślach, dodaje:

– Córka Disy Brinckmann opowiedziała najwyraźniej tym cholernym Szwedom, że policja z Doggerlandu szukała jej matki. A kto z nas to robił, nietrudno chyba zgadnąć? Niech to wszystko szlag, Eiken w każdym razie miała rację.

Karl zdaje sobie sprawę, ile to musiało kosztować jego kolegę, żeby przyznać, że Karen była na tropie czegoś, na co inni machnęli ręką. Bądź co bądź przyjechał do pracy w środku nocy.

– I mówisz, że Karen nie odpowiada. Czy wiemy chociaż, że jest na tym promie? Może pojechała wcześniej i jest już we Francji?

Johannisen odwraca monitor komputera i odsuwa się na krześle.

– Jest w każdym razie na liście pasażerów.

Karl patrzy na tabelę w pliku Excel z nazwiskami ułożonymi w porządku alfabetycznym.

Edmund, Timothy

Egerman, Jan

Egerman, Charlotte

Eiken Hornby, Karen

Marszczy brwi. I zanim impuls zdąży się przemienić w myśl, chwytając instynktownie myszkę i podjeżdża w górę. Wstrzymuje oddech, przebiegając wzrokiem spis pasażerów.

Cedervall, Marie

Cedervall, Gunnar

Clasie, Jaan

Crawford, David

Daidsen, William

Później wypuszcza powietrze z westchnieniem ulgi.

– Wśród pasażerów nie ma przynajmniej Anne Crosby – mówi.

Johannisen ma rację: musi istnieć jakiś związek, dokładnie tak jak przypuszczała Karen, ale wystarczy, że skontaktują się z nią rano. Teraz najprawdopodobniej śpi, myśli. Wyłączyła dźwięk w telefonie, bo wreszcie ma wolne. W tej samej sekundzie Karl słyszy za sobą głos Evalda Johannisena:

– Ożeż kurwa.

Karen z pewnym trudem przesuwając drzwi na tylny pokład. Wiatr przybrał na sile i powietrze jest zimne i wilgotne od zbliżającego się deszczu. Zapewne lunie lada chwila, ale ona musi zdążyć się zaciągnąć, nim niebo otworzy wrota. Dwa plastikowe krzesła leżą przewrócone koło okrągłego stolika, a kilka plastikowych kubków turla się po pokładzie z jednego końca na drugi; nie widać tu żywej duszy. Najwyraźniej jako jedyna tak bardzo potrzebuje uspokajającego papierosa, że jest skłonna znieść taką pogodę albo może ludzie stoją i palą gdzie indziej. Prawdopodobnie jest gdzieś do tego lepsze miejsce.

Bierze na celownik białe skrzynie do przechowywania kamizelek ratunkowych, które stoją pod wysuniętym daszkiem kawałek dalej przy bakburcie. Tylko pół papierosa, myśli, potem pójdę i się położę. Poruszając się w kierunku skrzyń, utrzymuje bezpieczną odległość od relingu i czuje, jak wiejący w plecy wiatr popycha ją do przodu. Z twarzą zwróconą do ściany promu wyciąga zgrabiętymi od zimna palcami paczkę i zapalniczkę. Kciuk się ślizga i dopiero przy czwartym podejściu udaje się jej zapalić papierosa. Przymyka oczy i głęboko się zaciąga.

Muszę ją powstrzymać, myśli i jeszcze raz wyobraża sobie minę mamy, jak ta przyjeżdża do domu i wpada na Leo Friisa. W najgorszym wypadku przywalonego butelkami i jointami.

Karen nadal nie jest pewna, czy to jej powrót do rodzinnego domu skłonił mamę do wyprowadzki, czy dało to po prostu Eleanor Eiken okazję, żeby samej przestać się zajmować starym domem. Odczekała rok od powrotu Karen, a potem doszła do wniosku, że córka da sobie radę sama. Rok zadziwiająco wolny od konfliktów, co być może wynikało z tego, że Karen dość szybko przeniosła się do budynku gospodarczego. Dwie wdowy w jednym domu to by było mimo wszystko za wiele.

Sama Eleanor utrzymywała, że zawsze marzyli z ojcem Karen, żeby przenieść się gdzieś do cieplejszych krajów, gdy tylko przejdą na emeryturę. W końcu musiała zrobić to na własną rękę, nie było innej możliwości.

– A teraz wiem przynajmniej, że dom jest w dobrych rękach – oświadczyła.

Tak, myśli Karen, jeśli nie uda mi się jej złapać jutro z samego rana, prawdopodobnie nie będzie już tak sądzić. Uświadamia sobie, że nie zostało jej zbyt wiele godzin snu, i czuje, jak ziewnięcie rozwiera jej szczęki. W tej samej chwili dociera do niej to, co całkowicie zostało wyparte z jej pamięci przez stres związany z wiadomością od mamy. Ktoś jeszcze nagrał się jej na pocztę głosową. Prawdopodobnie to tylko przeprosiny dyżurnego, który zorientował się, że źle wybrał numer, ale mimo wszystko musi to sprawdzić. Przez moment zastanawia się, czy nie odsłuchać jej tu i teraz, ale postanawia, że najpierw skończy palić i poczeka z tym, aż wejdzie do środka. Odwraca głowę i obserwuje światła, które wylewają się przez okna, i czuje, jak nagle ogarnia ją zmęczenie nie do zniesienia. Jeszcze raz głęboko się zaciąga i wyrzuca papierosa. Patrzy, jak tłący się ogień gaśnie w tej samej chwili, gdy niedopałek ląduje na podłodze.

I właśnie w tym momencie ktoś uderza ją w plecy. Z dużą siłą leci do przodu i wali głową o reling.

Karl Björken dostrzega to w tej samej chwili, w której słyszy przekleństwo Evalda Johannisena. Na liście pasażerów nie ma wprawdzie żadnej Anne Crosby. Ale na samej górze tej części pliku Excel, na którą właśnie patrzą, widać nazwiska na literę B.

Bok, Anders

Bosscha, Ruud

Bosscha, Marianne

Brinckmann, Disa

Przez kilka sekund panuje kompletna cisza.

– Jak, do cholery... – mówi Evald Johannisen, ale Karl Björken zdążył już się podnieść i stoi teraz przy swoim biurku z ręką na słuchawce telefonu.

Patrzą na siebie i kiwają głowami. Potem, bez słowa, zaczynają działać.

Dwadzieścia minut później Karl Björken stwierdza, że jeszcze nigdy w życiu nie czuł się równie bezradny. W każdym razie odkąd Ingrid urodziła dzieci.

Zrobili z Johannisem wszystko, co mogli. Nie musieli się nawet ze sobą komunikować, wykonali telefony, które trzeba było wykonać, zarejestrowali, co robią inni, a później zrobili kolejny krok. Razem przegryźli się przez listę wszystkich możliwych i niemożliwych środków. Zaalarmowali oficera dyżurnego, który wszczął duży alarm. Skontaktowali się z szefem brygady helikopterowej Straży Wybrzeża we Framnes, który poinformował ich, że warunki pogodowe są za trudne, żeby wylecieć. Patrol helikopterowy policji oświadczył to samo. Tam, gdzie prom znajdował się w tej chwili, wiatr był wprawdzie silny, ale nie to było problemem. Wiatr nad wschodnim wybrzeżem Doggerlandu przybrał siłę sztormu i widoczność była zbyt słaba, żeby helikopter dostał zielone światło do startu.

Rozmawiali z osobą odpowiadającą za bezpieczeństwo u armatora, która obiecała im natychmiast powiadomić kapitana na statku i połączyć go z nimi. Otrzymali potwierdzenie, że kobieta, która posługuje się

paszportem Disy Brinckmann, kupiła bilet z Esbjerg do Dunkeru i z powrotem i że prom znajduje się dokładnie na granicy doggerlandzkich i duńskich wód terytorialnych.

Obudzili Vigga Haugena, który raz, w drodze wyjątku, wysłuchał ich bez żadnych obiekcji i obiecał natychmiast skontaktować się z duńską policją. Poinformowali Jounasa Smeeda, który już właśnie tu jechał. Teraz mieli nadzieję, że duńska Straż Wybrzeża będzie mogła kogoś tam posłać. Albo że załodze uda się znaleźć Karen.

To duży prom, myśli ponuro Karl.

Opiera głowę na rękach i stara się myśleć. Czy naprawdę nie ma nic więcej, co mogliby zrobić? W tej samej chwili Karl słyszy, że Johannisen jeszcze raz przeklina.

– Karl, chodźże tu, do cholery.

Nadal siedząc na swoim krześle na kółkach, Karl Björken wlecze się do biurka kolegi, który przyciska pulchny palec do listy pasażerów na monitorze.

– Patrz – mówi. – Najwyraźniej kto żyw, jest na tym przeklętym promie. Tylko pomyśl, co powie Jounas, kiedy się dowie, że na pokładzie jest jego córka.

Najpierw czuje chłód. Pod wpływem lodowatego, wilgotnego zimna uświadamia sobie, że żyje. Później strumień światła przebijający przez ciemność sprawia, że jej głowę przeszywa ból.

Karen nie rozumie, co robi na twardej podłodze w ciemności i chłodzie, skulona w półleżącej pozycji z głową i ramionami opartymi o lodowato zimną ścianę. Muszę być na zewnątrz, myśli i zdziwiona spostrzega, że krople deszczu spadają jej na twarz. Dookoła niej huczy wiatr i słysząc odgłos rytmicznych uderzeń. Sekundę później przypomina sobie.

Instynktownie próbuje się podnieść, ale słyszy jakiś krzyk. Nadal na wpół przytomna stwierdza zaskoczona, że ten odgłos wychodzi z niej samej, dochodzi z jej wnętrza i zostaje pochłonięty przez wiatr. Jej wzrok bezradnie błądzi w słabym blasku latarenek i gasnących świateł w oknach i zatrzymuje się metr przed nią. Dopiero teraz dociera do niej: jej lewa noga leży wygięta pod przerażającym kątem między nią a relingiem. Karen nie może się ruszyć.

W tej samej sekundzie dostrzega przed sobą kobietę.

– Proszę mi pomóc...

Karen nagle milknie. Tym razem ta myśl jest tak silna, że od razu przytomnieje. Kobieta, która stoi pochylona do przodu pod ścianą statku i dyszy ze zmęczenia, przyglądając się Karen, nie ma najmniejszego zamiaru jej pomagać. Zbiera siły, żeby dokończyć to, co zaczęła.

I mimo deszczu, w słabym świetle latarenek nad skrzyniami z kamizelkami ratunkowymi, Karen ją rozpoznaje. To kobieta z drogą torebką, w której szukała lusterka, żeby poprawić szminkę, kobieta, która stała sama i wpatrywała się w automaty do gry. Teraz się prostuje, a jej wzrok do tego stopnia przepelnia nienawiścią, że Karen aż zapiera dech.

Jest coś znajomego w tej twarzy i misternie ufryzowanych włosach, które zwisają teraz mokrymi pasemkami wokół twarzy. Coś, co się nie zgadza, coś, co nie może być prawdą. Pewna myśl, która powoli zaczyna kiełkować w świadomości Karen i szuka punktu zaczepienia. I Karen nie wie, czy mówi to na głos, czy tylko myśli:

– Jesteście wręcz identyczne...

W tej samej sekundzie, w której kobieta robi pierwszy krok w jej stronę, Karen krzyczy.

Jej głos zostaje pochłonięty przez monotonne uderzenia silników statku i złowieszcze pomruki wiatru przy trapach i szalupach ratunkowych. Przerazona wymachuje rękami, żeby się bronić, uderza na oślep i bezsilnie w postać, która pochyła się nad nią. Walczy o to, żeby chociaż krzyknąć, kiedy kobieta łapie ją za ramiona i próbuje podnieść. Tym razem ból jest tak intensywny, że musi zwymiotować. Konwulsje promieniują na jej klatkę piersiową i coś jakby się w niej łamie. Ospale, jak gdyby chodziło o kogoś innego, stwierdza, że co najmniej kilka prawych żeber jest złamanych.

Kobieta instynktownie puszcza chwyt i cofa się o krok. Najpierw zdziwiona, a potem obrzydzona patrzy na wymiociny, które spływają po klapie żakietu.

Gdzieś daleko słyhać odgłos otwieranych drzwi, gwar i muzyka stają się nagle głośniejsze, a później drzwi znów się zamykają.

Nikt nie waży się wyjść w taką pogodę, nikt nie będzie ryzykował dla jednego papierosa, że deszcz go przemoczy, a chłód przewieje. Nikt jej nie zobaczy ani nie usłyszy, chociaż tylko jedna ściana dzieli ją od setek tańczących, śmiejących się w środku ludzi. Nikt nawet nie przypuszcza, co się zaraz stanie.

Jeszcze jeden mimowolny spazm, Karen stara się przekręcić głowę na bok, żeby nie zadławić się własnymi wymiocinami. Potem znów słyszy muzykę, która staje się głośniejsza, gdy jeszcze inne drzwi się otwierają. Tym razem za nią, gdzieś dalej na tylnym pokładzie. Próbuje krzyżeć, ale zanim udaje się jej to zrobić, drzwi się zamykają i hałas ze środka znowu cichnie. Nie wywinę się z tego, myśli i patrzy na kobietę przed sobą.

Anne Crosby mnie też zabije.

Chwilę później słyhać zbliżające się kroki i kobieta przed nią znów cofa się pod ścianę. Nie są już same.

Fala wdzięczności oblewa Karen – ktoś wyszedł na zewnątrz, ktoś jej pomoże.

A później słyszy głos, tak dobrze znany, że aż ogarnia ją strach i krew uderza jej do głowy. Słyszy za sobą głos Sigrid.

– Karen, to ty? Nie słyszysz, że cię wo...

Nagle milknie i Karen rozumie, że podeszła na tyle blisko, by dostrzec, że coś jest nie tak.

– Sigrid, nie podchodź tutaj – próbuje do niej krzyknąć, ale nie może: jej głos jest słaby i ginie na wietrze. Próbuje znowu. Desperacko przyciska dłoń do złamanych żeber i krzyczy: – Idź i sprowadź pomoc. Idź stąd, Sigrid!

Sigrid jednak nie odchodzi. Zamiast tego zbliża się jeszcze bardziej, tak że teraz znajduje się w polu widzenia Karen.

– Ale na Boga, Karen, co ci się stało?

– Proszę cię, Sigrid, idź stąd, musisz tu kogoś sprowadzić. Ona jest niebezpieczna.

To ostatnie mówi bezgłośnie, próbując desperacko pokazać jej wzrokiem kobietę, która wycofała się w cień. Kobietę, której Sigrid jeszcze nie zauważyła.

Sigrid podąża za jej wzrokiem i spogląda na ścianę statku. Karen widzi, jak się wzdryga i chwyta reling, żeby nie upaść. I bezsilnie patrzy, jak Sigrid – zamiast zawrócić i sprowadzić pomoc – robi jeszcze kilka powolnych kroków w stronę kobiety.

Anne Crosby stoi jak skamieniała z rękami ciężko zwisającymi po bokach.

Długie czarne włosy Sigrid szaleją na wietrze i opadają na jej twarz jak zasłona. Odgarnia je obiema rękami i zatrzymuje się kilka metrów od Anne Crosby. Przez kilka sekund stoją zupełnie nieruchomo i wpatrują się w siebie nawzajem. I dopiero teraz Karen uświadamia sobie, co Sigrid musi myśleć. Teraz, kiedy włosy tej wcześniej tak eleganckiej kobiety wiszą skołtunione, kiedy słabe światło latarenek nie pozwala odróżnić kobiety przed nimi od Susanne Smeed.

To nie ona! – chce krzyknąć Karen. Tylko wygląda identycznie. Idź stąd, to ta kobieta zabiła twoją mamę. Nazywa się Anne Crosby i jest twoją ciotką.

Ale nie może wydobyć z siebie ani słowa.

Zamierzała powiedzieć Sigrid, że ta ma ciotkę. Chciała znaleźć odpowiedni moment, kiedy dojadą do Francji. Miała nadzieję, że Sigrid może się ucieszyć. Że pomoże to jej i Anne po śmierci Susanne. Teraz chce jednak tylko krzyczeć, żeby Sigrid stąd poszła. Ale fizycznie nie jest w stanie, nie starcza jej powietrza. Ból jest zbyt silny.

I przez moment, w którym czas się zatrzymuje, Karen widzi, jak twarz Sigrid się zmienia. Widzi, jak bezlitośnie szaleją w niej uczucia. Widzi szczęście, które na moment zastępuje zwątpienie, a później znów dopada ją rzeczywistość. Rzeczywistość, której nie sposób pojąć.

Karen nie słyszy, tylko widzi, jak usta Sigrid się poruszają i wypowiadają jedno słowo:

– Mama?

Coś się w niej załamuje. Chce się zerwać z miejsca, wziąć Sigrid w ramiona i uchronić przed tym przeżyciem. Powiedzieć, że to wszystko to tylko koszmar. Ale jedyne, co może zrobić, to zebrać w sobie ostatki sił, dać odpór bólowi i krzyknąć najgłośniej, jak może:

– To nie ona, Sigrid! – wydziera się. – To nie twoja mama!

I może Sigrid to słyszy, a może nie. Może ma gdzieś to, co Karen próbuje jej powiedzieć, może jej nie wierzy. Karen widzi, jak kobieta zaczyna błądzić wzrokiem między nią samą a Sigrid, jakby też starała się zrozumieć, i ta tłumiona wściekłość powoli znów się w niej budzi, kiedy patrzy na Karen. Robi kilka szybkich kroków do Sigrid i obejmuje zesztywniałą dziewczynę. Trzyma ją mocno w objęciach, wbijając nienawistny wzrok w Karen.

Ale dopiero kiedy kobieta otwiera usta, Karen uświadamia sobie, jak bardzo się myliła.

– Tak, Karen – mówi kobieta. – Jestem jej matką. I ty nigdy tego nie zmienisz.

Myśli wirują w jej głowie, nie mogąc się zatrzymać. Zdjęcia zwłok Susanne Smeed na podłodze w kuchni. Te wciąż rozpoznawalne rysy na groteskowo zmasakrowanej twarzy. Szlafrok, który się rozwiązał, silikonowe piersi, zadbane dłonie, jasne pasemka włosów, które nie utonęły we krwi. Karen zwróciła uwagę na to wszystko. Częściowo może ją to zdziwiło, ale zaakceptowała to i nie kwestionowała tego, co widzi. Wspomina rozpacz Kneoughta Brodala, że denatka, którą przyszło mu badać, to kobieta, którą znał i z którą przez pewien czas utrzymywał prywatne kontakty. Wyniki DNA, które potwierdziły to, co on i wszyscy pozostali już wiedzieli. Denatką była Susanne Smeed.

Ich wysiłki skierowane na to, żeby znaleźć sprawcę. Nikt nie kwestionował, kim była ofiara.

I teraz, kiedy prawda powoli się krystalizuje, Karen słyszy, jak kobieta, która wcale nie jest Anne Crosby, mówi:

– Przykro mi, Sigrid. Nie tak miało być, nie chciałam, żebyś się dowiedziała. Miałaś wierzyć, że nie żyję.

Sigrid wydaje z siebie dźwięk, który jest mieszanką szlochu i wycia. Wyrywa się i robi kilka chwiejnych kroków do tyłu. Wpada w poślizg, ale odzyskuje równowagę.

– Coś ty zrobiła, do cholery? – krzyczy. – Kogo więc zamordowano?

I Susanne Smeed wygląda naprawdę na zaskoczoną, przechyla głowę i przygląda się córce z zatroskaną miną, jakby nie do końca rozumiała pytanie.

– Moją siostrę, rzecz jasna.

Przerażone oczy Sigrid robią się duże jak spodki. Mama nie ma siostry. Chyba jej nie ma?

– Też nic o niej nie wiedziałam. Najpierw się ucieszyłam. Ale potem zrozumiałam, jakie to wszystko niesprawiedliwe. Musiałam ją zabić. Miałaś się o tym dowiedzieć dopiero po latach, kiedy już umrę. Nie w taki sposób. Dlaczego tu jesteś? Co ty tu z nią robisz?

Wzrok Susanne krąży między Sigrid a Karen i miesza się w nim nienawiść z dezorientacją. Pojawienie się Sigrid zniweczyło wszystkie jej plany. Z przerażeniem Karen dochodzi do wniosku, że jej desperacja może pchnąć ją naprawdę do wszystkiego – zabicie Karen już nie wystarczy. Ale czy Susanne jest na tyle szalona, żeby zabić swoją córkę?

Sigrid wpatruje się w kobietę przed sobą. W twarz, która przypomina jej twarz. W swoją mamę, którą kocha i której nienawidzi. Zdaje sobie sprawę z tego szaleństwa, którego być może się domyślała, które bardziej ją przerażało, niż była skłonna przed sobą przyznać.

– Dlaczego?

Mówi tak cicho, że wiatr zagłusza jej pytanie. Ale Susanne dostrzega to w jej oczach.

– Nie rozumiesz? Ona dostała przecież to wszystko, co było moje. Ukradła mi moje życie. Wyjaśniłam to w liście, Sigrid. Miałaś go dostać za wiele lat. Znajduje się w domu Anne w Szwecji, mieszkałam tam, odkąd umarła. Teraz to *moje* życie.

Sekundę później Susanne robi kilka szybkich kroków do Karen. Pochyla się i wrzeszczy:

– A ty, do cholery, nie tkniesz już niczego, co moje, pieprzona suko! Sigrid jest moją córką, nie twoją. Pamiętaj o tym.

Jej wzrok przepęlnia nienawiść, kiedy unosi rękę i uderza ją otwartą dłonią.

Policzek sprawia, że Karen wali tyłem głowy w żelazną ścianę, a Susanne znów odwraca się do Sigrid.

– Zawsze będę twoją mamą. Nikt mi tego nie zabierze!

Karen ledwie zauważa ostry stożek światła, który nagle po nich przejeżdża. Ledwie słyszy dźwięk syreny na statku i odgłos zbliżających się szybko kroków. Pole jej widzenia zawęża się i wszelkie hałasy wydają się jej nagle odległe. Jakby znajdowała się pod szklanym kloszem, dostrzega, jak Susanne osłania ręką oczy i patrzy w górę na poszukiwawczy strumień światła z helikoptera, widzi, jak odwraca wzrok w stronę Sigrid i powoli kręci głową. Jej twarz wydaje się zupełnie bez wyrazu. Pozbawiona wszelkiej nadziei na lepsze życie. Pozbawiona jakiegokolwiek życia. Teraz wszystko się rozstrzygnie, myśli Karen. Teraz podejmie ostateczną decyzję.

Potem Susanne Smeed chwyta obiema rękami reling i przechodzi nad nim, a Karen widzi, jak Sigrid zrywa się z miejsca, żeby ją powstrzymać. Widzi, jak jej własna ręka podnosi się w desperackiej próbie złapania dziewczyny. Czuje strach, że Susanne pociągnie za sobą Sigrid.

Ręka Karen chwyta bluzkę Sigrid i szarpnięcie powoduje, że przeszywa ją ostry ból. Siłami, o których istnieniu nie wie, ale które były w niej głęboko ukryte pod warstwami rozpacz przez wszystkie lata tęsknoty, zmusza się, żeby dalej trzymać. Wie, że stara się przytrzymać życie. Palce zaciskają się jej wokół nadziei, uleczenia i przebaczenia. Wokół Sigrid. Johna. Mathisa.

Wokół dziecka, którego nie może stracić.

Wiatr miota kobietą, która siedzi z jedną nogą przełożoną nad relingiem. Kołysze się, ale nadal mocno się trzyma białej żeliwnej poręczy.

– Przeczytaj list, Sigrid! – krzyczy. – Wtedy zrozumiesz.

Potem luzuje uchwyt i puszcza.

I gdzieś, daleko od siebie i poza sobą, Karen słyszy, jak Sigrid wrzeszczy z rozpacz, kiedy jej mama spada i znika w ciemnościach.

Jakby ktoś stał koło włącznika i na zmianę włączał i gasił światło. Niemiłosierne błyski, które raz zmuszają ją do powrotu do rzeczywistości, innym razem bezlitośnie powodują utratę kontaktu z tym, co się dzieje.

Ostre światło, kiedy personel medyczny przenosi ją na nosze, potem ukłucie igły i powoli wycofująca się fala bólu. Świszczący ryk wirnika, napinające się pasy i znów robi się ciemno. Lekkie wstrząsy, obce głosy uspokajające ją w innym języku niż jej własny i mówiące po duńsku, że nie wolno jej zasnąć.

– *Du skal ikke falde i søvn nu, skat.*

Brzmi jak głos Marike, myśli Karen. Ale przecież jej tu nie ma.

Nie jest przytomna, gdy przyjmują ją do Rigshospitalet w Kopenhadze, ale w ostrym świetle, kiedy włącznik znów się przełącza, widzi wężyki, białe fartuchy i skupione spojrzenia. Przez moment nie rozumie, co robi w szpitalu. Zaraz przecież zadzwoni budzik i będzie musiała wstać i iść do pracy. Jej kolejną świadomą myślą jest to, że coś dookoła głośno buczy. Ma teraz wrażenie, jakby wjeżdżała do tunelu, i myśli, że prawdopodobnie umiera. Że to takie uczucie temu towarzyszy. Że tak musieli to odczuwać John i Mathis.

I wydaje się jej, że się uśmiecha na myśl, że mimo wszystko nie jest to takie groźne.

Jednak później światło znów się włącza i musi wracać. Najwyraźniej jeszcze nie pora na nią. Buczenie ustaje i zastępują je głosy. Mamrotanie, głosy używają słów, które rozumie, ale później sięgają po słowa, których nie zna, i wtedy nadciąga panika.

Kolejne ukłucia i uspokajające dłonie.

I teraz między zielonymi czepkami i białymi maseczkami widzi czyjeś serdeczne oczy. Później jednak znów zapada ciemność.

Nie wie, jak mija czas, czy płynie szybko, czy wolno. Później dowie się, że minęły prawie trzy dni od operacji w Rigshospitalet w Kopenhadze, zanim przetransportowano ją z powrotem do Doggerlandu. I że jeszcze

długo potrwa, zanim naprawdę wróci do domu. Przez nieznośnie długie dni będzie leżała przykuta do łóżka w dunkerskim szpitalu Thysted. Cios w głowę nie spowodował nic poważniejszego niż rany, wstrząśnienie mózgu i pęknięcie podstawy czaszki. Czternaście szwów, antybiotyki i spokój rozwiążą problem, zapewnili ją lekarze. Klatka piersiowa jest unieruchomiona i utrzymuje żebra na swoim miejscu. Gorzej z lewą nogą, która złamała się tuż nad kostką, i z kolanem, gdzie mocno zostały naderwane ścięgna. Minimum dwa tygodnie w Thysted, potem będzie można rozmawiać o wypisie. A następnie czeka ją zwolnienie lekarskie w domu i regularne wizyty na rehabilitacji.

– Ale prawdopodobnie uda się przywrócić pełną sprawność.

List znajdują w Limhamn, w domu, który Anne Crosby odziedziczyła po ojcu. W domu, w którym Susanne mieszkała kilka tygodni, podszywając się pod siostrę. Nie zadała sobie najmniejszego trudu, żeby ukryć kopertę z imieniem Sigrid. Oficjalnie list jest częścią śledztwa i przeczytało go pięć osób: Karl Björken, Evald Johannisen, Dineke Vegen, Viggo Haugen i Jounas Smeed.

Karen również otrzymuje zgodę, żeby zapoznać się z jego treścią, chociaż przebywa na zwolnieniu i nie bierze już udziału w śledztwie. Nadal jest otępiała przez środki przeciwbólowe, kiedy Karl pyta ją, czy chce przeczytać, co Susanne Smeed napisała do córki.

– To naprawdę chore – ostrzega.

Karen ostrożnie kiwa głową i bierze od niego list. Z narastającą niechęcią przygląda się drobno zapisanym linijkom, wściekłym wielkim literom, podkreśleniom i błędem w pisowni. Potem zaczyna czytać:

DO SIGRID

JEŚLI TO CZYTASZ, OZNACZA TO, ŻE JUŻ NIE ŻYJĘ. MOŻE SAMA JESTEŚ STARA, MOŻE MASZ WŁASNE DZIECI. MOŻE SIĘ DOMYŚLASZ, ŻE TO NIE MNIE ZNALEZIONO MARTWĄ W DOMU W LANGEVIK. CZUJE SIĘ CHYBA, ŻE MAMA ŻYJE.

ALE POPEŁNIŁAM MORDERSTWO I CHCĘ, ŻEBYŚ WIEDZIAŁA DLACZEGO. NIE MUSISZ MI PRZEBACZYĆ, BO NAWET NIE CHCĘ, ŻEBY MI PRZEBACZONO. ALE MUSISZ ZROZUMIEĆ.

TWÓJ OJCIEC TO PRAWDZIWA ŚWINIA (WYBACZ, ALE TAKA JEST PRAWDA). URODZIŁ SIĘ W LUKSUSACH I ZAWSZE DOSTAWAŁ

WSZYSTKO PODANE NA ZŁOTEJ TACY, ZA TO JA MUSIAŁAM WALCZYĆ, ZAWSZE I O WSZYSTKO!!!

NIGDY TEŻ NIE ODCZUWAŁ WDZIĘCZNOŚCI. CHOCIAŻ BYŁ „PRAWDZIWYM SMEEDEM”, A JA „GORSZYM SORTEM”. TAK SĄDZIŁA CAŁA JEGO RODZINA. JEGO DZIADEK BYŁ NAJGORSZY!!! AXEL SMEED ZARZĄDZAŁ INTERCYZY W ZAMIAN ZA POMOC Z MIESZKANIEM, CHOCIAŻ DOPIERO CO SIĘ URODZIŁAŚ. GROZIŁ NAWET, ŻE WYDZIEDZICZY TWOJEGO OJCA, JEŚLI JEJ NIE PODPISZEMY.

NIE MOĞŁAM NIC ZATRZYMAĆ PO ROZWODZIE!!!

A AXEL UKRADŁ NAWET TO, CO SAMA BYM ODZIEDZICZYŁA PO MATCE, POWINNAŚ TO O NIM WIEDZIEĆ. SKUPIŁ CAŁĄ ZIEMIĘ OD MOJEGO OJCA, KAWAŁEK PO KAWAŁKU, PO ZANIŻONEJ CENIE, AŻ W KOŃCU NIE ZOSTAŁO NIC, CO MOĞŁABYM ODZIEDZICZYĆ.

I TO ZA MOIMI PLECAMI!!!

AŻ DO ROZWODU NIC O TYM NIE WIEDZIAŁAM. JEDYNE, CO DOSTAWAŁAM, TO TĘ „JAŁMUŻNĘ”, KTÓRĄ TWÓJ OJCIEC PŁACIŁ MI CO MIESIĄC, ŻEBYŚ MIAŁA „ZNOŚNY BYT” W CZASIE, GDY U MNIE MIESZKAŁAŚ.

PIEPRZONY CHUJ!!!

TWÓJ OJCIEC MIAŁ TAK JAKBY WSZYSTKO, A JA MUSIAŁAM WALCZYĆ.

KIEDY TY TEŻ SIĘ WYPROWADZIŁAŚ, ZOSTAŁAM CAŁKIEM SAMA. BEZ PRZYJACIÓŁ, PRACA BYŁA PIEKŁEM. PO KILKU LATACH JUŻ DŁUŻEJ NIE WYRABIAŁAM. CHCIAŁAM PO PROSTU UMRZEĆ I PRAWIE KAŻDEGO DNIA MYŚLAŁAM O SAMOBÓJSTWIE.

Karen opuszcza list na piersi i zamyka oczy. Czy Sigrid będzie musiała to przeczytać? A może już to zrobiła? Jakby domyślał się, o czym ona myśli, Karl odzywa się z krzesła dla odwiedzających.

– Musieliśmy. Jest pełnoletnia, a list był napisany do niej. Dostała go wczoraj.

Już nigdy nie będzie sobą, myśli Karen. Nigdy, przenigdy. Potem podnosi list i zmusza się do dalszego czytania.

POTEM ZADZWONIŁA KOBIETA, KTÓRA NAZYWAŁA SIĘ DISA BRINKMAN.

MIESZKAŁA Z MOIMI RODZICAMI W KOMUNIE I BYŁA PRZY TYM, KIEDY SIĘ URODZIŁAM. POWIEDZIAŁA MI, ŻE NAWET MOJA MATKA NIE BYŁA MOJĄ RODZONĄ MATKĄ. MÓJ OJCIEC ZROBIŁ DZIECKO INNEJ KOBIECIE.

PÓŹNIEJ POWIEDZIAŁA TEŻ, ŻE MAM SIOSTRĘ BLIŹNIACZKĘ.

ROZDZIELILI NAS MIĘDZY SIEBIE JAK KOCIAKI!!! MOJA SIOSTRA POJECHAŁA DO SZWECJI, A MNIE ZOSTAWIONO TUTAJ.

SPOTKAŁAM SIĘ Z DISĄ BRINKMAN I ZE SWOJĄ SIOSTRĄ W MALMÖ.

NAJPIERW NIE ZAUWAŻYŁAM TEGO, BO WYGLĄDAŁA DUŻO LEPIEJ ODE MNIE. ALE PÓŹNIEJ ZOBACZYŁYŚMY TO. BYŁYŚMY DOKŁADNIE IDENTYCZNE!!!

KIEDY SIĘ URODZIŁYŚMY, NIKOMU NIE PRZYSZŁO DO GŁOWY, ŻE JESTEŚMY BLIŹNIACZKAMI JEDNOJAJOWYMI. NAWET DISA BRINKMAN NIE ZDAWAŁA SOBIE Z TEGO SPRAWY AŻ DO TERAZ. MIAŁYŚMY NAWET TAKI SAM GŁOS I OBIE MÓWIŁYŚMY IDENTYCZNIE, BO OBIE ZNAŁYŚMY SZWEDZKI Z DOMU. JAKBYŚMY BYŁY JEDNĄ I TĄ SAMĄ OSOBĄ!!

DWA RAZY POJECHAŁAM DO MALMÖ, ŻEBY SPOTKAĆ SIĘ Z ANNE, A POTEM ROZMAWIAŁYŚMY PRZEZ TELEFON. MIESZKAŁA W USA, ALE POWIEDZIAŁA, ŻE CHCE WSZYSTKO SPRZEDAĆ I ZNÓW PRZEPROWADZIĆ SIĘ DO DOMU.

TO WTEDY ZDAŁAM SOBIE SPRAWĘ, JAK BYŁA BOGATA. MIAŁA WSZYSTKO, A JA NIE MIAŁAM NIC.

ALE TO WSZYSTKO, CO MIAŁA, RÓWNIE DOBRZE MOGŁO BYĆ MOJE!!! JEŚLI DANE BY MI BYŁO POJECHAĆ DO SZWECJI, A ONA ZOSTAŁABY W LANGEVIK. TO PRZYPADEK SPRAWIŁ, ŻE DOSTAŁA TO WSZYSTKO, A JA NIE DOSTAŁAM NIC!!

I TO WTEDY POSTANOWIŁAM TO ZMIENIĆ. MIAŁA MNIE ODWIEDZIĆ I ZOSTAĆ NA NOC. PRZYPLYNĘŁA PROMEM, KTÓRY MIAŁ STAĆ TUTAJ PRZEZ DOBĘ, I ODEBRAŁAM JĄ ZE STATKU.

RANO ZROBIŁAM, CO TRZEBA. NIE MUSISZ WIEDZIEĆ, JAK TO ZROBIŁAM.

POTEM ZAJĘŁAM JEJ MIEJSCE NA PROMIE. PO PROSTU PRZEJĘŁAM JEJ ŻYCIE.

SZCZERZE MÓWIĄC, POSZŁO TO ŁATWIEJ, NIŻ SIĘ SPODZIEWAŁAM, BO NIKT TAK DOKŁADNIE NIE PRZYGLĄDA SIĘ

KOBIETOM W MOIM WIEKU.

JEDYNIENIE DISA WIEDZIAŁA, ŻE BYŁYŚMY BLIŹNIACZKAMI I JEJ TEŻ MUSIAŁAM SIĘ POZBYĆ, ŻEBY MIEĆ PEWNOŚĆ. I TERAZ MUSZĘ POZBYĆ SIĘ JESZCZE JEDNEJ OSOBY, KTÓRA WĘSZY I ZADAJE PYTANIA. PRACUJE Z TWOIM OJCEM, ALE MIESZKA W MOJEJ WSI. WIESZ, O KIM MÓWIĘ. ZAWSZE BYŁA PRAWDZIwą ZDZIRĄ, KTÓRA SYPIAŁA Z MASĄ MĘŻCZYŹN, WIĘC W KAŻDYM RAZIE NIE BĘDZIE TO WIELKA STRATA.

Karen pospiesznie zerka na Karla, ale on wygląda przez okno. Czyta więc dalej ostatnie linijki.

CHCE TYLKO MIEĆ TO ŻYCIE, KTÓRE MOGŁO BYĆ MOJE OD POCZĄTKU.

ANNE DOSTAŁA PIERWSZĄ POŁOWĘ, A JA WZIEŁAM TO, CO ZOSTAŁO.

MAM NADZIEJĘ, ŻE TO ROZUMIESZ. ZAWSZE CIĘ KOCHAŁAM.
MAMA

W pokoju przez kilka minut panuje potworna cisza.

– Musiała być w psychozie, kiedy to pisała – mówi Karl.

Karen nie odpowiada.

Potem Karl wstaje, chcąc odejść.

Na pożegnanie mówi jej jedyną rzecz, o której w tej chwili Karen jest w stanie myśleć.

– Biedna Sigrid.

Wszyscy się tu schodzą. Tłoczą się wokół jej szpitalnego łóżka z niepokojem w oczach, aż uda się ich przekonać, że Karen najpewniej nie grozi żadna większa utrata zdrowia. Marike, Aylin, Kore i Eirik. I mama.

Eleanor Eiken, która jasno podkreśliła, że nie zamierza wracać do Hiszpanii do czasu, aż Karen wypiszą ze szpitala, rezolutnie wprowadziła się do domu w Langevik, a Harry'ego odesłała do mieszkania w Esteponie.

Leo Friis podobno wciąż tam mieszka. Najwyraźniej – tak jak Rufus – postanowił po prostu zostać. Karen nie ma zielonego pojęcia, czy znów przeniósł się do budynku gospodarczego, czy razem z Eleanor dzielą główny budynek. Nie ma siły pytać, bo nie ma siły odpowiedzieć na żadne pytanie. Nie dziwi jej to, że Leo nie pojawił się u niej w szpitalu, a to, jak się go pozbędzie, wydaje się jej obecnie zupełnie nieistotną kwestią.

Może myśleć jedynie o Sigrid.

– Nie czuje się najlepiej – mówi Eleanor.

– Mogę to zrozumieć. Gdzie teraz mieszka? Chyba nie sama.

– Nie bój się o nią. Mamy ją na oku.

– Może obwinia mnie o to, że jej mama odebrała sobie życie. Jak myślisz? Czy to dlatego nie odbiera, kiedy dzwonię?

– Myślę, że ona obwinia samą siebie, Karen. Wiem, że tak jest.

– O co? Nic przecież nie jest jej winą.

– Nie udawaj głupiej, Karen. Ty chyba najlepiej to rozumiesz.

– Może mogłabym z nią porozmawiać...

– Sigrid boi się w tej chwili wszystkiego. Boi się spotkać ciebie w takim stanie: pobita, przykutą do łóżka, zagipsowaną, tylko by zwymiotowała ze strachu.

Do Karen dociera, że potrafi wyobrazić sobie jedynie ułamek tego, przez co przechodzi Sigrid. Ale już ten ułamek to za duże brzemię dla osiemnastolatki. Szok spowodowany tym, że jej mama jest morderczynią. Tym, że straciła ją najpierw raz, a potem ponownie. Strach wywołany tym, że miota się między potępieniem tego, co zrobiła mama,

a smutkiem, że jej rozgoryczenie przybrało w końcu rozmiary szaleństwa. Smutkiem nad zniszczonym życiem. I rolą, jaką odegrał w tym jej dziadek, rolą, którą odegrał jej własny ojciec. Sigrid miała już wcześniej kiepskie relacje z tatą, ale teraz musiały one całkiem zaniknąć.

I po raz pierwszy dociera do niej, jakie piętno z pewnością odcisnęło na Sigrid stałe nawigowanie między lodowato zimną arogancją jej ojca a labilną psychiką matki. I jeszcze ta świadomość, że jest częstką ich obojga.

Karen wie, że potrafi zrozumieć to tylko w minimalnym stopniu. Mimo wszystko pragnie porozmawiać z Sigrid: powiedzieć jej, że nie ma w tym jej winy, że nie powinna brać na siebie grzechów rodziców. Że nie jest sama.

Ale może jedynie leżeć tu i czekać, aż wyzdrowieje na tyle, by móc pojechać do domu.

– Mam ją na oku – powtarza Eleanor. – Ja i Leo. A tak przy okazji, zainstalował klapkę dla kota.

Później przychodzą koledzy. Jeden za drugim zjawiają się z winogronami, gazetami i bukietami kwiatów, które jej mama przyjmuje z cierpliwym uśmiechem, a potem udaje się na poszukiwanie jeszcze jednego wazonu po szpitalnym korytarzu. Cornelis Loots, Astrid Nielsen, Sören Larsen i wysoce zawstydzony Viggo Haugen zmieniają się z taką precyzją, że Karen ma wrażenie, że ktoś z wydziału przygotował grafik odwiedzin. Taktowne, krótkie wizyty, niespokojne spojrzenia, kiedy ból w głowie lub kolanie sprawia, że Karen musi zadzwonić po pielęgniarkę i poprosić o uzupełnienie środków przeciwbólowych. I kilka słów zamienionych przyciszonym głosem z jej matką, nim zostawią Karen, zapewniając ją, że jeszcze do niej wrócą.

Trzeciego dnia w jej drzwiach staje Evald Johannisen.

– No tak, Eiken – mówi, kładzie winogrona na stercie leżącej w misce na stoliku nocnym i siada na jednym z krzeseł dla odwiedzających.

– No tak, Johannisen – odpowiada Karen.

– A więc mimo wszystko byłaś na tropie. Hmm, zakładam, że nawet ślepej kurze czasem trafi się ziarno.

Coś się jednak zmieniło: Karen nie odczuwa potrzeby, żeby podkreślać, że najzwyczajniej miała rację. Że chciała pociągnąć to dalej, ale inni machnęli ręką na ten trop, pragnąc jak najszybciej zakończyć sprawę. Że czuła, że zabójstwo Susanne Smeed miało związek z czymś, co wydarzyło się ponad czterdzieści lat temu w komunie w Langevik. To oni się mylili. Ona miała rację. Ale Karen nie podkreśla tego. Bo prawda jest taka, że miała tylko połowiczną rację.

Zamiast tego mówi:

– Dzięki, Evald, że od razu zareagowałeś, kiedy się dowiedziałeś o zabójstwie Disy Brinckmann.

Johannisen wzrusza ramionami.

– Szkoda tylko, że nie dowiedziałem się o tym kilka godzin wcześniej.

Delikatnie kiwa w stronę jej zagipsowanej goleni, która leży przykręcona do stelaża, żeby kolano dobrze się zrosło.

Zawieszenie broni jest czymś tak dziwnym, że panująca między nimi cisza odbija się echem po pokoju. Tak długo kontaktowali się jedynie za

pomocą sarkazmów, docinków i świdrujących spojrzeń, że żadne z nich nie wie, co teraz powiedzieć. Evald Johannisen podnosi się już pięć minut po przyjściu, chrząka i otwiera usta, żeby się odezwać, ale Karen go uprzedza:

– Nadal jesteś dupkiem, Evald – mówi i uśmiecha się.

Nie odpowiedziawszy, Johannisen zrywa winogrono ze sterty leżącej w misce, wkłada je do ust i wychodzi z pokoju. Karen jednak widzi, jak jego ramiona się rozluźniają, i tuż przed zamknięciem drzwi udaje się jej dostrzec, jak kąciki jego ust podnoszą się w uśmiechu.

Karl Björken się nie uśmiecha. W każdym razie aż do trzecich odwiedzin, kiedy bandaż na jej głowie zostają zastąpione zwykłymi kompresami zakrywającymi szwy, a sińce na twarzy Karen przybierają jaśniejszy, żółtozielony odcień.

– Ale napędziłaś nam strachu – mówi i siada na fotelu pod oknem.

Po pierwszych dniach spędzonych w półmroku podciągnięto żaluzje i Karen obserwuje klucz ptaków zmierzających na południe. Dotrzecie dalej ode mnie, myśli. Zapewne nie uda się jej wyjechać do Francji, przynajmniej aż do Bożego Narodzenia i Nowego Roku.

– Brodal całkiem się załamał – mówi Karl.

– Przecież to nie jego wina. Nawet badania DNA nie mogły zdemaskować, że to nie Susanne tam leżała.

– No właśnie. Jego świat się zawalił.

– Taa, ale zapewne nie będzie musiał tego jeszcze raz przechodzić – mówi Karen i odrywa wzrok od okna. – Wprawdzie na świecie rodzi się od dwóch do trzech procent bliźniaków – referuje monotennie. – A z nich około jednej trzeciej jest z tego samego jajeczka. I tylko w tym kraju jest około dziesięciu tysięcy par bliźniąt, z czego około trzech tysięcy to bliźnięta jednojajowe. Ale prawdopodobieństwo, że któreś z nich padnie ofiarą morderstwa albo samo popełni morderstwo, jest marginalne. Cornelis był tutaj wczoraj – dodaje z uśmiechem, widząc otwarte usta Karla.

– Tak, stary dobry Loots nigdy się nie zmieni. Miał jeszcze jakieś inne statystyki, żeby cię zabawiać?

– Prawdopodobnie tak, ale o nich zapomniałam. A tak przy okazji, bliźnięta jednojajowe mają najwyraźniej to samo DNA.

– Tyle ja też mógłbym ci powiedzieć – odpowiada Karl. – To dlatego nie znaleźliśmy DNA nikogo innego poza Susanne – pochyła się. – Tak szczerze, Eiken, jak dużo z tego się domyślałaś?

– Niezbyt wiele – przyznaje. – Byłam mocno przekonana, że Kvanne jest niewłaściwą osobą, chociaż trudno było przymknąć oko na to, że kłamał i był w Langevik. Ale raczej nie dałby rady włamać się do domu i ukraść samochodu, nie zostawiając po sobie ani śladu. I miałam przeczucie, że ma to jakiś osobisty związek z Susanne, ale nie wiedziałam dokładnie jaki. W każdym razie nie miałam wystarczająco dużo dowodów, żeby przekonać Haugena, że trzeba to ciągnąć. Udało mi się jednak wyrządzić wystarczająco wiele szkód.

– Chodzi ci o Disę Brinckmann?

Karen kiwa głową w milczeniu.

– Nie mogłaś przecież przewidzieć, że zostanie zamordowana.

– Nie, zdaję sobie z tego sprawę. Ale, no wiesz... – Rozkłada ręce w geście, który ma symbolizować to wszystko, z czym jak wie, Karl jest zaznajomiony. – Myślę o tych, których może udałoby się uratować. Jeśli tylko postąpiłoby się w inny sposób.

– Masz za dużo czasu na myślenie – strofuje ją. – À propos, jak długo masz tu leżeć?

– Jeszcze co najmniej dwa tygodnie – odpowiada.

– Hmm, ale przynajmniej masz w bród gości – mówi, wskazując głową na stertę winogron.

Karen uśmiecha się słabo.

– Taaa, nawet Johannisen wpadł tutaj ostatnio.

– Zawieszenie broni?

– Przynajmniej tymczasowe – mówi. – To dobry gliniarz, nawet jeśli jest dupkiem. Gdyby nie zareagował, prawdopodobnie bym tu teraz nie leżała.

– Przecież to Sigrid cię znalazła – zwraca jej uwagę Karl.

– Tak, ale ona nie szukałaby mnie, gdyby nie usłyszała, że wywołują mnie przez głośniki.

– Co mówi ona sama?

– Nie rozmawiałam z nią.

Karen marszczy czoło z miną, którą – jak wie – Karl zinterpretuje jako nagły ból. Z miną, która stała się jej sposobem skłaniania gości, żeby taktownie zostawili ją samą.

I kiedy kilka minut później drzwi zamykają się z delikatnym skrzypnięciem za szerokimi plecami Karla Björkena, Karen odwraca głowę do okna i czuje, jak smutek ściska jej gardło. Nie ma prawa tak tego odbierać. Nie ma prawa się łudzić, że Sigrid mogłaby czegoś od niej chcieć. Najmniejszego prawa. Smutek po stracie jednego dziecka nie może zostać uśmierzony przez inne.

I jeszcze raz przypomina sobie słowa Susanne Smeed.

„Sigrid jest moją córką, nie twoją. Pamiętaj o tym”.

Ósmego dnia w progu jej pokoju staje Jounas Smeed. Karen przysnęła po lunchu i budzi ją głos dochodzący od drzwi.

– Ach tak, a więc tutaj się ukrywasz?

Nie odpowiada, tylko sięga po szklanę z wodą i uświadamia sobie, że prawdopodobnie głośno chrapała. Konstrukcja wokół nogi zmusza ją do spania na plecach, a w ustach ma potwornie sucho. Pije cicho i łapczywie, czekając na jakiś komentarz, ale coś w wyglądzie Jounasa świadczy, że nie jest w nastroju do wyzłośliwiania się.

Jego blada twarz i sińce pod oczami zdają się wyraźniejsze, kiedy stoi w ostrym świetle wpadającym przez okno. Przez moment wydaje się jej, że dostrzega w nim ambiwalentne uczucia: ulgę, irytację, niepokój, wściekłość. I coś, czego nigdy wcześniej nie widziała u swojego szefa. Niepewność. Rodzaj nieporadnej obawy nerwowo przemieszczającej się między zdarzeniami, które doprowadziły do tego, że teraz tutaj stoi.

Po raz pierwszy Karen czuje, że – mimo leżenia na plecach i chrapania – ma przewagę. I wie, że on to wie. Jego ocena śledztwa i decyzje są po części przyczyną tego, że tutaj leży. Tylko po części, ale to wystarcza, żeby wypełnić pokój niewypowiedzianym poczuciem winy. Cicho wodzi za nim wzrokiem, kiedy on odrywa się od progu i obchodzi nogi jej łóżka.

Nie przyniósł winogron, aż tak daleko się nie posunął, ale kładzie na stoliku przy jej łóżku gazetę wieczorną, a potem siada na krześle i z wyćwiczoną apatią zakłada nogę na nogę. Cień niesmaku przelatuje mu przez twarz, kiedy przygląda się jej siniakom i stelażowi na nodze.

– Jak się czujesz? – mówi z grymasem.

– Już lepiej – odpowiada krótko i obserwuje, jak kiwa głową. Teraz z należycie zatroskaną miną przełożonego. – Bywało gorzej – dodaje z krzywym uśmiechem.

Jounas odpowiada na to przelotnie, niemal zdekoncentrowany:

– Jak długo jeszcze będziesz unieruchomiona, wiesz może?

Referuje mu to, co powiedzieli jej lekarze o najbliższych tygodniach i dalszym zwolnieniu i rehabilitacji.

– Nie mam więc co liczyć na to, że wrócisz przed końcem roku – mówi.

Karen słyszy pobrzmiewające w jego słowach pytanie i zbywa je milczeniem. Żeby nie musieć odpowiadać, znów sięga po szklanekę z wodą i czuje, że on się jej przygląda. Potem Jounas Smeed bierze głęboki wdech i pyta ją wprost:

– Bo chyba wrócisz, Eiken?

Łatwo byłoby odsunąć od siebie tę decyzję, pozwolić, żeby zdecydowały o tym najbliższe tygodnie. Ale coś w jego głosie – jakies niewypowiedziane błaganie o przebaczenie, ślad niepokoju – sprawia, że Karen mówi, jak jest.

– Zastanawiałam się nad tym – odpowiada szczerze. – Zanim wyjechałam na urlop, byłam w zasadzie zdecydowana, że poproszę o przeniesienie.

– A teraz? Wpadłaś na lepszy pomysł?

– Zastanawiam się, czy nie dać ci jeszcze jednej szansy – mówi bez emocji. – Ale w takiej sytuacji musiałby się trochę zmienić twój styl dowodzenia. Po prostu mniej takiego niedojrzałego gadania o niczym. I nie chcę być pomijana, jeśli chodzi o poważne śledztwa – dodaje.

– Ale się rozzuchwalałaś – odpowiada. – Taa, też bym pewnie taki był na twoim miejscu. A jak długo zamierzasz mnie zadreć tym, że to ty miałaś rację?

– Sam zobaczysz.

Tym razem Karen pozwala sobie na lekki uśmiech. Jounas Smeed kręci głową i wzdycha.

– Okej, przypuszczam, że na to zasłużyłem.

– A jak wam idzie śledztwo w sprawie napadów w Moerbecku i Odinswalli? Doszliście do czegoś?

– Nie posunęliśmy się nawet o milimetr – przyznaje apatycznie. – Zdaje się, że sprawca albo zrobił sobie przerwę, albo całkiem z tym skończył. Od czasu Atlasvägen nie było nowych przypadków. Jest też zimno – dodaje. – A takie świny zazwyczaj potrafią utrzymać ptaszka w spodniach przy minusowych temperaturach.

Karen myśli o tych przypadkach, o których uczyła się, kiedy studiowała kryminologię.

– Między jednym nawrotem a drugim mogą minąć miesiące – mówi. – Kilka lat temu była w Szwecji sprawa, która przypomina nasze przypadki. Facet grasował przez lata, zanim go złapali. – Jounas kiwa głową, ale nic nie mówi, i Karen ciągnie: – Prawdopodobnie to tylko kwestia czasu,

kiedy znów uderzy, a wtedy zamierzam przy tym być i przymknąć tego sukinsyna.

Jounas wstaje i wygląda przez okno. Stoi tak w ciszy, a ona czeka. Instynktownie wie, że myślami jest już daleko od zakończonego i nadchodzącego śledztwa. Prawdziwym powodem, dla którego tu przyszedł, nie była wcale chęć upewnienia się, jak się czuję, myśli Karen, wpatrując się w jego plecy.

– Myślisz o Sigrid – mówi i patrzy, jak Jounas sztywnieje. Potem odwraca się do niej.

Przez moment widzi po nim, że jest bliski tego, by dać ujście złości i frustracji, które musiał odczuwać w związku z tym, że Sigrid była na promie. Że Karen wzięła ją ze sobą na wakacje, nic mu o tym nie mówiąc. Że miała bliższy kontakt z jego córką niż on sam od wielu lat.

– Ja też z nią nie rozmawiałam – mówi cicho.

Jego spojrzenie jest teraz zimne, lodowato zimne, i powątpiewające.

– Ach tak, tak mówisz? Bo ogólnie odniosłem wrażenie, że nagle stałyście się sobie cholernie bliskie. Jak przypuszczam, zjednoczyła was niechęć do mnie.

Karen ma ochotę być złośliwa. Pograć go, zranić głęboko i niewybaczalnie. Strzelać dziko własną troską jak amunicją. I wie, że nie ma do tego prawa.

– Możesz sobie wierzyć, w co chcesz – mówi. – Ale do mnie też się nie odzywała. I nie odbiera, kiedy dzwonię. Może obwinia nas oboje za śmierć Susanne.

Widzi, jak dociera do niego, że mówi prawdę, i widzi, jak mobilizuje się do ostatniej, desperackiej próby.

– Masz od razu do mnie zadzwonić, kiedy tylko się odezwie. I powiedz mi, gdzie jest. To rozkaz, Eiken. Zrozumiano?

Karen patrzy mu prosto w oczy.

– Nie mogę ci tego obiecać. Nie, jeśli sama nie będzie tego chciała.

Wbija w niego wzrok i widzi, jak wściekłość z niego ulatuje, jakby zmógł go wysiłek, żeby utrzymać ją przy życiu. Pierś jakby się zapada, a mina mu rzednie. Widać tylko nieskończoną troskę. I Karen uświadamia sobie, że nie widzi już swojego szefa, ale ojca Sigrid.

– Jedno mogę ci obiecać – mówi. – Nigdy nie powiem Sigrid złego słowa o tobie. Za bardzo ją lubię, żeby mieszać przy niej jej ojca z błotem.

Epilog

Dwa tygodnie później Eleanor Eiken przewozi córkę na wózku inwalidzkim przez drzwi szpitala. Karen chce do domu. Po pierwszym tygodniu, kiedy cały czas była skołowana przez ból i środki przeciwbólowe, tęsknota za domem narastała w niej każdego dnia. Tęsknota, żeby samej decydować o tym, kiedy drzwi będą się otwierać i zamykać, czy chce mieć gości, czy nie. Żeby decydować o tym, co będzie jadła. I czy będzie jadła. Nie czuć już środków dezynfekujących ani nie słyszeć wycia karettek. Żeby móc płakać w spokoju.

Przede wszystkim tęskni za kieliszkiem wina – albo dwoma – i papierosem.

Najchętniej pobyłaby sama w domu, ale zdaje sobie sprawę, że będzie jej potrzebna pomoc mamy, przynajmniej na początku. Dlatego z mieszanką zdziwienia, ulgi i poczucia opuszczenia słyszy, jak jej mama beztroskim głosem deklaruje, że pojutrze leci do Hiszpanii.

– Harry dzwoni codziennie i dopytuje, kiedy wracam – mówi, pchając wózek do wyjścia. – Tak w ogóle serdecznie cię pozdrawia. Zabiorę go do Langevik, kiedy tylko ci się poprawi. Tak, jeśli nie wcześniej, to oczywiście przyjedziemy na Boże Narodzenie.

Karen nie wie, co powiedzieć. Czekwała na tę chwilę od dwóch tygodni, ale teraz, kiedy rzeczywistość prześwituje przez rozsuwane drzwi, chce zawrócić w to bezpieczne miejsce.

– Dasz sobie radę. A ja, rzecz jasna, będę codziennie dzwonić, żeby dowiedzieć się, jak się masz – zapewnia ją Eleanor, kiedy drzwi szpitala Thysted zamykają się za nimi ze świstem.

Powietrze poza szpitalem jest czyste i klarowne. Karen bierze kilka głębokich wdechów i przygotowuje się, żeby za pomocą kul, które dostała w pakiecie, pokonać ostatnie metry do jednej z taksówek stojących rzędem przed wejściem. Ale zamiast się zatrzymać, Eleanor Eiken pcha wózek dalej w stronę parkingu.

Kiedy Karen dostrzega swój samochód, czuje ukłucie w piersi. Ale to nie widok brudnego zielonego forda sprawia, że zaciska usta, żeby nie rozpłakać się z poczucia ulgi.

Obok samochodu stoi Leo Friis i po raz ostatni zaciąga się papierosem, po czym upuszcza go na ziemię i przygniata obcasem.

A za kierownicą siedzi Sigrid.

Redaktor inicjujący: Magdalena Gołdanowska, Joanna Maciuk
Redaktor prowadzący: Magdalena Matuszewska

Przekład: Agata Teperek
Redakcja: Agnieszka Trzeszkowska
Korekta: Piotr Królak, Małgorzata Kuśnierz

Projekt okładki: Martyna Leszek
Zdjęcie wykorzystane na I stronie okładki: © Alexander Andrews/unsplash.com

Skład i łamanie: www.pagegraph.pl

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48
tel. (22) 828 98 08
faks (22) 395 75 78
biuro@gwfoksal.pl
www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-6881-0

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

The logo for Virtualo, featuring the word "virtualo" in a bold, lowercase, sans-serif font. The letter "v" is blue, while the remaining letters "irtualo" are black.